

SARAH J. MAAS



WIEŻA  
ŚWITU



**Sarah J. Maas**

**WIEŻA ŚWITU**

przełożył Marcin Mortka

*Dla mojej babci Camilli, która pokonywała góry i morza. Twoja niezwykła opowieść na zawsze pozostanie moją ulubioną.*



# Część pierwsza

1.

Chaol Westfall, były kapitan Gwardii Królewskiej, a obecnie namiestnik niedawno koronowanego króla Adarlanu, doszedł do wniosku, że ze wszystkich dźwięków na świecie najbardziej nienawidzi odgłosu wydawanego przez koła.

Zwłaszcza zaś nie znosił ich turkotu, gdy toczyły się po deskach okrętu, na którym spędził ostatnie trzy miesiące burzliwego rejsu. A następnie nie cierpiał stukotu, z jakim toczyły się po lśniących mozaikach i posadzkach z zielonego marmuru w pałacu kagana, władcy Południowego Kontynentu.

Nie mając nic do roboty poza siedzeniem w fotelu z kołami, który stał się dla niego zarówno więzieniem, jak i jedynym sposobem na oglądanie świata, Chaol przyglądał się wszystkim szczegółom ogromnego pałacu, wznoszącego się na jednym z niezliczonych wzgórz stolicy. Każdy jego element pochodził z innej części ogromnego imperium i śpiewał o jego chwale. Wypolerowany, zielony marmur, po którym toczył się teraz fotel Chaola, wycięto w kamieniołomach w południowo-zachodniej części kontynentu. Wyrastające naokoło czerwone kolumny, wyrzeźbione na podobieństwo pni drzew i podtrzymujące wysokie, kopulaste sufity – które przykrywały niekończącą się poczekalnię – wykonano z surowców, przywiezionych z pustyń na północnym wschodzie.

Mozaiki urozmaicające zieleni posadzek zostały ułożone przez rzemieślników z Tigany, kolejnego wśród cennych miast kagana, leżącego na górzystym, południowym skraju kontynentu. Każda przedstawiała scenę z bogatej, chwalebnej, choć brutalnej przeszłości kaganatu. Niektóre upamiętniały długie wieki, podczas których jego lud wędrował na końskich grzbietach po stepach na wschodzie kontynentu. Na innych można było ujrzeć pierwszego kagana, który zjednoczył rozproszone plemiona i na ich czele podbił krainę za krainą, tworząc ogromne imperium dzięki fortelom i kunsztowi strategicznemu. Jeszcze inne przedstawiały kolejne trzy wieki oraz rozmaitych kaganów, którzy powiększali imperium, zwozili łupy z setek podbitych ziem i budowali niezliczone drogi oraz mosty, by spoić wielkie państwo w jedną całość, a potem władali nim z wprawą i mądrością.

„Być może te mozaiki pokazują, czym mógł się stać Adarlan – dumiał Chaol, wsłuchany w toczony szeptem rozmowy dworzan, niosące się wśród rzeźbionych kolumn i odbijające się od połączonych sufitów. – Oczywiście gdyby nie rządził nim opętany przez demona król, którego jedynym celem jest zamienić ten świat w żerowisko dla swych hord” – dodał w myślach.

Obrócił głowę i spojrzał na Nesryn, która z kamienną twarzą popychała jego fotel. Jedynie z jej ciemnych oczu, które omiały spojrzeniem każdą mijaną twarz, każde okno i każdą kolumnę, można było wyczytać, że podziwia ogromną siedzibę kagana.

Zachowali na tę okazję swoje najlepsze ubrania. Nowo mianowana kapitan Gwardii Królewskiej w istocie prezentowała się wspaniale w karmazynowo-złotym mundurze. Chaol nie miał pojęcia, skąd Dorian wytrzasnął jeden z tych mundurów, które on sam kiedyś nosił z taką dumą.

Z początku miał zamiar ubrać się na czarno, gdyż nie przepadał za dobieraniem kolorów i nie znał się na tym. Z ochotą zakładał jedynie czerwien i złoto reprezentujące jego królestwo. Niemniej czerń była przecież kolorem strażników Erawana, co do jednego opanowanych przez Valgów. To w takich właśnie idealnie czarnych mundurach terroryzowali Rifthold. W nich złapali, torturowali i zamordowali jego ludzi.

A potem powiesili ich ciała na bramach pałacowych, by kołysały się z wiatrem.

Nie udało mu się dobrze przyjrzeć antykańskim strażnikom, których mijali po drodze, zarówno na ulicach, jak i w samym pałacu. Widział tylko, że prężyli się z dumą na baczność, czujni i uważni, zbrojni w miecze i sztylety. Miał ochotę wodzić za nimi wzrokiem i sprawdzać, czy stoją tam, gdzie stać powinni – gdzie osobiście by ich rozstawił i gdzie sam by czuwał, strzegąc wizyty zagranicznych emisariuszy.

Nesryn przechwyciła jego spojrzenie. Jej czarne, długie do ramion włosy falowały z każdym krokiem, a ciemne oczy zgoła nie mrugały. Na pięknej, poważnej twarzy nie było ani cienia napięcia. W żaden sposób nie dawała po sobie poznać, iż za moment przyjdzie im stanąć przed obliczem

najpotężniejszego człowieka świata – mężczyzny, który mógł odmienić ich życie oraz losy całego kontynentu w wojnie, która bez wątpienia właśnie wybuchała.

Chaol patrzył przed siebie bez słowa. Nesryn ostrzegała go, że te ściany, kolumny i przejścia miały uszy, oczy i usta.

Ta świadomość sprawiła, że zaciskał dłonie na poręczach, by nie bawić się ubraniem, na które się ostatecznie zdecydował. Na spotkanie z kaganem przywdział jasnobrązowe spodnie, ciemnobrązowe buty do kolan i białą koszulę z jedwabiu doskonałej jakości, na którą nałożył ciemnoniebieską kurtkę. Kurtka prezentowała się skromnie, a jej prawdziwą wartość zdradzały dopiero lśniące mosiężne zapięcia z przodu oraz połyskliwe, złote nici, którymi obszyto wysoki kołnierz i mankiety. Nie przypiął miecza i brak jego znajomego ciężaru dokuczał mu niczym fantomowa kończyna.

Lub bezwład nóg.

Miał przed sobą dwa zadania i nadal nie wiedział, które z nich okaże się bardziej nierealne.

Przekonanie kagana i jego sześciu potencjalnych spadkobierców, by poprowadzili swe ogromne armie na wojnę z Erawanem?

A może odszukanie w Torre Cesme uzdrowicielki, która znajdzie sposób, by przywrócić mu umiejętność chodzenia?

„By mnie naprawić” – pomyślał z obrzydzeniem.

Nienawidził tego słowa niemalże równie mocno jak terkotu kółek fotela. „Naprawić”. Nawet jeśli dokładnie o to miał błagać legendarnych uzdrowicieli, to słowo drażniło go, doprowadzało do wściekłości.

Odepchnął je na bok, jak najdalej od siebie.

Nesryn podążała w ślad za niemalże bezszelestnymi służącymi, którzy powitali ich w porcie, a potem poprowadzili krętymi, zakurzonymi, brukowanymi uliczkami Antiki w górę, aż padł na nich cień kopuł i trzydziestu sześciu minaretów pałacu.

Z okien, drzwi i latarni w mieście zwisały niezliczone pasma białego sukna, zarówno filcu i lnu, jak i jedwabiu. Nesryn zdążyła mu szepnąć, iż w ten sposób upamiętnia się śmierć ważnego urzędnika bądź odległego krewnego władcy. Rytuały pogrzebowe różniły się od siebie i nierzadko były połączeniem zwyczajów z różnych krain, wchodzących w skład kaganatu, ale wywieszanie białego sukna stanowiło odwieczną tradycję, popularną jeszcze w czasach, gdy późniejsi poddani kagana wędrowali po stepach i układali swych zmarłych pod czujnym, otwartym niebem.

Miasto jednakże było dalekie od żałoby. Mijały ich setki przechodniów w najróżniejszych strojach, kupcy zachwalali swe towary, a akolici z drewnianych i kamiennych świątyń wzywali do modłów. Nesryn opowiedziała Chaolowi, że w Antice każdy bóg miał swoje miejsce. Największe wrażenie czyniła jednak wzniesiona z jasnego kamienia wieża, wyrastająca z czubka któregoś z południowych wzgórz, wyższa i bardziej imponująca nawet od samego pałacu.

Torre. To w tej wieży mieszkali i pracowali najlepsi uzdrowiciele śmiertelnicy na całym świecie. Chaol robił wszystko, by się na nią nie gapić przez okna powozu, choć jej masyw widać było niemalże z każdej ulicy Antiki. Żaden ze służących nie zająknął się o niej ani słowem ani też nie wskazał im imponującej, dominującej konstrukcji, która wydawała się rywalizować nawet z pałacem kagana.

Nie, podczas drogi do pałacu służący nie zaszczycili ich rozmową. Nie skomentowali nawet pogrzebowych proporców, powiewających na suchym wietrze.

Byli to mężczyźni i kobiety o prostych, ciemnych włosach, odziani w luźne spodnie i powłóczyste, ciemnoniebieskie i krwistoczerwone kurtki z elementami jasnego złota. Choć teraz otrzymywali za swą służbę zapłatę, wywodzili się od niewolników, którymi niegdyś władała rodzina kagana. Działo się tak do czasu, gdy poprzedni kagan, wizjoner i wichrzyciel, postanowił zakazać niewolnictwa, by jeszcze bardziej usprawnić swe państwo. Zwolnił wszystkich niewolników, ale zatrzymał ich, by służyli mu w zamian za pensję, a wraz z nimi ich dzieci. Teraz służbę kagana stanowiły dzieci tychże dzieci.

W istocie żaden z towarzyszących im służących nie wydawał się zagłodzony ani zaniedbany, a w ich zachowaniu nie było znać strachu, wyglądało więc na to, że obecny kagan dobrze traktował

swoich poddanych i należało mieć nadzieję, że niewybrany jeszcze dziedzic pójdzie w jego ślady.

W przeciwieństwie do Terrasenu i Adarlanu o tym, kto zastąpi rządzącego tu władcę, nie decydowało pokrewieństwo ani płeć, ale wola kagana. Spora liczba dzieci nie do końca ułatwiała to zadanie. Współzawodnictwo między nimi przeradzało się nierzadko w krwawe zawody, gdyż każde chciało udowodnić ojcu, że jest najsilniejsze, najmądrzejsze i najlepiej nadaje się do sprawowania rządów.

Prawo wymagało, by kagan trzymał w ukrytym skarbcu zapieczętowany dokument, przedstawiający kolejność spadkobierców w drodze do tronu. Sięgano po niego w chwilach, gdy władcę dopadła przedwczesna śmierć i nie zdołał jeszcze oficjalnie ogłosić swego następcy. Lista mogła być zawsze zmieniona, ale jej istnienie łagodziło lęk przed tym, co groziło imperium od czasów, gdy pierwszy kagan zjednoczył wszystkie krainy i terytoria – rozpadem. Obawiano się nie wrogich sił z zewnątrz, ale wojny domowej.

Pierwszy kagan był mądrym człowiekiem. Przez trzysta lat istnienia kaganatu ani razu nie doszło do konfliktu wewnętrznego.

Służący zatrzymali się między dwiema potężnymi kolumnami i złożyli przybyszom głęboki ukłon, a pchająca fotel Nesryn wkroczyła do olśniewającej swym pięknem sali tronowej. Wokół złocistego, migoczącego w promieniach południowego słońca podwyższenia z tronem zgromadziły się dziesiątki ludzi. Chaol spojrzał na pięć osób, które stały przed tronem, i zadał sobie w myślach pytanie, kto z nich w przyszłości zostanie wybrany, by władać imperium.

W pomieszczeniu słychać było jedynie szelest ubrań ponad czterech tuzinów ludzi, których Chaol zliczył odruchowo, rozglądając się dookoła. Tworzyli dwie ściany jedwabiu, kosztowności i opalonych ciał, a między nimi wiodła alejka, ciągnąca się aż po migotliwe podwyższenie.

Szelest ubrań oraz... Turkot i pisk kółek. Nesryn naoliwiła je starannie, ale po tygodniach spędzonych na morzu metal tu i ówdzie ustępował już miejsca rdzy. Każdy zgrzyt i piśnięcie były dla Chaola równie dotkliwe jak przesunięcie paznokciem po szkle.

Mimo to trzymał głowę wysoko, a plecy miał wyprostowane.

Nesryn stanęła w odpowiedniej odległości od podwyższenia i szeregu pięciorga młodych ludzi, kobiet i mężczyzn, którzy odgradzali ich od władcy.

Wypełniali pierwszy obowiązek każdego księcia czy księżniczki, którym była ochrona ich króla. Trudno o lepszy sposób, by się wyróżnić i okazać swą lojalność, a niewykluczone, że też zasłużyć na miano dziedzica. A pięcioro młodych ludzi przed nimi...

Chaol sprawnie zamaskował emocje i policzył raz jeszcze. Tylko pięcioro. Pięcioro, a nie sześcioro, jak twierdziła Nesryn.

Ani myślał rozglądać się po sali w ślad za zaginionym dzieckiem kagana. Nadszedł bowiem czas na to, do czego szykował się przez ostatni tydzień na morzu, w miarę jak zbliżali się do portu docelowego, a powietrze robiło się coraz gorętsze i suchsze. Nadal czuł dyskomfort, robiąc to w fotelu, ale ukłonił się bardzo nisko, aż ujrzał swoje martwe nogi, nieskazitelnie brązowe buty oraz ukryte w nich bezwładne stopy.

Szelest ubioru po lewej zdradził mu, że Nesryn stanęła obok niego i również złożyła głęboki ukłon.

Trwali w twej pozie przez trzy oddechy, bo tak, zdaniem Nesryn, nakazywał ceremoniał.

Chaol wykorzystał ten czas, by się przygotować i odepchnąć jak najdalej ciężar odpowiedzialności, z którą tu przybyli.

Niegdyś był mistrzem w utrzymywaniu niewzruszonej miny. Wiele lat służył ojcu Doriana i bez mrugnięcia okiem przyjmował rozkazy, a jeszcze wcześniej znosił towarzystwo własnego ojca, który umiał mu dopiec słowem, jak i przyłożyć pięścią. Takim człowiekiem był prawdziwy władca Anielle.

Chaol również miał prawo tytułować się lordem, ale uważał swój tytuł za kpinę oraz kłamstwo. Prosił Doriana, by ten przestał się do niego odwoływać, ale jego protesty nic nie dały. Tak więc jego pełne miano brzmiało obecnie: lord Chaol Westfall, Królewski Namiestnik.

Nie znosił swego tytułu jeszcze bardziej niż odgłosów wydawanych przez koła fotelu. Bardziej



niż swego ciała od pasa w dół, które nie reagowało na żadne bodźce i pomimo upływu czasu nadal zaskakiwało go swoim bezruchem.

Był Lordem Niczego. Władcą Krzywoprzysięzców. Panem Kłamców.

Wyprostował się i spojrzał w skośne oczy siwowłosego mężczyzny na tronie. Na brązowej ogorzałej skórze kagana pojawiły się lekkie zmarszczki, gdy uśmiechnął się przebiegle. Chaol zadał zaś sobie w myślach pytanie, czy władca również znał prawdę o nim.

2.

Nesryn doszła do wniosku, że żyją w niej dwie osoby.

Jedna z nich była kapitanem Gwardii Królewskiej, która złożyła przysięgę swemu władcy, iż dołoży wszelkich starań, by mężczyzna w fotelu na kółkach został uzdrowiony, a ponadto nakłoni człowieka zasiadającego na tronie przed nią, by zebrał dla nich armię. Ta osoba trzymała się prosto i śmiało patrzyła przed siebie z dłonią przy rękojeści ozdobnego miecza, ale nie na tyle blisko, by zostało to poczytane za prowokację.

Ale istniała również owa druga osoba.

Ta, która w chwili zawijania do portu wpatrywała się w wieżyczki, minarety i kopuły miasta bogów, a nade wszystko w dumną, lśniącą kolumnę Torre, i przełykała łyżę. Ta, która zaraz po zejściu na ląd wciągnęła w płuca zapach wędzonej papryki, ostrą woń imbiru i kuszącą słodycz kminku, po czym zrozumiała w głębi serca, że dotarła do domu. To prawda, że żyła w Adarlanie, służyła jego władcy i gotowa była umrzeć zarówno dla niego, jak i dla swej rodziny, wciąż tam mieszkającej, ale tu niegdyś żył jej ojciec i tu jej urodzona w Adarlanie matka czuła się swobodniej niż gdziekolwiek indziej. Tu mieszkali jej rodacy.

Widziała najrozmaitsze odcienie brązowej skóry. Wszędzie dostrzegała intensywnie czarne włosy, takie jak jej własne. Oczy, zarówno skośne, wąziutkie, jak i okrągłe, czarne, brązowe, a nawet z rzadka piwne i zielone. Jej rodacy. Jej ludzie. Co prawda jej ojczyzna była zbieraniną rozmaitych krain, ale... Cóż, nie słyszała, by ktoś syczał za nią obelgi. Tutaj dzieci nie rzucały w nikogo kamieniami. Tu potomstwo jej siostry nie czułoby się obco. Nikt nie czułby się tu nieproszonym gościem.

Mimo to, choć trzymała się prosto i zadzierała dumnie podbródek, kolana drżały jej na myśl o tym, przed kim stanęła.

Nie ośmieliła się zdradzić ojcu, dokąd się wybiera i czym będzie się zajmować. Powiedziała mu tylko, że król Adarlanu zlecił jej ważną misję, która zabierze jej sporo czasu.

Ojciec nie uwierzyłby jej słowom. Ba, sama ledwie mogła w to uwierzyć.

Kagan był bowiem bohaterem historii, które opowiadano przy ogniu w zimowe wieczory, a o jego potomstwie snuto legendy podczas niekończącego się wyrabiania ciasta na chleb. Baśnie o jego przodkach, które opowiadali rodzice przy jej dziecięcym łóżeczku, potrafiły zesłać na nią słodki, głęboki sen albo przejmującą groźbę, która nie pozwalała jej zasnąć przez całą noc.

Kagan był żywym mitem i bóstwem w tym samym stopniu co trzydziestu sześciu innych bogów, którzy rządzą miastem oraz imperium. Kaganom oddawano tu cześć równie wielką jak bogom w świątyniach Antyki, a nawet większą.

Anticę zwano miastem bogów ze względu na nich oraz na żywego boga, który zasiadał na tronie z kości słoniowej na szczycie złocistego podwyższenia. Wedle podań szeptanych przez jej ojca było ono w istocie wykonane ze złota.

Zaś sześcioro dzieci kagana... Nesryn potrafiła nazwać każde z nich po imieniu.

Na pokładzie okrętu Chaol pilnie przyswajał informacje odnośnie do celu ich podróży i dziewczyna nie miała wątpliwości, że i on to potrafił.

Ale nie tak to spotkanie miało przebiegać.

Podczas podróży Nesryn opowiedziała swemu byłemu kapitanowi wszystko o swej ojczyźnie, a on w zamian wprowadził ją w tajniki protokołu dworskiego. Rzadko kiedy był bezpośrednio zaangażowany w spotkania na szczycie, ale służąc swemu władcy, niejedno widział i niejedno słyszał.

Obserwował grę, w której teraz miał odegrać główną rolę. Grę, która toczyła się o niezwykle wysoką stawkę.

Czekali w milczeniu, aż kagan zabierze głos.

Idąc korytarzami i salami, Nesryn robiła wszystko, by nie rozglądać się z podziwem wokół. Podczas swoich wcześniejszych wizyt w Antyce nigdy nie postawiła nogi w pałacu podobnie jak jej ojciec, ojciec jego ojca i każdy z ich przodków. W tym mieście bogów pałac kagana był najświętszą

świątynią i jednocześnie najgroźniejszym labiryntem.

Siedzący na tronie kagan ani drgnął.

Był to nowszy, szerszy tron, który liczył sobie sto lat. Poprzedni został wyrzucony przez siódmego kagana, ponieważ jego ogromne rozmiary okazały się dla niego za małe. Wedle podań zjadł się i zapił na śmierć, ale przynajmniej miał tyle zdrowego rozsądku, by wyznaczyć dziedzica, zanim złapał się za pierś i osunął martwy na tymże właśnie tronie.

Urus, rządzący obecnie kagan, nie mógł mieć więcej niż sześćdziesiąt lat i na pierwszy rzut oka był w o wiele lepszej kondycji. Jego włosy, ongiś kruczoczarne, od dawna były równie białe jak jego siedzisko, a jego pomarszczoną cerę znaczyły blizny, które przypominały, że w ostatnich dniach życia swej matki został zmuszony do walki o tron. Onyksowe oczy, wąskie i lekko skośne, lśniły niczym gwiazdy. Kagan czuwał i wszystko widział.

Na jego śnieżnobiałych włosach nie było korony. Wszak bogowie kroczący wśród śmiertelników nie potrzebują symboli swej boskiej władzy.

Za tronem zwisały pasma białego sukna, przywiązane do otwartych okien, łopoczące lekko na gorącym wietrze. Nesryn nie miała pojęcia, kto odszedł, ale bez wątpienia był to ktoś ważny, a białe sukno wskazywało, iż myśli kagana oraz jego rodziny towarzyszą duszy zmarłego, zmierzającej ku Wiecznym Błękitnym Niebiosom i Drzemiącej Ziemi. Władcy imperium nie uchybiali tej tradycji, tak jak szanowali wszystkich trzydziestu sześciu bogów, wyznawanych przez ich poddanych.

Kagan był zapewne gotów przyjąć do panteonu również tych, którzy cieszyli się popularnością na niedawno zawładniętych ziemiach. Musiało być ich trochę – wszak Urus zasiadał na tronie od trzydziestu lat i przyłączył do swego dominium kilka zamorskich królestw.

Na poznaczonych bliznami palcach kagan nosił bogate pierścienie z migoczącymi klejnotami, z których każdy reprezentował jedno zagarnięte państwo.

Mieli przed sobą wojownika, który olśniewał przepychem. Jego dłonie zsunęły się z poręczy tronu, wykonanych z kłów potężnych bestii żyjących na stepach w głębi kraju, i ułożyły się na podołku, skryte wśród fałd błękitnego jedwabiu, obszytego złotą nicią. Barwnik indygo pochodził z parnych, porośniętych bujnym lasem ziem na zachodzie, z Balruhn, skąd wywodzili się przodkowie Nesryn, aż jej pradziadek, wiedziony ciekawością i ambicją, wyruszył wraz ze swą rodziną przez góry, pustynie i równiny, by dotrzeć do miasta bogów na jałowej północy.

Rodzina Faliq od dawna trudniła się handlem, ale nie zajmowała się towarami luksusowymi. Na ich straganach sprzedawano zwykłe, ale dobre płótno i popularne przyprawy. Wuj Nesryn był nadal handlarzem i dzięki kilku zyskownym inwestycjom zgromadził spory majątek. Jego rodzina mieszkała teraz w pięknym domu w Antice. Bez wątpienia osiągnął więcej niż jej ojciec, który po przeprowadzce do Adarlanu podjął pracę piekarza.

– Rzadko się zdarza, by władca innego państwa wysyłał do mnie tak ważnych gości – odezwał się w końcu kagan. Przemówił w ich języku, a nie w halha, mowie powszechnej na Południowym Kontynencie. – Myślę, że trzeba to uznać za wielki zaszczyt.

Mówił z takim samym akcentem jak jej ojciec, ale w jego głosie brakowało ciepła i wesołości. Przemawiał jak człowiek, który nawykł do wydawania rozkazów i stoczył zacieklą walkę, by zasłużyć na swą koronę, a do tego kazał stracić dwóch braci, którzy okazali się beznadziejnymi nieudacznikami. Spośród pozostałych trzech jeden udał się na wygnanie, a dwóch pozostałych złożyło bratu przysięgę na wierność, po tym jak uzdrowiciele z Torre stwierdzili ich bezpłodność.

Chaol pochylił głowę.

– To my jesteście zaszczytzeni, Wielki Kaganie.

Nie użył tytułu „Wasza Królewska Mość”, gdyż ten był przewidziany dla królów i królowych. Nie istniał zresztą tytuł, który oddawałby należytą cześć władcy tak potężnemu poza tym, który nosili jego pierwsi przodkowie.

– My? – zadumał się kagan i przeniósł spojrzenie swych ciemnych oczu na Nesryn. – A co sądzi o tym twoja towarzyszka?

Nesryn opanowała ochotę, by znów się uklonić. Uświadomiła sobie, że Dorian Havilliard

stanowił całkowite przeciwieństwo tego człowieka, a Aelin Galathynius... Nesryn zadała sobie w myślach pytanie, czy młoda królowa nie ma więcej wspólnego z kaganem niż z Havilliardem.

„Za wcześnie na takie refleksje – pomyślała. – Aelin musi najpierw ująć z życiem z tej zawieruchy. Musi zasiąść na tronie”.

Odepchnęła od siebie te myśli, gdy uświadomiła sobie, że Chaol wpatruje się w nią z narastającym napięciem. Wiedziała, że nie stresują go słowa ani towarzystwo. Przygnębiał go sam fakt, że musi unosić głowę ku królowi-wojownikowi zasiadającemu na tronie z kości słoniowej. Czekał go ciężki dzień.

Nesryn pochyliła lekko głowę i rzekła:

– Jestem Nesryn Faliq, kapitan Gwardii Królewskiej Adarlanu. Przejęłam to stanowisko po lordzie Westfallu, który tego lata został wyniesiony przez króla Doriana do rangi Namiestnika.

Cieszyła się teraz, że lata spędzone w Rifthold nauczyły ją, by się nie uśmiechać, nie wzdygać i nie okazywać strachu. Cieszyła się, że umie mówić wyraźnie i ze spokojem, nawet jeśli kolana nadal jej drżały.

– Moja rodzina wywodzi się stąd, Wielki Kaganie – ciągnęła Nesryn. – Antica nadal włada skrawkiem mojej duszy. – Mówiąc to, ułożyła dłoń nad sercem, na czerwieni i złocie swego munduru, kolorach imperium, przez które jej rodzina nieraz czuła się zaszczytana i niechciana. – Wizyta w twym pałacu, Wielki Kaganie, to największy z zaszczytów w moim życiu.

Niewykluczone, że w istocie tak było. Gdyby zdołała znaleźć czas na wizytę u rodziny, która mieszkała w dzielnicy Runni, cichym zakątku pełnym ogrodów, zamieszkanym głównie przez kupców, jej wuj nie miałby co do tego wątpliwości.

Kagan jednakże uśmiechnął się lekko.

– Pozwól więc, że powitam cię w twojej prawdziwej ojczyźnie, pani kapitan.

Nesryn wyczuła raczej, niż ujrzała rozdrażnienie Chaola. Nie była pewna, co było jego przyczyną. Może fakt, że przedstawiła się tytułem, który kiedyś należał do niego. A może to, że przyznała się do innej ojczyzny.

Pochyliła ponownie głowę, by podziękować władcy.

– Zakładam, że przybyliście po to, by spróbować mnie wciągnąć w tę waszą wojenkę? – Kagan zwrócił się do Chaola.

– Przybyliśmy tu z rozkazu króla – odparł Chaol lapidarnie, choć w jego głosie zabrzmiała duma – i mamy nadzieję, że uda nam się rozpocząć nową erę pokoju i kwitnącego handlu.

Jedno z dzieci kagana, młoda kobieta z włosami niczym falująca noc i oczami pełnymi ognia spojrzała na stojącego obok niej mężczyznę, starszego być może o trzy lata, i skrzywiła się.

Czyli Hasar i Sartaq. Ona urodzona jako trzecia, a on jako drugi, oboje odziani w podobne, luźne spodnie, wyszywane tuniki i wspaniałe, sięgające kolan buty do jazdy konnej. Hasar nie należała do piękności, ale te oczy... Dziki płomień, który w nich tańczył, nadrabiał wszelkie niedostatki urody.

A Sartaq? Brat Hasar dowodził jeźdźcami ruków, należącą do jego ojca kawalerią zwaną *rukhin*.

Powietrzni jeźdźcy kagana od dawna zamieszkiwali wyniosłe Góry Tavan wraz ze swymi rukami – ogromnymi ptakami, które kształtem przypominały orły, ale były tak potężne, iż mogły poderwać z ziemi konia. Nie miały co prawda rozmiarów i miążdżącej wagi wyvern, których dosiadały Żelaznozębne, ale były szybkie, zwinne i sprytnie niczym lisy. Stanowiły wspaniałe rumaki dla legendarnych łuczniczków, którzy ich dosiadali.

Sartaq miał poważną twarz i rozłożyste ramiona. Stał wyprostowany i sprawiał wrażenie, jakby w uroczystych szatach czuł się równie nieswojo jak Chaol. Nesryn zadała sobie pytanie, czy jego ruk, Kadara, zasiadał właśnie na jednym z trzydziestu sześciu minaretów pałacu i przyglądał się przemykającym płochliwie służącym, niecierpliwie czekając na powrót swego pana.

To, że Sartaq był tutaj, oznaczało, że od dawna o wszystkim wiedzieli. Spodziewali się ich przybycia. Porozumiewawcze spojrzenia między bratem i siostrą zdradziły Nesryn wystarczająco wiele. Wyczytała z nich, że przynajmniej ich dwoje zawczasu omówiło przyczyny ich wizyty.

Sartaq przeniósł spojrzenie z siostry na Nesryn, która niemalże natychmiast spuściła wzrok. Miał

ciemniejszą skórę od pozostałych, co być może było rezultatem tysięcy godzin spędzonych wysoko nad ziemią, a jego oczy były niemalże czarne, bezdenne i nieprzeniknione. Nie licząc małego warkoczyka, który obwodził jego ucho, nosił rozpuszczone włosy, opadające poniżej muskularnej klatki piersiowej. Zafalowały lekko, gdy pozdrowił Nesryn skinieniem głowy, choć ta mogłaby przysiąc, że była w tym ironia.

Miała wrażenie, że w jego oczach są parą upokorzonych obdartusów z pospólstwa. Oto dumny Adarlan wysłał w poselstwie kapitana kalekę i jego następczynię z gminu. Być może zaszczyt, o którym mówił kagan, był jedynie zawołaną zniewagą.

Nesryn oderwała spojrzenie od księcia, choć czuła, że ten wciąż się jej przygląda.

– Przybywamy z darami od Jego Wysokości króla Adarlanu – odezwał się Chaol i obrócił na swym fotelu, by przywołać służących. Królowa Georgina oraz jej dwór przed wyjazdem do górskich posiadłości tej wiosny praktycznie splądrowali skarbiec, a były król przez ostatnie miesiące cichcem wyprowadził z niego sporo z tego, co pozostało. Przed wypłynięciem Chaola i Nesryn Dorian odwiedził krypty pod zamkiem, gdzie przechowywano fundusze królestwa. Nesryn nadal miała wrażenie, że słyszy jego niosące się echem przekleństwa, o wiele bardziej plugawe niż kiedykolwiek wcześniej, gdy odkrył, że zostały w nich właściwie tylko monety.

Aelin jednakże jak zwykle miała plan.

Nesryn stała obok młodego króla, gdy dziewczyna otworzyła dwa kufry w swych komnatach. W środku zamigotała biżuteria godna królowej. Ba, godna Królowej Zabójców.

„Ja mam wystarczające fundusze – odezwała się, gdy Dorian zaczął protestować. – Wręcz kaganowi nieco bogactw, z których Adarlan może być dumny”.

Przez następne dni Nesryn często się zastanawiała, czy Aelin z radością pozbyła się kosztowności, które nabyła jako zabójczyni. Wyglądało na to, że klejnoty z Adarlanu nigdy nie trafią do Terrasenu.

Królowa zaproponowała na odchodnym, by kosztowności przełożyć do czterech mniejszych kufrow, by wyglądało na to, że bogactw jest więcej. Służący rozstawiali je teraz na marmurowej posadzce i unosili wieka, a członkowie dworu przeciskali się, by zobaczyć, co znajduje się w środku.

Po sali poniosł się chór westchnień, gdy wszyscy ujrzeli migoczące klejnoty, złoto i srebro.

– To dar – oznajmił Chaol, widząc, że nawet kagan pochyla się, by przyjrzeć się kosztownościom.

– Dar od króla Adarlanu Doriana Havilliarda oraz Aelin Galathynius, królowej Terrasenu.

Na dźwięk drugiego z wymienionych imion księżniczka Hasar spojrzała na Chaola. Księżę Sartaq zerknął na ojca. Najstarszy syn, Arghun, zmarszczył brwi, wpatrując się w skrzynie.

Na tle swoich braci i sióstr Arghun wyróżniał się jako polityk, ukochany przez kupców i możnowładców kontynentu. Był mężczyzną szczupłym i wysokim, który miast gromadzić złoto i otaczać się luksusem, wolał zdobywać wiedzę. Zwano go Księciem Szpiegów. Podczas gdy jego dwaj bracia zyskali sławę niepokonanych wojowników, Arghun szkolił swój umysł, a w chwili obecnej nadzorował prace trzydziestu sześciu wezyrów ojca. Dlaczego więc miałby marszczyć brwi na widok takiego skarbu?

A miał przed sobą naszyjniki z diamentami i rubinami. Złote bransolety wysadzone szmaragdami. Kolczyki przypominające małe kandelabry szafirów i ametystów. Pyszenie wykute pierścienie, niektóre zdobione klejnotami wielkości jaskółczego jaja. Grzebienie, szpile i brosze. Okupione krwią. Kupione za krew.

Najmłodsze z obecnych w sali dzieci kagana, piękna, zgrabna dziewczyna o imieniu Duva, nachyliła się najniżej. Smukłą dłonią, którą zdobił gruby, srebrny pierścień z szafirem niemalże niepojętych rozmiarów, gładziła swój wydatny brzuch.

Była przypuszczalnie w szóstym miesiącu ciąży, choć jej powłóczyste szaty w ulubionym przez nią różu i fiolecie oraz drobna budowa mogły mylić. Niewątpliwie nosiła pierwsze dziecko, owoc zaaranżowanego małżeństwa z księciem pochodzącym z zamorskiej krainy na dalekim wschodzie. Państwo to graniczyło od południa z Doranelle, a jego władcy, świadomi kaprysów królowej Fae, woleli zabezpieczyć swą przyszłość sojuszem z wielkim imperium za morzem. Nesryn i inni zastanawiali się

często, czy to aby nie pierwsza próba rozszerzenia kaganatu na kolejne kontynenty.

Kapitan nie przyglądała się jednak długo życiu, które dojrzewało pod upierścienioną dłonią. Wiedziała bowiem, że jeśli któreś z braci bądź sióstr Duvy zasiądzie na tronie, jego pierwszym zadaniem po splodzeniu własnych potomków będzie wyeliminowanie każdego, kto stanowi zagrożenie dla jego rządów. Rozpocznie zaś od potomstwa tych braci i sióstr, którzy będą mieli największą ochotę na tron.

Nesryn zastanawiała się, jak Duva to zniesie. Ciekawa była, czy pokochała już dziecko rosnące w jej łonie, czy też była na tyle mądra, by wzbraniać się przed takimi uczuciami. Myślała też o tym, czy ojciec dziecka zrobiłby wszystko, by zapewnić mu bezpieczeństwo, gdyby jego życie było zagrożone.

Kagan w końcu rozparł się na tronie. Jego dzieci wyprostowały się, a dłoń Duvy opadła.

– Oto kosztowności – wyjaśnił Chaol – wykonane przez najwybitniejszych adarlańskich rzemieślników.

Kagan bawił się pierścieniem z cytrynem zdobiącym jego dłoń.

– Jeśli pochodzą ze skarbcza Aelin Galathynius, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Nesryn i Chaol zacisnęli zęby na ułamek sekundy. Wiedzieli – a raczej podejrzewali – że kagan miał szpiegów na całym świecie. Mieli też świadomość, że przeszłość Aelin może stanowić dla nich trudną przeszkodę.

– Ponieważ nie jesteś jedynie namiestnikiem władcy Adarlanu – ciągnął kagan – ale również ambasadorem Terrasenu, prawda?

– Prawda – przyznał Chaol.

Kagan uniósł się z ledwie zauważalną sztywnością, a jego dzieci natychmiast rozstąpiły się, by mógł zejść po stopniach złotego podwyższenia.

Największy spośród nich, rosły i najwyraźniej o wiele bardziej niepohamowany od milczącego, skupionego Sartaqa, wpatrywał się w tłum, jakby wszędzie wokół szukał ukrytych zagrożeń. Był to Kashin, czwarty w kolejności.

Sartaq dowodził rękami na niebach północy i centrum kraju, a Kashin stał na czele armii lądowych, głównie piechoty i kawalerii. Arghun sprawował władzę nad wezyrami, a Hasar, jeśli wierzyć plotkom, miała posłuch wśród admirałów floty. Niemniej Kashin wyróżniał się na tle rodzeństwa mniejszym wyrafinowaniem. Jego twarz była szeroka i płaska, a czarne włosy, splecione w zwykły warkocz, spływały na plecy. Był zdecydowanie przystojnym mężczyzną, ale trudno się było oprzeć wrażeniu, że żołnierskie życie zdążyło już go naznaczyć i uczynić człowiekiem szorstkim i gwałtownym, przez co być może wydawał się jeszcze bardziej pociągający.

Kagan zszedł z podwyższenia z szelestem ciągnących się za nim szat. Nesryn patrzyła, jak stąpa po zielonym marmurze, i z każdym jego krokiem coraz dobitniej uświadamiała sobie, że idący ku niej mężczyzna niegdyś rozciągnął władzę nie tylko nad rękami na niebie, ale również ogromnymi formacjami kawalerii, a nawet przeciągnął flotę na swoją stronę. Gdy jego matka umierała na wyniszczającą chorobę, której nawet uzdrowiciele z Torre nie byli w stanie zatrzymać, Urus starł się ze swoim starszym bratem w pojedynku na śmierć i życie. Jego zwycięzca miał zasiąść na tronie.

Poprzednia kagan uwielbiała przedstawienia i zadecydowała, że wybrani synowie stoczą swą walkę w amfiteatrze w środku miasta. Wstęp był wolny dla każdego, kto tylko zdołał wdrzeć się do środka, by zająć dla siebie miejsce. Ludzie siedzieli na schodach i łukowatych zwieńczeniach bram, a kolejne tysiące tłoczyły się na ulicach. Na wielkich słupach okalających najwyższy poziom amfiteatru przysiadły ruki z jeźdźcami, a inne krążyły nad areną.

Dwóch kandydatów do tronu walczyło przez sześć godzin.

Zmagali się nie tylko ze sobą, ale też z koszmarami, które przygotowała dla nich matka. Z wielkich klatek, które wylaniały się niespodziewanie spod posypanej białym piaskiem areny, wyskakiwały potężne koty, a z mroku tuneli wyjeżdżały na nich rydwany z kołami zbrojnymi w obracające się ostrza. Ich woźnice ciskali w walczących włóczykami. Ojciec Nesryn znajdował się wśród owładniętych szaleństwem ludzi na ulicach i słuchał raportów wykrzykiwanych przez tych, którzy wspięli się na kolumny.

Ostatni cios nie był bynajmniej zwieńczeniem brutalnej rozprawy czy też wyrazem nienawiści.

Orda, starszy brat panującego obecnie kagana, nie zauważył włóczy, ciśniętej przez wojownika na rydwanie. Jej cios powalił go ostatecznie po sześciu godzinach krwawej bitwy.

Wówczas Urus odłożył swój miecz. Wokół areny zapadło milczenie. W absolutnej ciszy mężczyzna wyciągnął zakrwawioną dłoń w stronę powalonego brata, chcąc mu pomóc.

Wtedy Orda wy dobył ukryty sztylet i cisnął nim prosto w serce przeciwnika.

Chybił nieznacznie.

Raniony Urus wrzasnął z bólu, wyszarpnął broń ze swego ciała i rzucił nią w brata. W przeciwieństwie do niego nie chybił.

Nesryn zastanawiała się, czy na klatce piersiowej idącego ku nim kagana nadal widnieje blizna. Często rozmyślała nad tym, czy nieżyjąca już kagan oplakała śmierć starszego syna w zaciszu swych komnat. A może nigdy nie zdobyła się na to, by pokochać swe dzieci, wiedząc, jaki los jest im pisany.

Urus, Kagan Południowego Kontynentu, zatrzymał się przed Nesryn i Chaolem. Przewyższał dziewczynę o pół głowy. Mimo wieku nadal trzymał się prosto i miał barczyste ramiona, choć gdy pochylił się nad jednym z kufrów, w jego ruchach dało się zauważyć pierwsze symptomy starczej sztywności. Podniósł naszyjnik z diamentami i szafirami, który w jego poznaczonej bliznami dłoni wyglądał jak mieniąca się rzeka.

– Mój najstarszy syn Arghun – odezwał się, wskazując ruchem podbródka wysokiego, czujnego młodzieńca – niedawno przedstawił mi kilka fascynujących faktów na temat królowej Aelin Ashryver Galathynius.

Nesryn czekała na uderzenie. Chaol bez mrugnięcia powieką wytrzymał spojrzenie Urusa.

Niemniej jednak w czarnych oczach kagana – takich samych jak u Sartaqa, co uświadomiła sobie Nesryn – zatańczyły iskierki rozbawienia.

– Pojawienie się dziewiętnastoletniej królowej – władca zwrócił się do Chaola – powinno budzić niepokój wielu ludzi. Dorian Havilliard nie jest dużo starszy, ale przynajmniej od dziecka był szkolony w rządzeniu. Wie, jak zapanować nad dworem i sterować królestwem po przejęciu tronu. Aelin Galathynius zaś...

Kagan wrzucił naszyjnik z powrotem do kufra. Brzęknął równie głośno jak klinga miecza odbijająca się od kamienia.

– Pewnie wielu ludzi pomyśli sobie, że dziesięć lat zabijania na zlecenie to również jakaś forma doświadczenia.

Dookoła sali tronowej znów poniosły się szepty. Ogniste oczy Hasar niemalże lśniły. Twarz Sartaqa pozostała nieporuszona, czego być może nauczył się od najstarszego brata. Jego szpiedzy, nawiasem mówiąc, musieli w istocie dysponować nie byle jakim talentem, skoro poznali przeszłość Aelin. Sam Arghun wyglądał, jakby miał wielką ochotę uśmiechnąć się przebiegle.

– Może i oddziela nas Wąskie Morze – rzekł kagan do Chaola, którego twarz nawet nie drgnęła – ale nawet my usłyszeliśmy o Celaenie Sardothien. Przynosisz mi klejnoty, które bez wątpienia należały do jej kolekcji. Wręczasz je mnie, kiedy moja córka Duva – zerknęła na ciężarną dziewczynę stojącą obok Hasar – nie otrzymała jeszcze daru ślubnego ani od waszego nowego króla, ani też od odnalezionej królowej. Tymczasem każdy inny władca obdarował ją prawie pół roku temu.

Nesryn zatuszowała grymas. Było to w istocie ogromne przeoczenie, które można by usprawiedliwić wieloma faktami, ale żadne z nich nie miało w sobie odwagi, by je teraz przedstawić. Chaol milczał, nie próbując nawet się tłumaczyć.

– Mimo to – podjął kagan – choć przybywacie tu i rzucacie mi pod nogi klejnoty niczym worki z ziarnem, wolałbym chyba usłyszeć prawdę. Zwłaszcza po tym, jak Aelin Galathynius strzaskała wasz szklany zamek, zamordowała poprzedniego króla i przejęła stolicę.

– Skoro księżę Arghun jest tak dobrze poinformowany – odezwał się po chwili Chaol z niezmaconym spokojem – być może nie muszę już nic mówić.

Jego wyzywająca postawa i ton głosu wywołały u Nesryn dreszcz lęku.

– Być może w istocie tak jest – odezwał się kagan, a Arghun zmrużył lekko oczy. – Ale myślę, że powinieneś usłyszeć ode mnie kilka prawd.

Chaol bynajmniej się tego nie domagał i nie wydawał się również nimi zainteresowany.

– Doprawdy? – spytał.

Kashin zeszywniał, czym zdradził, iż jest najwierniejszym obrońcą kagana. Arghun wymienił spojrzenia z jednym z wezyrów i obdarzył Chaola wzrokiem żmii gotowej do ataku.

– Opowiem ci o tym, po co tu przybyłeś, lordzie Westfall i Królewski Namiestniku.

Jedynie mewy, kołujące wysoko nad kopułą sali tronowej, ośmieliły się zakłócać ciszę. Kagan zatrząskiwiał jedno wieko po drugim.

– Myślę, że przybyliście tu po to, by namówić mnie do przyłączenia się do wojny. Adarlan jest podzielony, a Terrasen spustoszony. Ci z możnowładców, którym udało się przeżyć, nie będą mieli zbytnej ochoty walczyć dla niedoświadczonej królowej, która przez dziesięć lat opływała w luksusy i kupowała sobie klejnoty za krwawe pieniądze. Lista waszych sojuszników jest krótka i krucha, a księżę Perrington dysponuje wielkimi armiami. Pozostałe królestwa na waszym kontynencie również są rozbite i oddzielone od Terrasenu przez wojska księcia. Przybyłeś więc tu na skrzydłach ośmiu wiatrów, by prosić mnie o wysłanie armii na wasze brzegi. By namówić mnie do przelewania krwi za przegraną sprawę.

– Niektórzy uznaliby tę sprawę za szlachetną – zripostował Chaol.

– Jeszcze nie skończyłem. – Kagan uniósł rękę.

Chaol najeżył się, ale umilkł. Serce Nesryn waliło jak młotem.

– Gdyby spytać moich doradców – kagan machnął wzniesioną dłonią ku wezyrom oraz Arghunowi i Hasar – wielu rzekłoby, iż należy trzymać się od tego z daleka. Ba, lepiej byłoby wręcz sprzymierzyć się z siłą, która ma zdecydowanie większe szanse na zwycięstwo, a przez ostatnich dziesięć lat prowadziła z nami zyskowny handel. – Zatoczył dłonią łuk, wskazując kolejnych mężczyzn i kobiety w złotych szatach wezyrów, a także Sartaqa, Kashina i Duvę. – Inni powiedzieliby, że sojusz z Perringtonem to ryzyko, bo kiedyś możemy ujrzyć jego potężne armie w naszych portach. Że ongiś upokorzone królestwa Eyllwe i Fenharrow pod nowymi rządami mogą odzyskać swój splendor i na nowo napełnić nasze kufry złotem. Nie wątpię, iż usłyszę od was taką obietnicę. Zaproponujecie mi zyskowne umowy handlowe, przypuszczalnie stratne dla was, ale powoduje wami desperacja. Nie macie niczego, czego sam bym nie miał. Lub czego nie potrafiłbym odebrać, gdybym zechciał.

Chaol na szczęście nadal się nie odzywał, ale w jego ciemnych oczach wrzał gniew, wywołany cichą groźbą.

Kagan zajrzał do czwartej, wciąż otwartej skrzyni, w której znajdowały się wysadzane klejnotami grzebienie i szczołki oraz zbytkowe buteleczki perfum, dzieło najlepszych szklarzy Adarlanu. Tych samych, którzy wzniesli zamek strzaskany przez Aelin.

– A więc przybyliście, by przekonać mnie do poparcia swej sprawy. Rozważę to podczas waszego pobytu, tym bardziej że bez wątpienia przywiodła was tu również inna przyczyna.

Poznaczona bliznami, ciężka od pierścieni dłoni wskazała fotel, na którym siedział Chaol. Na opalonych policzkach mężczyzny pojawił się rumieniec, ale nawet nie drgnął. Nesryn również zmusiła się do okazania całkowitej obojętności.

– Arghun poinformował mnie o tym, że twe obrażenia są świeże, a odniosłeś je podczas eksplozji szklanego zamku. Wygląda na to, że królowa Terrasenu nie zawsze pamięta o tym, by w porę osłonić swoich sojuszników.

Wszyscy, od księżąt aż po służących, wpatrywali się w nogi Chaola. Mięsień drgnął na jego szczęce.

– Wasze stosunki z Doranelle są teraz napięte, również dzięki Aelin Galathynius, przez co Antica staje się jedynym miejscem, w którym możesz szukać dla siebie pomocy. Mam na myśli Torre Cesme.

– Kagan wzruszył przy tych słowach ramionami, jak zwykł to czynić za młodu, gdy był jeszcze zuchwałym wojownikiem. – Moja ukochana żona byłaby głęboko poruszona, gdybym odmówił poszkodowanemu człowiekowi szansy na wyleczenie – oznajmił, a Nesryn z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że nigdzie nie widzi cesarzowej. – Oczywiście udzielę wam zgody na wejście do Torre, ale nie mogę zagwarantować, czy uzdrowiciele zechcą się tobą zająć. Nawet ja nie jestem w stanie narzucić



swej woli jej mieszkańcom.

Torre, zwana również po prostu Wieżą, znajdowała się na południowym skraju Antiki. Wyrastała ze szczytu największego wzgórza, łagodnie opadającego ku zielonemu morzu, skąd dominowała nad całym miastem. Była siedzibą owianych sławą uzdrowicieli i pomnikiem ku czci Silby, bogini uzdrowicielki. Wśród trzydziestu sześciu bogów, których imperium przyjęło do swego panteonu na przestrzeni dziejów, Silba zajmowała najważniejszą pozycję i nikt nie był w stanie zagrozić jej panowaniu.

Chaol wyglądał, jakby właśnie przełknął gorący węgielek, ale zdołał pochylić głowę.

– Dziękuję ci za twą hojność, Wielki Kaganie.

– Odpocznijcie po podróży. Przekażę uzdrowicielom, że będziesz gotów jutro rano. Skoro sam nie możesz się do nich udać, ktoś z nich przyjdzie do ciebie. O ile się zgodzą.

Palce Chaola drgnęły na kolanie, ale powstrzymał odruch zaciśnięcia pięści. Nesryn nadal wstrzymywała oddech.

– Jestem do ich dyspozycji – wykrztusił Chaol przez ściśnięte gardło.

Kagan zatrzasnął wieko ostatniego kufra.

– Możesz zatrzymać swe prezenty, Królewski Namiestniku i ambasadorze Aelin Galathynius.

Nie są mi do niczego potrzebne i nie zainteresowały mnie.

Chaol poderwał głowę, jakby zirytowało go coś w głosie kagana.

– Dlaczego?

Nesryn z trudem zamaskowała zdrygnięcie. W oczach kagana błysnęło zaskoczenie oraz gniew, a jego dzieci spojrzęły po sobie, co zdradziło dziewczynie, że Chaol przesadził. Nikt nigdy nie ośmielił się wypowiedzieć do władcy słów, które brzmiały jak żądanie.

Nesryn jednakże dostrzegła w oczach kagana jeszcze coś. Znużenie.

Po jej plecach spłynął zimny dreszcz, gdy znów pomyślała o białych proporcach spływających z okien w całym mieście. Spojrzała na dziedziców tronu i przeliczyła ich ponownie.

Pięcioro. Nie sześcioro, ale pięcioro.

Z niemal każdego okna królewskiego pałacu zwisało białe sukno, podobnie było w całym mieście. Mieszkańcy Południowego Kontynentu nie zwykli długo opłakiwać swych zmarłych, a na pewno nie tak, jak się to odbywało w Adarlanie, gdzie wszyscy ubierali się na czarno i smucili się przez długie miesiące. Nawet w rodzinie kagana życie wkrótce znów ruszało naprzód, a zmarłych nie zamykano w trumnach czy katakumbach, lecz owijano w biel i pozostawiano pod otwartym niebem w odległej, odciętej od reszty świata enklawie na dalekich stepach.

„Są tu tylko najstarsi – uświadomiła sobie Nesryn. – Nie ma Tumelun, która liczyła sobie zaledwie siedemnaście lat”.

Jej domysł potwierdził po chwili sam kagan, który rzekł do Chaola:

– Wasi szpiedzy są doprawdy beznadziejni, jeśli o niczym nie wiecie.

Po tych słowach wrócił na tron. Wystąpił Sartaq, którego bezdenne spojrzenie wypełnił smutek i żal. Skinął lekko ku Nesryn. A więc to prawda. Nie pomyliła się.

Mocny, przyjemny głos Sartaqa poniósł się po sali:

– Nasza ukochana siostra Tumelun zmarła nieoczekiwanie trzy tygodnie temu.

„Och, na bogów...”.

W istocie nie mieli o niczym pojęcia. Przybyli do królestwa, które dopiero co zakończyło rytuały pogrzebowe i jeszcze nie podniosło się z żałoby. Proślenie ich władcy o pomoc w wojnie było wysoce niestosowne, wręcz niegodziwe...

– Przyjmijcie nasze najgłębsze kondolencje – rzekł pośród absolutnej ciszy Chaol, spoglądając kolejno na każdego księcia i każdą księżniczkę, a na końcu na samego kagana, patrzącego nań ze znużeniem.

– Niech północne wiatry uniosą ją ku lepszym krainom – szepnęła Nesryn.

Dzieci władcy stały nieporuszone, a ich twarze były ściągnięte, zimne. Jedyne Sartaq podziękował im skinieniem.

Nesryn przeniosła wzrok na Chaola. Jej spojrzenie było niemym ostrzeżeniem, by nie pytał o okoliczności śmierci. Odczytał emocje z jej twarzy i skinął głową.

Kagan skrobał palcem jakąś plamkę na swoim tronie z kości słoniowej. Cisza unosząca się nad salą była ciężka niczym płaszcz noszony przez konnych wojowników na północnych stepach dla ochrony przed nieubłagany wiatrem.

– Przez ostatnie trzy tygodnie nie schodziliśmy z pokładu okrętu – próbował wyjaśnić Chaol, tym razem łagodniejszym głosem.

Kagan nawet nie udawał wyrozumiałości.

– Co w sumie wyjaśnia, dlaczego nie macie pojęcia o innych wydarzeniach. Te zimne klejnoty bardziej przydadzą się wam niż mnie. – Jego usta wykrzywił uśmiech pozbawiony wesołości. – Arghun rozmawiał dziś ze swoim wysłannikiem, który tego poranka również zszedł na ląd. Możecie zapomnieć o królewskim skarbcu w Rifthold. Księżę Perrington i jego zastępy latających potworów splądrowali miasto.

Nesryn miała wrażenie, że przygniata ją pusta, dudniąca cisza. Nie była pewna, czy Chaol jeszcze oddycha.

– Nie wiemy, gdzie się znajduje król Dorian, ale oddał miasto wrogom. Jeśli wierzyć plotkom, umknął w noc. Miasto upadło i wszystkie ziemie na południe od Rifthold znalazły się w posiadaniu Perringtona i jego wiedzów.

Przed oczami Nesryn stanęły twarze jej siostrzeńców i siostrzenic, potem ujrzała oblicze siostry i ojca. Zobaczyła ich kuchnię oraz piekarnię. Gruszkowe tarty studzące się na długim, drewnianym stole.

Dorian ich porzucił. Uciekł, ale po co? By znaleźć pomoc? Ratować życie? Odszukać Aelin? Czy Gwardia Królewska również opuściła stanowiska? Czy ktokolwiek walczył o życie niewinnych mieszkańców miasta?

Dłonie jej drżały. Nie przejmowała się tym, co pomyślą sobie ludzie dookoła niej. Niech szydzą, niech się uśmiechają.

Dzieci jej siostry, największa radość w jej życiu...

Chaol patrzył na nią. Jego twarz była całkowicie pusta. Nie było na niej wstrząsu, nie było rozpaczy. Nic.

Czerwono-złoty mundur stał się przyciasny. Zaczynał dusić.

Wiedźmy i wywerny w jej mieście. Potwory ze szponami i żelaznymi zębami, tnące, rozszarpujące, atakujące.

Jej rodzina... Jej rodzina...

– Ojcie. – Sartaq ponownie wystąpił naprzód. Jego onyksowe oczy omiały raz ją, raz władcę. – Nasi goście mają za sobą długą podróż. Zostawmy politykę na inną okazję – dodał i spojrzał z niechęcią na Arghuna, który wydawał się rozbawiony przyniesionymi wieściami. Cieszyło go to, że rozkołysał podłogę z zielonego marmuru, na której stali jego goście. – Przecież nadal jesteśmy narodem, który słynie z gościnności. Niech odpoczną kilka godzin, a potem zasiądą z nami do kolacji.

Hasar podeszła do Sartaqa, spoglądając z niechęcią na Arghuna. Trudno było stwierdzić, czy pragnie w ten sposób zbesztać brata, czy może jest zła na niego, że nie przekazał wieści jej jako pierwszej.

– Nie dopuścimy do tego, by ktokolwiek znalazł powód, aby narzekać na naszą gościnę – oznajmiła.

Jej słowa były ujmujące, ale ton głosu chłodny i obojętny. Ojciec patrzył na nich nieco zdeprymowany.

– Otóż to – rzekł i skinął na służących, którzy stali przy przeciwległych kolumnach. – Zaprowadźcie gości do komnat i wyślijcie posłańca do Torre z zapytaniem, czy najlepsza spośród uzdrowicielek, Hafiza, zechciałaby nas odwiedzić.

Nesryn nie słyszała reszty poleceń. Jeśli wiedźmy opanowały miasto, nie będzie już komu walczyć z Valgami, którzy załęgali się tam na początku lata. Nie było komu chronić jej rodziny, o ile ktokolwiek przeżył.

Nie mogła oddychać, nie mogła myśleć.

Niepotrzebnie wyjeżdżała. Powinna była zostać! Nie powinna była przyjmować awansu. Przecież oni wszyscy mogli już nie żyć bądź właśnie konać.

A co, jeśli umarli? Jeśli nie żyją?

Nie zauważyła nawet służącej, która popchnęła fotel Chaola, ledwie zarejestrowała palce swego towarzysza, które oplotły jej dłoń. Nawet nie ukloniła się kaganowi, gdy wychodzili z sali tronowej.

Wciąż widziała ich twarze.

Dzieci. Uśmiechnięte dzieci jej siostry z pękatymi brzuskami.

Powinna była zostać.

3.

Nesryn była w szoku, a Chaol nie mógł podejść do niej, objąć jej ani przytulić do swej piersi. Nie mógł, gdyż dziewczyna, milcząca i zimna niczym upiór, weszła do sypialni ich zbytkownego apartamentu na pierwszym piętrze pałacu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Sprawiała wrażenie, jakby nic na świecie nie miało już dla niej znaczenia.

Nie winił jej.

Pozwolił, by służąca – zgrabna młoda dziewczyna z kasztanowymi włosami, które w ciężkich lokach opadały aż po wąską talię – wprowadziła go do sąsiedniej sypialni. Okna komnaty wychodziły na ogród pełen drzew owocowych, bulgoczących fontann i kaskad różowych i fioletowych kwiatów, wylewających się z donic stojących na balkonie nad nimi. Ich gęste pnącza niczym żywa zasłona przesłaniały okna i drzwi balkonowe.

Służąca bąknęła coś o kąpieli – nie władała ich językiem tak dobrze jak kagan i jego dzieci, ale Chaol był daleki od jakiegokolwiek krytyki. Wszak sam nigdy nie opanował w pełni żadnego języka poza ojczystym.

Wślizgnęła się za rzeźbiony, drewniany parawan, który bez wątpienia wiódł do jego pokoju łazienkowego, a Chaol wyrzwał z komnaty. Po drugiej stronie przedpokoju wyłożonego jasnym marmurem widział zatrzaśnięte drzwi do sypialni Nesryn.

Nie powinni byli wyjeżdżać. Nie byłby w stanie wiele zdziałać podczas ataku, ale... Niewiedza była czymś strasliwym. Widział, jakie pustki poczyniła w sercu Nesryn, i czuł, że sam nie znosi jej lepiej.

Dorian przeżył, wmawiał sobie. Wydostał się. Uciekł. Dowiedzieliby się przecież, gdyby znalazł się w szponach Perringtona, czy raczej Erawana. Książę Arghun wiedziałby o wszystkim.

Jego miasto zostało splądrowane przez wiedźmy.

Zastanawiał się, czy to Manon Czarnodzioba poprowadziła atak. Chaol przypomniał sobie wszystkie spotkania z Przywódczynią Skrzydła i próbował ustalić, kto jest czyim dłużnikiem. Aelin darowała Manon życie w świątyni Temis, a wiedźma przekazała im istotne informacje o Dorianie zniewolonym przez Valgów. Czy ich porachunki zostały wyrównane? Czy ich wspólna przeszłość zbliżyła ich do siebie na tyle, by mogli się nazywać sojusznikami?

Nie było sensu żywić nadziei, że Manon zwróci się przeciwko Morath. Chaol odmówił jednak w duchu modlitwę do każdego boga, który miałby ochotę go słuchać, by chronił jego króla i bezpiecznie doprowadził go do przyjaźniejszych portów.

Wierzył w to, że Dorianowi się uda. Był zbyt sprytny i obdarzony zbyt wielką mocą, by ponieść porażkę. Z żadną inną alternatywą Chaol nie chciał się godzić.

„Dorian żyje i jest bezpieczny. Albo właśnie zmierza do bezpiecznego miejsca” – powtórzył w myślach i obiecał sobie, że przy pierwszej dogodnej okazji spróbuje wycisnąć więcej informacji z najstarszego księcia. Nie interesowało go, czy Arghun jest w żałobie, czy też nie. Musiał się dowiedzieć wszystkiego, co wiedział książę. Potem zaś poprosi ową służącą, by przepytala załogi wszystkich statków w porcie i dowiedziała się jak najwięcej o ataku.

Nie padło ani jedno słowo o Aelin. Nikt nie wspominał o tym, gdzie była i co robiła. Aelin, która równie dobrze mogła zaprzepaścić jego szanse na ten sojusz.

Pochylił głowę, zacisnął zęby i trwał w tej pozycji dłuższą chwilę, aż otworzyły się drzwi i do środka wtargnął wysoki, barczysty mężczyzna. Szedł krokiem człowieka, który włada tym miejscem, co jak uzmysłowił sobie Chaol, pewnie było prawdą.

Książę Kashin przybył sam i nie miał przy sobie broni, choć poruszał się z pewnością siebie człowieka, który głęboko wierzy w swe zdolności oraz siłę.

„Ja też tak kiedyś kroczyłem po korytarzach Rifthold” – pomyślał Chaol.

Pochylił głowę, witając nieoczekiwanego gościa, a ten zatrzasnął drzwi i otaksował go uważnie spojrzeniem od stóp do głów, jak to zwykł czynić wojownik, który spotyka innego wojownika. Gdy brązowe oczy napotkały wreszcie wzrok Chaola, książę odezwał się w mowie Adarlanu:

– Kalectwo tego typu nie jest tu niczym nadzwyczajnym. Widziałem wielu takich jak ty,

zwłaszcza wśród plemion jeźdźców. Stamtąd wywodzi się moja rodzina.

Chaol nie miał ochoty rozmawiać o tym, co mu się przytrafiło, ani z księciem, ani z kimkolwiek innym. Pokiwał więc głową i powiedział:

– Tak, z całą pewnością.

Kashin przechylił głowę i raz jeszcze mu się przyjrzał. Ciemny warkocz zsunął się za muskularne ramię. Być może domyślił się, że Chaol woli nie poruszać tego tematu, gdyż rzekł:

– Mój ojciec rzeczywiście życzy sobie, byście oboje dołączyli do nas przy kolacji. Co więcej, pragnie, byście nam towarzyszyli każdego wieczoru. Zajmiecie miejsca przy stole na podwyższeniu.

Dygnitarz odwiedzający ościenne mocarstwo często otrzymywał tego typu zaproszenie. Posiłek zjedzony przy stole kagana sam w sobie był ogromnym zaszczytem, ale dlaczego władca wysłał syna, by przekazał jego wolę? Chaol starannie przemyślał swoją odpowiedź, ale ostatecznie zdecydował się na największą oczywistość:

– Dlaczego?

Przecież krewni kagana po utracie najmłodszego członka rodziny na pewno chcieli spędzić kilka chwil we własnym gronie. Chaol nie widział powodu, dla którego mieliby zapraszać kogoś obcego do stołu.

Księżę zacisnął zęby. Najwidoczniej, w przeciwieństwie do starszego rodzeństwa, nie miał wprawy w maskowaniu uczuć.

– Arghun donosi, że w naszym pałacu nie ma szpiegów księcia Perringtona. Nie podzielam tego przekonania. A Sartaq... – Kashin urwał na moment, jakby nie chciał mieszać we wszystko swego brata i potencjalnego sojusznika, po czym skrzywił się. – Nie bez powodu zdecydowałem się żyć wśród żołnierzy – dodał. – Wszystkie te dworskie intrygi...

Chaol miał wielką ochotę przyznać, że się z nim zgadza, gdyż podobne wrażenie towarzyszyło mu przez całe życie, ale zamiast tego spytał:

– Sądzisz, że szpiegzy Perringtona przeniknęli jednak na wasz dwór?

Ile tak naprawdę Kashin czy Arghun wiedzieli o Perringtonie i jego podwładnych? Czy znali prawdę o królu Valgów, który zamieszkał w ciele księcia, oraz o dowodzonych przez niego armiach rodem z najgorszego koszmaru? Postanowił na razie zachować tę wiedzę dla siebie. Być może, jeśli kagan i Arghun nie mieli o tym pojęcia, zdoła ją w jakiś sposób wykorzystać.

Kashin potarł się po szyi.

– Nie wiem, czy to jest ktoś od Perringtona, czy też z Terrasenu, Melisande czy Wendlyn. Wiem tylko, że moja siostra nie żyje.

Serce Chaola na moment przestało bić, ale zebrał się na odwagę i spytał:

– Jak do tego doszło?

W oczach księcia wojownika zamigotał żal.

– Tumelun była zawsze niesforną dziewczyną, nieco dziką i niespokojną. Często popadała w skrajne nastroje. Jednego dnia była szczęśliwa i roześmiana, a kolejnego zamknięta w sobie i zrezygnowana. Ludzie mówią... – Urwał na moment i przełknął ślinę. – Mówią, że z tego właśnie powodu zeskoczyła z balkonu. Duva i jej mąż znaleźli ją późnym wieczorem.

Śmierć w rodzinie zawsze była strasznym przeżyciem, ale samobójstwo...

– Przykro mi – rzekł cicho Chaol.

Kashin potrząsnął głową. Blask słońca z ogrodu odbił się od jego czarnych włosów.

– Nie wierzę w to. Moja Tumelun nigdy by nie skoczyła z balkonu.

Moja Tumelun. Te słowa wystarczyły, by opisać więź, która łączyła księcia z siostrą.

– Podejrzewasz więc jakąś nieczystą grę?

– Wiem tylko tyle, że jej nastroje nie miały znaczenia. Znałem ją. Znałem ją równie dobrze jak własne serce. – Kashin nakrył pierś dłonią. – Ona nigdy nie targnęłaby się na własne życie.

– Jest mi niezmiernie przykro z powodu twojej straty – Chaol wypowiedział starannie przemyślane słowa – ale czy masz jakiś powód, by podejrzewać obce królestwo o zorganizowanie zamachu? Dlaczego mieliby to zrobić?

Kashin przeszedł kilka kroków.

– Nikt z naszych rodaków nie byłby na tyle głupi.

– Cóż, nikt w Terrasenie czy Adarlanie również by się na to nie powazył, nawet jeśli korzyścią byłoby przeciągnięcie was na naszą stronę w wojnie.

Kashin przyglądał mu się przez jedno uderzenie serca.

– Nawet królowa, która kiedyś sama była zabójczynią?

Chaol nie zdradził ani śladu emocji.

– Aelin była zabójczynią, to prawda, ale od zawsze wyznaczała sobie granice, których nigdy nie przekroczyła. Zabijanie bądź kaleczenie dzieci zajmuje pierwszą pozycję na jej liście.

Kashin zatrzymał się przed komodą i poprawił pozłacane pudełko stojące na wypolerowanej, czarnej powierzchni.

– Wiem. Czytałem o tym w raporcie przedstawionym mojemu bratu. Opisano tam szczegółowo jej metody działania.

Chaol mógłby przysiąc, że księżę zadrzał, nim dodał:

– Wierzę ci.

Bez wątplenia właśnie z tego powodu mężczyzna prowadził z nim tę rozmowę.

– A to skraca listę kandydatów do zamachu. Perrington zaś znajduje się na pierwszym miejscu.

– Ale dlaczego ktoś miałby zabijać twoją siostrę?

– Nie wiem. – Kashin zrobił jeszcze kilka kroków. – Była młoda, prostoduszna, jeździła wraz ze mną z Darghanami, jeźdźcami z klanu naszej matki. Nie miała jeszcze własnej *sulde*.

Chaol zmarszczył brwi. Widząc to, księżę pospieszył z wyjaśnieniami:

– To włócznia, którą dzierżą wszyscy wojownicy Darghanów. Tuż pod ostrzem zawiązujemy pasma włosów naszego ulubionego konia. Nasi przodkowie wierzyli w to, że owe pasemka, unosząc się na wietrze, wskazują miejsce, gdzie czeka na nas przeznaczenie. Niektórzy spośród nas nadal wierzą w takie rzeczy, ale nawet ci, którzy uważają to za zwykłą tradycję, nigdy się nie rozstają ze swą włócznią. W tym pałacu znajduje się dziedziniec, gdzie ja oraz moi bracia i siostry wbiliśmy swe *sulde*, by nawet tu, u boku ojca, oddawać je powiewom wiatru. Niemniej po śmierci... – W jego oczach znów pojawił się cień żalu. – Po śmierci jednego z nas jego włócznia staje się jedynym przedmiotem, który zatrzymujemy. Dusza wojownika Darghanów mieszka w niej po wsze czasy, przeto wbijamy ją w ziemię stepu w naszej świętej krainie. – Księżę zamknął oczy. – A jej dusza będzie błąkać się z wiatrem.

Nesryn powiedziała wcześniej coś podobnego.

– Bardzo mi przykro – powtórzył Chaol.

Kashin otworzył oczy.

– Niektórzy spośród moich braci i sióstr nie dzielają moich podejrzeń. Inni zgadzają się ze mną. Mój ojciec... Cóż, on jeszcze nie podjął decyzji. Matka jest wciąż pogrążona w głębokiej rozpacz i nie opuszcza swych komnat. Nie chcę nawet wspominać przy niej o moich domysłach, by... Nie, nie byłbym w stanie jej tego zrobić. – Potarł swą mocną szczękę. – Przekonałem więc ojca, by zaprosił was na wszystkie kolejne kolacje w ramach gestu dyplomatycznego. Chciałbym jednak, byś patrzył dookoła oczami człowieka z zewnątrz. Byś opowiadał mi o wszystkim, co wzbudzi twoje podejrzenia. Może zauważysz coś, czego my nie widzimy.

„A więc mam im pomóc – pomyślał Chaol. – A być może sam również w zamian otrzymam pomoc”.

– Jeśli pokładasz we mnie tak wielkie zaufanie i mówisz mi o tym wszystkim, dlaczego po prostu nie zgodzisz się poprzeć nas w wojnie? – spytał szorstko.

– Nie ja o tym decyduję. Nie ja wyciągam wnioski – odparł Kashin z dystansem doświadczonego żołnierza i rozejrzał się po apartamencie, jakby poszukiwał ukrytych tu wrogów. – Wyruszam do boju jedynie na rozkaz ojca.

Gdyby agenci Perringtona już się tu znaleźli, gdyby nie było wątpliwości, że to Morath stoi za śmiercią księżniczki... Cóż, to byłoby zbyt łatwe. Kagan bez wahania połączyłby siły z Dorianem i Aelin. Perrington, a raczej Erawan, był na to zbyt sprytny.

Ale jeśli Chaol właśnie stawał przed szansą przeciągnięcia dowódcy armii lądowych kagana na swoją stronę...

– Ja trzymam się z daleka od takich gier, lordzie Westfall – rzekł Kashin, rozszyfrowując blask w oczach Chaola. – Spróbuj zdobyć poparcie mojego rodzeństwa.

Chaol postukał palcami w poręcz krzesła.

– Czy miałbyś dla mnie jakieś rady w tym zakresie?

Kashin parsknął i uśmiechnął się lekko.

– Nie jesteś pierwszym, który o to pyta. To samo pytanie zadawali przed tobą już inni, przybysze z królestw o wiele bogatszych od twojego. Niektórym się to udało, innym nie.

Zerknął na nogi Chaola, a w jego oczach na moment błysnęło współczucie. Widząc to, mężczyzna zacisnął dłonie na poręczach fotela. Nie życzył sobie takich spojrzeń od człowieka, w którym widział wojownika.

– Mogę ci tylko życzyć powodzenia – rzekł książę i ruszył ku drzwiom, stawiając długie kroki.

– Jeśli Perrington ma tu agenta – odezwał się Chaol, gdy Kashin dotarł do drzwi – zapewne już wiesz, że każdy człowiek w tym pałacu znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Musisz podjąć działanie.

Kashin oparł dłoń na rzeźbionej klamce i zerknął przez ramię.

– A dlaczego, twoim zdaniem, poprosiłem przybysza z obcego królestwa o pomoc?

Gdy wyszedł, jego słowa nadal wisiały w słodkim powietrzu. W tonie głosu księcia nie było okrucieństwa, nie był też obraźliwy, ale Chaola poruszyła typowa dla wojowników szczerłość, która w nim pobrzmiwała.

Próbował uspokoić oddech, podczas gdy jego myśli rozpoczęły dziką gonitwę. Nigdzie nie widział czarnych pierścieni ani naszyjników, ale z drugiej strony wcale się za nimi nie rozglądał. Nawet do głowy mu nie przyszło, że cień Morath może paść aż tak daleko.

Podrapał się po klatce piersiowej. Musiał uważać. Naprawdę musiał uważać na tym dworze zarówno na to, co mówił przy innych, jak i na to, co padało z jego ust w tej komnacie.

Wciąż wpatrywał się w zamknięte drzwi, zastanawiając się nad tym, co usłyszał od Kashina, gdy pojawiła się służąca. Przebrała się już i zamiast spodni i tuniki miała teraz na sobie zawiązaną w pasie szatę z najcieńszego, najszlachetniejszego jedwabiu. Nie pozostawiała ona nic wyobraźni.

Chaol miał wielką ochotę zawołać Nesryn, aby mu pomogła, ale stłumił w sobie tę chęć.

– Mycie. Tylko mycie – powiedział wyraźnie i najbardziej stanowczo, jak umiał.

Służka nie okazała ani cienia wahania czy skrępowania.

– Nie podobam ci się? – spytała, dając Chaolowi do zrozumienia, że robiła to wielokrotnie wcześniej. Pytanie było szczere i konkretne. Płacono jej godziwie, podobnie jak innym służącym w pałacu i praca była jej wyborem. Gdyby zrezygnowała, na jej miejsce błyskawicznie znalazłaby się inna.

– Podobasz mi się – odparł Chaol. Nie było to do końca kłamstwo, ale na wszelki wypadek patrzył jej prosto w oczy. – Bardzo – dodał. – Ale ja jedynie chcę się wykapać. Nie chcę niczego od ciebie.

Oczekiwał po niej wdzięczności, ale nieporuszona służąca jedynie skinęła głową. Musiał uważać na to, co mówi nawet przy niej. Musiał uważać na wszystko, o czym będą z Nesryn rozmawiać w tych pokojach.

Za zamkniętymi drzwiami sypialni Nesryn nadal nie było słyhać żadnego ruchu, skinął więc na służącą, by popchnęła jego fotel na kółkach do pokoju łaziennego, gdzie unosiły się już kłęby pary.

Fotel dawał się płynnie prowadzić zarówno po dywanie, jak i kafelkach, zakręty wokół mebli również nie nastęrczały trudności. Nesryn znalazła go tuż przed wyjazdem w pustych katakumbach zamku w Rifthold, ongiś zajmowanych przez uzdrowicieli. Wyglądało na to, że była to jedna z nielicznych rzeczy, które uciekający uzdrowiciele pozostawili po sobie.

Był lżejszy i zwrotniejszy, niż Chaol z początku sądził, a wielkie koła obracały się bez trudu, nawet gdy osobiście łąpał za przymocowane do nich okrągłe obręcze, by się przemieszczać bez niczyjej pomocy. W przeciwieństwie do sztywnych, nieruchawych foteli, które zdarzało mu się czasami

widzieć, ten dodatkowo zaopatrzony był w niewielkie kółka zamontowane pod drewnianym oparciem dla stóp, które mogły się obracać we wszystkie strony. Nic więc dziwnego, że pchany przez służącą wózek płynnie skręcił do wypełnionego parą pokoju.

Większość przestrzeni zajmował wielki, pełen po brzegi basen. Powierzchnia wody, na której tu i ówdzie unosiły się płatki kwiatów, lśniła od olejków. Niewielkie okienko na przeciwległym brzegu wychodziło prosto na zielony ogród, tu i ówdzie kłęby pary opróżniał blask świateł.

Luksus. Nieskończony luksus, podczas gdy jego miasto cierpiało. Podczas gdy błagało o pomoc, a ta nie nadchodziła. Dorian na pewno by go nie opuścił. Jedynie całkowita klęska i brak nadziei na przeżycie skłoniłyby go do ucieczki. Chaol zastanawiał się, czy jego magia aby nie miała z tym jakiegoś związku.

Czuł w kościach, że Dorianowi nic nie będzie. Wierzył w to, że dotrze w bezpieczne miejsce i odnajdzie sojuszników, choć w brzuchu nadal mu się przewracało. Nie mógł zrobić dla swego króla nic poza wykuciem nowego sojuszu. Głosy w jego duszy krzyczały na niego i namawiały go do powrotu do Adarlanu i odnalezienia Dorian, ale postanowił, że będzie się trzymał wyznaczonego kursu.

Ledwie zaważył, że służąca zdjęła mu buty. Kurtkę i koszulę mógł ściągnąć sobie sam, ale nie przeszkadzał jej. Otrząsnął się z zadumy, dopiero gdy zaczęła zdejmować mu spodnie. Pochylił się, zaciskając zęby, i przez moment zmagali się z nimi wspólnie. Gdy sięgnęła ku jego bieliźnie, złapał ją za nadgarstek.

Między nim a Nesryn nadal nie doszło do żadnego zbliżenia. Podjął próbę trzy dni temu na statku, ale nie skończyło się to dobrze i nie chciał podejmować kolejnej. Nie oznaczało to jednak, że nie miał na to ochoty. Budził się rano ze świadomością, że rozpaczliwie jej pragnie, tym bardziej że dzielili jedną kajutę, niemniej jednak ani na moment nie zapominał o tym, że jest kaleką. Deprymowała go myśl, że nie może już wziąć jej tak jak kiedyś.

Wystarczyło, że sobie o tym przypomniał, a pożądanie zniknęło samo.

Choć z drugiej strony czuł ulgę, że niektóre części jego ciała pozostawały bez wątplenia sprawne.

– Dam sobie radę – rzekł i nim służąca zdołała choćby drgnąć, napiął mięśnie ramion i pleców, po czym zaczął zsuwać się z fotela. Był to mało spektakularny proces, wypracowany podczas długich tygodni podróży.

Od ścian komnaty odbiło się metaliczne szczęknięcie, gdy zablokował hamulec. Kilkoma zdecydowanymi ruchami przesunął się na skraj fotela, zdjął stopy z drewnianego oparcia, ustawił je na podłodze i skręcił nieco w lewo. Prawą rękę zacisnął na skraju fotela przy kolanach, a lewą, zwartą w pięść, oparł na chłodnej, wilgotnej od pary posadzce. Była śliska...

Służąca podeszła, rozłożyła przed nim gruby, biały ręcznik i cofnęła się. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością, a potem przesunął lewą dłoń na ręcznik. Wciągnął powietrze i nadal trzymając się fotela, prawą ręką ostrożnie zsunął się na ziemię, uginając kolana.

Wylądował twardo, ale przynajmniej znalazł się bezpiecznie na podłodze. Nie przewrócił się, tak jak to miało miejsce kilkanaście razy podczas pierwszych prób na statku. Ostrożnie podpełzł do skraju schodów, prowadzących w głąb basenu, i umieścił stopy w ciepłej wodzie.

Służąca weszła do wody chwilę później, pełna gracji niczym czapla. Jej przejrzysta szata stała się niemalże niematerialna, gdy przeniknęła ją wilgoć. Jej dłonie, delikatne, ale mocne, ujęły go mocno i pomogły mu zejść głębiej, aż woda sięgnęła mu do ramion. Jej pełne, spiczaste piersi znajdowały się na wysokości jego oczu.

Dziewczyna najwyraźniej tego nie zauważała, a on natychmiast odwrócił głowę ku oknu. Kątem oka widział, jak służąca sięga po niewielką tackę z kosmetykami, która stała przy skraju basenu. Znajdowały się na niej olejki, szczotki i miękka, wygodna odzież.

Gdy była odwrócona, Chaol zdjął majtki. Płasnął nimi głośno o brzeg basenu.

Nesryn nadal nie wychodziła z sypialni.

Chaol zamknął więc oczy i poddał się zabiegom służącej, zastanawiając się przy tym, coż on teraz, do licha ciężkiego, pocznie.



4.

Ze wszystkich komnat w Torre Cesme Yrene Towers tę akurat upodobała sobie najbardziej.

Być może przyczyną było to, że znajdowała się na samym szczycie wzniesionej z białego kamienia wieży i z żadnego innego miejsca nie było widać tak pięknych zachodów słońca nad Anticą.

A może było tak dlatego, że to tu po raz pierwszy od prawie dziesięciu lat poczuła się bezpiecznie. To tu po raz pierwszy spojrzała na sędziwą kobietę, teraz zasiadającą za zasłanym papierami i księgami biurkiem, i usłyszała z jej ust słowa, które zmieniły całe jej życie: „Witaj wśród nas, Yrene Towers”.

Od tej chwili upłynęły już ponad dwa lata.

Przez dwa lata pracowała i żyła w tej wieży oraz w tym mieście, zamieszkanym przez tyle rozmaitych ludów, gotujących tyle odmian jedzenia i dzielących się tyłoma formami wiedzy.

Antica oraz Torre Cesme okazały się dokładnie takie, jak to sobie wymarzyła, więc skwapliwie podejmowała każde wyzwanie i chwyciła się każdej okazji, aby dowiedzieć się czegoś nowego. Studiowała, słuchała wykładów i ćwiczyła, ratowała ludzkie żywoty i zmieniała je, aż znalazła się na czele swej klasy. Niebawem córka nieznanego nikomu uzdrowiciela z Fenharrow uświadomiła sobie, że zarówno młodzi, jak i starzy uzdrowiciele, mający za sobą całe życie szkoleń i praktyki, zwracają się do niej z prośbą o radę i pomoc.

Pomagała jej magia. Cudowna, wspaniała magia, która potrafiła odebrać jej dech lub przyprawić o zmęczenie tak ogromne, że Yrene nie była w stanie podnieść się z łóżka przez całe dni. Użycie magii zawsze słono kosztowało, zarówno pacjenta, jak i uzdrowiciela, ale Yrene była gotowa zapłacić każdą cenę. Nigdy nie przeszkadzało jej to, że musi odchorować magiczną interwencję, jeśli mogła dzięki temu uratować komuś życie. Silba obdarzyła ją talentem, a od młodej nieznanym dwa lata temu w karczmie w Innish otrzymała inny dar. Yrene nie miała zamiaru zmarnować ani jednego, ani drugiego.

Czekała w milczeniu, aż szczupła kobieta siedząca naprzeciwko niej skończy czytać jakiś list przy chronicznie zabałaganionym biurku. Pomimo najlepszych starań służby na starym meblu z palisandru zawsze panował chaos. Wszędzie leżały receptury i opisy czarów, a między nimi sterczały fiołki i toniki.

Dwie z fiołek stały teraz przed kobietą – przejrzyste szklane kule osadzone na srebrnych nóżkach przypominających stopy ibisa, opromienione wiecznym blaskiem słońca.

Hafiza, Najwyższa Uzdrowicielka Torre Cesme, uniosła jedną z nich, zakreśliła jej jasnoblękitną zawartością, zmarszczyła brwi i odstawiła ją z powrotem.

– Przygotowanie tych przeklętych eliksirów zawsze trwa dwa razy więcej, niż sobie założę – odezwała się w języku Yrene, po czym spytała od niechcenia: – Jak myślisz, skąd się to bierze?

Yrene, która siedziała na wysłużonym, zmechaconym fotelu przy biurku, pochyliła się, by przyjrzeć się eliksirowi. Każde spotkanie z Hafizą było wyzwaniem, lekcją i okazją, by się czegoś nauczyć. Zdjęła fiołkę ze stojaka w kształcie ptasiej nogi i podniosła ją ku złocistemu blaskowi zachodzącego słońca, by uważnie przyjrzeć się gęstemu, lazurowemu płynowi.

– Jakie jest jego zastosowanie?

– U pewnej dziesięciolatki sześć tygodni temu objawił się suchy kaszel. Odwiedziła kilku lekarzy, którzy zalecili jej picie herbaty z miodem, odpoczynek i przebywanie na świeżym powietrzu. Na jakiś czas jej stan się poprawił, ale tydzień temu kaszel powrócił ze zdwojoną siłą.

Lekarze z Torre Cesme nie mieli sobie równych na całym świecie, a od uzdrowicielek z Torre różniło ich tylko to, że nie władali magią. Zamieszkiwali ogromny kompleks wokół wieży i jako pierwsi stawiali diagnozę.

Magia była cenna, ale korzystanie z niej wiązało się z ryzykiem, przez co któraś z poprzedniczek Hafizy zarządziła, że każdy pacjent, nim spotka się z uzdrowicielką, musi zostać zbadany przez lekarza. Być może była to decyzja polityczna, by ludzie domagający się cudownej, leczącej wszystko magii przestali ignorować zwykłych lekarzy.

Magia nie mogła wyleczyć wszystkiego. Nie mogła zatrzymać śmierci ani przywrócić do życia

kogoś, kto już odszedł. Przez ostatnie dwa lata Yrene wciąż boleśnie przekonywała się o swoich ograniczeniach, ale mimo to, choć każdy chory musiał najpierw spotkać się z lekarzem, interweniowała zawsze, gdy w wąskiej, stromej uliczce Antiki usłyszała czyjś kaszel.

Przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę.

– Być może eliksir źle reaguje na wysoką temperaturę. To było bardzo gorące lato, nawet jak na Anticę.

Minęły już dwa lata, a Yrene nadal nie była przyzwyczajona do bezlitosnych, suchych upałów miasta bogów. Na szczęście jakiś geniusz przed wiekami obmyślił wieżyczki, które łapały wiatr i przenosiły chłodniejsze powietrze do pokoi leżących poniżej. Dodatkowo niektóre domy były podłączone do nielicznych podziemnych kanałów, które wiły się pod Anticą i przekształcały gorące wiatry w chłodne podmuchy. Miasto najeżone więc było wieżyczkami, które przypominały tysiące włócznie celujących ku niebu. Wyrastały one zarówno z dachów niewielkich ceglanych domów, jak i z wielkich rezydencji zwieńczonych kopułami, pełnych cienistych dziedzińców i sadzawek z czystą wodą.

Niestety, Torre powstała na długo przed owym fantastycznym wynalazkiem i choć w wyższych partiach zamontowano przemyślny system wentylacyjny, który chłodził piętra poniżej, Yrene często marzyła o tym, by jakiś utalentowany architekt zaopatrzył wieżę w najnowsze odkrycia. W rzeczy samej, upały na zewnątrz oraz rozliczne ognie, które płonęły na niższych piętrach sprawiały, że w komnacie Hafizy było gorąco jak w kotle.

– Może mogłabyś umieścić je na jednym z niższych pięter, gdzie jest chłodniej – dodała.

– A jak zapewnię eliksirowi potrzebne ciepło?

Yrene zastanowiła się.

– Wystarczy kilka zwierciadeł, które złapią blask słońca padający od okna i skierują go na fiolkę. Kilka razy dziennie trzeba będzie je przestawiać, by nadążyć za ruchem słońca. Dzięki niższej temperaturze i bardziej skupionej wiązce światła eliksir będzie szybciej gotowy.

Przełożona skinęła głową z zadowoleniem. Dla Yrene jej potakiwanie i blask w brązowych oczach były powodem do wielkiej radości.

– Bystre pomysły i szybka reakcja ratują ludzkie życie częściej niż magia – rzekła jedynie Hafiza.

Yrene słyszała to zdanie już tysiąc razy, bardzo często w związku z własnymi pomysłami – ku jej bezbrzeżnej dumie – ale pochyliła lekko głowę w podziękowaniu i odłożyła fiolkę na stojak.

– A więc... – Hafiza splótła dłonie na blacie rozgrzanego biurka z palisandru. – Dowiedziałam się od Eretii, że jej zdaniem jesteś gotowa, by nas opuścić.

Yrene wyprostowała się na fotelu, tym samym, na którym usiadła pierwszego dnia i błagała o przyjęcie w poczet uczniów po wspięciu się po tysiącach stopni aż na szczyt wieży. Samo błaganie okazało się najmniejszym z upokorzeń, których doznała podczas tego spotkania. Najbardziej dotkliwym był moment, kiedy rzuciła na biurko Hafizy sakiewkę ze złotem i palnęła, że nie dba o koszty nauki i chce, by Hafiza wszystko zatrzymała.

Nie miała wówczas świadomości, że Hafiza nie przyjmuje pieniędzy od uczniów. Nie, oni inaczej płacili za swą naukę. Podczas długiego roku, który Yrene przepracowała w gospodzie Pod Białą Świnia w zapomnianym przez świat porcie Innish, doznała wielu przykrości i zniosła wiele zniewag, ale nigdy nie była bardziej zawstydzona niż w chwili, gdy Hafiza kazała jej zebrać pieniądze z powrotem do brązowej sakiewki. Zgarniając monety z blatu niczym szuler po udanym rozdaniu, Yrene poważnie się zastanawiała, czy nie wyskoczyć z okna znajdującego się za plecami Najwyższej Uzdrowicielki.

Wiele się zmieniło od tego czasu. Znikła suknia ze zwykłego płótna, a przeraźliwa chudość również była już tylko wspomnieniem. Dzięki ogromnym kuchniom w Torre, niezliczonym rynkom pełnym straganów z jedzeniem i knajpkom przy każdej krętej uliczce ciało Yrene nabrało krągłości. Tak jak przypuszczała, niekończące się schody pomogły jej utrzymywać się w formie.

Przełknęła ślinę, próbując wyczytać coś więcej z twarzy Najwyższej Uzdrowicielki, ale nie udało jej się. Hafiza była jedyną znaną jej osobą, której myśli nigdy nie była w stanie rozpracować. Nigdy nie była świadkiem jej wybuchu emocji, czego nie mogła powiedzieć o innych nauczycielach, a zwłaszcza

o Eretii. Nie zdarzyło się też, by Najwyższa Uzdrawicielka podniosła głos. Na jej twarzy pojawiał się jedynie wyraz zadowolenia, obojętność lub rozczarowanie. Yrene żyła w strachu przed dwiema ostatnimi.

Nie bała się kary, nie istniało tu nic w tym stylu. Nie wstrzymywano nikomu posiłków, nie było bicia. Nic nie przypominało życia w gospodzie Pod Białą Świnia, gdzie Nolan odbierał jej zapłatę, jeśli według niego źle się zachowała, nałożyła klientowi zbyt dużą porcję lub zostawiła resztki jedzenia dla półdzikich dzieci, które mieszkaly na brudnych ulicach Innish. Przybyła do wieży z przeświadczeniem, że czeka ją tu taka sama dola, a miejscowi odbiorą jej pieniądze, przez co z każdym kolejnym dniem będzie jej trudniej wyjechać. Spędziła aż rok u Nolana, dlatego że ten bez przerwy podwyższał jej czynsz, obniżał pensję i odbierał coraz więcej napiwków. Ponadto miała świadomość, że większość kobiet w Innish pracuje na ulicy, a gospoda, choć była obrzydliwym miejscem, nadal stanowiła o wiele lepszą alternatywę dla takiego życia.

Obiecała sobie, że nigdy już nie skaże się na podobny los – do chwili, gdy dotarła do Torre. Do chwili gdy rozsypała złoto na biurku Hafizy, gotowa przeżyć to wszystko raz jeszcze, gotowa raz jeszcze pograć się i sprzedać za szansę zdobycia wiedzy.

Hafiza nie brała jednak nawet pod rozwagę takich rzeczy. Jej praca stanowiła całkowite przeciwieństwo tego, co robili ludzie tacy jak Nolan. Yrene nadal pamiętała słowa, które Najwyższa Uzdrawicielka wypowiedziała ze swoim cudownym, mocnym akcentem, jakże podobne do tych, które często powtarzała jej matka – w Torre Cesme nie pobiera się opłat za to, co Silba, Bogini Uzdrawiania, dała im za darmo.

W kraju, w którym wyznawano tylu bogów, że Yrene nie była w stanie wszystkich spamiętać, Silba była taka sama jak wszędzie indziej.

Władcy kaganatu, zlepiając królestwa i krainy w wielkie imperium, postępowali wedle jednej mądrej myśli – należy zostawić ludziom bogów. Dotyczyło to między innymi Silby, która od wielu wieków roztaczała opiekę nad uzdrawicielami. Historię, jak widać, spisywali zwyczajcy, jak to kiedyś powiedziała Eretia, bezpośrednia nauczycielka Yrene. Najwyraźniej dotyczyło to nie tylko historii śmiertelników, ale również bogów.

Mimo to Yrene odmówiła w myślach modlitwę do Silby i wszystkich innych bogów, którzy mogli jej teraz słuchać, a na głos rzekła:

– Tak, jestem gotowa.

– By nas opuścić – odparła Najwyższa Uzdrawicielka. Jakże proste, zwykłe słowa, połączone ze spokojnym, cierpliwym wyrazem twarzy. – A czy przemyślałaś drugą opcję, którą ci przedstawiłam?

Yrene myślała o niej bez końca przez ostatnie dwa tygodnie, odkąd Hafiza zaprosiła ją do swego biura i wypowiedziała jedno słowo, które zacisnęło się wokół jej serca niczym żelazna pięść:

– Zostań.

Prosiła ją, by została i dalej się uczyła. By przekonała się, w co może przerodzić się jej młode życie.

Yrene potarła bezwiednie pierś, jakby nadal czuła ucisk potężny jak w imadle.

– W mojej ojczyźnie znów rozgorzała wojna. Wiesz, na Północnym Kontynencie. – Tak zwano tu ziemie, z których pochodziła. Przełknęła ślinę i dodała: – Chcę pomóc tym, którzy usiłują obalić imperium.

Po raz pierwszy od wielu lat królowi stawiono opór. Jeśli wierzyć plotkom, Adarlan został rozdarty na dwie części – północą władał Dorian Havilliard, a południem prawa ręka króla, książę Perrington. Po stronie Doriany stanęła Aelin Galathynius, zaginiona królowa, która sądząc po tym, co zrobiła ze szklanym zamkiem i królem Adarlanu, powróciła przepelniona mocą oraz żądzą zemsty. Te same plotki głosiły, że Perringtonowi służyły potwory rodem z koszmarów.

A jeśli była to jedyna szansa na wolność dla Fenharrow...

Yrene wiedziała, że musi tam wrócić i pomóc najlepiej jak umie.

Nadal czuła zapach dymu, zwłaszcza późno w nocy lub gdy leżała pozbawiona sił po długim leczeniu. Tego samego, który wzbił się znad ognia roznieconego przez adarlańskich żołnierzy. Tego

samego, w którym zginęła jej matka. Nadal słyszała jej krzyki i czuła ból drzazg wbijających się pod paznokcie, gdy zaciskała dłonie na gałęzi drzewa na skraju Dębowej Puszczy. Skrywała się wśród tych drzew i patrzyła, jak jej matka ginie w płomieniach. Chwilę wcześniej matka zabiła wrogiego żołnierza, by dać jej czas na ucieczkę.

Wszystko to miało miejsce dziesięć lat temu, prawie jednaście. Choć od tego czasu Yrene przemierzyła góry i morza, bywały dni, kiedy miała wrażenie, że wciąż stoi w Fenharrow, czuje smród dymu i ból drzazg pod paznokciami i spogląda na żołnierzy, którzy ujmują pochodnie i palą jej chatę.

Chatę, w której chowały się całe pokolenia uzdrowicieli z rodu Towers.

Ciekawym zbiegiem okoliczności było to, że sama również trafiła do wielkiej wieży. Na palcu lewej ręki wciąż nosiła pierścień, który stanowił dowód, iż kiedyś, setki lat temu na południu Fenharrow istniał ród niezwykle utalentowanych uzdrowicieli. Ostatni dowód na to, że jej matka, matka jej matki oraz wszystkie inne matki przed nimi żyły i uzdrawiały w pokoju. Dziewczyna darzyła swój pierścień ogromną cziłą i wolałaby sprzedać siebie niż jego.

Hafiza milczała, więc Yrene znów się odezwała, wpatrzona w słońce zachodzące za nefrytowymi wodami portu po drugiej stronie miasta:

– Na Północny Kontynent powróciła magia, ale wielu tamtejszych uzdrowicieli nie przeszło żadnego szkolenia, o ile w ogóle ktoś z nich przetrwał. Mogłabym ocalić wiele żyć.

– Lub stracić własne.

Yrene doskonale o tym wiedziała. Uniosła wyżej podbródek.

– Jestem świadoma niebezpieczeństwa.

Ciemne oczy Hafizy złagodniały.

– Tak, wiem o tym.

Dowiedziała się tego podczas ich pierwszego, upokarzającego dla dziewczyny spotkania. Yrene nie płakała od lat, od dnia, kiedy jej matka zmieniła się w popiół unoszony przez wiatr, ale w chwili, gdy Hafiza zapytała o jej rodziców, dziewczyna ukryła twarz w dłoniach i się rozszlochała. Hafiza wyszła wówczas zza biurka, objęła ją i przytuliła. Gładziła ją po plecach, dodając otuchy.

Często tak robiła. Nie tylko z Yrene, ale ze wszystkimi uzdrowicielkami, gdy było już późno, cierpły im plecy, a magia odebrała resztę sił w chwili, gdy trzeba było nadal pracować. Była cicha i dyskretna, ale pojawiała się zawsze wtedy, gdy trzeba było kogoś wesprzeć bądź pocieszyć.

Od jedenastu lat Hafiza była dla Yrene równie bliska jak matka, a teraz, zaledwie kilka tygodni przed dwudziestymi drugimi urodzinami, dziewczyna zaczynała powątpiewać, czy kiedykolwiek znajdzie kogoś podobnego do niej.

– Zdałam egzaminy – rzekła, choć wiedziała, że Hafiza jest już tego świadoma. Przecież sama egzaminowała Yrene przez długi, męczący tydzień, sprawdzając jej wiedzę i umiejętności, a dziewczyna dołożyła wszelkich starań, by uzyskać najlepszą ocenę w klasie. Mało kto wypadł równie dobrze. – I jestem gotowa – dodała.

– W rzeczy samej – powiedziała Najwyższa Uzdrowicielka. – A ja nie przestaję się zastanawiać, ile nauczyłabyś się w pięć albo i w dziesięć lat, skoro w dwa zdobyłaś tak ogromną wiedzę.

Yrene przybyła do Torre Cesme z wiedzą, która pozwoliła jej rozpocząć naukę z innymi adeptkami na najniższych piętrach wieży. Przyglądała się wszak pracy swej matki od chwili, gdy nauczyła się chodzić i mówić. Uczyła się powoli, przez lata, jak wszyscy uzdrowiciele w jej rodzinie. W wieku jedenastu lat potrafiła więcej, niż inni nauczyliby się w dwa razy dłuższym czasie. Ćwiczyła również w sekrecie w ciągu kolejnych sześciu lat, gdy udawała zwykłą dziewczynę i pracowała w gospodarstwie kuzyna matki. Jej krewniacy nie mieli pojęcia, co z nią począć, i na pewno nie mieli ochoty jej poznawać bliżej, gdyż bali się zemsty Adarlanu, stąd też Yrene ćwiczyła po cichu, w wielkiej tajemnicy.

Były to wszak czasy, w których sąsiad wydawał sąsiada władzom, jeśli ten choć słowem wspominał o magii. Choć moc znikła, a wraz z nią dar Silby, Yrene nadal udawała zwykłą krewną gospodarzy, którą babcia nauczyła kilku naturalnych sposobów na leczenie gorączki, łagodzenie bólów porodowych czy nastawianie złamanych kości.

W Innish miała nieco więcej możliwości. Za swą mizerną wypłatę mogła zawsze kupić zioła i maści, ale nieczęsto się na to odważała. Nolan oraz Jessa, jego ulubiona barmanka, nie spuszczała jej z oczu w dzień i w nocy. Nic więc dziwnego, że przez kolejne lata chciała się nauczyć tyle, ile się da. Co ważne, poczuła się też wyzwolona. Lata duszenia w sobie sekretu, kłamania i ukrywania się miała już za sobą.

A tego dnia, gdy zeszła na ląd i poczuła, jak budzi się w niej magia, jak płynie w kierunku mężczyzny utykającego ulicą... Szok, który nią wówczas zawładnął, opuścił ją dopiero trzy godziny później, gdy siedziała, szlochając, na fotelu przed Hafizą.

Westchnęła przez nos.

– Mogłabym tu powrócić któregoś dnia i podjąć studia na nowo – odparła. – Ale, z całym szacunkiem, przecież jestem już w pełni uzdrowicielką!

Oznaczało to, że mogła się udać wszędzie, dokąd poprowadzi ją dar. Hafiza uniosła białe brwi, odcinające się wyraźnie od jej brązowej cery.

– A co z księciem Kashinem?

Yrene poruszyła się nerwowo na krześle.

– Co z nim?

– Kiedyś byliście dobrymi przyjaciółmi. Nadal darzy cię uczuciem, a to nie błahostka.

Yrene zmierzyła Najwyższą Uzdrowicielkę spojrzeniem, na które mało kto by się powazył.

– Czy sprzeciwi się memu wyjazdowi?

– Kashin jest księciem i jak dotąd nikt nigdy mu niczego nie odmówił, nie licząc korony, której pożąda. Może dojść do wniosku, że twój wyjazd jest nie po jego myśli.

Po ciele Yrene, wzdłuż kręgosłupa aż pod żołądek, rozlało się przerażenie.

– Nie zrobiłam niczego, by go do tego skłonić! W zeszłym roku dokładnie mu powiedziałam, co o nas sądzę.

Tysiące razy wracała myślami do tego niefortunnego momentu. Tysiące razy zastanawiała się nad tym, co wówczas powiedziała, i nad wszystkimi chwilami, które przypadły im w udziale. Nad wszystkim, co doprowadziło do tej okropnej rozmowy w wielkim namiocie Darghanów na smaganym wiatrem stepie.

Jej znajomość z księciem rozpoczęła się kilka miesięcy po jej przybyciu do Antiki, gdy zachorował jeden z ulubionych służących Kashina. Ku jej zdumieniu książę osobiście czuwał przy łóżku chorego. Walka z chorobą zajęła jej wiele godzin, ale uświadomiła sobie, że czas jej się nie dłuży, gdyż rozmowa z księciem okazała się nader zajmująca. Co więcej, złapała się na tym, że zaczyna się uśmiechać. Pokonała chorobę służącego, a Kashin osobiście odprowadził ją do wrót Torre. W trakcie kolejnych miesięcy rozwinęła się między nimi przyjaźń.

Poznała również Hasar, która polubiła Yrene po tym, jak ta również pomogła jej w kilku dolegliwościach zdrowotnych, ale ich relacja była swobodniejsza. Znalezienie znajomych w Torre nie było dla Yrene proste, gdyż jej czas wolny często pokrywał się z zajęciami innych adeptek i na odwrót, ale książę i księżniczka stali się jej prawdziwymi przyjaciółmi. Do ich grona dołączyła również Renia, ukochana Hasar, ujmująca zarówno z urody, jak i usposobienia.

Tworzyli doprawdy osobliwą grupę, ale Yrene lubiła ich towarzystwo. Lubiała kolacje, na które zapraszali ją Kashin i Hasar, choć doprawdy nie rozumiała, dlaczego na nie trafia. Zauważyła natomiast, że Kashin często siada obok niej lub na tyle blisko, by móc wciągnąć ją w rozmowę.

Przez długie miesiące wszystko układało się dobrze, a nawet wspaniale, dopóki Hafiza nie zabrała Yrene na rodzinne stepy kagana, gdzie miała nadzorować wyjątkowo skomplikowane leczenie. Kashin zaś był ich eskortą oraz przewodnikiem.

Najwyższa Uzdrowicielka uważnie przyjrzała się Yrene, marszcząc lekko brwi.

– Być może twój brak zachęty sprawił, że zaczęło mu jeszcze bardziej zależeć.

Yrene potarła brwi kciukiem oraz palcem wskazującym.

– Nie rozmawialiśmy wiele od tego czasu – odparła.

Powiedziała prawdę, choć przyczyną było głównie to, że unikała młodzieńca podczas kolacji, na

które nadal zapraszały ją Hasar i Renia.

– Książę nie robi na mnie wrażenia mężczyzny, którego można łatwo zniechęcić, zwłaszcza w sprawach sercowych.

Yrene sama o tym wiedziała i podobało jej się to w nim do chwili, gdy zapragnął czegoś, czego nie mogła mu dać. Jęknęła cicho.

– Czyli mam uciekać niczym złodziej pod osłoną nocy?

Hasar nigdy by jej tego nie wybaczyła, choć Renia bez wątpienia próbowałaby załagodzić jej gniew i wytłumaczyć jej wszystko logicznie. Jeśli Hasar przyrównać do czystego ognia, Renia wydawała się przy niej płynącą wodą.

– Jeśli zdecydujesz się tu pozostać, nie będziesz musiała wcale się przejmować takimi rzeczami. Yrene wyprostowała się.

– Naprawdę wykorzystalabyś Kashina, by zmusić mnie do pozostania?

Hafiza roześmiała się ciepło.

– Nie. Ale wybacź starej kobiecie, że sięga po każdy sposób, by cię przekonać.

W sercu dziewczyny duma walczyła z poczuciem winy, ale nie powiedziała ani słowa. Nie wiedziała, jak zareagować.

Powrót na Północny Kontynent... Była świadoma, że nikt i nic tam na nią nie czeka, że może się tam spodziewać jedynie okrutnej wojny oraz ludzi, którzy potrzebują jej pomocy. Nie miała nawet pojęcia, dokąd właściwie ma się udać, gdzie szukać walczących armii i rannych ludzi. Podróżowała już kiedyś po bezdrożach Północnego Kontynentu, uciekając przed wrogami, którzy chcieli odebrać jej życie, i na samą myśl o tym, że miałyby to zrobić ponownie... Wiedziała, że wielu ludzi obwołałoby ją szaloną lub uznało, że odrzucając hojną propozycję Hafizy, postępuje jak niewdzięcznica. Ba, sama tak o sobie myślała.

Tymczasem nie było dnia, by nie zwracała głowy ku morzu, które zaczynało się u stóp miasta. Ku północy.

Na moment zapomniała o Najwyższej Uzdrowicielce i spojrzała przez okno za jej plecami na odległy, ciemniejący horyzont, który przyciągał jej uwagę niczym magnes.

– Nie musisz decydować od razu – odezwała się Hafiza, nieco łagodniej niż przed chwilą. – Wojny nie kończą się w kilka dni.

– Ale ja muszę...

– Najpierw chciałam powierzyć ci pewne zadanie, Yrene.

Młoda uzdrowicielka znieruchomiała, słysząc słowa przełożonej, gdyż w tonie jej głosu pojawiła się rozkazująca nuta. Zerknęła na list, który Hafiza czytała w chwili, gdy weszła do jej komnaty.

– Co to takiego? – spytała.

– Kagan przyjmuje w pałacu specjalnego gościa. Chciałabym, abyś zajęła się jego leczeniem. Teraz, zanim podejmiesz ostateczną decyzję co do swego wyjazdu.

Yrene przechyliła głowę. Nieczęsto się zdarzało, by Hafiza przekazywała komuś innemu zadanie zlecone przez samego kagana.

– Co mu dolega? – spytała jak każdy uzdrowiciel, który otrzymuje nowego pacjenta.

– To młody mężczyzna w wieku dwudziestu trzech lat. Zdrowy pod każdym względem i w doskonałej kondycji, ale kilka miesięcy temu odniósł poważną ranę na wysokości kręgosłupa, przez co jest sparaliżowany od pasa w dół. Nie jest w stanie poruszać nogami i od tego czasu siedzi w fotelu na kółkach. Pomijam wstępne badania lekarskie i przekazuję ci go bezpośrednio.

Myśli Yrene zawirowały. Leczenie urazów tego typu wymagało długiego, pracochłonnego procesu. Kręgosłup był niemalże tak skomplikowany jak mózg, a do tego mocno z nim związany. Nie wystarczyło przepuścić przez niego magii – to tak nie działało. Musiała najpierw odnaleźć odpowiednie miejsca i kanały, a potem określić, jaką ilość magii należy się posłużyć. Musiała pobudzić mózg, by ponownie zaczął wysyłać sygnały do kręgosłupa i uruchomił owe zerwane połączenia. Musiała zastąpić uszkodzone okrucy życia nowymi, świeżymi. A do tego należało na powrót nauczyć pacjenta chodzić. To była praca na długie tygodnie, może nawet miesiące.

– To sprawny młodzieniec – dodała Hafiza. – A jego uraz przypomina ten, który leczyłaś zeszłej zimy na stepach. Pamiętasz tego wojownika?

Yrene sama się tego domyśliła. Co więcej, przypuszczała, że z tego właśnie powodu została poproszona o pomoc. Spędziła wówczas dwa miesiące, lecząc przywódcę klanu, który spadł z konia i uszkodził sobie kręgosłup. Wśród Darghanów, rodaków matki kagana, którzy jeździli konno bądź latali na rękach, był to częsty uraz, przez co plemię nierzadko zwracało się do uzdrowicielek z Torre z prośbą o pomoc. Dla Yrene była to pierwsza okazja, aby wykorzystać swe umiejętności w praktyce, przez co leczenie nadzorowała sama Hafiza. Teraz młoda uzdrowicielka była przekonana, że poradzi sobie sama, ale zmarszczyła brwi, gdy uświadomiła sobie, w jaki sposób przełożona zerknęła na list.

– O kogo chodzi? – spytała.

– To lord Chaol Westfall.

„Nietypowe nazwisko jak na kaganat” – uświadomiła sobie Yrene.

– To były kapitan Gwardii – dodała Hafiza, patrząc Yrene w oczy. – W chwili obecnej zaś namiestnik nowego króla Adarlanu.

Cisza.

W głowie i w sercu Yrene zapanowała głucha cisza. W komnacie było słychać jedynie pokrzykiwanie mew kołujących nad Torre i wołanie kupców zmierzających do domów.

– Nie – wyszeptała w końcu.

Hafiza zacisnęła wąskie usta.

– Nie – powtórzyła Yrene. – Nie będę go leczyć.

– Złożyłaś przysięgę, gdy przekroczyłaś ten próg – odezwała się przełożona. Na jej twarzy nie było już ani śladu matczynej łagodności.

– Nie. – Yrene nie potrafiła wydusić z siebie nic innego.

– Jestem świadoma tego, jak trudne to może być dla ciebie...

– Nie. – Dłonie młodej uzdrowicielki zaczęły drżeć.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego – wyszeptała z trudem. – Do... dobrze wiesz.

– Jeśli ujrzysz adarlańskiego żołnierza, cierpiącego z ran na polu bitwy, przestąpisz nad nim? – Hafiza nigdy dotąd nie zadała tak okrutnego pytania.

Yrene potarła pierścień zdobiący jej palec.

– Jeśli służył poprzednio jako kapitan Gwardii, oznacza to, że... że pracował dla człowieka, który... – Yrene nie potrafiła się wysłowić. – On wykonywał rozkazy króla!

– A teraz pracuje dla Doriana Havilliarda.

– Który płał w bogactwach swego ojca! W bogactwach mego ludu! Nawet jeśli Dorian Havilliard nie uczestniczył w tych zbrodniach, sam fakt, że nie zrobił nic, gdy lała się krew... – Ściany z jasnego kamienia napierały na nią. Ogromna, solidna wieża zdawała się chwiać. – Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, czym przez ostatnie lata zajmowali się ludzie króla? Co robiły jego armie? Co robili jego żołnierze i strażnicy? I prosisz mnie, bym leczyła człowieka, który nimi dowodził?

– Oto twoje powołanie. Powołanie nas wszystkich. Wszyscy uzdrowiciele muszą się z tym pogodzić.

– Naprawdę? A zdarzyło ci się kiedyś leczyć kogoś wbrew swemu sumieniu w tym twoim wspaniałym, pokojowo nastawionym królestwie?

Twarz Hafizy pociemniała, ale powodem nie był gniew, lecz wspomnienie.

– Kiedyś poproszono mnie o wyleczenie człowieka, który został ranny podczas ucieczki – powiedziała. – Po tym jak popełnił zbrodnię tak straszliwą i niewybaczalną, że... Nim weszłam do jego celi, strażnicy opowiedzieli mi o wszystkim. Chcieli, bym go postawiła na nogi na tyle, by mógł uczestniczyć w procesie. Nie było wątpliwości, że czeka go egzekucja. Nie dość, że było wiele dowodów, to jeszcze ofiary były gotowe zeznawać przeciwko niemu. Eretia na własne oczy widziała ostatnią z ofiar. Zebrała wszystkie potrzebne dowody i stanęła w sądzie, po czym opowiedziała o wszystkim, co ujrzała. – Hafiza przełknęła ślinę. – Przykuto go łańcuchami do ściany – opowiadała. –

Gdy ujrzałam jego rany, uzmysłowiłam sobie, iż dzięki magii mogę zwiększyć jego wewnętrzne krwawienie. Nikt by się nie zorientował, że to ja go zabiłam. Rano byłoby już po nim, a sędziowie nie ośmieliliby się zarzucać mi morderstwa. – Przyjrzała się fiołce z błękitnym eliksirem. – Nigdy w życiu nie byłam bliższa zabójstwa. Chciałam go zamordować za to, co zrobił. Świat stałby się wówczas lepszym miejscem. Przyłożyłam już dłonie do jego piersi, gotowa wyszarpnąć z niego życie, ale wtedy wszystko mi się przypomniało. Przypomniłam sobie przysięgę, którą złożyłam. Przypomniało mi się, że poproszono mnie, bym pomogła mu ozdrowieć i stanąć przed sądem. Ofiarom i ich rodzinom należała się sprawiedliwość. – Spojrzała w oczy Yrene i dodała: – Nie ja miałam zadać tę śmierć.

– Co się stało? – spytała Yrene zdławionym głosem.

– Próbował przekonać sąd, iż jest niewinny, obojętny na to, co prezentowała Eretia i co zeznała ofiara. Ten człowiek był na wskroś potworem. Został skazany i stracony następnego dnia o świcie.

– Widziałaś jego śmierć?

– Nie. Wróciłam do wieży, ale Eretia wszystko widziała. Stała na czele tłumu i przyglądała się trupowi do chwili, gdy go odcięto i ułożono na wozie. Została tam dla jego ofiar, które nie były w stanie na niego patrzeć. Potem tu wróciła i obie długo, długo płakałyśmy.

Yrene milczała przez kilka chwil. Jej dłonie powoli się uspokajały.

– A więc mam go uzdrowić, by mógł gdzieś indziej stanąć przed sądem?

– Nie znasz jego historii, Yrene. Proponuję, byś najpierw jej wysłuchała, zanim zaczniesz się nad takimi kwestiami zastanawiać.

Młoda uzdrowicielka potrząsnęła głową.

– Temu człowiekowi nigdy nie zostanie wymierzona sprawiedliwość. Przecież służył zarówno staremu, jak i młodemu królowi, co oznacza, że jest sprytny i wie, jak się utrzymać u władzy. Wiem, jak działa Adarlan.

Hafiza przyglądała się jej przez dłuższą chwilę.

– Pamiętam dzień, kiedy weszłaś do tej komnaty, nieprawdopodobnie wychudzona i pokryta kurzem z setek traktów. Nigdy dotąd nie wykryłam u nikogo tak silnego daru. Spojrzałam wtedy w twe piękne oczy i niemalże dech mi odebrało, gdy uświadomiłam sobie rozmiary twej surowej mocy.

Rozczarowanie. W głosie Najwyższej Uzdrowicielki pobrzmiwało rozczarowanie, widać je było również na jej twarzy.

– Zadałam sobie wówczas pytanie – ciągnęła Hafiza – gdzie ta młoda kobieta się ukrywała? Który z bogów osłonił cię swą łaską i doprowadził aż pod me drzwi? Twa brudna suknia była w strzępach, a mimo to weszłaś do mojej komnaty wyprostowana niczym szlachetna dama, niczym dziedziczka samej Kamali.

„Czar prysł chwilę później – pomyślała dziewczyna. – Gdy cisnęłam sakiewką ze złotem na jej biurko i wybuchnęłam płaczem. Nie wydaje mi się, aby pierwsza Najwyższa Uzdrowicielka coś takiego zrobiła”.

– Nawet twoje nazwisko jest znaczące. Towers... Cóż, być może ma ono związek z Torre, związek, który niknie gdzieś w mrokach dziejów. Pamiętam, iż przyszło mi wówczas do głowy, że być może wreszcie odnalazłam swą dziedziczkę. Swą następczynię.

Yrene miała wrażenie, że te słowa uderzyły w nią niczym twarda pięść. Hafiza nigdy nawet nie zająknęła się o tym, że...

Najwyższa Uzdrowicielka proponowała, by została. Nie tylko po to, by kontynuować naukę, lecz również po to, by przejąć jej płaszcz.

Jednakże Yrene nigdy nie marzyła o tym, by wprowadzić się do tego gabinetu. Jej wzrok wciąż ciągle kierował się ku krajom, które znajdowały się za Wąskim Morzem. Ba, nawet teraz tam spoglądała... Tak, Hafiza zaproponowała jej niezwykle zaszczyt, ale dziewczyna pokręciła w duchu głową.

– Zapytałam cię, co chcesz począć z wiedzą, którą ci dałam – ciągnęła Hafiza. – Pamiętasz, co mi odpowiedziałas?

„Tak” – pomyślała Yrene. Nie zapomniała o tym ani na moment.



– Powiedziałam, że chcę ją wykorzystać, by przynieść światu więcej dobra. By zrobić coś sensownego z moim bezużytecznym, zmarnowanym życiem.

Te słowa prowadziły ją przez wiele lat, wraz z listem, który zawsze miała przy sobie, to w tej kieszeni, to w innej. Listem od tajemniczej nieznajomej – być może bogini w ciele znużonej dziewczyny – która obdarowała ją złotem na podróż do Antyki. Od nieznajomej, która ją ocaliła.

– I tak też będzie, Yrene – rzekła Hafiza. – Któregoś dnia powrócisz do domu i zaczniesz szerzyć dobro. Zaczniesz obdarowywać ludzi cudami. Ale nim to zrobisz, chcę cię o coś prosić. Pomóż temu młodemu mężczyźnie. Już kiedyś pomogłaś sparaliżowanemu człowiekowi i na pewno dasz sobie radę z kolejnym.

– Czemu ty się do tego nie weźmiesz? – spytała Yrene. Jeszcze nigdy nie była tak ponura. Nigdy nie okazała takiej niewdzięczności.

Hafiza obdarzyła ją lekkim, smutnym uśmiechem.

– Nie o mnie w tym leczeniu chodzi.

Yrene wiedziała, że kobieta nie ma na myśli także owego młodego człowieka. Poczula wielką, włochatą kulę w gardle.

– Cierpisz na ranę duszy, Yrene. Nie można pozwolić, by coś takiego jątrzyło się przez tyle lat. Nie mogę cię o to obwiniać, ale będę miała ci za złe, jeśli pozwolisz, by twoja rana przeobraziła się w coś znacznie gorszego. Oplakiwałabym cię wówczas.

Usta Yrene zadrżały, ale zacisnęła je mocno i zamruwała, by pozbyć się łez.

– Zdałaś egzaminy o wiele lepiej niż ktokolwiek, kto wszedł do tej wieży – ciągnęła Hafiza cichym głosem. – Ale oto chcę cię poddać jeszcze jednemu testowi. Ostatniemu. Muszę wiedzieć, że jeśli zdecydujesz się odejść, będę mogła cię pożegnać i wysłać na wojnę ze świadomością, że... – Urwała i położyła dłoń na sercu. – Że bez względu na to, w jak mroczne miejsca dotrzesz, nic ci się nigdy nie stanie.

Yrene stłumiła cichy szloch i znów zwróciła się ku miastu. Jasne kamienie odbijały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Przez okno za plecami Najwyższej Uzdrowicielki wpadały podmuchy wieczornego wiatru, który niósł ze sobą woń goździków i lawendy. Jego łagodne tchnienie chłodziło jej twarz i unosiło jej włosy niczym białą chmurę.

Yrene wsunęła dłoń do kieszeni jasnoblękitnej sukni. Jej palce natrafiły na dobrze sobie znaną gładkość złożonego pergaminu. Zacisnęła na nim dłoń, jak to często czyniła podczas podróży morskiej na Południowy Kontynent, w trakcie pierwszych tygodni niepewności, nawet po tym, jak została przyjęta przez Hafizę, a także przez niekończące się godziny trudnych treningów, które niemalże ją załamały.

List napisany przez nieznajomą, która najpierw uratowała jej życie, a potem, raptem kilka godzin później, oddała jej wolność. Yrene nigdy nie poznała imienia tej młodej kobiety, która nosiła blizny tak jak niektóre damy najwspanialszą biżuterię. Wiedziała, że była ona zabójczynią, ale mimo to wykupiła jej drogę do kariery uzdrowicielki.

Ta jedna noc doprowadziła do tylu rzeczy, tylu dobrych rzeczy. Yrene czasami zastanawiała się, czy to wszystko rzeczywiście miało miejsce, i gdyby nie ów list w kieszeni, doszłaby do wniosku, że pewnie śni.

List nie był jedyną pamiątką po przełomowej nocy w Innish. Yrene nigdy nie sprzedała złotej broszy z rubinem, wartej więcej niż kilka ulic Antyki.

Złoto i czerwień. Kolory Adarlanu.

Nie dowiedziała się, skąd pochodziła hojna nieznajoma ani też skąd pochodziły sińce, powoli gojące się na jej twarzy, ale wypowiadała się o Adarlanie w ten sposób co ona. Tak jak wszystkie dzieci, którym Adarlan odebrał wszystko, a pozostawił popiół, łzy i ruinę.

Yrene musnęła kciukiem po liście. Przypomniała sobie wypisane atramentem słowa.

*To na Twoją podróż – obojętnie, dokąd się udasz – i jeszcze trochę. Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki.*

Odetchnęła wieczornym wiatrem, rozkoszując się zapachem przypraw i wody morskiej, którą

przyniósł. W końcu przeniosła wzrok na spokojną, cierpliwą twarz Hafizy.

Wiedziała, że pożałuje, jeśli odmówi. Wiedziała, że Hafiza nie będzie nalegać, ale ona i tak pożałuje, bez względu na to, czy wyjedzie, czy też zdecyduje się pozostać. Musiała sobie to wszystko przemyśleć. Wciąż nie odwdzieczyła się jeszcze za niezwykłą dobroć, jaką okazała jej Hafiza. Zastanawiała się, jak w podobnej sytuacji postąpiłaby mama.

Nawet jeśli ten młody mężczyzna pochodził z Adarlanu, nawet jeśli wypełniał polecenia tego rzeźnika...

– Spotkam się z nim. Zbadam jego stan – zgodziła się. Jej głos zadrżał tylko odrobinę. Mocno zacisnęła dłoń na kartce pergaminu. – A potem zadecyduję, czy będę go leczyć.

Hafiza zastanowiła się.

– Dobrze, dziewczyno – odparła cicho. – Dobrze.

Yrene, drżąc, wypuściła powietrze z płuc.

– Kiedy się z nim zobaczę?

– Jutro – odparła Hafiza, a Yrene skrzywiła się. – Kagan poprosił cię, byś przyszła do komnat lorda Westfalla jutro.

## 5.

Chaol ledwie zmrużył oko tej nocy. Przyczyną częściowo był upał, a częściowo fakt, że przebywali pod dachem niepewnego sprzymierzeńca, gdzie roiło się od potencjalnych szpiegów i nieznanymi niebezpieczeństw, być może zesłanych przez sam Morath. Nie mógł też przestać myśleć o losie, jaki przypadł w udziale Rifthold i wszystkim, którzy byli mu bliscy.

Kolejnym powodem było spotkanie, które miało się zacząć raptem za kilka minut.

Nesryn chodziła z nietypową dla siebie nerwowością po salonie, który miał się stać jego pokojem szpitalnym. Wszędzie dookoła stały niskie kanapy i leżały sterty poduszek, a lśniące podłogi tu i ówdzie zakrywały niezwykle miękkie, wspaniałe utkane dywany. Nesryn powiedziała mu, że wykonali je słynni na cały świat rzemieślnicy z zachodu. Na meblach i ścianach znajdowały się dzieła sztuki i skarby pochodzące ze wszystkich stron imperium kagana, a oprócz tego stały tu wielkie donice z palmami, których liście obwisły pod wpływem żaru słonecznego, wnikającego przez okna i drzwi ogrodowe.

Podczas kolacji najstarsza córka kagana powiedziała mu, że uzdrowicielka zjawi się o dziesiątej. Pamiętał, że księżniczka ma na imię Hasar. Była pospolitej urody, choć jej oczy jaśniały ogniem. U jej boku siedziała czarująca młoda kobieta, jedyna, do której Hasar się uśmiechała. Długie spojrzenia i częste dotknięcia zdradzały, że są kochankami bądź żonami.

Gdy Hasar zapowiadała wizytę uzdrowicielki, na jej twarzy pojawił się krzywy uśmiech, przez co Chaol zaczął się zastanawiać, kogo tak naprawdę mu przydzielono.

Wciąż nie wiedział, co ma myśleć o tych ludziach i tym miejscu. Był w mieście, w którym ceniono wiedzę, w którym pokojowo żyły obok siebie dziesiątki kultur. Mieszkańcy Antyki w niczym nie przypominali ludzi mieszkających w cieniu Adarlanu, pełnych gniewu i upokorzonych, żyjących w strachu, nieufających sobie nawzajem, znoszących największe okropności.

Podczas kolacji pytano go o rzezie niewolników w Calaculli i Endovier. Pytanie wyszło, ściślej mówiąc, od najbardziej śliskiego z grona dzieci kagana, zwanego Arghunem. Gdyby był to jeden z rekrutów do Gwardii Królewskiej Chaola, ten bez trudu wybiłby mu butę z głowy. Wystarczyłoby parokrotnie pokazać mu własne umiejętności i bezwzględnie wepchnąć do jego miejsca w szeregu. W tej sytuacji nie miał jednak jak pokazać pobłażającemu mu, wyniosłemu księciu, iż należy mu się szacunek.

Nie zareagował więc nawet wtedy, gdy Arghun chciał się dowiedzieć, dlaczego były król Adarlanu uznał za stosowne więzić własnych poddanych, a potem wymordować ich jak zwierzęta. Gdy pytał, dlaczego ich władca nigdy nie spojrział na Południowy Kontynent, od mieszkańców którego dowiedziałby się, jak straszną rzeczą jest niewolnictwo.

Odpowiedzi Chaola były krótkie, zwięzłe, niemalże nieuprzejme. Sartaqa, jedyne spośród nich oprócz Kashina, którego Chaol byłby w stanie polubić, w końcu znużyły pytania starszego brata i poprowadził rozmowę w innym kierunku. Były kapitan nie był jednak w stanie się na niej skupić. Jego krew szumiała i tętniła, wzburzona kąśliwymi pytaniami Arghuna. Co więcej, całkowicie pochłonęło go studiowanie twarzy każdego – szlachetnie urodzonego, wezyra czy sługi – który wszedł do wielkiej sali kagana. Nigdzie nie widział czarnych pierścieni bądź naszyjników. Nigdzie nie dostrzegał dziwnych zachowań.

W pewnym momencie spojrział na Kashina i pokręcił ledwie zauważalnie głową, ale ten, choć udał, że niczego nie dostrzega, spojrział na gościa z ostrzeżeniem w oczach. „Szukaj. Bądź czujny”.

Chaol wypełniał więc jego wolę. Słuchał wypowiedzianych dookoła słów i śledził każde spojrzenie, od czasu do czasu skupiając uwagę również na rozstawionych przed nim daniach.

Pomimo śmierci najmłodszej z grona potomków kagana atmosfera przy stole była ożywiona, a dziedzice prowadzili długie rozmowy, na ogół w językach, którymi Chaol nie władał lub wręcz nawet nie rozpoznawał. Wciąż przytłaczała go mozaika otaczających go kultur i narodowości, reprezentowanych przez wezyrów, służących i gości. Księżniczka Duva była poślubiona ciemnowłosemu, smutnookiemu księciu z odległego królestwa, który trzymał się blisko ciężarnej żony i z rzadka się do kogoś odzywał. Niemniej za każdym razem, gdy Duva uśmiechała się do niego

łagodnie... Chaol nie sądził, by ktokolwiek był w stanie udawać blask, który rozjaśniał wówczas twarz mężczyzny. Zastanawiał się, czy milczał on ze względu na wrodzoną małomówność, czy może po prostu nie znał jeszcze na tyle języka żony.

Ciszy ze strony Nesryn nie dało się jednak tym wytłumaczyć. Dziewczyna przez całą kolację siedziała nieruchomo ze zneką miną. Nie odzywała się do niego ani słowem, a o tym, że zażyła kąpieli, dowiedział się tylko dzięki temu, że usłyszał jakiś krzyk, a potem trzaśnięcie drzwiami w jej komnatach. Chwilę później wyszedł stamtąd wyglądający na urażonego służący, który już nie powrócił. Nie pojawił się też żaden zmiennik.

Kadja, służąca przydzielona Chaolowi, pomogła mu się przebrać do kolacji, a potem rozebrać do snu. Natychmiast po przebudzeniu przyniosła mu też śniadanie.

Kagan bez wątpienia znał się na dobrym jedzeniu.

Jego kucharze podawali wybornie przyprawione, skwierczące mięso, tak delikatne, że spadało od kości, a do tego różnokolorowy ryż z ziołami, pieczywo smarowane czosnkowym masłem, wyborne wina i inne trunki pochodzące z całego imperium. Chaol wystrzegał się alkoholu, wypił jedynie lampkę wina w ramach tradycyjnego, stosunkowo obojętnego toastu, który kagan wzniósł za gości. Zważywszy na to, że wciąż nie otrząsnął się z żałoby, było to o wiele cieplejsze powitanie, niżby się Chaol spodziewał.

Nesryn upiła niewiele ponad łyk, skubnęła nieco jedzenia i gdy tylko usunięto talerze, spytała, czy mogliby już wrócić do siebie. Chaol oczywiście się zgodził. Gdy byli blisko komnat, zapytał, czy Nesryn miałaby ochotę na rozmowę, ale odmówiła. Chciała jedynie pójść spać.

Zdobył się wówczas na śmiałość i spytał, czy chciałaby spędzić tę noc wraz z nim.

Trzaśnięcie drzwiami było aż nadto wymowną odpowiedzią.

Kadja pomogła mu więc wejść do łóżka, a on rzucał się i wiercił, pocąc się i marząc o tym, by móc skopać z siebie prześcieradła, a nie musieć je odrzucać. Pałac dysponował przemyślnie skonstruowanym systemem wentylacyjnym – rozliczne wieżyczki, wyrastające między kopułami i minaretami, łapały wiatr, który następnie przemykał przez podziemny system kanałów, gdzie ulegał schłodzeniu, nim z powrotem wpadał do komnat, ale nawet to nie przynosiło Chaolowi ulgi.

Rozmowy między nim a Nesryn nigdy nie należały do udanych. Bywało, że próbowali prowadzić konwersację, ale rezultaty były opłakane.

Układ między nimi był nienaturalny, źle zbudowany. Chaol nieraz przeklinał się w myślach za to, że nie próbował ułożyć sobie z nią relacji. Że nie próbował być dla niej lepszym mężczyzną.

Czekali na uzdrowicielkę już dziesięć minut, a Nesryn ledwie co na niego spojrziała. Jej twarz była blada i wynędzniała, sięgające do ramion włosy zwisały martwo. Nie założyła kapitańskiego munduru, a zamiast tego powróciła do tradycyjnej ciemnoniebieskiej tuniki i czarnych spodni, zupełnie jakby nie była już w stanie nosić barw Adarlanu.

Kadja pomogła mu włożyć kurtkę i posunęła się do tego, by wypolerować guziki. Pracowała z cichą, nieskrywaną dumą i w jej zachowaniu na próżno byłoby szukać nieśmiałości i lęku służby z Rifthold.

– Spóźnia się – wymamrotała Nesryn. W istocie, drogi, zdobiony zegar w rogu zdradzał, że było już dziesięć po dziewiątej. – Może powinniśmy posłać po kogoś i dowiedzieć się, czy w ogóle przyjdzie.

– Daj jej jeszcze chwilę – odezwał się Chaol.

Nesryn zatrzymała się przed nim. Na jej czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Powinniśmy zacząć twoją kurację jak najszybciej. Nie mamy czasu do stracenia.

Chaol nabrał tchu.

– Wiem, że chcesz wrócić do domu, do rodziny...

– Nie będę cię popędzać, ale każdy dzień ma dla mnie znaczenie.

Zauważył napięcie na jej twarzy. Nie miał wątpiwości, że na jego obliczu widnieje podobne. Musiał zebrać całą swą silną wolę, by choć na moment przestać myśleć o tym, gdzie teraz może być Dorian. By odepchnąć lęk.

– Mam inną propozycję. Gdy przybędzie uzdrowicielka, idź do miasta i odszukaj swoich

krewnych. Może wiedzą coś o tym, co się stało z twoją rodziną w Rifthold.

Nesryn machnęła szczupłą dłonią, jakby pragnęła przeciąć niewidzialną nić.

– Poczekam, aż uzdrowicielka zrobi, co ma do zrobienia.

– I będziesz się tu miotać przez cały ten czas? – Chaol zmarszczył brwi.

Nesryn opadła na najbliższą sofę. Złocisty jedwab ugiął się z szelestem pod jej ciężarem.

– Przybyłam tu, żeby pomóc tobie oraz naszej wspólnej sprawie. Nie będę cię zostawiać dla moich własnych spraw.

– A jeśli wydam ci rozkaz?

Nesryn potrząsnęła głową. Ciemne włosy na moment przesłoniły jej twarz. Chaol nabrał tchu, ale nim zdążył się odezwać, rozległo się energiczne pukanie do ciężkich, drewnianych drzwi.

Nesryn wykrzyknęła jakieś słowo, które w halha przypuszczalnie oznaczało: „wejść”. Chaol uważnie słuchał zbliżających się kroków. Były lekkie i ciche.

Drzwi do ich salonu otworzyły się, pchnięte dłonią o barwie miodu.

W pierwszej kolejności Chaol dostrzegł jej oczy.

Oczy, dzięki którym przybyszka mogła zapewne zatrzymać ludzi w pół kroku. Były intensywnie brązowe, choć połyskiwały złotem i wydawało się, że płoną wewnętrznym światłem. Jej włosy zaś były niczym wodospad brązu, przeplatany tu i ówdzie błyskami ciemnego złota, wijący się i skręcający na wysokości wąskiej talii.

Poruszała się z gracją i zwinnością. Obuta w praktyczne, czarne pantofle, stawiała pewne kroki, obojętna na wystrój komnaty. Była młoda, być może miała dwadzieścia jeden lub dwa lata.

Ale jej oczy... Oczy były o wiele starsze.

Zatrzymała się przy rzeźbionym drewnianym krześle, które stało naprzeciwko złotej kanapy. Nesryn zerwała się na równe nogi. Uzdrowicielka – bo któż inny mógłby to być? – emanująca gracją i spokojem, odziana w zwykłą suknię z jasnoniebieskiego muślinu, spoglądała to na niego, to na nią. Była nieco niższa od Nesryn i zbudowana równie delikatnie jak ona, ale pomimo drobnej figury... Chaol odwrócił wzrok od innych atrybutów, którymi uzdrowicielka została hojnie obdarzona.

– Przybywasz z Torre Cesme? – spytała Nesryn w języku Chaola.

Uzdrowicielka wpatrywała się tylko w niego, a w jej niezwykłych oczach zamigotało coś na podobieństwo zaskoczenia i gniewu.

Wsunęła dłoń do kieszeni sukni. Chaol spodziewał się, że zaraz coś z niej wyciągnie, ale tak się nie stało. Przybyszka nadal trzymała dłoń w środku, jakby bawiła się jakimś ukrytym w niej przedmiotem.

Nie przypominała łani, gotowej lada chwila rzucić się do ucieczki, ale dojrzałego jelenia, który zastanawia się, czy uciekać, czy może pochylić głowę i ruszyć do walki.

Chaol ze spokojem wytrzymywał jej wzrok. Podczas swej służby w Gwardii miał do czynienia z wieloma młodymi byczkami, gotowymi pokazać, na co ich stać, ale ujarzmił każdego z nich.

Nesryn zadała pytanie w halha, bez wątplenia powtarzając swoje poprzednie pytanie.

Naraz Chaol dostrzegł cieniutką bliznę na szyi uzdrowicielki, być może długości kilku centymetrów. Doskonale wiedział, jaka broń pozostawia po sobie takie ślady. Przez jego głowę przemknęła cała seria scenariuszy, jak mogło dojść do czegoś takiego, ale nie było wśród nich ani jednego przyjemnego.

Nesryn przyglądała im się w milczeniu.

Uzdrowicielka odwróciła się i podeszła do biurka przy oknie. Usiadła na krześle i przysunęła do siebie arkusz pergaminu z ułożonego tam stosiku.

Chaol nie miał pojęcia, kim byli miejscowi uzdrowiciele, ale kagan nie pomylił się co do jednej rzeczy – z całą pewnością nie byli posłuszni wobec tronu. Co więcej, szlachetne pochodzenie czy władza nie robiły na nich żadnego wrażenia.

Przybyszka otworzyła szufladę i wyjęła z niej pióro.

– Imię? – zapytała, trzymając je nad arkuszem. Mówiła bez miejscowego akcentu.

– Chaol Westfall.

– Wiek?

Ten akcent... Skąd on pochodził...

– Fenharrow.

Pióro uzdrowicielki zamarło.

– Wiek?

– Pochodzisz z Fenharrow? – spytał.

„Co ty tu robisz, tak daleko od domu?” – pomyślał.

Uzdrowicielka wbiła w niego chłodne, wyprane z emocji spojrzenie. Mężczyzna przełknął ślinę i odparł:

– Dwadzieścia trzy lata.

Dziewczyna zapisała kilka słów i spytała:

– W którym miejscu rozpoczyna się bezwład?

Mówiła cichym głosem, a każde jej słowo było przycięte, obojętne. Czyżby zajmowanie się nim było poniżej jej godności? Czyżby oderwano ją od innych, ważniejszych obowiązków? Chaolowi znów przypomniał się krzywy uśmiech Hasar z ubiegłego wieczoru. Być może księżniczka знаła uzdrowicielkę i wiedziała, że ta nie zwykła głaskać pacjentów po głowach.

– Jak się nazywasz? – zapytała Nesryn, na twarzy której znów pojawiło się napięcie.

Uzdrowicielka odwróciła się ku niej i zamrugała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności.

– Jesteś... jesteś stąd?

– Mój ojciec pochodził z Antiki – odparła Nesryn. – Przeprowadził się do Adarlanu, gdzie poślubił mą matkę. Teraz mam rodzinę zarówno tu, jak i tam. – Z podziwu godną wprawą ukryła lęk, który bez wątpienia pojawiał się na samo wspomnienie krewnych w Rifthold, i dodała: – Ja nazywam się Nesryn Faliq i jestem kapitanem Gwardii Królewskiej Adarlanu.

Zaskoczenie w oczach uzdrowicielki zastąpiła czujność, po czym znów wbiła spojrzenie w niego. Skądś wiedziała, kim jest. Chaol widział to w jej wzroku. Wiedziała, że to on kiedyś piastował tę godność, a teraz powierzono mu inną. Imię, wiek... Wszystkie te pytania nie miały znaczenia lub stanowiły element zbędnej biurokracji, choć w to drugie raczej nie wierzył.

Kobieta z Fenharrow, która spotyka dwoje członków adarlańskiego dworu.

Od razu wiedział, co się kryje w jej sercu. Wiedział, co ona ujrzała i skąd pochodziła blizna na jej szyi.

– Jeśli nie chcesz tu być – powiedział bez ogródek – przyślij kogoś innego.

Nesryn odwróciła się gwałtownie ku niemu, ale uzdrowicielka jedynie wpatrywała się w niego.

– Nie ma nikogo, kto mógłby się tym zająć.

„Przysłano najlepszą” – zabrzmiały niewypowiedziane słowa.

Widząc jej spokój i pewność siebie, Chaol nie miał zamiaru tego kwestionować. Uzdrowicielka znów uniosła pióro.

– W którym miejscu rozpoczyna się bezwład? – powtórzyła.

Ciszę przerwało ostre, gwałtowne pukanie do drzwi salonu. Chaol podniósł głowę i przeklął się w myślach za to, że nie usłyszał, jak ktoś się zbliża.

Gościem okazała się księżniczka Hasar, strojna w zieleń i złoto, uśmiechnięta niczym kocica.

– Dzień dobry, lordzie Westfall. Dzień dobry, kapitan Faliq.

Jej warkocz kołysał się z każdym krokiem, gdy podeszła ku uzdrowicielce. Pochyliła się nad nią, by ucałować ją w oba policzki, a ta obrzuciła księżniczkę spojrzeniem, w którym czaiło się rozdrażnienie.

– Zazwyczaj nie jesteś taka marudna, Yrene – rzekła Hasar.

„O, przynajmniej wreszcie pojawiło się imię”.

– Zapomniałam dziś rano napić się *kahve*.

Miała na myśli gęsty, gorzki płyn pełen przypraw, którym Chaol o mało nie zakrztusił się podczas śniadania. Zapytana o niego Nesryn oznajmiła, że z czasem zaczyna smakować.

Księżniczka przysiadła na skraju biurka.

– Nie przyszedł zeszłej nocy na kolację. Kashin był niepocieszony.

Yrene napięła ramiona.

– Musiałam się przygotować.

– Yrene Towers zamknęła się w Torre, by pracować? Chyba zaraz padnę z szoku!

Jej ton głosu sugerował jednak, że nie ma się czemu dziwić. Najlepsza uzdrowicielka w Torre Cesme osiągnęła swoje mistrzostwo tylko dzięki długiej, wyłożonej pracy.

Hasar przyjrzała się Chaolowi.

– Nadal nie chodzi?

– Proces uzdrawiania jest czasochłonny – odparła Yrene łagodnie. W jej głosie nie było ani cienia uległości czy szacunku. – Dopiero co zaczynamy.

– A więc zgodziłaś się, tak?

Yrene smagnęła księżniczkę ostrym spojrzeniem.

– Ustalałam właśnie potrzeby lorda – rzekła i wskazała skinieniem głowy drzwi. – Czy mam cię odszukać, gdy skończę?

Nesryn spojrzała na Chaola z niedowierzaniem. Najwyraźniej była pod wrażeniem. Uzdrowicielka, która odprawia księżniczkę najpotężniejszego imperium na świecie? Hasar pochyliła się i zmierzwiła złocistobrązowe włosy Yrene.

– Gdybyś nie została pobłogosławiona przez bogów, osobiście wycięłabym ci język.

Jad w jej słowach ociekał miodem. Yrene spojrzała na nią, nieco wytrącona z równowagi, i uśmiechnęła się lekko, a Hasar zeskoczyła z biurka i ukloniła się z drwiną.

– Nie przejmuj się, lordzie Westfall. Yrene radziła sobie z obrażeniami o wiele poważniejszymi od twoich. Niedługo postawi cię na nogi, byś znów mógł wypełniać polecenia swego pana.

Wzrok Nesryn ostygł, gdy usłyszała jej słowa, a księżniczka wyszła, zadowolona z efektu, jaki wywołała. Odczekali chwilę, aż usłyszeli odgłos zamykających się drzwi zewnętrznych.

– Nazywasz się Yrene Towers – wykrztusił Chaol.

– I co z tego?

Lekki uśmiech znikł bez śladu. Cóż, dobrze.

– Paraliż zaczyna się na wysokości bioder.

Yrene przyjrzała się jego biodrom, a potem omiotła go wzrokiem.

– Czy twoja męskość pozostaje sprawna?

Wzdrygnął się. Nawet Nesryn zamruwała, zaskoczona bezpośrednim pytaniem.

– Tak – odparł przez ściśnięte gardło. Na próżno walczył z rumieńcem zalewającym jego policzki.

– Czy spełniasz się podczas zbliżeń?

Chaol zacisnął zęby.

– To naprawdę ważne?

W jaki sposób doszła do tego, co łączyło go z Nesryn? Yrene, miast odpowiadać, zapisała coś na swoim arkuszu.

– Co ty piszesz? – spytał ostro. W myślach przeklął swój nieszczęsny fotel, przez który nie mógł się podnieść i wyrwać jej kartki z ręki.

– Właśnie zapisałam odpowiedź na twoje pytanie. Wielkie „nie” – odpowiedziała i podkreśliła ostatnie słowo.

– A teraz, jak rozumiem, wypytasz mnie o to, jak radzę sobie w toalecie? – warknęła Chaol.

– Tak. To następne pytanie na mojej liście.

– Nic się nie zmieniło – wycedził Chaol. – Chyba że Nesryn ma to potwierdzić?

Yrene bez słowa odwróciła się ku kobiecie.

– Czy zauważyłaś, by zmagał się z jakimiś trudnościami?

– Nie odpowiadaj! – parsknął Chaol.

Nesryn miała na tyle zdrowego rozsądku, że rozparła się na krześle i nie odezwała ani słowem.

Yrene podniosła się, odłożyła pióro i obeszła biurko. Poranne słońce mieniło się w jej włosach, tworząc wokół jej głowy złotą koronę. Uklękła u jego stóp.

– Mam zdjąć ci buty czy może sam to zrobisz?

– Ja to zrobię.

Dziewczyna przysiadła na piętach i przyglądała się jego ruchom. Kolejny test. Chciała ustalić, ile zachował sprawności. Chaol zacisnął zęby i złapał za kolano, po czym zdjął stopę z drewnianej podpórki i pochylił się, by kilkoma ostrymi ruchami ściągnąć but. Gdy uporał się z drugim, spytał:

– Spodnie też?

Wiedział, że powinien być uprzejmy i błagać ją o pomoc, a mimo to...

– Musiałabym chyba najpierw trochę wypić – odparła Yrene i spojrzała przez ramię na speszoną nieco Nesryn. – Przykro mi – rzekła, choć jad wciąż sączył się w jej głosie.

– Dlaczego jej to mówisz?

– Przypuszczam, że ostatnimi czasy miała pecha dzielić z tobą łóżko.

Musiał przywołać całe swe opanowanie, by nie złapać jej za ramiona i nie potrząsnąć mocno.

– Czy ja ci coś zrobiłem? – spytał.

Jego słowa nieco ją zafrapowały. Zerwała jego skarpetki i cisnęła je tam, gdzie odrzucił buty.

– Nie.

Kłamstwo. Wyczuł jego smak i zapach.

Mimo to Yrene skupiła się na pracy. Chaol patrzył, jak jej szczupłe dłonie ujmują jego stopę. Patrzył, gdyż nie czuł absolutnie niczego poza zmianami wśród mięśni brzusznych. Nie miał pojęcia, czy uciska jego stopę, czy też trzyma ją delikatnie. Mogłaby wbić w nią paznokcie, a też by tego nie poczuł. Patrzył więc.

Na jej palcu serdecznym widniała obrączka ślubna.

– Twój mąż pochodzi z tych stron? – spytał.

„Albo twoja żona” – dodał w myślach.

– Nie jestem... – Yrene zamrugowała i spojrzała na obrączkę, marszcząc brwi. Nie dokończyła zdania.

„A więc nie jest mężatką”.

Srebrna obrączka była bardzo prosta, a znajdujący się w niej granat drobniutki. Pewnie zakładała ją po to, by mężczyźni dali jej spokój, jak czyniło to wiele kobiet na ulicach Rifthold.

– Czujesz to? – spytała Yrene, która dotykała teraz każdego palca u jego nogi z osobna.

– Nie.

– A to? – Ujęła drugą stopę.

– Nie.

Przechodził już podobne badania, najpierw w zamku, a potem z Rowanem.

– Jego kręgosłup został całkowicie strzaskany – odezwała się Nesryn, jakby i ona przypomniwała sobie księcia. – Nasz przyjaciel zna się trochę na uzdrawianiu i zajął się nim najlepiej jak umiał. Przywrócił mu władzę w górnej części ciała, ale nie mógł nic poradzić na bezwład poniżej bioder.

– W jakich okolicznościach doszło do obrażeń? – spytała uzdrowicielka.

Jej dłonie przesuwaly się teraz wokół jego stopy i kostki, stukając i badając, zupełnie jakby słowa Hasar były prawdą i zajmowała się już podobnymi przypadkami.

Chaol nie odpowiedział od razu. Na dłuższą chwilę zagłębił się we wspomnieniach pełnych terroru, bólu i wściekłości. Nesryn już otwierała usta, gdy Chaol wreszcie zabrał głos:

– W walce. Otrzymałem cios w plecy podczas walki. Cios zadany mocą magiczną.

Palce wspinały się po jego nogach, naciskając i stukając, choć on nie czuł niczego. Skupiona Yrene zmarszczyła czoło.

– Ów przyjaciel to zapewne uzdolniony uzdrowiciel, skoro udało ci się odzyskać aż tyle sprawności w ciele.

– Zrobił, co mógł. Potem kazał mi tu przybyć.

Dłonie uzdrowicielki uciskały teraz jego uda i Chaol z rosnącym przerażeniem przyglądał się,



jak przesuwiała je coraz wyżej. Już miał zamiar zapytać, czy nie nosi się aby z zamiarem sprawdzenia stanu jego męskości, ale wówczas Yrene uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Z tej odległości wydawały się jeziorkami stopionego złota. Nie przypominały zimnego metalu Manon Czarnodziobej – nie było w nich całego wieku szaleństw, agresji i drapieżnych instynktów. Przywodziły raczej na myśl gorzejący płomień w zimową noc.

– Muszę obejrzeć twe plecy – rzekła jedynie Yrene i wstała. – Połóż się na najbliższym łóżku.

Nim Chaol był w stanie przypomnieć jej, że nie jest to dla niego wcale takie łatwe, Nesryn zerwała się, ujęła fotel i wprowadziła go do jego sypialni. Kadja już posłała mu łóżko i pozostawiła bukiet pomarańczowych lilii na stoliku nocnym. Yrene parokrotnie wciągnęła w nozdrza zapach kwiatów, jakby ich woń była czymś nieprzyjemnym.

Chaol powstrzymał się od pytań i odpędził gestem Nesryn, która szykowała się, by pomóc mu się położyć. Łóżko było na tyle niskie, że sam był w stanie temu podołać. Yrene stała na progu i przyglądała mu się, a Chaol oparł dłoń na materacu, odepchnął się ze wszystkich sił i posadził się na łóżku. Następnie odpiął każdy z wypolerowanych pieczołowicie guzików i ściągnął kurtkę, a po niej koszulę.

– Mam się położyć na brzuchu, jak rozumiem?

Yrene odpowiedziała zdawkowym skinieniem.

Chaol złapał się za kolana, napiął mięśnie brzucha i przewrócił się na plecy, wciągając nogi na materac.

Przez kilka uderzeń serca jego dolne kończyny przeszywał osobliwy spazm. Zdarzało się to już wcześniej i wiedział, że nie jest to prawdziwy, kontrolowany ruch. Nadal pamiętał rozpacz, która go ogarnęła, gdy uświadomił sobie, że to z pewnością jakiś efekt uboczny odniesionych obrażeń. Podobne spazmy pojawiały się na skutek gwałtownych ruchów.

– To typowa reakcja przy podobnych urazach – wyjaśniła Yrene, która przyglądała się, jak drżenia słabną, a nogi wreszcie nieruchomieją. – Z czasem miną.

Dała mu znać gestem, by przewrócił się na brzuch. Chaol, nie mówiąc ani słowa, zahaczył jedną kostkę o drugą, położył się na plecach i obrócił się na brzuch. Nogi obróciły się wraz z nim. Jeśli dziewczyna była pod wrażeniem kontroli, jaką sprawował nad swoim kalekim ciałem, nie dała tego po sobie poznać. Nie uniosła nawet brwi.

Chaol ułożył dłonie pod podbródkiem i spoglądał przez ramię, jak uzdrowicielka podchodzi bliżej i gestem nakazuje Nesryn, by usiadła – kapitan bowiem znów zaczęła nerwowo krążyć po komnacie. Przyglądał się Yrene, ciekaw, czy dostrzeże jakąś oznakę stosowanej magii, choć nie miał pojęcia, jak by to miało wyglądać. Dorian władał lodem, wiatrem i oślepiającym światłem, a Aelin rozszalałym ogniem. Jak działała magia uzdrawiająca? Czy to coś, co można zauważyć? Co można poczuć? A może jedynie jego krew i kości odczują jej działanie?

Kiedyś wzdragał się zadawać takie pytania. Ba, być może nigdy by nawet nie pozwolił na to, by magia go dotknęła, ale ta część jego duszy, która obawiała się takich rzeczy, pozostała daleko stąd, wśród szczątków szklanego zamku.

Yrene stała przez moment nad nim i przyglądała się uważnie jego plecom.

W końcu ułożyła dłonie między jego łopatkami. Były ciepłe niczym poranne słońce.

– Zostałeś trafiony tutaj – szepnęła.

Na jego skórze w istocie pozostał ślad po uderzeniu króla. Dorian pokazał mu go przy pomocy dwóch lusterek i Chaol wiedział, że to ledwie zauważalna, nieregularna blada plama.

– Tak.

Jej dłonie przesuwają się teraz wzdłuż jego kręgosłupa.

– Moc uderzenia przetoczyła się tu, szarpiąc i rozrywając tkanę.

Słowa nie były przeznaczone dla niego – zupełnie jakby Yrene mówiła do siebie, pogrążona w transie. Chaol odepchnął od siebie wspomnienie zarówno strasznego bólu, jak i odrętwienia oraz zapomnienia, które spłynęło na niego później.

– Skąd ty to wiesz? – spytała Nesryn.

– Mój dar niczego przede mną nie kryje. – Dłoń Yrene zatrzymała się na środku pleców, gdzie zaczęła uciskać i napierać. – Uderzyła w ciebie ogromna moc.

– Tak – zdołał wykrztusić Chaol.

Jej dłoń schodziła coraz niżej, aż zsunęła nieco jego spodnie. Syknął przez zęby i zerknął na nią znad nagiego ramienia.

– Może ostrzegłabyś mnie następnym razem?

Yrene zignorowała go i skrupulatnie obmacała najniższą część pleców. Niczego nie poczuł. Widział natomiast, jak jej palce niczym odnóża pająka podejmują wędrówkę w górę, jakby Yrene liczyła mu kręgi.

– Tu?

– Tak, tu cię czuję.

Cofnęła się.

– A tu?

– Nie. Nic.

Zmarszczyła brwi, jakby próbowała zapamiętać miejsce, w którym rozpoczynał się paraliż. Potem zajęła się badaniem obu boków, również pytając, w którym miejscu kończy się czucie. Ujęła jego szyję, a potem głowę, obracała ją we wszystkie strony, sprawdzając i oceniając jego stan.

W końcu kazała mu się ruszyć. Nie wstać, oczywiście, ale przewrócić na plecy.

Chaol wpatrywał się w łukowate, malowane sklepienie, a Yrene obmacywała i ostukiwała jego mięśnie piersiowe, potem mięśnie brzucha, a na końcu żebra. Dotknęła też mięśni wnikaających w jego spodnie i zaczęła przesuwać dłonie w dół.

– Serio? – spytał ostro.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Kryjesz tam coś, co wprawia cię w szczególne zażenowanie?

Cóż, wyglądało na to, że Yrene Towers z Fenharrow miała w sobie prawdziwy pazur. Chaol wytrzymał przez chwilę jej spojrzenie, w którym jaśniało jawne wyzwanie, aż uzdrowicielka parsknęła.

– Całkiem zapomniałam, że mężczyźni z Północnego Kontynentu są tak powściągliwi i pruderyjni.

– Tutejsi są inni?

– Tak. Ciało jest tu przedmiotem czci, a nie czymś, czego się wstydzimy i co ukrywamy. Dotyczy to nie tylko mężczyzn, ale także kobiet.

To by wyjaśniało, dlaczego Kadja nie miała żadnych skrupułów w kwestiach nagości.

– Na kolacji wszyscy wyglądali na w pełni ubranych.

– Poczekaj na imprezę – odpowiedziała chłodnym tonem Yrene, ale uniosła dłonie, które przed chwilą badały górne partie krocza. – Jeśli sam nie zauważyłeś żadnych problemów ze swoją męskością, ja również nie muszę się jej przyglądać.

Chaol odepchnął od siebie wrażenie, że znów ma trzynaście lat i po raz pierwszy w życiu próbuje zająć rozmową piękną dziewczynę.

– W porządku – wycedził.

Yrene cofnęła się o krok i podała mu koszulę. Napiął mięśnie ramion oraz brzucha i podniósł się do pozycji siedzącej.

– No i? – spytała Nesryn i podeszła bliżej.

– Muszę się zastanowić. – Yrene bawiła się gęstym lokiem. – I porozmawiać z przełożoną.

– Sądziłam, że jesteś najlepsza – rzekła ostroźnie Nesryn.

– Jestem jedną z wielu, które zostały wykształcone na uzdrowicielki – przyznała Yrene. – Ale to Najwyższa Uzdrowicielka przydzieliła mi to zadanie. Najpierw chciałam więc naradzić się z nią.

– Jest źle? – Nesryn domagała się konkretów.

Chaol poczuł w duchu wdzięczność. Sam nie miał odwagi, by zadać to pytanie. Yrene spojrzała zaś na niego bez lęku.

– Sam przecież wiesz, że jest źle – odparła ze szczerością.

– Ale uda ci się mu pomóc? – naciskała Nesryn.

– Dawałam już sobie radę z podobnymi obrażeniami, ale ta sytuacja... Zobaczmy – odparła Yrene, spoglądając tym razem w oczy Nesryn.

– Kiedy... kiedy będziesz wiedzieć?

– Gdy znajdzie chwilę, by się zastanowić – padła odpowiedź.

„By podjąć decyzję” – uświadomił sobie Chaol. Yrene musiała się zdecydować, czy chce mu pomóc. Spojrzał jej prosto w oczy, by wiedziała, że przynajmniej on dobrze to zrozumiał. Cieszył się, że Nesryn nie ma o tym pojęcia. Przeczował bowiem, że bez wahania przyduśliłaby Yrene do ściany, gdyby się o tym dowiedziała.

Niemniej jednak dla Nesryn uzdrowiciele byli świętością i zasługiwali na szacunek równy bogom. Nikt nie miał prawa kwestionować ich etyki.

– Kiedy powrócisz? – zapytała.

„Nigdy” – pomyślał Chaol, ale nie powiedział tego na głos.

Yrene wsunęła rękę do kieszeni.

– Przyślę wiadomość – odparła jedynie i wyszła.

Nesryn odprowadziła ją wzrokiem i potarła rękami twarz. Chaol nie odzywał się przez dłuższą chwilę, aż jego towarzyszka wyprostowała się i szybkim krokiem weszła do salonu. Rozległ się szelest papieru, po czym Nesryn stanęła na progu ze zmarszczonymi brwiami. Podała mu arkusz pergaminu, na którym pisała Yrene.

– Co to ma oznaczać?

Na pergaminie widniały cztery imiona, wypisane mało czytelnym charakterem pisma.

*Olgia. Marte. Rosana. Josefîn.*

Ostatnie imię zostało przepisane jeszcze kilkukrotnie i podkreślone.

*Josefîn. Josefîn. Josefîn.*

– Może to inne uzdrowicielki w Torre, które mogłyby pomóc – skłamał Chaol. – Może się bała, że szpiedzy usłyszą, jak proponuje kogoś innego.

Nesryn uśmiechnęła się krzywo.

– Zobaczmy, co powie, kiedy wróci. Przynajmniej Hasar wie, gdzie jej szukać w razie potrzeby.

Lub Kashin, którego imię wyraźnie wyprowadziło uzdrowicielkę z równowagi. Chaol nie miał zamiaru jej zmuszać, by się zajęła jego leczeniem, ale... Cóż, była to wartościowa informacja.

Chaol raz jeszcze przyjrzał się pozostawionej kartce, a potem podkreślonemu imieniu.

Miał wrażenie, że Yrene chciała sama siebie napomnieć podczas pobytu tutaj. Pamiętać o czymś w jego obecności. Jakby chciała, aby ci ludzie wiedzieli, że o nich pamięta.

Znał kiedyś pewną utalentowaną, młodą uzdrowicielkę z Fenharrow. Jego król kochał ją tak bardzo, że chciał uciec wraz z nią i poszukać dla niej innego, lepszego życia. Dobrze wiedział, co się działo w Fenharrow, gdy byli młodzi. Wiedział, co Sorscha tam zniosła i co później czekało na nią w Rifthold. Nieraz przemierzał konno poczerńiałe równiny Fenharrow, często widywał spalone bądź porzucone kamienne chaty, już dawno pozbawione strzech. Ich właściciele byli w niewoli, zginęli bądź zbiegli daleko, jak najdalej.

„Nie – uświadomił sobie Chaol, wciąż trzymając arkusz. – Yrene Towers nie wróci”.

6.

Yrene wiedziała, ile były kapitan Gwardii miał lat, ale nie spodziewała się, że okaże się taki... taki młody.

Nie zastanawiała się nad jego wiekiem, dopóki nie weszła do jego pokoju i nie ujrzała jego przystojnej, zahartowanej twarzy, na której widniała mieszanina ostrożności i nadziei.

To właśnie owa nadzieja wzbudziła w niej furję tak wielką, że nagle zapragnęła dodać kolejną bliźnę do tej wąskiej, która przecinała jego policzek.

Okazała ogromny, przerażający wprost brak profesjonalizmu. Nigdy, przenigdy nie okazała żadnemu pacjentowi takiej niechęci i braku wyrozumiałości. Na szczęście pojawiła się Hasar, która pomogła jej dojść do siebie, ale wciąż sama myśl o dotknięciu tego człowieka i szukaniu sposobów, by mu pomóc...

Z początku nie miała zamiaru zostawiać u niego kartki z imionami czterech kolejnych przodków. Nie chciała wypisywać imienia matki pod pozorem notowania informacji, tym bardziej że w niczym to nie pomogło. W jej głowie nadal wściekle ryczały emocje.

Jakąś godzinę później, spocona i pokryta kurzem, wtargnęła do gabinetu Hafizy. Wędrówka z pałacu przez wąskie, zatłoczone uliczki, a potem wspinaczka po niekończących się stopniach rozciągnęły się w wieczność.

Najpierw się spóźniła, co było pierwszym przejawem braku profesjonalizmu. Nigdy dotąd nie przybyła za późno do pacjenta. Tymczasem, choć wybiła już dziesiąta, Yrene nadal stała na korytarzu przed komnatami gości i zakrywała dłońmi twarz, próbując oddychać.

Spodziewała się ujrzeć krwiożerczego brutala. Było inaczej.

Wysławiał się z godnością, bardziej jak lord niż żołnierz, choć ciałem przypominał raczej człowieka, który żyje z miecza. Opatrywała i leczyła wielu spośród ulubionych wojowników kagana i bez trudu rozpoznawała dotykiem ich mięśnie, a bliźny na opalanej skórze lorda Westfalla zdradzały, że nieraz płacił za nie krwią. Teraz dzięki swej muskulaturze był w stanie przemieszczać się w fotelu na kółkach.

A ów cios, wymierzony w jego plecy...

Yrene zatrzymała się na progu biura Najwyższej Uzdrowicielki. Hafiza, która siedziała obok zapłakanej, pociągającej nosem akolitki, uniosła głowę.

– Muszę z tobą porozmawiać – wykrztusiła Yrene, zaciskając dłoń na framudze.

– Porozmawiamy, gdy nadejdzie odpowiednia chwila – odparła Hafiza i podała dziewczynie chusteczkę.

Zdarzali się uzdrowiciele mężczyźni, ale Silba na ogół zsyłała swój dar na kobiety. A ta dziewczyna, na pierwszy rzut oka nielicząca sobie więcej niż czternaście lat... W jej wieku Yrene ciężko harowała na farmie kuzyna i marzyła o tym, by znaleźć się w Torre. Z całą pewnością nawet nie przyszło jej do głowy, by się przed kimś użalać na swój los.

Mimo to wyszła, zatrzaskała drzwi za sobą i oparła się o ścianę wąskiej klatki schodowej.

Na tym piętrze znajdowało się jeszcze dwoje drzwi – jedno zamknięte, które prowadziły do osobistej pracowni Hafizy, oraz drugie, za którymi znajdowała się sypialnia Najwyższej Uzdrowicielki. Na pierwszych widniał symbol sowy zrywającej się do lotu, a na drugim ten sam ptak podczas odpoczynku. Sowa była symbolem Silby. Jej wizerunki, wyrzeźbione w drewnie bądź wykute w kamieniu, znajdowały się wszędzie w wieży, czasem w całkowicie nieoczekiwanych miejscach i w niekoniecznie poważnych pozach, jak gdyby jakiś akolita dawno temu wyrzył je dla żartu. Niemniej jednak sowa na drzwiach pracowni Hafizy...

Choć siedziała na sękatej gałęzi z żelaza, która ciągnęła się przez całe drzwi, i unosiła skrzydła, jakby właśnie miała wzbić się do lotu, wydawała się... czujna. Była świadoma obecności każdego człowieka, który przekroczył próg pracowni bądź chociaż przyglądał się drzwiom zbyt długo. Hafiza była jedyną osobą, która posiadała do nich klucz, wręczony jej jeszcze przez jej poprzedniczkę. Inni akolici szeptali, że w środku znajdują się starożytne księgi z częściowo zapomnianą wiedzą, tajemnicze urządzenia oraz inne nienaturalne rzeczy, które lepiej było trzymać pod kluczem.

Yrene zawsze się śmiała, gdy słyszała podobne szept, ale nikomu nie powiedziała, że wraz z kilkoma starannie wybranymi adeptami otrzymała zaszczyt wejścia wraz z Hafizą do jej pracowni. W środku, nie licząc niektórych starych mebli i narzędzi, nie było niczego, co mogłoby stać się tematem plotek. Tajemnica pracowni Najwyższej Uzdrowicielki jednakże nadal miała się dobrze jako jeden z ulubionych mitów Torre, przypuszczalnie od wieków przekazywanych młodszym pokoleniom akolitów.

Yrene wachlowała sobie twarz, wciąż zdyszana od upału i wspinaczki po schodach. Oparła głowę o chłodny kamień i znów dotknęła dłonią listu w kieszeni. Zastanawiała się, czy lord zauważył, jak często go dotyka. Ciekawiło ją, czy uznał, że sięga po broń. Był przecież bystrym obserwatorem. Widział wszystko, był świadom każdego jej oddechu.

Był wyszkolonym, czujnym wojownikiem. Musiał nim być, skoro służył nieżyjącemu królowi, podobnie jak Nesryn Faliq, córka tego kontynentu, obecnie służąca władcy krainy, w której nie traktowano dobrze cudzoziemców.

Yrene nie rozumiała dobrze tej sytuacji. Wyczuwała zarówno zażyłość między Faliq i Westfallem, jak i swoiste napięcie. Przypuszczała, że łączy ich jakaś głębsza więź, ale nie potrafiła ustalić, jak ważna była dla nich. Zresztą to nieistotne. Zauważyła tylko tyle, że lord potrzebował również leczenia duchowego. Nie był nawykły do mówienia o swoich uczuciach, lękach, nadziejach i rozterkach. Tego była pewna.

Drzwi do gabinetu Hafizy otworzyły się wreszcie i pojawiła się młodzianka akolitka, która uśmiechnęła się przeprasząc do Yrene. Miała zaczerwioną nos oraz zażawione oczy.

Yrene westchnęła i odpowiedziała uśmiechem. Nie leżało w jej zwyczaju tak po prostu wpadać do biura przełożonej. I choć miała tysiące spraw na głowie, zawsze znajdowała czas dla akolitek, zwłaszcza tych, które tęskniły za domem.

Przy niej nikt nie usiadł na stołówce podczas jej pierwszych dni w wieży.

Yrene nadal pamiętała te samotne posiłki. Po dwóch dniach coś w niej pękło i zaczęła zabierać jedzenie ze sobą do wielkiej podziemnej biblioteki. Tam kryła się przed surowymi bibliotekarzami, którzy nie pozwalali na podobne ekscesy, i jadła w samotności, mając dla towarzystwa jedynie szwendające się to tu, to tam kocice Baast i rzeźbione sowy.

Wróciła do stołówki dopiero wówczas, gdy w trakcie zajęć nawiązała tyle znajomości, że perspektywa szukania miejsca dla siebie nie wydawała jej się już taka straszna. Widok znajomych, uśmiechniętych twarzy dodał jej na tyle odwagi, że zdecydowała się opuścić bibliotekę wraz z jej tajemniczymi kotami i wracać tam tylko po to, by poszerzać wiedzę.

Yrene dotknęła ramienia akolity i szepnęła:

– Kucharka zrobiła dziś rano migdałowe ciasteczka. Czuję po drodze ich zapach. Powiedz jej, by dała mi sześć, ale zatrzymaj cztery dla siebie. – Mrugnęła do dziewczyny i dodała: – Zostaw je w moim pokoju.

Dziewczyna rozpromieniła się i skinęła głową.

Kucharka była przypuszczalnie pierwszą przyjaciółką Yrene w Torre. To ona zauważyła, że dziewczyna jada sama, i zaczęła podrzucać dodatkowe przysmaki na jej tacę. Czasami podrzucała też co nieco do jej pokoju, a nawet zostawiała jedzenie w jej ulubionym kąciku w bibliotece. Yrene odwzajemniła się kucharce w zeszłym roku, gdy uratowała jej wnuczkę przed podstępny atakiem choroby płuc. Kucharka wciąż dziękowała jej ze łzami w oczach, gdy wpadały na siebie, a Yrene pilnowała, by przynajmniej raz do roku zajrzeć do dziewczynki i sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

Po wyjeździe będzie musiała poprosić kogoś, by robił to za nią. Czy była w stanie odciąć się od życia, które sobie tu zbudowała? Cóż, zadanie nie wydawało się łatwe, a na pewno myśli o nim towarzyszyły wielkie wyrzuty sumienia.

Yrene odprowadziła wzrokiem wciąż pociągającą nosem akolitkę, która w podskokach zbiegała po spiralnych schodach, po czym nabrała tchu i wkroczyła do gabinetu Hafizy.

– Czy młody lord będzie znów chodził? – spytała Najwyższa Uzdrowicielka w ramach powitania,

unosząc wysoko białe brwi.

Yrene usiadła na tym samym krześle co zawsze, wciąż ciepłym po dziewczynie, która właśnie z niego wstała.

– Będzie. Jego obrażenia są niemalże identyczne z tymi, które leczyłam rok temu zimą. Ale zadanie nie będzie łatwe.

– A co stanowi problem? Samo leczenie czy może ty sama?

– Zachowałam się... – Yrene zarumieniła się. – Nie tak, jak należy.

– Spodziewałam się tego.

– Czuję wstyd na samą myśl, że miałabym ci o tym opowiadać. – Yrene otarła pot z czoła.

– A więc nie rób tego. Po prostu następnym razem daj z siebie więcej, a obie uznamy to, co właśnie miało miejsce, za kolejną lekcję życiową.

Yrene zgarbiła się i wyciągnęła obolałe nogi na wydeptanym dywanie swej przełożonej. Służące Hafizy prosiły ją i błagały, ale ta ciągle wzbraniała się przed wymianą czerwono-zielonego dywaniku na inny. Skoro nadawał się dla pięciu pokoleń jej poprzedniczek, nadawał się również dla niej.

Yrene oparła głowę o miękkie oparcie i spojrzała na bezchmurne niebo za otwartym oknem.

– Myślę, że mogę go uleczyć – powiedziała bardziej do siebie niż do Hafizy. – Jeśli zgodzi się współpracować, mogę go postawić na nogi.

– A będzie współpracować?

– Nie tylko ja zachowałam się nie tak, jak należy – odparła dziewczyna. – Choć on przecież pochodzi z Adarlanu. Być może takie postępowanie jest dla niego czymś naturalnym.

Hafiza parsknęła śmiechem.

– Kiedy odwiedzisz go ponownie?

Yrene zawahała się z odpowiedzią.

– Bo wrócisz do niego, prawda? – naciskała Hafiza.

Yrene skubała wypłowiałe od słońca włókna w obiciu krzesła.

– Trudno mi było... Trudno mi było spojrzeć na niego, słuchać jego akcentu i... – Narzuciła ręką bezruch i dodała: – Ale masz rację. Spróbuję. Choćby tylko po to, by Adarlan nie miał nigdy do mnie pretensji.

– A spodziewasz się czegoś takiego?

– On ma potężnych przyjaciół, którzy mogą nie chcieć o tym zapomnieć. Jego towarzyszką jest nowa kapitan Gwardii. Jej rodzina pochodzi stąd, a mimo to służy im.

– Co ci to mówi?

Znowu kolejna lekcja. Kolejny test.

– Mówi mi to... – Yrene odetchnęła. – Mówi mi to, że nie wiem tyle, ile sądziłam. – Wyprostowała się i rzekła: – Ale nie usprawiedliwia wszystkich jego grzechów.

Przecież spotkała wielu złych ludzi w swoim życiu, przecież żyła wśród nich i usługiwała im w Innish. Tymczasem jedno spojrzenie w brązowe oczy lorda Westfalla wystarczyło, by nabrała pewności, że nie jest jednym z nich. Podobnie jak jego towarzyszka.

A jego wiek... Lord Westfall był jeszcze młodym chłopakiem, gdy popełniono wiele spośród największych zbrodni. Niewykluczone, że mimo to odegrał w nich pewną rolę, poza tym w ostatnich latach również doszło do kilku nowych rozlewów krwi – na samą myśl o nich Yrene robiło się niedobrze – ale...

– On twierdzi, że jego paraliż jest wynikiem działania złej magii – rzekła.

Jej własna moc aż się cofnęła, gdy Yrene nachyliła się nad śladem na plecach mężczyzny, jakby chciała się ukryć.

– Doprawdy?

– Nigdy... – Yrene zadrżała. – Nigdy dotąd czegoś takiego nie czułam. Miałam wrażenie, że to miejsce zgniło, a jednocześnie jest puste. Zimne niczym najdłuższa zimowa noc.

– Będę ci musiała uwierzyć na słowo.

Yrene parsknęła, ale w głębi duszy była wdzięczna mentorce za ten żart. W istocie, Hafiza nigdy

w życiu nie widziała śniegu. W Antice przez cały rok panowała ładna pogoda i przez ostatnie dwa lata jak dotąd tylko raz lawendę i drzewa cytrynowe posrebrzył nad ranem przymrozek.

– To było... – Yrene odepchnęła wspomnienie echa potężnej magii, które nadal wyczuwała w znamieniu. – To coś w niczym nie przypominało żadnej magii, z którą jak dotąd się zetknęłam.

– Czy będzie to miało wpływ na leczenie kręgosłupa?

– Nie wiem. Nie próbowałam jeszcze zbadać rany własną mocą, ale... Ale dam ci znać.

– Jestem do twojej dyspozycji.

– Nawet jeśli to mój ostateczny test?

– Dobra uzdrowicielka – odparła Hafiza z uśmiechem – wie, kiedy należy poprosić o pomoc.

Yrene pokiwała głową, zamyślona. Do kogo się zwróci, kiedy już popłynie do domu? Gdy otoczy ją wojna i rozlew krwi?

– Wrócę do niego – zdecydowała. – Jutro. Dziś wieczorem poczytam w bibliotece o uszkodzeniach kręgosłupa i paraliżu.

– Powiadomię kucharkę, gdzie można cię znaleźć.

Yrene uśmiechnęła się krzywo do przełożonej.

– Nic się przed tobą nie ukryje, co?

Znaczące spojrzenie Hafizy bynajmniej nie podniosło jej na duchu.

\*\*\*

Uzdrowicielka już nie wróciła tego dnia. Chaol zajął się czytaniem w salonie, a Nesryn odczekała dwie godziny, po czym oznajmiła, że wychodzi, by odwiedzić rodzinę.

Od wielu lat nie widziała swej ciotki oraz wuja z dziećmi i modliła się w duchu, by nadal mieszkali w tym samym domu.

Ledwie co zmrużyła oko tej nocy. Straszliwe wizje, które nie przestawały jej nękać, czyniły ją obojętną na głód i wyczerpanie, a wizyta uzdrowicielki, która nie udzieliła im żadnej odpowiedzi, nie poprawiła jej nastroju. Na szczęście nie mieli ustalonego żadnego spotkania z kaganem ani jego dziećmi.

– Mogę się zająć sobą, wiesz? – oznajmił Chaol, odkładając książkę na kolana. – Udałbym się tam z tobą, gdybym mógł.

– Już wkrótce będziesz w stanie – obiecała mu Nesryn. Uzdrowicielka, choć nie udzieliła żadnej odpowiedzi, która mogłaby im dać choć odrobinę nadziei, wydawała się kompetentna, a gdyby nie zdołała im pomóc, Nesryn była gotowa poszukać kolejnej. A potem następnej, nawet jeśli musiałyby przy tym błagać Najwyższą Uzdrowicielkę o łaskę.

– Idź, Nesryn – przykazał jej Chaol. – Może spotkanie z rodziną przyniesie ci wreszcie choć odrobinę spokoju.

Wojowniczką potarła ręką po szyi, a potem podniosła się ze złotej kanapy i podeszła do niego. Oparła dłonie na poręczach fotela, który stał przy otwartych drzwiach ogrodowych. Jej twarz znalazła się blisko jego oblicza, o wiele bliżej, niż się to ostatnio zdarzało. Jego oczy wydawały się jaśniejsze, odrobinę bardziej lśniące niż wczoraj.

– Wrócę najszybciej, jak będę mogła – rzekła.

Chaol uśmiechnął się lekko.

– Nie spiesz się. Spędź z nimi chwilę.

Kiedyś jej wyznał, że nie widział swej matki ani brata od wielu lat, a ojciec... Cóż, Chaol nigdy nie mówił o ojcu.

– Być może – szepnęła Nesryn – moglibyśmy poszukać odpowiedzi dla uzdrowicielki.

Zamrugał, nie rozumiejąc.

– No wiesz – szepnęła. – O spełnieniu.

Światło w oczach Chaola zgasło błyskawicznie.

Nesryn cofnęła się pospiesznie. Całkiem zapomniała, że przecież raz już powstrzymał ją na okęcie, gdy praktycznie skoczyła na niego. Niemniej jednak gdy ujrzała go bez koszuli, gdy zobaczyła te mięśnie, prześlizgujące się pod skórą, jego wspaniałe brzuch... W myślach błagała uzdrowicielkę, by

to jej pozwoliła przeprowadzić badanie.

„Jestem żalosna” – pomyślała, choć wiedziała, że nigdy nie była dobra w powstrzymywaniu się przed spełnianiem swoich zachcianek. Sypiała z nim tego lata, bo była świadoma, że opieranie się pożądanemu nie ma sensu, nawet jeśli nie zależało jej na nim tak jak teraz.

Przeczesała dłonią włosy.

– Wrócę przed kolacją.

Chaol machnął jej na pożegnanie, a gdy wychodziła, znów był pogrążony w lekturze.

Pamiętała, że nie składali sobie żadnych obietnic. Wiedziała, że jest dobrym człowiekiem i przez to chce dla niej jak najlepiej, a tego lata, gdy szklany zamek runął, a Nesryn myślała, że zginął... Nigdy w życiu nie czuła takiego lęku. Nigdy nie modliła się tak intensywnie jak w tych chwilach. Pamiętała wyraźnie, jak płomienie Aelin ocaliły ją przed śmiercią. Była gotowa oddać wszystko, by ocaliły również jego.

Nesryn odepchnęła od siebie myśli o tych dniach. Przemierzała korytarze pałacu, nie do końca pamiętając, gdzie należy szukać bram do samego miasta. Kiedyś pragnęła raz jeszcze odwiedzić Anticę i oddałaby wszystko, by móc na powrót przechadzać się po jej ulicach, ale po tym, co rzekł kagan, przestało jej zależeć.

Opuściła swą rodzinę. Powinna była pozostać w Rifthold. Powinna była chronić dzieci, swego starzejącego się ojca, roześmianą, acz krewką siostrę.

– Kapitan Faliq! – rozległ się przyjemny głos, a Nesryn stanęła jak wryta, wciąż nieprzyzwyczajona do swego tytułu.

Stała na skrzyżowaniu korytarzy pałacowych. Zapamiętała ich układ, gdy prowadzono ich tędy pierwszego dnia, i wiedziała, że jeśli wejdzie w ten, który zaczynał się na wprost, dojdzie do wyjścia. Tymczasem na końcu korytarza, który przecinał jej własny, stał książę Sartaq.

Wspaniałe szaty, które miał na sobie poprzedniego dnia, znikły bez śladu. Teraz założył bardziej obcisły strój, a jego ramiona i nogi chroniła zwykła, ale mocna zbroja. Nie nosił napierśnika. Długie, czarne włosy splótł w warkocz, który przewijał cienkim rzemieniem.

Ukloniła mu się nisko, okazując więcej szacunku niż innym dzieciom kagana. Wszak Sartaq mógł kiedyś zasiąść na tronie i stać się sojusznikiem Adarlanu.

O ile przeżyje.

– Spieszysz się – rzekł Sartaq, widząc, którądy zmierza Nesryn.

– Ja... ja mam krewnych w mieście. Chciałam się z nimi spotkać – odparła i nieopatrznie dodała:

– Chyba że Wasza Wysokość ma dla mnie jakieś zadanie.

Na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech, a Nesryn uświadomiła sobie, że odruchowo odpowiedziała w swym własnym języku. W ich języku.

– Chciałem się przelecieć na Kadarze. To mój ruk – dodał, również w ojczystej mowie.

– Wiem – odparła. – Słyszałam niejedną opowieść.

– Nawet w Adarlanie? – Sartaq uniósł brew.

A więc nie dość, że był wojownikiem, to jeszcze uwodzicielem. Niebezpieczne połączenie, choć Nesryn nie przypominała sobie, by był żonaty. W istocie, na jego palcach nie było żadnej obrączki.

– Nawet w Adarlanie – odparła.

Wolała nie wspominać, że zwykły człowiek na ulicy przypuszczalnie tych opowieści nie znał, ale za to w jej domu... Och, tak, a jakże. Nazywano go Skrzydlatym Księciem.

– Czy mogę cię odprowadzić? Te ulice to nawet dla mnie labirynt.

Była to niezwykła propozycja i wielki zaszczyt.

– Nie chcę odwozić cię od twej powietrznej wyprawy – odparła Nesryn, głównie dlatego, że nie miała pojęcia, jak rozmawiać z takimi mężczyznami, którzy od dziecka dzierżyli władzę i otaczali się wspaniałymi damami oraz knującymi politykami. Aczkolwiek jego jeźdźcy ruków, jeśli wierzyć legendom, mogli pochodzić zewsząd.

– Kadara jest przyzwyczajona do czekania – rzekł Sartaq. – Pozwól przynajmniej, bym cię odprowadził do bram pałacowych. Dziś wartę pełni nowa zmiana straży. Każę im cię zapamiętać, abys



nie miała problemów z powrotem.

Miała na sobie zwykle ubranie i nie zajęła się nawet fryzurą... W istocie, strażę mogły jej nie wpuścić, a to... Cóż, byłoby to nie lada upokorzeniem.

– Dziękuję – odparła i ruszyła w ślad za księciem.

Bez słowa minęli białe chorągwie spływające z otwartego okna. Chaol podzielił się z nią wczoraj podejrzeniami Kashina, jakoby ich najmłodsza siostra padła ofiarą spisku. Powiedział również, że być może stoi za tym jeden z agentów Perringtona, co wystarczyło, by zaszczepić w niej lęk. Naraz znów czuła, że powinna zapamiętywać każdą mijaną twarz i zaglądać w każdy ciemny kąt.

Gdy mijali proporce, Nesryn spojrzała na idącego przed nią Sartaqą i zauważyła, jak ten pozdrawia skinieniem grupkę kłaniających mu się mężczyzn i kobiet w złotych szatach wezyrów. Zaskoczyła sama siebie pytaniem:

– Naprawdę jest ich trzydziestu sześciu?

– Tak, jasne. Wszak mamy obsesję na punkcie tej liczby. – Książę parsknął w sposób nielicujący z dworską etykietą. – Ojciec rozważał, czy nie zmniejszyć ich liczby o połowę, ale bardziej bał się gniewu bogów niż politycznych reperkusji.

Rozmowa w ojczystym języku była dla Nesryn niczym powiew rześkiego, jesiennego powietrza. Cieszyła się, że wreszcie stanowi to codzienność, a nie jest dziwactwem, które budzi powszechne zdumienie. Zawsze tak czuła, gdy przybywała do ojczyzny.

– Czy lord Westfall spotkał się z uzdrowicielką?

Nesryn uznała, że prawda nie może nikogo skrzywdzić, i odpowiedziała:

– Tak. To Yrene Towers.

– Ach, owiana legendami Złocista Pani!

– Czyżby?

– Czarująca, nieprawdaż?

– Widzę, że ci się podoba. – Nesryn uśmiechnęła się lekko, na co Sartaq parsknął śmiechem.

– Och, nie ośmieliłbym się nawet o niej pomyśleć. Mój brat Kashin nie byłby z tego zadowolony.

– Coś ich łączy? – spytała. Hasar coś o tym wspominała.

– Są przyjaciółmi. Albo może byli? Od dawna nie widziałem, by rozmawiali, ale któż może wiedzieć, co się wydarzyło między nimi. Choć może dość tych historii. Jeszcze mnie uznasz za dworskiego plotkarza.

– Dobrze jest o tym wiedzieć, skoro z nami pracuje.

– Czy jej zdaniem stan lorda Westfalla rokuje nadzieje?

– Nie powiedziała nic konkretnego. – Nesryn wzruszyła ramionami.

– Wielu uzdrowicieli tak postępuje. Nie lubią dawać komuś nadziei, a potem ją odbierać – rzekł książę i zarzucił warkocz na ramię. – Choć od siebie dodam, że zeszłej zimy Yrene osobiście wyleczyła jednego z jeźdźców Kashina z bardzo podobnego stanu. Uzdrowiciele od dawna wiedzą, jak radzić sobie z takimi obrażeniami, które często spotykają naszych jeźdźców oraz moich *rukhin*. Dobrze wiedzą, jak postępować w takich przypadkach.

Nesryn poskromiła rodzącą się w niej nadzieję. Przed sobą ujrzała oślepiające światło dnia – zbliżali się do wrót, które wychodziły na główny dziedziniec i bramy pałacowe.

– Od jak dawna dosiadasz ruka, książę? – spytała.

– Sądziłem, że znasz wszystkie opowieści. – Na twarzy Sartaqą pojawiło się rozbawienie.

– Słyszałam głównie plotki. Wolę prawdę.

Książę wbił w nią spojrzenie swoich ciemnych oczu, tak nieprzeniknione i intensywne, że poczuła ulgę na myśl, że nie patrzy tak na nią częściej. Powodem nie był lęk, ale... raczej niepokój. Czuła się nieswojo, czując na sobie wagę jego wzroku. Miała wrażenie, że to bystre, przenikliwe spojrzenie orła. Ba, ruka!

– Miałem dwanaście lat, gdy ojciec zabrał nas wszystkich do górskiego gniazdowiska. Wymknąłem się pozostałym, wdrapałem na siodło ruka dowódcy oddziału i wzbiłem się ku niebu. Musieli mnie doścignąć, by sprowadzić na ziemię. Ojciec powiedział mi później, że gdybym rozbił się

o skały, w pełni bym sobie na to zasłużył, bo głupi ludzie nie powinni mieć prawa do życia. Za karę kazał mi żyć wśród *rukhin*, aż będę mu w stanie udowodnić, że nie jestem kompletnym idiotą. Zasugerował, że może mi to zająć całe życie.

Nesryn roześmiała się cicho i zamrugła, oślepią blaskiem słońca. Wyszli na wielki dziedziniec. Okalające go kolumny i łuki nad nimi ozdobiono rzeźbami zwierząt i roślin, a wyrastający w górze pałac wydawał się ogromny niczym drzemiący lewiatan.

– Na szczęście nie zgubiła mnie moja własna głupota, a zamiast tego pokochałem ich tryb życia. Dali mi niezły wycisk, gdyż byłem wysoko urodzony, ale szybko pokazałem im, na co mnie stać. Kadara wykluła się, gdy miałem piętnaście lat, i sam ją wychowałem. Od tej pory nigdy już nie dosiadłem innego ruka.

W jego onyksowych oczach połyskiwały duma oraz umiłowanie.

A oni przybyli, by go prosić – ba, błagać! – by dosiadł swego ukochanego wierzchowca i pomknął na nim do bitwy przeciwko wyvernom, o wiele większym i nieskończenie silniejszym od ruków. Potworom zbrojnym w jadowite ogony. Nesryn poczuła, jak przewraca jej się w żołądku.

Dotarli do wielkich bram. W jednym ze skrzydeł z grubych, nabijanych ćwiekami płyt z brązu wycięto niewielkie drzwi na użytek pieszych, którzy szli do pałacu lub z niego wychodzili. Nesryn stała nieruchomo, podczas gdy Sartaq przedstawił ją ciężkozbrojnym strażnikom i nakazał im, by pozwolili jej na w niczym nieograniczony dostęp do pałacu. Słońce odbiło się od rękojeści mieczy, skrzyżowanych na plecach strażników, gdy ci ukłonili się księciu na znak, że przyjęli rozkazy. Każdy z nich przyłożył przy tym pięść do serca.

Nesryn zauważyła już, że Chaol nie mógł na nich patrzeć, zarówno na wojowników w dokach, jak i na tych stojących przy bramach.

Sartaq poprowadził ją przez niewielkie drzwi. Zwróciła uwagę, że wykonane z brązu płyty są grube prawie na długość stopy. Chwilę później znaleźli się na szerokiej, wyłożonej brukiem alei, która opadała ku labiryntowi uliczek miejskich. Dookoła wznosiły się rezydencje możnych, którzy życzyli sobie mieszkać w cieniu pałacu kagana. Każda z posiadłości była pilnowana przez zbrojnych. Na ulicy panował ścisk – setki ludzi załatwiała ważne sprawy bądź spacerowało dla przyjemności. Nesryn dostrzegła również podróżnych, którzy przybyli tylko po to, by z podziwem przyjrzeć się pałacowi. Teraz usiłowali dojrzeć jakieś szczegóły dziedzińca przez drzwi, którymi przeszli Nesryn i Sartaq. Wyglądało na to, że nikt nie rozpoznaje idącego obok niej księcia, ale wiedziała, że strażnicy przy bramie i wzdłuż ulicy śledzą każdy ich krok.

Wystarczył rzut oka na Sartaq, by nabrać pewności, że również był tego świadom. Pewnym krokiem szedł przed siebie, jakby był zwykłym człowiekiem. Nesryn rozejrzała się po zatłoczonej ulicy i wsłuchiwała się w jej gwar. Dotarcie pieszo do rodziny, która mieszkała po przeciwnej stronie miasta, potrwałoby około godziny, ale w takim ścisku konno bądź powozem jechałaby jeszcze dłużej.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz eskorty? – spytał Sartaq.

Na twarzy Nesryn błąkał się uśmieszek. Widziała kątem oka, że mężczyzna nie przestaje się jej przyglądać.

– Dam sobie radę, książę, ale dziękuję ci za propozycję. To dla mnie wielki zaszczyt.

Sartaq obrzucił ją uważnym spojrzeniem wojownika. W istocie był człowiekiem, który nie miał się czego obawiać, gdy wychodził z pałacu na ruchliwe ulice.

– Jeśli znajdziesz czas bądź nabierzesz ochoty, zapraszam cię na przejażdżkę. Niebo nad nami to nieograniczona przestrzeń. Można odpocząć od pyłu, kurzu i soli.

„Nieograniczona przestrzeń – pomyślała Nesryn. – Gdzie nikt nie ma szansy nikogo podsłuchać”.

Ukloniła się nisko i powiedziała:

– Będę niezmiernie zobowiązana.

Czuła na sobie wzrok księcia, gdy szła przed siebie zalaną słońcem aleją, wymijając wozy i inne wehikuły, które przeciskały się wśród tłumu. Nie ośmieliła się jednak spojrzeć za siebie i nie miała pojęcia dlaczego.

7.

Chaol odczekał trzydzieści minut po wyjściu Nesryn, po czym zawołał Kadję. Służąca przebywała w zewnętrznym korytarzu i wślizgnęła się do środka chwilę po tym, jak usłyszała swe imię. Patrzył, jak zbliża się ku niemu, lekka i zwinna. Opuściła wzrok, czekając na polecenia.

– Chciałbym cię prosić o przysługę – powiedział powoli i wyraźnie, przeklinając się w myślach za to, że nie nauczył się halha wraz z Dorianem, który studiował ten język przez lata.

Dziewczyna odpowiedziała skinieniem.

– Chciałem cię prosić, byś udała się do doków i wypytała, czy ktoś nie słyszał aby o ataku na Rifthold.

Kadja była wczoraj w sali tronowej i bez wątpienia wiedziała o wszystkim. Zastanawiał się, czy nie poprosić Nesryn, by sama poszukała jakichś informacji, ale jeśli wiadomości miałyby się okazać złe... Nie, nie chciał, by poznała je jako pierwsza. Nie chciał, by szła do pałacu przygnębiona, trawiając je w sercu.

– Czy mogłabyś się tym zająć?

Kadja wreszcie uniosła wzrok, choć nadal nie podnosiła głowy.

– Tak – rzekła po prostu.

Chaol zdawał sobie sprawę z tego, że przypuszczalnie odpowiada przed którymś z arystokratów bądź wezyrów z pałacu, ale przecież poszukiwanie nowych informacji, choć zdecydowanie rzucające się w oczy, w niczym nie zagrażało jego misji. Jeśli zaś miejscowi uznają go za słabeusza bądź głupca, skoro martwi się o własny kraj, niech ich wszystkich trafi szlag.

– Dobrze – rzekł Chaol. Fotel skrzywnął, gdy podjechał nieco bliżej, a on skrzywił się w duchu na ten odgłos. – Ale to nie wszystko. Chciałem cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

To, że Nesryn zajęła się własną rodziną, nie oznaczało, że on ma siedzieć bezczynnie, ale gdy Kadja zostawiła go przed komnatami Arghuna, zapytał się w myślach, czy nie powinien był poczekać na powrót dziewczyny.

Poczekalnia najstarszego syna kagana dorównywała wielkością całemu apartamentowi Chaola. Było to podłużne, owalne pomieszczenie, które otwierało się na dziedziniec z migotliwą fontanną, patrolowany przez parę białych paw. Patrzył, jak idą, wlokąc śnieżnobiałe pióra po płytkach. Ich delikatne korony podskakiwały przy każdym kroku.

– Piękne, nieprawdaz?

Kunsztownie rzeźbione, podwójne drzwi po lewej stronie otworzyły się. Książę o szczupłej twarzy i chłodnych oczach wszedł do komnaty, wiodąc spojrzeniem za pawiami.

– Przepiękne – przyznał Chaol, wściekły na los, który kazał mu zadrzeć głowę, by spojrzeć gospodarzowi w oczy. Gdyby stał, górowałby nad nim wzrostem o dobre dziesięć centymetrów i mógłby wykorzystać tę przewagę podczas spotkania. Gdyby mógł wstać... Nie, nie dokończył tej myśli. Jeszcze nie.

– To moja najcenniejsza parka – odezwał się Arghun. Posługiwał się ojczyzną mową Chaola bez śladu akcentu. – W mojej wiejskiej rezydencji mieszka mnóstwo ich potomstwa.

Chaol szukał w głowie jakiejś odpowiedzi, słów, które Dorianowi czy Aelin przysłyby bez trudu, ale nie odnalazł niczego. Absolutnie niczego, co nie zabrzmiałoby nieszczerze lub niestosownie.

– Jestem przekonany, że młode ptaki są równie pięknie jak rodzice.

Kąciki ust Arghuna uniosły się nieco.

– O ile jesteś w stanie zignorować ich wrzaski o niektórych porach roku.

Chaol zacisnął zęby. Jego rodacy ginęli w Rifthold albo już leżeli martwi, a on gawędził z jakimś księciem o wrzeszczących ptakach. Czy rzeczywiście tym miał się teraz zajmować? Zastanawiał się, czy pociągnąć jeszcze towarzyską gadkę, czy może przejść od razu do rzeczy, ale uprzedził go sam książę.

– Przypuszczam, że przybyłeś, by zapytać, ile wiem o losie twego miasta.

Chłodne spojrzenie księcia wreszcie spoczęło na nim. Chaol wytrzymał jego wzrok. Pojedynek

spojrzeń nie był dla niego niczym nowym. Miał ich za sobą wiele, zarówno z nieposłusznymi gwardzistami, jak i bezczelnymi dworzanami.

– Dostarczyłeś ojcu wielu informacji. Chciałem się dowiedzieć, od kogo je usłyszałeś.

W ciemnobrązowych oczach księcia błysnęło rozbawienie.

– Obsesowy z ciebie człowiek.

– Moi rodacy cierpią. Chciałbym poznać całą prawdę o tych zdarzeniach.

– Cóż – rzekł Arghun i skubnął nitkę, która przyłgnęła do złotego haftu na jego szmaragdowej tunice. – Jeśli mam być szczery, nie mogę ci powiedzieć absolutnie nic.

Chaol zamrugnął raz, powoli.

– Zbyt wiele oczu się nam przygląda, lordzie Westfall – ciągnął Arghun, pokazując dłonią drzwi zewnętrzne. – Samo to, że zauważono nas razem, to już istotny komunikat, bez względu na to, o czym będziemy rozmawiać. Jestem ci wdzięczny za wizytę, ale mimo to chciałem cię prosić, byś wyszedł.

Służący czekający przy drzwiach podeszli, przypuszczalnie po to, by wyprowadzić jego fotel. Jeden z nich wyciągnął już dłonie ku rączkom, za pomocą których kierowało się siedziskiem...

– Ani się waż! – warknął Chaol.

Służący zamarł. Nie wiadomo, czy znał język, którym posługiwał się przybysz, ale wyraz jego twarzy był czytelny.

Chaol odwrócił się ku księciu.

– Naprawdę chcesz grać w tę grę? – zapytał.

– To nie gra – odparł po prostu Arghun i ruszył w stronę swego biura. – Informacje są prawidłowe. Moi szpiedzy niczego nie wymyślają. Do widzenia.

Chwilę później zamknął za sobą drzwi.

Chaol zastanawiał się, czy nie dobijać się do nich, póki nie dowie się czegoś, co ma znaczenie. Przyszło mu też do głowy, by rąbnąć księcia pięścią w twarz, ale... Dwóch służących za jego plecami nadal czekało. Nie spuszczały z niego oczu.

Poznał w Rifthold setki dworzan i nauczył się wykrywać, kiedy ktoś kłamie, nawet jeśli jego dar parokrotnie zawiódł go przez ostatnie miesiące. Najpierw w przypadku Aelin, a potem... Potem w przypadku wszystkich innych rzeczy. Odniósł jednak wrażenie, że Arghun mówił prawdę. Że ani razu nie skłamał.

Rifthold zostało splądrowane. Dorian zaginął. Los jego poddanych był nieznanym.

Nie warknął już na służącego, gdy ten podszedł, by zawieźć go do jego pokoju. I to rozjuszyło go bardziej niż cokolwiek innego.

\*\*\*

Nesryn nie wróciła na kolację.

Chaol zjadł posiłek w towarzystwie kagana, jego dzieci i trzydziestu sześciu wezyrów o sokolim wzroku, nawet w najmniejszym stopniu nie zdradzając, że w głębi duszy szaleje z niepokojem. Miał nadzieję, że dziewczyna w końcu pokaże się w korytarzu i dołączy do nich w głównej sali, ale tak się nie stało. Mijała minuta za minutą, a Nesryn nadal nie było.

Nawet Kadja zdążyła już wrócić ze swojej misji w porcie. Chaolowi wystarczył jeden rzut oka na jej opanowane oblicze, by poznać prawdę – nie dowiedziała się niczego nowego o ataku na Rifthold. Potwierdziła jedynie to, co wcześniej usłyszał od Arghuna: kapitanowie okrętów oraz kupcy rozmawiali z wiarygodnymi świadkami wydarzeń, którzy albo przepływali w pobliżu atakowanego Rifthold, albo z trudem z niego uciekli. Napaść więc nie była wymysłem, ale dokładna liczba ofiar bądź stan miasta nie były znane. Handel z Południowym Kontynentem został wstrzymany, a przynajmniej z samą stolicą i krainami, do których można było się dostać tylko przez miasto. Nikt nie miał pojęcia o losie Doriana.

Znów dopadło go przygnębienie, o wiele głębsze niż poprzednio, ale szybko ustąpiło miejsca innemu zmartwieniu, gdy przebrał się do kolacji i uświadomił sobie, że Nesryn jeszcze nie wróciła. Chciał na nią zaczekać, ale w końcu ustąpił i pozwolił Kadji zawieźć się na ucztę w wielkiej sali kagana. Nesryn jednakże nadal nie wracała i Chaol z każdą mijającą minutą z coraz większym trudem skrywał

swój niepokój.

Przecież wszystko mogło się zdarzyć. Dosłownie wszystko, zwłaszcza jeśli podejrzenia Kashina odnośnie do okoliczności śmierci siostry były słuszne. Jeśli agenci Morath w istocie dotarli do Antiki, bez wątpienia zaczną ich szukać, jak tylko się dowiedzą o ich przybyciu. Powinien był wziąć to pod uwagę, nim się rozstali. Powinien był pomyśleć o czymś poza swoim własnym przeklętym problemem. W każdej chwili mógł poprosić jakiegoś strażnika, by udał się na poszukiwania, ale w ten sposób zdradziłby tylko potencjalnym wrogom, co ceni najbardziej. I gdzie należy uderzyć.

Zmuszał się więc do przełykania kolejnych kęsów, z trudem nadążając za rozmową toczącą się przy stole. Siedząca po jego prawicy Duva, ciężarna i pogodna, wypytywała go o muzykę i tańce popularne w jego ojczyźnie, a zasiadający po lewej Arghun, który nikomu nie wspomniał o jego popołudniowej wizycie, rozmawiał z nim o szlakach handlowych, zarówno starych, jak i przyszłych. Chaol zmyślił połowę odpowiedzi, a książę uśmiechał się, jakby dobrze o tym wiedział.

Wciąż nie było ani śladu Nesryn.

Pojawiła się natomiast Yrene.

Weszła do sali w połowie posiłku. Miała na sobie nieco bardziej elegancką, ale wciąż niewyszukaną, ametystową szatę, przy której jej złocistobrązowa skóra wydawała się wręcz mienić. Hasar i jej kochanka powstały, by się z nią przywitać. Uścisnęły jej dłonie i wycalowały w policzki, po czym Hasar wygoniła kopniakiem siedzącego obok niej wezyra, by zrobić miejsce dla przyjaciółki.

Yrene ukloniła się kaganowi, który obrzucił ją przelotnym spojrzeniem i machnął dłonią, a potem reszcie. Arghun nie zwrócił na nią uwagi, a Duva rozpromieniła się na jej widok. Jej milczący mąż obdarzył ją nieśmiałym uśmiechem. Jedyne Sartaq odpowiedział skinieniem głowy, a Kashin zmusił się do uśmiechu, którego nie było już widać w jego oczach.

Nie spuszczał jednak z niej wzroku, gdy siadała, i Chaol przypomniał sobie słowa Hasar, gdy ta drażniła się z Yrene.

Uzdrowicielka nie odpowiedziała księciu na uśmiech. Ukloniła mu się z oddali i usiadła na miejscu, które zdobyła dla niej Hasar, po czym zagłębiła się w rozmowie z księżniczką i jej ukochaną. Renia natychmiast napelniła jej talerz mięsem, głośno narzekając przy tym na to, że uzdrowicielka jest zbyt zmęczona, wychudła i blada. Yrene przyjmowała każdy kąsek ze skinieniem i uśmiechem oszołomienia. Celowo odwracała głowę od Kashina.

A także Chaola.

– Słyszałem – przy uchu Chaola rozległ się męski głos, przemawiający w jego własnym języku – że to Yrene została ci przydzielona, lordzie Westfall.

Nie był wcale zdziwiony, że Kashin pochylił się, by z nim porozmawiać. Nie zaskoczyło go również delikatnie zawołane ostrzeżenie w jego spojrzeniu. Chaol widział je niejednokrotnie.

„Terytorium zajęte”.

Bez względu na to, czy Yrene się to podobało, czy nie, choć fakt, że nie zwracała na księcia większej uwagi, zdaniem Chaola dobrze o niej świadczył. Z drugiej strony mógł się tylko domyślać, dlaczego tak było. Kashin był najprzystojniejszym z rodzeństwa, a Chaol nieraz widział, jak kobiety wręcz przewracały się o siebie, by skupić na sobie uwagę Doriana. Na twarzy Kashina malował się wyraz samozadowolenia, który często dostrzegał na twarzy Doriana.

Kiedyś, dawno temu. Zdawałoby się, że w innej epoce. Nim pojawiła się zabójczyni, naszyjnik i inne rzeczy.

Strażnicy rozstawieni w sali zdawali się wisieć w powietrzu nad nim niczym płomienie szarpane jego wzrokiem. Nie chciał nawet spojrzeć na najbliższego z nich, który, co odruchowo zauważył, stał sześć metrów od stołu kagana. Dokładnie tam, gdzie on sam kiedyś stał, za innym królem, na innym dworze.

– To prawda – wykrztusił.

– Yrene to nasza najzdolniejsza adeptka, nie licząc Najwyższej Uzdrowicielki – ciągnął Kashin, zerkając na młodą kobietę, która nadal nie zwracała na niego uwagi i pograżała się coraz bardziej w rozmowie z Renią, jakby jeszcze chciała to podkreślić.

– Tak właśnie mi mówiono – rzekł Chaol.

„Aleś ty wygadany” – pomyślał.

– Nikt przed nią nie otrzymał tak wysokich ocen na egzaminie końcowym – mówił książe.

Yrene nadal go ignorowała i przez oblicze Kashina przemknęło coś na kształt bólu.

– Spójrz tylko, jak potyka się o własne nogi – mruknął Arghun nad Duvą, jej mężem oraz Chaolem do Sartąq.

Duva pacnęła go w ramię, gdy potrącił jej dłoń z widelcem.

Kashin robił wrażenie, jakby nie usłyszał kąśliwej uwagi lub nie zważał na nią. Sartąq, co było bardzo szlachetne z jego strony, również ją zignorował i zwrócił się ku wezyrce w złotych szatach.

– Nie zdarzyło się jeszcze, by ktoś uzyskał takie noty, tym bardziej że spędziła w Torre zaledwie dwa lata.

Kolejny ciekawy strzępek informacji. Chaol zauważył, że Yrene przygląda mu się ze zmarszczonymi brwiami. Wyczuł w jej wzroku ostrzeżenie: „Nie wciągaj mnie do rozmowy”.

Rozważał dwie opcje – mógł się jej odpłacić pięknym za nadobne za jej wcześniejsze drwiny albo...

Przecież mu pomagała. Albo przynajmniej zastanawiała się nad tym. Wyszedłby na idiotę, gdyby zrobił sobie z niej wroga.

– Słyszałem, że zazwyczaj rezydujesz w Balruhn i zajmujesz się armiami lądowymi.

Kashin wyprostował się.

– Tak. Mieszkam tam przez większość roku i szkołę oddziały, ale bywa, że odwiedzam stepy i lud mojej matki.

– I dzięki niech będą bogom – mruknęła siedząca po drugiej stronie stołu Hasar.

Sartąq przesłał jej ostrzegawcze spojrzenie, ale księżniczka jedynie przewróciła oczami i szepnęła coś do ucha kochance. Ta parsknęła pięknym, perlistym śmiechem.

Yrene nadal się w niego wpatrywała, a w jej oczach Chaol dostrzegł iskrę rozdrażnienia, zupełnie jakby sama jego obecność wystarczała, by musiała mocno zaciskać zęby. Tymczasem Kashin zaczął opisywać mu obowiązki, jakie czekały na niego w jego mieście na północno-zachodnim wybrzeżu oraz – jakże odmienne – życie wśród jeźdźców na stepach.

Gdy Kashin sięgnął po puchar z wodą, Chaol smagnął Yrene spojrzeniem, w którym również czaiło się niezadowolenie, a potem zaczął wypytywać księcia o jego życie. Uświadomił sobie, że może się w ten sposób dowiedzieć wielu rzeczy o jego armii.

Nie tylko on to zauważył. Arghun przerwał bratu w połowie zdania, gdy ten opowiadał o kuźniach, które zbudowali na północy kraju.

– Nie rozmawiajmy przy jedzeniu o interesach, bracie.

Kashin zamknął usta, posłuszny wojskowej dyscyplinie, a Chaol zrozumiał, że książe nie był brany pod uwagę jako następcą tronu. Wszak wypełnił polecenie brata jak zwykły żołnierz. Wydawał się mimo to przyzwoitym człowiekiem, nie tak jak wyniosły szyderca Arghun czy przypominająca wilka Hasar.

Nie tłumaczyło to zupełnie, dlaczego Yrene chciała się tak bardzo zdystansować od Kashina, ale Chaol wiedział, że to nie jego sprawa. Poza tym nie interesowało go to wcale, tym bardziej że uzdrowicielka zaciskała mocniej usta za każdym razem, gdy choć odwróciła ku niemu głowę. Mógł ją zapytać, jak miał to odbierać. Mógł spytać, czy to oznacza, że nie będzie go leczyć, ale uznał to za zły pomysł. Wszak Yrene, czy tego chciała, czy nie, była przedmiotem uwielbienia ze strony Kashina i niemądrze byłoby zgłębiać ten temat przy stole.

Za ich plecami rozległy się kroki, ale był to jedynie mąż wezyrki, który podszedł, szepnął jej coś do ucha i znikł. Nie była to Nesryn. Chaol przyjrzał się potrawom na stole, próbując ustalić, ile zostało jeszcze dań w kuchni. Zeszłej nocy jedli bez końca. Tymczasem na stole nie pojawił się jeszcze ani jeden specjał deserowy.

Spojrzał ponownie na wyjścia, pomijając wzrokiem stojących tam strażników, szukając jej. Gdy znów skupił uwagę na współbiesiadnikach, odkrył, że Yrene go obserwuje. Blask jej złocistych oczu

nadal mąciły czujność i niechęć, ale wypatrzył w nich również ostrzeżenie.

Wiedziała, kogo szuka. Wiedziała, czyja nieobecność mu przeszkadza.

Ku jego zaskoczeniu pokręciła lekko głową.

„Schowaj to dla siebie – wydawała się mówić. – Nie prosz ich, by jej dla ciebie szukali”.

Sam o tym wiedział, ale odpowiedział Yrene zdawkowym skinieniem.

Kashin nadal próbował wciągnąć Yrene w rozmowę, ale uzdrowicielka za każdym razem gasiła jego entuzjazm krótkimi, uprzejmymi odpowiedziami.

Być może niechęć, jaką okazała mu rano, leżała po prostu w jej naturze. Być może nie była to nienawiść, wywołana przez brutalne adarlańskie inwazje. A może po prostu nienawidziła mężczyzn. Trudno było na nią patrzeć i nie widzieć cieniutkiej, ledwie widocznej blizny, biegnącej przez jej gardło.

Chaol doczekał chwili, gdy na stole pojawił się deser. Wówczas udał znużenie i opuścił stół. Kadja w gronie innych służących czekała na niego wśród kolumn ciągnących się wzdłuż przeciwległej ściany. Bez słowa ujęła rączki fotela i popchnęła go przed siebie, choć Chaol był gotów zgrzytać zębami za każdym razem, gdy koła zaturkotały.

Yrene nie powiedziała ani słowa na pożegnanie, nie obiecała też, że odwiedzi go następnego dnia. Nawet nie spojrzała w jego kierunku.

Gdy wrócił, Nesryn wciąż nie było w pokoju. Gdyby zaczął jej szukać i zwrócił uwagę na czyhające zagrożenie, popełniłby wielki błąd. Wróg dostrzegłby łączącą ich więź i wykorzystałby ją przeciwko nim.

Siedział więc beczynn timer i czekał. Słuchał plusku fontanny ogrodowej i śpiewu słowika, który usadowił się między gałęziami figowca. Słuchał miarowego tykania zegara w salonie.

Jedenasta. Dwunasta. Kazał Kadji udać się na spoczynek, tłumacząc jej, że da sobie ze wszystkim radę i sam się położy, ale służąca nie wyszła. Usiadła pod malowaną ścianą przedpokoju i czekała wraz z nim.

Była już prawie pierwsza, gdy drzwi wreszcie się otworzyły.

Do środka wślizgnęła się Nesryn. Wiedział, że to ona, bo nauczył się rozpoznawać jej chód.

Ujrzała świece na stole w salonie i weszła do środka. Na jej twarzy, zamiast przygnębienia, Chaol ujrzał blask. Jej policzki były zarumienione, a oczy jaśniały bardziej niż rano.

– Przykro mi, że nie zdążyłam na kolację – powiedziała.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo się martwiłem? – warknął głucho w odpowiedzi.

Stała. Jej włosy się rozkołysały.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że muszę powiadamiać cię o każdym moim wyjściu i powrocie. Kazałeś mi iść, to poszłam.

– Zniknęłaś w obcym mieście i nie wróciłaś o porze, którą sama podałaś. – Każde jego słowo było ostre i kąśliwe.

– To nie obce miasto. Przynajmniej nie dla mnie.

Chaol uderzył dłonią o poręcz fotela.

– Jedna z księżniczek została zamordowana kilka tygodni temu. Jedna z księżniczek! W jej własnym pałacu, w siedzibie władcy najpotężniejszego imperium świata!

Nesryn założyła ramiona na piersi.

– Nie mamy pewności, czy to było morderstwo, czy też nie. Wygląda na to, że tylko Kashin w to wierzy.

To nie miało nic do rzeczy, choć Chaol ze wstydem uświadomił sobie, że właściwie zapomniał, by podczas kolacji wypatrywać wokół siebie oznak bytności Valgów.

– Nie mogłem nawet zacząć cię szukać – szepnął. – Nie ośmieliłem się powiedzieć nikomu, że zaginęłaś.

Nesryn mrugnęła, a potem milczała przez chwilę.

– Moja rodzina ucieszyła się na mój widok, jeśli cię to ciekawi. A wczoraj dostali krótki list od mego ojca. Udało im się wydostać z miasta. – Zaczęła zdejmować kurtkę. – Mogą być teraz wszędzie.

– Cieszę się – wycedził Chaol przez zęby, choć wiedział, że te wieści wcale nie poprawią jej samopoczucia. Tak jak wczoraj zamartwiała się, czy zdołali ujść z życiem, tak teraz będzie się zadręczać tym, dokąd się udali i co się z nimi dzieje.

– Muszę wiedzieć, gdzie przebywasz – rzekł najspokojniej, jak umiał. – Muszę też wiedzieć, jeśli twoje plany się zmieniły. Nie stać nas na utratę zaufania wobec siebie.

– Byłam u nich w domu, jedliśmy kolację. Straciłam poczucie czasu. Błagali mnie, bym z nimi została.

– Przecież wiesz, że powinnaś mnie powiadomić. Po tym piekle, przez które przeszliśmy, powinnaś o tym pamiętać.

– W tym mieście nie ma nic, czego mogłabym się obawiać – odparła, kładąc nacisk na słowo „tym”. By wiedział, że w Rifthold było zupełnie inaczej.

Chaolowi zrobiło się przykro, ale mimo to rzekł:

– A czy nie o to właśnie walczymy? By nasze ziemie również kiedyś stały się tak bezpieczne?

Z twarzy Nesryn znikły wszelkie emocje.

– Tak – odpowiedziała i zdjęła do końca kurtkę, po czym zarzuciła ją sobie na ramię. Błysnęła biel jej koszuli. – Idę spać. Do jutra – dodała i ruszyła ku swej sypialni, nie czekając na słowa pożegnania od niego.

Chaol długo jeszcze siedział w salonie i czekał, aż Nesryn wyjdzie ze swojego pokoju. Minęło sporo czasu, nim wreszcie pozwolił Kadji, by zabrała go do sypialni i pomogła mu się przebrać. Służąca zdmuchnęła świece i wyszła na palcach, a on dalej czekał.

Nesryn nie przyszła jednak do niego. On nie mógł zaś udać się do niej, bo musiałby najpierw fatygować biedną Kadję. Nie miał pojęcia, gdzie służąca śpi, ale z pewnością czuwała, gotowa stawić się na każdy dźwięk.

Czekał więc i czekał, aż wreszcie zmorzył go sen.



8.

Yrene dołożyła wszelkich starań, by następnego dnia przyjść na czas, tym bardziej że była gotowa się założyć, iż lord Westfall i kapitan Faliq będą na nią czekać o dziesiątej. Choć sądząc po nieprzyjaznych spojrzeniach, jakimi mężczyzna obrzucał ją zeszłego wieczoru, zaczęła się zastanawiać, czy nie zaczął wątpić w jej powrót.

A niech sobie myśli, co chce.

Zastanawiała się, czy nie zaczekać do jedenastej, gdyż Hasar i Renia namówiły ją wczoraj na wyjście. Co prawda sama jedynie popijała wino z kieliszka, patrząc, jak jej towarzyszki wlewają w siebie alkohol, ale do swej komnaty w Torre dotarła dopiero około drugiej nad ranem. Hasar zaproponowała jej, by została w pałacu na noc, ale Yrene wołała nie ryzykować. Praktycznie cudem udało im się uniknąć Kashina, który miał wielką ochotę dołączyć do nich w cichej, eleganckiej winiarni w tętniącej życiem Dzielnicy Róż. Yrene obawiała się, że następnym razem nie zdoła się wymigać.

Nie mogła się już doczekać chwili, gdy kagan roześle swe dzieci do zadań w różnych miejscach imperium. Ociągali się z wyjazdem ze względu na śmierć Tumelun, o czym Hasar nie chciała nawet wspominać. Yrene nie zdążyła dobrze poznać najmłodszej księżniczki, gdyż ta spędzała większość czasu z Kashinem wśród jego Darghanów na odległych stepach i w otaczających je ufortyfikowanych miastach. Po tym, jak ciało Tumelun zostało znalezione, a Hafiza potwierdziła, że dziewczyna skoczyła z balkonu, Yrene chciała nawet odszukać Kashina i złożyć mu kondolencje oraz dowiedzieć się, jak się trzyma.

Znała go bowiem na tyle, by wiedzieć, że pod maską opanowanego, zdyscyplinowanego żołnierza, gotowego spełnić każdy rozkaz ojca i bez strachu dowodzącego armiami lądowymi, kryje się wzburzone morze rozpacz. Wiedziała, że wciąż zastanawiał się, co mógł zrobić, by jego siostra uniknęła podobnego losu.

Stosunki między nią a Kashinem w istocie stały się mocno niezręczne, ale... Ale nadal go lubiła. Mimo to nie zdobyła się jeszcze na to, by się do niego odezwać. Nie potrafiła otworzyć drzwi, które od wielu miesięcy próbowała trzymać zamknięte.

Nienawidziła się za to i nie było dnia, by choć raz nie pomyślała o Kashinie, zwłaszcza odkąd ujrzała białe proporce w całym mieście. Podczas wczorajszej kolacji robiła wszystko, by go zignorować, a jednocześnie paliła się ze wstydu. Ścierpiała nawet jego pochwały wypowiedziane głosem, w którym nadal pobrzmiwała duma.

„Głupia jesteś” – powtarzała jej Eretia, gdy Yrene zwierzyła się jej podczas długiego, skomplikowanego procesu leczenia na stepach zeszłej zimy. Yrene wiedziała, że jej nauczycielka ma rację, ale... Cóż, miała przecież inne plany wobec siebie. Miała marzenia, których nie mogła ani nie chciała się wyprzeć. Jej życie stanie się prostsze, gdy Kashin i pozostali członkowie rodziny królewskiej powrócą wreszcie do swoich obowiązków. Prostsze i lepsze.

Żałowała tylko, że powrót lorda Westfalla do jego znienawidzonego królestwa tak bardzo zależy od jej pomocy.

Zdusiła grymas niechęci i zapukała do drzwi apartamentu. Otworzyła jej służąca o pięknej twarzy, jeszcze zanim w korytarzu przebrzmiało echo stukania. Usługujących było w pałacu tak wiele, że Yrene знаła z imienia zaledwie kilkoro z nich. Tę dziewczynę jednakże widziała już wcześniej i zapamiętała jej urodę. Skinęła jej głową i weszła do środka.

Służba była sownie opłacana i szanowana na tyle, że kandydaci zaciekle konkurowali o posadę w pałacu, tym bardziej że poszczególne zajęcia stanowiły tradycję rodzinną i przechodziły z ojca na syna oraz z matki na córkę, więc wakaty pojawiały się rzadko. Kagan i członkowie jego dworu traktowali swoich służących jak wolnych ludzi i przestrzegali broniących ich praw.

W przeciwieństwie do Adarlanu, gdzie tyle osób żyło i ginęło w kajdanach. W przeciwieństwie do nieszczęśników więzionych w Calaculli i Endovier, którzy nie widzieli blasku słońca i nie mogli oddychać świeżym powietrzem, w przeciwieństwie do ludzi, którzy umierali z tęsknoty za członkami

rodzin, od których ich oderwano.

Yrene słyszała o masakrach w kopalniach, które miały miejsce wiosną. Słyszała o rzezi. To wspomnienie wystarczyło, by jej obojętną minę zastąpił chłód. Weszła do wystawnie urządzonego salonu. Nie miała pojęcia, jaki był cel ich wizyty, ale od razu zauważyła, że kagan dobrze się zatroszczył o swoich gości.

Lord Westfall oraz młoda kapitan siedzieli dokładnie tam, gdzie poprzedniego dnia rano. Żadne z nich nie wyglądało na zadowolone z życia. Co więcej, nawet na siebie nie patrzyli.

„Cóż – pomyślała Yrene – przynajmniej ani on, ani ona nie będzie dziś udawać miłego usposobienia”.

Lord przyglądał się Yrene. Bez wątplenia zauważył, że ma na sobie tę samą niebieską suknię oraz te same buty co wczoraj.

Yrene miała cztery suknie, spośród których fioletowa, założona na kolację zeszłego wieczoru, była najbardziej elegancka. Hasar zawsze obiecywała, że zdobędzie dla niej wykwintniejsze stroje, ale następnego dnia nigdy nie pamiętała swoich obietnic. Yrene zresztą niespecjalnie na tym zależało. Gdyby zdobyła ładniejsze suknie, czułaby się zobligowana do częstszego odwiedzania pałacu, a...

Cóż, w niejedną samotną noc zastanawiała się nad tym, czemu właściwie odpychała od siebie Kashina. Przecież większość dziewcząt na świecie gotowa była zabić za zaproszenie do pałacu. Yrene wiedziała jednak, że nie zostanie już długo na południu. Wiązanie się z księciem nie miało sensu.

– Dzień dobry – rzekła kapitan Nesryn Faliq.

Wydawała się dziś bardziej opanowana i skupiona, choć to nowe napięcie między nią a lordem Westfallem... Nie, to nie jej interes, chyba że stanie się przeszkodą w leczeniu.

– Rozmawiałam z moją przełożoną – rzekła Yrene.

Nie mówiła do końca prawdy, choć z technicznego punktu widzenia nie można jej było zarzucić kłamstwa. Przecież rozmawiała z Hafizą.

– No i?

Młody lord nie odezwał się ani słowem. Pod jego brązowymi oczami malowały się ciemne plamy, a jego opalona skóra wydawała się bledsza niż wczoraj. Jeśli był zaskoczony jej powrotem, nie dał tego po sobie poznać.

Yrene zebrała włosy i spięła je drewnianym grzebieniem, jak zwykle przed przystąpieniem do pracy.

– I zrobię wszystko, by przywrócić ci możliwość chodzenia, lordzie Westfall.

W oczach lorda nie było ani cienia emocji. Nesryn jednakże odetchnęła z ulgą i rozparła się wśród poduszek na złotej sofie.

– Jakie są szanse na sukces?

– Radziłam już sobie z urazami kręgosłupa, choć jak dotąd zajmowałam się tylko jeźdźcem, który zaliczył niefortunny upadek z konia, a nie odniósł rany w bitwie. A tym bardziej nie rany magiczne. Zrobię, co w mojej mocy, ale nie mogę niczego zagwarantować.

Lord Westfall nie odpowiedział ani słowem, nawet nie drgnął na swoim fotelu.

„Powiedz coś” – pomyślała, wpatrując się w jego zimne, znużone oczy.

Jego spojrzenie opadło na bliznę na szyi, której nie pozwoliła zaleczyć, choć Eretia zaproponowała jej to w zeszłym roku.

– Czy będziesz spędzać z nim wiele godzin każdego dnia? – Słowa Nesryn były spokojne, niemalże pozbawione emocji, ale mimo to Yrene odkryła, że nowa kapitan nie czuje się dobrze zamknięta w klatce, nawet tak połączanej jak ta.

– Jeśli ma pani jakieś obowiązki do wykonania, pani kapitan – zwróciła się do niej przez ramię – będzie to najlepszy moment, by się nimi zająć. Poślę po panią, jeśli będzie pani potrzebna.

– A co z przenoszeniem go?

Oczy lorda rozbłysły. Yrene miała wielką ochotę cisnąć ich oboje rękoma na pożarcie, ale zauważyła, że w spojrzeniu Westfalla skrzy uraza oraz pogarda do siebie samego.

– Myślę, że dam sobie radę – usłyszała własne słowa – choć wydaje mi się, że lord Westfall

potrafi sam bez trudu się przemieszczać.

Na twarzy pacjenta pojawiło się coś na kształt ostrożnej wdzięczności, ale miast do niej zwrócił się do Nesryn:

– Do licha, sam mogę pytać o sprawy dotyczące mnie!

Nesryn zeszywniała, choć z jej twarzy można było odczytać poczucie winy. Skinęła głową, przygryzła wargę i rzekła do Chaola:

– Muszę odwiedzić dziś kilka miejsc.

W jego oczach pojawiło się zrozumienie.

– Chciałabym uporać się ze wszystkim.

„Sprytnie – pomyślała Yrene. – Tai szczegóły kolejnych posunięć”.

Chaol pokiwał z powagą głową i rzekł:

– Tylko wyślij tym razem wiadomość.

Yrene widziała, że lorda trawił ogromny niepokój, gdy kapitan nie zjawiła się na kolacji. Wydawał się człowiekiem, który nie lubi spuszczać z oczu ludzi, na których mu zależy, zwłaszcza teraz, gdy nie mógł ich szukać. Postanowiła zapamiętać tę informację na później.

Nesryn pożegnała się z obojgiem, choć w słowach skierowanych do lorda znać było pewien chłód, po czym wyszła. Yrene odczekała, aż usłyszy zamykanie drzwi.

– Dobrze, że nie mówi na głos o swoich planach – rzekła.

– Dlaczego? – odezwał się Chaol. Były to jego pierwsze słowa do uzdrowicielki.

Ta wskazała ruchem podbródka otwarte drzwi do przedpokoju.

– Ściany mają oczy i uszy, a służba jest opłacana przez dzieci kagana. Lub wezyrów.

– Sądziłem, że to kagan wszystkim płaci.

– Och, tak, jak najbardziej. – Yrene cofnęła się po niewielką sakwę, pozostawioną przy drzwiach.

– Ale jego dzieci i wezyrowie kupują sobie lojalność służby na inne sposoby. Zapewniają im różne wygody oraz swe poparcie w zamian za informacje. Na twoim miejscu byłabym ostrożna ze służącą, która została przydzielona tobie.

Dziewczyna, która wpuściła Yrene, wydawała się pokorna i łagodna, ale uzdrowicielka wiedziała, że nawet najdrobniejsze węże kryją śmiertelny jad.

– A wiesz, kto... kto nią włada?

Wypowiedział słowo „włada”, jakby pozostawiało nieprzyjemny posmak na jego języku.

– Nie – odpowiedziała po prostu Yrene.

Przetrząsnęła swą sakwę i wydobyla z niej dwie identyczne fiołki z bursztynowym płynem, kawałek białej kredy i kilka ręczników.

Chaol śledził każdy jej ruch.

– Masz jakichś niewolników w Adarlanie? – spytała łagodnie, bez emocji, jakby chciała po prostu zabić czas podczas przygotowań do zabiegu.

– Nie, nigdy nie posiadałem niewolników.

– Ani jednego? – Yrene uniosła brew, rozkładając czarny kajet na stole.

– Wierzę w to, że ludzie powinni dostawać wynagrodzenie za swoją pracę, tak jak to ma miejsce tutaj. Wierzę też w to, że każdy człowiek ma niezaprzeczalne, wrodzone prawo do wolności.

– Dziwię się, że twój władca nie skazał cię na śmierć za takie poglądy.

– Bo chowam je dla siebie.

– Mądrze. Lepiej ocalić skórę milczeniem niż przemawiać w obronie tysięcy zniewolonych.

Znieruchomiał, słysząc jej słowa.

– Obozy pracy zostały zamknięte, a handel niewolnikami zakazany. Był to jeden z pierwszych dekretów mego króla. Stałem przy nim, gdy sporządzał dokument.

– Nowe dekrety na nową erę, co?

Słowa okazały się ostrzejsze niż zestaw skalpeli, który przyniosła ze sobą, ale Chaol wytrzymał jej spojrzenie.

– Dorian Havilliard nie jest taki jak jego ojciec. To jemu służyłem przez te lata.

– A mimo to piastowałaś rangę czcigodnego kapitana Gwardii u poprzedniego władcy. Aż się dziwię, dlaczego dzieci kagana skwapliwie cię nie wypytały, w jaki sposób zdołałaś ograbić ich obu.

Chaol zacisnął dłonie na oparciach fotela.

– Podjąłem w przeszłości kilka decyzji – wycedził – których później żałowałem. Życie jednakże toczy się dalej i mogę próbować to naprawić. Mogę walczyć, by podobne rzeczy nigdy więcej się nie przytrafiły. – Spojrzał wymownie na jej sakwę. – Czego jednak nie mogę zrobić dopóty, dopóki siedzę na tym fotelu.

– Ależ z całą pewnością mógłbyś to robić z fotela – odparła zgryźliwie.

Nie odpowiedział ani słowem.

„W porządku – pomyślała Yrene. – Skoro nie chce o tym rozmawiać...”

Sama zresztą również nie miała na to ochoty. Zamiast tego wskazała długą, złocistą sofę.

– Ściągnij koszulę i połóż się tam na brzuchu.

– A czemu nie na łóżku?

– Wczoraj była tu kapitan Faliq. Nie wejdę bez niej do twojej sypialni.

– Ale ona nie jest moją... – Urwał. – To nie jest problem.

– Ale widziałeś wczoraj wieczorem, że to może się okazać problemem dla mnie.

– Ze względu na...

– Tak – przerwała mu i obrzuciła drzwi ostrym spojrzeniem. – Kładź się na kanapie.

Widziała, jak Kashin patrzył na Chaola podczas kolacji. Miała wówczas ochotę ześlizgnąć się z krzesła i schować pod stołem.

– A ty nie jesteś zainteresowana ewentualnymi korzyściami? – spytał i podjechał na wózku do kanapy, po czym zaczął rozpinać kurtkę.

– Nie chcę wieść takiego życia.

Niebezpieczeństwo w istocie było zbyt duże. Gdyby związała się z Kashinem, a ten zdecydował się wyzwać nowego kagana w walce o tron, cała ich rodzina groziłaby śmierć. Gdy owej nocy na stepach podzieliła się z nim swoimi troskami, Kashin machnął jedynie ręką. Najwyraźniej nie pojął tego, że zmartwienia Yrene zawsze będą stanowić mur nie do pokonania.

Chaol jednakże pokiwał tylko głową, gdyż najprawdopodobniej umiał sobie wyobrazić ryzyko wiążące się ze ślubem z mężczyzną, który nie był wyznaczonym następcą tronu. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że Kashin ma niewielkie szanse z Sartaqiem, Arghunem czy Hasar.

– A poza tym to nie jest twoja sprawa – dodała Yrene, nim Chaol zdążył zadać kolejne pytanie.

Przyjrzał się jej uważnie, nie tak, jak czasem robili to inni mężczyźni, przede wszystkim Kashin. Miała wrażenie, że ocenia ją jako przeciwnika.

Skrzyżowała ramiona i stanęła na szerzej rozstawionych nogach, tak jak ją nauczono i jak sama uczyła innych. Przybrała spokojną, pewną postawę defensywną. Była gotowa do walki z kimkolwiek, nawet lordem z Adarlanu.

Chaol najwyraźniej to zauważył i zacisnął mocno zęby.

– Koszula – przypomniała uzdrowicielka.

Jego spojrzenie jarzyło się gniewem, gdy rozbierał się i przewieszał koszulę przez to samo oparcie, na którym wisiała już jego kurtka. Potem kilkoma ostrymi szarpnięciami ściągnął z siebie buty i skarpetki.

– I spodnie – przykazała mu Yrene. – Pozostaw tylko bieliznę.

Oparł dłonie na pasie, ale zawahał się. Nie był w stanie zdjąć spodni bez czyjejś pomocy, przynajmniej dopóki siedział na fotelu. Yrene wskazała gestem kanapę.

– Połóż się tam, a sama cię rozbiore – oznajmiła. W jej spojrzeniu na próżno było szukać choćby odrobiny współczucia.

Znów się zawahał. Yrene oparła dłonie na biodrach.

– Bardzo żałuję, ale nie jesteś dziś niestety moim jedynym pacjentem – skłamała. – Muszę odwiedzić jeszcze innych ludzi. Kanapa, proszę.

Na jego zaciśniętej szczęce zadrżał jakiś mięsień, ale mimo to Chaol oparł jedną dłoń na kanapie,

a drugą na oparciu fotela, po czym się podniósł. Sama siła, jaką włożył w ten ruch, była godna podziwu. Yrene patrzyła, jak podnosi się płynnie, a mięśnie ramion i pleców prześlizgują się pod skórą, zupełnie jakby to robił przez całe życie.

– Kontynuujesz ćwiczenia od czasu... Zaraz, kiedy odniosłeś ranę?

– W dzień przesilenia letniego. – Jego głos był pozbawiony emocji, pusty. Mruknął z wysiłku i wciągnął obie nogi na kanapę. – A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Nie próżnowałem od dnia, w którym odniosłem ranę, i teraz też nie mam zamiaru się objąć.

Miała przed sobą człowieka z kamienia. Kalectwo nadkruszyło go, ale oparł się większym pęknięciom. Ciekawiło ją, czy zdaje sobie z tego sprawę.

– To dobrze – powiedziała po prostu. – Ćwiczenia zarówno ramion, jak i nóg będzie ważnym elementem leczenia.

Chaol spojrział na swe nogi, którymi znów wstrząsały lekkie spazmy.

– Mam je ćwiczyć?

– Wyjaśnię ci wszystko za moment – powiedziała Yrene i gestem pokazała mu, aby odwrócił się na brzuch.

Obrzucił ją kolejnym spojrzeniem pełnym wyrzutów, ale spełnił jej polecenie.

Yrene odetchnęła kilkakrotnie, przyglądając się jego ciału. Westfall był potężnie zbudowanym mężczyzną i zajmował niemalże całą kanapę. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Gdyby ponownie stanął na nogi, mógłby patrzeć na nią z góry.

Nachyliła się nad jego stopami i kilkoma szarpnięciami zerwała z niego spodnie. Majtki sporo zakrywały, ale przez cienki materiał widziała jego twarde pośladki, a jego uda... Już wczoraj wyczuła, że jego mięśnie są nieruchome, ale teraz, gdy przyjrzała im się uważniej, wykryła symptomy atrofii. Nie dostrzegła w nich zdrowej witalności, jaką emanowała reszta jego ciała. Potężne mięśnie pod skórą nóg wydawały się cieńsze, słabsze.

Ułożyła dłoń na jego udzie i wyczuła mięśnie pod skórą porośniętą miękkimi włoskami. Jej magia wnikała w jego ciało, szukając i przesywając krew oraz kości. Tak, inercja kończyn zaczynała już mu szkodzić. Yrene cofnęła rękę i uświadomiła sobie, że Chaol przygląda się jej z dłonią opartą o poduszkę, którą wsunął pod podbródek.

– Obumierają, prawda?

Kamienna twarz Yrene nawet nie drgnęła.

– Kończyny dotknięte atrofią mogą odzyskać pełną sprawność, ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: „tak”. Musimy przede wszystkim skupić się na tym, by twe nogi pozostały jak najsilniejsze. Trzeba je ćwiczyć przez cały proces leczenia, aby kiedy się podniesiesz – powiedziała to, wyraźnie akcentując słowo „kiedy” – twoje ciało nie zawiodło. Twoje nogi muszą wytrzymać ciężar ciała.

– A więc czeka mnie nie tylko leczenie, ale również trening.

– Sam powiedziałeś, że lubisz aktywność. Istnieje wiele ćwiczeń dla ludzi z obrażeniami kręgosłupa, które wzmocnią twe nogi i poprawią krążenie krwi, co w efekcie przyspieszy proces leczenia. Będę to nadzorowała.

Celowo unikała zwrotu „pomogę ci”. Lord Chaol Westfall nie należał do ludzi, którzy oczekiwali pomocy od kogokolwiek.

Zrobiła krok czy dwa, by przyjrzeć się jego kręgosłupowi. By spojrzeć na osobliwy, bładny ślad tuż pod jego karkiem. Na pierwsze wyraźne wybrzuszenie na jego plecach. Nawet teraz niewidzialna moc, która wirowała wokół jej dłoni, zdawała się cofać w głąb jej ciała.

– Jakiego rodzaju była magia, która w ciebie uderzyła?

– To ma znaczenie?

Yrene trzymała dłoń nad śladem na skórze Chaola, ale na razie nie pozwalała, by jej własna moc choć się z nim zetknęła. Zacisnęła zęby.

– Dobrze byłoby wiedzieć, jakiego spustoszenia dokonała wśród twoich nerwów i kości.

Nie odpowiedział. Typowa adarłańska arogancja.

– Czy był to ogień... – naciskała Yrene.

– Nie ogień.

Rana zadana magią. To musiało się wydarzyć... Zaraz, co on powiedział? W dzień przesilenia letniego. Jeśli wierzyć plotkom, właśnie tego dnia na Północny Kontynent wróciła magia, uwolniona rzekomo przez Aelin Galathynius.

– Walczyłeś przeciwko czarodziejom, którzy tego dnia odzyskali swą moc?

– Nie.

Jego słowa były ostre, szorstkie, wyczelowane, a spojrzenie twarde. Yrene wejrzała głęboko w jego oczy i doszła do wniosku, że bez względu na to, co się wówczas wydarzyło, było to straszne przeżycie. Jedno z tych, które pozostawiają w życiu człowieka cienie i lęki.

Leczyła ludzi, którzy przeszli przez piekło, którzy nie potrafili odpowiedzieć na zadane przez nią pytania. Westfall być może służył temu rzeźnikowi, ale... Yrene powstrzymała grymas, gdy uświadomiła sobie, co ją czeka. Przecież uzdrowiciele często leczyli nie tylko rany, ale też dusze nękane urazami, które pojawiły się wraz z uszkodzeniem ciała. Hafiza z pewnością zdawała sobie z tego sprawę, gdy przydzieliła ją do lorda Westfalla. Czekają ją leczenie, w którym będzie posługiwać się nie tylko magią, ale również... rozmową. Będzie musiała podążać obok swego pacjenta po ciemnych, nieprzyjaznych ścieżkach jego duszy.

A rozmowa z nim... Yrene odepchnęła tę myśl od siebie. Później. Później się nad tym zastanowi.

Zamknęła powieki i uformowała ze swej mocy cienką nić, którą chciała wpuścić w ciało Westfalla. Przyjrzała się raz jeszcze miejscu, gdzie został trafiony – ślad przypominał rozbryzgniętą gwiazdę – i ułożyła na nim dłoń.

Uderzyło w nią zimno. Lodowe drzazgi wnikały w jej krew i kości. Zatoczyła się niczym trafiona pięścią.

„Zimno, ciemność, gniew i ból...”.

Zacisnęła szczęki i wepchnęła swą moc nieco głębiej w mrok. Ból w chwili trafienia musiał być niewyobrażalny. Wzdrygnęła się, odpychając napór zimna. Czuła nicość, która ziała w obcej magii, czuła jej śliskość i nieludzkie zło. Jakiś głos w jej duszy szepnął, że ta magia na pewno nie pochodziła z ich świata. Nie była niczym naturalnym ani dobrym. Niczym, co by знаła, niczym, z czym się kiedykolwiek zetknęła.

Jej magia wrzeszczała, błagała ją, by cofnęła nić, by uciekała.

– Yrene.

Jego słowo wydawało się dobiegać z wielkiej dali. Wokół niej ryczały wiatr, mrok i pustka.

A potem pojawiło się echo nicości, która wydawała się budzić.

Przepelniło ją zimno, które płonęło w jej kończynach, rozlewało się szerzej, krążyło po jej ciele. Yrene w odruchu obronnym cisnęła własną mocą na ślepo. Ta, biała niczym morska piana, rozjarzyła się, a ciemność odskoczyła jak pajak, chroniący się w mrocznym kącie. To wystarczyło, by zdołała cofnąć dłoń i odsunąć się od pacjenta. Chaol wpatrywał się w nią.

Spojrzała na swoje drżące dłonie, a potem przeniosła wzrok na białawą plamę na jego skórze. Ta obecność... Skupiła własną moc w głębi ciała, by ogrzała jej kości i krew, by pomogła jej dojść do siebie, choć sama również musiała ją uspokoić. Wyobraziła sobie niewidzialną dłoń w głębi swej duszy, która gładzi spłoszoną magię i odsuwa od niej lęk.

– Powiedz mi, co to jest – wyrzęziła.

Nigdy nie widziała ani nie czuła czegoś podobnego.

– To coś jest we mnie? – W oczach Chaola błysnął strach, autentyczny, nieskrywany strach.

A więc wiedział. Dobrze wiedział, jaka moc zadała mu ten cios. Wiedział, co się może czaić w ranie. Wiedział o niej wystarczająco dużo, by się jej bać. Jeśli w Adarlanie istniała taka moc...

– Myślę... – Yrene przelknęła ślinę. – Myślę, że to... że to tylko echo czegoś o wiele potężniejszego. Niczym znamię bądź tatuaż. To coś nie jest żywe, ale nie... – Zacisnęła dłonie w pięści. Jeśli samo sondowanie ciemności przy pomocy jej magii wywołało taką reakcję, jej pełen impet... – Opowiedz mi o niej. Jeśli mam się mierzyć z... z tym czymś, muszę to poznać. Muszę dowiedzieć się tyle, ile można.

– Nie mogę.

Yrene już otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale zauważyła, że lord zerka na otwarte drzwi. Powtarzał ostrzeżenie, które usłyszał od niej.

– Musimy więc znaleźć sposób, by to obejść – zdecydowała. – Usiądź. Muszę się przyjrzeć twojej szyi.

Patrzyła, jak napinają się silne mięśnie jego brzucha, gdy podciągał się do pozycji siedzącej, a potem ostrożnie zsuwał nogi i stopy na podłogę. Dobrze. Dobrze, że miał w sobie cierpliwość i opanowanie, by pracować ze swoim ciałem. Dobrze.

Yrene zatrzymała jednak te uwagi dla siebie. Walcząc z drżeniem kolan, podeszła do biurka, na którym stały jej fiolki z bursztynowymi olejkami do masażu. Jeden uzyskano z rozmarynu i lawendy, zbieranych w ogrodach niedaleko Antiki, a drugi z eukaliptusa, pochodzącego z dalekiego południa.

Wybrała eukaliptus. Gdy wyjęła zatyczkę z fiolki, natychmiast otoczył ją ostry, dławiący zapach. Podeszła do kanapy i usiadła obok Chaola. Kojąca, mocna woń. Idealna zarówno dla niego, jak i dla niej.

Nawet siedząc, Westfall górował nad nią. Widząc jego ogromne, muskularne ciało, bez trudu rozumiała, dlaczego był tak dobry w swojej roli kapitana Gwardii. Teraz, gdy znalazła się tak blisko, czuła się nieco inaczej, niż gdy się nad nim pochylała i dotykała go. Siedziała obok lorda Adarlanu...

Odepchnęła tę myśl od siebie. Nałapała nieco olejku na palce i potarła jedną dłoń o drugą, by je rozgrzać. Chaol oddychał mocno, jakby chciał się nasycić zapachem, a Yrene, nie wdając się w wyjaśnienia, ułożyła dłonie na jego karku.

Masowała szerokimi, zamaszystymi ruchami najpierw okolice masywnej szyi, a potem skupiła się na ramionach. Westfall jęknął głucho, gdy dotknęła zgrubienia między jego szyją i ramieniem. Dłonie Yrene wychwyciły wibracje, towarzyszące dźwiękowi.

– Przepraszam – bąknął.

Zignorowała to i wbiła kciuki w okolice zgrubienia. Znów stęknął. Był widocznie zażenowany swoją reakcją i Yrene zastanawiała się, czy nie powinna się jakoś do tego odnieść. Może lekceważenie jego reakcji było przejawem okrucieństwa. Zamiast tego pochylała się jednak niżej i przesunęła palce w dół, ostrożnie wymijając straszliwe znamię. Trzymała swą moc na wodzy i nie pozwalała jej zetrzeć się z tamtą.

– Opowiedz mi o wszystkim – szepnęła mu do ucha. Jej policzek niemalże dotykał króciutkiego zarostu na jego szczęce. – Natychmiast.

Odczekał chwilę, nasłuchując. Dłonie Yrene masowały jego kark i ugniatały mięśnie tak twarde i ubite, że dziewczynę przeszywały dreszcze. Po chwili lord Westfall zaczął szeptać.

\*\*\*

Chaol musiał docenić to, że dłonie Yrene Towers ani na moment nie przestały pracować, gdy opowiadał jej do ucha historię rodem z najgorszych koszmarów. Bramy Wyrda, Kamienie Wyrda, Ogary Wyrda. Valgowie, Erawan, jego książęta i naszyjniki. Nawet dla niego brzmiało to jak historyjka na dobranoc, jedna z tych, które matka opowiadała mu podczas długich, zimowych nocy w Anielle, gdy na zewnątrz szalały wichury.

Nie opowiedział jej jednak o Kluczach. O królu, który był więziony przez dwie dekady. O tym, że Dorian podzielił jego los. Nie powiedział jej o tym, kto go zaatakował ani też o prawdziwej tożsamości Perringtona. Mówił jedynie o mocy, jaką władali Valgowie, i zagrożeniu, jakie stanowili. O tym, że sprzysięgli się z Perringtonem.

– A więc... To był jeden z nich? Jeden z tych demonów zadał ci ranę? – spytała szeptem Yrene.

Jej dłoń wisiała nad znamieniem na plecach. Nie miała odwagi, by go dotknąć, unikała tego miejsca podczas masażu, jakby się bała kontaktu z mrocznym echem. Jakby na dowód przeniosła uwagę na lewe ramię i powróciła do ugniataania mięśni. Chaol dawno nie przeżył czegoś równie rozluźniającego. Z trudem powstrzymywał stęknięcia rozkoszy, gdy z jego obolałych pleców, ramion, szyi i potylicy ulatywało nagromadzone tam napięcie. Nie miał pojęcia, jak twarde były. Nie wiedział, czego się dorobił w trakcie wielu lat ćwiczeń.

– Tak – odpowiedział cicho po chwili. – Miałem zostać zabity, ale uszedłem z życiem.

– W jaki sposób? – spytała Yrene.

Strach już ją opuścił, a dłonie przestały drżeć, ale w jej głosie nie było wiele ciepła. Chaol przechylił nieco głowę, pozwalając jej popracować na mięśniu tak zbitym, że mężczyzna aż zgrzytnął zębami, zanim powiedział:

– Pomógł mi talizman chroniący przed takim złem oraz nieco szczęścia.

Czy może raczej litość, okazana przez króla, który zadał ostatni cios. Chaol jednakże wiedział, iż ten nie chciał wyświadczyć łaski jemu, ale zrobić coś dla Doriana.

Cudowne dłonie Yrene zatrzymały się. Cofnęła się i spojrzała mu w twarz.

– Aelin Galathynius zniszczyła szklany zamek. Czy to dlatego? Przejęła całe Rifthold, by ich pokonać?

„A gdzie ty w tym czasie byłeś?” – brzmiało niewypowiedziane pytanie.

– Tak – odpowiedział, a potem szepnął jej prosto do ucha: – Wraz z Nesryn i wieloma innymi połączyliśmy z nią siły.

Z wieloma innymi... Nie miał od nich żadnej wieści. Nie miał pojęcia, co się z nimi stało, ale przypuszczał, że dalej walczą i krwawią, by ocalić swe ojczyste ziemie i zapewnić dla siebie przyszłość, a on siedział tu, w Antice. Nie był w stanie nawet uzyskać prywatnej audiencji u księcia, nie mówiąc już o kaganie.

– A więc te istoty z koszmarów sprzymierzyły się z Perringtonem – zastanawiała się cicho Yrene.

– To z nimi czeka was wojna.

Na jej twarz powróciła bladość, ale Chaol nie owijał w bawełnę.

– Tak.

– A ty? Będziesz z nimi walczył?

Chaol uśmiechnął się z goryczą.

– Jeśli wspólnie damy sobie radę z moim kalectwem.

„Jeśli zdołasz dokonać rzeczy niemożliwej” – pomyślał.

Uzdrowicielka nie podchwyciła jego żartu. Usiadła na kanapie i przez moment przyglądała się mężczyźnie czujnie, z dystansem. Przez dłuższą chwilę sądził, że Yrene zaraz coś powie, że go o coś zapyta, ale ta pokręciła jedynie głową.

– Muszę sprawdzić wiele rzeczy, nim zdecyduję się zrobić coś więcej.

Pokazała mu plecy, a Chaol uświadomił sobie, że nadal siedzi w majtkach. Stłumił pokusę, by sięgnąć po ubranie.

– Czy to może być niebezpieczne? Dla ciebie?

Bo jeśli tak było...

– Nie wiem. Ja... ja nigdy nie zetknęłam się z czymś takim. Muszę się doksztalcić, zanim zacznę cię leczyć i ułożę harmonogram ćwiczeń. Dziś wieczorem muszę się udać do biblioteki w Torre.

– Oczywiście.

Jeśli przez tę przeklętą ranę Yrene również miałaby ucierpieć, Chaol był gotów zrezygnować z leczenia. Nie miał pojęcia, cóż miałby później ze sobą zrobić, ale wiedział, że nie pozwoli jej się dotknąć. Za duże ryzyko, zbyt wielki wysiłek...

– Nigdy nie powiedziałas ani słowa o tym, ile zażadasz za swą pomoc.

Wiedział, że będzie to niesłychana kwota. Skoro przysłali najlepszą uzdrowicielkę...

Yrene zmarszczyła lekko brwi.

– Jeśli się upierasz, by coś zapłacić, przekaż pieniądze na utrzymanie Torre i pracujących tam ludzi. Za nasze usługi nie ma cen.

– Dlaczego?

Uzdrowicielka wstała i wsunęła dłoń do kieszeni.

– Otrzymałam mój dar od Silby. Nie wolno pobierać opłat za coś, co się otrzymało za darmo.

Silba, Bogini Uzdrawiania. Chaol znał inną kobietę, która również została pobłogosławiona przez boginię. Nic dziwnego, że w oczach ich obu płonął taki ogień.



Yrene wzięła fiolkę swego cudownie pachnącego olejku i zaczęła pakować torbę.

– Dlaczego postanowiłaś wrócić, by mi pomóc?

Yrene zatrzymała się, a jej szczupłe ciało zeszywniało. Potem odwróciła się ku niemu. Podmuch wiatru z ogrodu poruszył kosmykami jej wysoko upiętych włosów i zarzucił je na jej ramię i klatkę piersiową.

– Uznałam, że ty oraz kapitan Faliq możecie któregoś dnia wykorzystać moją odmowę przeciwko mnie.

– Nie pozostaniemy tu na zawsze.

Yrene wzruszyła ramionami.

„Moje słowa można odebrać na wiele sposobów, ale to i tak bez znaczenia” – pomyślała.

– Ja też nie – rzekła.

Spakowała resztę swoich rzeczy i skierowała się ku drzwiom, a wówczas Chaol zaskoczył ją kolejnym pytaniem:

– Chcesz wrócić?

„Do Fenharrow? Do piekła?” – brzmiały niewypowiedziane słowa.

Yrene spojrzała na drzwi i na służących, którzy czekali w przedpokoju i słuchali.

– Tak – odparła.

Chciała nie tylko wrócić do Fenharrow, ale też pomóc toczącym wojnę. Wiedziała bowiem, że uzdrowiciele będą tam rozpaczliwie potrzebni. Mniejsza o to, że wciąż mroził ją strach przed tym, o czym Chaol szeptał jej do ucha. Zauważyła jego uniesione brwi i dodała:

– Chcę postąpić tak, jak należy. Chcę się podzielić wszystkim, co potrafię, i podziękować losowi za życzliwość, jaka mnie spotkała.

Chaol zastanawiał się, czy jej nie ostrzec. W pierwszym odruchu chciał ją prosić, by została tu, gdzie jest bezpieczna i nic jej nie grozi, ale dostrzegł czujność w oczach czekającej na odpowiedź uzdrowicielki i uświadomił sobie, że inni przypuszczalnie już odradzali jej wyjazd i pewnie zasiali ziarno zwątpienia w jej sercu.

– Kapitan Faliq i ja nie jesteśmy ludźmi, którzy mieliby ci za złe odmowę – rzekł miast tego. – Nie chcielibyśmy cię za to karać.

– Służyłeś człowiekowi, który nie miał takich skrupułów – odparła.

„I pewnie działałeś w jego imieniu” – dodała w myślach.

– Uwierzyłabyś mi, gdybym ci powiedział, że pozostawił brudną robotę innym, a ja o wielu rzeczach w ogóle nie wiedziałem?

Wyraz jej twarzy był najlepszą odpowiedzią. Położyła dłoń na klamce.

– Wiedziałem, że był odpowiedzialny za niewysłowione zbrodnie i wciąż popełniał kolejne – mówił cicho. – Wiedziałem, że gdy byłem chłopcem, obce armie próbowały stawić mu czoła, a on rozbił je w pył. Ja... Cóż, by zostać kapitanem, musiałem zrzec się niektórych przywilejów. Korzyści. Uczyniłem to z ochotą, ponieważ chciałem się skupić na chronieniu naszej przyszłości. Chciałem chronić Doriana. Nawet gdy byliśmy dziećmi, wiedziałem, że nie wdał się w ojca. Wiedziałem, że z nim na tronie czeka nas lepsza przyszłość. Musiałem tylko dopilnować, by Dorian dożył tej chwili. Ba, musiałem zadbać, by nie został emocjonalnie zniszczony. By miał przy sobie sojusznika, prawdziwego przyjaciela na dworze pełnym kłusujących żmij. Żaden z nas nie był wystarczająco silny ani odpowiednio doświadczony, by rzucić wyzwanie jego ojcu. Widzieliśmy, co się działo z tymi, którzy choćby szepnęli o buncie. Byłem przekonany, że gdybym wychylił się na moment z szeregu, król natychmiast kazałby mnie zgładzić. Ten sam los czekałby Doriana, nawet jeśli był następcą tronu. Robiłem wszystko, by utrzymać wokół nas atmosferę względnej stabilności, gdyż to było najbezpieczniejsze rozwiązanie.

Twarz Yrene nawet nie drgnęła.

– Co się stało?

Chaol w końcu sięgnął po koszulę.

„Ciekawe – pomyślał. – Obnażyłem przed nią część swej duszy, będąc częściowo nagim”.

– Poznaliśmy kogoś. Kogoś, kto poprowadził nas nową ścieżką. Sprzeciwiałem się temu do

chwili, gdy zaczęło nas to wszystkich zbyt wiele kosztować. Możesz spoglądać na mnie z niechęcią, Yrene Towers, i nie będę cię obwiniał, ale uwierz mi, gdy ci powiem, że w całej Erilei nie ma człowieka, który gardziłby mną bardziej niż ja sam.

– Ze względu na ścieżkę, na której się znalazłeś wbrew swej woli?

Chaol włożył koszulę i sięgnął po spodnie.

– Za to, że się jej opierałem. Że nie chciałem, byśmy na nią weszli. Za błędy, które wówczas popełniłem.

– A którą ścieżką teraz podążasz? Jak namiestnik Adarlanu chce kształtować swą przyszłość?

Nikt go nigdy o to nie pytał. Nawet Dorian.

– Nadal analizuję to, co wiem. Nadal się uczę. Nadal się... zastanawiam – przyznał. – Ale w każdym razie na początku mej nowej ścieżki leży pokonanie Perringtona i przegnanie Valgów z naszej ojczyzny.

Słuchała go uważnie. Powiedział „naszej”. Yrene przygryzła wargę, jakby pożądała jej smaku.

– Co dokładnie wydarzyło się w dniu przesilenia letniego?

Nie podzielił się z nią żadnymi szczegółami. Nie opowiedział jej o ataku i trwających wiele tygodni przygotowaniach. Nie opowiedział jej o następstwach.

Przed jego oczami znów stanęła sala zamkowa. Ujrzał głowę toczącą się po podłodze i usłyszał wrzask Dorian, ale wspomnienie to zlało się z innym, w którym jego przyjaciel stał już przy ojcu z twarzą zimną niczym śmierć i bardziej okrutną od któregokolwiek z poziomu królestw Hellasa.

– Powiedziałem ci o wszystkim – odparł.

Yrene stała i wpatrywała się w niego, bawiąc się paskiem ciężkiej, skórzanej torby.

– By dojść do siebie w pełni, będziesz musiał również stawić czoła emocjonalnym konsekwencjom swej rany.

– Nie muszę niczemu stawiać czoła. Wiem, co się działo przed nią i po niej.

Yrene stała nieporuszona, a spojrzenie jej jakże starych oczu było całkowicie niezmacone.

– Jeszcze się przekonamy.

W powietrzu między nimi zawisło wyzwanie. W żołądku Chaola wzbierał lęk, a słowa stanęły mu w gardle, gdy ujrzał, jak uzdrowicielka odwraca się na pięcie i wychodzi.

Dwie godziny później Yrene oparła głowę o krawędź sadzawki wykutej w kamiennej podłodze ogromnej jaskini pod Torre i spojrzała w ciemność, gęstniejącą wysoko nad nią.

Popołudniami Łona było niemalże puste. Jedynym dźwiękiem był szum wody z naturalnych gorących źródeł, przepływających przez dziesiątki sadzawek i basenów w podłodze pieczary. Yrene słyszała też, jak od ostrych stalaktytów nad jej głową odrywają się krople, które trącały niezliczone dzwoneczki wiszące na łańcuszkach rozpiętych między słupami z jasnego kamienia, wyrastającymi prosto z podłoża.

W naturalnych wnękach i alkowach płonęły świece, widziała też całe ich grupki przy basenach – przydawały blasku kłębowi siarkowej pary i sprawiały, że wykute w ścianach sowy migotały.

Poruszyła leniwie głowę, ułożoną na twardym, kamiennym skraju kadzi. Oddychała gęstym powietrzem Łona. Patrzyła, jak kłęby unoszą się i nikną wśród ciemności nad jej głową. Wszędzie dookoła słyszała wysokie, słodkie tony trącanych dzwoneczków, wśród których raz na jakiś czas rozlegała się czysta nuta.

Nikt w Torre nie miał pojęcia, kto pierwszy przyniósł srebrne, szklane i brązowe dzwoneczki do Łona Silby. Niektóre znajdowały się tu tak długo, iż pokrył je już nalot minerałów, a spadające na nie krople rozbijały się z ledwie słyszalnym pluskiem. Mimo to wedle tradycji, której Yrene również dopełniła, każda nowa akolitka przynosiła tu osobiście wybrany dzwonek, na którym wygrawerowano jej imię i datę przybycia do Torre. Następnie musiała znaleźć dla niego miejsce, a dopiero potem mogła zanurzyć się w bulgoczących wodach Łona. Dzwonek miał tu wisieć całą wieczność, by cieszyć swym dźwiękiem uzdrowicielki, które miały przybyć tu później. Głosy ich ukochanych siostr miały na zawsze im śpiewać.

Zważywszy na to, że przez korytarze Torre przewinęły się już tłumy uzdrowicielek, nikt nie był w stanie zliczyć, ile dzwoneczków wisiało w jaskini. Całą komorę, która dorównywała rozmiarami wielkiej sali kagana, zajmowała rozbrzmiewająca echem, złożona melodia, wypełniająca głowę Yrene i rozlewająca się po jej ciele.

Uzdrowicielka nurzała się w cudownie gorącej wodzie. Jakiś architekt sprzed wieków odkrył gorące źródła pod Torre i obmyślił sieć kadzi oraz basenów, wykutych w kamiennym dnie, po których bezustannie krążyła gorąca woda. Yrene trzymała dłoń w rynnie z boku basenu i cieszyła się pieszczotą płynącej wody, która wnikała w wylot po drugiej stronie i dołączała do podziemnego strumienia, zmierzającego ku drzemiącemu sercu ziemi.

Ponownie odetchnęła głęboko i odsunęła wilgotne włosy, które przyłgnęły jej do czoła. Zgodnie z zasadami przed zejściem do Łona wykąpała się w jednym z niewielkich przedsionków na zewnątrz, by spłukać z siebie pył, kurz i ból świata na powierzchni. Potem podeszła do akolitki, która czekała z lekkim szlafrokiem w kolorze lawendy – kolorze Silby. W tym odzieniu uzdrowicielka wkroczyła do Łona, gdzie zdjęła szlafrok na brzegu basenu i całkiem naga, nie licząc obrączki matki na palcu, zeszła do wody.

Siedząc wśród bąbli, uniosła dłoń i przyjrzała się obrączce. Patrzyła na światło, załamujące się na złocie i rozpalające malutki granat. Wszędzie dookoła dzwoneczki dźwięczały, śpiewały i nuciły, a ich muzyka mieszała się z szumem wody. Wkrótce Yrene miała wrażenie, że unosi się w nurcie żywych dźwięków.

Woda była żywiołem Silby. Kąpiel w świętych wodach pod Torre, które nigdy nie miały kontaktu ze światem na powierzchni, była porównywalna z zanurzeniem się w krwi samej bogini. Yrene wiedziała, że nie ona jedna podczas kąpieli odnosiła wrażenie, jakby w istocie znalazła się w łonie bogini, zupełnie jakby to miejsce powstało właśnie dla nich.

Zaś ciemność nad jej głową... Różniła się od tej, na którą natrafiła podczas badania ciała lorda Westfalla. Była przeciwieństwem czerni. Ciemność w jaskini stanowiła element aktu tworzenia, była odpocynkiem, wytchnieniem i nieuformowaną myślą.

Yrene wpatrywała się w ciemność, w samo łono Silby i mogłaby przysiąc, iż czuje, jak coś odpowiada jej wzrokiem. Jak słucha jej myśli, przez które przepływały opowieści lorda Westfalla.

Opowieści rodem ze starożytnych koszmarów. Z innego wymiaru. Demony. Czarna magia. Istoty, które przyczały się, by napaść na jej ojczyznę. Nawet tu, pośród kojących, ciepłych wód, Yrene czuła, jak jej krew zamienia się w lód.

Spodziewała się, że na odległych polach bitew na północy przyjdzie jej opatrywać rany od pchnięć i połamane kości. Oczekiwała, że będzie walczyć z chorobami, które szalały w obozowiskach wielkich armii, zwłaszcza podczas chłodniejszych miesięcy.

Czyżby jednak miała leczyć obrażenia zadawane przez istoty, które niszczą zarówno ciało, jak i duszę? Zbrojne w pazury, kły i truciznę? Owa zła na wskroś moc, która spowiła ranę na kręgosłupie, nie była łatwym wyzwaniem jak połamane kości czy splątane nerwy. Cóż, z technicznego punktu widzenia rana nie różniła się od innych, ale owa zła magia była z nią nierozzerwalnie związana. Ba, wręcz w nią wrosła.

Yrene wciąż nie mogła się pozbyć wrażenia, że dotknęła czegoś śliskiego, przeświadczenia, że w ranie Westfalla coś się poruszyło. Przebudziło.

Melodia dzwonek przetaczała się to w jedną, to w drugą stronę, usypiając ją powoli, nakłaniając, by otworzyła umysł.

Postanowiła, że wieczorem pójdzie do biblioteki. Sprawdzi, czy uda jej się natrafić na jakiegokolwiek informację o tym, co usłyszała od lorda i czy ktoś przed nią napisał coś o ranach zadanych magią.

Wiedziała, że nie jest to rana, którą zdoła wyleczyć samodzielnie.

Zasugerowała to zresztą lordowi przed wyjściem, ale dalej nie wiedziała, jak można walczyć z tym czymś, co istniało w jego ciele.

– Jak? – wyszeptala to słowo w świat pary i ciemności, w rozdźwięczoną, bulgoczącą ciszę.

Nadal widziała, jak uformowana z jej magii sonda cofa się, wciąż czuła jej obrzydzenie po kontakcie z demoniczną potęgą. Z przeciwieństwem tego, czym była zarówno ona, jak i jej moc. Widziała ją w ciemności nad swą głową. Widziała, jak skrywa się w ziemskim łonie Silby i wabi ją.

Jakby chciała rzec: „Musisz wkroczyć do miejsca, które budzi twój lęk”.

Yrene przełknęła ślinę. Naprawdę miała pogрузić się w otchłani kipiącej mocy, która przyłgnęła do pleców lorda?

„Musisz tam wkroczyć” – szeptała słodka ciemność.

„Musisz tam wkroczyć” – śpiewała woda, która otaczała ją i mknęła dalej niczym krew w żyłach Silby.

„Musisz tam wkroczyć” – zamruczała ponownie ciemność. Wydawała się rozprzestrzeniać i przybliżać, ale Yrene nie miała nic przeciwko. Wpatrywała się w mrok coraz mocniej, coraz intensywniej.

Miała walczyć z ową złowrogą mocą, która zagnieździła się na plecach lorda? Miała zaryzykować wszystko, by zdać jakiś test wyznaczony jej przez Hafizę? Miała ryzykować dla syna Adarlanu, podczas gdy jej rodacy ginęli w odległej wojnie? Każdy kolejny dzień opóźniał jej wyjazd.

„Nie mogę” – pomyślała.

„Nie zrobisz tego” – rzuciła jej wyzwanie słodka ciemność.

Yrene wzdrygnęła się. Obiecała Hafizie, że zostanie tu i wyleczy lorda, ale przeczuwała, że walka z tym, na co natrafiła dziś, zabierze jej ogromnie dużo czasu, o ile w ogóle znajdzie sposób. Co więcej, niektóre obrażenia wymagały od uzdrowicielek, by towarzyszyły swym pacjentom w drodze po ich ścieżkach. Tymczasem ta rana...

Ciemność zdawała się cofać.

„Nie mogę!” – nalegała Yrene.

Nie usłyszała odpowiedzi. Tymczasem z oddali dobiegło czyste uderzenie w dzwon.

Uzdrowicielka zamruęła. Świat odzyskał wyrazistość, a ona na nowo poczuła, że oddycha. Na powrót uzmysłowiła sobie własną cielesność, jak gdyby przez ten czas unosiła się nad własnym ciałem.

Wbiła wzrok w ciemność, ale teraz widziała już jedynie gładki, aksamitny mrok, pusty, jakby właśnie coś go opuściło. Pusty. Czyżby go zniechęciła? Rozczarowała?

Lekko zakręciło jej się w głowie, gdy usiadła. Rozprostowała ręce, które nieco zeszywniały, nawet w bogatej w minerały wodzie. Ile czasu tu spędziła?

Potarła mokre ramiona i z bijącym mocno sercem rozejrzała się dookoła, jakby spodziewała się, że mrok podsunie jej rozwiązanie, podpowie jej, co ma zrobić. Zdradzi, co ją czeka. Pokaże jej alternatywę.

Nie znalazła niczego.

Wtedy, wśród plusków, kapania i muzyki dzwonek, wychwyciła nowy odgłos – ktoś szybko oddychał, drżąc na całym ciele.

Yrene odwróciła się. Z kosmyków jej włosów, które wyslizgnęły się z koka zawiązanego na czubku głowy, ściekały kropelki wody. Po chwili dojrzała inną uzdrowicielkę, która w międzyczasie zeszła do Łona i zajęła każdą po przeciwnej stronie podziemnej komory. Przesłoniły ją gęste kłęby pary i Yrene nie miała pojęcia, kim ona jest, choć z całą pewnością nie znała wszystkich adeptek z Torre.

Dźwięk rozległ się ponownie. Yrene oparła dłonie na zimnej krawędzi swego basenu i wstała. Sięgnęła po cienki szlafrok i owinęła nim swe rozgrzane, parujące ciało. Płótno przyłgnęło do mokrej skóry.

W Łonie panowały surowe zasady. Było to miejsce, gdzie nie wolno było naruszać ciszy ani niczyjej samotności. Uzdrowicielki wchodziły do podziemnych wód, by połączyć się z Silbą i odnaleźć w sobie spokój oraz równowagę. Niektóre pragnęły jej rad, inne oczyszczenia, jeszcze inne chciały odpocząć po dniu ciężkiej pracy, w trakcie którego nie mogły zdradzać emocji ani przed pacjentami, ani być może przed nikim innym.

Choć Yrene wiedziała, że każda uzdrowicielka w Łonie ma prawo do odosobnienia, choć była już gotowa, by wyjść i pozwolić nieznajomej wypłakać się w samotności...

Ramiona kobiety zadrżały. Rozległ się kolejny stłumiony szloch.

Yrene bezszelestnie podeszła do uzdrowicielki w kadzi. Po młodej twarzy nieznajomej spływały prawdziwe strumienie. Jej skóra w odcieniu lekkiego brązu i włosy koloru umbry ze słonecznymi refleksami były niemalże identyczne jak u Yrene. W ciemnobrązowych oczach, które wpatrywały się w ciemność nad jej głową, widać było rozpacz, łzy ściekające po jej kształtnej szczęce, wpadały prosto do wody.

Istniały rany, których nie można było wyleczyć. Choroby, których nie można było powstrzymać nawet dzięki magicznym mocom, jeśli zagnieździły się zbyt głęboko w ludzkim ciele. Jeśli pomoc zjawiała się za późno. Jeśli źle odczytano symptomy.

Uzdrowicielka nie uniosła głowy, gdy Yrene w ciszy usiadła obok jej kadzi. Przysunęła kolana do piersi, a potem ujęła dłoń nieznajomej i oplotła ją palcami.

Siedziała w milczeniu i trzymała jej dłoń, a obca uzdrowicielka szlochała cicho. Unoszące się wokół nich kłęby pary przepelniał czysty, słodki dźwięk dzwonek.

Nie miała pojęcia, ile upłynęło czasu, gdy nieznajoma szepnęła:

– Miała trzy lata.

Yrene ścisnęła jej wilgotną dłoń. Nie było słów pociechy czy pokrzepienia.

– Czasem żałuję... – zaczęła kobieta, ale jej głos się załamał. Ciało przeszył spazm rozpacz. Blask świec prześlizgiwał się po jej skórze. – Czasem żałuję, że w ogóle mam ten dar.

Yrene zeszywniała, słysząc jej słowa. Wówczas obca uzdrowicielka obróciła głowę i spojrzała na nią. Jej oczy błysnęły, gdy ją rozpoznała.

– Też tak czasem myślisz? – spytała bez ogródek.

Nie. Nigdy. Nawet gdy dym z chaty, w której spłonęła jej matka, nadal szczypał ją w oczy. Nie darzyła swego daru nienawiścią, gdyż dzięki niemu przez wiele lat ani razu nie była sama. Nawet po tym, jak w jej ojczyźnie znikła magia, Yrene nadal miała wrażenie, że na jej ramieniu zaciska się ciepła dłoń. Przypominało jej to, kim jest i skąd pochodzi. Czowała żywy związek z niezliczonymi pokoleniami kobiet z rodu Towers, które przebyły tę samą drogę co ona.

Uzdrowicielka spojrzała jej w oczy, czekając na odpowiedź, którą chciała usłyszeć. Odpowiedź, której Yrene nie mogła jej udzielić. Yrene ścisnęła więc jej dłoń i wbiła wzrok w ciemność.

„Musisz wkroczyć do miejsca, które budzi twój lęk”.

Yrene wiedziała już, co ma zrobić, choć czuła, że będzie tego żałować.

\*\*\*

– I co? Yrene uleczyła cię już?

Chaol, zasiadający przy stole samego kagana, odwrócił się ku księżniczce Hasar, znajdującej się kilka miejsc dalej. Przez otwarte okna wpadł podmuch wiatru i trącił białe proporce żałobne. Pachniał nadciągającym deszczem.

Kashin i Sartaq zwrócili się ku niemu. Ten drugi spojrzał na siostrę z dezaprobatą.

– Yrene jest niewątpliwie utalentowaną uzdrowicielką – rzekł ostrożnie Chaol, świadom tego, że przysłuchuje im się wielu ludzi – ale jesteśmy na razie w początkowym stadium procesu, który przypuszczalnie zabierze wiele czasu. Wyszła po południu, by poszukać materiałów w bibliotece w Torre.

Hasar wydeła usta i obdarzyła Chaola jadowitym uśmiechem.

– Zapewne nie posiadasz się z radości, że będziesz mógł dotrzymywać nam towarzystwa jeszcze przez jakiś czas.

Zupełnie jakby chciał zostać z nimi choćby na moment dłużej.

– W istocie, cieszymy się – odpowiedziała za niego Nesryn, której oczy nadal jaśniały po kilku godzinach spędzonych po południu z rodziną. – Cieszymy się z każdej okazji, by stworzyć więź między naszymi krajami.

– W rzeczy samej – bąknęła Hasar i wróciła do skubania widelcem potrawy z pomidorów i okry na talerzu.

Jej ukochanej nigdzie nie było widać, podobnie zresztą jak Yrene. Chaol dobrze pamiętał strach, jaki wzbudził w uzdrowicielce. Miał wręcz wrażenie, że czuje jego smak w powietrzu, ale Yrene stłumiła go siłą woli.

„Siłą woli oraz temperamentu. – Chaol poprawił się w myślach. – Ciekawe, który z tych dwóch żywiołów zyska przewagę”.

Złapał się na tym, iż skrycie żywi nadzieję, że Yrene będzie jednak trzymać się od niego z daleka, choćby po to, by uniknąć tego, czego wagę kilkakrotnie podkreślała – rozmowy. Omawiania różnych rzeczy. Mówienia o nim samym.

Będzie musiał dać jej jutro do zrozumienia, że dojdzie do siebie bez tych wszystkich rozmów.

Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, zerkając na ludzi przy stole i przemykających za ich plecami służących. Na strażników przy oknach i wejściach do wielkiej sali.

Gdy patrzył na ich dumne, wyprostowane sylwetki, na ich mundury, jagnięcina zamieniała się w jego ustach w popiół. Ileż to razy sam stał przy drzwiach podczas posiłków i strzegł bezpieczeństwa króla? Ileż to razy łajał swoich ludzi za niedbalstwo i rozmowy na służbie, po czym za karę przekierowywał ich na mniej istotne posterunki?

Jeden z ludzi kagana przechwycił jego wzrok i pozdrowił go sztywnym skinieniem. Chaol bezzwłocznie odwrócił głowę. Jego dłonie były spocone. Mimo to szybko powrócił do obserwacji ludzi wokół siebie, ich ubiorów, ruchów i uśmiechów.

Nie dostrzegał absolutnie żadnych znaków czy przejawów wrogich sił, zarówno z Morath, jak i z innych miejsc. Jedynym wyrazem jakiegokolwiek ostentacji były białe proporce ku czci zmarłej księżniczki.

Aelin utrzymywała, że Valgowie cuchną, a on sam setki razy widział ich czarną krew wyciekającą z żył śmiertelników, ale nie znał sposobu, by odnaleźć ukrytego Valga. Jediną metodą byłoby nacięcie dłoni każdemu z obecnych na sali, co w sumie nie byłoby takim złym pomysłem. Gdyby tylko udało mu się uzyskać audiencję u kagana, by mógł go do tego przekonać. Mógłby wówczas zrobić listę wszystkich ludzi, którzy uciekli przed obowiązkiem bądź wymówili się przed nim.

Tak, audyencja u kagana pomogłaby mu przekonać go co do grożącego im niebezpieczeństwa i być może choć odrobinę popchnąć naprzód kwestię sojuszu. Mógłby doprowadzić do sytuacji, w której nikt z książąt i księżniczek siedzących naokoło niego nigdy nie założyłby czarnego naszyjnika. Ich najbliżsi nigdy nie dowiedzieliby się, jak to jest spojrzeć w twarz ukochanego bądź ukochanej i ujrzyć jedynie pogardliwy uśmiech, a w nim pradawne okrucieństwo.

Chaol nabrał tchu, żeby się uspokoić, i pochylił się naprzód, by zerknąć na kagana, siedzącego kilka miejsc dalej i pogrążonego w rozmowie z księżniczką Duvą oraz jednym z wezyrów. Najmłodsza córka władcy wydawała się bardziej obserwować rozmowę niż w niej uczestniczyć, a choć wyraz jej pięknej twarzy łagodził słodki uśmiech, oczy wychwytywały każdy szczegół. Gdy wezyr ujął kielich, by upić łyk wina, a Duwa obróciła się ku swemu cichemu mężowi siedzącemu po jej lewicy, Chaol odkaszlnął i zwrócił się do kagana:

– Raz jeszcze chciałem ci podziękować, Wielki Kaganie, że zaoferowałeś mi usługi swych uzdrowicieli.

Kagan obrócił ku niemu znużone, ale twarde spojrzenie.

– Uzdrowicielki są równie moje jak twoje, lordzie Westfall.

Powrócił do rozmowy z wezyrem, który zmarszczył brwi, niezadowolony z tego, że Chaol im przerwał. Ten jednakże nie ustawał:

– Miałem wielką nadzieję, iż może dostąpię zaszczytu uzyskania prywatnej audyencji u ciebie, kaganie.

Nesryn ostrzegawczo trąciła go łokciem. Wokół stołu zapadła cisza, ale Chaol wpatrywał się wyłącznie w mężczyznę siedzącego przed nim. Kagan odparł jedynie:

– Takie sprawy możesz omawiać z głównym wezyrem, który organizuje mi dzienny harmonogram.

Ruchem podbródka wskazał mężczyznę o przenikliwym spojrzeniu, siedzącego wśród gości. Chaol od razu dostrzegł jego sztuczny uśmiech i domyślił się, że o audyencji może zapomnieć.

– Ja na razie pragnę pozostać przy mojej żonie, która ciężko znosi żałobę i wymaga mojej pomocy.

Jego oczy błysnęły autentycznym żalem. W istocie, kagan zasiadł do wieczerzy bez żony. Nie zostawiono nawet dla niej miejsca.

W ciszy, jaka zapadła po jego słowach, rozległo się dudnienie odległego pioruna. Chaol zrozumiał, że nie jest to odpowiednia pora, by nalegać.

„Przecież ten człowiek oplakuje śmierć dziecka – pomyślał. – Wyszedłbym na głupca, gdybym zwracał mu głowę. Na głupca i nieskończonego gburą”.

Pochylił głowę i rzekł:

– Wybacz, iż zakłócam ci tak trudne chwile.

Zignorował krzywy uśmiech na twarzy Arghuna, który siedział przy ojcu i nie spuszczał go z oczu. Jedynie Duwa uśmiechnęła się bądź skrzywiła lekko ze współczuciem, jakby chciała powiedzieć: „Nie ty pierwszy zostajesz odrzucony. Daj mu więcej czasu”.

Chaol uklonił się lekko księżniczce i na powrót skupił się na swoim talerzu. Skoro kagan nie miał zamiaru go słuchać, być może istniały inne sposoby, by przekazać informacje bądź zdobyć poparcie.

Spojrzał na Nesryn, która wróciła przed kolacją i poinformowała go, że nie udało jej się znaleźć Sartaqą. Chaol zerknął więc na księcia, który siedział naprzeciwko niego, popijając wino, i rzekł swobodnym tonem:

– Słyszałem, że twój legendarny rumak Kadara przebywa w stolicy, książę.

– Paskudne bydło – burknęła od niechcenia Hasar, zajęta swoim posiłkiem.

Sartaq uśmiechnął się lekko.

– Hasar wciąż boczy się na to, że podczas ich pierwszego spotkania Kadara próbowała ją pożreć – przyznał.

Księżniczka przewróciła oczami, choć błysnęło w nich rozbawienie.

– Nawet w porcie słyszać było, jak skrzeczy – dodał siedzący dalej Kashin.

Ku zaskoczeniu Chaola odezwała się Nesryn:

– Księżniczka czy ruk?

Zaskoczony pytaniem Sartaq parsknął głośnym, czystym śmiechem, a jego chłodne oczy rozjaśniły się. Hasar obrzuciła Nesryn ostrzegawczym spojrzeniem, a potem odwróciła się ku siedzącemu obok wezyrowi. Kashin uśmiechnął się zaś do Nesryn promiennie i szepnął:

– Obie się darły!

Chaol zachichotał, choć na widok ostrego spojrzenia Hasar natychmiast opanował wesołość. Uśmiechnięta Nesryn pochyliła ku niej głowę, przeprasząc za swój dobroduszny żart. Sartaq przyglądał im się uważnie znad brzegu złocistego pucharka.

– Czy udaje ci się często na niej latać, gdy wypełniasz swe obowiązki w stolicy? – spytał Chaol.

Księżę skinął głową.

– Robię to najczęściej jak się da, zwykle w okolicy świtu. Dziś wzbiłem się ku niebu po śniadaniu i na szczęście wróciłem tuż na kolację.

– Bo jeszcze się nie zdarzyło, by mój brat przegapił posiłek – mruknęła Hasar do Nesryn, nie przerywając rozmowy z wezyrem.

Kashin parsknął śmiechem, czym zwrócił nawet uwagę kagana, który zerknął na niego. Arghun uczynił to samo i skrzywił się z dezaprobatą. Kiedy członkowie rodziny rządzącej śmiali się po raz ostatni? Sądząc po napięciu na twarzy kagana, upłynęło już sporo czasu.

Sartaq jednakże zarzucił swój długi warkocz za ramię i poklepał się po płaskim, mocnym brzuchu, ukrytym pod dostojnymi szatami.

– A po co wracam tak często do domu, siostrzyczko, jeśli nie po to, by się dobrze najeść?

– By knuć i spiskować? – spytała słodko Hasar.

Uśmiech Sartaa przygasł.

– Gdybym tylko miał czas na takie rzeczy – rzekł.

Przez jego twarz przemknął cień, a Chaol zauważył, dokąd powędrował jego wzrok. Sartaq zerknął na białe proporce zwisające z wysokich okien, łopoczące wraz z powiewami wiatru, zwiastującymi rychłe nadejście burzy z piorunami. Było to spojrzenie człowieka, który żałuje, że nie ma czasu na najważniejsze w życiu sprawy.

– A więc latasz codziennie, księżę? – spytała Nesryn nieco łagodniejszym niż zwykle głosem.

Sartaq oderwał spojrzenie od białych proporców, upamiętniających śmierć jego najmłodszej siostry, po czym przyjrzał się Nesryn. Był bardziej wojownikiem niż dworzaninem, ale wyczytał w jej oczach niewypowiedziane pytanie i skinął głową.

– Tak, pani kapitan.

Po chwili odwrócił się, by odpowiedzieć na pytanie zadane przez Duvę. Chaol spojrział wówczas wymownie na Nesryn. Nie potrzebował niczego więcej, by wydać jej rozkaz.

„Bądź na lądowisku o świcie. Poznaj jego opinię o wojnie”.



Letnia burza przetoczyła się nad Wąskim Morzem tuż przed północą. Choć Yrene skryła się w ogromnej, rozległej bibliotece w Torre, czuła drżenie każdego uderzenia pioruna. Od czasu do czasu wąskie korytarze przecinało migotanie błyskawic, a w szczeliny między jasnymi kamieniami wciskał się wiatr, który gasił świece. Większość na szczęście była zamknięta w latarniach o szklanych szybkach – wszak księgi i zwoje były bezcenne i paradowanie wśród nich z otwartym ogniem wiązało się z wielkim ryzykiem. Niemniej jednak wiatr nie miał litości i każdy kolejny podmuch kołysał latarniami, które jęczały głośno.

Yrene siedziała za biurkiem z dębowego drewna wbudowanym w alkowę z dala od bardziej oświetlonej, chętniej odwiedzanej części biblioteki i przyglądała się zwisającej z łukowego sklepienia metalowej latarni, trącanej podmuchami wiatru. Na jej ściankach wycięto gwiazdy i półksiężycy, które przesłonięto kolorowymi szybkami, rzucającymi teraz błękitne, czerwone i zielone cienie na kamienną ścianę, unoszące się i opadające niczym żywe morze kolorów.

Gdzieś uderzył piorun, tak głośny, że Yrene aż drgnęła. Stare krzesło, na którym siedziała, zaprotestowało skrzypnięciem. Rozległo się kilka kobiecych pisków, po chwili zastąpionych przez wesole chichoty.

„Akolitki – przeszło Yrene przez głowę. – Uczą się do egzaminów, które odbędą się w przyszłym tygodniu”.

Sama również się roześmiała, głównie z siebie, i pokręciła głową, a potem skupiła się na tekstach, które Nousha wygrzebała dla niej kilka godzin temu. Yrene nigdy nie łączyła szczególna zażyłość z Główną Bibliotekarką i z pewnością z własnej woli nie usiadłaby obok niej w jadalni, ale wiedziała, że Nousha płynnie włada piętnastoma językami, w tym kilkoma martwymi, i uczyła się w owianej wielką sławą Bibliotece Parvani na zachodnim wybrzeżu, wśród soczyście zielonych, bogatych w przyprawy ziem Balruhn. Trakt, który łączył Balruhn z wielką Siostrzaną Drogą, główną arterią, która przecinała cały kontynent od Antiki aż po Tiganę, zwano na jej cześć Drogą Mędrców.

Balruhn zwano zaś Miastem Bibliotek. Jeśli Torre Cesme było siedliskiem uzdrowicieli, Parvani zasługiwało na miano siedliska wiedzy.

Yrene nie miała pojęcia, co sprowadziło Noushę do Antiki ani też co zaoferowało jej Torre, ale stanowiła nieocenionego sojusznika. Choć była oschłą kobietą, która nigdy się nie uśmiechała, zawsze znajdowała dla Yrene wszystko, czego ta potrzebowała, choć czasem miewała doprawdy osobliwe potrzeby.

Tego wieczoru Nousha wyglądała na szczególnie niezadowoloną, gdy Yrene podeszła do niej w trakcie kolacji i przeprosiła wylewnie za to, że przeszkadza w posiłku. Mogła co prawda poczekać do rana, ale miała wtedy zajęcia, a potem chciała się udać do lorda Westfalla.

Nousha jednakże zgodziła się spotkać z Yrene po kolacji. Usiadła za biurkiem, splótła długie palce dłoni wystających z powiewających rękawów szarej szaty i wysłuchała opowieści Yrene.

Dziewczyna potrzebowała informacji. Jakichkolwiek. Wszystkiego, co można było znaleźć na temat ran zadanych przez demony, czarną magię i nienaturalne siły. Ran, które pozostawiały po sobie ślad, ale nie wyniszczały swojej ofiary. Ran, które odciskały się na organizmie, ale nie pozostawiały blizn.

Nousha okazała się bardzo pomocna. Zaczęła znosić Yrene stosy książek i pęki zwojów, które w milczeniu układała na biurku. Niektóre z nich spisano w halha, inne w rodzinnej mowie Yrene, jeszcze inne w języku eyllwe. Natrafiła też na takie, których odczytać nie mogła.

Yrene drapała się teraz po głowie, wpatrując się w zwój, który obciążyla gładkimi onyksami ze słoika stojącego przy każdym biurku bibliotecznym.

Nawet Nousha przyznała, że nie rozpoznaje owego dziwnego alfabetu, którego znaki przypominały runy. Nie miała również pojęcia, skąd pochodzą zwoje. Wiedziała tylko, że tkwiły między tomami z Eyllwe kilka piętér niżej, tak głęboko, że Yrene nigdy się tam nie zapuściła.

Przesunęła palcem wzdłuż kształtów, to prostych, to znów wijących się, zamaszystych. Zwój był bardzo stary i Nousha zagroziła, że żywcem obedrze Yrene ze skóry, jeśli ta popłami go jedzeniem czy picciem. Gdy uzdrowicielka spytała, ile lat liczy sobie pergamin, Nousha pokręciła jedynie głową.

„Sto lat?” – zaryzykowała Yrene.

Nousha wzruszyła ramionami i oznajmiła, że zważywszy na pochodzenie i rodzaj pergaminu oraz kolor atramentu, dokument mógł być nawet i dziesięciokroć starszy.

Yrene zdrygnęła się. Spojrzała na pergamin, z którym tak bezceremonialnie się obchodziła, i zdjęła kamienie obciążające narożniki. Nie przydała jej się żadna z ksiąg spisanych w jej ojczystym języku – znalazła tam ostrzeżenia starych bab przed ludźmi rzucającymi uroki oraz duchami powietrza i zgnilizny.

Nic z rzeczy, które opisał jej lord Westfall.

Gdzieś wśród ciemności po prawej stronie rozległ się mało wyraźny odgłos. Uzdrowicielka uniosła głowę i przeniknęła wzrokiem mrok, gotowa wskoczyć na krzesło, gdyby tylko ujrzała przemykającą po podłodze mysz.

Wyglądało na to, że nawet ukochane przez bibliotekarzy kocice Baast – zawsze trzydzieści sześć, nie mniej, nie więcej – nie potrafiły uporać się ze wszystkimi gryzoniami, choć przydano im miano bogini wojowniczkii.

Yrene raz jeszcze wyteżyła wzrok. Jej ciało przeszły dreszcz lęku i pożałowała, że nie jest w stanie przywołać którejś z kocic o berylowych ślepiach, by przyczaiła się na zdobycz w okolicy jej biurka.

Nikt nie był jednak w stanie wezwać kocicy Baast. Pojawiały się tylko wtedy, gdy miały na to ochotę.

Kocice Baast mieszkaly w bibliotece Torre od początków jej istnienia i nikt nie miał pojęcia, skąd pochodzą ani też skąd się biorą nowe kotki w miejsce tych, które zabiera starość. Każda z nich wyglądała inaczej, a łączyły je jedynie berylowy kolor oczu oraz kapryśna natura. W jednej chwili mogły wskoczyć uzdrowicielce na kolana, by później całkiem unikać towarzystwa. Niektóre adeptki, zarówno stare, jak i młode, przysięgały, że koty potrafiły roztapiać się w plamie cienia, by zaraz pojawić się po drugiej stronie biblioteki. Inne utrzymywały, że widziały kocice odwracające kartki w księgach, jakby czytały.

Cóż, byłoby lepiej, gdyby zamiast czytać, więcej polowały, ale kocice nie reagowały na nic z wyjątkiem – czasami! – ich przydomka. Ten, który obraził jedną z nich, obraził jednocześnie całą grupę, a choć Yrene uwielbiała zwierzęta – poza niektórymi owadami – i tak przykładła szczególną wagę do tego, by traktować kocice z szacunkiem. Czasami zostawiała im coś do jedzenia, bywało, że długo drapała którąś z nich po brzuszku bądź za uchem, jeśli dokładnie tego sobie życzyły.

Tym razem w mroku nie było jednak ani śladu zielonych ślepi, Yrene nie spostrzegła również myszki mknącej po podłodze. Wypuściła więc powietrze z płuc i odłożyła starożytny zwój na skraj biurka, po czym przyciągnęła do siebie księgę pochodzącą z Eyllwe.

Została oprawiona w czarną skórę, a była ciężka niczym próg. Yrene знаła nieco język eyllwe, gdyż mieszkała blisko granicy z tą krainą z matką, która biegle tym językiem władała. Z pewnością nie nauczyła się go od ojca Yrene, który stamtąd pochodził. Kobiety z rodu Towers nigdy nie wychodziły za mąż. Wolały kochanków, którzy zostawiali im prezent w postaci rosnącego brzucha i znikali lub zostawali jakiś rok czy dwa przed wyruszeniem w dalszą drogę. Yrene nigdy nie poznała swego ojca, a wiedziała o nim tylko tyle, iż był wędrowcem, który szukał na równinach schronienia przed dziką burzą i na jedną noc został w domu jej matki.

Musnęła palcem poślacany tytuł, próbując odczytać słowa w języku, w którym nie mówiła ani którego nie słyszała od lat. Po pierwszej próbie odetchnęła i pokręciła głową. Powinna zgłosić się z tym do Noushy, która zawsze była skłonna pomóc w tłumaczeniu interesujących tekstów.

– Co oznacza ten znak? Wiersz? Oda? Poemat? Nie, to pieśń. A więc *Pieśń o...* Rozpoczęciu? Wstępie? Mam. To *Pieśń o Początku*.

Lord Westfall powiedział, że demony – Valgowie – są pradawnymi istotami, czarnymi bohaterami niemalże zapomnianych mitów. Czekają całą wieczność, by zaatakować, do czasów, kiedy

nikt ich już nie brał na poważnie.

Yrene przewróciła okładkę i skrzywiła się na widok dziesiątków, setek nieznanym sobie znaków w spisie treści. Książka w istocie była stara, gdyż nie wydrukowano jej, ale przepisano ręcznie. Uzdrowicielka miała wrażenie, że dostrzega słowa, których się już od dawna nie używało.

Znów zajaśniała błyskawica. Yrene potarła się po skroni, odwracając spleśniałe, pozółkłe stronicie.

Miała przed sobą książkę historyczną. Co do tego nie było wątpliwości.

Jej uwagę przykuła jakaś ilustracja wśród przerzucanych stron. Cofnęła się kilka kartek, aż odnalazła rysunek, drobne arcydzieło, choć wykonane prostą techniką w bieli, czerni i czerwieni. Tu i ówdzie artysta dodał nieco żółci. Bez wątplenia była to ilustracja do niejasnego dla niej tekstu pod spodem.

Przedstawiała armię żołnierzy w ciemnych zbrojach, którzy klęczeli przed nagą, surową skałą.

Nie, nie przed skałą, lecz raczej przed tym, co się na niej znajdowało. Dziewczyna ze zdumieniem uświadomiła sobie, że jest to ogromna, samotna brama. Nie było muru po obu jej stronach, nie było twierdzy wznoszącej się za nią, zupełnie jakby ktoś wznosił bramę z czarnego kamienia dla kaprysu. Wewnątrz bramy nie było żadnych wrót. Klębiła się tam czarna nicość przypominająca ohydny mutację słońca, a jej strumienie opadały na ramiona klęczących żołnierzy.

Yrene zmrużyła oczy, wpatrując się w postacie na pierwszym planie. Miały ludzkie ciała, ale dłonie zaciśnięte na rękojeściach mieczy były... pazurzaste i poskręcane.

– Valgowie – szepnęła.

W odpowiedzi uderzył piorun, a Yrene poczuła drzenie w nogach. Skrzywiła się, wpatrzona w rozkołysaną latarnię. Powróciła do kartkowania książki, aż przed jej oczami pojawiła się kolejna ilustracja, przedstawiająca tę samą bramę. Tym razem stały przed nią trzy postacie, zbyt odległe, by można było dopatrzeć się jakichś cech szczególnych poza tym, że byli to wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni.

Przesuwając palcem po znakach, odcyfrowała znaczenie podpisu pod rysunkiem:

*Orcus. Mantyx. Erawan.*

*Trzej królowie Valgów.*

*Ci, którzy dzierżą Klucze.*

Yrene przygryzła dolną wargę. Lord Westfall o niczym takim nie wspominał, ale jeśli istniała brama, potrzeba było klucza, by ją otworzyć. Lub kilku kluczy. Oczywiście jeśli książka mówiła prawdę.

Wielki zegar w głównym atrium biblioteki wybił północ. Yrene nadal przeglądała książkę, aż natrafiła na trzecią ilustrację, podzieloną na trzy części.

Oczywiście uwierzyła lordowi, ale teraz przekonywała się, że wszystko, co powiedział, było prawdą. Powinna była właściwie mu uwierzyć po swoim pierwszym kontakcie z jego raną, a teksty utwierdzały ją tylko w przekonaniu, że nie ma innej alternatywy.

W istocie, na pierwszej części ilustracji widać było ołtarz z czarnego kamienia, a na nim zdesperowanego młodego człowieka, który próbował się uwolnić i uciec przed nadciągającą ciemną postacią w koronie. Jej dłoń oplatało coś, co przypominało zmiętą uformowaną z czarnej mgły i złych myśli. Na pewno nie było to materialne stworzenie.

Druga część sprawiła, że po plecach uzdrowicielki spłynęły zimne dreszcze. W oczach młodego człowieka widać było błaganie i przerażenie, a jego usta były szeroko otwarte. Wnikała w nie owa istota złożona z czarnej mgły.

Niemniej jednak dopiero na widok ostatniej części Yrene poczuła prawdziwą zgrozę. Znów

zamigotała błyskawica, opromieniając rysunek. Twarz młodzieńca zdawała się pozbawiona życia. Odeszły z niej wszelkie uczucia, a jego oczy...

Yrene zerknęła na poprzednie rysunki, gdzie oczy młodzieńca były srebrne. W trzeciej części stały się czarne. Nadal przypominały ludzkie, ale srebro ustąpiło miejsca nieczystemu obsydianowi. Nie był martwy, gdyż zdjęto mu łańcuchy i pozwolono wstać.

Rzecz, która znalazła się w nim...

Znów zadudnił piorun, w odpowiedzi rozległy się okrzyki, a potem chichoty. Młode akolitki zamykały księgi i rozprawiając, wychodziły z biblioteki.

Yrene przyjrzała się innym książkom, które Nousha dla niej przyniosła.

Lord Westfall opisał jej naszyjniki i pierścienie, dzięki którym Valgowie opanowywali ludzkie ciała, ale dodał, że demony mogły nadal je zamieszkiwać nawet po ich usunięciu. Naszyjniki i pierścienie pomagały jedynie im się zagnieżdżyć, a gdy spędziły w ciele człowieka zbyt wiele czasu, karmiąc się nim...

Uzdrowicielka pokręciła głową. Ów młody człowiek na ilustracji nie został zniewolony, ale zakażony. Magia, którą wyczuła w ranie Westfalla, pozostała po kimś, kto taką mocą władał. Mocą demona, który zawładnął czyjś ciałem.

Zamigotała błyskawica, ułamek sekundy później rozległ się huk pioruna.

A potem Yrene usłyszała kolejny cichutki, trudny do rozpoznania odgłos. Cmoknięcie? Trzask? Dobiegał spomiędzy mrocznych regałów po prawej stronie i tym razem był głośniejszy niż poprzednio.

Yrene wbiła wzrok w ciemność. Włoski na jej skórze podniosły się.

Nie był to cichutki szelest biegnącej myszy ani też chrobot kocich pazurów.

Od chwili, gdy przekroczyła próg tej wieży, nigdy nie bała się o własne życie, ale nagle uświadomiła sobie, że sztywnieje. Potem powoli, bardzo powoli spojrzała przez ramię.

Korytarz biegnący między regałami z książkami prowadził ku innemu, szerszemu, którym po trzech minutach dotarłaby do jasno oświetlonego atrium, w którym zawsze ktoś czuwał. Po trzech, maksymalnie pięciu minutach.

Teraz otaczały ją jedynie cienie, skórzane okładki i kurz, a światło kołysało się i skakało wraz z latarniami.

Magia uzdrowicielska nie zapewniała żadnej ochrony, o czym Yrene nieraz przekonała się na własnej skórze. Niemniej jednak podczas roku, który spędziła w gospodzie Pod Białą Świnia, nauczyła się słuchać. Nauczyła się odczytywać nastrój panujący w pomieszczeniu i ruchy powietrza. Ludzie przecież również byli w stanie rozpętywać burze.

Dudniące echo grzmotu przycichło i znów powróciła cisza, zakłócana jedynie lekkim zgrzytem łańcuchów, na których wisiały stare latarnie. Nie było już kolejnych cmoknięć ani trzasków.

„Głupia jesteś! – ofuknęła się w myślach. – Głupia. Nie powinnaś czytać takich rzeczy tak późno. A zwłaszcza podczas burzy”.

Przełknęła ślinę. Bibliotekarze woleli, by księgi nie wychodziły poza bibliotekę, ale... Zatrzasnęła *Pieśń o Początku* i wcisnęła ją do sakwy. Większość pozostałych uznała za bezużyteczne, ale było być może jeszcze z sześć, spisanych w mieszaninie eyllwe i innych języków, które mogłyby się jej przydać. Zebrała je i również schowała do torby, a potem ostrożnie umieściła zwoje w kieszeniach płaszcza, tak by nikt ich nie widział.

Przez cały czas zerknęła przez ramię na regały po prawej stronie.

„Nic nie byłabyś mi winna, gdybyś kierowała się zdrowym rozsądkiem” – warknęła na nią młoda nieznojona owiej brzemiennie w skutkach nocy, po tym, jak uratowała jej życie. Słowa te mocno zraniły Yrene i zapadły jej głęboko w pamięć, podobnie jak inne lekcje, których udzieliła jej tamta dziewczyna.

I choć Yrene wiedziała, że rano będzie się śmiała z siebie i że może właśnie boi się przyczajonej w kącie kocicy Baast, postanowiła, że posłucha złego przeczucia, że ulegnie lękowi, który spływał po jej plecach.

Mogła przejść między ciemnymi regałami, by skrócić sobie drogę do głównego korytarza, ale postanowiła, że będzie się trzymać światła. Szła wyprostowana, z uniesioną wysoko głową. Tak jak

powiedziała jej tamta dziewczyna.

„Walcz z nimi, jak najdłużej zdołasz. Muszą uznać, że jesteś zbyt oporna. Że się nie opłaca”.

Serce waliło jej jak szalone, niemalże podchodziło do gardła, ale Yrene zacisnęła mocno usta. Jej oczy lśniły chłodem. Przypominała uosobienie wściekłej burzy, a jej kroki, choć pospieszne, były starannie wymierzone. Wyglądała na osobę, która o czymś zapomniała lub właśnie uświadomiła sobie, że ktoś nie przyniósł jej zamówionej książki.

Była coraz bliżej głównego korytarza. Zmierzała w tym samym kierunku co młode akolitki, zdążające ku łóżkom w przytulnym dormitorium.

Odkasznęła, gotowa w każdej chwili zacząć wrzeszczeć.

„Na takim zadupiu nikt z pewnością nie przyjdzie ci z pomocą, ale powinnaś wrzeszczeć ze wszystkich sił o pożarze – poradziła jej nieznajoma. – Nie o gwałcicielach czy złodziejach”.

Przez ostatnie dwa i pół roku Yrene wielokrotnie powtarzała te instrukcje. Spełniła wolę nieznajomej i przekazała te rady wielu napotkanym kobietom, ale nie sądziła, że kiedykolwiek jeszcze będzie musiała przypominać je sobie sama.

Zacisnęła zęby i przyspieszyła kroku. Nie miała przy sobie żadnej broni, nie licząc niewielkiego noża, po który sięgała, gdy trzeba było oczyścić ranę bądź przeciąć bandaż. Ale jej sakwa, wyładowana książkami, ciężka... Owinęła skórzany pasek wokół dłoni. Dobrze wycelowany cios mógł posłać kogoś na ziemię.

Była coraz bliżej bezpiecznego korytarza...

I wtedy ujrzała to kątem oka. Wyczuła obecność.

Ktoś szedł wśród regałów. Równoległe do niej.

Nie miała odwagi przyjrzeć się uważniej i przyjąć do wiadomości, że nie jest sama.

Jej oczy płonęły, choć walczyła z przerażeniem, które sięgało po władzę nad jej ciałem.

Cienie i ciemność. I ruch wśród nich. Coś szło za nią. Polowało na nią. Przyspieszało, by przeciąć jej drogę. By złapać ją i wciągnąć w ciemność między regałami.

„Zdrowy rozsądek! – powtarzała w myślach. – Zdrowy rozsądek!”.

Gdyby rzuciła się do biegu, jej prześladowca zrozumiałby, że dziewczyna wie o jego obecności. Mógłby wówczas zaatakować. Kimkolwiek był.

„Zdrowy rozsądek...”.

Do głównego korytarza zostało jeszcze jakieś trzydzieści metrów. Między rzadkimi latarniami rozlewały się cienie, a plamy światła przypominały teraz bezcenne wyspy pośród morza ciemności.

Mogła przysiąc, iż słyszy, jak ktoś idący po drugiej stronie regału stuka palcami w grzbiety ksiąg.

Zadarła więc głowę jeszcze wyżej, uśmiechnęła się i zawołała ze śmiechem.

– Maddy! Co ty tu robisz tak późno?

Przyspieszyła kroku, tym bardziej że jej prześladowca zwolnił, wyczuwalnie zaskoczony. Być może się zawahał.

Wtedy Yrene zawadziła stopą o coś miękkiego, a zarazem twardego. Zdusiła okrzyk przestachu.

Nie zauważyła uzdrowicielki, która leżała na boku wzdłuż półki z książkami, skryta wśród cieni.

Pochyliła się i złapała szczupłe ramiona nieznajomej, by ją obrócić...

Kroki jej prześladowcy rozległy się ponownie w chwili, gdy Yrene ze wszystkich sił powstrzymała wrywający się jej z piersi wrzask grozy.

Jasnobrązowe policzki wyschły i zapadły się, usta były teraz blade i popękane. Zwykła szata uzdrowicielki, która zapewne pasowała na nią jeszcze rano, zwisała teraz luźno z przeraźliwie chudego ciała, które wyglądało, jakby ktoś wyssał z niego życie.

Znała tę twarz, choć była tak wynędzniała, że trudno ją było skojarzyć. Rozpoznała złocistobrązowe włosy, niemal identyczne z jej własnymi. Patrzyła na uzdrowicielkę z Łona, tę samą, którą pocieszała zaledwie kilka godzin wcześniej.

Drżącymi palcami Yrene próbowała wyczuć puls na wyschniętej skórze, ale nie mogła odnaleźć żadnej żyły. Niczego. A jej magia...

Nie pozostało w niej nic z życia. Zupełnie nic.

Kroki po drugiej stronie regału przybliżały się. Yrene uniosła się na drżących kolanach, nabrała tchu, by narzucić sobie spokój, i zmusiła się, by ruszyć naprzód. Zmusiła się, by porzucić martwą uzdrowicielkę w mroku. Zmusiła się, by unieść sakwę i ruszyć przed siebie, jakby nic się nie wydarzyło. Uniosła torbę, jakby pokazywała ją komuś przed sobą.

Komuś, kto nie istniał, ale zasłonięty regałami nieznajomy nie miał o tym pojęcia.

– Właśnie skończyłam naukę na tę noc! – zawołała do nieistniejącej znajomej, a w myślach podziękowała Silbie za to, że jej głos nie zadrżał i dalej pobrzmiwała w nim wesołość. – Kucharka czeka na mnie z ostatnią filiżanką herbaty. Dołączysz?

Udawała, że ktoś na nią czeka, czego również nauczyła się od tajemniczej nieznajomej. Zrobiła jeszcze pięć kroków, kiedy dotarło do niej, że jej prześladowca znów się zatrzymał. Dał się nabrać.

Pospiesznie pokonała resztę przestrzeni, dzielącej ją od głównego korytarza i dostrzegła tam grupkę trzech akolitek, które właśnie wyłoniły się z labiryntu regałów. Pomknęła ku nim.

Dziewczęta otworzyły szeroko oczy na jej widok.

– Uciekajmy stąd! – szepnęła.

Żadna z nich nie miała więcej niż czternaście lat. Natychmiast zauważyły przerażenie w jej oczach i bladość jej twarzy, ale żadna nawet nie spojrzała za nią. Nie ważyły się nie posłuchać.

Były wszak w jej klasie, a ona uczyła je od wielu miesięcy.

Zauważyły pasek sakwy owinięty wokół jej dłoni, jej napięte mięśnie.

Yrene uśmiechała się szeroko, jakby nic złego się nie działo.

– Chodźcie do kucharki, na co czekacie? Herbata stygnie! – powiedziała wesoło, całą siłą woli powstrzymując wrzask paniki. Trup. Trup uzdrowicielki... – Czekaj na mnie! – dodała.

„I ogłosi alarm, jeśli się nie zjawię”.

Z dumą zauważyła, że żadna z dziewcząt nawet nie zadrżała. Nie okazując cienia strachu, szły wraz z nią głównym korytarzem, aż wkrótce ujrzały atrium, w którym jak zwykle w kominku huczał wielki ogień. Ciemności rozpraszało dodatkowo trzydzieści sześć kandelabrow, a na gości czekała ta sama liczba foteli i krzeseł. Na jednym z miękkich siedzisk z haftowaną tapicerką spoczywała przy ogniu smukła kocica Baast.

Gdy dziewczęta się zbliżyły, kocica poderwała się i zasyczała równie wściekle jak jej kociogłowa imienniczka. Ale nie na Yrene i dziewczęta... Nie, ślepie koloru berylu skierowane były na bibliotekę za ich plecami.

Jedna z dziewcząt zacisnęła dłoń na ramieniu Yrene, ale żadna z nich nie została nawet krok z tyłu. Szły za Yrene, która podeszła do ogromnego biurka Głównej Bibliotekarki i jej Dziedziczki. Za ich plecami kocica Baast trwała na posterunku i syczała na ciemność. Dziedziczka, która pełniła nocny dyżur, uniosła głowę znad książki.

– Jedna z uzdrowicielek została zamordowana wśród regałów niedaleko głównego korytarza – szepnęła do niej Yrene. – Wyprowadź stąd wszystkich i wezwij straż. Szybko!

Kobieta w średnim wieku, ubrana w szare szaty, nie zawahała się ani nie zadawała żadnych pytań. Skinęła głową i wyciągnęła rękę w kierunku dzwonka przykręconego do blatu biurka.

Zadzwoń trzykrotnie. Dla kogoś z zewnątrz byłby to całkiem niewinny sygnał oznaczający koniec dnia.

Dla kobiet, które mieszkały w wieży i wiedziały, że biblioteka jest otwarta w dzień i w nocy, był to jednak sygnał o całkowicie innej treści.

Pierwszy dzwonek oznaczał: „Słuchaj”.

Drugi oznaczał: „Słuchaj uważnie!”.

Trzeci dzwonek, głośny i wyraźny, przetoczył się po całej bibliotece, docierając w każdy kąt i do każdego korytarza.

Oznaczał: „Uciekajcie!”.

Eretia objaśniła Yrene ten system już pierwszego dnia jej pobytu w Torre zaraz po tym, jak ta złożyła solenną przysięgę, iż nie zdradzi nikomu sekretu. Wszystkie uzdrowicielki musiały złożyć taką przysięgę. Yrene spytała wtedy, dlaczego ów system alarmowy był taki istotny.

Dowiedziała się wówczas, że dawno temu, na długo, zanim kaganat zawładnął Anticą, miasto często przechodziło z rąk do rąk i padło ofiarą wielu zdobywców. Niektórzy z nich okazywali się łaskawi. Inni nie.

Pod biblioteką nadal znajdowały się tunele, w których uzdrowicielki chroniły się przed najeźdźcami. Wejścia do nich już dawno zostały zabite deskami, ale system alarmowy zachowano i nadal obowiązywał. Czasami urządzano alarmy ćwiczebne. Na wszelki wypadek.

Trzeci dzwonek odbił się echem od kamienia, wyprawionych skór i drewna. Yrene mogła przysiąc, że słyszy, jak niezliczone adeptki sztuki leczenia unoszą głowy znad biurerek. Słyszała odsuwane krzesła i odkładane książki.

„Uciekajcie – błagała je w myślach. – Trzymajcie się światła!”

Yrene i pozostałe dziewczyny stały jednak i liczyły w myślach sekundy, a potem minuty. Kocica Baast przestała syczeć i wpatrywała się teraz w okolice atrium, smagając czarnym ogonem obicie fotela. Jedna z dziewcząt wybiegła na spotkanie wartownikom, którzy trzymali straż przy wrotach Torre, a teraz, usłyszawszy trzy sygnały, gnali już pewnie ku nim.

Gdy rozległy się szybkie kroki i zaszeleściły szaty, a potem pojawiły się pierwsze uzdrowicielki, Yrene trzęsła się na całym ciele. Wraz z Dziedziczką zapamiętywała każdą przestraszoną twarz. Akolitki, uzdrowicielki, bibliotekarki. Nie brakowało nikogo. Kocica Baast również wydawała się sprawdzać, czy wszyscy opuszczają bibliotekę, a jej berylowe oczy widziały być może rzeczy, których Yrene nie była w stanie pojąć.

Wreszcie rozległ się szczeł oręża i tupot męskich kroków. Yrene aż zaszlochała z ulgą na widok sześciu strażników, którzy wpadli przez otwarte drzwi biblioteki.

Akolitka, która przybiegła z nimi, oraz jej towarzyszki znów otoczyły Yrene, która złożyła wyjaśnienia. Strażnicy wezwali posiłki, a Dziedziczka posłała po Nouszę, Eretię i Hafizę. Trzy dziewczyny nadal stały przy Yrene, a dwie z nich trzymały jej drżące dłonie.

Nie zamierzały ich puścić.

11.

Yrene się spóźniała.

Chaol spodziewał się jej o dziesiątej, choć sama nie wspominała, o której przybędzie. Nesryn wyszła na długo przed jego przebudzeniem, by spotkać się z Sartaqiem i jego rukiem. Został sam, miał się wykąpać i...

I czekać.

Upłynęła godzina. Chaol, który nie mógł już znieść ciszy, bezlitosnego upału i niekończącego się plusku wody w fontannie, zaczął wykonywać wszystkie ćwiczenia, którym był w stanie podołać sam. Jego myśli znów zaczęły umykać ku Dorianowi. Zastanawiał się, co się dzieje z jego królem, dokąd zmierza.

Yrene mówiła mu o konieczności ćwiczeń, w tym również nóg – choć nie wiedział, co chciała przez to przekazać – ale skoro nie chciało jej się przybyć na czas, on sam nie miał zamiaru na nią czekać.

Jego ramiona drżały już z wysiłku, gdy na stoliku pod ścianą odezwał się zegar. Drobne, srebrne dzwonki umieszczone na starannie rzeźbionej obudowie wypełniły komnatę czystym, pięknym kurantem. Minęło południe. Po piersi, plecach i twarzy mężczyzny spływał pot. Już miał zawołać Kadję, by przyniosła mu dzbanek wody i chłodny ręcznik, gdy zjawiła się Yrene.

Słyszał, jak otworzyła drzwi, weszła do środka i zatrzymała się. Potem zwróciła się do Kadji:

– Mam sprawę, która wymaga całkowitej dyskrecji, i chciałabym, abyś się nią osobiście zajęła.

Odpowiedziała jej cisza pełna uniżenia.

– Lord Westfall potrzebuje specjalnego eliksiru, który pomoże opanować wysypkę na jego nogach. Powodem przypuszczalnie jest któryś z olejków, dodanych przez ciebie do kąpieli.

Jej słowa były spokojne, ale stanowcze i dobitne. Chaol zmarszczył brwi i spojrzał na swe nogi. Niczego takiego rano nie widział, ale z drugiej strony nie był w stanie wyczuć swędzenia czy pieczenia.

– Przynieś mi korę wierzbową, miód i miętę. Znajdziesz wszystko w kuchni. Nie mów nikomu ani słowa, bo nie chcę, by się wieść rozeszła.

Znów odpowiedziała jej cisza, po czym rozległo się trzaśnięcie zamykanych drzwi. Wiedział, że Yrene słucha, czy Kadja na pewno się oddaliła, a potem rozległo się jej ciężkie westchnienie.

Weszła do komnaty chwilę później. Wyglądała jak śmierć.

– Co się stało? – spytał, zanim zdołał sobie uświadomić, że tak naprawdę nie ma prawa zadawać takich pytań. Niemniej jednak złocistobrązowa skóra Yrene była tego dnia popielata, oczy przekrwione, a włosy matowe, obwisłe.

– Ćwiczyłeś – powiedziała jedynie.

Chaol spojrzał na swą przepoconą koszulę.

– Równie dobry sposób na zabicie czasu jak każdy inny.

Yrene podeszła do biurka. Każdy jej krok był powolny, ciężki.

– Co się stało? – powtórzył.

Dziewczyna dotarła do biurka, ale nie odwracała się do niego. Chaol zacisnął zęby i zadał sobie w myślach pytanie, czy ma podjechać na fotelu bliżej, by spojrzeć na jej twarz – kiedyś by się nie zawahał i podszedł – a potem nalegać, aż wyzna mu całą prawdę.

Yrene jednakże postawiła sakwę na biurku z głośnym lupnięciem.

– Skoro chcesz ćwiczyć, może przenies się do koszar – powiedziała i spojrzała krzywo na podłogę. – Chcesz ubrudzić potem bezcenne dywany kagana?

Chaol zacisnął dłonie na poręczach fotela.

– Nie – burknął. Nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

– Byłeś przecież kapitanem Gwardii, nieprawdaż? – Uzdrowicielka uniosła brew. – Być może trening z gwardią pałacową pomoże ci...

– Nie.

Yrene spojrzała na niego przez ramię. Złociste oczy taksowały go uważnie. Chaol wytrzymał jej



spojrzenie, choć jego zniekane, poszarpane na strzępy serce znów przeszył ból. Nie miał wątpliwości, że to zauważyła i zapamiętała. W głębi duszy obudziła się w nim niechęć zarówno do niej, jak i do siebie. Nienawidził się za to, że upierając się jak dziecko, ujawnił wielką ranę w swym sercu, ale Yrene odwróciła się od biurka i podeszła do niego. Jej twarz była nieprzenikniona.

– Przepraszam cię, jeśli po pałacu rozejdzie się plotka, że nabawiłeś się wysypki.

Jej gracia zniknęła bez śladu. Yrene powłóczyła nogami.

– Jeśli Kadja jest tak sprytna, jak sądzę, będzie się martwić, że wysypka jest wynikiem jej zabiegów, i nie powie nikomu, bo będzie się obawiała kłopotów. Lub przynajmniej dojdzie do wniosku, że jeśli plotka się rozejdzie, będziemy wiedzieć, że tylko ona mogła ją rozpuścić.

Cóż, nadal nie chciała odpowiedzieć na jego pytanie.

– Dlaczego chciałaś się jej pozbyć? – zapytał zamiast tego.

Yrene opadła na złocistą sofę i potarła skronie.

– Bo ktoś zeszłej nocy zabił w bibliotece uzdrowicielkę, a potem ścigał mnie.

– Co takiego? – Chaol zeszytniał.

Yrene zerknęła na okna, otwarte drzwi do ogrodu i wyjście z apartamentu. Nic, jedynie upał, śpiew ptaków i plusk wody.

– Czytałam. O tym, o czym mi opowiedziałeś – odparła Yrene. Piegi nigdy dotąd tak wyraźnie nie odcinały się od jej twarzy. – I poczułam, że ktoś się zbliża.

– Kto to był?

– Nie wiem. Nie widziałam nikogo. A ta uzdrowicielka... Natknęłam się na nią podczas ucieczki.

– Przełknęła ślinę. – Po znalezieniu... po znalezieniu zwłok przetrząsnęliśmy całą bibliotekę, ale nikogo tam nie było.

Potrząsnęła głową, zaciskając mocno zęby.

– Przykro mi – rzekł Chaol z prawdziwym smutkiem. Żałował nie tylko śmierci niewinnej osoby, ale również tego, że spokój, którym Torre cieszyła się od wielu dziesiątków lat, legł w gruzach. Mimo to natychmiast obudziła się w nim natura strażnika i spytał: – Jakie rany odniosła zmarła?

Potrzeba uzyskiwania odpowiedzi i szacowania ryzyka była równie silna jak potrzeba oddychania, choć czuł, że chyba nie chce się tego dowiedzieć.

Yrene rozparła się wśród poduszek i westchnęła, wpatrując się w pozłacany sufit.

– Widziałam ją przelotnie przed wejściem do biblioteki. Była młoda, może ciut starsza ode mnie, a gdy znalazłam ją na podłodze, przypominała dawno wyschnięte zwłoki. Żadnej krwi, żadnych obrażeń. Była po prostu... wyszana.

Serce Chaola zamarło, gdy usłyszał dobrze sobie znany opis. Mieli do czynienia z Valgiem. Mógł na to postawić wszystko, co miał.

– Czyli ten, który zadał jej śmierć, po prostu porzucił ciało na podłodze?

Yrene odpowiedziała skinieniem. Jej dłonie zdrząły, gdy przeczesła nimi włosy. Zamknęła oczy.

– Myślę, że napastnik uświadomił sobie, że zaatakował niewłaściwą osobę, i szybko umknął.

– Dlaczego?

Yrene odwróciła głowę i otworzyła oczy, w których widniało znużenie. Oraz bezgraniczny lęk.

– Ona była podobna do mnie – szepnęła. – Ta sama budowa ciała, ten sam kolor włosów... Nie wiem, kim był morderca, ale myślę, że szukał mnie.

– Dlaczego? – Chaol ponowił pytanie, próbując poukładać sobie w głowie usłyszane fakty.

– Bo w nocy czytałam o tym, o czym mówiłeś. O potencjalnym źródle mocy, które wyrządziło ci krzywdę. Zostawiłam kilka książek na stole, a gdy straż zaczęła przeszukiwać ten rejon biblioteki, okazało się, że książek już nie ma. – Znów przełknęła ślinę.

– Kto wiedział, że się tam wybierasz? – spytał Chaol. Mimo upału krew w jego żyłach zamieniła się w lód.

– Nie robimy z tego sekretu.

Instynkt kazał mu położyć dłoń na rękojeści miecza, ale przecież nie miał go już ze sobą. Cisnął

go w nurt rzeki Avery wiele miesięcy temu.

– Nie mówiłam nikomu, ale przecież każdy mógł się o tym dowiedzieć, na długo zanim tam weszłam.

A więc historia powtarzała się, tym razem tu. Valg przybył do Antiki, być może tylko zwykły sługa, choć niewykluczone, że książę. Opis przedstawiony przez Yrene idealnie zgadzał się z tym, co Aelin opowiadała o ofiarach ataków księcia Valgów, które znajdowała z Rowanem w Wendlyn. Pełni życia ludzie zamieniali się w wyschnięte skorupy, zupełnie jakby Valgowie wypijali z nich dusze.

– Książę Kashin podejrzewa, że Tumelun została zabita – powiedział cicho.

Yrene wyprostowała się, błędąc jeszcze bardziej.

– Jej ciało nie zostało wysane. Hafiza, Najwyższa Uzdrawicielka, osobiście stwierdziła samobójstwo.

Istniała oczywiście możliwość, że oba zgony nie były ze sobą powiązane. Istniała szansa, że Kashin myli się co do Tumelun, i Chaol modlił się w duchu, by tak było. Niemniej jednak nawet jeśli śmierć obu dziewcząt nie miała żadnego związku ze sobą...

– Musisz ostrzec kagana. – Yrene czytała mu w myślach.

– Tak, oczywiście. Zrobię to – odparł. Znaleźli się w doprawdy nieciekawej sytuacji, ale być może tego właśnie potrzebował, by stanąć przed obliczem kagana i go przekonać. Przyjrzał się wynędzniałej, przerażonej twarzy Yrene i rzekł: – Przykro mi, że... że cię w to wciągnąłem. Czy zwiększono ilość straży w Torre?

– Tak – szepnęła cicho Yrene. Pocierała twarz dłońmi.

– A ty? Przyszłaś tu z obstawą?

– W środku dnia? – Yrene zmarszczyła brwi. – W samym środku miasta?

– Valgowie są zdolni do wszystkiego. – Chaol założył ramiona na piersi, ale uzdrawicielka zamachała ręką i wyjaśniła:

– W najbliższym czasie nie mam zamiaru zapuszczać się w żaden ciemny korytarz. Ba, nikt w Torre tego nie zrobi. Wezwano straż na pomoc. Zbrojni stoją dosłownie w każdym korytarzu, w odległości kilku kroków od siebie. Nie mam pojęcia, skąd Hafiza ich wystraszyła.

Zwykli Valgowie mogli przybrać ciało każdego człowieka, ale księżęta cechowała wielka próżność. Chaol nie sądził, by któryś z nich zechciał zająć ciało zwykłego gwardzisty, tym bardziej że woleli pięknych, młodych mężczyzn.

Przed oczami mignął mu czarny naszyjnik oraz martwy, zimny uśmiech.

Odetchnął ciężko i rzekł:

– Jest mi naprawdę przykro z powodu tej uzdrawicielki.

Tym bardziej jeśli to jego obecność w jakiś sposób doprowadziła do napaści. Jeśli Valgowie znaleźli się na tropie Yrene tylko dlatego, że mu pomagała.

– Powinnaś mieć się na baczności przez cały czas. Bezustannie.

Uzdrawicielka zignorowała ostrzeżenie. Omiotła wzrokiem pokój, dywany i bujne palmy.

– Nasze dziewczęta, młode akolitki... Są przerażone.

„A ty?” – pomyślał Chaol.

Kiedys sam by zaproponował, że będzie trzymał wartę, pilnował jej drzwi i organizował jej straż, gdyż znał się na tych sprawach i wiedział, jak się do tego zabrać. Nie był już jednak kapitanem i nie sądził, by kagan i jego ludzie byli skłonni słuchać rad jakiegoś lorda z odległych krain. Nie mógł się jednak powstrzymać przed zadaniem kolejnego pytania:

– Co mogę zrobić, by ci pomóc?

Spojrzenie Yrene spoczęło na nim. Czuł, jak ocenia i analizuje, ale nie jego, tylko coś w swoim wnętrzu. Milczał więc, patrzył jej w oczy i czekał, aż zakończy swój wewnętrzny spór. W końcu nabrała tchu i powiedziała:

– Prowadzę zajęcia. Raz w tygodniu. Po tym, co się wydarzyło wczoraj, wszystkie dziewczęta były zbyt zmęczone i pozwoliłam im się wyspać. Dziś wieczorem spotykamy się na czuwaniu, by upamiętnić uzdrawicielkę, która... która zginęła. Ale jutro... – Yrene przygryzła wargę i przez ułamek

sekundy zastanawiała się, po czym powiedziała: – Chciałabym, byś przyszedł.

– Co to za zajęcia? – spytał.

Yrene bawiła się ciężkim lokiem.

– Nie ma tu czesnego, ale nasi adepci płacą na inne sposoby. Niektórzy pomagają w gotowaniu, inni w praniu lub sprzątaniu. Kiedy tu przybyłam, Hafiza... Powiedziałam jej, że znam się na wszystkich tych rzeczach. Zajmowałam się nimi przez... No, przez jakiś czas. Spytała mnie wówczas, na czym jeszcze się znam oprócz leczenia, a ja powiedziałam jej, że... – Przygryzła wargę. – Że ktoś kiedyś uczył mnie samoobrony. Tego, jak postępować z napastnikiem. Zazwyczaj mężczyzną.

Chaol złapał się na tym, że z trudem unika patrzenia na bliznę na jej szyi. Skarcił się w myślach – nie było sensu się zastanawiać, czy nauczyła się tych umiejętności po otrzymanej ranie. A może nawet one nie wystarczyły?

Yrene westchnęła przez nos.

– Powiedziałam Hafizie, że wiem trochę na ten temat i że... że obiecałam osobie, która mnie tego nauczyła, że przekażę tę wiedzę tylu kobietom, ilu zdołam. Zawsze starałam się tej obietnicy dotrzymać. Raz w tygodniu uczę akolitki oraz starsze adeptki, uzdrowicielki, służące, bibliotekarki i każdego, kto chciałby się czegoś dowiedzieć, o samoobronie.

Ta delikatna kobieta o łagodnych dłoniach... Zresztą, nie powinien się dziwić. Już od dawna przecież wiedział, że siłę można znaleźć u osób, których nigdy by o to nie posądzał.

– Dziewczyny są wstrząśnięte. W Torre od dawna nie było intruza czy złoczyńcy. Myślę, że wyświadczyłybyś nam wielką przysługę, gdybyś zgodził się do mnie dołączyć i nauczyć nas wszystkiego, co wiesz.

Chaol wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Potem zamrugał.

– Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że jestem sparaliżowany?

– No i co z tego? Ustami nadal poruszasz.

Ostre, cierpkie słowa. Chaol znów zamrugał.

– Nie wiem, czy wzbudzę ich zaufanie jako instruktor...

– Nie, ale pewnie będą tak bardzo wzdychać i omdlewać z powodu twej doli, że szybko zapomną o strachu.

Gdy Chaol mrugnął po raz ostatni, dziewczyna uśmiechnęła się lekko. Ponuro.

Mężczyzna zadał sobie zaś w myślach pytanie, jak wyglądałby ten uśmiech w innej sytuacji, gdyby była naprawdę rozbawiona i szczęśliwa.

– Ta blizna dodaje ci nieco tajemniczości – powiedziała, a Chaol dopiero po chwili przypomniał sobie o własnym piętnie, które przecinało jego policzek. Przyglądał się Yrene, która wstała z sofy i podeszła do biurka, by rozpakować sakwę.

– Naprawdę chcesz, bym do was jutro dołączył?

– Wymyślimy sposób, jak cię tam przemieścić, ale nie powinno to być szczególnie trudne.

– Wepchnijcie mnie do jakiegoś powozu. Na ogół wystarcza.

Yrene zeszywniała i spojrzała przez ramię.

– Zachowaj ten gniew na sam trening, lordzie Westfall – rzekła, po czym wyłowila fiolkę z olejkiem i postawiła ją na stole. – A poza tym nie pojedziesz tam powozem.

– Czyli zaniesie mnie służba? Jak багаż? – spytał cierpko. Wolałby już popełznąć.

– Trafisz tam konno. Słyszałeś kiedyś o koniach?

Chaol zacisnął dłonie na poręczach.

– Żeby jechać konno, człowiek na ogół potrzebuje nóg.

– To całe szczęście, że ci jeszcze obie zostały. – Zajrzała do sakwy, by przyjrzeć się pozostałym fiolkom. – Rozmawiałam dziś rano z moją przełożoną. Widziała już nieraz, jak ludzie, którzy odnieśli obrażenia podobne do twoich, przybywali do Torre konno. Potrzeba jedynie specjalnych pasków i uprząży, a te są właśnie przygotowywane dla ciebie w warsztacie.

Minęła chwila, zanim sens jej słów w pełni do niego dotarł.

– Czyli założyłaś z góry, że zgodzę się wziąć udział w twoich zajęciach?

Yrene odwróciła się w końcu ku niemu, trzymając w ręku torbę.

– Założyłam, że będziesz chciał dosiąść konia.

Patrzył na nią, gdy podchodziła do niego z fiolką w ręku. Na jej twarzy widniało jedynie rozdrażnienie. Cóż, zawsze to lepsze niż czysty strach.

– Myślisz, że to w ogóle możliwe? – spytał nieco ochryplym głosem.

– Tak. Przybędę o świcie, byśmy zdążyli wszystko dopasować. Zajęcia zaczynają się o dziewiątej.

Miałby jechać konno? Nawet gdyby nie zdołał już nigdy stanąć na nogi... Miałby dosiąść konia?

– Nie chcę, byś dawała mi nadzieję na próżno – wykrztusił.

Yrene postawiła torbę oraz fiolkę na niskim stoliku przed sofą i dała mu znać, by podjechał bliżej.

– Dobrze uzdrowicielki nie robią takich rzeczy, lordzie Westfall.

Tego dnia nie zwracał sobie głowy zakładaniem kurtki, a pas zostawił w sypialni. Ściągnął więc tylko przepoconą koszulę przez głowę i sprawnie odpiął guziki góry spodni.

– Wystarczy Chaol – powiedział po chwili. – Mam na imię Chaol, a nie lord Westfall. – Z sapnięciem przeniósł się z fotela na sofę. – Lord Westfall to mój ojciec – dodał.

– Cóż, ty też jesteś lordem.

– Ale wystarczy Chaol.

– Dobrze, lordzie Chaol.

Smagnął ją spojrzeniem, gdy ustawiał nogi w odpowiedniej pozycji. Nie kiwnęła palcem, by mu pomóc.

– A ja myślałem, że ty nadal mnie nie cierpisz.

– Jeśli pomożesz jutro moim dziewczynom, zastanowię się.

Chaol widział stanowczość w jej oczach i w głębi duszy raczej w to powątpiewał, ale mimo to przez jego usta przemknął lekki uśmiech.

– Kolejny masaż, tak? – powiedział.

„Proszę” – niemalże dodał. Mięśnie już go bolały po intensywnych ćwiczeniach, a przemieszczanie się między łóżkiem, sofą, fotelem i wanną...

– Nie. – Yrene gestem nakazała mu, by położył się na brzuchu. – Dziś zaczynamy pracę na poważnie.

– Dokopałaś się do jakichś informacji?

– Nie – powtórzyła dziewczyna i ściągnęła mu spodnie stanowczym szarpnięciem. – Ale po tym, co się wydarzyło zeszłej nocy, nie chcę już zwlekać.

– Ja... ja spróbuję... – Chaol zgrzytnął zębami. – Znajdziemy jakiś sposób, by cię ochronić podczas dalszych badań.

Znienawidził się za te słowa. Miał wrażenie, że oblepiają mu język niczym zepsute mleko i spływają do gardła.

– Myślę, że oni wiedzą o wszystkim – powiedziała cicho Yrene, rozprawdzając olejek wzdłuż jego kręgosłupa. – I robią wszystko, bym nie dotarła do właściwych informacji.

Chaol poczuł ucisk w żołądku, choć delikatne dłonie Yrene zataczały już kojące kręgi na jego plecach. Zatrzymały się na skraju wielkiej bladej plamy.

– O co im w takim razie chodzi? – spytał.

Domyślał się prawdy, ale chciał usłyszeć, jak Yrene mówi to na głos. Chciał się dowiedzieć, czy myśli tak samo jak on i rozumie ryzyko w tym samym stopniu.

– Zastanawiam się – powiedziała w końcu – czy chodzi tylko o to, czego chciałam się dowiedzieć, czy też o to, że lecę akurat Ciebie.

Chaol przechylił głowę, by na nią spojrzeć. Yrene ze ściągniętą, zmęczoną twarzą wpatrywała się w znak na jego kręgosłupie. Miał wrażenie, że tej nocy wcale nie spała.

– Jeśli jesteś nazbyt wyczerpana...

– Nie jestem.

Chaol zacisnął zęby.

– Możesz zdrzemnąć się tutaj. Będę się tobą opiekował – zaproponował, choć wiedział, że jako opiekun jest bezużyteczny. – Później będziesz mogła nade mną popracować.

– Zrobię to teraz. Nie dam im się przerazić ani zahukać. – Głos nawet jej nie zadrżał. Po chwili dodała, nieco ciszej, ale z tą samą zaciekłością: – Kiedyś żyłam w strachu przed innymi ludźmi. Pozwalałam, by mnie wykorzystywali i by się nade mną znęcali tylko dlatego, że bałam się konsekwencji odmowy. Nie umiałam się sprzeciwić. – Dłonią nacisnęła na kręgosłup Chaola, zmuszając go, by znów oparł głowę o poduszki. – W chwili, gdy dotarłam do tych brzegów, ta dziewczyna przestała istnieć. Odrzuciłam ją i wyparłam się jej. I prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę jej znów się pojawić. Nigdy już nie przystanę na to, by ktoś mówił mi, co mam zrobić z własnym życiem. Nie zgodzę się, by ktoś mi dyktował moje wybory.

Włoski na jego ramionach uniosły się, gdy usłyszał gniew skwierczący w jej głosie. Zrozumiał, że Yrene to kobieta ze stali i rozżarzonych węgli. Pod dłonią, która sunęła wzdłuż jego pleców ku białej plamie, płonął ogień.

– Przekonajmy się, czy to coś w twoim ciele nie ma nic przeciwko, by ktoś od czasu do czasu również wymierzył mu kopa – szepnęła i ułożyła dłoń na znamieniu.

Chaol otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale miast tego z jego gardła wyrwał się dziki wrzask.

12.

Płonący ból szarpał jego plecy niczym szpony ostre jak sztylety.

Chaol wygiął się i ryknął. Yrene natychmiast cofnęła dłoń, a potem rozległ się głuchy łoskot.

Mężczyzna, ciężko dysząc, dźwignął się na łokciach i ujrzał uzdrowicielkę siedzącą na stoliku. Z przewróconej fiołki na blat wyciekała zawartość. Dziewczyna wpatrywała się w jego plecy, w miejsce, którego jeszcze przed chwilą dotykała.

Nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Czuł jedynie echo swego bólu.

Yrene uniosła dłoń i spojrzała na nie, jakby robiła to pierwszy raz w życiu. Obracała je to w jedną, to w drugą stronę.

– To nie tak, że to coś w twoich plecach nie lubi mojej magii – szepnęła.

Ramiona Chaola zadrżały i ustąpiły pod jego ciężarem. Opadł na poduszki i nadal wpatrywał się w uzdrowicielkę, która oświadczyła:

– Ono jej nienawidzi!

– Powiedziałaś, że to jedynie echo mocy, która mnie zraniła i nie ma związku z samą raną.

– Może się pomyliłam.

– Rowan nie natknął się na nic podobnego, gdy mnie leczył.

Yrene zmarszczyła lekko brwi, usłyszawszy imię, a Chaol przeklął się w myślach za to, że zdradził nieopatrnie część swej historii w pałacu pełnym oczu i uszu.

– Byłeś przytomny?

Chaol skupił się i odparł:

– Nie. Leżałem niemalże martwy.

Wtedy Yrene zauważyła rozlany olejek i zakłęła, cicho i łagodnie w porównaniu z innymi osobami, których miał wątpliwą przyjemność słuchać. Rzuciła się ku swej sakwie, ale Chaol ją wyprzedził. Złapał z oparcia kanapy wilgotną od potu koszulę i zarzucił ją na powiększającą się kałużę olejku, nim ten ściekł na przypuszczalnie bezcenny dywan.

Yrene spojrzała na koszulę, a potem na wyciągnięte ramię, które znalazło się tak blisko jej kolan.

– Nie czuleś bólu, dlatego że nie byłeś wówczas przytomny albo dlatego że... owo coś jeszcze się w tobie nie zagnieździło.

Chaol z trudem przełknął ślinę.

– Myślisz, że zostałem opętany?

Przez tę samą moc, która tkwiła w ciele jego króla i zmuszała go, by popełniał niewysłowione zbrodnie...

– Nie. Niemniej jednak ból czasem sprawia wrażenie, jakby był żywą istotą. Może o to tu chodzi. Może nie chce odpuścić i się wycofać.

– Czy mój kręgosłup został w ogóle uszkodzony? – Ledwie zdołał zadać to pytanie.

– Tak – odparła Yrene, a Chaol poczuł, jak w jego sercu znów pojawia się rozpacz. – Wyczułam złamane fragmenty oraz zerwane nerwy. Żeby naprawić te uszkodzenia i połączyć je z twoim mózgiem, muszę jakoś obejść to echo. Albo zmusić je do uległości na tyle, by pozwoliło mi na tobie pracować. – Zacisnęła ponuro usta. – Ów cień, owa rzecz, która cię prześladowe... Będzie stawiać mi czoła na każdym kroku i próbować mnie zniechęcić, a jej bronią jest ból. – Jej oczy lśniły. – Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

– Rozumiem – odparł cichym, ochrypłym głosem. – Jeśli ma ci się udać, będę musiał znosić taki właśnie ból. I to nieraz.

– Mam zioła, które mogą cię uśpić, ale z taką raną... Myślę, że nie ja jedna będę musiała walczyć z tym echem, ale jeśli będziesz nieprzytomny... Boję się tego, co owa moc może ci zrobić, gdy będziesz uwięziony we własnej jaźni. Boję się szkód, jakie może wyrządzić twojej osobowości.

Jej twarz stała się jeszcze bledsza. Chaol cofnął dłoń, wciąż zacisniętą na koszuli, która zmieniła się w szmatę, i uściśnął jej rękę.

– Zrób to, co do ciebie należy.

– Będzie bolało. Tak jak przed chwilą. Bez przerwy. Z każdą chwilą zapewne coraz bardziej. Będę musiała walczyć krąg po kręgu, nim w ogóle dotrę do podstawy kręgosłupa. Walczyć, a jednocześnie cię leczyć.

Chaol zacisnął dłoń na jej ręce, tak drobnej w porównaniu z jego.

– Rób to, co do ciebie należy – powtórzył.

– A ty – rzekła cicho Yrene – będziesz musiał walczyć wraz ze mną.

Chaol zeszywniał.

– Jeśli te istoty żerują na nas z natury... Jeśli to coś karmi się tobą, a ty jesteś zdrowy – uzdrowicielka wskazała jego ciało – zapewne pożera coś innego. Coś w tobie.

– Niczego nie wyczuwam.

Dziewczyna spojrzała na ich połączone dłonie, a potem wysunęła swe palce z jego uścisku. Nie był to gwałtowny, dramatyczny gest, ale wystarczająco wymowny.

– Może powinniśmy to omówić?

– Co takiego omówić?

Uzdrowicielka zarzuciła włosy za ramię.

– To, co się wydarzyło. To, czym karmisz ową rzecz.

Dłonie Chaola pokrył pot.

– Nie ma tu czego omawiać.

Yrene wpatrywała się w niego przez chwilę, a on mobilizował wszystkie swe siły, by nie odwrócić wzroku od jej szczerego spojrzenia.

– Z tego, co się dowiedziałam, tematów byłoby jednak sporo, jeśli chodzi o ostatnie miesiące twojego życia. Wygląda na to, że był to dość burzliwy czas. Sam wczoraj powiedziałeś, że nikt nie gardzi tobą bardziej niż ty sam.

„Mało powiedziane” – pomyślał Chaol, a głośno spytał:

– A skąd to nagle zainteresowanie?

Yrene nawet nie drgnęła.

– Bo dzięki temu będę mogła cię wyleczyć i się ciebie pozbyć.

Mężczyzna uniósł brwi.

– No, wreszcie to z siebie wyrzuciłaś.

Twarz Yrene była nieprzeniknioną maską, której nawet Dorian mógłby jej pozazdrościć.

– Zakładam, że nie chcesz pozostać tu na wieki, skoro w twojej ojczyźnie, jak ją zwiesz, trwa wojna.

– W mojej ojczyźnie? A nie w naszej?

Yrene powstała w milczeniu i złapała swą torbę.

– Nie mam ochoty dzielić niczego z Adarlanem.

Rozumiał ją. Naprawdę ją rozumiał. Być może właśnie dlatego nadal nie powiedział, do kogo tak naprawdę należała owa ciemność, która przybyła tu wraz z nim.

– A ty – ciągnęła Yrene – unikasz głównego tematu. – Przeszukała sakwę. – Prędzej czy później i tak będziesz musiał mi opowiedzieć o tym, co się wydarzyło.

– Z całym szacunkiem, ale nic cię to nie obchodzi.

Zerknęła na niego przy tych słowach.

– Byłbyś zaskoczony tym, jak bardzo leczenie dolegliwości fizycznych jest związane z leczeniem szkód emocjonalnych.

– Uporałem się już z tym, co się wydarzyło.

– To w takim razie czym się żywi owa rzecz na twoich plecach.

– Nie wiem – odparł. Było mu to obojętne.

Yrene wyciągnęła wreszcie coś z sakwy, a gdy podeszła bliżej, żołądek Chaola ścisnął się, gdy ujrzał, co trzymała w ręku.

Było to wędzidło, wykonane z ciemnej skóry. Nigdy nieużywane.

Podawała mu je bez wahania. Ile razy dawała je pacjentom, by zaleczyć obrażenia o wiele poważniejsze od tego?

– Masz jeszcze szansę, by wpłynąć na przebieg terapii – powiedziała z ponurą miną. – Wystarczy, że opowiesz mi, co się działo przez ostatnich kilka miesięcy.

Chaol ułożył się na brzuchu i zacisnął zęby na kawałku skóry.

\*\*\*

Nesryn z wysoka podziwiała wschód słońca.

Odnalazła księcia Sartaq, który czekał na nią na lądowisku, godzinę przed świtem. Najwyższy poziom minaretu był otwartą platformą, wystawioną na działanie żywiolów. Za księciem, który przywdział skórzany strój, znajdował się... Nesryn zacisnęła dłoń na balustradzie, zdyszana po długiej wspinaczce.

Kadara była przepiękna.

Każde ze złocistych piór ruka lśniło niczym polerowany metal, a biel jego piersi wydawała się równie jasna jak świeży śnieg. Złote oczy natychmiast odnalazły Nesryn i badawczo ją otaksowały. Sartaq, który zapinał skórzaną uprzęż siodła na szerokim grzbiecie Kadary, zdał sobie sprawę z nadejścia dziewczyny jako drugi.

– O, kapitan Faliq – odezwał się tytułem powitania. – Wcześniej wstałaś.

Zwykle, niewinne słowa na użytek ciekawskiego podsłuchiwanca.

– Burza nie pozwoliła mi się wyspać. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Skądże znowu – odparł. W półmroku świtu widziała, jak uśmiecha się krzywo. – Miałem zamiar wybrać się na przejażdżkę i pozwolić tej tłustej kurze wreszcie upolować coś do jedzenia.

Oburzona Kadara nastroszyła pióra i klapnęła ogromnym dziobem, którym mogłaby bez trudu oderwać dorosłemu człowiekowi głowę. Nic dziwnego, że księżniczka Hasar wolała się trzymać od niej z daleka.

Sartaq zachichotał i poklepał ruka po piórach.

– Dołączysz do mnie?

Nesryn niespodziewanie uświadomiła sobie, jak wysoko znajdował się szczyt minaretu. Zrozumiała też, że Kadara wzniesie się o wiele wyżej, a ją samą od upadku i niechybnej śmierci strzec będzie zaledwie ten jeździec i zakładane właśnie siodło.

Niemniej jednak przejażdżka na ruku... Ba, w towarzystwie księcia, który mógł mieć dla niej ważne informacje...

– Nie czuję się szczególnie bezpiecznie na dużych wysokościach, ale byłby to dla mnie wielki zaszczyt, książę.

Sartaq kazał jej zdjąć ciemnoniebieską kurtkę i zastąpić ją zapasową skórzaną, którą trzymał w komodzie pod ścianą. Uprzejmie odwrócił się, gdy zmieniała również spodnie. Jej włosy sięgały jedynie do ramion, przez co miała trudności z zapleceniem warkocza, ale książę wyciągnął z kieszeni rzemyk, dzięki któremu mogła związać włosy.

– Zawsze trzeba mieć przy sobie zapasowy – powiedział jej. – W przeciwnym razie tygodnia nie starczy, by się rozczesać.

Wskoczył na swego bystrookiego ruka jako pierwszy. Kadara, odgadłszy jego intencje, rozpląsała się na podłodze niczym ogromna kura, a Sartaq w dwóch płynnych ruchach wspiął się na siodło, po czym wyciągnął rękę ku Nesryn. Ta ostrożnie oparła dłoń o żebra Kadary i zachwytem stwierdziła, że jej pióra są miękkie niczym najdelikatniejszy jedwab.

Podświadomie spodziewała się, że ruka zacznie się wiercić, ale powietrzny rumak księcia ani drgnął. Czekał cierpliwie, aż Sartaq zapnie ich oboje w siodle, trzykrotnie sprawdzając wszystkie pasy i klamry. Potem mężczyzna cmoknął głośno i...

Nesryn wiedziała, że nie wypada ścisnąć przedramion księcia tak mocno, że mało nie połamała mu przy tym kości, ale nie mogła się powstrzymać, gdy Kadara rozłożyła swe złociste skrzydła i wyskoczyła.



A ściślej mówiąc zeskoczyła.

Żołądek podszedł dziewczynie do gardła, a oczy przesłoniły łzy.

Potężny wiatr bił w nią, próbując wyrwać ją z siodła. Zaciśnęła uda z taką siłą, że aż zaczęły ją boleć, wciąż trzymając się kurczowo przedramion dzierzążącego wodze Sartaqa, który pochylił głowę i zachichotał jej do ucha.

Jasne budynki Antiki rosły jej w oczach, niemalże błękitne w wątlym świetle świtu, a Kadara pikowała niczym gwiazda z niebios...

Naraz rozrzuciła skrzydła i wystrzeliła ku górze.

Nesryn cieszyła się, że nie miała czasu na zjedzenie śniadania, gdyż z pewnością wyrwałoby się jej teraz z żołądka. Kadara kilkakrotnie uderzyła skrzydłami, kierując się na prawo, ku horyzontowi, na którym rozlewał się już róż.

W dole pod nimi rozciągał się labirynt uliczek Antiki, coraz mniejszy i mniejszy, w miarę jak ptak wlatywał ku niebu, aż miasto znikło i widzieli jedynie brukowane szlaki, rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Nesryn wyteżyła wzrok i ujrzała gaje oliwne oraz pola żyta, posiadłości wiejskie oraz niewielkie miasteczka. Daleko po lewej ciągnęły się falujące piaski północnej pustyni, a po prawej wiły się koryta rzek, połyskujących w promieniach słońca wstającego daleko za górami.

Sartaq nie odzywał się ani słowem. Nie pokazywał jej punktów orientacyjnych, nie wskazał nawet bladej linii Siostrzanej Drogi, która ciągnęła się ku południowemu horyzontowi. Nie, książę oddał inicjatywę rumakowi. Kadara wznosiła się wyżej i wyżej, a powietrze robiło się coraz chłodniejsze. Z każdym uderzeniem potężnych skrzydeł niebo jaśniało coraz bardziej.

Przestrzeń. Tak ogromna przestrzeń...

To, na co patrzyła teraz Nesryn, nijak się miało do bezkresnego morza, uciążliwych fal i zatłoczonego, ciasnego statku.

Bezmiar wokół niej był niczym oddech. Był jak...

Nie mogła się napatrzeć. Nie mogła się nasycić wrażeniami. Wszystko wydawało jej się niewiarygodnie małe, a przy tym piękne i nieskazitelnie czyste. Patrzyła na ziemię podbite przez naród zdobywców, a mimo to kochane i pielęgnowane. Patrzyła na swą ojczyznę. Swój dom.

W oddali widziała już wstające słońce, krzewy i zieleń równin. Na zachodzie ciągnęły się bujne dżungle i pola ryżowe, na północnym wschodzie – jasne piaski pustyni. W tej jednej chwili zobaczyła więcej, niż byłaby w stanie ujrzeć przez całe swoje życie. W tej jednej krainie mieścił się cały świat.

Nie rozumiała, dlaczego ojciec postanowił stąd wyjechać.

Nie rozumiała, dlaczego pozostał w Adarlanie, choć do jego nowej ojczyzny wkradły się już cienie. Nie wiedziała, co trzymało ich w tym gnijącym mieście, gdzie tak rzadko spoglądała ku niebu lub czuła wiatr wolny od smrodu słonej Avery czy śmieci leżących na ulicach.

– Milczysz – rzekł książę. Słowo to było bardziej pytaniem niż stwierdzeniem.

– Nie mam słów, by to opisać – przyznała Nesryn w halha.

Poczuła, że Sartaq się uśmiecha.

– Też się tak czułem podczas pierwszego lotu. I podczas każdego następnego zresztą też, przyznaję.

– Już rozumiem, dlaczego pozostałeś w tym górskim obozie. I dlaczego chcesz tam wracać.

Sartaq milczał przez moment.

– Tak łatwo mnie rozgryźć?

– A z jakiego powodu miałbyś nie chcieć tam wrócić?

– Dla wielu ludzi pałac mojego ojca jest najpiękniejszy na świecie.

– Nie da się ukryć.

Jego milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

– Pałac w Rifthold nijak się miał do niego. Nie był tak piękny jak pałac twego ojca, nie wydawał się też naturalnym elementem krainy.

Sartaq nucił przez chwilę pod nosem. Nesryn czuła lekkie vibracje w plecach.

– Śmierć mojej siostry odcisnęła się piętnem na zdrowiu matki. To dla niej zostałem w pałacu.

Nesryn skrzywiła się lekko.

– Przykro mi. Naprawdę.

Przez chwilę słychać było jedynie świst wiatru, aż znów odezwał się Sartaq:

– Mówisz o królewskim pałacu w Rifthold w czasie przeszłym. Dlaczego?

– Wiesz przecież, co się z nim stało. Z tą częścią, którą wykonano ze szkła.

– Ach – rzekł książę i znów zamilkł. – Został strzaskany przez królową Terrasenu. Twą... sojuszniczkę?

– Przyjaciółkę.

Sartaq przechylił się, by spojrzeć jej w twarz.

– Naprawdę?

– To dobra kobieta – powiedziała z przekonaniem Nesryn. – Bywa ciężka do zniesienia, ale ponoć to typowe dla arystokracji.

– Najwyraźniej uznała, że były król Adarlanu jest tak ciężki do zniesienia, iż trzeba go zabić.

„Ostrożnie dobrane słowa” – pomyślała Nesryn.

– Ten człowiek był potworem i zagrożeniem dla wszystkiego, co żyje. Jego prawa ręka, książę Perrington, niestety okazał się taki sam jak on. Aelin wyświadczyła Erilei wielką przysługę.

Sartaq poruszył wodzami Kadary, która zaczęła wolno opadać ku dolinie przeciętej migotliwą rzeką.

– Naprawdę jest taka potężna?

Nesryn zastanawiała się przez moment, czy powinna powiedzieć prawdę, czy też umniejszyć moc Aelin.

– Zarówno ona, jak i Dorian władają wielką mocą, ale ja rzekłabym, że ich największą bronią jest inteligencja. Brutalna siła bez inteligencji jest bezużyteczna.

– Ba, bez niej staje się niebezpieczna.

– Tak. – Nesryn przełknęła ślinę. – Czy...

Zawahała się. Nie potrafiła wypowiadać się w zawołany, aluzyjny sposób, co było normą wśród bywalców dworów.

– Czy istnieje na dworze zagrożenie, które zmusza nas, byśmy odbyli tę rozmowę wysoko w chmurach?

„Przecież to on sam może być tym zagrożeniem?” – napomniała samą siebie.

– Jadłaś kolację z moim rodzeństwem. Wiesz, jacy oni są. Gdybym chciał się z tobą spotkać, przekazałbym im w ten sposób ważny sygnał. Dałbym im do zrozumienia, że chcę cię wysłuchać i być może wywrzeć później nacisk na ojca, a oni natychmiast zaczęliby się zastanawiać nad korzyściami i niebezpieczeństwami podważenia mojej pozycji. Być może zaczęliby się też zastanawiać, czy nie warto stanąć po mojej stronie.

– A nosisz się z takim zamiarem? Chcesz nas wysłuchać?

Sartaq nie odpowiadał i przez dłuższą chwilę słychać było tylko huczący wiatr.

– Tak, jestem na to gotów. Wysłucham ciebie i lorda Westfalla. Chcę usłyszeć, co wiecie i co się wam przytrafiło. Nie mam aż takiego wpływu na ojca jak pozostali, ale on wie, że jeźdźcy ruków są wobec mnie lojalni.

– Sądziłam...

– Że jestem jego faworytem? – Sartaq parsknął gorzkim śmiechem. – Być może mam szansę zostać dziedzicem, ale kagan nie kieruje się w tym aspekcie uczuciami. Zresztą jego ukochanymi dziećmi są Duva i Kashin.

Duva o słodkiej twarzy... Tak, to Nesryn potrafiła zrozumieć, ale...

– Kashin?

– Jest bezwzględnie lojalny wobec naszego ojca. Nigdy nie spiskował przeciwko niemu, nigdy nie próbował podstawić mu nogi. Ja nieraz uciekałem się do intryg przeciwko niemu, by dostać to, czego chcę. Ale Kashin... Dowodzi armiami oraz klanami jeźdźców i bywa brutalny, gdy pojawi się potrzeba, ale wobec ojca nie ma żadnych sekretów. Nigdy dotąd w historii kaganatu nie było równie lojalnego

i kochającego syna. Martwię się tym, co nastąpi po śmierci ojca. Co zrobią pozostali, gdy Kashin się im nie podporządkuje? Oraz, co jest jeszcze gorsze, jak sam Kashin zniesie jego śmierć?

– Co ty z nim zrobisz? – ośmieliła się zapytać Nesryn.

„Zniszczysz go, jeśli nie złoży ci przysięgi na wierność?” – pomyślała.

– Zobaczymy. Wszystko zależy od tego, jaki stworzy sojusz i jakim będzie zagrożeniem. Na razie jedynie Duva i Arghun wzięli ślub, a Arghun wciąż nie spłodził potomka. Kashin jednakże, gdyby się postarał, mógłby całkowicie zawrócić w głowie tej młodej uzdrowicielce.

„Yrene” – pomyślała Nesryn.

– Dziwne, że go odtrąca.

– To akurat dobrze o niej świadczy. Niełatwo jest pokochać dzieci kagana.

Zielone trawy, wciąż lśniące rosą w promieniach wstającego słońca, zafalowały, gdy Kadara przemknęła nad nimi, kierując się ku bystrej rzece. Dzięki swym potężnym szponom ruk mógłby wyrwać z toni naręcze ryb, ale Kadara nie takim łupem była zainteresowana. Szukała czegoś innego.

– Ktoś się włamał wczoraj do biblioteki w Torre – odezwał się Sartaq, sterując polującym ptakiem nad ciemnymi wodami rzeki. Mgły, kłębiące się nad powierzchnią, studziły policzki Nesryn, ale słowa jeźdźca obudziły w niej o wiele większy chłód. – Nieznany zamachowiec zabił uzdrowicielkę. Wykorzystał przy tym jakąś mroczną moc, która zamieniła jej ciało w wyschniętą łupinę. Nigdy dotąd nie widzieliśmy w Antice czegoś takiego.

Nesryn poczuła, jak przewraca się jej w żołądku. Ten opis...

– Kto to zrobił? Dlaczego?

– Yrene Towers ogłosiła alarm. Przetrzęsaliśmy całą bibliotekę, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów. Zaginęły jedynie książki, które studiowała. Yrene jest wstrząśnięta, ale nic jej się nie stało.

Książki, które studiowała... Chaol powiedział jej, że Yrene zamierzała dowiedzieć się czegoś więcej o ranach zadawanych przez magię i demony.

– Czy wiesz może, czego Yrene szukała? – spytał Sartaq od niechcienia. – Cóż takiego zwabiło te złe moce i zakończyło się kradzieżą jej książek?

Nesryn zastanowiła się. Niewykluczone, że Sartaq próbował ją wywieść w pole. Ujawnił właśnie sekret z własnego życia rodzinnego, by uspić jej czujność i skłonić ją, by sama również coś wyznała. Jak dotąd Chaol i Nesryn nie podzielili się z kaganem i jego dziećmi żadnymi sekretami odnośnie do Kluczy, Valgów i Erawana. Byli na to gotowi, ale nie wiedzieli, komu można zaufać. Gdyby ich wrogowie dowiedzieli się, że szukają Kluczy, by zamknąć Bramę Wyrda...

– Nie – skłamała. – Ale nie wykluczam, że być może nasi nieujawnieni jeszcze wrogowie pragną przerazić uzdrowicielki i zniechęcić je do pomagania mnie i kapitanowi. Lordowi Westfallowi, znaczy się.

Cisza. Nesryn sądziła, że Sartaq będzie próbował coś jeszcze z niej wyciągnąć, ale on milczał, skupiając się na locie. Kadara przemykała nad powierzchnią rzeki, jakby szykowała się do ataku.

– Dziwnie się musisz czuć z tytułem, który jeszcze przed chwilą należał do twego towarzysza – rzekł w końcu.

– Nosłam tę rangę jedynie przez parę tygodni przed naszym odplynięciem. Zapewne będę musiała się przyzwyczaić po powrocie.

– Jeśli Yrene się uda. I zrealizujecie inne swoje cele.

„Jak choćby zdobycie armii”.

– Tak – zdołała wykrztusić.

Niespodziewanie Kadara rzuciła się do lotu nurkowego. Sartaq zacisnął mocniej ramiona wokół Nesryn i przywarł do niej udami, a Nesryn nie protestowała. Gdy książkę przytrzymał ją w siodle, ruk zatrzepotał skrzydłami, wbił szpony do wody, szarpnął i wyrzucił coś wielkiego na brzeg rzeki.

Sekundę później przypadł do ofiary, drąc ją i rozszarpując szponami oraz dziobem. Złapana przez niego istota walczyła, wiła się, ciskała...

Potem rozległo się chrupnięcie i nastąpiła cisza.

Ruk uspokoił się i pogładził dziobem zmierzwione pióra na piersi, zbryzgane teraz krwią. Kilka

kropel spadło również na buty Nesryn.

– Ostrożnie, kapitan Faliq – ostrzegł ją Sartaq, gdy Nesryn wychyliła się, by przyjrzeć się istocie, której ciałem pożywiał się ruk.

Było to ogromne stworzenie, mierzące prawie pięć metrów, a jego skórę pokrywały łuski gęste niczym w zbroi. Przypominało bagienne bestie z Eyllwe, ale było od nich masywniejsze i tłustsze niż krowy, które bez wątpienia wciągał do rzecznych wód.

– Ziemie mego ojca urzekają swym pięknem – rzekł książę, gdy Kadara rozszarpywała cielsko swej zdobyczy. – Ale wystarczy wyteżyć wzrok, by ujrzeć potwory.

13.

Yrene siedziała na dywanie z rozrzuconymi nogami i ciężko dyszała, oparta o kanapę, na której spoczywał lord Chaol, również z trudem łąpiący powietrze. Czuła suchość w ustach, a jej ręce drżały tak bardzo, że nie mogła ich utrzymać na kolanach.

Z tyłu za sobą usłyszała splunięcie, a potem cichy stukot, co oznaczało, że mężczyzna wypluł wreszcie wędzidło.

Ryczał z bólu, zaciskając na nim zęby, co było dla niej równie przerażające jak sama magia.

Natrafiała bowiem na otchłań. Na całkiem nowe, mroczne piekło.

Jej magia była pulsującą gwiazdą, której blask padał na mur, wzniesiony przez ciemność między górą kręgosłupa a jego resztą. Nie potrzebowała testów, by wiedzieć, że gdyby go wyminęła i przeskoczyła prosto do nasady kręgosłupa, mrok też by ją tam odnalazł.

Mimo to napierała. Napierała ze wszystkich sił, aż nie mogła złapać tchu, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Mur nawet nie drgnął.

Uzdrowicielka miała wrażenie, że słyszy jego śmiech, cichy i syczący, przesycony pradawną złośliwością oraz przejmującym zimnem. Ciskała w mur swą magią, wysyłała fale płonącej bieli, jedną za drugą, ale nic to nie dało. Dopiero pod koniec, gdy jej moc nie zdołała odnaleźć najmniejszej nawet szczeliny, a ona zaczęła się wycofywać, mur czerni zaczął się przekształcać.

Zaczął się zmieniać w coś... innego.

Magia Yrene okazała się nieskuteczna. Zaciekłość i gniew, rozbudzone śmiercią owej uzdrowicielki w bibliotece, ostygły, a Yrene nie mogła spojrzeć, obawiała się nawet zerknąć na to, co przekształcało się w mroku, co wypełniło go wieloma głosami, brzęcącymi niczym echa w korytarzu.

Nowy kształt narastał jednak, potężniał i dziewczyna odważyła się wreszcie zerknąć przez ramię.

Mur ciemności ożył. Przesuwały się po nim najrozmaitsze kształty i Yrene miała wrażenie, że spogląda oczami innej osoby. Instynktownie wiedziała, że nie należą one do lorda Chaola.

Widziała fortecę wzniesioną z czarnego kamienia, pnącą się ku niebu pośród jałowych gór koloru popiołu. Jej wieżyczki były spiczaste niczym lance, a parapety i krawędzie ostre jak brzytwy. Za twierdzą rozlewało się obozowisko gigantycznej wprost armii. Nie była w stanie zliczyć ognisk.

Znała nazwę tej fortecy, wiedziała, kto zgromadził tę armię. Imię to rozbrzmiało w jej głowie niczym huk pioruna, niczym łomot młota opadającego na kowadło.

Morath.

Cofnęła się, wróciła do świata światła i upałów.

Morath... Nie wiedziała, czy to prawdziwe wspomnienie, zaszczerpione mu przez moc, która go zaatakowała, czy też może mrok przywołał tę wizję spomiędzy swoich najmroczniejszych koszmarów.

Nie, to wszystko nie wydawało się realne. Przynajmniej nie w tym pokoju, do którego wpadał blask słońca i plusk fontanny ogrodowej. Niemniej jednak jeśli ujrzała rzeczywisty obraz armii, o których mówił wczoraj lord Chaol...

Z tym właśnie miała się mierzyć. Miała ujrzeć ofiary agresji tak potężnej armii, a może nawet, jeśli coś pójdzie nie tak, samych wojowników ciemności.

To właśnie czekało na nią w ojczyźnie.

„Nie teraz – zganiła się. – Nie mogę myśleć o tym teraz, z nim tutaj. Nie mogę się tym teraz przejmować, nie mogę przypominać i jemu tego, z czym przyjdzie mu się zmierzyć. Nie mogę przypominać mu tego, co być może właśnie spada na jego przyjaciół. W niczym to nie pomoże ani jemu, ani mnie”.

Siedziała więc na dywanie i czekała, aż drzenie ustąpi. Nabierała głęboko tchu i czekała, aż jej magia na powrót wypełni jej ciało, gdy tylko zdoła uspokoić umysł. Siedziała nieruchomo i słuchała, jak lord Chaol ciężko oddycha. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Nie, ta terapia nie miała nic wspólnego ze zwykłym uzdrawianiem.

Może opóźnienie wyjazdu miało jednak sens? Może powinna tu zostać i leczyć go, bez względu na to, jak długo miałyby to potrwać. Na polach bitew mogła wszak natrafić na innych rannych, cierpiących na to samo. Nauka, jak walczyć z mrokiem, sporo ją będzie kosztowała, ale może miało to sens? Może miało przynieść korzyści? Gdyby tylko znalazła w sobie odwagę i wytrwałość... Przecież musi istnieć jakiś sposób, by zniszczyć ten mrok.

„Musisz wkroczyć do miejsca, które budzi twój lęk”.

W rzeczy samej.

Yrene zacisnęła powieki. W pewnym momencie pojawiła się Kadja ze składnikami wymyślonymi przez uzdrowicielkę. Rzuciła okiem na ich oboje i znikła.

Miało to miejsce kilka godzin temu. A może dni?

Czuła narastający głód, osobliwie śmiertelne uczucie po kilku godzinach szturmowania murów czerni, kiedy to przyciskała dłoń do plamy na skórze, słysząc wrzask mężczyzny za każdym razem, gdy jej magia przypuszczała kolejny atak.

Ani razu nie poprosił, by przestała. Nie interesowało go wytchnienie.

Jego drżące dłonie musnęły jej ramię.

– Czy... nic... ci... – Z trudem, chrapliwie artykułował każde słowo.

Yrene uświadomiła sobie, że powinna mu podać herbatę miętową z miodem. Należałoby zawołać służącą, lecz najpierw musiałyby sobie przypomnieć, jak się mówi. Odzyskać swój głos.

– ...nie jest?

Yrene z trudem rozchyliła powieki. Czuła ciężar jego dłoni na swoim ramieniu, ale w geście tym nie było troski czy uczucia. Chaol był po prostu tak wyczerpany, że nie potrafił podnieść ręki. Ona była zaś tak wyczerpana, że nie znalazła w sobie siły, by ją odtrącić, tak jak to zrobiła wcześniej.

– To ja powinnam spytać, jak się czujesz – zdołała wykrztusić. – Jest jakaś poprawa?

– Nie.

W tym krótkim słowie nie było śladu emocji, co najlepiej świadczyło o jego rozczarowaniu.

– Nie – powtórzył po kilku uderzeniach serca.

Yrene ponownie zamknęła oczy. Miała już świadomość, że leczenie może potrwać tygodnie, może nawet miesiące, zwłaszcza jeśli nie znajdzie sposobu na to, by odepchnąć ów mur ciemności.

Chciała przesunąć nogi, ale nie mogła się ruszyć.

– Powinnam ci przynieść...

– Dość.

Ręka lorda Chaola zacisnęła się na jej ramieniu.

– Dość – powtórzył.

– Jesteś wyczerpany – oznajmiła. – W istocie, nie ma mowy o żadnych dodatkowych ćwiczeniach...

– Miałem na myśli ciebie. Dość już. Odpocznij.

Każde słowo wypowiadał z wielkim trudem.

Yrene zwróciła ciężką głowę ku wielkiemu zegarowi stojącemu w kącie. Zamrugła raz i drugi.

Była piąta.

Minęło pięć godzin, odkąd tu weszła.

A on to wytrzymał. Zniósł pięć godzin niewyobrażalnego bólu.

Na samą myśl o tym podciągnęła nogi i ze stęknieniem oparła dłoń na stoliku. Zebrała wszystkie siły i podniosła się z niemalym trudem. Kolana jej drżały, ale stała.

Chaol oparł dłonie o kanapę. Mięśnie jego nagich pleców zdrząły, gdy spróbował się podnieść.

– Nie rób tego – powiedziała Yrene, ale nie posłuchał jej.

Jego potężne mięśnie nie zawiodły i po chwili Chaol już siedział. Obrócił spojrzenie szklistych, zmęczonych oczu prosto na nią.

– Musisz... napić się herbaty – wychrypiała.

– Kadja – wyszeptał mężczyzna ledwie słyszalnym głosem, ale służąca wychwyciła wołanie i zjawiała się szybko. Nazbyt szybko.

Yrene przyjrzała się jej uważnie, gdy wślizgnęła się do komnaty. Podśluchiwała. Czekala, aż zostanie wezwana. Nie zwracając sobie głowy uśmiechem, uzdrowicielka oznajmiła prosto z mostu:

– Miętowa herbata. Mnóstwo miodu.

– Dwie herbaty – poprawił ją Chaol.

Yrene zmierzyła go surowym spojrzeniem, ale opadła na kanapę obok niego. Poduszki były lekko wilgotne. Zerknęła na jego połyskującą wciąż klatkę piersiową i uświadomiła sobie, że była pokryta potem.

Zamknęła oczy. Na krótką chwilę.

To, że upłynęło znacznie więcej czasu, niż sądziła, uzmysłowiła sobie, gdy Kadja postawiła przed nimi dwie delikatne filiżanki, a na środku stołu niewielki żelazny czajniczek, z którego buchała para. Następnie zaczęła hojnie dodawać miodu do każdej filiżanki. Yrene chciała zaprotestować. Chciała powiedzieć, że od nadmiernej ilości słodyczy zrobi im się niedobrze, ale jej język był zbyt ciężki, a w ustach panowała zbyt wielka suchość.

Służąca zamieszała herbatę w milczeniu, a potem podała pierwszą filiżankę Chaolowi. Ten przekazał ją Yrene.

Była zbyt wyczerpana, by protestować. Ujęła naczynie obiema dłońmi i na próżno zbierała siły, by unieść je do ust.

Chaol chyba to wyczuł, gdyż kazał Kadji pozostawić jego filiżankę na stole, a potem wyjść. Następnie sam ujął filiżankę i przysunął ją do ust Yrene. Miała wrażenie, że przygląda się tej scenie przez odległe okno, a przez myśl jej przeszło, by odepchnąć jego dłoń.

Tak, będzie go leczyć. Nie, nie był potworem, za którego go z początku brała, a na pewno nie w takim sensie, jak to zwykle z mężczyznami bywa, ale nie miała zamiaru pozwolić, by zbliżył się do niej tak bardzo, by opiekował się nią jak...

– Rozchyl wreszcie usta i wypij to – warknął cicho. – Mamy tak siedzieć przez kilka godzin?

Yrene przesunęła spojrzenie na niego. W jego oczach, oprócz zmęczenia, odnalazła spokój i równowagę. Nie powiedziała ani słowa.

– Aha, więc o to tu chodzi – mruknął Chaol, bardziej do siebie niż do niej. – Ty jakoś zdołasz się przemóc i zacząć mnie leczyć, ale ja nie mogę odplacić ci za pomoc? Nie mogę zrobić nic, co wykraczałoby poza twoje wyobrażenie tego, kim jestem?

Był bystrzejszy, niż większość ludzi byłaby gotowa przyznać. Yrene miała wrażenie, że spojrzenie jego intensywnie brązowych oczu było równie twarde jak jej.

– Pij! – W jego głosie pojawił się rozkazujący ton. Był wszak człowiekiem, który nawykł do posłuchu i wydawania poleceń. – Możesz mnie nienawidzić, ile chcesz, ale wypij tę przeklętą herbatę.

W jego oczach dostrzegła ledwie zauważalny niepokój.

Fakt, był przyzwyczajony do wydawania poleceń, ale także miał zakorzenioną w sercu troskę o innych. Ochotę, by się opiekować, czułość i serdeczność, której nie mógł okiełznać, której nie zdołał się pozbyć mimo wielu lat wojskowego drylu.

Yrene rozchyliła wargi, poddając się w milczeniu. Chaol przytknął filiżankę do jej ust i przechylił ją ostrożnie. Pociągnęła jeden łysek.

Mruknął coś, by ją zachęcić, a wtedy Yrene znów upiła nieco ciepłego napoju.

Była tak zmęczona. Nigdy w życiu nie była tak zmęczona jak teraz...

Chaol przechylił filiżankę po raz trzeci i wtedy Yrene pociągnęła duży łyk.

Dość. Potrzebował tej herbaty bardziej od niej.

Wyczuł, że zaraz na niego warknie. Cofnął więc filiżankę i wypił resztę jej zawartości w dwóch łykach, po czym ujął drugą. Najpierw pozwolił się napić uzdrowicielce, a sam dokończył. Wypił wszystko łącznie z fusami.

„Jesteś nieznośny” – pomyślała Yrene i chyba też powiedziała to na głos, bo na twarzy jej towarzysza pojawił się krzywy uśmiezek.

– Nie ty pierwsza tak mnie nazwałaś – powiedział. Jego głos nie był już tak ochryply.

– I na pewno nie będę ostatnia – mruknęła.

Znów uśmiechnął się krzywo i wyciągnął rękę, by napełnić ich naczynia. Dodał miodu, mniej, niż zrobiła to Kadja, tyle, ile należało, a potem zamieszał pewną ręką.

– Sama dam sobie z tym radę – spróbowała powiedzieć Yrene.

– Ja też – odparł zdawkowo Chaol.

Tym razem uzdrowicielce udało się podnieść filizankę samodzielnie. Chaol upewnił się, czy jest w stanie się napić, a dopiero potem ujął własną.

– Muszę już iść – powiedziała.

Na samą myśl o tym, że miałyby wyjść z pałacu, ruszyć ulicami ku Torre, a potem piąć się po niezliczonych schodach do swego pokoju...

– Odpoczywaj. I zjedz coś. Musisz być strasznie głodna.

Uzdrowicielka przyjrzała się mu.

– A ty nie?

Przecież ćwiczył intensywnie przed jej przyjściem, a samo to wystarczyło, by człowiek umierał z głodu.

– Jestem i chyba nie będę czekał na wieczerzę – odparł, a po chwili dodał:

– Moglibyśmy zjeść coś razem.

Mogła go leczyć, pracować z nim, a nawet pozwolić, by ją poił, ale wszystko miało swoje granice. Obiad z człowiekiem, który służył temu rzeźnikowi, który wypełniał jego rozkazy, gdy w Morath zbierała się mroczna armia? Nie, dość. Znów poczuła zapach dymu, znów usłyszała trzask płomieni i wrzaski.

Odstawiła filizankę na stół i podniosła się. Jej ciało było obolałe, każdy krok przychodził jej z trudem.

– Muszę wracać do Torre – powiedziała. Kolana jej dygotały. – Po zachodzie słońca zaczynamy czuwanie.

Na szczęście została jej jeszcze dobra godzina.

Chaol zauważył, że się chwieje, i wyciągnął rękę, by ją podtrzymać, ale zrobiła krok i znalazła się poza jego zasięgiem.

– Zostawię to, co przyniosłam – rzekła.

Na samą myśl o dźwiganiu ciężkiej sakwy...

– Wezwę dla ciebie powóz!

– Sama o niego poproszę przy bramie pałacowej – powiedziała.

Jeśli ktoś w istocie ją ścigał, nie wzgardzi bezpiecznym powozem.

Ruszyła ku drzwiom, łapiąc się po drodze mebli. Miała wrażenie, że wyjście znajduje się nieskończenie daleko.

– Yrene – odezwał się Chaol.

Ledwie trzymała się na nogach, ale mimo to zdołała się zatrzymać i odwrócić.

– Te zajęcia jutro... – Jego brązowe oczy spoglądały przytomnie, ze skupieniem. – Gdzie mamy się spotkać?

Yrene zastanawiała się, czy ich nie odwołać. Nie miała pojęcia, co strzeliło jej do głowy, by zaprosić akurat jego. Ale ten ból... Pięć godzin potwornego cierpienia, a on dalej robił wrażenie, jakby nic się nie stało. Być może to właśnie z tego powodu odrzuciła zaproszenie na obiad. Skoro on się nie poddał, ona również nie miała takiego zamiaru. Będzie postrzegać go dokładnie takim, jakim jest. Takim, jak osoba, której służył.

– Spotkamy się o wschodzie słońca na głównym dziedzińcu.

Odnalezienie w sobie sił, by ruszyć naprzód, okazało się wyzwaniem, ale jakoś mu podołała. Z mozołem stawiała krok za krokiem, ale wyszła z apartamentu i pozostawiła go samego, wpatrującego się w jej plecy.

Pięć godzin męczarni. Pięć godzin bólu, który z pewnością nie był tylko fizyczny. Napierając na mur mroku, wyczuwała, iż ciemność pokazuje również Chaolowi rozmaite obrazy, urywki zdarzeń, które docierały i do niej. Nie była w stanie wypatrzeć niczego, co miało większy sens, ale odnosiła wrażenie,



że są to wspomnienia. A może koszmary? A może jedno i drugie?

A mimo to nie poprosił jej, by przerwała.

Wlokąc się krok za krokiem przez pałac, Yrene zastanawiała się, czy lord Chaol nie poprosił jej, by przerwała, dlatego że nauczył się panować nad bólem, czy może dlatego, że jego zdaniem sobie na to zasłużył.

\*\*\*

Wszystko go bolało.

Nie chciał myśleć o tym, co właśnie ujrzał. Nie chciał myśleć o tym, co przemykało przez jego umysł, gdy przeszywały go kolejne fale bólu, palącego, szarpiącego i rozbijającego go w pył. Nie chciał myśleć o tym, co ani kogo widział.

Ciało na łóżku. Czarny naszyjnik. Tocząca się głowa.

Nie mógł przed tym uciec, nie mógł tego odpędzić. Przeszkodziłby Yrene w pracy.

Ból szarpał go i przeszywał, a on wpatrywał się w ów koszmar, wrzeszczał, ryczał i wył. Yrene przerwała dopiero wtedy, gdy opuściły ją siły i osunęła się na podłogę.

On zaś odkrył, że jest pusty w środku.

Uzdrowicielka nadal nie chciała spędzić z nim ani chwili dłużej, niż to było konieczne. Nie winił jej. Przecież to nie miało większego znaczenia. Mimo to przypomniał sobie, że poprosiła go o pomoc w jutrzejszych zajęciach.

Na tyle, na ile da radę.

Chaol zjadł obiad w miejscu, w którym zostawiła go Yrene, nadal w samych majtkach. Kadja zachowywała się, jakby tego nie zauważała lub było to jej obojętne, a on był nazbyt obolały i zmęczony, by zwracać sobie głowę przyzwoitością.

Aelin pewnie parsknęłaby teraz śmiechem na jego widok. Ten sam człowiek, który potykając się, wypadł z jej komnaty, gdy powiedziała mu, że właśnie dostała okres, teraz siedział praktycznie nagi w samym środku luksusowego apartamentu i w ogóle się tym nie przejmował.

O zachodzie słońca wróciła Nesryn z zarumienioną twarzą i włosami rozwianymi od wiatru. Chaol zauważył jej dyskretny uśmiech i odgadł, że przynajmniej jej udało się tego dnia coś zdziałać. Może uda jej się dokonać tego, co jemu najwyraźniej nie wychodziło – zebrać armię.

Nosił się z zamiarem porozmawiania z kaganem o zagrożeniu, jakie pociągał za sobą atak w bibliotece, ale było już za późno, by zorganizować takie spotkanie.

Ledwie słuchał Nesryn, która szeptała mu do ucha o swej przejażdżce na wspinałym ruku i możliwym poparciu ze strony Sartaqa. Wyczerpanie ciążyło na nim tak bardzo, że z trudem walczył z opadającymi powiekami. Nawet wizja formacji ręków ścierających się z wyvernami Żelaznozębnych nie była w stanie odgonić senności, tym bardziej że natychmiast pojawiło się pytanie, kto zdoła przeżyć taką bitwę.

Mimo to zdołał wydać jej rozkaz, który pienił mu się na języku:

– Ruszaj na polowanie, Nesryn.

Jeśli jeden ze służących Erawanowi Valgów w istocie przybył do Antiki, czas nie był już ich sprzymierzeńcem. Meldunki o wszystkim, co robili – o każdym ich kroku i każdej prośbie – mogły trafiać bezpośrednio do Erawana. Jeśli zaś Valg postanowił rozprawić się z Yrene za to, że próbowała się czegoś o nich dowiedzieć, lub za to, że usiłowała uzdrowić namiestnika króla Adarlanu... Nie ufał tu nikomu na tyle, by poprosić o coś tak ważnego. Ufał jedynie Nesryn.

Ta, słysząc jego rozkaz, pokiwała tylko głową. Rozumiała, dlaczego wypowiedzenie tych słów kosztowało go tak wiele, dlaczego niemalże wypluł je z siebie... Kazał jej się narazić, wysłał na polowanie na coś tak straszliwego...

Ale przecież robiła to już w Rifthold, o czym przypomniwała mu łagodnie. Sen wzywał, ciało Chaola stawało się coraz cięższe i bardziej nieposłuszne, ale zdołał wygłosić ostatnie życzenie:

– Uważaj na siebie.

Nie protestował, gdy pomogła mu usiąść w fotelu i zawiozła go do sypialni. Próbował sam się

wczołgać do łóżka, lecz ciało znów go zdradziło. Świadomość zaczęła już go opuszczać i zaledwie czuł, jak Nesryn i Kadja wciągają go na posłanie niczym ogromny ochłap mięsa.

Yrene nigdy niczego takiego nie robiła. Nie prowadziła fotela, gdy mógł zrobić to samodzielnie, ciągle powtarzała mu, by sam się przemieszczał.

Zadał sobie w myślach pytanie, skąd się bierze ta różnica, ale był nazbyt zmęczony, by sobie na nie odpowiedzieć.

Nesryn obiecała, że przeprosi rodzinę kagana za jego nieobecność, po czym poszła się przebrać. Był ciekaw, czy służba usłyszy zgrzyt ostrzy o oselkę, dobiegający zza drzwi sypialni.

Nim zegar wybił siódmą, a Nesryn wyszła z apartamentu, zmorzył go sen.

\*\*\*

Podczas kolacji nikt nie zwracał na Nesryn większej uwagi. Nikt też nawet się nie obejrzał, gdy później tego wieczoru wymknęła się na ulice miasta, uzbrojona w miecz, łuk oraz liczne noże.

Nawet żona kagana.

Gdy Nesryn przemierzała ogród pełen rzeźb, kątem oka pochwyciła mignięcie bieli. Odruchowo schroniła się za jedną z kolumn i złapała za nóż, ale po chwili rozluźniła zaciśniętą na rękojeści dłoń.

Odziana w biały jedwab Wielka Cesarzowa szła przez ogród z rozpuszczonymi, czarnymi włosami, cicha i poważna niczym zjawą. Jej jedynym towarzyszem i świadkiem jej spaceru był blask księżyca. Szła samotnie, niezauważona przez nikogo, a jej prosta szata unosiła się za nią niczym na widmowym wietrze.

Biel oznaczała żałobę. Śmierć.

Wielka Cesarzowa nie nosiła makijażu, a jej twarz była bledsza od twarzy dzieci. Na próżno szukać by w niej radości czy siły do życia. Nie była zainteresowana ani jednym, ani drugim.

Nesryn czaiła się w cieniu kolumny i patrzyła, jak pogrążona w żałobie kobieta oddala się coraz bardziej, zupełnie jakby snuła się po ścieżkach krainy marzeń. Lub po jakimś pustym, jałowym piekle.

Nesryn zadała sobie w duchu pytanie, czy Wielka Cesarzowa chadza po podobnych ścieżkach jak ona sama w tamtych pierwszych miesiącach po śmierci matki. Czy jej dni również zlewają się jeden z drugim. Czy jedzenie zamienia się w popiół w jej ustach. Czy trudno jej zaznać snu, choć tak bardzo go pragnie.

Dopiero gdy żonę kagana zasłonił wielki głaz, Nesryn wymknęła się ze swej kryjówki, ale jej kroki były nieco cięższe.

Antica podczas pełni zamieniała się w labirynt srebra i błękitu, zakłócany złotymi plamami latarni, wiszących nad jadalniami i wozami kupców, którzy sprzedawali *kahve* i smakołyki. Kilku ulicznych muzykantów brzdąkało na lutniach – niektórzy czynili to z pasją tak wielką, że Nesryn żalowała, iż nie może się zatrzymać. Niestety, tej nocy liczyła się szybkość, ostrożność i kamuflaż.

Wojowniczką przemykała wśród cieni i wsłuchiwała się w odgłosy miasta.

Wśród głównych arterii wyrastały najrozmaitsze świątynie – niektóre wzniesiono na marmurowych słupach, inne zapraszały pod drewniane, spiczaste dachy, oparte na malowanych kolumnach, jeszcze inne okazywały się zwykłymi dziedzińcami z sadzawkami, skalniakami czy śpiącymi zwierzętami. Miasta strzegło trzydziestu sześciu bogów, którym poświęcono trzy razy tyle świątyń.

Mijając każdą z nich, Nesryn zastanawiała się, czy bogowie zerkają na nią zza słupów i rzeźbionych głazów, czy spoglądają spod zakamarków pochyłych dachów czy też patrzą przez oczy kota, drzemącego na świątynnych schodach. Błagała każdego z nich, by uczynił jej kroki szybkimi i cichymi, by strzegł ją tam, gdzie musiała dotrzeć. Jeśli sługa Valgów – lub co gorsza, sam książę – był już na Południowym Kontynencie...

Nesryn spojrzała na dachy i monstrualnie wielki słupek Torre, który w blasku księżyca jaśniał kościaną bielą. Z wszystkimi mieszkającymi w niej uzdrowicielkami wydawał się świętą kolumną, czuwającą nad dobrem miasta.

Chaol i Yrene nie poczynili żadnych postępów, ale Nesryn wmawiała sobie, że to nic nie szkodzi.

Przecież takie terapie zawsze długo trwały, nawet jeśli Yrene... Nie było wątpliwości, że uzdrowicielka żywi jakieś uprzedzenia wobec dziedzictwa Chaola. Wobec roli, jaką odgrywał w imperium.

Nesryn zatrzymała się przy wejściu do uliczki, by przepuścić grupkę zataczających się młodych biesiadników, wyśpiewujących zbereżne pieśni. Gdyby jej ciotka usłyszała którąś z nich, z pewnością by ich obrugała, tylko po to, by po chwili samej zacząć je nucić.

Rozejrzała się po uliczce oraz wznoszących się nad nią dachach, aż jej uwagę przykuł prosty, wręcz prymitywny ryt na ceglany murze. Przedstawiał siedzącą sowę ze złożonymi skrzydłami. Jej nienaturalnie wielkie oczy były szeroko otwarte i nigdy nie mrugały. Być może było to jedynie dzieło jakiegoś wandała, ale mimo to Nesryn przesunęła dłonią w rękawiczce po wyrytych na ścianie liniach.

Sowy Antiki. W stolicy natrafiało się na nie na każdym kroku, ryte bądź rzeźbione ku czci bogini, którą przypuszczalnie otaczano w mieście większym szacunkiem niż pozostałych trzydziestu pięciu bogów. W ich panteonie nie było głównego bóstwa, ale Silba... Nesryn raz jeszcze spojrzała na potężną wieżę, jaśniejącą bardziej od pałacu po przeciwnej stronie miasta. Tak, prymatowi Silby nikt nie mógł zagrozić. Ten, kto wdarł się do Torre, by zabić jedną z uzdrowicielek, musiał być zdesperowany lub całkowicie szalony.

Lub był demonem, gdyż te nie bały się bogów, lecz jedynie gniewu swego pana w razie porażki.

Gdzie by się ukryła w tym mieście, gdyby była Valgiem? Gdzie by się przyczaiła? Pod niektórymi z budowli ciągnęły się kanały, ale nie przypominały one labiryntu spod Rifthold. Ale może, gdyby się przyjrzała murom Torre...

Nesryn skierowała się ku lśniącej wieży, potężniejszej i bardziej imponującej z każdym krokiem. Zatrzymała się obok budynku skrytego wśród cieni rzucanych przez wysoki, solidny mur otaczający kompleks Torre.

Wszędzie migotały pochodnie, a żołnierze rozstawieni byli co kilka kroków, zarówno na murze, jak i pod nim. Dostrzegła zarówno gwardzistów kagana, jak i członków straży Torre w chabrowo-żółtych mundurach. Było ich tylu, że nawet mysz nie precyzyjnie się niezauważona. Nesryn przyjrzała się żelaznym wrotom, zamkniętym na noc.

– Żaden ze strażników nie chce powiedzieć, czy brama była otwarta zeszłej nocy – powiedział ktoś.

Nesryn odwróciła się błyskawicznie, dobywając noża.

Książę Sartaq stał kilka kroków od niej i wpatrywał się w wieżę. Zza jego szerokich ramion wystawały rękojeści dwóch przytroczonych do pleców mieczy, a przy pasie wisały długie noże. Wytworne szaty, w których stawił się na wieczery, zmienił na skórzany strój do podniebnych lotów, wzmocniony stalowymi płytkami na ramionach. U jego pasa wisały srebrne rękawice, a na szyi miał czarny szal. Nie, nie był to szal, raczej chusta, którą zasłaniał usta i nos po podniesieniu kaptura. Chciał w ten sposób zachować anonimowość.

Nesryn schowała nóż do pochwy i spytała:

– Śledziłeś mnie?

Książę przeniósł na nią spojrzenie ciemnych, spokojnych oczu.

– Nie siliłaś się bynajmniej na dyskrecję, gdy wyszłaś przez główną bramę, uzbrojona po zęby.

Nesryn odwróciła się ku murom Torre.

– Nie widzę powodu, by kryć się z tym, co robię.

– Sądzisz, że ten, który zaatakował uzdrowicielki, będzie przechadzał się w okolicy? – spytał książę i podszedł bliżej, bezszelestnie stawiając kolejne kroki na starych kamieniach.

– Chciałam się tu rozeznać i sprawdzić, w jaki sposób zamachowiec dostał się do środka, być może poszukać też miejsca, które nadawałoby się na kryjówkę.

Książę milczał przez moment.

– Wygląda na to, że dobrze wiesz, na kogo polujesz – rzekł.

„O czym nie pisałam ani słowa podczas naszej porannej przejażdżki” – Nesryn dokończyła w myślach za niego. Spojrzała na Sartaqa z ukosa.

– Niestety, muszę się z tobą zgodzić. Jeśli nie mylimy się co do tożsamości zamachowca... Przez

całą wiosnę i lato polowałam na jego pobratymców w Rifthold.

Sartaq przez dłuższą chwilę wpatrywał się w mury wokół Torre, aż rzekł:

– Było tak źle?

Nesryn przelknęła ślinę, gdy przez jej umysł znów przepłynęły obrazy. Ciała, kanały, eksplodujący zamek, mknąca ku niej fala śmierci...

– Kapitan Faliq? – odezwał się ponownie Sartaq, łagodnie, o wiele łagodniej, niż księżęta mieli w zwyczaju.

– A co mówili ci szpiedzy?

Sartaq zacisnął zęby, a jego oblicze pomroczało.

– Mówili mi, że Rifthold stało się miastem koszmarów. Pełnym ludzi, którzy nie byli ludźmi, ale bestiami z najmroczniejszych snów Vanth.

Vanth, Bogini Śmierci, obecna w mieście jeszcze dłużej niż uzdrowiciele Silby. Jej czciciele tworzyli tajną, darzoną szacunkiem sektę, której obawiali się nawet kagan i jego poprzednicy, choć ich rytuały różniły się całkowicie od zwyczajów związanych z Wiecznymi Błękitnymi Niebiosami, do których kagan oraz Darghanowie wracali po śmierci. Chwilę wcześniej Nesryn przeszła szybko obok zbudowanej z czarnego kamienia świątyni Vanth, której wejście wyznaczały jedynie onyksowe schody, prowadzące do podziemnej komory opromienionej świecami białymi niczym kości.

– Widzę, że nic z tego, co mówię, nie budzi twego zdziwienia – rzekł Sartaq.

– Rok temu pewnie bym się dziwiła.

Sartaq omiół wzrokiem jej broń.

– A więc naprawdę mierzyłaś się z tymi koszmarami.

– Tak – przyznała Nesryn. – Choć nie wiem, czy na coś się to zdało, zważywszy na fakt, że miasto jest teraz w ich władaniu.

W jej słowach słyhać było gorycz. Sartaq zastanowił się.

– Wielu ludzi nawet nie pomyślałoby o tym, by zostać i walczyć.

Nesryn nie miała ochoty potwierdzać tego, co usłyszała, ani też temu przeczyć, choć księżę na pewno chciał ją w ten sposób pocieszyć. Należało jednak docenić wysiłek ze strony człowieka, który nie musiał nic takiego robić.

– Ja... ja widziałam nie tak dawno twą matkę – usłyszała własne słowa. – Szła samotnie przez ogród.

Sartaq parokrotnie zamknął i otworzył oczy.

– Doprawdy? – spytał ostrożnie.

Nesryn zawahała się.

„Może nie trzeba było w ogóle otwierać ust” – przeszło jej przez myśl, ale mimo to dodała:

– A mówię ci to po to, bo może... bo może chciałbyś to wiedzieć.

– Miała ze sobą jakiegoś strażnika? Albo dwórkę?

– Nikogo nie widziałam.

Sartaq oparł się o ścianę budynku. Na jego zaciętej twarzy pojawił się niepokój.

– Dziękuję ci za raport.

Nie powinna o nic pytać. Nie powinna się odzywać. Nikt nie powinien mieszać się w sprawy najpotężniejszej rodziny świata, lecz i tak powiedziała cicho:

– Moja matka umarła, gdy miałam trzynaście lat. – Uniosła wzrok na niemalże rozjarzoną wieżę.

– Stary król... Cóż, sam wiesz, co robił z ludźmi obdarzonymi magią. Z uzdrowicielami, którzy nią władali. Nikt nie był więc w stanie pomóc jej w walce z wyniszczającą chorobą, która nią zawładnęła. Jedyna uzdrowicielka, którą udało nam się ściągnąć, przyznała, że przyczyną przypuszczalnie jest narośl w piersi matki. Że przed zniknięciem i zakazaniem magii pewnie udało by się ją wyleczyć. – Nigdy nie opowiedziała tej historii nikomu spoza swej rodziny i nie była pewna, dlaczego robi to teraz, ale kontynuowała: – Mój ojciec chciał zabrać ją na statek i przypląć do Antiki. Był gotów to zrobić, ale znów wybuchła wojna, a statki zostały przejęte przez flotę adarłańską. Matka zaś była już zbyt chora, by ryzykować podróż łodem aż do Eyllwe, skąd moglibyśmy dopłynąć tu. Ojciec zapoznał się z każdą mapą,

przeanalizował każdy trakt handlowy, aż w końcu odnalazł kupca gotowego zabrać ich dwoje do Antiki. Matka była już podówczas tak osłabiona, że nie wolno było jej ruszać. Nie dotarłaby tu, nawet gdyby znalazła się na pokładzie.

Sartaq przyglądał się jej z nieodgadnią twarzą. Nesryn wsunęła dłonie do kieszeni.

– I została w Rifthold. Byliśmy przy niej, kiedy... kiedy wszystko dobiegło końca. – Stary smutek znów zawładnął jej sercem, a oczy zapiekły. – Minęło kilka lat, nim doszłam do siebie – dodała po chwili. – Dwa lata, zanim zaczęłam znów dostrzegać rzeczy, takie jak słońce na twarzy czy smak jedzenia. Nim zaczęłam się nimi cieszyć. Mój ojciec... Tak, on pomógł nam przez to przejść, mojej siostrze i mnie. Oplakiwał śmierć matki, ale nie dopuścił, byśmy to ujrzały. Ze wszystkich sił próbował napęlić nasz dom radością.

Zamilkła. Nie miała pojęcia, jak wyjaśnić to, że niespodziewanie powróciła do tych wspomnień.

– Gdzie oni teraz są? – spytał w końcu Sartaq. – Co się z nimi stało po ataku na Rifthold?

– Nie wiem – szepnęła Nesryn. – Wydostali się z miasta, ale nie mam pojęcia, dokąd zbiegli ani też jak tu dotrą. Po świecie włóczy się wszak tyle koszarów...

Sartaq milczał przez dłuższą chwilę, a Nesryn przez cały ten czas przeklinała się w myślach za to, że zdecydowała się w ogóle otworzyć usta.

– Poszukam ich – odezwał się w końcu książę. – Każę rozpytać się dyskretnie. – Odepchnął się od ściany i dodał: – Jeśli ktokolwiek z moich szpiegów natknie się na rodzinę Faliq, będzie miał na nią oko. Udzieli im wszelkiej pomocy, by dotarli do bezpieczniejszych portów.

Ucisk w piersi Nesryn był tak silny, iż graniczył z bólem, ale zdołała wykrztusić:

– Dziękuję.

Książę okazał jej wielką szczodrość. Ba, więcej niż szczodrość.

– Przykro mi z powodu śmierci twojej matki – rzekł Sartaq. – Nawet jeśli miało to miejsce dawno temu. Jestem wojownikiem i dorastałem, maszerując ramię w ramię ze śmiercią, ale i tak to, co się wydarzyło... Nigdy dotąd nie doświadczyłem tak wielkiego bólu, a rozpacz matki jest mi trudniej znieść od mej własnej. – Potrząsnął głową. Blask słońca tańczył na jego czarnych włosach. – Dziwisz się teraz, że z tak wielką ochotą wybiegłem za tobą w noc? – spytał z wymuszoną wesołością.

Nesryn uśmiechnęła się lekko wbrew sobie.

– Choć chętnie bym się dowiedział, czego tak naprawdę mamy szukać.

Nesryn zastanowiła się, co może mu powiedzieć. Sama obecność księcia w tym miejscu dawała do myślenia. Jej wahanie trwało jednak nieco za długo, gdyż Sartaq nagle parsknął cichym, łagodnym śmiechem.

– Naprawdę uważasz, że to ja zaatakowałem tę uzdrowicielkę? Przecież to ja ci opowiedziałem o tym zdarzeniu dziś rano!

Nesryn pochyliła głowę.

– Nie chciałam cię urazić, książę – powiedziała, choć tej wiosny widziała innego księcia, który pozostawał całkowicie we władzy złych mocy. – Twój szpiegdy się nie mylą. Rifthold zostało... Cóż, nie chciałabym, aby Anticę spotkał podobny los.

– I jesteś przekonana, że atak na Torre to dopiero początek?

– Przecież widzisz mnie gotową do akcji, prawda?

Znów zapadła cisza.

– Jeśli ktokolwiek, bez względu na łączącą was zażyłość bądź więzy krwi, wręczy ci w darze czarny pierścień bądź naszyjnik lub jeśli urzysz kogoś, kto nosi coś takiego, nie wahaj się. Ani przez ułamek sekundy. Uderz błyskawicznie, z całej siły. Jedyńm sposobem, by naprawdę zniszczyć tę istotę, jest odcięcie głowy. Wówczas demon, który zamieszkuje ciało, ginie na zawsze. Nie próbuj nikogo ocalić, bo skończy się to tym, że sam zostaniesz zniewolony.

Wzrok Sartaqa przeslizgnął się po mieczu u jej boku oraz łuku i strzałach w kołczanie, które wystawały zza ramion.

– Opowiedz mi o wszystkim, co wiesz – powiedział cicho.

– Nie mogę.

Za samą odmowę wypełnienia woli księcia mogła stracić życie, ale zadumany Sartaq pokiwał jedynie głową.

– No to powiedz mi to, co możesz.

Spełniła jego prośbę. Stojąc wśród cieni rzucanych przez mur okalający Torre, Nesryn opowiedziała księciu wszystko, co mogła, pomijając wątek o Kluczach, Bramach i uwięzieniu zarówno Doriany, jak i jego ojca.

Gdy skończyła, wyraz twarzy Sartaqa się nie zmienił, choć kilkakrotnie potarł szczękę dłonią.

– Kiedy chcieliście opowiedzieć o tym ojcu?

– Na pierwszej prywatnej audiencji, której zechciałby nam udzielić.

Sartaq zaklął cicho, acz kwieciście.

– Po śmierci mojej siostry powrót do rutyny trwa u niego dłużej, niż byłby gotów to przyznać. Nie posłucha mojej rady. Nie posłucha nikogo innego.

– Przykro mi – odparła Nesryn, słysząc troskę oraz smutek w głosie księcia.

Sartaq pokręcił głową.

– Muszę przemyśleć to, co mi powiedziałaś. Na tym kontynencie, niedaleko mojej ojczyzny, istnieją miejsca, w których... – Potarł dłonią po szyi. – Kiedy byłem chłopcem, moi starsi koledzy w gniazdowisku opowiadali przecież historie o podobnych koszmarach – rzekł bardziej do siebie niż do niej. – Może nadszedł czas, by odwiedzić mą Matkę Przy Palenisku i posłuchać raz jeszcze jej historii. Warto by się dowiedzieć, jak w dawnych czasach uporano się z tym zagrożeniem, tym bardziej że pojawia się znowu.

To tutaj też znano opowieści o Valgach? Rodzina Nesryn nigdy nie opowiadała takich historii, ale przecież jej ród wywodził się z dalekich wybrzeży. Jeśli jeźdźcy ruków dowiedzieli się jakoś o Valgach lub nawet stawiali im czoła...

Na ulicy za nimi rozległy się kroki. Oboje przycisnęli plecy do ściany, nie spuszczać dłoni z rękojeści mieczy, ale okazało się, że powodem zamieszania był jedynie pijak, który zataczał się w drodze do domu. Zasalutował mijanym strażnikom, którzy roześmiali się bądź uśmiechnęli krzywo.

– Czy ciągną się tu jakieś kanały, którymi można by dostać się do Torre? – zapytała Nesryn szeptem.

– Nie wiem – przyznał Sartaq równie cicho, ale uśmiechnął się ponuro i wskazał starą kratę, wstawioną w bruk ulicy. – Ale będę zaszczycony, mogąc je wraz z tobą odkryć.

14.

Jeśli ktoś miał zamiar zakraść się do jej komnaty i zamordować ją we śnie, Yrene wcale się tym nie przejmowała.

Nie zawracała sobie tym głowy podczas pełnego powagi czuwania na opromienionym świecami dziedzińcu Torre. Nie pomyślała o tym, gdy wpełzła do swego pokoju blisko szczytu Torre, podtrzymywana przez dwie akolitki, które podniosły ją po tym, jak osunęła się na pierwsze stopnie.

Kucharka przyniosła jej kolację. Yrene zdołała przełknąć kilka kęsów, po czym zasnęła.

Przebudziła się po północy. Na jej klatce piersiowej leżał widelec, a ulubiona, błękitna szata była pobrudzona kęsami mocno przyprawionego kurczaka.

Jęknęła głucho, ale uświadomiła sobie, że czuje się lepiej. Bardziej żywa. Miała już na tyle sił, by wstać z łóżka, zaspokoić swe potrzeby i zastawić drzwi niewielkim biurkiem. Na blacie ułożyła księgi i wszystkie luźne przedmioty, które mogła znaleźć, dwukrotnie sprawdziła zamki i nadal ubrana wpełzła z powrotem do łóżka.

Przebudziła się o wschodzie słońca.

Dokładnie w chwili, gdy miała się spotkać z lordem Chaolem.

Przeklinając, odsunęła biurko z księgami, odkluczyła zamki i pomknęła w dół po schodach wieży. Zarządziła, by specjalne siodło dla lorda Chaola przywieziono na dziedziniec pałacowy, a ona zostawiła torbę w jego pokoju, więc nie miała nic do zabrania. Pędziła jak szalona po niekończących się schodach i krzywiła się za każdym razem, gdy zauważyła milczące potępienie w oczach kolejnej mijanej wygrawerowanej sowy. Przebiegała obok otwierających się drzwi, zza których wychodziły zaspane uzdrowicielki i akolitki.

Dziękując w myślach Silbie za regenerujące moce głębokiego, pozbawionego wizji snu, dotarła na sam dół i wypadła z wieży. Pognała po ścieżkach, wytyczonych wzdłuż klombów z lawendą, i przemknęła przez otwierane właśnie bramy.

Antica powoli budziła się do życia, ale ulice na szczęście były jeszcze puste. Mimo to zdyszana Yrene dotarła na dziedziniec pałacowy spóźniona o trzydzieści minut. Pot spływał po całym jej ciele.

Lord Westfall zaczął przygotowania do wyjazdu bez niej.

Łapiąc wielkie hausty powietrza, zatrzymała się przy ogromnych bramach z brązu, które nadal rzucały długie cienie, i przyglądała się rozwojowi wydarzeń.

Zgodnie z jej instrukcjami wybrano wyglądającą na cierpliwą, dereszowatą klacz, na tyle niską, by Chaol zdołał pochwycić łęk siodła wyciągniętą ręką. Yrene zauważyła zresztą z niemalą satysfakcją, iż właśnie to robił. A co do reszty...

Cóż, wyglądało na to, że postanowił nie korzystać z zamówionej przez nią rampy, która miała mu ułatwić wspięcie się na siodło. Stała teraz przy wciąż zalanych przez cienie zagrodach dla koni przy wschodnim murze dziedzińca, zupełnie jakby Chaol od razu zdecydował, że nie chce się nawet do niej zbliżyć. Zamiast tego rozkazał, by służba przyprowadziła konia bliżej. Miał zamiar dosiąść klaczy samodzielnie.

Wcale jej to nie zdziwiło.

Chaol nawet nie spojrzął na żadnego z gwardzistów zgromadzonych dookoła, a przynajmniej nie patrzył na nich dłużej, niż to było konieczne. Stali odwróceny do niej plecami, przez co nie była w stanie rozpoznać większości z nich, ale...

Jeden podszedł bliżej, by Chaol mógł oprzeć lewą dłoń na jego żelaznym naramienniku. Prawą nadal zaciskał na łęku siodła. Klacz stała cierpliwie i czekała, a lord napiął mięśnie i dźwignął się w górę.

Yrene podeszła bliżej w chwili, gdy lord Westfall odbił się od ramienia gwardzisty i usiadł bokiem w siodle. Podziękował żołnierzowi oszczędnym skinieniem głowy i przyjrzał się konstrukcji siodła, zastanawiając się, w jaki sposób przerzucić nogę na drugą stronę. Na jego policzkach pojawił się rumieniec, a zaciśnięte mocno usta utworzyły cienką kreskę. Na oczach czekających gwardzistów wychylił się do tyłu i zaczął przewlekać nogę przez łęk.

Gwardzista, który służył mu ramieniem, skoczył, by w razie czego podeprzeć mu plecy, inny przypadł do drugiego boku końskiego, by zabezpieczyć go przed ewentualnym upadkiem, ale Chaol nie stracił równowagi. Ani przez moment nie groziło mu zsuniecie się na ziemię.

Yrene rzadko widywała tak wspaniałą kontrolę nad własnymi mięśniami. Ten człowiek wyćwiczył własne ciało, by było mu zawsze posłuszne, nawet w takiej sytuacji i...

I siedział w siodle.

Wymamrotał coś do otaczających go żołnierzy, na co ci odsunęli się o kilka kroków. On sam zaś pochylił się, by przypiąć nogi paskami do szyn przymocowanych do siodła. Ich celem miała być stabilizacja nóg, co zdrowy jeździec zapewniał sobie pracą ud. Rozmiary, które Yrene podała kobiecie w warsztacie, zgadzały się idealnie. Stabilizacja była potrzebna do czasu, gdy Chaol przyzwyczai się do jazdy w nowych warunkach. Niewykluczone, że wcale owych szyn nie potrzebował, ale na pierwszy raz należało mu zapewnić bezpieczeństwo.

Yrene otarła pot z czoła i podeszła bliżej, dziękując strażnikom za pomoc, a ci wrócili na stanowiska. Ten, który osobiście pomagał lordowi Westfallowi, odwrócił się ku niej, a ona uśmiechnęła się do niego i odezwała się w halha:

– Dzień dobry, Shen.

Młody żołnierz odpowiedział uśmiechem i mrugnął do niej, idąc ku stajniom, nadal skrytym w cieniach dziedzińca.

– Dzień dobry, Yrene.

Gdy spojrzała ponownie na Chaola, ujrzała, że siedzi wyprostowany w siodle. Na jej widok rozluźnił się i przestał zaciskać zęby.

Yrene wygładziła suknię, uświadomiwszy sobie nagle, że zapomniała się przebrać. Górę jej sukni szpeciła wielka, czerwona plama.

Chaol zerknął zarówno na jej suknię, jak i na fryzurę – och, na bogów, przecież nawet nie tknęła włosów grzebieniem! – po czym rzekł:

– Dzień dobry.

Przełknęła ślinę, wciąż zdyszana po biegu.

– Przepraszam za spóźnienie.

Z bliska szyna była prawie niewidoczna. Mało kto by zwrócił na nią uwagę, tym bardziej że Chaol dosiadał konia z niebывалą wprawą.

Siedział dumnie wyprostowany, z godnością i wysoko uniesionym podbródkiem. Włosy nadal miał wilgotne po porannej kąpieli. Yrene ponownie przełknęła ślinę i ruchem głowy wskazała mu rampę po drugiej stronie dziedzińca.

– Z tego też miałaś skorzystać, wiesz?

Chaol uniósł brwi.

– Nie wydaje mi się, bym mógł korzystać z rampy na polu bitwy – rzekł, krzywiąc się. – Lepiej więc nauczyć się wsiadać na konia o własnych siłach.

Miał rację i choć dookoła nich trwał wspaniały, złocisty świt, Yrene ujrzała to co wtedy, gdy walczyła z mrokiem przepajającym jego ranę – armię, z którą oboje mieli się zmierzyć.

Kątem oka dostrzegła ruch i odruchowo odepchnęła od siebie ponure myśli. Shen szedł ku niej, prowadząc drobną, białą klacz, osiodlaną i gotową do drogi. Yrene spojrzała na swą suknię i zmarszczyła brwi.

– Skoro ja jadę konno – rzekł Chaol – ty też powinnaś.

Niewykluczone, że właśnie to przekazał strażnikom, zanim się rozeszli.

– Ja nie... – wypaliła Yrene. – Minęło sporo czasu, odkąd...

– Pozwoliłem, by czterech ludzi pomogło mi dosiąść tego cholernego konia – przerwał jej Chaol. Na jego policzkach pojawił się rumieniec. – Skoro ja mogłem, ty też weź się w garść.

Zarówno ton jego głosu, jak i mina zdradzały, że korzystanie z czyjejś pomocy było dla niego krępujące, ale zrobił to, co do niego należało. Zacisnął zęby i pokonał przeszkodę. A ci strażnicy wokół niego... Yrene wiedziała, że istniało wiele powodów, dla których ledwie mógł na nich patrzeć. Nie



chodziło tylko o to, że przypominali mu, kim kiedyś był. To nie dlatego był tak spięty w ich obecności i nie chciał nawet przemyśleć propozycji wspólnych treningów.

Niemniej nie była to rozmowa na tę chwilę. Nie tu i nie teraz, tym bardziej że w jego oczach na nowo pojawił się blask.

Yrene złapała więc za skraj siodła i pozwoliła, by Shen pomógł jej dosiąść klaczy.

Jej suknią podjechała wysoko i odsłoniła niemalże całe nogi, ale w Antice nagość nie stanowiła tabu i Yrene widziała jej o wiele więcej, nawet na tym oto dziedzińcu. Zresztą Shen czy któryś z jego towarzyszy nawet na nią nie spojrział. Uzdrowicielka odwróciła się ku Chaolowi, chcąc polecić mu, by pojechał przodem, ale wtedy uświadomiła sobie, że ten się w nią wpatruje.

Patrzył na nogę, odsłoniętą od kostki aż do połowy uda. Jej skóra była złocistobrązowa, gdyż Yrene łatwo się opalała, ale od dawna nie wystawiała się na promienie słoneczne ani nie pływała, przez co jej nogi były bledsze od reszty ciała.

Chaol zauważył, że patrzy na niego, i spojrział jej w oczy.

– Siedzisz prawidłowo – oznajmił bez emocji, tak jak ona opisywała ciała swych pacjentów.

Yrene smagneła go rozdrażnionym spojrzeniem, po czym skinęła głową Shenowi i popędziła konia. Chaol podążył za nią.

Zerkała na niego, gdy jechali ku bramom.

Szyny trzymały. Siodło trzymało.

Chaol przyglądał im się uważnie, a potem podniósł głowę. Wpatrywał się w budzące się miasto i wieżę wznoszącą się wysoko nad zabudowaniami niczym dłoń wyciągnięta w śmiałym powitaniu. Przez otwartą bramę padły na nich promienie słońca, ozłacając ich sylwetki, ale Yrene mogłaby przysiąc, że w brązowych oczach kapitana błyszczało coś więcej niż tylko blask świtu.

\*\*\*

Nie odzyskał co prawda władzy w nogach, ale wszystko było lepsze od fotela. O wiele lepsze.

Szyny były niewygodne i sprzeciwiały się jego jeździeckim instynktom, ale trzymały go przynajmniej w siodle i pozwoliły mu wyprzedzić uzdrowicielkę, która co chwila zapominała o wodzach i łapała się kurczowo łęku.

„Cóż, wreszcie coś, w czym nie jest już taka pewna siebie” – pomyślał i uśmiechnął się lekko.

Tym bardziej że cały czas poprawiała suknię. Ciekawe. Jeszcze nie tak dawno temu drwiła z jego skromności, a teraz nie miała szczególnej ochoty odsłaniać nóg.

Ludzie na ulicach – robotnicy, handlarze czy strażnicy – wodzili za nią spojrzeniem, dopóki nie natrafiali na jego wzrok, a wtedy odwracali głowy.

Tak samo było na dziedzińcu, gdzie Chaol wzrokiem napominał strażników, by żaden z nich nie zareagował nieuprzejmie w chwili, gdy pośród nich wpadła zasapana i spocona Yrene we wczorajszym, poplamionym ubraniu.

Chwila, w której gwardziści pomagali mu wspiąć się na siodło, jakby był nieporęcznym bagażem, była wielkim upokorzeniem. Widok ich nieskazitelnie czystych mundurów, wypolerowanych naramienników i rękojeści mieczy, lśniących w porannym słońcu, tylko pogorszył sytuację. Ale Chaol dał sobie z tym radę. A potem zapomniał o wszystkim, gdy dostrzegł pełne uznania spojrzenia, którymi strażnicy obrzucili Yrene. Żadna dama, ani piękna, ani pospolitej urody, ani młoda, ani stara, nie zasługiwała na to, by się na nią tak po prostu gapić. A ona...

Chaol jechał blisko dziewczyny i patrzył w oczy każdemu mężczyźnie, który choćby zerknął na nich, gdy jechali ku ogromnej iglicy Torre, jasnej niczym śnieg w porannym blasku. Każdy potraktowany w ten sposób przechodzień natychmiast znajdował sobie inny obiekt oględzin, a niektórzy sprawiali nawet wrażenie, jakby było im przykro.

Nie miał pojęcia, czy Yrene jest tego świadoma. Uzdrowicielka była bowiem zbyt zajęta łapaniem za łęk za każdym razem, gdy koń zrobił coś nieoczekiwanego, i krzywieniem się co chwila, gdy wierzchowiec przyspieszał, jadąc w dół stromej uliczki, grożąc jej upadkiem z siodła.

– Pochyl się – polecił jej Chaol. – Balansuj całym ciałem.

Sam tak właśnie robił, choć szyny nie na wszystko mu pozwalały.

Ich konie powoli szły przed siebie. Ich łby unosiły się i opadały.

– Wiem! – Yrene smagnęła go ostrym spojrzeniem.

Chaol uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Nigdy bym się tego nie domyślił”.

Uzdrowicielka znów się skrzywiła, ale spojrzała przed siebie. Pochyliła się, tak jak jej kazał.

Zeszłej nocy, gdy Nesryn wróciła do ich apartamentu, spał jak zabity, ale wojowniczką udało się go rozbudzić na tyle, by przekazać mu, że nie znalazła żadnych śladów bytności Valgów w mieście. Nie było kanałów, które by przechodziły na teren Torre, a murów broniły silne straże. Nikt nie był w stanie dostać się do środka. Udało mu się zachować przytomność na tyle, by jej podziękować i usłyszeć od niej zapewnienia, iż będzie kontynuować łowy.

Trwał jednak słoneczny, bezchmurny dzień, a Valgowie woleli ciemność. Aelin powiedziała mu, że księżęta Valgów potrafią wezwać ciemność, która powala każdą żywą istotę i wysysa z niej życie. Gdyby w tym mieście znalazł się choć jeden Valg, bez względu na to, czy księżę, czy też zwykły sługa...

Chaol odepchnął od siebie tę myśl i zmarszczył brwi, wpatrując się w ogromną konstrukcję, która z każdą pokonywaną ulicą wznosiła się coraz wyżej nad nimi.

– Towers – powiedział z namysłem, zwracając się do dziewczyny. – Czy twoje nazwisko to przypadkowa zbieżność, czy też twoi przodkowie wywodzą się z Torre?

Zaciśnięte na łęku palce uzdrowicielki pobiegały od wielkiego wysiłku, jakby się bała, że gdy odwróci się ku niemu, momentalnie zsunie się na ziemię.

– Nie wiem – przyznała. – Moja... Nie zdążyłam poznać historii mej rodziny.

Odpowiedź dała Chaolowi do myślenia, podobnie jak jej spojrzenie, które umknęło w bok i utkwiło w wieży. Nie chciała na niego patrzeć. Była dzieckiem Fenharrow, a on nie miał odwagi spytać, jak do tego doszło, że nie zdążyła poznać swego rodowodu. Przeniósł więc spojrzenie na obrączkę na jej palcu.

– Ta sztuczka z obrączką małżeńską naprawdę działa? – spytał.

Uzdrowicielka spojrzała na stary, wytarty pierścionek.

– Niestety tak.

– Natrafiasz na wielu natrętnych mężczyzn? Tutaj, w tym cudownym mieście?

– Rzadko. Naprawdę rzadko. – Yrene przebierała przez chwilę palcami, po czym zacisnęła je znów na łęku siodła. – Ale to stary zwyczaj, jeszcze z domu.

Przez jego umysł przemknęło wspomnienie zabójczynie w zakrwawionej, białej sukni, która padła przy wejściu do koszar. Przypomniał sobie zatrute ostrze, którym ugodzono ją i wielu innych ludzi przedtem.

– Cieszę się – rzekł po chwili – że nie musisz się tu obawiać takich rzeczy.

Nawet strażnicy, choć wodzili za nią spojrzeniami, okazali jej swoisty szacunek. Do jednego z nich zwróciła się po imieniu, a sympatia, z którą ten jej odpowiedział, na pewno nie była udawana.

Yrene znów złapała za skraj siodła.

– Z woli kagana wszyscy ludzie odpowiadają przed prawem, zarówno służący, jak i księżęta.

Nie był to rewolucyjny koncept, ale mimo to Chaol zamrugał parokrotnie.

– Naprawdę?

– Z tego, co widzę i słyszę, to tak. Lordowie, którzy popełnią przestępstwo, nie mogą kupić sobie korzystnego wyroku, nie mogą też liczyć na to, że pomoże im nazwisko. Zaś niedoszli przestępcy na ulicach miast widzą, jak działa ręka sprawiedliwości, i rzadko ulegają pokusie. – Zawahała się. – Czyli ty...

Chaol wiedział, o co jej chodziło.

– Tak, rozkazano mi, bym odwracał spojrzenie od zbrodni i wypuszczał na wolność arystokratów winnych przestępstwa, a przynajmniej tych, którzy mieli znaczenie na dworze królewskim.

Uzdrowicielka znów wbiła spojrzenie w siodło.

– A wasz nowy król?

– On jest inny.

O ile zdołał przeżyć. Jeśli udało mu się uciec z Rifthold.

– Dorian od dawna śledził dzieje kaganatu i podziwiał wasze dokonania – wykrztusił Chaol. – Być może przeniesie niektóre z waszych pomysłów na nasz grunt.

Yrene omiotła go długim, badawczym spojrzeniem.

– Myślisz, że kagan się z wami sprzymierzy?

Nie wspomniał jej ani słowem o celu ich przybycia, ale przypuszczał, że było to dość oczywiste.

– Mogę mieć tylko taką nadzieję.

– Czy armia kagana zwiększy wasze szanse w walce z... z siłami, o których mówiłeś?

– Mogę mieć tylko taką nadzieję – powtórzył Chaol.

Nie był w stanie powiedzieć jej prawdy – ich armie były nieliczne i rozproszone, jeśli w ogóle istniały. W porównaniu ze zbierającymi się siłami ciemności...

– Co się działo przez ostatnie miesiące? – spytała Yrene cicho i ostrożnie.

– Chcesz zmylić moją czujność i skłonić mnie do mówienia?

– Chcę wiedzieć, i tyle.

– Nie ma co opowiadać.

Jego historia nie była na tyle zajmująca. Ani jeden fragment.

Yrene zamilkła i przez dłuższą chwilę jedynym odgłosem było stukanie kopyt ich koni.

– Ale kiedyś będziesz musiał mi o tym opowiedzieć – odezwała się niespodziewanie. – Wczoraj widziałam urywki tego, przez co przeszedłeś.

– Nie wystarczy ci tyle? – Pytanie było równie ostre jak nóż u jego boku.

– Nie, bo niewykluczone, że właśnie tym żywi się istota mieszkająca w twoim ciele. Może należałoby dać jej do zrozumienia, że twoje wspomnienia należą tylko do ciebie.

– Jesteś tego taka pewna?

Wiedział, że powinien lepiej panować nad tym, co mówi, ale...

Yrene wyprostowała się w siodle.

– Trzeba przemyśleć i przeanalizować każdą traumę związaną z raną fizyczną. To niezbędny element leczenia.

– Nie chcę tego i nie potrzebuję. Zależy mi jedynie na tym, by wreszcie zacząć chodzić.

Yrene potrząsnęła głową, a Chaol dodał:

– A co z tobą? Może pora, byśmy zawarli umowę, co? Ty zdradzisz mi wszystkie swoje ciemne sekrety, a wówczas ja podzielę się z tobą moimi.

W jej niesłychanie pięknych oczach rozbiły się burze. Smagnęła go spojrzeniem, ale wzrok Chaola był równie twardy jak jej. Po dłuższej chwili Yrene parsknęła i uśmiechnęła się blado.

– Jesteś uparty jak osioł.

– Obrzucano mnie o wiele gorszymi epitetami – odparł Chaol. Kąciki jego ust drgnęły, zwiastując budzący się uśmiech.

– W ogóle mnie to nie dziwi.

Chaol zachichotał i dostrzegł, że na twarzy uzdrowicielki również rozlewa się uśmiech, ale szybko odwróciła głowę, by go ukryć, zupełnie jakby dzielenie się radością z synem Adarlanu było czymś złym.

Mimo to przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Śledził resztki wesołości na jej twarzy i patrzył na długie, lekko skręcone włosy, trącane od czasu do czasu powiewem porannego wiatru znad morza. Jakieś napięcie w jego klatce piersiowej poczęło powoli ustępować i Chaol przyłapał się na tym, iż sam się uśmiecha.

Resztę drogi do Torre pokonali w milczeniu. Chaol odchylił głowę do tyłu, gdy znaleźli się na szerokiej, zalanej słonecznym blaskiem alei, która prowadziła ku znajdującemu się na wzgórzu kompleksowi.

Z bliska Torre była jeszcze bardziej imponującą konstrukcją.

Szeroka, masywna budowla przypominała twierdzę, ale jej podstawa była okrągła. Zewsząd otaczały ją budynki, które łączyły się z niższymi poziomami wieży, a wszystko opasywały wysokie białe

mury i żelazne bramy uformowane na podobieństwo sowy rozpościerającej skrzydła. Za murami, między klombami kwiatów i krzewów lawendy, ciągnęły się szerokie, wysypane żwirem ścieżki.

„To nie kwiaty, ale zioła!” – Chaol poprawił się w myślach.

Jego nozdrza wypełnił zapach roślin, zwracających się ku porannemu słońcu. Wyczuwał bazylię, miętę, szałwię i mnóstwo lawendy. Nawet ich konie, których kopyta zgrzytały na żwirze, wydawały się wdychać z rozkoszy.

Strażnicy w chabrowym błękitcie i żółci – kolorach straży Torre, jak sądził – ani myśleli ich zatrzymać i Yrene skinęła im głową z wdzięcznością. Żaden nawet nie spojrział na jego nogi. Nie mieli odwagi bądź nie chcieli okazywać braku szacunku, a Chaol odwrócił głowę, chcąc uniknąć wszelkich badawczych spojrzeń.

Teraz Yrene wysunęła się na czoło i powiodła go na dziedziniec kompleksu. Okna trzypiętrowych kamienic, okalających placyk ze wszystkich stron, mieniły się blaskiem wstającego słońca, ale sam dziedziniec...

Poza odgłosami budzącej się do życia Antiki i chrzęstem kopyt ich koni na jasnym żwirze jedynym słyszalnym odgłosem był plusk wody z dwóch identycznych fontann, znajdujących się po przeciwnych stronach dziedzińca. Strumienie tryskały z rozchylnych dziobów kamiennych sów do głębokich mis pod nimi. Wzdłuż ścian rosły drzewa cytrynowe, a między nimi ciągnęły się grządki blad różowych i fioletowych kwiatów. Klomby były starannie wytyczone, ale roślinom pozwolono rozwijać się bujnie.

Nigdy dotąd nie widział równie kojącego miejsca. Po chwili dostrzegł grupkę przyglądających im się kobiet w sukniach różnych kolorów, choć na ogół prostego kroju, ulubionego przez Yrene. Stały w równych rzędach na żwirze, niektóre ledwie nastoletnie, inne już dojrzałe, kilka starszych.

Wśród nich była ciemnoskóra, siwowłosa kobieta, która wystąpiła przed szereg i uśmiechnęła się szeroko do Yrene. Jej twarz nie zwracała na siebie uwagi szczególnym pięknem, ale w jej oczach jaśniała życzliwość tak wielka, że Chaol zamrugnął zaskoczony.

Wszystkie pozostałe kobiety spoglądały na nią, jakby stanowiła oś, wedle której uporządkowano cały świat. Nawet Yrene, która uśmiechnęła się do niej, z wielką ulgą zsuwając się z grzbietu klaczy. Jeden z towarzyszących im strażników podszedł do jej konia, ale zawahał się, widząc, że Chaol dalej siedzi w siodle.

Westfall zignorował konsternację strażnika. Patrzył teraz na Yrene, która przeczesła palcami włosy i przemówiła do starszej kobiety w jej języku:

– Czy to twoim staraniem zawdzięczam dziś tak liczną grupę?

Słowa były beztrzeskie – być może Yrene starała się w ten sposób przywrócić atmosferę normalności, zważywszy na to, co się wydarzyło w bibliotece. Staruszka uśmiechnęła się z niebywałym ciepłem. Wydawała się jaśnieć bardziej od słońca, które wyglądało już zza murów.

– Dziewczęta usłyszały plotkę, że szkolenie przeprowadzi jakiś przystojny lord. Niemalże zostałam stratowana na schodach.

Chaol obrzucił krzywym spojrzeniem trzy zarumienione, najwyżej piętnastoletnie dziewczęta, które z poczuciem winy spojrzwały na swe palce u nóg, a potem zerknęły na niego spod rzęs. W ich wzroku nie było już jednak ani odrobiny wstydu.

Stłumił śmiech.

Yrene obróciła się ku niemu i uważnie przyjrzała się szynom i siodłu. Na dziedzińcu rozległ się coraz bliższy chrzęst toczących się po żwirze kół.

Jego rozbawienie zgasło. Miał zsiąść z konia na oczach tych wszystkich kobiet?

„Dość!” – huknął na siebie w myślach.

Skoro nie było go na to stać w przytomności najlepszych uzdrowicieli świata, z pewnością zasługiwał na to, by cierpieć. Przecież zaofiarował swą pomoc, a nigdy nie łamał danego słowa.

Na tyłach zebranej grupy widział młodsze dziewczęta, blade, przestępujące z nogi na nogę. Zdenerwowane.

Nad ich sanktuarium, nad to cudowne, przepiękne miejsce, nadciągnął cień.

Chaol poprzysiągł w duchu, iż zrobi wszystko, by go przegnać.

– Lordzie Westfall! – Yrene zwróciła się do niego, wskazując starszą kobietę. – Pragnę przedstawić Hafizę, Najwyższą Uzdrowicielkę z Torre Cesme.

Jedna z rumieniących się dziewcząt westchnęła, słysząc jego imię. Yrene patrzyła to na Chaola, to na swą zwierzchniczkę, a lord uklonił się Najwyższej Uzdrowicielce, która wyciągnęła ku niemu rękę. Jej skóra była równie ciepła jak uśmiech. Zaciśnęła mocno dłonie na jego palcach.

– Yrene nie przesadziła. W istocie jesteś bardzo przystojny – oznajmiła.

– Niczego takiego nie powiedziałam – syknęła Yrene.

Któraś z dziewczyn zachichotała. Yrene smagnęła ją ostrzegawczym spojrzeniem, a Chaol uniósł brwi i rzekł do Hafizy:

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt, pani.

– Ależ on czarujący – szepnęła jedna z młodych uzdrowicieli.

„Poczekaj, aż zacznę schodzić z konia” – Chaol niemalże powiedział na głos.

Hafiza raz jeszcze zaciśnęła palce na jego dłoniach, po czym je uwolniła i odwróciła się ku Yrene. Zastygła w oczekiwaniu.

Yrene klasnęła zaś w obie dłonie i zwróciła się do zebranych:

– Lord Westfall odniósł poważną ranę w dolnej części pleców, przez co ma trudności z chodzeniem. Wczoraj Sindra wykonała dla niego siodło z szynami na podobieństwo tych, które są stosowane przez plemiona jeźdźców na stepach, mających však wiele lat doświadczenia z podobnymi urazami.

Machnięciem ręką wskazała zebrany jego nogi oraz siodło. Z każdym jej słowem barki Chaola sztywniały coraz bardziej.

– Jeśli będziecie miały do czynienia z pacjentem, który odniósł podobne obrażenia – ciągnęła Yrene – pamiętajcie, że możliwość konnej jazdy może się okazać dla niego alternatywą o wiele przyjemniejszą od podróży w powozie czy palankinie, zwłaszcza jeśli pacjent cieszył się wcześniej niezależnością. – Po chwili namysłu dodała: – Sięgnijcie po tę technikę również, gdy pacjent miał trudności z poruszaniem się przez całe życie. Jazda konna może się okazać atrakcyjnym urozmaicheniem procesu leczenia.

A więc był właściwie eksperymentem. Nawet rumieniące się dziewczęta przestały się uśmiechać. Z tą samą powagą co pozostałe przyglądały się jego nogom i siodłu.

– Która z was chciałaby pomóc lordowi Westfallowi zsiąść z konia?

Uniosło się tuzin rąk. Chaol próbował się uśmiechnąć, ale nie udało mu się.

Yrene wskazała kilka uzdrowicieli, które podbiegły do niego. Żadna z nich nawet nie spojrzała powyżej jego talii ani nie powiedziała mu: „Dzień dobry”.

– Dla pacjentów całkowicie sparaliżowanych taka możliwość jest niedostępna – Yrene musiała podnieść głos, by wszyscy ją usłyszeli – ale lord Westfall zachował pełną swobodę ruchów powyżej pasa i jest w stanie kierować koniem za pomocą wodzów. Problemem oczywiście pozostaje utrzymanie równowagi oraz bezpieczeństwo pacjenta, a kolejny, mniej oczywisty, stwarza męskość lorda Westfalla, w dalszym ciągu w pełni funkcjonalna. Ten fakt dostarczył nam wielu dylematów podczas pracy nad budową siodła.

Jedna z młodszych dziewcząt zachichotała, ale większość pokiwała jedynie głowami, przyglądając się części ciała omówionej przez Yrene, jakby Chaol nie miał na sobie zgoła żadnych ubrań. Mężczyzna zarumienił się i ze wszystkich sił powstrzymał odruch zasłonięcia genitaliów.

Dwie młode uzdrowicielki zaczęły odpinać jego nogi od szyn, a inne przyglądały się uważnie zapięciom. Nadal żadna z nich nie spojrzała mu w oczy, zupełnie jakby był nową zabawką. Nową lekcją. Osobliwym przypadkiem medycznym.

– Nie potrząsajcie nim tak – rzuciła Yrene. – Ostrożnie!

Chaol próbował utrzymać neutralny wyraz twarzy, ale naraz zatęsknił za strażą pałacową. Yrene w międzyczasie wydawała dziewczętom konkretne, wyraźne polecenia, gdy te ściągały go z siodła.

Nie próbował pomagać akolitkom ani też przeciwstawiać się im, gdy te ciągnęły go za ramiona

i łapały w talii. Świat nagle przechylił się, gdy pociągnęły go w dół. Był jednak dla nich za ciężki i nagle uświadomił sobie, że zsuwa się gwałtownie i zaraz runie na ziemię.

Trzymające go dziewczęta stęknęły, a kolejna przypadła do niego z drugiej strony, by pomóc przerzucić mu nogę przez siodło. Tak mu się przynajmniej wydawało, bo widział jedynie czyjeś loki za końskim grzbietem. Chwilę później dziewczyna pchnęła jego nogę mocno w górę i Chaol zawisł w powietrzu. Trzy dziewczęta, zaciskając mocno zęby, próbowały powoli go opuścić, a pozostałe przyglądały się ich wysiłkom w skupieniu.

Naraz jedna z nich stęknęła głośno i wypuściła jego ramię. Chaol poczuł, jak ziemia przybliżyła się gwałtownie...

Czyjeś mocne dłonie złapały go tuż nad jasnym żwirkiem. Dziewczyny stęknęły ponownie, próbując go unieść. Wydostał się z siodła, ale nogi rozłożyły się bezwładnie pod nim, równie odległe jak czubek Torre.

Jego głowę wypełnił ogłuszający ryk.

Poczuł się nagle nagi, obnażony. To było o wiele gorsze od siedzenia przez wiele godzin w samych tylko majtkach. Gorsze od kąpieli pod opieką służącej.

Yrene, która złapała go tuż nad ziemią, odezwała się do pozostałych uzdrowicieli:

– Można było zrobić to lepiej, dziewczęta. O wiele lepiej. – Westchnęła i dodała: – Później omówimy to, co poszło źle, a teraz przenieśmy go na fotel.

Chaol miał już tego serdecznie dosyć. Nie chciał jej słyszeć ani słuchać, nie chciał, by te dziewczyny, z których większość ważyła połowę tego co on, nadal go trzymały. Yrene tymczasem cofnęła się, by zrobić miejsce tej, która niemalże go upuściła, i gwizdnęła ostro.

Zaszemrały koła na żwirze. Chaol nawet nie spojrzął na fotel przysunięty przez inną akolitkę. Nie chciało mu się odzywać, gdy dziewczęta znów go uniosły i posadziły na siedzisku, które zaskrzypiało pod jego ciężarem.

– Ostrożnie – ostrzegła je ponownie Yrene.

Na dziedzińcu nadal panowała cisza. Ileż to upłynęło czasu, odkąd rozpoczęło się to beznadziejne przedstawienie? Kilka sekund? A może minut?

Chaol zacisnął dłonie na oparciach fotela, a Yrene rzuciła jeszcze kilka poleceń i spostrzeżeń. Potem, gdy któraś z dziewcząt pochyliła się, by ułożyć odpowiednio jego obute stopy, zacisnął dłonie jeszcze mocniej. Wzbierała w nim wściekłość i wiedział, że nie będzie w stanie powstrzymać gniewnego ryku. Palce akolitki były coraz bliżej zakurzonej, czarnej skóry butów...

Spracowana dłoń o pomarszczonej skórze zacisnęła się na nadgarstku uzdrowicielki.

– Ja to zrobię – powiedziała spokojnie Hafiza.

Dziewczęta cofnęły się, a staruszka pochyliła się, by osobiście ułożyć stopy Chaola.

– Yrene, zarządz zbiórkę – rzuciła przez szczupłe ramię, a dziewczyna wydała kilka poleceń.

Uczestniczki zajęć znów ustawiły się w szereg, a Hafiza ułożyła dłonie na butach namiestnika.

– Mam to zrobić, lordzie, czy chcesz sam się tym zająć?

Nie był w stanie wykrztusić ani słowa i nie miał pewności, czy uda mu się powstrzymać drżenie rąk. Skinął więc na znak, że się zgadza. Hafiza wyprostowała jedną stopę mężczyzny i odczekała, aż Yrene oddali się, by zacząć rozgrzewkę dla całej grupy.

– To miejsce, gdzie dzielimy się wiedzą – szepnęła. – Starsze spośród nas uczą młodsze.

Mówiła z wyraźnym akcentem, ale rozumiał ją świetnie.

– Lordzie Westfall, Yrene pragnęła pokazać młodszym koleżankom siodło z szynami. Chciała, by na własnej skórze przekonały się, co oznacza opieka nad pacjentem z takimi dolegliwościami. By przyswoić tę wiedzę, Yrene musiała osobiście wyprawić się na dalekie stopy. Wiele spośród naszych dziewcząt może długo nie mieć takiej sposobności.

Chaol uniósł głowę i spojrzął Hafizie w oczy. Zrozumienie, które w nich ujrzał, upokorzyło go jeszcze bardziej niż to, że przed chwilą kilka dziewcząt musiało go ściągać z konia.

– Ona ma dobre serce, moja Yrene.

Nie odpowiedział. Nie był pewien, czy uda mu się odpowiednio dobrać słowa. Hafiza

w międzyczasie wyprostowała drugą z jego stóp.

– Ona nosi wiele innych blizn, mój panie, nie licząc tej na szyi.

Chciał jej powiedzieć, że sam dobrze o tym wie, ale stłumił syczący gniew w swej głowie. Przecież złożył obietnicę, że im pomoże. Że nauczy je wszystkiego, co sam potrafi.

Hafiza najwyraźniej wyczuła to, gdyż poklepała go po ramieniu i wyprostowała się z cichym stęknieniem, by powrócić do swego miejsca w szeregu.

Yrene, która przeprowadziła wraz z grupą kilka ćwiczeń rozciągających, odwróciła się ku niemu i przyjrzała mu się uważnie, jak gdyby to, że Hafiza została przy nim chwilę dłużej, oznaczało, że ona sama coś przeoczyła. Wbiła w niego wzrok i zmarszczyła brwi.

„Co jest nie tak?” – pytały jej oczy, ale zignorował zarówno to pytanie, jak i jej niepokój. Odepchnął od siebie wszelkie odczucia i popchnął fotel ku niej. Na żwirze nie jeździło się najlepiej, ale zacisnął zęby i centymetr po centymetrze przesunął się ku uzdrowicielkom. Przecież złożył obietnicę. Nie wycofa się.

– Na czym skończyliśmy ostatnio? – Yrene zapytała dziewczynę w pierwszym szeregu.

– Na wydłubywaniu oczu! – odparła tamta z szerokim uśmiechem.

Chaol mało się nie zakrztusił.

– Zgadza się – powiedziała Yrene i zatarła dłonie. – Niech ktoś mi pokaże, jak to ma wyglądać.

Przyglądał się w milczeniu ochotniczkom, które podniosły ręce. Yrene wybrała jedną z nich, drobną, filigranową wręcz uzdrowicielkę i wcieliła się w rolę napastniczki. Złapała ją za suknię z zaskakującą siłą, ale szczupłe dłonie broniącej się wystrzeliły ku górze. Jej kciuki celowały prosto w kąciki jej oczu.

Chaol chciał się zerwać z fotela, ale dziewczyna w ostatniej chwili przerwała atak.

– A co potem? – spytała rzeczowo Yrene.

– Trzeba zahaczyć gałki oczne kciukami – uzdrowicielka zademonstrowała zebranym – i szarpnąć. O, tak!

Cmoknęła przy tym głośno, co rozbawiło niektóre z zebranych. Aelin zapewne pękłaby ze śmiechu.

– Dobrze.

Uzdrowicielka wróciła na miejsce, a Yrene odwróciła się. Nie miał pojęcia, co ujrzała, patrząc na niego, ale w jej oczach znów błysnęła troska.

– To nasza trzecia lekcja w tym kwartale. Jak do tej pory zajmowałyśmy się tylko atakami od przodu. Zazwyczaj prosiłam strażników, by na ochotnika odgrywali role ofiar – znów rozległy się chichoty – ale dziś chciałam, byś ty nam opowiedział, co twoim zdaniem kobieta, zarówno młoda, jak i stara, silna, jak i delikatna, może począć w takiej sytuacji. Przedstaw nam swoją listę rad i wskazówek, jeśli będziesz tak miły.

Chaol szkolił młodych ludzi, by przelewali krew, a nie leczyli, ale obrona była pierwszą rzeczą, której sam się nauczył i którą wpajał podwładnym.

Nim zawiśli na bramach zamkowych.

Przed jego oczami przemknęło wspomnienie zmasakrowanej twarzy Ressa. Na co im się przydały wszystkie lekcje, których im udzielił? Na nic. Z grupy tych, których szkolił, z którymi pracował, którym ufał, nie przeżył przecież nikt. Brullo, jego mentor i poprzednik, nauczył go wszystkiego, co sam potrafił, i co im z tego przyszło? Każdy człowiek, którego spotkał, z którym się zetknął, prędzej czy później zaczynał cierpieć. Ludzie, których przysięgał chronić...

Słońce paliło. Plusk bliźniaczych fontann oddalił się.

Na co się to wszystko przydało jego miastu i jego rodakom, gdy pojawił się wróg? Gdy doszło do grabieży?

Uniósł głowę i ujrzał szeregi kobiet, przyglądających się mu z ciekawością. Czekających.

Miał przecież za sobą chwilę, gdy wrzucił swój miecz w nurt Avery. Nie był już w stanie znosić jego ciężaru u boku czy w dłoni. Wrzucił w ciemne, zmacone wody rzeki wszystko, co wiązało się z rangą kapitana Gwardii.

Od tego czasu sam tonął i topił się. Na długo, zanim strzaskano mu kręgosłup.

Miał wrażenie, że nigdy nie próbował nawet wypłynąć na powierzchnię. Nie, zarzucił wszelkie próby w chwili, gdy jego miecz pograżył się w rzece. W chwili, gdy pozostawił Doriana wraz z ojcem i powiedział swemu przyjacielowi – swemu bratu! – że go kocha. Wiedział, że to pożegnanie. Odszedł. Zniknął w każdym znaczeniu tego słowa.

Chaol zmusił się, by nabrać tchu. Chciał przynajmniej spróbować.

Yrene podeszła bliżej, zaniepokojona przedłużającą się ciszą. Znów wyglądała na zatroskaną, zupełnie jakby nie miała pojęcia, dlaczego on, Chaol, miałby być choć odrobinę...

Odepchnął tę myśl, a po niej pozostałe. Zepchnął je na muliste dno Avery, gdzie spoczywał teraz ów miecz z głowicą uformowaną na podobieństwo orła, zapomniany i rdzewiejący.

Uniósł podbródek i spojrzał każdej z zebranych kobiet w oczy, zarówno młodym, jak i starym. Yrene powiedziała, że to uzdrowicielki, ale także służące, bibliotekarki i kucharki.

– Gdy napastnik oberze sobie którąś z was za ofiarę – odezwał się w końcu – prawdopodobnie będzie próbował was zaciągnąć gdzieś indziej. Pod żadnym pozorem nie można mu na to pozwolić. Jeśli do tego dojdzie, będzie to ostatnie miejsce, które ujrzycie. – Widział zbyt wiele miejsc zbrodni w Rifthold i znał zbyt wiele śledztw, by mieć co do tego wątpliwości. – Jeśli napastnik będzie chciał was zabrać z miejsca, w którym zostałyście zaatakowane, to musi się ono stać waszym polem bitwy. To moment, by stawić zaciekły opór.

– Wiemy to – powiedziała jedna z rumieniących się dziewczyn. – To była jedna z pierwszych lekcji Yrene.

Ta pokiwała z powagą głową. Chaol powstrzymał się od zerknięcia na jej szyję.

– A wiecie o tym, że należy nadepnąć na śródstopie? – spytał. Nie był w stanie odezwać się ani słowem do Yrene.

– To też było na pierwszej lekcji – odparła ta sama dziewczyna.

– I wiecie, że dobrze jest przyłożyć agresorowi w genitalia?

Kobiety kiwały głowami. Wyglądało na to, że Yrene dobrze wiedziała, jak postępować w niebezpiecznych sytuacjach. Chaol uśmiechnął się ponuro.

– A znacie sposób na to, by w dwóch ruchach położyć napastnika moich rozmiarów bądź większego na łopatki?

Niektóre z dziewcząt uśmiechnęły się, ale wszystkie pokręciły głowami. Najwyraźniej było jeszcze wiele do zrobienia.



15.

Yrene czuła, że z Chaola kipi gniew niczym para buchająca z czajnika.

Nie chodziło mu bynajmniej o zebrane na dziedzińcu kobiety, bo te go uwielbiały. Uśmiechały się do niego i co chwila wybuchały śmiechem, choć przez cały czas ze skupieniem słuchały jego precyzyjnych rad, a nad ich głowami niczym szary całun wisiała świadomość tragicznych zdarzeń w bibliotece. Wiele łez uroniono podczas czuwania i nawet dziś rano biegnąca korytarzami uzdrowicielka widziała niejedną dziewczynę z zaczerwienionymi oczami.

Na szczęście żadna z uczestniczek zajęć nie skupiała się na żalobie, gdy Chaol przywołał trzech strażników, by posłużyli dziewczętom za partnerów do ćwiczeń. Czekał ich niejeden upadek na żwir, ale żaden nie miał nic przeciwko, bo wiedzieli, że ewentualne rany zostaną opatrzone przez najzdolniejsze uzdrowicielki żyjące poza Doranelle.

Chaol zaś odwzajemniał uśmiechy, zarówno dziewcząt, jak i – ku zdumieniu Yrene – strażników. Do niej jednakże nie uśmiechnął się wcale. Ani razu.

Jego twarz twardniała, a oczy lśniły lodem za każdym razem, gdy zadawała pytanie lub przyglądała się, jak instruuje akolitykę. W pełni kontrolował przebieg zajęć i żaden szczegół nie umykał jego uwadze. Jeśli któraś z dziewcząt choć postawiła stopę w niewłaściwej pozycji, Chaol natychmiast korygował jej postawę.

Trwające godzinę zajęcia zakończyły się tym, że każda z uczestniczek przewróciła strażnika na plecy. Nieboracy wyszli z dziedzińca, utykając, ale uśmiechali się szeroko, głównie dlatego, że Hafiza obiecała każdemu beczułkę piwa i najsilniejszy eliksir uzdrawiający, co było o wiele lepsze od każdego alkoholu.

Gdy zegar wybił dziesiątą, kobiety rozeszły się – niektóre zaczynały zajęcia, inne miały obowiązki lub musiały wrócić do pacjentów. Kilka młodszych ociągało się jednak. Kręciły się wokół lorda Westfalla, trzepocząc rzęsami, a jedna nawet chciała usiąść mu na kolanach, ale Hafiza ostrym tonem przypomniała jej o stosie prania, nad którym widniało jej imię.

Po chwili sama odeszła, kusztykając, w ślad za akolitykami, ale wcześniej obrzuciła Yrene spojrzeniem, w którym ta odczytała ostrzeżenie.

– Cóż – odezwała się Yrene do Chaola, gdy pozostali sami.

Z okna nad ich głowami wyjrzało kilka rozchichotanych dziewcząt, ale schowały się, zauważywszy ostre spojrzenie Yrene, i zatrzasnęły za sobą okno, nie przestając się śmiać.

„Niech Silba chroni mnie przed nastolatkami” – pomyślała.

Nigdy nie była taka jak one. Nigdy nie była tak beztraska. Aż do zeszłej jesieni nigdy się nie całowała z żadnym mężczyzną, a na pewno nigdy nie chichotała z powodu żadnego mężczyzny. Żałowała tego. Chciała, by jej życie potoczyło się inaczej. By nie było w nim wielkiego ognia i tych pochodni.

– Poszło lepiej, niż sądziłam – powiedziała do Chaola, który marszczył czoło i spoglądał na ogromną Torre. – Jestem pewna, że w przyszłym tygodniu będą mnie błagać, bym znów cię przyprowadziła. Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko.

Odpowiedziało jej milczenie. Przełknęła ślinę i dodała:

– Chciałabym dziś spróbować raz jeszcze, jeśli czujesz się na siłach. Mam znaleźć pokój tutaj czy może wrócimy do pałacu?

Wtedy Chaol spojrział na nią. W jego oczach czał się mrok.

– Pałac – rzekł.

Żołądek uzdrowicielki skręcił się, gdy usłyszała jego lodowaty ton.

– W porządku – zdołała odpowiedzieć i odeszła, by znaleźć strażników i ich konie.

Wracali w ciszy. W drodze do Torre również zdarzały im się chwile milczenia, ale tym razem cisza między nimi okazała się ciężka. Dobitna. Znacząca.

Yrene wyteżała pamięć, szukając czegoś, co mogła powiedzieć w trakcie lekcji. Czegoś, o czym

mogła zapomnieć. Może widok gwardzistów ćwiczących z dziewczynami przypomniał mu o tym, czego już nie miał? Może ponury nastrój wywołało samo zetknięcie się z gwardią pałacową?

Jechała zamyślona, aż dotarli do pałacu, gdzie Shen wraz z kolegą opuścili Chaola do czekającego nań fotela. Ten podziękował im słabym, niewyraźnym uśmiechem. Poranne słońce grzało już niemiłosiernie i na dziedzińcu zagościła duchota.

Mężczyzna spojrzął na nią przez ramię.

– Pchasz czy ja mam to zrobić?

Yrene zamrugła.

– Sam nieźle dajesz sobie radę – odparła. Ton głosu Chaola obudził w niej irytację.

– Może jednak poprosisz o to którąś z akolitek? Albo pięć z nich? A może więcej? Nie mam pojęcia, ile dziewcząt twoim zdaniem potrzeba, by poradzić sobie z adarlańskim lordem!

Yrene zamrugła ponownie. Powoli. Po czym bez żadnego sygnału odwróciła się i odeszła. Nie spojrzęła za siebie, by się upewnić, czy za nią podąża i jak sobie radzi.

Mijane kolumny, korytarze i ogrody zlewały się ze sobą. Yrene tak bardzo chciała jak najszybciej dotrzeć do komnat Chaola, że nawet nie usłyszała, iż ktoś ją woła. Rozpoznała swe imię, dopiero gdy ktoś zawołał je po raz drugi.

I skrzywiła się.

Nim zdążyła się odwrócić, Kashin przypadł do niej. Miał na sobie zbroję i był spocony – najwyraźniej właśnie zakończył trening z gwardią pałacową.

– Szukałem cię! – oznajmił, a spojrzenie jego brązowych oczu natychmiast opadło niżej, na jej klatkę piersiową. Nie, nie na jej piersi, ale płamę, która widniała na jej sukience. Uniósł brwi. – Jeśli chciałabyś oddać tę suknię praczkom, Hasar na pewno pożyczy ci coś do ubrania – rzekł.

Yrene całkiem zapomniała, że nadal ma na sobie poplamioną, wygniecioną sukienkę. Dopiero na widok Kashina przypomniała sobie, że wygląda beznadziejnie. Jakby właśnie wyszła z obory.

– Dziękuję za propozycję, ale dam sobie radę.

Cofnęła się o krok, ale Kashin nie chciał jej wypuścić.

– Właśnie się dowiedziałem o zamachowcu w bibliotece i wyznaczyłem dodatkowe strażę, które przybędą do Torre po zachodzie słońca i zostaną do świtu. Stan podwyższonej czujności będzie trwał do odwołania. Nikt się nie dostanie na tereny świątynne bez naszej wiedzy.

Był to szczery, hojny gest. Książę zawsze ją tak traktował.

– Dziękuję ci.

Kashin, wciąż z poważną twarzą, przełknął ślinę. Yrene w duchu przygotowała się na to, co zaraz usłyszy, ale on powiedział tylko:

– Proszę, uważaj na siebie. Wiem, że przekreśliłaś naszą wspólną przyszłość...

– Kashin...

– Nie pozostawiłaś mi co do tego cienia wątpliwości, ale nie zmienia to faktu, że jesteśmy, bądź byliśmy, przyjaciółmi.

Yrene zmusiła się, by unieść głowę i spojrzeć mu w oczy.

– Lord Westfall napomknął... – wykrztusiła. – Podzielił się ze mną twoimi podejrzeniami co do śmierci Tumelun.

Kashin zerknął na moment na białe porporce powiewające z pobliskiego okna.

Yrene otworzyła usta, być może po to, by wreszcie wygłosić kondolencje, może po to, by naprawić to, co pękło między nimi, ale książę rzekł:

– A więc dobrze rozumiesz, jak poważne jest zagrożenie.

– Tak. – Skinęła głową. – I będę ostrożna.

– Dobrze – odparł Kashin.

Na jego ustach pojawił się beztroski uśmiech i przez krótką chwilę Yrene żałowała, że jest w stanie darzyć go tylko przyjaźnią. Niestety, nigdy nie było inaczej, przynajmniej jeśli chodziło o nią.

– Jak ci idzie leczenie lorda Westfalla? Zrobił jakieś postępy?

– Ograniczone – wykręciła się od odpowiedzi.

Nie mogła po prostu odejść, gdyż księżę, nawet jeśli kiedyś darzył ją przyjaźnią, mógłby się wówczas obrazić, ale im dłużej z nim rozmawiała...

Nabrała tchu.

– Chciałabym jeszcze z tobą pomówić...

– To mów. – Kashin uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Ależ on był przystojny... Gdyby był kimś innym, gdyby nosił inny tytuł...

Pokręciła głową i obdarzyła go wymuszonym uśmiechem.

– Lord Westfall się mnie spodziewa.

– Słyszałem, że dziś rano pojechałaś z nim do Torre. Sądziłem, że wrócił wraz z tobą.

Próbując utrzymać uprzejmy wyraz twarzy, Yrene dygnęła i rzekła:

– Muszę już iść. Raz jeszcze chciałam ci podziękować za troskę oraz za dodatkowe strażę, księżę.

Jego tytuł zawisł między nimi, przeszywając ich serca niczym uderzenie dzwonu. Yrene poszła przed siebie, czując na plecach spojrzenie Kashina, aż skręciła za róg korytarza. Wówczas oparła się o ścianę, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Idiotka. Wielu ludzi wyzwalałoby ją po prostu od idiotek, ale...

– Niemalże współczuję temu człowiekowi.

Podniosła powieki i ujrzała Chaola, który podjechał do niej na fotelu. Był zdyszany, ale w jego oczach nadal płonął ogień.

– Oczywiście byłem na tyle daleko, że nie słyszałem waszej rozmowy – ciągnął. – Ale widziałem jego twarz, gdy odchodził.

– Nie wiesz, o czym mówisz – powiedziała pustym głosem Yrene i ruszyła ku jego apartamentowi, choć tym razem wolniej.

– Nie musisz zwalniać z mojego powodu. Rozwinęłaś wszak rekordowe tempo.

Yrene smagnęła go spojrzeniem.

– Czyżbym zrobiła dziś coś, co cię uraziło?

Jego wyważone spojrzenie nie zdradziło jej niczego. Dłonie Chaola zaciskały się na kołach fotela, popychanego wyrzutami potężnych ramion.

– Powiesz mi czy nie?

– Czemu odepchnęłaś tego księcia od siebie? Miałem wrażenie, że coś was kiedyś łączyło.

Trudno było o gorszy moment bądź gorsze miejsce na podobne rozmowy.

– To nie twoje zmartwienie.

– Czemu mnie nie oświecisz?

– Bo nie.

Bez trudu dotrzymywał jej kroku, choć zwiększyła tempo. Zmierzała prosto ku drzwiom jego apartamentu, gdzie czekała na nich Kadja.

– Przynies suszony tymianek, cytrynę oraz czosnek – poleciła Yrene służącej.

Rozkaz wydawał się całkowicie nie na miejscu, przywodził wręcz na myśl jeden ze starych przepisów jej matki na pstrąga.

Służąca ukloniła się i odeszła, a Yrene pchnęła drzwi do apartamentu i przytrzymała je, by Chaol mógł wjechać do środka.

– Dla twojej informacji – syknęła, zatraskując drzwi za sobą – twoje żalodne fochy nie pomagają nikomu ani niczemu.

Chaol zatrzymał się ostro w przedpokoju. Yrene przeszły ciarki na myśl o tym, jak bardzo ucierpiał jego dłoń. Otworzył usta, ale natychmiast je zamknął, gdy z sąsiedniego pokoju wyszła Nesryn. Jej wilgotne włosy lśniły po kąpieli.

– Zastanawiałam się właśnie, gdzie się podziewasz – powiedziała do niego, po czym pozdrowiła Yrene skinieniem. – Tak wcześnie rano?

Minęło kilka uderzeń serca, nim Yrene zaakceptowała sytuację. Dynamika zmieniła się z chwilą pojawienia się Nesryn. Yrene nie była tu już główną osobą. Niespodziewanie została zredukowana do roli drugorzędnej, do funkcji pomocnicy.

Chaol zamachał dłońmi, na których w istocie widniały czerwone ślady, i zwrócił się do Nesryn:

– Udałem się do Torre, by pomóc dziewczynom w zajęciach z samoobrony.

Nesryn obrzuciła jego fotel pytającym spojrzeniem.

– Konno – dodał Chaol.

Wojowniczką wybałuszyła oczy i przeniosła spojrzenie na Yrene.

– W jaki sposób?

– Zamówiłam siodło z szynami – wyjaśniła uzdrowicielka. – A teraz miałam w planach przeprowadzić drugą fazę leczenia.

– Naprawdę udało ci się pojechać konno?

Yrene miała wrażenie, że Chaol wzdrygnął się w duchu. Ona zresztą też, a powodem było niedowierzanie w głosie Nesryn.

– Tak, choć nie przyspieszaliśmy – odparł spokojnie, jakby się spodziewał po Nesryn, że zada mu takie pytanie. Jakby się już do tego przyzwyczyił. – Może jutro spróbujemy truchtu – dodał.

Yrene uświadomiła sobie, że bez możliwości balansowania ciężarem ciała podskoki na siodle mogłyby źle się skończyć. Przejrzała w myślach listę możliwych urazów krocza, ale nie odezwała się ani słowem.

– Udam się z tobą! – oznajmiła Nesryn. Jej oczy błyszczały. – Pokażę ci miasto! Być może również dom mego wuja!

– Znakomity pomysł – rzekł Chaol, na co Nesryn wycisnęła pocałunek na jego policzku.

– Spotykam się z moją rodziną za jakąś godzinę – powiedziała. – Następnie jestem umówiona z sam wiesz kim. Będę tu po południu, a potem... Potem powrócę do moich obowiązków.

Ostrożnie dobierała słowa. Yrene nie winiła jej. Wszak przez niedomknięte drzwi do jej sypialni widziała blat biurka zasłany bronią. Noże, miecze, łuki, kołczany... Kapitan miała w swym pokoju cały arsenał.

Chaol burknął z aprobatą i uśmiechnął się lekko, a Nesryn ruszyła ku drzwiom wyjściowym. Zatrzymała się na progu i odwróciła ku nim raz jeszcze. Uzdrowicielka nigdy dotąd nie widziała równie szerokiego uśmiechu na jej twarzy.

Emanowała z niego nadzieja. Ogromna nadzieja.

Drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem. Yrene znów znalazła się sam na sam z Chaolem, osaczona ciężką ciszą. Nadal czując się jak intruz, założyła ramiona na piersi.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, zanim zaczniemy? – spytała.

Chaol bez słowa wjechał do swej sypialni.

– Wolałabym pracować w salonie! – oznajmiła dziewczyna i pochwyciła swą torbę, którą Kadja ułożyła na stole w przedpokoju. Mogła się założyć, że wcześniej gruntownie ją przetrząsnęła.

– A ja wolę cierpieć we własnym łóżku – rzucił Chaol przez ramię. – Mam nadzieję, że tym razem nie zemdlejesz na podłodze.

Bez trudu przeniósł swe ciało z fotela na łóżko, a potem zaczął rozpinąć kurtkę.

– Powiedz mi prawdę – odezwała się Yrene, która stała na progu. – Powiedz mi, co zrobiłam, by cię zdenerwować.

Chaol ściągnął kurtkę.

– Nie licząc tego, że zaprezentowałaś mnie akolitkom jak zepsutą lalkę i kazałaś im ściągnąć mnie z siodła jak worek ziemniaków?

Yrene zeszywniała i upuściła torbę na podłogę.

– Mnóstwo ludzi pomaga ci tu w pałacu.

– Nie tak wielu, jak myślisz.

– Torre to centrum nauki, a ludzie z obrażeniami takimi jak twoje nie zdarzają się często, bo najczęściej to my musimy się do nich fatygować, a nie na odwrót. Pokazywałam akolitkom to, co może im pomóc w pracy z pacjentami w przyszłości.

– Tak. Pokazałaś im swego cennego, poturbowanego ogiera. Patrzcie wszyscy, jaki on okaleczony. A jaki pokorny!

– Na pewno nie chciałam, by tak to zabrzmiało, i dobrze o tym wiesz!

Chaol niemalże rozerwał szwy koszuli, ściągając ją przez głowę.

– Czy to jakaś kara z twojej strony? Za to, że służę królowi? Za to, że pochodzę z Adarlanu?

– Nie – odparła Yrene. Nie potrafiła uwierzyć, że jego zdaniem mogłaby okazać się tak okrutna i tak nieprofesjonalna. – Nie. Było dokładnie tak, jak ci powiedziałam. Chciałam podzielić się z uczennicami cenną lekcją!

– Ale ja tego nie chciałem!

Yrene zeszytniała.

– Nie miałem najmniejszej ochoty stać się twoją pomocą naukową! – wycedził Chaol przez zęby.

– Nie życzyłem sobie, byś kazała im się mną zajmować! – Jego potężna klatka piersiowa rosła i opadała, a płuca pracowały niczym miechy. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak to jest? Wiesz, jak to jest, gdy tracisz to wszystko? – Machnął ręką w kierunku jej ciała, jej nóg i kręgosłupa. – Gdy stajesz się taki jak ja?

Yrene miała wrażenie, że ziemia osuwa jej się spod nóg.

– Wiem, że to dla ciebie trudne...

– Tak, to jest trudne, a dziś dołożyłaś wszelkich starań, by było mi jeszcze ciężej. Zmuszasz mnie, bym siedział w tym pokoju rozebrany niemalże do naga, ale to wszystko nic w porównaniu z tym, jak się czułem dziś rano! Nigdy nie przeżyłem większego upokorzenia!

Zamrugał, jakby zaskoczony tym, że się do tego przyznał.

– Ja... ja przepraszam! – Yrene nie przyszło do głowy nic poza tymi słowami.

Grdyka Chaola podjechała w górę i w dół.

– Straciłem wszystko, co planowałem i czego pragnąłem. Wszystko. Pozostał mi tylko mój król i strzęp idiotycznej nadziei, że uda nam się przeżyć tę wojnę, a ja jakoś zdołam coś z tym zrobić.

– Z czym?

– Z tym, że wszystko, czego się tknę, rozsypuje się w pył. Wszystko.

Głos mu się załamał, a w oczach Yrene zapiekły łzy. Nie wiedziała, czy powodem jest smutek, czy wstyd, i nie chciała tego wiedzieć. Nie chciała wiedzieć, co mu się przytrafiło w życiu. Skąd się bierze ból w jego oczach. Wiedziała, że Chaol będzie musiał się z nim zmierzyć, że będzie musiał o nim porozmawiać, ale...

– Przepraszam – powtórzyła i dodała z trudem: – Powinna była wziąć pod uwagę twoje odczucia.

Chaol przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem zdjął pas. Następnie buty i skarpetki.

– Możesz zostać w spodniach, jeśli... jeśli tego chcesz.

Ściągnął je i zamarł w oczekiwaniu. Wciąż kipiał gniewem. Wciąż wpatrywał się w nią z ogromną niechęcią w oczach.

Yrene przełknęła ślinę raz, potem raz jeszcze. Może powinna była coś zjeść przed rozpoczęciem leczenia, ale nie mogła teraz stąd wyjść. Miała wrażenie, że gdyby teraz wstała i odeszła, gdyby ujrzał, jak odwraca się do niego plecami...

Przecież uzdrowicieli z pacjentami powinno łączyć zaufanie. Powinna powstać między nimi więź.

Nic nie naprawiłoby relacji między nimi, gdyby teraz go opuściła.

Dała mu więc znak, by ułożył się na środku łóżka i przewrócił na brzuch, a sama usiadła na skraju. Uniosła dłoń nad muskularnym wgłębieniem, ciągnącym się w dół pleców. Ani razu nie zastanowiła się nad jego uczuciami. Nie przyszło jej nawet do głowy, że on może takowe mieć.

Nawet nie pomyślała o tym, co go przesładowało.

Oddech Chaola był płytki, pospieszny.

– Muszę wiedzieć jedno – odezwał się nagle. – Żywisz uraz do mnie czy do Adarlanu?

Wpatrywał się w odległą ścianę, w wejście do pokoju łazienego, zastawione rzeźbionym, drewnianym parawanem. Dłoń Yrene, wzniesiona nad jego plecami, zamarła. Jej serce nadal zalewał żal.

Nie, przez ostatnich kilka dni nie była w najlepszej formie. Ba, była daleko od formy.

Plama na jego plecach lśniła bielą w blasku przedpołudniowego słońca, a cień, rzucany przez jej dłoń, wydawał się siostrzanym znamieniem. Oto coś, co czekało na nią wewnątrz pleców Chaola... Jej własna magia cofała się, czując bliskość tego czegoś. Zeszłej nocy była zbyt zmęczona, a tego poranka zbyt zajęta, by choć raz pomyśleć o tym ponownie. Nie udało jej się zastanowić nad tym, co przyjdzie jej ujrzyć i z czym będzie musiała walczyć.

Nad tym, co on również będzie znosił.

Tymczasem dotrzymał słowa. Udzielił dziewczynom ważnej lekcji pomimo jej idiotycznego, gruboskórnego zachowania. Wniosek nasuwał się sam – mogła odwzajemnić mu się, tylko robiąc dla niego to, co mu obiecała.

Wciągnęła w płuca powietrze, by narzucić sobie spokój. Wiedziała, że nie ma sposobu, by się do tego przygotować. Nie umiała stworzyć w sobie pancerza na tyle silnego, by proces uzdrawiania nie kosztował jej aż tyle. Jej ani jego.

W milczeniu podała mu wędzidło.

Chaol wsunął rzemień do ust i lekko zacisnął na nim zęby.

Wpatrywała się przez moment w jego ciało przygotowane na atak bólu i w nieprzeniknioną twarz, zwróconą ku drzwiom.

– Gdy miałam jedenaście lat – odezwała się cicho – żołnierze z Adarlanu spalili mą matkę żywcem.

Nim Chaol zdołał odpowiedzieć, ułożyła dłoń na plamie na jego plecach.

16.

Istniały jedynie ciemność oraz ból.

Chaol ryczał, próbując je odpędzić, ledwie świadom tego, że zaciska zęby na pasku skóry, ledwie świadom tego, że zdiera sobie gardło.

„Spalili ją żywcem, spalili ją żywcem, spalili ją żywcem”.

W pustce pojawiły się płomienie. Kobieta o złocistobrązowych włosach i cerze podobnego koloru krzyczała z bólem ku niebiosom.

Potem pojawiło się zmasakrowane ciało na zakrwawionym łóżku. Głowa tocząca się po marmurowej podłodze.

„Twoja sprawka, twoja sprawka, twoja sprawka”.

Potem ujrzał kobietę z oczami, w których płonął błękitny ogień, i włosami wręcz utkanymi z czystego złota, która nachyliła się nad nim, by wnieść sztylet i wbić mu go w serce.

Żałował. Czasami naprawdę żałował, że się wówczas zawahała.

Blizna, którą nosił na twarzy, pozostawiona przez jej paznokcie. Krył się w niej ów pełen nienawiści żal, który budził się w nim za każdym razem, gdy spoglądał w lustro. Kryło się w nim ciało na łóżku, ów zimny pokój i ten wrzask. Naszyjnik na opalanej skórze i uśmiech, który nie pasował do ukochanej twarzy. Serce, które ofiarował, a potem osamotniony upuścił na drewniane deski rzecznego pomostu. Zabójczyni, która wyjechała, by powrócić królową. Szereg wspaniałych ludzi, którzy zwisali z bram zamkowych.

Wszystko to skrywała owa cienka blizna. Wszystko to, czego nie mógł wybaczyć ani też zapomnieć.

Tymczasem pustka pokazywała mu to wszystko obraz po obrazie. Smagała jego ciało rozgrzanym do czerwoności biczem z kolcami i znów roztaczała przed nim wspomnienia.

Pokazywała mu jego matkę. Brata. Ojca. Wszystko, co porzucił. Wszystko, co mu nie wyszło. To, czego nienawidził, i to, czym się stał, przy czym granice między tymi obrazami zacierały się.

Przez ostatnie miesiące próbował, wysilał się i dobywał wszystkich sił, ale pustka nie chciała o tym słyszeć.

Z jego krwią spływał czarny ogień, który próbował zatopić te myśli.

Płonąca róża pozostawiona na nocnym stoliku. Ostatni uścisk jego króla.

Próbował ze wszystkich sił. Próbował zachować nadzieję, ale...

Kobiety nieledwie starsze od dzieci, ściągające go z konia, szturchające go i żgające.

Po jego kręgosłupie znów rozlał się ból i Chaol nie mógł oddychać, nie mógł go zakrzyczeć.

Rozjarzyło się białe światło.

Zamigotało gdzieś daleko. Nie było złote, nie było czerwonym ani błękitnym płomieniem, lecz było białe niczym promienie słońca, jasne i czyste. Zajaśniało pośród mroku, załamało się niczym błyskawica przecinając noc.

I znów eksplodował ból.

Oczy jego ojca, pełne wściekłości po tym, jak oznajmił, że wyjeżdża, by wstąpić do Gwardii. Jego pięści. Błagania matki. Udręka na jej twarzy, gdy widział ją po raz ostatni, gdy odjeżdżał z Anielle. Ostatnia chwila, gdy widział swe miasto, swą ojczyznę. Jego brat, drobny, skulony w długim cieniu ojca.

Brat, którego wymienił na innego. Brat, którego pozostawił.

Ciemność naparła na niego, rozcierając jego kości na pył. Czuł, że go pokona. Że go zabije. Ten ból, ta ciągła... Ta niekończąca się, kipiąca otchłań nicości.

Być może śmierć okaże się aktem łaski. Nie był już całkowicie świadom swej obecności. Nie wiedział zresztą, czy jego jestestwo ma jakiegokolwiek znaczenie. Nie wiedział, czy jest na tyle istotne, by nadal się starać. By wracać do przytomności.

Ciemności się to podobało. Miał wrażenie, że dodaje jej to sił, gdy nadal zaciskała potężne, niewidzialne imadło na jego kościach, gdy doprowadzała jego krew do stanu wrzenia i zmuszała go do

bezustannego, niekończącego się ryku...

Uderzyło w niego białe światło. Oślepiło go i przepęliło pustkę.

Ciemność wrzasnęła i cofnęła się, po czym uniosła się niczym fala przyprływu. Opadła, lecz...

Lecz odbiła się od muru jasnego światła, który otoczył ją niczym skała krusząca mrok. Niczym pochodnia w otchłani. Jasny blask był ciepły, cichy i życzliwy. Nie bał się ciemności, zupełnie jakby mieszkał w niej od bardzo dawna i dobrze rozumiał, jakie rządzą nią prawa.

Chaol otworzył oczy.

Dłoń Yrene ześlizgnęła się z jego pleców. Odwracała się już od niego i sięgała po jego koszulę, leżącą na dywanie. Zauważył krew, nim zdołała ją ukryć.

Wypluł wędzidło i złapał ją za nadgarstek. Jego własny, ciężki oddech wydał mu się ogłuszająco głośny.

– Jesteś ranna!

Yrene otarł nos, usta i podbródek, a potem odwróciła się ku niemu, ale nie zdołała w żaden sposób ukryć kropel krwi, spływających po jej dekolcie. Chaol poderwał się.

– Na bogów, Yrene...

\*\*\*

– Nic mi nie jest.

Jej słowa były stłumione, niewyraźne, zniekształcone krwią, zbierającą się w jej nosie.

– Czy... czy to normalne? – spytał zaniepokojony i nabrał tchu, by wezwać inną uzdrowicielkę.

– Tak – przerwała mu Yrene.

– Kłamiesz – rzucił. Wyczuł kłamstwo w tym, jak zwlekała z odpowiedzią. Jak unikała jego wzroku. Znów otworzył usta, ale dziewczyna oparła dłoń na jego ramieniu i odłożyła zakrwawioną koszulę.

– Naprawdę nic mi nie jest. Ja muszę tylko... Muszę jedynie odpocząć.

Wcale nie wyglądała na taką, której nic nie dolega. Rozmazana krew krzepła już na jej podbródku i wokół ust, a po chwili z nosa pociekła kolejna struzka. Yrene zatamowała ją koszulą, a potem spojrzała na górę swojej sukni.

– Przynajmniej plamy są w tym samym kolorze.

Dowcip był wyjątkowo wymuszony, ale Chaol uśmiechnął się ponuro.

– Ja też odniosłem wrażenie, że to taki wzór.

Wyczerpana dziewczyna obdarzyła go nieco zdeprymowanym uśmiechem.

– Daj mi pięć minut na odsapnięcie, a potem wracamy do...

– Połóż się. W tej chwili – powiedział stanowczo Chaol i dla wzmocnienia swych słów przesunął się nieco.

Yrene przyjrzała się poduszkom i samemu łóżku, na którym bez trudu mogłyby spać cztery osoby. Z głośnym stęknieniem przycisnęła koszulę do nosa i opadła na poduszki. Zrzuciła ze stóp pantofle i podkuliła nogi, a potem odchyliła do tyłu głowę, by powstrzymać krwawienie.

– Co mogę ci podać? – spytał, widząc, jak dziewczyna wpatruje się pustym spojrzeniem w sufit. Przesadziła. Przesadziła, próbując mu pomóc, przypuszczalnie dlatego, że poruszył ją jego przekłety gniew!

Yrene pokręciła jedynie głową. Chaol w milczeniu przyglądał się, jak przyciska jego koszulę do nosa. Twarz miała nadal umazaną, a jej oczy były zamglone z bólu bądź zmęczenia. Być może z obu powodów.

– Co ujrzałaś? – usłyszał własne pytanie.

Wiedziała, o co mu chodzi. Ścierała krew z piersi.

– Weszłam głęboko. Zagłębiłam się w twą ranę i było tak samo jak poprzednio. Natrafiłam na mur, którego nie mogłam przebić żadnym uderzeniem magii. Myślę, że mrok pokazał mi...

Jej palce zacisnęły się mocno na koszuli, którą tamowała krwotok.

– Co?



– Morath – szepnęła, a Chaol mógłby przysiąc, że nawet śpiew ptaków w ogrodzie przycichł na moment. – Mrok podzielił się ze mną jakimś wspomnieniem. Pokazał mi wielką, czarną fortecę pełną koszmarów. I armię, czekającą między otaczającymi ją górami.

Jego krew zamieniła się w lód, gdy uświadomił sobie, do kogo mogło należeć owo wspomnienie.

– Widziałaś coś, co istnieje naprawdę, czy może ów mrok próbował ci namieszać w głowie?

Przecież w ten sposób mroczne siły wykorzystywały jego własne wspomnienia przeciwko niemu.

– Nie wiem – przyznała Yrene. – Ale potem usłyszałam twój krzyk. Nie tu, ale... ale tam. – Znów otarła nos. – I zrozumiałam, że atakowanie tak silnego muru nic nie daje. Myślę, że to tylko wybieg. Fortel. Mrok chciał wyprowadzić mnie w pole. Podążyłam więc za twoim krzykiem. Do ciebie.

Czyli do tego miejsca w głębi jego duszy.

– Ciemność była tak pochłonięta rozrywaniem cię na strzępy, że nawet nie zauważyła mego nadejścia. – Zadrżała i dorzuciła: – Nie wiem, czy to coś pomogło, ale... ale nie mogłam tego znieść. Nie mogłam na to patrzeć ani tego słuchać. Zaskoczyłam ją, gdy zaatakowałam znienacka, ale nie wiem, czy następnym razem będzie na mnie czekać. Czy będzie pamiętać. Nie wyczułam w niej... Nie wyczułam niczego żywego. Niczego inteligentnego. To nie jest żywa istota, ale raczej wspomnienie wypuszczone na świat.

Chaol pokiwał głową i zapadła cisza. Dziewczyna ponownie otarła nos, a potem odłożyła całkowicie już zakrwawioną koszulę na stolik nocny. Nad podłogą przesuwali się promienie słońca, wiatr poruszał liśćmi palm.

– Przykro mi – odezwał się Chaol. – Przykro mi z powodu twojej matki.

Pouklądał sobie wydarzenia i ustalił, że do tragedii doszło mniej więcej w tym samym czasie co w przypadku Aelin. Ileż ich było? Ile było dzieci, którym Adarlan pozostawił tak głębokie blizny?

Nie miał pojęcia. Wszak nie wszystkie przeżyły.

– Była ucieleśnieniem dobra. – Yrene odwróciła się na bok i spojrzała na ogród za oknami. – Ona... Ocalałam tylko dzięki temu, że ona...

Nie dokończyła.

– Zrobiła to, co zrobiłaby każda matka. – Chaol dokończył za nią.

Jedyną odpowiedzią Yrene było skinienie.

Uzdrowiciele byli przecież pierwszymi ofiarami Adarlanu, a ich egzekucje przeprowadzano na długo po tym, jak znikła magia. Imperium zawsze bezwzględnie tępiło uzdrowicieli obdarzonych mocą i zdarzało się, że sąsiedzi wydawali ich żołnierzom adarlańskim za pełną sakiewkę.

Chaol przełknął ślinę i uderzenie serca później powiedział:

– Byłem świadkiem tego, jak król Adarlanu zamordował kobietę, którą kochał Dorian. Zabił ją na moich oczach, a ja nie byłem w stanie zrobić nic, by go powstrzymać. By ją ocalić. A gdy król postanowił zabić i mnie za to, że uczestniczyłem w spisku przeciwko niemu, Dorian... Dorian zainterweniował. Stawił ojcu czoła i zdobył dla mnie chwilę, bym zdołał uciec. A ja rzuciłem się do biegu. Umknąłem, bo... bo nie było komu kontynuować rebelii. Bo nie było komu przekazać wieści innym spiskowcom. Pozwoliłem, by stanął ojcu na drodze i poniósł konsekwencje, a sam umknąłem.

Wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Ale nic mu nie jest – powiedziała.

– Nie wiem. Wiem, że jest wolny i że żyje. Ale czy nic mu nie jest? Cierpiał, i to bardzo. Tak, że nie jestem nawet w stanie... – Ucisk w jego gardle przeszedł w ból. – To powinno było mnie się przytrafić. Zawsze tak to sobie planowałem. Sam chciałem ponieść ofiarę.

Po grzbiecie nosa Yrene ześlizgnęła się łza, a Chaol zebrał ją palcem, nim zniknęła. Yrene przez dłuższą chwilę wytrzymywała jego spojrzenie. Łzy sprawiły, że jej oczy niemalże skrzyły się w blasku słońca.

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Nie wiedział, ile czasu uzdrowicielka potrzebowała, by choć odrobinę odepchnąć ciemność.

Drzwi do apartamentu rozchyliły się i zamknęły tak cicho, że Chaol od razu odgadł, iż weszła Kadja. To jednak wystarczyło, by odciągnąć od niego uwagę Yrene, a bez jej spojrzenia na siebie...

Chaol poczuł chłód. Ciszę i chłód.

Zacisnął pięść, a zabrana Yrene łza wsiąkała mu w skórę. Nie chciał, by odwracała od niego wzrok. Chciał patrzeć w jej oczy i czytać ich wyraz.

Dziewczyna ponownie spojrzała ku niemu, tak szybko, że mało nie uderzyła go głową w nos.

Złoto w jej oczach zapłonęło.

– Chaol – szepnęła, a on odniósł wrażenie, że nigdy wcześniej nie zwróciła się do niego po imieniu.

Spojrzała w dół, a on powiódł spojrzeniem za nią.

Patrzyła na jego nagi tors oraz nogi. Na palce u nóg, które powoli zwierały się i rozchylały, jakby usiłowały sobie przypomnieć, na czym polega ten ruch.

Kuzyni i kuzynki byli w szkole, gdy zastukała do drzwi wejściowych przepięknego domu wuja i cioci w dzielnicy Runni. Od zakurzonej ulicy oddzielał go wysoki mur z pięknie rzeźbionymi wrotami z dębowego drewna, wzmocnionymi żelaznymi zdobieniami, przez co niewiele można było przez niego dostrzec.

Wystarczyło jednak, by strażnicy uchylili wrota, a oczom Nesryn natychmiast ukazał się ocieniony, szeroki dziedziniec wyłożony płytami z jasnego kamienia, otoczony kolumnami, po których pięła się bugenwilla. W sercu dziedzińca plaskała wesoło fontanna.

Dom został wzniesiony w stylu typowym dla Antyki oraz ludu Balruhn, z którego wywodziła się Nesryn i jej rodzina. Sztukę stawiania budowli przyniesiono z pustynnych rejonów, gdzie budowano ze szczególnym uwzględnieniem działania słońca i wiatru. Okna umieszczano tak, by nie wpadał przez nie żar popołudnia, a na dachu wznosiły się wąskie wieżyczki, które łapały podmuchy wiatru, były jednak rozmieszczone poza zasięgiem wschodniego powiewu, niosącego ze sobą pustynny piach.

Dom nie dysponował niestety biegnącym pod podłogą kanałem, jak to bywało w przypadku siedzib wielu bogatszych rodzin Antyki, ale dzięki wysokim drzewom rosnącym w ogrodzie i świetlikom w dachu na poziomie dziedzińca nigdy nie doskwierał tu upał. Idąca przed siebie Nesryn z ulgą oddychała chłodniejszym, wonnym powietrzem. Ciocia powitała ją w połowie drogi.

– Jadłaś już? – spytała.

– Pościłam, by móc zasiąść przy twoim stole – odparła Nesryn.

W jej rodzinie było to popularne powitanie, zawsze wypowiedane w halha. Odwiedziny w rodzice Faliq były nie do pomyślenia bez poczęstunku. Przynajmniej jednego.

Jej ciocia, która mimo urodzenia czwórki dzieci zachowała wspaniałą figurę i mnóstwo energii, pokiwała głową z aprobatą.

– Powiedziałam dziś rano Brahimowi, że nasza kucharka jest lepsza od pałacowych.

Z zasłoniętego drewnianą żaluzją okna na piętrze dobiegło rozbawione parsknięcie. Nesryn wiedziała, że mieści się tam gabinet jej wuja, jedno z nielicznych ogólnie dostępnych pomieszczeń na zazwyczaj przeznaczonym dla celów prywatnych piętrze.

– Ostrożnie, Zahido, bo jeszcze kagan to usłyszy i zawlecze biedaczkę do swego pałacu.

Ciocia przewróciła oczami. Spojrzała na sylwetkę wuja, ledwie widoczną za żaluzjami, i otoczyła ramieniem talię Nesryn.

– Ależ on ciekawski. Zawsze podsłuchuje nasze rozmowy na dole.

Wuj zachichotał, ale już się nie odezwał. Nesryn natomiast uśmiechnęła się szeroko i pozwoliła, by ciocia zaprowadziła ją do przestronnego korytarza. Minęły po drodze posąg kobiety o bujnych, kuszących kształtach, przedstawiający Innę, Boginię Spokojnych Gospodarstw i patronkę ludu Balruhn. Jedno z jej ramion było uniesione na powitanie, a drugim broniła domowników.

– Może to dlatego arystokraci są tak wychudzeni? – powiedziała ciotka, poklepując się po brzuchu. – Bo mają tak beznadziejnego kucharza? Cóż, wyjaśniałoby to również, skąd się wziął mój tłuszczyk. – Mrugnęła do Nesryn i dodała: – Sama nie wiem. Może powinnam się jednak pozbyć naszej kucharki?

Nesryn pocałowała ciocię w policzek, różowy niczym płatek róży.

– Jesteś piękniejsza niż w czasach, gdy sama byłam dzieckiem.

Powiedziała te słowa z głębi serca. Ciocia zbyła je machnięciem dłoni, ale rozpromieniona wprowadziła gościa do chłodnego, ciemnego wnętrza domu. Wysokie sufity podtrzymywane były tu przez kolumny, a zarówno meble, jak i drewniane belki zdobiły wzory odzwierciedlające bujną roślinność ich odległej, opuszczonej dawno ojczyzny. Ciocia jednakże prowadziła Nesryn dalej, niż trafiała większość gości – prosto na drugi, mniejszy dziedziniec z tyłu domu. Ten przeznaczony był tylko dla rodziny, a jego większą część zajmował długi stół oraz głębokie krzesła. Cienia dostarczał rozwieszony nad nim żagiel. O tej porze słońce znajdowało się po przeciwnej stronie domu, co było

jedną z przyczyn, dlaczego ciocia wybrała akurat tę godzinę.

Posadziła Nesryn na honorowym miejscu, tuż obok krzesła stojącego u szczytu stołu, a potem popędziła do kuchni, gdzie poleciała kucharce, by przygotowała coś do jedzenia. Nesryn zaś w ciszy słuchała wiatru, który trącał listkami jaśminu, rozrastającego się przy ścianach aż po balkon nad jej głową. Trudno jej było sobie wyobrazić dom, w którym panowałby większy spokój, zwłaszcza w porównaniu z chaosem, który rządził jej domem rodzinnym w Rifthold.

Potarła pierś, w której odezwał się ból. Jej rodzina żyła. Wydostali się z miasta, choć nadal nie było wiadomo, gdzie się teraz znajdowali. Nie wiedziała też, z czym przyjdzie im się mierzyć na kontynencie tak pełnym koszmarów.

– Twój ojciec wygląda tak samo, kiedy za dużo myśli – odezwał się jej wuj za plecami.

Nesryn obróciła się na krześle i uśmiechnęła się lekko na widok Brahima Faliq, wchodzącego na dziedziniec. Jej wuj był niższym mężczyzną od ojca, ale szczuplejszym, głównie dzięki temu, że nie musiał zarabiać na siebie wypiekami. Nie, wuj nadal trzymał się prosto jak na mężczyznę w tym wieku, być może ze względu na tryb życia kupca, który wymagał od niego ciągłej aktywności. Tylko ciemne włosy miał przyprószone siwizną.

Niemniej jednak jego twarz... Nesryn miała wrażenie, że wpatruje się w oblicze Sayeda, jej ojca. Różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie dwa lata, przez co niektórzy brali ich za braci bliźniaków. Na widok jego przystojnej, zycziwej twarzy Nesryn poczuła ucisk w gardle.

– Wygląda na to, że choć to jedno po nim odziedziczyłam – odparła.

W istocie, Nesryn była osobą cichą i skłonną do refleksji, podczas gdy grzmiący śmiech jej ojca rozbrzmiewał w ich domu równie często jak śpiew czy chichot jej siostry.

Czuła na sobie badawczy wzrok wuja, który usiadł naprzeciwko, zostawiając miejsce u szczytu stołu dla Zahidy. Kobiety i mężczyźni od wieków wspólnie zarządzali gospodarstwem, a ich dzieci uważały podobne rządy za świętość. Nesryn знаła swoje miejsce w szeregu, ale jej siostra... Wciąż pamiętała dzikie awantury między ojcem a Delarą, zwłaszcza gdy ta podrosła i zamarzyła jej się niezależność.

– Kapitan Gwardii Królewskiej – dziwował się wuj. – Jestem szczerze zaskoczony, że masz czas na tak częste wizyty u nas!

Na dziedziniec wpadła ciotka, niosąc tacę z dzbankiem schłodzonej herbaty miętowej oraz szklankami.

– Tylko przestań narzekać, Brahimie, bo jeszcze przestanie do nas przychodzić!

Nesryn uśmiechnęła się, patrząc to na niego, to na nią. Ciotka wręczyła im po szklance herbaty, a potem postawiła tacę między nimi i zajęła miejsce u szczytu stołu.

– Wolałam przyjść teraz, póki dzieci są w szkole – rzekła Nesryn.

Jednym z wielu cudownych dekretów kaganatu było to, że wszystkie dzieci, bez względu na zamożność swoich rodziców, miały prawo uczęszczać do szkół, które były bezpłatne. W rezultacie niemalże wszyscy mieszkańcy imperium byli piśmienni, czego na pewno nie można było powiedzieć o Adarlanie.

– A ja już miałem nadzieję – rzekł wuj z krzywym uśmiechem – że wrócisz, by jeszcze dla nas zaśpiewać. Od twojej ostatniej wizyty dzieciaki wyją twoje piosenki jak banda ulicznych psów. Nie miałem jak dotąd serca, by im powiedzieć, że ich głosy nijak się mają do głosu ich czcigodnej kuzynki.

Nesryn zachichotała, choć jej twarz zalał gorący rumieniec. Jak dotąd śpiewała dla niewielu ludzi – tylko dla swej rodziny. Nigdy nie śpiewała dla Chaola czy innych, nigdy nawet nie wspominała o tym, że jej głos jest... Cóż, lepszy niż dobry. Takich rzeczy nie mówiło się przecież od niechcienia w rozmowie, a bogowie mogli poświadczyć, że przez ostatnich kilka miesięcy nie miała specjalnej ochoty na popisy. Niemniej z ochotą zaprezentowała swój głos przed kuzynami i zaśpiewała jedną z pieśni, których nauczył ją ojciec – kołysankę z Antiki. Gdy docierała do ostatnich wersów, rodzina stała dookoła, a ciotka ocierała oczy ze wzruszenia. Nesryn zrozumiała wówczas, że już nigdy nie uda jej się wymigać od rodzinnych koncertów. Wiedziała, że będą ją namawiać, póki nie złoży ślubów milczenia.

Pożałowała w głębi duszy, że przyszła tu z innego powodu. Westchnęła cicho i przygotowała się, a wuj i ciotka spojrzeli po sobie.

– O co chodzi? – spytała Zahida.

Nesryn upiła łyk herbaty i zastanowiła się nad właściwym doborem słów, a wuj i ciotka, co powitała z ulgą, czekali z niewysłowioną cierpliwością. Siostra szarpałaby ją już za ramiona, domagając się odpowiedzi.

– Zeszłej nocy w Torre doszło do morderstwa. Zginęła młoda uzdrowicielka, a morderca nie został jeszcze odnaleziony.

Wraz z Sartaqiem przeczesali kanały Antyki, ale nie dość, że nie poznali sposobu na dotarcie do Torre pod ziemią, to jeszcze nie odnaleźli żadnych śladów Valgów. Natrafili jedynie na uciekające szczury, a w powietrzu wisiał typowy dla takiego miejsca smród.

Wuj zaklął siarczyście. Ciotka spojrzała na niego karcąco, ale nawet ona potarła dłonią dekolt, nim zebrała myśli i odezwała się:

– Słyszeliśmy różne plotki, ale... Nie przyszłaś tu chyba po to, by nas ostrzec?

Nesryn pokiwała głową.

– Uzdrowicielka została zabita dokładnie tak, jak zdarzało się w Adarlanie. Dokładnie tak, jak czynią to nasi wrogowie. Skoro dotarli tu, do tego miasta, obawiam się, że może mieć to związek z moim przybyciem.

Nie ośmieliła się zdradzić wujowi i ciotce zbyt wiele. Nie chodziło o to, że im nie ufała, ale nie miała pewności, kto tak naprawdę ich słucha. Nie wiedzieli więc nic o Valgach, Erawanie czy Kluczach. Wiedzieli tylko tyle, że przybyła tu, by zebrać armię, gdyż to nie było sekretem, ale...

Nie chciała ryzykować i opowiadać im o Sartaqu. Nie chciała mówić, że on oraz jego *rukhin* mogą pomóc jej zdobyć poparcie kagana, że jego ludzie mogą wiedzieć więcej o Valgach niż oni sami. Nie chciała im nawet opowiadać o tym, że latała z księciem na jego ruku, gdyż jej krewni po prostu mogli jej nie uwierzyć. Byli zamożni, ale od arystokracji dzieliła ich przepaść.

– Sądziś, że wezmą na cel twoją rodzinę, by dotrzeć do ciebie? – spytał wuj.

Nesryn przełknęła ślinę.

– Nie sądzę, ale wydaje mi się, że są zdolni do wszystkiego. Nadal nie wiem, czy to morderstwo miało związek z moim przybyciem, czy może za szybko wyciągam wnioski, ale wolę założyć, że się nie mylę i... Przyszłam was prosić, byście zatrudnili więcej ochroniarzy, jeśli jesteście w stanie.

Spojrziała najpierw na wuja, potem na ciotkę i ułożyła ręce dłońmi do góry na stole.

– Przykro mi, że ściągam to na was – powiedziała.

Ciotka i wuj znów na siebie spojrzeli, po czym oboje ujęli ją za ręce.

– Nie masz nas za co przepraszać – powiedziała kobieta, a Brahim dodał:

– Tak nieoczekiwane spotkanie z tobą to wielkie błogosławieństwo.

Nesryn poczuła ucisk w gardle.

„Tak – pomyślała. – O to właśnie chodzi Erawanowi. To właśnie pragnie zniszczyć. Muszę stworzyć armię, by ocalić rodzinę przed wojną, i powstrzymać ją, by nie dotarła do tych brzegów”.

– Zatrudnimy dodatkową ochronę – oświadczyła ciotka. – Zapewnimy też ochronę dzieciom w drodze do szkoły. – Skinęła głową w stronę męża i dodała: – My również będziemy z niej korzystać, chodząc po mieście.

– A ty? – spytał wuj. – Przecież włóczysz się po mieście samopas!

Nesryn machnęła dłonią, ale dzięki ich trosce zrobiło jej się ciepło na sercu. Nie miała zamiaru opowiadać im o tym, że przez wiele tygodni polowała na Valgów w kanałach pod Rifthold, a zeszłej nocy szukała ich również w Antice, a już za nic w świecie nie chciała im mówić o swoim udziale w zniszczeniu szklanego zamku. Nie chciała widzieć, jak wuj łapie się za serce i zsuwa z krzesła, a gęste, piękne włosy ciotki siwieją.

– Umiem o sobie zadbać – odparła.

Wuj i ciotka nie wydawali się przekonani, ale mimo to zgodnie pokiwali głowami. Chwilę później pojawiła się kucharka, która uśmiechnęła się szeroko do Nesryn i rozstawiła na stole miski ze

schłodzoną sałatką. Jej dłonie były pomarszczone, ale silne.

Przez dłuższą chwilę Nesryn jadła wszystko, co ciotka i wujek nakładali jej na talerz. Jedzenie w istocie było równie wykwintne jak w pałacu. Gdy w jej filiżance pozostały już tylko herbaciane fusy, a Nesryn rozumiała, że jej żołądek zaraz pęknie, ciotka rzekła chytrze:

– Miałam nadzieję, że nie przyjdiesz do nas sama. Sama wiesz, co mam na myśli.

Nesryn parsknęła i odsunęła włosy z twarzy.

– Lord Westfall jest bardzo zajęty, ciociu.

Ale skoro Yrene udało się go dziś rano posadzić na koniu, może uda się go jutro tu zabrać? Przedstawi go swej rodzinie, a przede wszystkim czwórce dzieci, dzięki którym w domu zawsze panowało zamieszanie, ale nigdy nie opuszczała go radość.

Ciotka z gracją upiła łyk herbaty.

– Och, nie miałam na myśli jego – powiedziała i uśmiechnęła się znacząco do Brahima. – Chodziło mi o księcia Sartaqa.

Nesryn nagle ucieszyła się z tego, że wypiła już swoją herbatę.

– Czemu akurat jego?

Chytry uśmiech cioci nie gasł.

– Plotka głosi, że ktoś – spojrzała wymownie na Nesryn – wyruszył wraz z księciem na przejażdżkę o świcie. Na jego ruku.

Nesryn opanowała grymas niechęci.

– To byłam ja – powiedziała.

Miała ogromną nadzieję, że nikt nie widział jej z księciem zeszłej nocy. W przeciwnym razie agenci Valgów mogliby się dowiedzieć, że ktoś ich śledzi.

– A kiedy zamierzałaś nam o tym powiedzieć? – Wuj zachichotał. – Dzieciaki aż wychodzą z siebie z podniecenia na wieść o tym, że ich ukochana kuzynka latała na samej Kadarze!

– Nie chciałam się przechwalać – odparła Nesryn, wiedząc, że to żalosna wymówka.

– Hmm – odparł wuj, a w jego oczach zatańczyły figlarne ogniki.

Niemniej jednak ciotka wpatrywała się w Nesryn znacząco. Jej spojrzenie było poważne, jakby i ona ani na moment nie zapomniała o rodzinie, która pozostała w Adarlanie, a teraz przypuszczalnie próbowała umknąć na Południowy Kontynent.

– Ruki nie ulęknią się wyvern – powiedziała po prostu.

18.

Serce Yrene waliło jak oszalałe, gdy klęczała przy Chaolu i przyglądała się jego poruszającym się palcom u nogi.

– Czy ty... czy ty to czujesz?

Chaol wpatrywał się w swoją stopę, jakby wciąż nie dowierzał w to, co widzi.

– Ja... – wykrztusił, ale słowa uwięzły mu w gardle.

– Jesteś w stanie kontrolować te ruchy?

Chaol skupił się, a wówczas palce u jego nóg znieruchomiały.

– Dobrze! – rzekła Yrene i usiadła, by przyjrzeć im się lepiej. – A teraz spróbuj nimi poruszyć.

Mężczyzna zmarszczył brwi i znów przez dłuższą chwilę robił wrażenie, jakby się koncentrował.

A potem...

Dwa palce zwinęły się. A potem trzy inne na drugiej stopie. Yrene rozpromieniła się i nie przestając się uśmiechać, odwróciła ku niemu głowę. Chaol zaś wpatrywał się w nią i w jej uśmiech, a na jego twarzy pojawiło się skupienie.

– Jak to możliwe? – spytał.

Yrene znieruchomiała.

– Może... może to się stało, gdy wniknęłam w głąb ciebie? Gdy moja magia odpędziła nieco ciemność?

Było to przerażające doświadczenie. Nie mogła zapomnieć chwili, gdy odnalazła go w samym sercu mroku, pośród zimnej pustki, zdjętego straszliwym bólem i wielkim przerażeniem.

Nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co mrok raz za razem usiłował jej pokazać przy tym murze. Nie chciała uwierzyć w tę okropną fortecę i los, który czekał na nią po powrocie. Nie godziła się na to, że gdy natarła na mur, jej własna magia zaczęła ją błagać, by przestała, by się wycofała.

Tak było do chwili, gdy usłyszała jego głos. Znajdował się o wiele dalej, o wiele głębiej, niż sądziła.

Rzuciła się ku niemu na ślepo, pomknęła niczym włócznia w stronę głosu. Wnet go znalazła, a raczej to, co z niego zostało. Miała wrażenie, że właśnie tu należy szukać więzi między człowiekiem i jego raną, a nie w wysokim murze.

Otoczyła go mocno, otuliła i nie puszczała, choć ciemność przypuszczała atak za atakiem, a w odpowiedzi przypuściła kontratak własną mocą. Jej magia uformowała ostrze ze światła, które puło ciemność. Pochodnię, która nadpaliła cząstkę mroku. Niewiele, ale wyglądało na to, że wystarczyło.

– Dobrze, bardzo dobrze – oznajmiła, być może niepotrzebnie. – To naprawdę wspaniałe.

Chaol nadal się w nią wpatrywał, aż wreszcie powiedział:

– Tak.

Wtedy nagle uświadomiła sobie, że nadal ma zakrwawioną twarz. Przypomniała sobie o tym, jak wygląda.

– Czyli mamy za sobą jakiś początek – rzekła. – Zrobmy jeszcze kilka ćwiczeń, zanim się rozstaniemy.

Czy ona naprawdę opowiedziała mu prawdę o swej matce? Jak dotąd poznała ją tylko Hafiza i nikt poza nią. Nie opowiedziała tej historii nikomu od chwili, gdy zataczając się, dojrzała do gospodarstwa kuzyna swej matki i ubłagała go, by ją przyjął. Nie miała pojęcia, jak długo trzymała tę historię zamkniętą we własnym sercu.

– Zaczniemy jednak od jedzenia – zdecydowała. Spojrzała na drewniany parawan, zasłaniający wejście do pokoju łazienkowego, a potem na swą poplamioną suknię. – Zaraz coś zamówię, ale nim służba przyniesie obiad... Czy mogłabym skorzystać z twojej wanny? Chciałabym też pożyczyć od ciebie jakieś ubranie.

Chaol nadal się jej przyglądał, a na jego twarzy malowało się skupienie oraz spokój. Nigdy dotąd go takim nie widziała, zupełnie jakby zderzenie z niego cząstki mroku ujawniło jego prawdziwe oblicze.

Patrzyła na mężczyznę, którego jeszcze nie poznała, i nie wiedziała, co z tym począć.

„Poprawka – pomyślała. – Nie wiem, co z nim począć”.

– Weź, co chcesz – oznajmił Chaol niskim, ochryplym nieco głosem.

Yrene zsunęła się z łóżka, zabierając ze sobą brudną koszulę mężczyzny, po czym pognęła do pokoju łazienego. Kręciło jej się w głowie.

„To od upływu krwi” – powiedziała sobie, choć nie przestawała się uśmiechać przez całą kąpiel.  
\*\*\*

– Nazwijmy rzeczy po imieniu – oznajmiła Hasar. – Czuję się zaniedbywana, wiesz?

Księżniczka pochylała się nad mapami, o które Yrene nie miała odwagi spytać. Z miejsca, w którym stała, nie widziała ich dobrze i mogła się jedynie przyglądać, jak Hasar przesuwają po nich figurki z kości słoniowej, marszcząc przy tym ciemne brwi.

– Renia oczywiście twierdzi – ciągnęła – że nie powinnam oczekiwać, że poświęcisz mi aż tyle czasu, ale być może rozpuściłaś mnie przez ostatnie dwa lata. – Z tymi słowami przesunęła kolejną figurkę o pięć centymetrów na prawo i znów zmarszczyła brwi.

Yrene popijała miętową herbatę i milczała, nie komentując jej słów. Księżniczka, dowiedziawszy się, że uzdrowicielka spędziła cały dzień na leczeniu lorda Westfalla, wysłała po nią służącego z obietnicą pokrzepiającego poczęstunku. W istocie, w urządzonej z przepychem komnacie czekały ciastka z karobem oraz herbata, co pomogło Yrene nieco pokonać zmęczenie.

Swą przyjaźń z księżniczką zawdzięczała jedynie przypadkowi. Podczas jednej z pierwszych lekcji w Antice Hafiza zabrała ją ze sobą do pałacu, gdzie zajmowała się Hasar. Księżniczka właśnie powróciła z pałacu nadmorskiego i cierpiała na nieprzemijający ból brzucha. Były mniej więcej w tym samym wieku i podczas długiej terapii, w trakcie której Hafiza usuwała z wnętrza Hasar obrzydliwego tasiemca, księżniczka kazała Yrene mówić.

Młoda akolitka spełniła więc prośbę członkini królewskiego rodu. Opowiadała o swoich zajęciach i od czasu do czasu wtrącała niektóre drastyczne szczegóły jej pracy w gospodzie Pod Białą Świnia. Księżniczce spodobały się zwłaszcza opowieści o co bardziej krwawych bójkach w knajpie. Jej ulubioną historią była ta o tajemniczej, młodej nieznajomej, która ocaliła Yrene przed śmiercią, nauczyła ją walczyć, a potem pozostawiła jej niewielką fortunę w złocie i klejnotach. Podczas gdy Hafiza mocą swej magii niszczyła tasiemca i następnie usuwała go przez usta księżniczki („Jeśli o mnie chodzi, możemy skorzystać z innego otworu” – odparła na protesty Hasar), Yrene musiała ją opowiedzieć trzykrotnie.

Myślała, że wszystko to było jedynie paplaniną dla zabicia czasu, i nie oczekiwała, iż księżniczka po zakończeniu terapii w ogóle zapamięta jej imię. Tymczasem dwa dni później została wezwana do komnat Hasar i ujrzała, jak ta opycha się najrozmaitszymi łakociami, chcąc jak najszybciej odzyskać utraconą wagę.

„Jestem za chuda – powiedziała do Yrene w ramach powitania. – Muszę mieć tłustszy tyłek, żeby moja ukochana miała za co mnie łapać w nocy”.

Yrene parsknęła śmiechem i był to pierwszy, prawdziwy śmiech od wielu, wielu tygodni. W odpowiedzi Hasar uśmiechnęła się lekko i zaproponowała młodej akolite nieco wędzonej ryby z rozlewisk na nizinach. Tak oto rozpoczęła się ich przyjaźń, której być może do ideału wiele brakowało – wszak pod względem statusu społecznego dzieliła ich przepaść – ale Hasar najwyraźniej polubiła jej towarzystwo, a Yrene nie była w stanie jej go odmawiać.

Wkrótce księżniczka wzywała Yrene do siebie za każdym razem, gdy gościła w Antice, a potem sprowadziła do pałacu Renię, by ta mogła poznać kagana oraz oczywiście młodą uzdrowicielkę. Zdaniem Yrene Renia stanowiła o wiele miłsze towarzystwo od roszczeniowej księżniczki o ciętym języku, ale Hasar była również zazdrosna i zaborcza, przez co często trzymała Renię z dala od dworu i ewentualnych amatorów jej wdzięków.

Renia jednakże nigdy nie dała Hasar powodów, by oskarżać ją o niewierność. Kochanka, starsza od samej księżniczki jedynie o miesiąc, nie widziała poza nią świata i kochała ją z nieprzemijającym



oddaniem.

Hasar nadała jej tytuł szlachecki i obdarowała ziemiami wybranymi spośród własnych, ale Yrene słyszała na temat Reni niejedną plotkę. Inne uzdrowicielki szeptały, że gdy Renia znalazła się w centrum zainteresowania Hasar, Hafiza została poproszona o uporanie się z pewnymi nieprzyjemnymi konsekwencjami poprzedniego stylu życia młodej kochanki. Przepuszczalnie chodziło o jej byłą profesję. Yrene nigdy nie pytała Hasar o szczegóły, ale niezachwiana lojalność Reni dała jej do myślenia i wielokrotnie przyszło jej do głowy, iż księżniczka lubi opowieść o tajemniczej wybawicielce Yrene, dlatego że kiedyś sama natrafiła na cierpiącą kobietę i wybawiła ją z niedoli. A potem ją zatrzymała.

– I uśmiechasz się dziś więcej – dodała Hasar, odkładając szklane pióro. – Choć powinnaś się wstydzić za to, co na siebie założyłaś.

– Poświęciłam swe ubranie w trakcie leczenia lorda Westfalla – rzekła Yrene i potarła skronie. Nadal dokuczał jej tępy ból głowy, którego nawet herbata i karob nie mogły przegonić. – Okazał mi wielką uprzejmość i użył mi co nieco z własnej garderoby.

Hasar uśmiechnęła się lekko.

– Ten i ów mógłby rzec, iż straciłaś swe ubranie z o wiele mniej niewinnego powodu.

– Mam nadzieję, że ów ktoś przypomniałby sobie w porę, iż jestem profesjonalną uzdrowicielką z Torre – odcięła się Yrene, choć jej twarz zapłonęła rumieńcem.

– Co tylko dodałoby plotce atrakcyjności.

– Odnoszę wrażenie, że ludzie mają ciekawsze tematy do rozmów niż nikomu nieznaną uzdrowicielką.

– Nieoficjalnie jesteś dziedziczką Hafizy, co czyni cię nieco bardziej interesującym tematem.

Szczerze słowa Hasar bynajmniej Yrene nie uraziły. Nie zdradziła jeszcze księżniczce, że szykuje się do wyjazdu, a Najwyższa Uzdrowicielka będzie musiała znaleźć kogoś innego na jej miejsce. Była przekonana, że księżniczka się na to nie zgodzi, i zastanawiała się, czy w ogóle pozwoli jej wyjechać. Martwiła się o reakcję Kashina, a przecież Hasar...

– Mniejsza o to. Nie mam żadnych planów odnośnie do lorda Westfalla.

– A powinnaś. Jest niepokojąco przystojny. Nawet ja czuję pokusę.

– Naprawdę?

Hasar parsknęła śmiechem.

– Nie, skądże. Ale wiem, dlaczego ty mogłabyś czuć.

– Łączy go coś z kapitanem Faliq.

– A gdyby tak nie było?

Yrene upiła łyk herbaty.

– Lord Westfall jest moim pacjentem, a ja jestem jego uzdrowicielką. Na tym świecie roi się od innych, przystojnych mężczyzn.

– Jak na przykład Kashin.

Yrene zmarszczyła brwi, spoglądając na księżniczkę zza czarno-złotej krawędzi swej filizanki.

– Ustawicznie wyciągasz temat swego brata. Czy to ty go zachęcasz?

Hasar ułożyła dłoń na piersi. Starannie wypielęgnowane paznokcie błysnęły w popołudniowym słońcu.

– Póki się nie zjawiłaś, Kashin nie miał żadnych problemów z kobietami. Łączyła was kiedyś bliska przyjaźń. Dlaczego nie miałabym marzyć o tym, by moja droga przyjaciółka oraz mój brat stworzyli mocniejszy związek?

– Ponieważ jeśli zajmiesz miejsce swego ojca, a Kashin nie złoży ci hołdu, możesz skazać nas oboje na śmierć.

– Jeśli Kashin się nie ukorzy? Tak, możliwe, że bym go ścięła. Tobie zaś, po zagwarantowaniu sukcesji mojej linii, pozwoliłabym po nim posprzątać i zachować bogactwo, chyba że urodziłabyś mu dzieci.

Słowa Hasar wydawały się beztrudne, wręcz rzucone od niechcenia, ale kryło się w nich okrucieństwo. Mówiła o straszliwych metodach, jakie stosowano, by powstrzymać to wspaniałe, rozległe

imperium przed upadkiem. Yrene pożałowała, że nie ma przy nich Kashina. Chciała, by to usłyszał i ją zrozumiał.

– A w jaki sposób chcesz sobie zapewnić sukcesję? – spytała.

Miejsce Wielkiej Cesarzowej miała przypuszczalnie zająć Renia, a więc Hasar powinna zrobić coś, by urodzić dziecko. Słyszac słowa uzdrowicielki, księżniczka znów zaczęła przesuwac pionki po mapie.

– Omówiłam to już z ojcem, a szczegóły nie powinny cię interesować.

Jasne. Bo jeśli wybrała do tego celu jakiegoś mężczyznę, należało to zachować w tajemnicy. Jej rodzeństwo mogło wszak próbować wyeliminować człowieka, któremu Hasar i Renia zaufały na tyle, by poprosić go o pomoc. Lub zapłacić wielkie pieniądze każdemu, kto byłby gotów zdradzić, że obie dziewczyny w ogóle rozważają takie rozwiązanie.

– Słyszałam, że ów morderca w bibliotece tak naprawdę szukał ciebie. – Hasar zmieniła temat, a na jej twarzy pojawiła się bezlitosna zaciętość. – Czemu najpierw nie przyszedł z tym do mnie?

Yrene nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, ale na szczęście Hasar ciągnęła:

– Mówią, że była to bardzo dziwna śmierć. Nie miała w sobie nic typowego.

Yrene wielokrotnie próbowała wyprzeć z pamięci wspomnienie straszliwie wychudzonej twarzy.

– To prawda.

Hasar upiła łyk herbaty.

– Nie interesuje mnie to, czy ktoś świadomie próbował targnąć się na twe życie, czy może był to jedynie nieszczęsny, żalorny zbieg okoliczności. – Z precyzją odstawiła filiżankę na podstawkę. – Kiedy znajdę winnego, osobiście odrąbię mu głowę.

Postukała przy tym palcem w rękojęść sztyletu tkwiącego w pochwie leżącej przy skraju dębowego biurka. Yrene nie wątpiła w szczerosc jej intencji.

– Mówiono mi też, że niebezpieczeństwo jest... istotne – dodała po chwili księżniczka. – Nie podoba mi się to, że ktoś poluje na moją przyjaciółkę jak na dzikie zwierzę. – Mówiła już nie głosem księżniczki, ale królowej wojowniczkii. – A już tym bardziej nie podoba mi się to, że uzdrowicielki z Torre są zabijane i terroryzowane.

Hasar można było zarzucić wiele rzeczy, ale na pewno była lojalna aż do bólu. Była gotowa zrobić absolutnie wszystko dla tych nielicznych ludzi, którzy zamieszkali w jej sercu, co zawsze wzruszało Yrene. Cieszyła się, że ma przy sobie kogoś, kto nie rzuca słów na wiatr. Gdyby jakimś zrzędzeniem losu Hasar dorwała zabójcę, zgładziłaby go bez wahania i nie zadawałaby żadnych pytań.

Yrene przypomniwała sobie wszystko, co wiedziała o domniemanym mordercy. Chciała powiedzieć księżniczce, że ucięcie głowy w rzeczywistości było jedynym skutecznym sposobem na rozprawienie się z Valgiem, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Ucięcie głowy... A co należy począc w sytuacji, gdy człowiek musi się zmierzyć z pozostałościami po Valgu w czyimś ciele?

Sesja z lordem Westfallem była strasznym, wyczerpującym przeżyciem, ale Yrene zdążyła już przemyśleć i przeanalizować wszystkie zdobyte skrawki informacji. Czuła, że może się to przydać nie tylko do samego leczenia, ale również później, gdy przyjdzie jej spotkać Valgów na polach bitew, nawet jeśli na samą myśl o spotkaniu z Valgami w ciałach ludzi...

Upiła łyk herbaty, by uspokoić nerwy, a potem zapytała:

– Nie martwi cię, że to wszystko nie jest wyłącznie zbiegiem okoliczności? Że nie przez przypadek wróg pojawia się w sercu naszej stolicy w chwili, gdy Północny Kontynent rozdziera wojna?

Nie miała odwagi wspomnieć o śmierci Tumelun.

– Być może lord Westfall i kapitan Faliq przybyli z własnymi szpiegami, by cię tropić.

– To niemożliwe.

– A skąd ta pewność? Oni są zdesperowani, a desperacja popycha ludzi do niepojętych czynów. Są gotowi zrobić wszystko, co trzeba, by osiągnąć swój cel.

– A czego chcieliby ode mnie ponad to, co już im dają?

Hasar przywołała Yrene pstryknięciem palców. Uzdrowicielka odstawiła filiżankę i przeszła po

ciemnoniebieskim dywanie do biurka, stojącego pod oknem, z którego rozciągał się wspaniały widok na zatokę. Yrene widziała kotwiczące statki, chmury mew, a dalej migotliwe wody Wąskiego Morza. Jednakże Hasar kazała jej spojrzeć na mapę.

– Co tu widzisz?

Yrene rozpoznała kontury i natychmiast poczuła ucisk w gardle. Mapa przedstawiała Północny Kontynent, jej ojczyznę, a rozstawione na niej czerwone, zielone i czarne figurki...

– Czy to... czy to armie?

– To siły księcia Perringtona. – Hasar wskazała szereg czarnych figurek, które tworzyły linię przecinającą kontynent. Na południu znajdowało się kilka innych skupisk czerni, a na północy widniało jedno zielone, o wiele mniejsze. Na brzegu niedaleko wybrzeży Rifthold stała ponadto samotna czerwona figurka.

– A te pozostałe?

– W Terrasenie zebrała się niewielka armia – rzekła Hasar i parsknęła śmiechem, wskazując zielone figurki skupione wokół Orynthu.

– A w Adarlanie?

Hasar podniosła czerwoną figurkę i wstawiła ją między dwie inne.

– Nie ma tam żadnych sił godnych wzmianki, a los Doriana Havilliarda pozostaje nieznany. Nie wiemy, czy umknie na południe, czy też na północ. Może ucieknie w głąb lądu, ale za górami nie ma nic interesującego, nie licząc półdzikich plemion.

– A co to za figurka? – spytała Yrene, widząc złotego pionka, którego Hasar całkiem zdjęła z mapy.

Księżniczka również go podniosła.

– To Aelin Galathynius. O niej też nic nie wiemy.

– Nie ma jej w Terrasenie? Z jej armią?

– Nie. – Hasar poklepała dokumenty, do których zaglądała podczas korygowania pozycji wojsk. „To meldunki i raporty” – uzmysłowiła sobie Yrene.

– Wedle ostatnich doniesień królowej Terrasenu nie ma w jej własnym państwie. Na próżno też jej szukać wszędzie indziej. – Księżniczka uśmiechnęła się lekko. – Choć może powinnaś spytać o to swego lorda.

– Wątpię, czy cokolwiek mi powie – odparła Yrene. Nie miała ochoty mówić Hasar, że wcale nie był jej lordem.

– No to spróbuj go do tego skłonić.

– Dlaczego? – spytała ostrożnie Yrene.

– Bo chciałabym to wiedzieć.

Yrene umiała już czytać między wierszami i zrozumiała, że Hasar potrzebuje tej informacji. Musiała się tego dowiedzieć przed ojcem i rodzeństwem.

– Po co ci to?

– Kiedy znika ktoś, kto włada tak wielką magią, nie jest to bynajmniej powód do celebracji. Zwłaszcza gdy jest to ktoś, kto dla kaprysu niszczy pałace i zajmuje całe miasta.

A więc lęk. Hasar dobrze kryła swoje obawy, ale przynajmniej uświadamiała sobie to, że Aelin Galathynius może kiedyś zainteresować się ziemiami leżącymi poza jej królestwem. Ale zaraz... Miałyby odgrywać dla Hasar rolę szpiega?

– Myślisz, że morderstwo w bibliotece miało z tym jakiś związek?

– Myślę, że lord Westfall i kapitan Faliq być może dobrze wiedzą, co robią. Gdyby dali do zrozumienia, że Perrington zaczął zagrażać również i nam, moglibyśmy zastanowić się, czy nie zawrzeć z nimi sojuszu, prawda?

Yrene nie wydawało się, by Westfall i Faliq w ogóle byli zdolni do takich rozgrywek.

– Myślisz, że robią to, by pomóc Aelin Galathynius? Lub może dlatego, że zaginęła i sami boją się stracić potężnego sojusznika?

– Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć. Do tego pragnę poznać miejsce, w którym przebywa

ich królowa. Przynajmniej mniej więcej.

Yrene wyteżyła wszystkie siły, by wytrzymać spojrzenie księżniczki.

– A czemu miałabym ci pomóc?

Ta odpowiedziała jej uśmiechem godnym kocicy Baast.

– Choćby dlatego, że jesteśmy serdecznymi przyjaciółkami. Chyba że istnieje coś, czym mogłabym osłodzić moją propozycję, ma słodka Yrene?

– Mam wszystko, czego mi trzeba.

– Tak, ale pamiętasz, że wszystkie armady należą do mnie? Że Wąskie Morze również jest moje? Przeprowa na drugi brzeg może być bardzo, bardzo trudna dla każdego, kto o tym zapomni.

Yrene nie miała odwagi, żeby się wycofać. Nie ośmieliła się odwrócić wzroku od spojrzenia ciemnych oczu księżniczki.

A więc wiedziała. Hasar wiedziała bądź odgadła, że Yrene chce opuścić Antycę. I jeśli jej nie pomoże... Zdawała sobie sprawę, że miłość okazywana przez księżniczkę mogła się okazać równie gorąca i intensywna jak jej żądza zemsty, a wówczas Yrene już nigdy nie zdoła opuścić Południowego Kontynentu.

– Zobaczę, czego mi się uda dowiedzieć – odparła twardym głosem.

– Dobrze – oświadczyła Hasar, po czym jednym ruchem ręki zsunęła pionki z mapy do otwartej szuflady i zatrzęsła ją głośno. – Zaczniemy od tego, że pojutrze udasz się wraz ze mną na ucztę ku czci Tehome. Co ty na to? Mogę jakoś zająć Kashina, jeśli ci to w czymś pomoże.

Yrene przewróciło się w żołądku. Całkiem zapomniała, że święto Bogini Morza wypada już za dwa dni. Szczerze powiedziawszy, rozmaite święta miały w Antyce miejsce średnio raz w tygodniu, a Yrene chętnie w nich uczestniczyła, jeśli mogła, ale to akurat...

Sprawująca kontrolę nad flotą, Wąskim Morzem i kilkoma portami Hasar z pewnością chciała obchodzić święto ku czci Tehome, a cały kaganat był gotów pójść w jej ślady i uczcić Panią Wielkiej Głębi, tym bardziej że morza i oceany okazywały im wielką łaskę przez ostatnie stulecia. Yrene nie miała odwagi odmówić i nie zawahała się, gdy Hasar przeszła ją swoim przenikliwym spojrzeniem.

– O ile nie masz nic przeciwko, że założę tę samą suknię co kilka dni temu – powiedziała najswobodniej jak umiała, skubiąc brzegi nazbyt wielkiej koszuli.

– Nie ma takiej potrzeby. – Hasar uśmiechnęła się szeroko. – Wybrałam już coś dla ciebie.

Chaol poruszał palcami u nóg jeszcze długo po wyjściu Yrene. Przebierał nimi w butach – nie czuł ich do końca, ale wystarczała mu świadomość, że się poruszają. Nie miał pojęcia, jak Yrene tego dokonała.

Nie powiedział o niczym Nesryn, która wróciła przed kolacją i zameldowała, że nie natrafiła na żadne ślady Valgów. Przyznał się jej po cichu tylko do tego, że poczynił z Yrene pewne postępy i wolałby przełożyć jutrzejszą wizytę u jej rodziny na kolejny dzień. Dziewczyna wydawała się rozczarowana, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą i zgodziła się.

Pocałował ją, gdy go mijała, by się przebrać.

Złapał ją za nadgarstek, przyciągnął do siebie i pocałował. Lekko, ale stanowczo.

Nesryn była tak tym zaskoczona, że nim się odsunął, nie zdążyła nawet go dotknąć.

– Szykuj się – powiedział i wskazał jej drogę do sypialni.

Spojrzała na niego przez ramię i uśmiechnęła się lekko, ale posłuchała go.

Chaol przez chwilę patrzył w ślad za nią, przebierając palcami w butach. W ich pocałunku nie było ognia, nie było prawdziwych uczuć. Spodziewał się tego. Przecież praktycznie odpychał ją od siebie przez ostatnie tygodnie. Nie winił jej za nic.

Nadal poruszał palcami, gdy dotarli na wieczerzę. Obiecał sobie w duchu, że tego wieczoru poprosi kagana o audiencję. Ponownie. Mniejsza o protokół dworski czy żalobę. Musiał się z nim spotkać, musiał go ostrzec. Musiał mu opowiedzieć o wszystkim, co wiedział.

Postanowił, że poprosi o spotkanie przed przybyciem Yrene, gdyż ich sesje okazywały się wyjątkowo długie. Zupełnie tracili rachubę czasu – dziś, na przykład, spędziła u niego trzy godziny. Trzy! Gardło nadal go bolało pomimo porcji herbaty z miodem, którą Yrene wlewała w niego, aż zrobiło mu się niedobrze. Potem zmusiła go do ćwiczeń, przy których musiała mu asystować – obracała jego biodra, skręcała nogi to w jedną, to w drugą stronę, kręciła jego kostkami i stopami. Wyjaśniła mu, że dzięki temu krew nadal napływa do mięśni narażonych na atrofię i odtwarzają się połączenia między kręgosłupem i mózgiem.

Powtarzała ćwiczenia raz za razem, aż minęła godzina, a ona sama zaczęła słać się na nogach, a jej oczy zeszkliło znużenie. Była wyczerpana.

Mimo to jeszcze przez moment obracała jego nogami i co rusz kazała mu poruszać palcami u stóp. Przepuszczała również przez jego nogi impulsy magiczne, całkowicie omijając kręgosłup. Chaol czuł wówczas dziesiątki delikatnych ukłuc, jakby na jego palcach siadały roje świetlików. Nie poczuł niczego więcej, choć Yrene przez cały czas próbowała naprawić łączność między kręgosłupem a mózgiem. Robiła wszystko, co mogła, by postęp sprzed paru godzin nie poszedł na marne.

Użyła takiej ilości magii... Gdy znów się zatoczyła po zakończeniu ostatniej serii ćwiczeń, Chaol wezwał Kadję i kazał jej zorganizować powóz ze zbrojną eskortą.

Yrene, ku jego zdziwieniu, nie sprzeciwiła się, choć zapewne po prostu nie miała już na to siły. Miał wrażenie, że tuż przed wyjściem z jego komnat praktycznie spała na stojąco, a Kadja podpierała ją, by nie upadła. Uzdrowicielka bąknęła jeszcze coś o tym, by znalazł się w siodle przed śniadaniem, i opuściła go.

Niewykluczone jednak, że wyczerpał swoje szczęście na ten dzień. Kilka godzin później kagan nie pojawił się na wieczerzy, a Chaol usłyszał, że zasiadł do jedzenia w towarzystwie ukochanej żony w osobistych komnatach. Przekaz tych słów był oczywisty – żaloba musi się skończyć w naturalny sposób, a do tego czasu należy odłożyć politykę na bok. Chaol najlepiej jak umiał udawał wyrozumiałość.

Zauważył, że Nesryn dogadywała się coraz lepiej z Sartaqiem i w duchu cieszył się z tego, gdyż większość rodziny kagana znudziła się już zamorskimi gośćmi. Jadł więc, przebierał palcami w butach i nadal nie mówił nikomu o niczym, nawet Nesryn. Wkrótce wrócili do apartamentu, a wtedy zwałił się na łóżko i zasnął.

Przebudził się o świcie i odkrył, że ma wielką ochotę umyć się i ubrać. Śniadanie spałaszował z ogromnym apetytem, co sprawiło, że Nesryn uniosła wysoko brwi. Ona również wstała wcześniej, gdyż spieszyła się na spotkanie z Sartaqiem w jednym z trzydziestu sześciu minaretów pałacu.

Wieżyczki reprezentowały cały panteon kaganatu. Następnego dnia wypadało święto ku czci jednej z ich bogiń, Bogini Morza Tehome. Ceremonia miała się odbyć o wschodzie słońca w porcie, a swój udział zapowiedziało wielu członków rodziny kagana łącznie z nim samym. Wszyscy chcieli oddać hołd bogini, kładąc wieniec na morskich falach. Nesryn powiedziała mu, że to dary dla Pani Wielkiej Głębi. Następnie, po zachodzie słońca, miała się odbyć wielka uczta.

Adarlańskie uroczystości religijne zawsze były mu obojętne. Uważał je za pradawne, nieaktualne rytuały, które miały na celu uczczenie sił i żywiołów niezrozumiałych dla jego przodków. Ale to gorączkowe zamieszanie wokół pałacu kagana i wieńce z kwiatów oraz muszli, które wreszcie zastąpiły białe proporce, aromat skorupiaków przypiekanych z masłem i przyprawami... Wszystko to zaczęło go intrygować. Rozglądał się z rosnącym zainteresowaniem, popychając swój fotel na kółkach przez wypełniony radosną krzątanią pałac.

Na dziedzińcu, pełnym krzątających się cyrkowców, muzyków i dostawców jedzenia, panowało jeszcze większe zamieszanie. Rządzący imperium nie szczędzili wysiłku, by wyjednać łaskę u Bogini Morza, tym bardziej że lato miało niebawem ustąpić miejsca corocznym sztormom, które potrafiły rozbić zagłowce na strzepy i zniszczyć całe miasta na wybrzeżu.

Chaol, nie przestając prężyć palców u nóg, rozglądał się po dziedzińcu w poszukiwaniu Yrene, aż dostrzegł ich wierzchowce przy zagrodach pod wschodnim murem. Nie widział jednak samej uzdrowicielki. Pamiętał, że poprzedniego dnia spóźniła się, a więc czekał cierpliwie, aż zamieszanie wywołane przez dostawców straciło na intensywności. Wówczas skinął na stajennych, by pomogli mu dosiąść konia.

Podszedł do niego ten sam strażnik co wczoraj. Ten, który pomógł mu najbardziej. Yrene nazywała go Shen i przywitała się z nim serdecznie, jakby go dobrze знаła. Shen nie odezwał się ani słowem i ograniczył się jedynie do skinienia głową na powitanie, choć Chaol wiedział, że każdy strażnik w pałacu znał jakieś języki poza halha.

Odpowiedział mu tym samym, po czym w milczeniu wspiał się na konia. Mięśnie jego ramion aż zadrżały z wielkiego wysiłku, ale po chwili siedział już w siodle. Poszło mu chyba lepiej niż poprzedniego dnia. Przez twarz Shena przemknął ledwie zauważalny uśmiech, po czym strażnik wrócił na stanowisko. Chaol zaś, tłumiąc własny entuzjizm, przypiął nogi do szyn i przyjrzał się chaosowi, panującemu nadal na dziedzińcu oraz za otwartymi bramami. Straże cierpliwie sprawdzały każdy wóz i każdy dokument, który potwierdzał, że wwożone towary zostały zamówione na rozkaz kagana.

Dobrze. Nie udało mu się co prawda osobiście porozmawiać z kaganem, ale ktoś przynajmniej ostrzegł strażę, by zachowały czujność. Zapewne Kashin.

Słońce znajdowało się coraz wyżej na niebie i robiło się gorąco. Mimo to nadal nie widział Yrene. W głębi pałacu rozległ się jakiś zegar. Uzdrowicielka spóźniła się już godzinę.

Jego klacz zaczynała się niecierpliwić. Poklepał jej mocny, spocony kark i wyszeptał kilka słów pociechy.

Minął kolejny kwadrans. Chaol przyglądał się bramom i ciągnącym się za nimi ulicom. Nie było co prawda żadnych sygnałów, jakoby w Torre stało się coś złego, ale miałyby tak siedzieć i beczynn timer czekać?

Naraz złapał się na tym, że łapie za wodze i klepie konia po boku, by ten ruszył przed siebie. Zapamiętał trasę, którą wczoraj prowadziła go Yrene. Może będzie miał szczęście i wpadnie na nią po drodze?

\*\*\*

Na ulicach Antiki roiło się od handlarzy i ludzi szykujących się do jutrzejszego święta. Tawerny i jadłodajnie wypełnili klienci, którzy już wznosili toasty za Panią Wielką Głębi, wszędzie przygrywali muzycy. Dotarcie do zdobionych motywem sowy bram Torre zabrało Chaolowi dwakroć tyle czasu co wczoraj, ale przyczyną było to, że rozglądał się w poszukiwaniu Yrene na każdej zatłoczonej uliczce.

Nigdzie jednak nie było ani śladu dziewczyny.

Gdy stanęli u bram Torre, zarówno on, jak i klacz ociekali potem. Strażnicy, których również pamiętał z poprzedniego dnia, powitali go uśmiechami. Ileż to razy witano go w ten sposób w Adarlanie? Ileż to razy uznawano jego pojawienie się za coś oczywistego?

Zawsze bez wahania przejeżdżał przez czarne, żelazne bramy, kierując się do szklanego zamku, choć zwracał uwagę na swoich ludzi. Sprawdzał, czy wszyscy są na posterunkach i czy ich prezencja nie budzi jakichś zastrzeżeń. Przecież ich trenował, znał ich rodziny, wiedział, co się działo w ich życiu. Jego ludzie. Tak, to byli jego ludzie.

Uśmiech, którym odpowiedział, był skąpy, wymuszony. Nie mógł się też przemóc, by spojrzeć im w oczy. Odwracając wzrok, wjechał na dziedziniec, gdzie otoczył go zapach lawendy.

Mimo to wstrzymał klacz, zawrócił ją i zapytał najbliższego strażnika.

– Czy Yrene Towers wychodziła dziś z Torre?

Żołnierze pilnujący wieży, podobnie jak ci w pałacu, mówili płynnie co najmniej w trzech językach – halha, mowie z północy oraz języku ze wschodu kontynentu. Torre odwiedzali wszak podróżni z całej Erilei, przez co strzegący jej ludzie musieli być w stanie porozumieć się ze wszystkimi.

Strażnik stojący przed nim potrząsnął głową. Krople potu spływały po jego ciemnej skórze.

– Jeszcze nie, lordzie Westfall.

Być może miała wiele innych spraw, którymi pilnie należało się zająć i szukając jej, zachował się nietaktownie. Wspominała przecież przy nim o reszcie pacjentów. Skinął więc strażnikowi i zawrócił konia ponownie ku Torre. Chciał się skierować ku dziedzińcowi po lewej, gdy niespodziewanie usłyszał głos należący do sędziwej kobiety:

– Lordzie Westfall! Bardzo się cieszę, że cię widzę tak aktywnego!

Najwyższa Uzdrowicielka Hafiza stała kilka kroków dalej w asyście dwóch innych uzdrowicielek w średnim wieku. Na szczupłym przedramieniu trzymała koszyk. Strażnicy uklonili się jej, Chaol również pochylił głowę.

– Szukałem Yrene – powiedział zamiast słów powitania.

Białe brwi Hafizy uniosły się.

– Nie przyszła do ciebie dziś rano?

Żołądek mężczyzny ścisnął niepokój.

– Nie, ale być może minąłem się z nią.

Jedna z uzdrowicielek towarzyszących Hafizie zrobiła krok naprzód.

– Yrene leży w łóżku, pani – szepnęła starszycie do ucha.

– O tej godzinie?

Tamta pokręciła głową.

– Jest wyczerpana i pozbawiona magii. Eretia zaglądała do niej godzinę temu, ale wciąż spała.

Hafiza zacisnęła mocno usta.

Chaol miał wrażenie, że wie, co za chwilę usłyszy. Poczucie winy zalało go, jeszcze nim usłyszał pierwsze słowa starszyci.

– Dzięki naszym mocom możemy dokonać wielkich rzeczy, lordzie Westfall, ale ich wykorzystanie wiele nas kosztuje. Yrene...

Zastanowiła się nad tym, co chce powiedzieć. Chaol nie wiedział, czy trudno jest jej dobrać słowa w obcym języku, czy może chce mu oszczędzić poczucia winy.

– Spała w powozie, który zajechał wczoraj pod Torre. Trzeba było ją zanieść do pokoju.

Chaol aż się skulił. Hafiza postukała go dłonią po bucie, a mężczyzna miał wrażenie, że wyczuwa to palcami nóg.

– To nie powód do obaw, milordzie. Niech odeśpi ten dzień, a jutro rano znów stawi się w pałacu.

– Jutro wypada święto. Może powinna wziąć dzień wolnego? – zaproponował Chaol.

Hafiza zachichotała.

– Nie znasz jeszcze Yrene, jeśli myślisz, że dla niej święta to wolne dni – oznajmiła, a potem wycelowała w niego palcem. – Choć jeśli tobie marzy się chwila wytchnienia, lepiej daj jej znać.

W przeciwnym razie przypuszczalnie zastuka do twoich drzwi tuż po wschodzie słońca.

Chaol uśmiechnął się i spojrzął na wieżę, która wznosiła się ku niebu.

– To sen regenerujący – dodała Hafiza. – Całkowicie naturalna rzecz. Nie przejmuj się tym.

Chaol raz jeszcze zerknął na wysoką, jasną wieżę, po czym skinął głową i zawrócił konia ku bramom.

– Czy mogę cię gdzieś odprowadzić? – spytał.

Uśmiech Hafizy był promienny niczym słońce w południe.

– Będę zaszczycona, lordzie Westfall.

\*\*\*

Najwyższa Uzdrowicielka była zatrzymywana na każdej ulicy przez ludzi, którzy chcieli ją dotknąć lub prosili, by ona dotknęła ich. Była dla nich kimś świętym. Błogosławionym. Ukochanym.

Minęło pół godziny, nim przebyli ledwo pół tuzina ulic. Ich celem był skromnie wyglądający dom przy cichej uliczce. Chaol zaproponował, że zaczeka na Hafizę i jej towarzyszkę, lecz one odprawiły go, machając rękami.

Ulice były tak zatłoczone, że Chaol stracił ochotę na dalsze rozglądanie się – skierował się z powrotem w stronę pałacu. Mimo to jego wzrok umykał wciąż ku jasnej wieży, istnemu kolosowi na horyzoncie, a myśli szukały uzdrowicielki, która w niej spała.

\*\*\*

Yrene przespała półtora dnia.

Z początku wcale nie miała takiego zamiaru, ale ledwie zdołała się rozbudzić na tyle, by zaspokoić podstawowe potrzeby i przegonić Eretię, która przybyła, by ją szturchnąć i przekonać się, czy żyje.

Sesja uzdrowicielska przeprowadzona poprzedniego dnia całkiem ją wyczerpała.

„To nie było wczoraj, ale dwa dni temu” – uświadomiła sobie, ubierając się w szarym blasku nadciągającego świtu.

Ów skromny postęp i późniejsze krwawienie z nosa kosztowało ją naprawdę wiele, ale przecież poruszył palcami u nóg! A te kanały, którymi popchnęła swą magię, owe plamki światła, które go przeszły... Tak, lord Westfall bardzo ucierpiał, ale gdyby zaczęła powoli, cierpliwie zastępować te postrzępione, zniszczone ośrodki przekazywania informacji w jego ciele...

Czekała ją długa, ciężka praca, ale...

Yrene doskonale wiedziała, że nie tylko poczucie winy sprawiło, że tak szybko wstała z łóżka w Dniu Tehome.

On przecież był z Adarlanu i nie sądziła, by przejmował się miejscowymi świętami.

Świt się dopiero zaczynał, gdy Yrene wyszła na dziedziniec przed Torre i zatrzymała się. Pierwsze złociste promienie słońca przemknęły nad murami otaczającymi kompleks i niczym włócznie przeszły granatowe cienie, a jeden z nich...

Jeden z nich padł na jego brązowe włosy.

– A więc już wstałaś – oznajmił lord Chaol.

Podeszła do niego. Żwir zgrzytał pod jej stopami.

– Przyjechałeś tu konno?

– Sam jeden.

Uniosła jedynie brew, patrząc na białą klacz, stojącą obok jego wierzchowca.

– I przyprowadziłeś drugiego konia?

– Jestem dżentelmenem w każdym calu.

Założyła ramiona na piersi i spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Jakies postępy? – spytała.

Poranne słońce zamieniło jego brązowe oczy w niemalże złote.

– Jak się czujesz?

– Odpowiedz na moje pytanie, proszę.



– Ty pierwsza.

Wpatrywała się w niego zaskoczona. Zastanawiała się, czy nie zmierzyć go ostrym spojrzeniem.

– Nic mi nie jest – odparła i machnęła ręką na poparcie swych słów. – Czy zauważyłeś kolejne...

– Odpoczęłaś jak należy?

Tym razem Yrene rozdziawiła usta ze zdziwieniem.

– Tak – odparła, nie powstrzymując już niechętnego spojrzenia. – Choć to kompletnie nie twoja sprawa.

– Owszem, moja – odparł z absolutnym spokojem i tym typowym dla mężczyzn przeświadczeniem o swojej racji.

– Wiem, że w Adarlanie kobiety słuchają wszystkiego, co mówią mężczyźni, i kłaniają się im przy każdym zdaniu, ale tutaj jest inaczej. Jeśli mówię, że coś nie jest twoją sprawą, to nie jest i już.

Chaol uśmiechnął się lekko.

– A więc powróciliśmy do wrogich stosunków.

Yrene miała ochotę na niego wrzasnąć.

– Do niczego nie wróciliśmy. Jestem twoją uzdrowicielką, a ty jesteś moim pacjentem. Chciałam poznać stan twego...

– Jeśli nie odpoczęłaś jak należy – przerwał jej, jakby była to najbardziej stosowna rzecz na świecie – nie ma dziś mowy o żadnym leczeniu.

Yrene otworzyła i zamknęła usta.

– A niby w jaki sposób to ustalisz?

Chaol otaksował ją powolnym spojrzeniem. Skrawek po skrawku. Patrzył na nią tak, że jej serce mocniej zabiło. Nigdy dotąd nikt nie przyglądał się jej z tak intensywną uwagą.

– Odzyskałaś rumieńce – rzekł. – Nie garbisz się. Pyskowanie również ci wychodzi.

– Nie jestem koniem na sprzedaż, jak sam powiedziałeś wczoraj.

– Dwa dni temu.

Yrene oparła dłonie na biodrach.

– Nic mi nie jest. A co u ciebie? – Mówiąc, kładła nacisk na każde słowo z osobna.

Chaol przewrócił oczami.

– Mam się całkiem dobrze, Yrene. Dziękuję, że pytasz.

Yrene. Gdyby nie miała ochoty wskoczyć na jego konia i udusić go bez litości, być może zastanowiłaby się nad tym, jak wypowiedział jej imię. Zrobił to bowiem tak, że miała ochotę skulić palce u nóg. Zamiast tego syknęła:

– Mylisz moją życzliwość z głupotą. Jeśli poczyniłeś jakieś postępy bądź nastąpił regres, dowiem się o tym.

– Jeśli tak wygląda twoja życzliwość, to chyba nie chcę poznać złych stron twego charakteru.

Wiedziała, że miał to być dowcip, ale mimo to zeszywniała. Chaol najwyraźniej to wyczuł, gdyż pochylił się w siodle.

– To był tylko żart, Yrene. Okazałaś mi więcej życzliwości niż... Tak, to tylko dowcip.

Uzdrowicielka wzruszyła ramionami i zrobiła krok w kierunku białego konia.

– Jak się miewają inne uzdrowicielki? – spytał Chaol, być może próbując wrócić na neutralny grunt. – No wiesz... Po tym morderstwie?

Po plecach Yrene spłynął zimny dreszcz. Złapała za siodło klaczy, ale zamarła, jakby rozmyśliła się i nie chciała jej dotknąć. Zaproponowała, że pomoże podczas pogrzebu, ale Hafiza odmówiła i kazała zachować siły na lorda Westfalla. Nie powstrzymało jej to jednak przed odwiedzeniem kostnicy w podziemiach Torre przed dwoma dniami. Przyjrzała się wówczas wysuszonemu ciału leżącemu na kamiennej płycie w skalnej pieczarze. Przyjrzała się przeraźliwie chudej twarzy i kościom, które sterczały spod skóry cienkiej jak papier. Przed wyjściem odmówiła modlitwę do Silby, a sam pogrzeb w katakumbach pod wieżą po prostu przespała.

Spojrzała na wieżę, pnącą się ku niebu. Jej bliskość zawsze przynosiła jej pociechę i pokrzepienie, ale teraz... Od owej nocy w bibliotece, mimo największych wysiłków Hafizy i Eretii, na

korytarzach i w salach wieży panowała cisza. Zupełnie jakby światło, które kiedyś przepełniało to miejsce, zgasło bezpowrotnie.

– Walczą, by utrzymać wrażenie normalności – powiedziała w końcu. – Myślę, że chcą w ten sposób sprzeciwić się temu, kto... kto to zrobił. Hafiza i Eretia dają wszystkim przykład. Są spokojne, skupione, uśmiechają się, gdy tylko mogą. Myślę, że dzięki temu inne dziewczęta nie są aż tak przerażone.

– Jeśli chcesz, bym pomógł podczas kolejnych zajęć, jestem do twojej dyspozycji.

Yrene pokiwała nieprzytomnie głową i musnęła kciukiem uprząż. Przez chwilę panowała cisza. Powietrze przepełniał zapach lawendy i drzewek cytrynowych rosnących w donicach. A potem...

– Naprawdę chciałaś wdrzeć się do mojego pokoju o świcie? – zapytał Chaol.

Yrene odwróciła się od cierpliwej, białej kłaczy.

– Nie wydajesz się należeć do tych, którzy lubią wylegiwać się długo w łóżku – odparła, unosząc brwi. – Choć jeśli ty i kapitan Faliq oddajecie się...

– Możesz przychodzić o świcie, jeśli chcesz.

Pokiwała głową, choć uwielbiała sen.

– Chciałam przed tobą odwiedzić innego pacjenta, gdyż my... Cóż, na ogół sesja z tobą zajmuje dużo czasu.

Nie odpowiedział, więc dodała:

– Możemy się spotkać w pałacu za dwie godziny, jeśli...

– Mogę pojechać z tobą. Nie mam nic przeciwko.

Yrene wypuściła wodze i przyjrzała się najpierw jemu, a potem jego nogom.

– Dobrze, ale najpierw chciałabym przeprowadzić z tobą kilka ćwiczeń.

– Na koniu?

Yrene podeszła bliżej. Żwir zgrzytał pod jej stopami.

– To tak naprawdę bardzo skuteczna terapia dla wielu ludzi, nie tylko tych, którzy cierpią z powodu obrażeń kręgosłupa. Ruchy idącego konia są w stanie poprawić przetwarzanie bodźców zmysłowych, a to dopiero pierwsza na długiej liście korzyści.

Odpięła rzemienie mocujące nogę do szyny i wysunęła jego stopę ze strzemienia.

– Zeszłej zimy na stepach uzdrowiłam młodego wojownika, który spadł z konia podczas wyczerpującego polowania. Jego obrażenia bardzo przypominały twoje. Jego plemię opracowało to siodło, nim tam dotarłam, gdyż ów wojownik miał jeszcze mniejszą ochotę, by siedzieć pod dachem niż ty.

Chaol parsknął i przeczesał dłonią włosy. Yrene zaś ujęła jego stopę i zaczęła ją obracać, pamiętając o koniu, na którym siedział.

– Zmuszenie go do wykonania jakichkolwiek ćwiczeń, od których zależało powodzenie terapii, okazało się orką na ugorze. Nie znośił leżeć i chciał czuć wiatr na twarzy, a więc by mieć choć chwilę spokoju, pozwoliłam mu usiąść w siodle i pojeździć trochę, a potem robiliśmy ćwiczenia, gdy nadal siedział w siodle. W zamian zgadzał się na bardziej ogólne ćwiczenia w namiocie. Niemniej na koniu robił takie postępy, że wkrótce stało się to główną częścią naszej terapii. – Yrene delikatnie zgięła i rozprostowała jego nogę. – Wiem, że nie czujesz wiele poza samymi palcami u nóg...

– Niczego nie czuję.

– ...ale chcę, byś nimi przebiegał. Ile tylko możesz. Próbuj też poruszyć całą nogą, ale skup się na stopach.

Chaol zamilkł. Yrene nie podnosiła głowy, skoncentrowana na ćwiczeniach, które można zrobić tylko z jeźdźcem na koniu. Od samego ciężaru jego nogi pot wystąpił jej na czoło, ale nie przerywała. Rozprostowywała ją, zginała, obracała i skręcała. Czarna skóra jego butów unosiła się przez cały czas. Naprawdę poruszał palcami u nóg!

– Dobrze – powiedziała. – Nie przerywaj.

Palce Chaola znów naparły na skórę butów.

– Chodzi o te stopy, z których wywodzi się lud kagana?

W pierwszej chwili Yrene nie odpowiedziała. Zamiast tego przeprowadziła drugą serię ćwiczeń, pilnując przy tym, by Chaol przez cały czas przebierał palcami. Potem wstawiła stopę w strzemię i przypięła nogę do szyny. Obeszła konia i odpięła drugą nogę.

– Tak – odparła. – Piękna, nieskalana kraina. Porośnięte trawą, ciągnące się bez końca wzgórza, tu i ówdzie sosnowe lasy oraz kilka nagich szczytów.

Stęknęła, unosząc drugą nogę. Rozpoczęła identyczne ćwiczenia co wcześniej.

– Wiesz, że pierwszy kagan podbił kontynent, mając pod sobą zaledwie sto tysięcy wojowników? I zabrało mu to cztery lata? – spytała i zadziwiona spojrzała na budzące się wokół nich miasto. – Znałam historię jego ludu i słyszałam o Darghanach, ale gdy udałam się na stepy, a Kashin opowiedział mi...

Zamilkła, żałując, że nie może cofnąć ostatnich słów.

– Księżę pojechał tam razem z tobą? – spytał Chaol od niechcienia, spokojnym głosem.

Yrene postukała go w but, by nie przestawał przebierać palcami. Chaol roześmiał się i spełnił jej prośbę.

– Tak. Kashin i Hafiza pojechali ze mną. Spędziliśmy tam ponad miesiąc. – Yrene wyginała jego stopę to w górę, to w dół, powoli, ale ze zdecydowaniem. Magia była bardzo istotna w uzdrawianiu, ale fizyczny element terapii odgrywał równie ważną rolę. – Ruszczasz palcami tyle, ile jesteś w stanie?

– Tak, proszę pani – parsknął Chaol.

Yrene ukryła uśmiech. Rozprostowała nogę najbardziej jak się dało i zaczęła zataczać nią małe kręgi.

– Domyślam się, że to podczas tej wyprawy księżę Kashin otworzył przed tobą serce?

Yrene niemalże puściła jego nogę. Uniosła głowę i spojrzała na niego z niechęcią, ale w jego intensywnie brązowych oczach odnalazła tylko rozbawienie.

– To nie twoja sprawa.

– Uwielbiam, jak to powtarzasz, tym bardziej że sama domagasz się, bym ci wszystko mówił.

Yrene przewróciła oczami i na powrót zajęła się zginaniem nogi Chaola w kolanie.

– Kashin był jednym z pierwszych przyjaciół, których tu znalazłam – powiedziała po dłuższej chwili. – Jednym z pierwszych moich przyjaciół w ogóle.

– Ach.

– A potem zapragnął czegoś więcej niż tylko przyjaźni.

Yrene w końcu opuściła jego nogę, przypięła ją do szyny i otarła z dłoni kurz pochodzący z jego butów. Oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego, mrużąc oczy przed porannym blaskiem.

– A ja sobie tego nie życzyłam, o czym mu powiedziałam. I na tym sprawa się kończy.

Usta Chaola drgnęły, jakby chciał się uśmiechnąć. Yrene podeszła wreszcie do czekającej cierpliwie klaczy i wspięła się na siodło. Gdy się wyprostowała i poprawiła suknię tak, by zasłoniła jej nogi, znów zwróciła się do niego.

– Pragnę wrócić do Fenharrow i pomóc tam, gdzie moja pomoc będzie najbardziej potrzebna. Nie darzę Kashina uczuciem na tyle silnym, by z tego planu zrezygnować.

W jego oczach pojawiło się zrozumienie. Otworzył usta, jakby chciał to jakoś skomentować, ale zamiast tego pokiwał jedynie głową, uśmiechnął się ponownie i rzekł:

– Cieszę się z tego.

Yrene uniosła brwi i spojrzała na niego pytająco, ale Chaol jedynie uśmiechnął się szerzej.

– Bo co bym począł, biedny, bez ciebie? Kto by się na mnie wydzierał? Kto by mną rządził?

Yrene skrzywiła się, ujęła wodze i skierowała konia ku bramie.

– Daj mi znać, jeśli zaczniesz odczuwać jakiś dyskomfort czy też mrowienie w siodle – rzuciła ostro. – I poruszaj palcami najczęściej, jak możesz.

Nie sprzeciwił się.

– Prowadź więc, Yrene Towers – dodał z półuśmiechem.

Yrene zaś, choć obiecała sobie, że nie będzie tego robić, również uśmiechnęła się lekko. Razem wyjechali na ulice budzące się miasta.

Większość mieszkańców miasta zeszła do doków, by uczcić Tehome, przez co na ulicach panował spokój. Chaol przypuszczał, że jedynie poważnie chorzy pozostaną dziś w łózkach, dlatego nie był wcale zdziwiony, gdy podjechali do wąskiego domu na zalanej słońcem, zakurzonej ulicy, a ze środka dobiegł głośny, rwący kaszel. Usłyszał go, zanim dotarli do drzwi.

Cóż, a ściślej mówiąc, zanim Yrene do nich dotarła. Nie miał ze sobą fotela, przez co musiał pozostać w siodle, ale uzdrowicielka bez słowa ześlizgnęła się z wierzchowca, przywiązała go do konowiazu i ruszyła w stronę domu. Chaol nie przestawał zaś przebierać palcami u nóg. To, że mógł nimi poruszać, było błogosławieństwem samo w sobie, ale wymagało więcej skupienia, niż sądził, oraz więcej energii.

Wciąż je przeżył i napinał, gdy drzwi domu otworzyły się, a w progu stała starsza kobieta. Powitała Yrene westchnieniem i powiedziała kilka słów w halha. Były one przeznaczone dla uzdrowicielki, która odpowiedziała w tym samym języku, choć niepewnie, z trudem dobierając słowa.

„I tak wychodzi jej to lepiej niż mnie” – pomyślał Chaol.

Weszły do domu, zostawiając uchylone drzwi. Mężczyzna mógł zajrzeć do środka przez otwarte okna i ujrzał niewielkie łóżko ustawione pod malowanym parapetem, przypuszczalnie po to, by leżący w nim chory miał dostęp do świeżego powietrza. Był to starszy mężczyzna, który nie przestawał kaszleć.

Yrene porozmawiała ze staruszką, a potem podeszła do chorego i przysunęła sobie taboret o trzech nogach. Chaol pogładził konia po karku i poruszył palcami w bucie, a dziewczyna ujęła pomarszczoną dłoń starca i przycisnęła ją sobie do czoła. Był to delikatny, spokojny ruch, na jej twarzy pojawił się łagodny uśmiech.

Nigdy czegoś takiego u niej nie widział.

Yrene zwróciła się do staruszki, która stała przed nią i załamywała rękę, ale Chaol nie zrozumiał ani słowa. Następnie uzdrowicielka odsunęła koc, którym pacjent był przykryty aż po szyję.

Chaol aż się skulił na widok zmian chorobowych na klatce piersiowej i brzuchu starca. Starsza kobieta również wydawała się wstrząśnięta, ale Yrene nawet nie mrugnęła okiem. Z niewzruszonym spokojem na twarzy uniosła rękę, a wokół jej dłoni i palców zaskwierczało białe światło.

Starszy mężczyzna, choć nieprzytomny, wciągnął gwałtownie powietrze, gdy ułożyła dłoń na jego piersi, zakrywając największą ze zmian. Przez długą chwilę nie odrywała dłoni. Siedziała nieruchomo ze ściągniętymi brwiami, a światło nadal spływało z niej i wnikało w pierś mężczyzny.

A gdy uniosła dłoń, staruszka zaszlochała. Ucałowała obie ręce uzdrowicielki, a ta tylko się uśmiechnęła i sama złożyła pocałunek na jej obwisłym policzku. Pożegnała się z kobietą i powiedziała na odchodnym kilka słów, które zapewne były stanowczymi zaleceniami co do dalszej opieki.

Piękny uśmiech Yrene znikł dopiero po zamknięciu drzwi. Wbiła wówczas wzrok w zakurzony bruk i zacisnęła usta, zupełnie jakby zapomniała o obecności Chaola.

Jej koń zarżał. Uniosła głowę.

– Wszystko w porządku? – spytał Chaol.

Uzdrowicielka odwiązała klacz i dosiadła jej. Ruszyła powoli, przygryzając dolną wargę.

– Ten człowiek choruje na coś, co łatwo nie ustąpi – odparła. – Walczymy z tą chorobą od pięciu miesięcy, ale teraz miał bardzo poważny atak i naprawdę nie wiem, co dalej.

Potrząsnęła głową, rozczarowana sobą.

– Nie ma na to lekarstwa?

– Udało nam się zwalczyć tę chorobę u innych pacjentów, ale bywa, że nosiciel... Cóż, ten człowiek jest bardzo stary i choroba powraca, gdy tylko zacznę mieć nadzieję, że już odeszła. – Wypuściła powietrze z płuc i dodała: – Na tym etapie mam wrażenie, że jedynie zyskuję dla niego trochę czasu, zamiast znaleźć rozwiązanie.

Chaol przyjrzał się jej uważnie. Yrene mocno zaciskała zęby. Była zdecydowanie kimś, kto wymagał od siebie bardzo dużo, ale po innych raczej nie spodziewała się wiele. Ba, nie miała nawet

nadziei, że inni ludzie spełnią jej oczekiwania.

– Czy są jeszcze jacyś pacjenci, których musisz odwiedzić? – spytał.

Yrene zmarszczyła brwi, spoglądając na jego stopę, a konkretnie na wielki palec u nogi, który napierał na skórę buta.

– Możemy wrócić do pałacu...

– Dobrze się tu czuję – przerwał jej. – Ulice są niemalże puste. Pozwól, bym...

Nie udało mu się dokończyć, ale Yrene jakoś odczytała jego intencje.

– Na drugim końcu miasta mieszka pewna młoda kobieta, która dochodzi do siebie po trudnym porodzie sprzed dwóch tygodni. Chciałabym do niej zajrzeć.

Czekała ich długa jazda. Chaol próbował ukryć ulgę.

– A więc ruszajmy.

\*\*\*

Od Yrene dowiedział się, że obchody kończyły się późnym rankiem, a więc ulice nadal były stosunkowo puste. Bogowie imperium zostali zebrani w jeden panteon i większość ludzi uczestniczyła w świętach na ich cześć.

– Już pierwszy kagan dołożył wszelkich starań, by w jego państwie zapanowała tolerancja religijna – opowiadała. – A każdy kolejny przestrzegał tych samych założeń. Wszak prześladowanie rozmaitych wierzeń prowadzi tylko do chaosu i niezadowolenia poddanych, a więc kagan zaakceptował wszystkich bogów, i tyle. Zdarzało się, że scalał wiele aspektów danego bóstwa w jedno, ale zawsze pozwalał na to, by ludzie pragnący coś wyznawać, mogli to robić bez lęku.

Chaol z kolei opowiedział o innej korzyści, płynącej z religijnej polityki kaganów. Czytając o historii ich rządów, dowiedział się, że kaganowie bez trudu znajdowali pełnych zapału szpiegów w każdym kraju, w którym prześladowano religijne mniejszości. Yrene wiedziała o tym.

– Czy sam kiedyś korzystałeś z pomocy szpiegów? – spytała.

– Nie.

Nie zdradził jej, że kiedyś wielu ludzi pracowało dla niego w tajemnicy, ale nie w tym samym charakterze co szpiegzy zatrudniani przez Aediona lub Rena Allsbrooka. Że sam działał w podziemiu w Rifthold wiosną i latem. Niemniej na samą myśl o tym, że miałby mówić o swoich byłych podwładnych...

Zamilkł, a Yrene nie podejmowała tematu, jakby wyczuła, że cisza z jego strony ma głębsze uzasadnienie.

W końcu trafili do dzielnicy pełnej małych ogrodów i parków. Domy były tu skromne, ale dobrze utrzymane, co oznaczało, że mieszka tu klasa średnia. Miejsce przypominało nieco Rifthold, ale było... Było czystsze i jaśniejsze, a ulice, pomimo trwającego w porcie święta, kipiały życiem.

Zatrzymali się przed eleganckim, niewielkim domem. Z okna na piętrze dostrzegła ich młoda kobieta z wesołymi oczami, która zawołała coś do Yrene w halha, a potem znikła w środku.

– Cóż, to wiele wyjaśnia – mruknęła Yrene.

Frontowe drzwi otworzyły się, a dziewczyna stanęła na progu z pulchnym niemowlęciem w ramionach. Zamarła z zaskoczeniem na widok Chaola, ale pozdrowiła go uprzejmym skinieniem głowy. Uśmiechnęła się też do niego, ale gdy spojrzała na Yrene, w jej oczach błysnęła figlarność. Wymownie zatrzepotała rękami.

Yrene zaśmiała się głośno. Był to przepiękny dźwięk, ale uśmiech na jej twarzy przyćmiewał wszystko. Chaol miał wrażenie, że spogląda na czysty zachwyty. Jej twarz nigdy dotąd nie wydawała mu się równie piękna, zwłaszcza gdy zsunęła się z siodła i wzięła niemowlę z wyciągniętych ramion matki. Dziecko było uosobieniem niemowlęcego zdrowia.

– Ależ ona śliczna! – zaszczębiotała, muskając palcem okrągłutki policzek.

– Gruba jak beczka! – dodała matka dziecka. Mówiła w ojczyściej mowie Chaola, której być może używała podczas rozmów z Yrene. Niewykluczone, że dostrzegła też rysy twarzy mężczyzny, rzadko spotykane w Antice. – A apetyt ma jak wilk – dodała.

Yrene kołysała się z dzieckiem w ramionach, nie przestając do niego szczebiotać.

– A jak karmienie?

– Gdybym jej pozwoliła, ssalaby pierś całą noc i cały dzień! – utyskiwała matka, zupełnie nie przejmując się tym, że porusza intymne tematy w przytomności mężczyzny.

Yrene zachichotała i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, gdy malutka rączka złapała ją za palec.

– Niemowlę wygląda na zdrowe – stwierdziła, po czym przeniosła wzrok na matkę. – A ty?

– Przestrzegam dokładnie zaleceń, które od ciebie dostałam. Kąpiele naprawdę pomogły.

– Nie było krwawienia?

Dziewczyna pokręciła głową. Potem najwyraźniej na powrót zauważyła towarzysza Yrene, gdyż kolejne pytanie zadała już ciszej, a Chaola nagle zainteresowały budynki dookoła.

– Kiedy będę mogła znowu... No wiesz. Z mężem.

Yrene parsknęła i powiedziała:

– Oczekaj siedem tygodni.

– Ile? – pisnęła oburzona dziewczyna. – Ale przecież mnie uleczyłeś!

– A ty o mało się przedtem nie wykrwawiłaś. Ledwie zdążyłam na czas. – Ton Yrene wykluczał jakkolwiek dyskusję. – Daj swemu ciału czas na odpoczynek. Inne uzdrowicielki powiedziałyby ci, byś odczekała przynajmniej osiem tygodni, ale... Spróbuj po siedmiu. Jeśli poczujesz jakkolwiek dyskomfort...

– Wiem, wiem. – Młoda matka machnęła ręką. – Tylko... Sama wiesz, minęło już tyle czasu...

Yrene znów parsknęła śmiechem.

– Cóż, w takim razie siedem kolejnych tygodni już nie zrobi ci różnicy.

Kobieta spojrzała na Yrene krzywo, zabierając z jej rąk gugające niemowlę.

– Mam nadzieję, że przynajmniej ty będziesz się dobrze bawić, skoro ja nie mogę.

Chaol jako pierwszy przechwycił wymowne spojrzenie, które posłała w jego stronę dziewczyna.

Ku jego zadowoleniu Yrene zamrugała, zeszywniała i poczerwieniała.

– Że co? Och, nie!

Sposób, w jaki wymówiła „nie”, niemalże wypluwając to słowo, wcale mu się nie spodobał.

Matka ujęła swoje dziecko i skierowała się do domu.

– Ja bym się nie krępowała – rzuciła przez ramię i zamknęła drzwi.

Nadal zaczerwieniona Yrene odwróciła się ku niemu, zauważalnie unikając jego spojrzenia.

– Ależ ona pewna siebie! – oznajmiła.

– Nie wiedziałem, że stanowię tak wielkie tabu! – zachichotał Chaol.

Yrene spojrzała na niego niechętnie, wdrapując się na klacz.

– Nie chodzę do łóżka z pacjentami. A ty jesteś z kapitan Faliq – dodała pospiesznie. – Poza tym nie jesteś...

– W stanie zaspokoić kobiety? – wypalił.

Był zaskoczony, że powiedział coś takiego, ale znów poczuł zadowolenie, gdy jej oczy rozbłyły.

– Nie – odparła Yrene, rumieniąc się jeszcze bardziej. – Z całą pewnością nie chodzi mi o to. Ale ty... Ty jesteś ty.

– Udam, że mnie to nie uraziło.

Uzdrowicielka machnęła ręką. Nadal na niego nie patrzyła.

– Wiesz, o co mi chodzi.

„O to, że jestem z Adarlanu? Że służyłem królowi? – myślał Chaol. – W sumie jedno i drugie jest prawdą”.

Postanowił jednak, że nie będzie się nad nią znęcał i rzekł:

– Żartowałem, Yrene. Ja... Cóż, ja jestem z Nesryn.

Uzdrowicielka przełknęła ślinę, wciąż czerwona jak burak.

– A gdzie ona dziś jest?

– Udała się na ceremonię ku czci Tehome wraz z rodziną.

Nesryn nie zapraszała go, a on powiedział, że chciałby przełożyć ich wspólną przejażdżkę po

mieście na inny dzień. Mimo to znalazł się w siodle.

Yrene pokiwała głową z dystansem.

– Będziesz dziś wieczorem na ucztach w pałacu?

– Tak. A ty?

Znów skinęła głową. Przez moment panowała niezręczna cisza, aż Yrene powiedziała:

– Boję się rozpocząć dziś pracę nad tobą. Nie chcę stracić rachuby czasu, bo wtedy pewnie przegapiłabym ucztę.

– Stałoby się coś złego, gdybyś się na niej nie pojawiła?

Skręcali w kolejną uliczkę. Yrene przyjrzała mu się uważnie.

– Kilka osób poczułoby się urażonych, nie mówiąc już o samej Pani Wielkiej Głębi. Nie wiem, czego boję się bardziej.

Chaol znów się zaśmiał, a Yrene dodała:

– Hasar ma pożyczyć mi suknię, a więc muszę tam przyjść. W przeciwnym razie musiałabym zmierzyć się z jej gniewem.

Przez jej twarz przemknął jakiś cień. Chaol już chciał o to zapytać, ale Yrene odezwała się jako pierwsza:

– Chcesz zwiedzić miasto?

Wbił w nią wzrok, nieco zaskoczony propozycją.

– Przyznam, że nie wiem dużo o historii Antiki, ale dzięki mej pracy trafiłam już do każdej dzielnicy, a więc przynajmniej się nie zgubimy...

– Tak – szepnął. – Tak.

Yrene obdarzyła go niepewnym, cichym uśmiechem, ale mimo to wysforowała się przed niego i ruszyła naprzód ulicami, na których powoli robiło się gęsto od powracających uczestników obchodów w porcie. Zaczęło się świętowanie. Zewsząd dobiegała muzyka, ludzie śmiali się, a w powietrzu unosił się zapach jedzenia i przypraw.

Wkrótce Chaol nie pamiętał już o upale i prażącym słońcu. Zapomniał o tym, że ma przecież przebierać palcami u nóg. Jego uwagę całkowicie pochłonęły wijące się uliczki, zwieńczone kopułami świątyni i otwarte dla wszystkich biblioteki. Yrene pokazała mu papierowe pieniądze – kora morwowa wprawiona w jedwab – które były tu stosowane w miejsce nieporęcznych monet. Kupiła mu swe ulubione przysmaki – słodczyce z karobem – i uśmiechała się do każdego człowieka, na którego się natknęła. Do niego jednakże uśmiechała się rzadko.

Nie było ulicy, w którą zawałałaby się skręcić, nie było dzielnicy, której by się bała. Antica była miastem bogów, ale również miastem edukacji, światła, wygody i bogactwa.

Kiedy słońce dotarło do zenitu, Yrene zaprowadziła ich do bujnego, zielonego ogrodu, gdzie rozłożyste gałęzie i płatanina winorośli powstrzymywały morderczy żar. Jechali ścieżkami układającymi się w istny labirynt, niemalże sami, gdyż mieszkańcy miasta zasiadali już do obiadu.

Zewsząd otaczały ich klomby z kwitnącymi kwiatami, a wiszące paprocie kołysały się lekko wraz z podmuchami chłodnego wiatru znad morza. Wśród cieni opadających, pierzastych liści nawoływały się ptaki.

– Sądzisz, że... – odezwała się Yrene po długiej chwili ciszy. – Że pewnego dnia... – Przygryzła wargę. – Że pewnego dnia będziemy mogli żyć w takim miejscu?

– W Adarlanie?

– Gdziekolwiek. Ale tak, miałam na myśli Adarlan. I Fenharrow. Słyszałam, że miasta w Eyllwe były niegdyś równie pięknie, zanim...

Zanim padł na nie cień. Podobny temu, który nosił w sercu.

– Tak było – odparł Chaol i odepchnął od siebie wspomnienie księżniczki, która mieszkała w tych miastach i kochała je z całego serca. Blizna na jego policzku zaczęła parzyć. Mimo to zastanowił się nad pytaniem Yrene, a gdzieś spomiędzy cieni w jego pamięci napłynęły słowa, które kiedyś wygłosił Aedion Ashryver:

„Jak sądzisz, co ludzie z innych kontynentów, po drugiej stronie morza, myślą o nas? Nienawidzą

nas? A może współczują nam ze względu na to, co sobie wyrządzamy? Może jest tam równie źle. Może jeszcze gorzej. Niemniej rola, którą dla siebie obmyśliłem... Nie, ja muszę wierzyć, że gdzieś jest lepiej. Gdzieś na pewno jest lepiej”.

Chaol zadał sobie w myślach pytanie, czy kiedyś będzie miał jeszcze okazję powiedzieć Aedionowi, że znalazł takie miejsce. Pewnie opowie Dorianowi o wszystkim, co tu widział. Pomoże mu odbudować z ruin Rifthold, a potem całe królestwo. Dołożą wszelkich starań, by wyglądało ono tak jak to na południu.

A potem uświadomił sobie, że nie odpowiedział na jej pytanie. Że Yrene nadal czeka na jego słowa, wyplątując się z winorośli, pokrytych małymi fioletowymi kwiatkami.

– Tak – powiedział w końcu, widząc w jej płonących oczach zarówno nadzieję, jak i nieufność, ostrożność. – Myślę, że kiedyś będziemy mogli sami zbudować coś podobnego. Jeśli przeżyjemy wojnę – dodał.

Gdyby udało mu się wyruszyć na północ z armią, by rzucić wyzwanie Erawanowi. Czuł ciężącą na nim presję czasu, ledwie mógł oddychać. Wszystko działo się zbyt wolno. Musiał działać szybciej, bardziej zdecydowanie.

W ogrodzie panował upał. Yrene wpatrywała się w jego twarz.

– Bardzo kochasz swoich rodaków – stwierdziła.

Chaol pokiwał głową, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Yrene otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, po czym je zamknęła.

– Nawet ludzie z Fenharrow nie są całkiem bez winy, jeśli mówimy o ich działaniach przez ostatnie dziesięć lat – odezwała się po chwili.

Chaol odwrócił wzrok od ledwie widocznej blizny na jej gardle. Czyżby pozostawił ją jeden z jej rodaków?

Yrene westchnęła, przyglądając się krzewom róży, schnącym w duszącym upale.

– Powinniśmy już wracać. Zaraz zrobi się nieprawdopodobnie tłoczno.

Chaol zastanawiał się, co uzdrowicielka chciała powiedzieć chwilę temu. Może nie było warto pytać o powody, dla których w jej oczach pojawiał się cień. Ruszył więc w milczeniu za nią, a niewypowiedziane słowa nadal wisiały między nimi w rozgrzanym powietrzu.

Rozstali się przy pałacu, którego korytarzami biegały już setki służących, przygotowujących wieczorną uroczystość. Yrene udała się do Hasar, by odebrać suknię i zażyć obiecaną kąpiel, a Chaol wrócił do apartamentu, by splukać z siebie kurz oraz pot, a także znaleźć odpowiednie ubranie.

Nesryn wróciła w połowie jego kąpeli, wykrzyknęła, że sama też musi się wykąpać, a potem zamknęła drzwi do swego pokoju.

Chaol założył w końcu zielononiebieską kurtkę i postanowił zaczekać na Nesryn. Gdy wyszła na zewnątrz, aż zamrugał ze zdumienia. Jego towarzyszka miała na sobie fioletowy, mocno wycięty żakiet i spodnie. Od wielu dni nie widział, by nosiła mundur kapitański i w ogóle nie miał zamiaru o to pytać. Zamiast tego rzekł:

– Wyglądasz cudownie!

Nesryn uśmiechnęła się. Jej lśniące włosy wciąż były mokre.

– Ty również prezentujesz się całkiem, całkiem – odparła, po czym zauważyła opaleniznę na jego policzkach i zapytała: – Byłeś dziś na słońcu?

Jej obcy akcent, do tej pory ledwie zauważalny, pogłębił się. Nieco inaczej wymawiała niektóre dźwięki.

– Pomagałem Yrene przy kilku pacjentach tu i tam na mieście.

Nesryn uśmiechnęła się. Oboje skierowali się ku wyjściu.

– Cieszę się – odparła.

Ani słowem nie wspomniała o proponowanej przez nią wizycie u rodziny, którą Chaol przełożył na inny dzień. Zastanawiał się, czy w ogóle o tym pamięta.

Nadal nie powiedział jej o swoich palcach u nóg. Nabrał ochoty, żeby podzielić się dobrymi wieściami przed wejściem do wielkiej sali w pałacu, ale chwilę później uznał, że to nie pora.



Potem. Potem o tym porozmawiają.

Wielka sala była bowiem cudem.

Nie dało się tego określić innym słowem.

Samo przyjęcie nie było tak liczne, jak mógł się tego spodziewać – do zwyczajowej grupki szlachetnie urodzonych i wezyrów dołączyło jedynie kilku nowych gości – ale wystrój przygotowano z ogromnym rozmachem.

„To ci dopiero ucztła!” – pomyślał, rozglądając się z niedowierzaniem.

Zauważył, że Nesryn również jest zaskoczona. Któryś ze służących spostrzegł ich i poprowadził ku miejscom przy stole usytuowanym na podwyższeniu, co było zaszczytem, który nie przestawał go dziwić.

Duva powiedziała mu, że kagan i jego żona nie dołączą do nich.

– Moja mama źle się ostatnio czuje – wyjaśniła. – I wołałaby uczcić ten moment na osobności ze swoim mężem.

Niewątpliwie widok ściąganych białych proporców odcisnął się na jej sercu. Wyglądało na to, że wciąż nie jest to dobry moment, by przycisnąć kagana w sprawie ewentualnego sojuszu.

Pojawiło się kilkoro nowych gości, w tym Hasar i Renia, którym towarzyszyła Yrene. W chwili ich rozstania na skrzyżowaniu korytarzy pałacowych uzdrowicielka ociekała potem. Do jej skóry lepił się pył, policzki miała zaróżowione, a spocone włosy kręciły się wokół jej uszu. Jej suknia była wygnieciona od całego dnia w siodle, a rąbek zakurzony.

Zdecydowanie nie była to ta sama kreacja, którą miała na sobie teraz.

Chaol miał wrażenie, że połowa obecnych w sali mężczyzn odwraca się ku Hasar – ku Yrene – którym towarzyszyły dwórki. Hasar uśmiechała się krzywo, Renia olśniewała rubinową kreacją, ale Yrene...

Jak na piękną kobietę, której urodę podkreślała najwspanialsza suknia i najlepsza biżuteria w całym imperium, uzdrowicielka wydawała się nieco zrezygnowana. Co prawda szła wyprostowana, ale ów uśmiech, który go dziś obezwładnił, znikł bez śladu.

Hasar wybrała dla niej ciemnoniebieską suknię, która podkreślała jej karnację i dodawała blasku jej ciemnobrązowym włosom, przez co wyglądały teraz jak pozłacane. Księżniczka nałożyła również nieco różu na jej piegowate policzki, choć być może rumieniec wziął się z tego, że suknia miała głęboki dekolt i wszyscy mogli podziwiać jej kuszące kształty. Nie dość, że była wycięta, to jeszcze obcisła!

Suknie, które Yrene nosiła na co dzień, bynajmniej nie maskowały jej sylwetki, ale ta kreacja... Chaol nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wąską miała talię i jak kształtne były jej biodra. I jak prezentowały się inne atrybuty nad nimi.

Nie tylko on nie mógł oderwać od Yrene wzroku. Sartaq i Arghun również wychylili się, gdy ich siostra przyprowadziła Yrene do stołu.

Włosy uzdrowicielki pozostały rozpuszczone, jedynie kosmyki z boków upięto w górze złotymi grzebieniami zdobnymi w rubiny. Na wysokości jej smukłej szyi kołysały się identyczne kolczyki.

– Wygląda po królewsku – mruknęła do niego Nesryn.

Yrene w istocie przypominała teraz księżniczkę, ale taką, którą właśnie prowadzono na szafot, gdyż jej twarz była śmiertelnie poważna. Pogoda ducha, którą w niej widział w chwili rozstania, znikła bezpowrotnie w trakcie dwóch godzin spędzonych z Hasar.

Książęta wstali, by się z nią przywitać, Kashin jako pierwszy.

Była prawdopodobną następczynią Najwyższej Uzdrowicielki, kobietą, która przypuszczalnie będzie dzierżyć wielką władzę w imperium. Synowie kagana pewnie zdawali sobie z tego sprawę, zwłaszcza Arghun, sądząc po przenikliwym spojrzeniu, którym obdarzył Yrene. Tak, była kobietą o wielkim znaczeniu i wielkiej urodzie.

Chaol bez trudu przetłumaczył to, co widział w oczach Arghuna. Yrene stanowiła łup.

Zacisnął mocno zęby. Uzdrowicielce z pewnością nie zależało na zainteresowaniu najprzystojniejszego z książąt, a więc nie było powodu, dla którego miałyby ulec zalotom dwóch pozostałych.

Arhun otworzył usta, by coś powiedzieć do Hasar, ale księżniczka podeszła prosto do Chaola i Nesryn, pochyliła się i szepnęła do ucha dziewczyny:  
– Wstawać.

21.

Nesryn zamrugnęła, spoglądając na Hasar.

Księżniczka uśmiechnęła się zimno niczym wąż i sprecyzowała:

– Nieuprzejmym jest siedzieć jedynie ze swoim towarzyszem. Już dawno powinniśmy byli was rozdzielić.

Nesryn przeniosła spojrzenie na Chaola. Wszyscy im się przyglądali, a Chaol nie miał bladego pojęcia, co odpowiedzieć. Yrene robiła wrażenie, jakby chciała się zapaść pod podłogę z zielonego marmuru.

Sartaq odkaszlnął.

– Może pani usiąść obok mnie, kapitan Faliq.

Nesryn powstała pospiesznie, co Hasar powitała promiennym uśmiechem. Poklepała tył zwolnionego przez nią krzesła i odwróciła się ku Yrene, stojącej kilka kroków dalej.

– Siadaj tu – zaszczebiotała. – Twoja pomoc może się przydać.

Yrene obrzuciła Chaola spojrzeniem, które można było odczytać jako błagalne, ale jej twarz pozostała obojętna, a na mocno zaciśniętych ustach pojawił się wymuszony uśmiech.

Nesryn zajęła miejsce obok Sartaqa, który poprosił sąsiadującego z nim wezyra, by ten przesiadł się krzesło dalej. Hasar zaś, zadowolona z faktu, że wszyscy wypełnili jej wolę, uznała, że jej dotychczasowe miejsce nie spełnia jej oczekiwań, i przesunęła dwóch innych wezyrów na krzesła za Arghunem. Jedno z opuszczonych krzesel przeznaczone było dla niej, a drugie dla Reni, która spojrzała na ukochaną z lekką dezaprobatą, ale uśmiechnęła się do siebie, jakby zdążyła się już przyzwyczaić do takich zachowań z jej strony.

Zamieszanie minęło i Chaol znów skupił się na Yrene. Siedzący po drugiej stronie wezyr nie zwracał na nią uwagi. Służący rozstawiali na stołach tace z jedzeniem i napełniali puchary winem.

– Chcę wiedzieć, o co tu chodzi? – mruknął Chaol pod nosem.

Yrene nałożyła sobie pieczonej jagnięciny i ryżu z szafranem na złoty talerz.

– Nie – odparła.

Chaol był gotów postawić każde pieniądze, że ów cień, który dostrzegł w jej spojrzeniu, i tamte słowa, które powstrzymała w ostatniej chwili, miały jakiś związek z wydarzeniami, które rozegrały się przed momentem. Spojrzał na Nesryn, która wpatrywała się w niego, jednym uchem słuchając księcia. Gwar rozmów i pobrzękiwanie zastawy zagłuszyło słowa Sartaqa.

Chaol zrobił przeproszającą minę, a Nesryn w odpowiedzi zerknęła na Hasar. W jej oczach kryło się ostrzeżenie.

„Bądź czujny”.

– Jak twe palce u nóg? – spytała Yrene, wkładając do ust niewielki kąsek.

Jeszcze nie tak dawno widział, jak siedziała na koniu i pochłaniała wszystkie słodczyce z karobem z kupionego pudełka. Wstrzemięzliwość była więc na pokaz.

– Ruszają się – odpowiedział z lekkim uśmiechem. Przecież widzieli się raptem dwie godziny temu.

– Czujesz coś?

– Mrowienie.

– To dobrze.

Przełknęła ślinę, ledwie widoczna blizna przesunęła się lekko. Wiedział, że są obserwowani i podsłuchiwani. Ona również. Jej kłykcie aż pobieły, gdy zaciskała dłonie na sztucach, a plecy były wyprostowane jak struna. Nie uśmiechała się, a w oczach obwiedzionych czarną kreską brakowało światła. O co chodziło księżniczce? Chciała posadzić ich razem, by porozmawiali? A może chciała skłonić Kashina do działania? Książę w istocie nie spuszczał ich z oczu, choć prowadził ożywioną rozmowę z dwoma wezyrami w złocistych szatach.

– Nie pasuje ci rola pionka – szepnęła Chaol do Yrene.

Jej złocistobrązowe oczy zamigotały.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Kłamała. Doskonale wiedziała, co miał na myśli, ale te słowa nie były przeznaczone dla niego. Chaol wyteżał umysł w poszukiwaniu tematów do rozmowy, które pomogłyby im przetrwać ucztę.

– Kiedy spotykasz się z dziewczętami na następnych zajęciach z samoobrony?

Z ramion Yrene uszło nieco napięcia, gdy powiedziała:

– Za dwa tygodnie. W innych okolicznościach spotkałybyśmy się w przyszłym tygodniu, ale wiele z nich ma wówczas egzaminy i będą skupione na nauce.

– Nieco ćwiczeń na świeżym powietrzu mogłoby pomóc.

– Też tak myślę, ale dla nich te testy to kwestia życia i śmierci. Sama również tak je traktowałam.

– Zostały ci jakieś?

Yrene potrząsnęła głową. Kolczyki z brylantami odbiły światło.

– Zdałam ostatni egzamin dwa tygodnie temu. Jestem już oficjalnie uzdrowicielką z Torre.

Oczy jej zabłyśły. Chaol uniósł puchar.

– Gratulacje!

Yrene wzruszyła ramionami, ale pokiwała głową, dziękując za życzliwość.

– Choć Hafiza uważa, że trzeba mnie poddać jeszcze jednemu testowi.

„Ach!” – pomyślał Chaol, a głośno powiedział:

– A więc w istocie jestem przedmiotem eksperymentu?

Była to beznadziejna, żalсна próba obrócenia w żart ich kłótni sprzed kilku dni, która wciąż ciążyła mu na sercu.

– Nie – odparła pospiesznie Yrene cichym głosem. – Nie masz z tym wiele wspólnego. W tym ostatnim, nieoficjalnym teście chodzi... Tak naprawdę chodzi o mnie.

Chciał dowiedzieć się więcej, ale przyglądało im się zbyt wiele oczu.

– A więc życzę ci powodzenia – rzekł oficjalnym tonem.

Jakże inaczej wyglądała ich rozmowa, gdy jechali przez miasto!

Uczta mijala zarówno bardzo szybko, jak i powoli. Odzywali się do siebie rzadko, a rozmowa się nie kleiła. Dopiero gdy podano deser i *kahve*, Arghun klasnął w dłonie i ogłosił, że nadszedł czas na rozrywkę. Chaol usłyszał, jak Sartaq wyznaje Nesryn:

– Gdy nasz ojciec przebywa u siebie, świętujemy nieco mniej formalnie.

W istocie, między kolumnami za stołem pojawiła się trupa wystrojonych muzykantów, dźwigających instrumenty zarówno znajomo wyglądające, jak i te pochodzące z innych krain, a rytmiczne walenie w bębny przy akompaniamencie fletów i rogów zapowiedziało główną atrakcję – tańce.

Krąg ośmiorga tańczących, zarówno kobiet, jak i mężczyzn – „osiem to święta liczba”, co Sartaq wyjaśnił uśmiechniętej niepewnie Nesryn – wyłonił się zza zasłon zwisających za kolumnami. Chaol o mało się nie zakrztusił.

Ich ciała były pomalowane na złoto i przystrojone diamentami, ale nie licząc przejrzystych szat z najcieńszego jedwabiu, całkowicie nagie. Tancerze wprost emanowali młodością i energią. Kręcili biodrami, wyginaли plecy, wyrzucali splecione dłonie w górę, to formowali szereg, to znów zataczali hipnotyczne kręgi.

– A nie mówiłam? – mruknęła Yrene.

– Dorianowi chyba by się podobało – odszepnął Chaol i z zaskoczeniem uświadomił sobie, że uśmiechnął się lekko na myśl o tym.

Yrene spojrzała na niego, nieco speszona, ale w jej oczach na moment znów zapłonęło światło. Ludzie obracali się i wyciągali szyje, by jak najlepiej widzieć tancerzy, ich fantastyczną muskulaturę i zwinne, bose stopy. Ich precyzyjne, perfekcyjne ruchy ciał całkowicie podporządkowanych muzyce. Taniec był piękny, zarazem eteryczny, jak i materialny.

„Aelin również by się to podobało – uświadomił sobie Chaol. – I to bardzo”.

W trakcie występu służący roznosili kanapy, krzesła, poduszki i stoliki, na których stawiali

miseczki z dymiącymi ziołami. Po sali rozniósł się słodki, duszący zapach.

– Nie podchodź za blisko, jeśli nie chcesz, by ci namieszało w głowie – ostrzegła go Yrene, gdy jakiś służący przeszedł z kolejną dymiącą miską ku rzeźbionemu drewnianemu stolikowi. – To łagodne opiaty.

– Dzieci kagana lubią sobie poszaleć, gdy nie ma rodziców.

Niektórzy wezyrowie wychodzili już, ale wielu spośród pozostałych przeniosło się na wyścielone poduszkami kanapy. Wielka sala została w okamgnieniu przekształcona w salon do odpoczynku oraz...

Zza zasłon wyłonili się kolejni służący, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, co do jednego piękni, zadbani i wystrojeni w przejryste jedwabie. Niektórzy przysiadali na oparciach foteli, inni na kolanach gości, jeszcze inni układali się u ich stóp.

Chaol był świadkiem niejednej dzikiej, wyzwolonej imprezy w szklanym zamku, ale wyczuwał w nich pewną sztywność, jakby uczestnicy ani na moment nie zapominali, że takie rzeczy dzieją się tylko za zamkniętymi drzwiami. Dorian zdecydowanie odprężał się bardziej za drzwiami własnej sypialni. Lub czyjeś. Albo po prostu zabierał Chaola i razem wybierali się do Rifthold lub Bellhaven, gdzie szlachta zwykła bawić się swobodniej, w bardziej nieskrępowany sposób niż na dworze królowej Georginy.

Sartaq nadal siedział przy stole obok Nesryn, która szeroko otwartymi oczami przyglądała się tancerzom. W jej spojrzeniu skrzył wielki podziw. Duwa, trzymając dłoń na brzuchu, pożegnała się ze wszystkimi i opuściła przyjęcie z mężem u boku, cichym jak zwykle. Wyjaśniła, że dym nie służy dziecku w jej łonie, a Yrene przytaknęła, choć nikt na nią nie patrzył.

Arghun zajął kanapę dla siebie. Rozparł się na niej i wdychał dym, unoszący się znad rozżarzonych węgli umieszczonych w miseczkach. Dworzanie i wezyrowie wokół niego konkurowali o możliwość zajęcia miejsca u boku najstarszego z książąt.

Hasar oraz Renia zajęły dla siebie mniejszą kanapę. Dłoń księżniczki znikła wśród grubych, czarnych loków kochanki, a jej usta dotknęły jej szyi. Uśmiech Reni był leniwy, acz szeroki. Zatrzepotała powiekami, gdy Hasar szepnęła jej coś do ucha.

Kashin siedział zaś nieruchomo i czekał, zerkając na Yrene i Chaola, którzy nadal tkwili przy pustoszejącym stole i przyglądali się scenom dekadencji.

Nie było wątpliwości, że czeka, aż Yrene powstanie.

Zarumieniona uzdrowicielka wbiła wzrok w trzymaną w dłoniach niewielką filiżankę *kahve*, znad której unosiły się kłęby pary.

– Widziałaś już coś takiego? – spytał Chaol.

– Poczekaj godzinę bądź dwie, a wszyscy zaczną wymykać się do komnat. Oczywiście nie pojedynczo.

Książę Kashin najwidoczniej miał już dość przeciągającej się rozmowy, którą toczył z siedzącym obok niego wezyrem. Otworzył usta, wpatrzony w Yrene, a Chaol odczytał zaproszenie w jego oczach, nim ten zdołał wykrztusić choć słowo.

Musiał błyskawicznie podjąć decyzję. Zerknął na Nesryn, która szła niespiesznie z Sartaqiem ku krzesłom po przeciwnej stronie sali, gdzie dzięki otwartym oknom nie było tyle dymu i wciąż mogli oglądać tańce, a dziewczyna kiwnęła mu głową. Kiedy więc Kashin pochylił się, by zaprosić Yrene na swą kanapę, Chaol odwrócił się do uzdrowicielki i rzekł:

– Usiądziemy gdzieś razem?

Ta otworzyła szerzej oczy.

– Gdzie?

Kashin zamknął usta, a Chaol miał wrażenie, że na jego piersi ktoś wyrysował tarczę strzelecką. Mimo to nie odwrócił wzroku i powiedział:

– Gdzieś, gdzie jest ciszej.

Pozostało jedynie kilka kanap, wszystkie spowite gęstym dymem i ustawione blisko tańczących. Jedna z nich była do połowy skryta w cieniu rzucanym przez znajdującą się nad nią alkową. Z przodu, na niewielkim stoliku stała miska z tłącymi się ziołami.

– Skoro mamy być dziś widziani razem – powiedział Chaol tak cicho, że nikt poza Yrene nie był

w stanie go usłyszeć – lepiej posiedzieć tu przez chwilę niż wyjść gdzieś we dwoje.

Zważywszy na raptowną zmianę charakteru przyjęcia, wysłałoby to jego uczestnikom klarowny sygnał.

– Nie chcę też, byś szła gdzieś sama – dodał.

Yrene podniosła się i uśmiechnęła ponuro.

– A więc zabawmy się, lordzie Westfall.

Wskazała zacienioną kanapę na skraju światła i pozwoliła, by sam do niej podjechał. Trzymając wysoko podbródek, ruszyła jako pierwsza, ciągnąc po ziemi rąbek sukni. Wycięcie z tyłu odsłaniało jej nieskazitelnie piękną skórę i sięgało na tyle nisko, iż widać było dwa wgłębienia w dole pleców, wyglądające tak, jakby jakiś bóg odcisnął na nich swe kciuki. Gdy siadała na kanapie, Chaol miał świadomość, że przyciągają dziesiątki spojrzeń. Obszerny rąbek sukni otoczył kostki nóg uzdrowicielki, a ona sama ułożyła nagie ramiona na miękkich poduszkach.

Spod półprzymkniętych powiek patrzyła na Chaola, który zbliżał się do niej, wyprzedziwszy służących, a potem przeniósł się z fotela na kółkach na kanapę. Przez krótką chwilę był niebezpiecznie przechylony ku Yrene, ale na szczęście któryś ze służących zareagował odpowiednio szybko i odsunął fotel. Chaol podziękował mu skinieniem. Z tego miejsca mieli znakomity widok na tańczących oraz uczestników spektaklu, zarówno arystokratów, jak i służbę. Widzowie nie spuszczaali oczu z niezrównanego występu, choć tu i ówdzie dochodziło już do pierwszych pieszczot. Przyglądający się rozwojowi wydarzeń Chaol poczuł w brzuchu nowe, nie do końca nieprzyjemne doznanie.

– Służący nie są tu do niczego zmuszani – szepnęła Yrene. – Zapytałam o to już na pierwszym przyjęciu, na które mnie zaproszono. Ludzie pracujący w pałacu marzą o społecznym awansie, a ci, którzy się tu znaleźli, dobrze wiedzą, że otrzymają wiele przywilejów, jeśli opuszczą tę ucztę w czymś towarzystwie.

– Naprawdę twierdzisz, że robią to z własnej woli? – sprzeciwił się Chaol. – Skoro są opłacani? I skoro w przypadku odmowy mogą zacząć bać się o swoje pozycje?

– Jeśli tak to ujmiemy, rzeczywiście nie ma mowy o własnej woli i przyzwoleniu, ale prawo kaganatu dba o inne aspekty. Precyzuje ograniczenia wiekowe, definiuje przyzwolenie ustne, przewiduje kary dla tych, którzy owe prawa łamią. Nawet dla arystokratów.

Chaol przypomniał sobie, że kiedyś już to od niej usłyszał. W międzyczasie młodzieniec siedzący po jednej stronie Arghuna zaczął muskać go po szyi. Towarzysząca księciu z drugiej strony dziewczyna delikatnymi ruchami masowała jego udo. Arghun, najwyraźniej nieporuszony, nie przerywał rozmowy z wezyrem, który zasiadał na krześle po lewej stronie.

– Myślałem, że jest żonaty – stwierdził Chaol.

Yrene podążyła za jego wzrokiem.

– Tak, to prawda. Żona przebywa w jego wiejskiej posiadłości. Zresztą seks z kimś ze służby nie jest tu poczytywany za zdradę. Służący musi się zajmować wieloma potrzebami swego pana... Równie dobrze mogłaby to być kąpiel. Jestem pewna, że odkryłeś to już pierwszego dnia – dodała Yrene, umykając spojrzeniem w bok.

Chaol zarumienił się.

– Byłem mocno zaskoczony tym, jak bardzo Kadja dbała o szczegóły. I jak mocno się angażuje.

– Z pewnością została wybrana po to, by zadowolić wszystkie twoje potrzeby.

– Nie mam ochoty na chwilę zapomnienia. Nawet z chętną służką.

Yrene zerknęła na Nesryn, pogrążoną w rozmowie z Sartaqiem.

– A więc kapitan Faliq powinna się cieszyć z tego, że ma tak lojalnego towarzysza.

Chaol spodziewał się, że poczuje ukłucie zazdrości na widok Nesryn, uśmiechającej się do księcia. Sartaq wydawał się niebywale rozluźniony – jego ramię spoczywało na oparciu kanapy za plecami Nesryn, kostkę oparł na kolanie. Być może Chaol po prostu ufał Nesryn, ale żadnej zazdrości w sobie nie znalazł.

Odwrócił głowę i przekonał się, że Yrene mu się przygląda. Pośród cieni i smug dymu jej oczy przypominały topazy.

– Wczoraj wieczorem spotkałam się z przyjaciółką – powiedziała i zatrzepotała rękami niczym kobieta odurzona narkotycznym dymem. Chaol również odczuł, że jego głowa robi się coraz cięższa, a ciało się rozgrzewa. Było mu coraz przyjemniej. – A dziś przed ucztą ponownie.

„Czyli ma na myśli Hasar”.

– No i? – spytał, wpatrzony w lok na końcu długiego kosmyka włosów Yrene. Złapał się na tym, że jego palce drgnęły, jakby wyobrażały sobie, że je muskają.

Yrene odczekała, aż minie ich służący niosący tacę z kandyzowanymi owocami.

– Powiedziała mi, że twego przyjaciela nadal nie odnaleziono. A przez środek stołu rozciągnięto sieć.

Chaol zamrugnął, próbując rozgryźć znaczenie jej słów, równie mętnych jak otaczający je dym.

Armie. Armie Perringtona rozciągały się w poprzek kontynentu. Nic dziwnego, że nie chciała rozmawiać o tym na ulicy. Nic dziwnego, że w jej oczach pojawił się taki cień.

– Gdzie?

– Od gór aż po... po miejsce, które nazywasz domem.

Chaol przypomniał sobie mapę ojczyzny. Od Elfiej Przełęczczy aż po Rifthold.

„Święci bogowie...”.

– Jesteś pewna?

Uzdrowicielka skinęła głową.

Chaol co chwila czuł na sobie spojrzenia zebranych. Yrene również i stąd niespodziewanie położyła mu dłoń na ramieniu. O mało nie podskoczył.

Patrzyła na niego spod opuszczonych rąk. Jej oczy były senne. Kuszące.

– Podczas obu spotkań usłyszałam pewną propozycję. Z gatunku tych, którym się nie odmawia.

A więc grożono jej. Chaol zacisnął zęby.

– Chodzi mi o miejsce. Bądź o kierunek – szeptała. – Potrzebuję jakichkolwiek informacji o tym, dokąd mógł udać się twój drugi sojusznik.

Aelin.

– Ona... Gdzie ona jest?

– Nikt tego nie wie.

Aelin zaginęła? Do tego stopnia, że nie wiedzą o niej nawet szpiedzy kaganatu?

– Nie ma jej w ojczyźnie?

Yrene pokręciła głową, a wówczas serce Chaola zaczęło bić dziko i gwałtownie. Zaginęli oboje, zarówno Aelin, jak i Dorian. Nie ma ich! Gdyby Perrington uderzył w tym momencie...

– Nie mam pojęcia, dokąd miałyby się udać. Nie wiem, co chciała zrobić – odparł i nakrył dłonią rękę Yrene. Poczul gładkość jej skóry. – Zamierzała wrócić do ojczyzny i zebrać armię.

– Stało się inaczej. I byłabym skłonna uwierzyć oczom, które przyglądają się rozwojowi wydarzeń zarówno tu, jak i tam.

Miała na myśli szpiegów Hasar. I nie tylko. A więc Aelin nie było w Terrasenie. Nigdy nie dotarła do Orynthu.

– Zmień tę minę – mruknęła Yrene.

Musnęła dłonią jego ramię, ale w jej oczach błyszczała zawziętość. Chaol opamiętał się i z niemalym trudem przybrał senny wyraz twarzy, po czym uśmiechnął się do niej leniwie.

– Czy ów przyjaciel wie coś o jej losie? Może wpadła w czyjeś ręce?

– Nie wie nic. – Palce Yrene powoli, lekko muskały jego ramię. Na jednym z palców nadal znajdował się ów prosty pierścionek. – Chce, bym ciebie o to wypytała. Bym wyciągnęła to z ciebie.

– Aha – mruknął Chaol. Smukła, piękna dłoń Yrene płynęła po jego ręce. – Teraz już rozumiem, skąd pomysł, by przenieść się na kanapę.

To dlatego zdawało mu się kilka razy, że Yrene szykowała się, by coś mu powiedzieć, ale rozmyślała się w ostatniej chwili.

– Zamieni mi życie w piekło, jeśli nie odniesie wrażenia, że zawróciłam ci w głowie.

Chaol zatrzymał jej dłoń na wysokości bicepsa. Jej palce lekko drżały. Być może sprawił to

słodki, lepki dym dookoła nich, być może muzyka i nadzy tancerze, błyskający klejnotami, ale rzekł:

– Myślę, że już to zrobiłaś, Yrene Towers.

Patrzył na rumieniec, dojrzewający na jej twarzy. Patrzył, jak złoto w jej oczach zaczyna skrzyć.

To było niebezpieczne. Niebezpieczne, głupie i...

Wiedział, że inni na nich patrzą. Wiedział, że Nesryn ogląda się na niego, ale ufał, że zrozumie. Że uzna, iż to tylko na pokaz. Sam fakt, że spędzała wieczór z Sartaqiem, był tylko częścią tej maskarady. Kolejnym popisem.

Powtarzał to sobie w myślach, wpatrując się w oczy Yrene, przyciskając jej dłoń do swego ramienia. Patrzył na jej coraz głębszy rumieniec, na koniuszek języka, którym zwilżyła usta. W sercu czuł ciężkie, kojące ciepło, które rozlewało się po całym jego ciele.

– Podaj mi miejsce. Jakiegokolwiek miejsce.

Jego serce zdążyło uderzyć kilkakrotnie, zanim zrozumiał, o co Yrene go prosi. Musiała zdobyć jakieś informacje. W przeciwnym razie księżniczka mogła zrealizować swą groźbę.

– Po co mam kłamać? Przecież powiedziałbym ci prawdę!

– Po lekcji z dziewczętami – szepnęła Yrene – jestem ci coś winna.

A teraz jeszcze ujawniła, co intryguje Hasar.

– A da się ją przeciągnąć na naszą stronę?

Yrene rozejrzała się po sali, a Chaol uświadomił sobie, że jego dłoń pnie się po jej nagim ramieniu i zatrzymuje się na jej szyi. Skóra uzdrowicielki była ciepła i łagodna niczym ogrzany słońcem aksamit. Kciukiem musnął bok jej szyi, tak blisko owej niewyraźnej blizny.

Yrene spojrzała na niego ostro. W jej oczach widniało ostrzeżenie, ale... Wyczuł, że ostrzega nie jego, ale siebie samą.

– Ona... – szepnęła.

Chaol nie mógł się powstrzymać. Musnął ponownie jej skórę. Yrene przełknęła ślinę i dodała ledwie słyszalnym głosem:

– Niepokoi ją magia ognia...

„Lęk może albo zwiększyć, albo pokrzyżować szanse na sojusz” – przemknęło Chaolowi przez myśl.

– I uważa... uważa, że istnieje spora szansa, że to ty stoisz za atakiem w bibliotece. Że to wasza intryga.

Chaol parsknął, ale jego kciuk zamarł tuż nad pulsującą pospiesznie żyłą.

– A więc uważa nas za o wiele ważniejszych graczy, niż jesteśmy – burknął, ale w oczach Yrene błysnęła niepokój. – A co ty sądzisz, Yrene Towers?

Ułożyła dłoń na jego ręce, ale nie cofnęła szyi. Nie uwolniła się od jego dotyku.

– Myślę, że wasza obecność skłoniła jakieś siły do działania, ale nie sądzę, byś był człowiekiem zdolnym do rozgrywania intryg.

Nawet jeśli ich obecna sytuacja zdawała się temu przeczyć.

– Ty szukasz tego, czego potrzebujesz – ciągnęła Yrene. – Bez podstępów. Idziesz prosto do celu.

– Kiedyś byłem takim człowiekiem – rzekł Chaol. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

– A teraz? – szepnęła niemalże bezgłośnie. Jej puls łomotał pod jego dłonią.

– Teraz... – Chaol przysunął głowę ku niej, tak blisko, że oddech uzdrowicielki docierał do jego ust. – Teraz zastanawiam się, czy powinienem był słuchać mego ojca, gdy ten próbował mi udzielać nauk.

Spojrzenie Yrene opadło na jego usta. Wszystkie jego instynkty i cała uwaga skupiły się na tym ruchu. Serce mu waliło, krew huczała w skroniach.

Poprawił kurtkę przerzuconą przez kolana. Ów prosty gest okazał się skuteczniejszy i bardziej trzeźwiący niż kąpiel w lodowatej wodzie.

Ów dym, te opiaty... Krył się w nich jakiś afrodyzjak, który tłumił zdrowy rozsądek.

Yrene nadal wpatrywała się w jego usta, jakby był to jakiś owoc. Oddychała nerwowo, nierówno, za każdym razem unosząc dorodne piersi, uwięzione w kroju sukni. Chaol zmusił się, by cofnąć dłoń,



dotykając jej szyi. Zmusił się, by się wyprostować.

Przecież Nesryn na pewno na niego patrzyła. Patrzyła i zastanawiała się, coż on wyprawia.

Yrene zasługiwała na coś lepszego. O wiele lepszego od tego, co teraz robił, od tych idiotycznych...

– Zatoka Czaszek – wyrzucił z siebie. – Przekaż, że znajdzie jej ogień w Zatoce Czaszek.

Być może było to jedyne miejsce, do którego Aelin nigdy się już nie uda. Nigdy nie zapuści się na tereny kontrolowane przez Władcę Piratów. Opowiadała mu kiedyś o „niefortunnych wydarzeniach”, które stały się jej udziałem u Rolfe’a, zupełnie jakby obrócenie w perzynę jego miasta i zdewastowanie cennych okrętów było tylko częścią zabawy.

Yrene zamrugnęła, jakby się ocknęła i przypomniała sobie powody, dla których znalazła się w tej sali i na tej kanapie, niemalże dotykając nosem nosa obcego mężczyzny.

– Tak – powiedziała i odsunęła się, mrugając ze złością. Zmarszczyła brwi, patrząc na węgle tłące się w metalowej misce. – To wystarczy. – Machnięciem dłoni rozpędziła smużkę dymu, która próbowała wkraść się między nich. – Powinam już iść – oznajmiła, a w jej oczach błysnęła dzika panika. Tak jakby ona również uświadomiła sobie, poczuła...

Wstała i wygładziła szatę. Owa zdecydowana, zmysłowa kobieta, która stanowczym krokiem podeszła do kanapy, znikła bez śladu. W to miejsce pojawiła się około dwudziestodwuletnia dziewczyna, sama w obcym mieście, igraszka w rękach dzieci władcy imperium.

– Mam nadzieję... – powiedziała, patrząc na Nesryn, a w jej oczach zabłysły wina i wstyd. – Mam nadzieję, że nigdy nie nauczysz się grać w takie gry.

Nesryn nadal była pogrążona w rozmowie z Sartaqiem. Nie było po niej znac poruszenia ani niepokoju, zupełnie jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co się tu wydarzyło.

Ależ z niego łotr. Przeklęty łotr.

– Zobaczmy się jutro – rzekł do Yrene. Nie mógł się zdobyć na nic więcej, ale gdy ujrzał, jak odchodzi, zawołał za nią: – Poczekaj! Zawołam kogoś, kto cię odprowadzi!

Widział bowiem, że Kashin się jej przygląda. Siedział po drugiej stronie z dziewczyną służebną, która przeczesywała dłonią jego włosy. W jego oczach... Och, gdy wzrok księcia padł na Chaola, w jego oczach błysnęła zimna bezwzględność.

Wielu ludzi mogłoby pomyśleć, że to, co miało właśnie miejsce między nim a Yrene, było jedynie grą, ale Kashin... Nie, ten człowiek nie był tak bezkrytycznie lojalny, jak inni sądzili. Nie był zaślepionym głupcem. Kashin doskonale wiedział, co się dzieje wokół niego. Potrafił dobrze odczytywać ludzkie zachowania. Potrafił je oceniać.

Wiedział więc, że między Chaolem a Yrene na moment zapanowało autentyczne napięcie, a zdradziło ich nie podniecenie, ale wina, wymalowana na ich twarzach. Poczucie winy, które powinni byli jakoś zamaskować.

– Poproszę o to Hasar – odparła Yrene i skierowała się ku księżniczce, nadal siedzącej na tej samej kanapie z Renią, w pełni oddaną niespiesznym, uważnym pocałunkom. Chaol przyglądał się temu.

Hasar spojrzała półprzytomnie na uzdrowicielkę, ale pożądanie w jej zamglonym wzroku natychmiast wyparowało, gdy ujrzała jej krótki, oszczędny ukłon. Zadanie wykonane. Yrene pochyliła się i szepnęła coś do ucha księżniczce, a potem ucałowała ją w policzek na pożegnanie. Chaol, choć siedział daleko, odczytał jej ruchy warg.

„Zatoka Czaszek”.

Hasar uśmiechnęła się leniwie, a potem pstryknęła palcami, by przywołać oczekującego gwardzistę. Ten natychmiast podszedł do niej. Chaol patrzył, jak księżniczka wydaje mu rozkaz, bez wątpienia grożąc mu śmiercią bądź czymś jeszcze gorszym, jeśli Yrene nie dotrze bezpiecznie do Torre. Uzdrowicielka jedynie skrzywiła się, nieco zniesmaczona jej tonem, po czym uśmiechnęła się, ukloniła Hasar oraz Reni, życzyła im dobrej nocy i poszła w ślad za żołnierzem.

Spojrzeła na Chaola raz jeszcze, gdy znalazła się już przed sklepieniem łukiem wyjściem.

Dzieliło ich sto kroków polerowanego marmuru i potężnych kolumn, a mimo to nadal panowało między nimi ogromne napięcie, zupełnie jakby owo jasne światło, którego Chaol doświadczył dwa dni

temu, było żywą linią. Jakby Yrene tamtego popołudnia zostawiła w jego ciele cząstkę siebie.

Nawet mu nie skinęła. Wyszła, ciągnąc za sobą suknię.

Chaol przeniósł spojrzenie na Nesryn i tym razem zauważył, że go obserwuje. Utrzymywała obojętną minę, ale kiwnęła lekko głową, co przypuszczalnie oznaczało, że wszystko rozumie. Na ten wieczór rozgrywka została zakończona i Nesryn czekała na ostateczny wynik.

Dotarli do wspólnego apartamentu godzinę później. Chaol nadal czuł zapach dymu, który wniknął w jego włosy i ubranie. Po odejściu Yrene dołączył do Nesryn i Sartąq w ich cichym zakątku i przyglądał się gościom, którzy wymykali się do swych komnat – bądź cudzych. Tak, Dorianowi na pewno by się tu spodobało.

Sartaq odprowadził ich do apartamentu i życzył dobrej nocy, choć bez zauważalnej życzliwości. Zachowywał się bardziej formalnie, choć jeszcze przed chwilą żartował i się uśmiechał. Chaol wcale go nie winił. Przypuszczał, że przez cały czas ktoś nie spuszcza ich z oczu.

Choć on sam nie spuszczał z oczu żegnającej się z księciem Nesryn.

W apartamencie panował półmrok, a jedynym źródłem światła była latarnia z kolorowymi szybkami, którą Kadja ustawiła na stoliku w przedpokoju.

Chwila spędzona w ciemnym przedpokoju trwała uderzenie serca za długo.

Nesryn w milczeniu zwróciła się ku swej sypialni, ale Chaol złapał ją za rękę, nim zrobiła choć krok. Powoli spojrzała za siebie. Jej włosy zafalowały niczym jedwab. Pomimo ciemności wiedział, że Nesryn jest świadoma tego, co kryje się w jego wzroku. Serce waliło mu niczym młot, ale czekał.

– Myślę, że powinnam znaleźć się teraz gdzieś indziej – odparła w końcu. – Poza pałacem.

Nie puszczał jej ręki.

– Nie powinniśmy rozmawiać o tym na korytarzu.

Nesryn przełknęła ślinę, ale skinęła głową. Podeszła, chcąc pchnąć jego fotel, ale Chaol już ruszył z miejsca i skierował się do sypialni. Dawał jej znać, by się za nim udała.

Sugerując, iż powinna zatrzaskać za nimi drzwi.

Blask księżyca wpadał przez okna ogrodowe i opromieniał łóżko. Kadja nie zapaliła świec, uznawszy widocznie, że sypialnia posłuży tej nocy innym celom niż sen bądź Chaol w ogóle nie wróci do siebie. W ciemnościach, pośród śpiewu cykad w gałęziach drzew, rozległy się szepty.

– Potrzebuję cię tutaj – powiedział cicho Chaol.

– Naprawdę?

Pytanie Nesryn było szczere, bezpośrednie. Uszanował je, długo zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ja... My powinniśmy zrobić to razem. Wszystko.

Nesryn potrząsnęła głową. Jej włosy rozsypały się.

– Ścieżki wciąż się zmieniają. Wiesz to równie dobrze jak ja.

Nie myliła się, bo przekonał się o tym na własnej skórze, ale mimo to...

– Dokąd chcesz się udać?

– Sartaq powiedział, że chce szukać odpowiedzi u własnego plemienia. Chce się dowiedzieć, czy Valgowie docierali wcześniej na ten kontynent, a ja... Kusi mnie, by udać się wraz z nim. Jeśli mi pozwoli. Chcę się przekonać, czy w istocie gdzieś kryją się jakieś inne odpowiedzi i czy uda mi się przekonać go, by postąpił wbrew rozkazom ojca. Lub przynajmniej przemówił w naszym imieniu.

– Dokąd chcesz się z nim wybrać? Do jeźdźców ruków na południu?

– Być może. Powiedział mi na przyjęciu, że chce wyruszyć za kilka dni. Pojawiła się niewielka szansa dla nas i muszę ją wykorzystać. Być może będę ambasadorką naszej sprawy u boku księcia i znajdę jakieś ważne informacje wśród *rukhin*. Jeśli jeden z agentów Erawana przebywa w Antice... Mam nadzieję, że straż kagana zdoła ochronić pałac oraz Torre, ale ty i ja musimy zrobić wszystko, by zyskać sojuszników. Nim Erawan jeszcze bardziej urośnie w siłę. – Urwała na moment. – A ty... Ty czynisz postępy. Nie będę ci w tym przeszkadzać.

W powietrzu między nimi zawisły niewypowiedziane słowa. Chaol pocierał dłonią policzek. Nie mógł pogodzić się z tym, że Nesryn miałaby odejść. Nie podobało mu się to rozwidlenie na ich wspólnym

trakcie.

Odetchnął i rzekł:

– Poczekajmy do rana z jakimikolwiek postanowieniami. Nic dobrego nie przychodzi z decyzji, które zapadają późno w nocy.

Nesryn zamilkła, a Chaol wciągnął się na materac, po czym zdjął kurtkę i buty.

– Usiądziesz obok mnie? Opowiedz mi o swojej rodzinie. O tym, jak obchodziłaś z nimi dzisiejsze święto.

Jak dotąd usłyszał zaledwie skąpe szczegóły i być może powodowało nim teraz poczucie winy, ale... Ich spojrzenia zetknęły się w ciemnościach. Przez zamknięte drzwi przeniknęła pieśń skowronka. Chaol mógł przysiąc, że w oczach Nesryn błysnęło zrozumienie, a potem zgoda.

Podeszła bezszelestnie do łóżka, rozpięła swój żakiet, zarzuciła go na oparcie krzesła i zdjęła buty. Usiadła na łóżku, a potem rozległ się szelest poduszki, gdy ułożyła na niej głowę.

„Widziałam – migotało jej spojrzenie. – Wiem”.

Chaol był pewien, że się nie myli.

Zamiast rozwijać temat, Nesryn opowiedziała mu o ceremonii nad brzegiem morza. O swoich czterech małych kuzynach, którzy rzucili wieńce z kwiatów na fale, a potem uciekli z wrzaskiem, gdy opadły ich mewy, by wyrywać im z rączek ciastka z migdałami. O wuju Brahimie i cioci Zahidzie, o ich pięknym domu z dwoma dziedzińcami, kwiatami pnącymi się po ścianach i chroniących przed słońcem pergolach.

Niemniej jednak z każdym spojrzeniem owe niewypowiedziane słowa nadal rozbrzmiewały echem:

„Wiem. Wiem”.

Chaol pozwolił jej mówić i słuchał, aż zmógł go sen. Pogrzyżył się w krainie majaków.

A nie przerywał jej dlatego, że... że sam też wiedział.

Yrene zastanawiała się, czy następnego dnia powinna w ogóle odwiedzić Chaola.

Zważywszy na to, co się wydarzyło na kanapie poprzedniego wieczoru...

Wróciła do swej komnaty rozpalona i rozdygotana. Nie mogła się uspokoić. Ściągnęła suknię i biżuterię użyczoną przez Hasar, po czym trzęsącymi się dłońmi ułożyła ją na krześle. Następnie zatarasowała kufrem drzwi na wypadek, gdyby jakiś żądny krwi demon dowiedział się, że wciągnęła nieludzkie ilości narkotycznego dymu, i postanowił dopaść ją w chwili słabości.

Bo tego właśnie doświadczyła. Całkowicie postradała zmysły. Czula jedynie ciepło bijące od jego ciała, czula jego zapach oraz ogrom, dający jej poczucie bezpieczeństwa. Czula jego szorstkie palce muskające jej skórę i pragnęła, by znalazły się wszędzie. Pamiętała, jak wpatrywała się w jego usta i ze wszystkich sił powstrzymywała się, by nie dotknąć ich palcami. A potem własnymi ustami.

Nienawidziła tych przyjęć. Nie znosiła dymu, który doprowadzał do tego, że ludzie tracili zdrowy rozsądek. Zapominali o zakazach i ograniczeniach. Z pewnością z tego właśnie powodu szlachta i bogacze tak za nim przepadali, ale...

Yrene miotała się po swojej komnacie w wieży i tarła twarz, aż rozmazała makijaż, który osobiście nałożyła jej Hasar. Trzykrotnie umyła twarz, a potem przywdziała najłżejszą koszulę nocną, jaką miała. Obracała się i wierciła w łóżku, a tkanina kleiła się do jej spoconej, rozgrzanej skóry.

Odliczała godziny i minuty, aż wreszcie narkotyczny dym przestanie na nią działać. Aż wreszcie jej ciało się oczyści.

Nie puszczał łatwo. Podczas najcichszych, najczarniejszych nocnych godzin Yrene wzięła sprawy w swoje ręce.

Tego wieczoru zastosowano silniejszą dawkę ziół narkotycznych niż kiedykolwiek wcześniej. Miała wrażenie, że wizje pełzają po niej, wodzą pazurami po jej skórze. A twarz, jaką przywołały, dłonie, które wodziły po jej ciele...

Spełnienie wywołało pustkę w jej sercu. Nie czuła satysfakcji.

Nastał świt, a Yrene aż skrzywiła się na widok swego wynędzniałego oblicza widocznego w niewielkim lustrze, zawieszonym nad umywalką. Opiaty wreszcie przestały działać i uzdrowicielce udało się urwać kilka godzin snu, ale... Nadal czuła dziwny ucisk w żołądku.

Umyła się, a potem spakowała strój od Hasar do osobnej torby. Czula, iż najlepiej będzie, jeśli odda go najszybciej jak to możliwe.

Hasar uśmiechała się promiennie niczym kocica Baast, gdy usłyszała wiadomość od Yrene, kłamstwo, które wymyślił dla niej Chaol. Z początku Yrene nie chciała mu o niczym mówić, ale zmieniła zdanie, jeszcze zanim dotarła na przyjęcie, zaczęła wdychać dym i ogarnęło ją szaleństwo. Dzień, który spędzili na niespiesznej wędrówce przez miasto, dał jej wiele do myślenia, a potem, gdy Chaol zaproponował, by usiedli razem – ratując ją tym samym przed koniecznością odmówienia Kashinowi – uznała, że mu zaufa. A potem straciła zdrowy rozsądek.

Wchodząc do pałacu, nie umiała spojrzeć w oczy ani sługom, ani też strażnikom, wezyrom czy arystokratom. Bez wahania skierowała się do komnat lorda Westfalla. Nie miała wątpliwości, że wielu uczestników przyjęcia spostrzegło ich razem na kanapie, a ci, którzy ich przeoczyli, usłyszeli już plotki.

Nigdy dotąd nie dawała nikomu w pałacu powodu do podobnych spekulacji. Powinna opowiedzieć o wszystkim Hafizie. Lepiej, by dowiedziała się o jej zachowaniu od niej, niżby miała usłyszeć plotki, które prędzej czy później musiały dotrzeć do Torre. Nie wydawało jej się, by Najwyższa Uzdrowicielka miała ją za to skrzyczeć, ale... ale czuła, że musi się przed kimś wypowiedzieć. Że trzeba wszystko naprostować.

Uznała, że dzisiejsza sesja z Chaolem będzie krótka. Czy raczej na tyle krótka, na ile się da, zważywszy na to, że traciła poczucie czasu w owym mrocznym piekle jego rany.

Powinna się zachowywać, jak na profesjonalistkę przystało.

– Imbir, kurkuma i cytryna – powiedziała do Kadji, ledwie weszła do apartamentu dla gości, po

czym skierowała się od razu do sypialni Chaola.

Miała wrażenie, że Kadja chce sprzeciwić się jej woli, ale zignorowała ją i pchnęła drzwi do sypialni.

Stanąła jak wryta tak gwałtownie, iż mało nie straciła równowagi.

W pierwszej kolejności dostrzegła bowiem skotłowaną pościel i rozrzucone poduszki. Potem jego nagą pierś i biodra ledwie zasłonięte prześcieradłem. Potem ciemną głowę na poduszce obok niego, twarzą w dół. Wciąż spali, wyczerpani.

Chaol natychmiast rozchylił powieki.

– Och – szepnęła Yrene.

W jego oczach dostrzegła wstrząs oraz... oraz coś jeszcze. Otworzył usta i w tej samej chwili poruszyła się również Nesryn. Zmarszczyła brwi. Miała na sobie pomiętą koszulę.

Chaol złapał jakieś prześcieradło i uniósł się na łokciach. Mięśnie ramion prześlizgnęły się pod skórą.

Yrene po prostu wyszła.

Usiadła na złocistej kanapie w salonie i poruszając rytmicznie nogą, wpatrywała się w ogród. Pnące kwiaty rozchylały płatki za szybami szklanych drzwi, fontanna pluskała i bulgotała, ale mimo to Yrene słyszała mamrotanie budzącej się Nesryn, a następnie cichy szelest jej stóp, gdy zmierzała do własnego pokoju łazienkowego. Potem nastąpiło trzaśnięcie drzwiami.

Chwilę później zatrzeszczały koła fotela i pojawił się sam Chaol. Miał już na sobie spodnie i koszulę, ale jego włosy nadal były rozczochrane, jakby tylko przeczesał jej palcami. On bądź Nesryn. I to nieraz.

Yrene splotła ramiona na piersi. Pokój niespodziewanie wydał jej się zbyt wielki, a przestrzeń między nimi nazbyt otwarta. Powinna była coś zjeść na śniadanie. Powinna była zrobić coś, by teraz nie kręciło jej się w głowie. By wypełnić czymś pustkę w brzuchu.

– Nie sądziłem, że wstaniesz tak wcześnie – rzekł cicho, a Yrene mogłaby przysiąc, że w jego głosie pobrzmiwało poczucie winy.

– Powiedziałeś, że mogę przyjść o świcie – odpowiedziała równie cicho. Usłyszała oskarżenie we własnym głosie i sama się za to znienawidziła. – Powinnam była jakoś się zapowiedzieć – dodała szybko.

– Nie, ja...

– Mogę wrócić później! – Zerwała się na równe nogi. – Zjedzcie sobie śniadanie.

Razem. Ona robi to sama.

– Nie – rzekł Chaol ostrym głosem, czym zatrzymał ją w pół kroku. – Teraz może być.

Nie mogła na niego patrzeć. Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Nie potrafiła też tego wytłumaczyć.

– Yrene!

Zignorowała jego rozkazujący ton i podeszła do biurka. Usiadła przy nim, ciesząc się z tego, że od mężczyzny oddzielał ją starannie rzeźbiony, drewniany parawan. Otworzyła torbę i precyzyjnymi ruchami zaczęła ją rozpakowywać. Fiolki z olejkami, których nie potrzebowała. Pamiętniki.

Księgi, w tym te, które wzięła z biblioteki, a wśród nich *Pieśń o Początku*. Obok nich prastare, bezcenne zwoje. Nie była w stanie znaleźć dla nich bezpieczniejszego miejsca. Ani też lepszego opiekuna.

– Mogę przygotować specjalny eliksir – powiedziała bardzo cicho. – Dla niej. Jeśli potrzebujecie. Chyba że nie jest to konieczne.

„Bo nie przeszkadza wam dziecko” – pomyślała, ale nie była w stanie powiedzieć tego na głos. Dziecko. Niemowlak, taki jak ów tłuszczoszek, do którego tak promiennie się wczoraj uśmiechał. Dobrze to widziała. Patrzył na to dziecko jak na błogosławieństwo, jak na radość, której kiedyś zapragnie.

– Mogę go przynosić codziennie – dodała, choć słowa stawały jej w gardle i z trudem je artykułowała.

– Ona pije już jakiś – rzekł Chaol. – Odkąd ukończyła czternaście lat.

Czyli pewnie od pierwszego krwawienia. Dla kobiety w mieście takim jak Rifthold było to

sensowne rozwiązanie, tym bardziej jeśli miała ochotę dobrze się bawić.

– To dobrze – wykrztusiła. Nie była w stanie powiedzieć nic więcej, skupiona na układaniu swoich książek. – Mądrze.

Zbliżył się do biurka, aż jego kolana wsunęły się pod blat z drugiej strony.

– Yrene.

Uzdrowicielka z hukiem układała książki, jedną na drugiej.

– Proszę.

Usłyszawszy to słowo, uniosła wzrok. Patrzyła mu w oczy, ciepłe niczym piasek w blasku słońca, aż odczytała w nich dwa słowa: „Przepraszam cię”.

To wystarczyło, by poderwała się zza biurka, przebiegła przez pokój i pchnęła drzwi wychodzące na ogród.

Przecież nie było za co przeproszać. W ogóle. Byli kochankami, a ona...

Stała przy wyjściu do ogrodu, aż usłyszała, jak drzwi do sypialni Nesryn otwierają się i zamykają. Aż usłyszała, jak ta wsuwa głowę do salonu, żegna się półgłosem z Chaolem i wychodzi. Próbowwała zmusić się, by spojrzeć na nią przez ramię i uśmiechnąć się do niej uprzejmie, ale wołała udawać, że nie jest świadoma ich przelotnego spotkania. Wołała udawać, że zaabsorbowały ją bladofioletowe kwiaty, rozchylające płatki w blasku porannego słońca.

Odepchnęła rozlewającą się w jej sercu pustkę. Nie czuła się tak mała, tak nieistotna od bardzo, bardzo dawna.

„Jesteś prawdopodobną następczynią Najwyższej Uzdrowicielki i dziedziczką jej wiedzy. Dla tego mężczyzny jesteś nikim, a on jest nikim dla ciebie. Trzymaj się kursu, który obrałaś. Pamiętaj o Fenharrow, twej ojczyźnie. Pamiętaj o tych, którzy nadal tam żyją. O tych, którzy potrzebują twej pomocy. Pamiętaj o tym, czego obiecałaś dokonać. O tym, kim obiecałaś być”.

Jej dłoń wsunęła się do kieszeni, palce dotknęły kartki.

„Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki”.

– Jest inaczej, niż myślisz – powiedział Chaol za jej plecami.

Yrene zamknęła na moment oczy.

„Walcz. Walcz o swe żalodne, bezużyteczne, zmarnowane życie”.

Odwróciła się i zmusiła do uprzejmego uśmiechu.

– To coś całkowicie naturalnego i świadczy o dobrym zdrowiu. Cieszę się, że jesteś... zdolny do tego.

Gniew, który zapłonął w jego oczach, i siła, z jaką zacisnął zęby, sugerowała, iż być może jest inaczej.

„Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki. Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki. Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki”.

Trzeba było zamknąć tę sprawę. Trzeba było go uleczyć, a potem będzie mogła opuścić Hafizę oraz Torre z wysoko uniesioną głową. Będzie mogła wrócić do domu, gdzie szaleje wojna i leje się krew, a ona wypełni złożoną obietnicę. Będzie mogła odwdziżyć się owej nieznajomej za dar wolności, który otrzymała owej nocy w Innish.

– Zaczynamy?

Postanowiła, że dziś będzie zajmować się nim w salonie. Na samą myśl o tym, że miałyby usiąść wśród skotłowanej pościeli, zapewne nadal pachnącej nimi obojgiem...

Bez względu na to, ile razy próbowała odkaszlnąć, gardło nadal miała ściśnięte, a głos lekko ochrypły.

Chaol przyglądał się jej. Analizował jej ton. Jej słowa. Wyraz jej twarzy. Zobaczył to. Usłyszał.

Był świadom tego, jaka nagle stała się krucha. Wiedział o tym, z jakim trudem przychodzi jej wszystko tego ranka.

Chciała mu powiedzieć, że nie spodziewała się niczego. Że sama jest niczym.

I prosiła go. Prosiła, by o nic nie pytał. By nie naciskał.

Chaol najwyraźniej odebrał i to.

– Nie zaciągnąłem jej do łóżka – rzekł cicho.

Yrene chciała powiedzieć, że wszystko jednak na to wskazuje, ale zacisnęła zęby.

– Rozmawialiśmy długo w nocy, aż w końcu zasnąłem – ciągnął. – Do niczego nie doszło.

Yrene miała wrażenie, że jej serce jednocześnie pustoszeje i napełnia się czymś nowym, ale odepchnęła od siebie tę świadomość. Nie odzywała się, gdyż nie ufała sobie, jakby czuła, że nadeszła pora na nabranie oddechu.

Chaol zaczął zawracać w stronę kanapy, gdy jego wzrok naraz przyciągnęły księgi i zwoje ułożone na biurku.

Poblądł.

– Co to takiego? – wycharczał.

Yrene podeszła do biurka, wzięła jeden z pergaminów i rozwinęła go ostrożnie, by pokazać mu dziwne symbole.

– Nousha, Główna Bibliotekarka, natrafiła na nie tej nocy, gdy poprosiłam ją o informacje na temat... Na temat tego, co cię prześladowuje. W tym całym zamieszaniu zupełnie o tym zapomniałam. Stały obok ksiąg z Eyllwe i Nousha na wszelki wypadek również je dla mnie wzięła. To bardzo stare rzeczy, moim zdaniem. Mają przynajmniej osiem stuleci. – Wiedziała, że papie jak najęta, ale nie mogła przerwać, ciesząc się z każdego tematu, który oddalał ją od kwestii poruszonej przez Chaola. – To chyba runy, ale nigdy takich nie widziałam. Nousha również nie.

– To nie runy – rzekł ochryplym głosem Chaol. – To Znaki Wyrda.

Yrene naraz przypomniała sobie to, co od niego usłyszała, i uświadomiła sobie, że był to dopiero wstęp. Że istnieje o wiele więcej sekretów, których jej nie wyjawił. Musnęła dłonią twardą, ciemną okładkę *Pieśni o Początku*.

– Tutaj zaś... Tu wyczytałam coś o bramie. I o kluczach. Oraz trzech królach, którzy mają je dzierżyć.

Nie wiedziała, czy nadal oddycha. Wtedy odezwał się Chaol.

– Przeczytałaś o tym? – szepnął. – W tej książce?

Yrene rozchyliła ją i przerzucała strony, aż natrafiła na ilustrację przedstawiającą trzy postacie stojące przed bramą prowadzącą do innego świata. Podeszła do niego i pokazała mu je.

– Nie wszystko rozumiem... To zostało spisane w starożytnej wersji języka eyllwe, ale...

Pokazała mu kolejną rycinę, na której widniał młody człowiek przesycany mrocznymi mocami.

– Czy to... czy oni naprawdę to robią?

Dłonie Chaola opadły bezsilnie, gdy wpatrywał się w ilustrację. Patrzył na chłodne, ciemne oczy młodzieńca.

– Tak.

W tym słowie kryło się więcej bólu i strachu, niż się spodziewała. Otworzyła usta, ale Chaol obrzucił ją ostrzegawczym spojrzeniem i opanował emocje.

– Ukryj to, Yrene. Schowaj wszystkie te księgi. Natychmiast.

Jej serce waliło jak młot. Porwała księgi i w panicznym pośpiechu zaczęła upychać je pod poduszkami i do wnętrza większych waz. Chaol zaś nie spuszczał wzroku z drzwi i okien. Ale te zwoje... Przecież były zbyt cenne, by traktować je z taką niedbałością! Gdyby je czymś przygniotła, pergamin mógłby się rozpaść lub atrament mógłby się skruszyć...

Chaol zauważył, że dziewczyna stoi ze zwojem w ręku i rozgląda się bezradnie dookoła.

– Możesz mi podać buty, Yrene? – odezwał się swobodnym tonem. – Mam drugą parę, którą chciałem dziś założyć.

Racja, buty! Yrene wpadła do sypialni, krzywiąc się w duchu na widok rozgrzebanej pościeli, przez którą wyciągnęła tak głupie wnioski i znów zrobiła z siebie idiotkę. Zajrzała do garderoby, zauważyła jego buty i wsunęła pergamin do jednego z nich, a potem narzuciła na nie płócienne ręczniki.

Wróciła do salonu chwilę później.

– Nie mogłam ich nigdzie znaleźć. Pewnie Kadja odesłała je gdzieś do czyszczenia.

– Szkoda – stwierdził Chaol.

Sam był już bez butów, zdjął również koszulę. Jej serce tukało jak szalone. Patrzyła, jak przenosi się na złotą kanapę, ale nie kładzie się.

– Umiesz czytać? – spytała, klękając przed nim i ujmując jego bosc stopy. Chodziło jej oczywiście o Znaki Wyrda.

– Nie. – Jego palce u nóg drgnęły, gdy zaczęła delikatnie obracać jego kostkę. – Ale znam kogoś, kto robi to za mnie w razie potrzeby.

Ostrożne, dobrze dobrane słowa, maskujące prawdziwy temat przed kimś, kto mógłby podsłuchiwać. Yrene przeprowadziła staranny trening lewej nogi. Rozciągała ją, zginała, masowała i obracała nią, a on przebierał palcami u nóg najintensywniej jak potrafił.

– Powinam ci kiedyś pokazać bibliotekę – zaproponowała. – Niewykluczone, że znajdziesz tam coś, co cię zainteresuje. Ów znajomy mógłby ci poczytać.

– Macie tam wiele równie ciekawych tekstów?

Yrene opuściła jedną nogę i zajęła się drugą.

– Mogłabym spytać. Nousha wie wszystko.

– Zróbmy najpierw to, co do nas należy. A ty odpocznij. Minęło już sporo czasu, odkąd natrafiłem na książkę, która... która by mnie zaintrygowała.

– Byłabym zaszczycona, mogąc cię tam zaprowadzić, milordzie.

Chaol skrzywił się, słysząc ten tytuł, ale Yrene bez słowa przystąpiła do pracy nad jego prawą nogą. Przeprowadziła te same ćwiczenia, a potem poprosiła go, by położył się na kanapie. Obracała jego biodrami i zachęcała go, by sam próbował wykonać jakiś ruch, jednocześnie zginając i prostując nogę.

– Wspomniałeś tylko o Erawanie – szepnęła po chwili ledwie słyszalnym głosem. W jego oczach błysnęło ostrzeżenie. – A Orcus i Mantyx?

– Kto?

Yrene przeszła do kolejnych ćwiczeń na jego biodra i dolną część pleców.

– Pozostałych dwóch królów. Wymieniono ich w tej książce.

Chaol przestał poruszać palcami u nóg. Uzdrowicielka trąciła go lekko, by ponaglić go do dalszej pracy. Odetchnął ciężko i odparł:

– Zostali pokonani podczas pierwszej wojny. Wygnani do ich królestwa czy zabici, nie pamiętam. Zamyślona Yrene opuściła jego nogi na kanapę i dała mu znać, by się obrócił na brzuch.

– Jestem pewna, że ty i twoi towarzysze zjedliście wszystkie rozumy i doskonale się znacie na ratowaniu świata – szepnęła, na co Chaol parsknął cicho – ale ja wołałabym się upewnić. Dobrze byłoby wiedzieć, który jest który.

Usiadła na wąskim oparciu kanapy. Chaol obrócił głowę ku niej, napinając potężne mięśnie pleców.

– Dlaczego?

– Bo jeśli zostali po prostu wygnani do swego królestwa, któż jest w stanie rzec, czy nie czekają tam, aż ktoś wpuści ich z powrotem?



23.

Oczy Chaola zaszły mgłą, a jego policzki powlokła bladość. Pytanie Yrene zawisło w powietrzu między nimi.

– Jasna cholera – szepnął. – O, cholera.

– Nie pamiętasz, co się stało z dwoma pozostałymi królami?

– Nie, nie... Wydawało mi się, że zostali unicestwieni, ale... Dlaczego akurat tu pojawiła się wzmianka na ich temat?

Uzdrowicielka pokręciła głową.

– Trzeba szukać dalej. Trzeba dowiedzieć się czegoś więcej.

Na jego zaciśniętych szczękach zadrżał jakiś mięsień. Chaol nabrał tchu.

– Fakt. Zajmiemy się tym.

Wyciągnął rękę w milczącej prośbie.

Yrene uświadomiła sobie, że chce, by podała mu wędzidło. Spojrzała raz jeszcze na jego szczęki i policzki, ujrzała gniew i strach, kotłujące się w jego oczach. Kiepski moment, by rozpocząć sesję uzdrawiania. Może należało zmienić temat?

– Skąd masz tę bliznę? – zapytała.

Niewłaściwie pytanie. Jego plecy zeszytniały, palce wbiły się głębiej w poduszkę, na której oparł podbródek.

– Zrobił ją ktoś, kto miał ku temu pełne prawo.

„To żadna odpowiedź” – uświadomiła sobie dziewczyna.

– Co się stało?

Nie odezwał się. Zamiast tego ponownie wyciągnął rękę po wędzidło.

– Nie dam ci go – rzekła. Chaol zwrócił ku niej spojrzenie pełne niepokoju i ujrzał na jej obliczu nieprzeniknioną maskę. – I nie mam zamiaru przystępować do pracy nad pacjentem, którego ogarnęła wściekłość.

– Jeszcze nie wiesz, Yrene, jak u mnie wygląda wściekłość.

Przewróciła oczami.

– Powiedz mi, o co chodzi.

– Chodzi o to, że ledwie mogę poruszać palcami u nóg, a być może przyjdzie nam zmierzyć się nie z jednym królem Valgów, ale trzema. Jeśli zawiedziemy, jeśli nie będziemy mogli...

Opanował się, zanim dokończył zdanie, a Yrene uświadomiła sobie, że o mało nie wyjawiał planu, który z pewnością był tak tajny, że nie miał nawet odwagi o nim myśleć.

– Oni zniszczą wszystko i wszystkich na swej drodze – dokończył, wpatrując się w oparcie kanapy.

– Czy to po nich masz tę bliznę? – spytała i zacisnęła palce w pięść, bo instynkt aż wołał, by jej dotknęła.

– Nie.

Pochyliła się i musnęła kciukiem inne, drobne znamię na jego czaszce, ledwie zakryte przez włosy.

– A ta? Skąd ją masz?

Na jego twarzy pojawiła się zaciętość, oczy znów zaszły mgłą, ale jego niecierpliwa, nieprzewidywalna, szalona wściekłość przygasła. Od Chaola biły teraz niechęć i chłód, ale przynajmniej odzyskał panowanie nad sobą. Nie miała pojęcia, skąd się brał ów stary gniew, ale ostudził go i przywrócił mu zdrowy rozsądek.

– To pamiątka po moim ojcu – rzekł cicho. – Z czasów, gdy byłem jeszcze dzieckiem.

Yrene przeszło przerażenie, ale nie pytała dalej. Usłyszała jednak odpowiedź. Przyznał się.

– Gdy wniknę w twą ranę – zaczęła i przełknęła ślinę, wpatrzona w jego plecy – będę próbowała znów cię odnaleźć. Jeśli ów mrok nadal na mnie czeka, będę musiała poszukać innego sposobu, by do

ciebie dotrzeć. – Zastanowiła się. – Być może będę też musiała obmyślić jakiś inny plan ataku. Zwykła zasadzka może nie wystarczyć. Cóż, niebawem się przekonamy.

Kąćki jej ust uniosły się lekko. Chciała obdarzyć go zwykłym uśmiechem uzdrowicielki, pokrzepiającym na duchu i dodającym energii, ale wiedziała, iż wyczuł jej przyspieszony oddech.

– Uważaj – powiedział tylko.

Yrene ujęła w końcu wędzidło i wsunęła mu je między zęby. Usta Chaola musnęły jej palce, gdy zaciskał szczękę. Przez kilka uderzeń serca przyglądał się jej twarzy.

– Gotowy? – szepnęła, szykując się na starcie z podstępna, nienawistną ciemnością, a Chaol w milczącej odpowiedzi uniosł rękę i ścisnął jej palce.

Szybko wyswobodziła dłoń. Ręka Chaola opadła na poduszki. Nadal się jej przyglądał. Patrzył na to, jak oddycha, jak układa dłoń na znamieniu na jego plecach.

\*\*\*

Tego dnia, gdy powiedział ojcu, że opuszcza Anielle, padał śnieg.

Oznajmił mu, że zrzeka się tytułu dziedzica i chce wstąpić do gwardii pałacowej w Rifthold. Ojciec w odpowiedzi wyrzucił go z zamku. Pchnął go tak mocno, że Chaol stoczył się po schodach na półpiętro.

Podczas upadku rozciął sobie głowę o szary kamień i przegryzł wargę. Siłą rozpędu sunął po oblodzonej ziemi u stóp schodów, a błagalne krzyki jego matki odbijały się echem od murów zamku. Nie zarejestrował bólu czaszki, czuł jedynie ostre krawędzie lodu, które rozdzierały mu dłonie, przebijały się przez spodnie i raniły jego kolana.

Słyszał tylko błagania matki oraz przeraźliwe wycie wiatru, który nigdy nie cichł, nawet latem, i zawsze nawiedzał samotną twierdzę górską nad Srebrnym Jeziorem.

Wiatr natarł na niego z furją, szarpał go za włosy, dłuższe niż teraz. Ciskał płatkami śniegu w jego twarz i wznosił śnieżną kurzawę na drodze do ponurego miasta, które rozrastało się wokół brzegów jeziora i ciągnęło się daleko na zachód, ku potężnym wodospadom. Lub po tym, co z nich zostało, gdyż na wsze czasy uciszyła je tama. Okiełznała też dziką rzekę spływającą z Białych Kłów i kończącą się na progu ich dominium.

W Anielle zawsze było zimno. Nawet latem.

Nigdy nie było ciepło w twierdzy, która zapuściła korzenie w górskim zboczu.

– Żalodne! – parsknął jego ojciec.

Nikt z gwardzistów o kamiennych twarzach nie znalazł w sobie odwagi, by podejść i mu pomóc. Kręciło mu się w głowie. Dudniło. Pulsowało. Gorąca krew zamarzała na jego twarzy.

– Chcesz iść do Rifthold, to idź. Jakoś trafisz – dodał lord Westfall.

– Proszę – szepnęła matka. – Proszę.

Ostatnim, co ujrzał Chaol, była dłoń ojca, zaciskająca się powyżej jej łokcia. Szarpał ją i powłókł za sobą do twierdzy z kamienia i malowanego drewna. Na jej bladej twarzy widniała udręka, a jej oczy, jakże podobne do jego własnych, skrzyły się srebrem przywodzącym na myśl jezioro w dolinie.

Wracający do zamku rodzice minęli niewielki cień, czający się w otwartym przejściu.

Terrin.

Jego młodszy brat odważył się zrobić krok ku niemu. Zaryzykował i zszedł po niebezpiecznych, oblodzonych schodach, by mu pomóc, ale zatrzymało go ostre warknięcie ojca, które dobiegło z półmroku korytarza.

Chaol otarł zakrwawione usta i w ciszy pokręcił głową, patrząc na brata.

Na twarzy Terrina malowało się czyste przerażenie, gdy patrzył, jak Chaol powstaje. Nie zdawał sobie chyba jeszcze sprawy z tego, że tytuł dziedzica właśnie przeszedł na niego.

Chaol nie mógł znieść tego lęku widocznego na okrągłej, młodziutkiej twarzy brata. Odwrócił się więc i zacisnął zęby, by jakoś stłumić ból spuchniętego, sztywnego kolana. Z jego dłoni ściekała krew zmieszana z drobinkami lodu.

Zdołał jakoś pokonać jeszcze jedną kondygnację schodów i dotarł na dziedziniec. Tam jeden ze

strażników wręczył mu płaszcz z szarej wełny oraz miecz i nóż. Inny podprowadził mu konia i wskazał kierunek. Trzeci podał worek z prowiantem, namiotem, bandażami i maściami.

Żaden z nich nie powiedział ani słowa. Nie zatrzymywali go dłużej, niż było to konieczne.

Nie znał ich imion. Wiele, wiele lat później dowiedział się, że ojciec przyglądał się tej scenie z jednej z trzech wież zamczyska. Widział, kto mu pomógł. Osobiście opowiedział Chaolowi o tym, co się stało z trzema mężczyznami, którzy przyszedli mu z pomocą.

Wyrzucił ich z zamku w samym środku zimy. Wygnał ich prosto ku bezdrożom Klów wraz z ich rodzinami. Latem słyszano jedynie o dwóch.

Oto był dowód. Kiedy już przekonał sam siebie, że nie może zamordować własnego ojca, uświadomił sobie, że jego postępek był najlepszym dowodem na zepsucie, które zapanowało w królestwie, gdzie źli ludzie karali tych dobrych za to, że okazywali zwykłą życzliwość. Dowód na to, że postąpił właściwie, opuszczając Anielle i dołączając do Dorianana. Chronił go i bronił, bo widział w nim nadzieję na lepszą przyszłość.

W największej tajemnicy wysłał zaufanego człowieka, by odnalazł wygnane rodziny. Nie dbał o to, że upłynęło wiele lat. Wręczył mu złoto dla wygnańców, ale mężczyzna nigdy ich nie znalazł. Po wielu miesiącach wrócił do Rifthold i oddał Chaolowi pieniądze.

Chaol dokonał wyboru, który słono go kosztował. Podjął decyzję, która pociągnęła za sobą konsekwencje.

Ciało na łóżku. Sztylet wzniesiony nad jego sercem. Głowa tocząca się po kamieniach. Czarny naszyjnik. Miecz tonący w nurcie Avery.

Ból w jego ciele nie miał wielkiego znaczenia.

Chaol miał się za człowieka pozbawionego wartości. Bezużytecznego. Każdy, komu próbował pomóc, pograżał się tylko w coraz większym bagnie.

Ciało na łóżku... To przecież Nehemia. Straciła życie. Fakt, być może w wyniku intrygi, którą sama skonstruowała, ale... ale to on nie ostrzegł Celaeny, zwącej się dziś Aelin, by zachowała czujność. Nie ostrzegł strażników Nehemii przed tym, czym interesował się król. Równie dobrze mógł sam ją zabić. Aelin może i mu wybaczyła, może pogodziła się z tym, że wina nie leżała po jego stronie, ale Chaol znał prawdę. Mógł zrobić coś więcej. Mógł okazać większą ofiarność. Więcej zdziałać.

A gdy Nehemia zginęła, ci niewolnicy chwycili za broń w jej imieniu. Skrzyknęli się, by pomścić zgaszone Światło Eyllwe. Wszędzie poniosło się wezwanie do walki.

Król też chwycił za broń. Zgasło o wiele więcej żywotów. Polała się krew w Calaculli i w Endovier. Ginęli mężczyźni, kobiety, dzieci.

A gdy on ruszył do działania, gdy wreszcie zadecydował, po czyjej stronie stanąć...

Krew. Czarny kamień. Wrzeszcząca magia.

„Wiedziałeś. Wiedziałeś. Wiedziałeś!”

„Nigdy nie będziesz moim przyjacielem. Moim przyjacielem. Moim przyjacielem!”

Ciemność wdzierала mu się do gardła, dusiła go i dławila.

Pozwalał jej na to. Czuł, że rozchyła szczęki, by dotarła głębiej.

„Bierz, co chcesz” – oznajmił ciemności.

„Och, tak – prychnęła do niego. – Tak”

Pokazała mu Morath wraz z zamieszkującymi ją niepojętymi koszmarami. Pokazała mu ów loch pod szklanym zamkiem, gdzie ludzie o znanych mu twarzach błagali o litość, która nigdy nie nadeszła. Pokazała mu młode, złociste dłonie, które zsyłały niewysłowione cierpienia, jakby były tuż obok...

Wiedział. Dawno odgadł, kto został zmuszony, by torturować jego ludzi, a potem ich zabijać. Oboje wiedzieli.

Poczuł, jak ciemność pęcznieje, rozrasta się, gotowa skoczyć na niego. Wydusić z niego prawdziwy wrzask.

Niespodziewanie jednak znikła.

Ujrzał pola falującego, złocistego zboża, ciągnące się daleko pod bezchmurnym, błękitnym niebem. Tu i ówdzie wśród upraw wiły się niewielkie, migotliwe strumyki, wymijając samotnie rosnące

dęby, zwiastujące bliskość Dębowej Puszczy. W istocie, jej spleciona, zielona gęstwina majaczyła gdzieś po prawej stronie.

Za jego plecami wznosiła się chata kryta strzechą. Jej ściany z szarego kamienia powlekły zielone i pomarańczowe porosty. Kilka kroków od niej stała równie stara studnia, a na skraju cembrowiny ktoś nonszalancko ustawił drewniane wiadro. Przy ścianie chaty znajdowała się niewielka zagroda dla tłustych kur, pochłoniętych dziobaniem ziemi.

A dalej zaś...

Ogród. Zwykły ogród otoczony niskim kamiennym płotem z otwartą drewnianą furtką. Nic wyjątkowego. Dwie postacie pochylały się nad starannie wytyczonymi grządkami z warzywami. Podpłynął bliżej.

Poznał ją po złocistobrązowych włosach, o wiele jaśniejszych w letnim słońcu. Jej skóra nabrała cudownego, brązowego odcienia, a oczy... Patrzył na rozpromienioną radością twarz dziecka spoglądającego na kobietę klęczącą na ziemi, która wskazywała jasnozieloną roślinę z drobnymi, fioletowymi kwiatkami, kołyszącą się na ciepłym wietrze.

– A to? – spytała kobieta.

– Szałwia! – odparło dziecko, które nie mogło mieć więcej niż dziewięć lat.

– A do czego służy szalwia?

Dziewczynka rozpromieniła się.

– Poprawia pamięć i nastrój – wyrecytowała, zadzierając podbródek. – Dobrze działa na płodność, trawienie, a dodana do maści znieczula skórę.

– Doskonale.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko. Brakowało jej trzech zębów. Kobieta – jej matka – ujęła jej okrągłą buzię w swe ręce. Jej skóra była ciemniejsza od karnacji córki, włosy gęstsze, bardziej poskręcane, ale budowa ciała... Wiedział, że ta dziewczynka będzie kiedyś wyglądać dokładnie tak jak jej matka w tamtej chwili. Wiedział, że odziedziczy jej piegi, przejmie ten nos i te usta.

– Uczylaś się, moja kochana mądralo! – oznajmiła kobieta i ucałowała córkę w spocone czółko.

Choć był zaledwie duchem przy bramie, Chaol poczuł ten pocałunek. Poczuł zaklętą w nim miłość. Ponieważ to właśnie miłość zasłaniała to miejsce przed resztą świata, miłość ozlacała je i opromieniała. Miłość i radość. Szczęście.

Szczęście takie, jakiego jego rodzina nigdy nie poznała. Którego on również nigdy nie zaznał, również po tym, jak opuścił dom.

Ta dziewczynka była kochana, głęboko, bezwarunkowo. Patrzył na szczęśliwe wspomnienie, jedno z wielu.

– A co to za krzak? Tam przy murku? – spytała kobieta córkę, a ta, skupiona, zmarszczyła brwi.

– Agrest?

– Tak. A do czego przydaje się agrest?

Dziewczynka oparła dłonie na biodrach. Jej zwykła sukienka powiewała na suchym, ciepłym wietrze.

– No, agrest...

Niecierpliwie uderzała stópką o ziemię, rozzłoszczona tym, że nie może sobie przypomnieć. Tę samą irytację widział przed domem owego chorego starca w Antice.

Mama przysunęła się bliżej, przytuliła dziecko do siebie i ucałowała w policzek.

– Z agrestu robimy ciasto agrestowe.

Radosny pisk dziewczynki poniósł się daleko nad bursztynowymi trawami i wartkimi strumieniami i dotarł nawet do serca starożytnej, splecionej Dębowej Puszczy. Może sięgnął nawet samych Białych Kłów i zimnego miasta, usytuowanego u ich stóp.

\*\*\*

Otworzył oczy.

I uświadomił sobie, że cała jego stopa wciska się między poduszki kanapy. Poczuł gładkość jedwabiu i drapiące lekko wypukłości haftu. Czuł je stopą. Palcami u nóg.

Czuł.

Zerwał się i rozejrzał. Yrene nie było przy nim.

Nie widział jej nigdzie wokół siebie.

Wbił wzrok w swoją stopę. Patrzył na to, co się działo poniżej kostki. Był w stanie przesuwac stopę i obracać nią. Czuł pracę mięśni.

Słowa utknęły mu w gardle. Serce waliło jak młot kowalski.

– Yrene – wychrypiał, rozglądając się. Nie było jej w apartamencie, ale...

Jego uwagę przyciągnął blask słońca, odbijający się od złocistobrazowych włosów.

Była w ogrodzie. Sama. Milcząca.

Nie dbał o to, że był nagi do pasa. Podniósł się i przeniósł na fotel, nie mogąc się nacieszyć tym, że jego stopy wreszcie wyczuwają drewno oparcia. Mógł przysiąc, że nawet jego nogi... Tak, wyczuwał jakieś widmowe mrowienie.

Złapał za koła i wjechał do niewielkiego, kwadratowego ogrodu, wytrzeszczając oczy i nie mogąc złapać tchu. Udało jej się naprawić jeszcze jeden odcinek jego martwych nóg, jeszcze kawałek jego ciała!

Siedziała na niewielkim, zdobionym krzeselku przed okrągłym oczkiem wodnym. Opierała dłoń na pięści.

W pierwszej chwili pomyślał, że drzemie w blasku słońca. Podjechał jednak bliżej i dostrzegł lśnienie na jej twarzy. Wilgoć. Nie krew. Tym razem łyzy.

Splywały powoli, bez końca, a dziewczyna nie odrywała wzroku od powierzchni oczka, w większości zasłoniętej przez różowe lilie i szmaragdowe liście. Wpatrywała się w nią, jakby go nie dostrzegała. Nie słyszała.

– Yrene.

Po jej policzku spłynęła jeszcze jedna łza i wsiąknęła w materiał jasnofioletowej sukienki. Po niej następna.

– Nic ci nie jest? – spytał ochryplym głosem. Koła jego fotela przesuwaly się z chrzęstem po jasnym żwirze ścieżki.

– Zapomniałam – szepnęła drżącymi ustami, wciąż wpatrzona w sadzawkę. Jej głowa nawet nie drgnęła. – Zapomniałam, jak ona wyglądała. Jak pachniała. Ja zapomniałam nawet, jak brzmiał jej głos.

Chaol poczuł ból w sercu na widok jej rozpacz. Podjechał jeszcze bliżej, ale jej nie dotykał.

– Jako uzdrowicielki ślubujemy, iż nie wolno nam odbierać nikomu życia – ciągnęła Yrene cicho.

– Złamała obietnicę tego dnia, gdy przyszli żołnierze. Miała ukryty sztylet. Zobaczyła, jak żołnierz mnie łapie, i... i skoczyła na niego. – Zacisnęła powieki. – Zabiła go. By dać mi czas na ucieczkę. Rzuciłam się więc do biegu. Uciekłam, ale wszystko widziałam. Ukryłam się na skraju lasu i patrzyłam, jak wzniesają pożar. Słyszałam, jak krzyczy bez końca. – Jej ciało drżało. – Była dobrym człowiekiem – szepnęła. – Miała dobre serce i kochała mnie. – Nadal nie otarła łez. – A oni mi ją odebrali.

„Człowiek, któremu służyłem... – pomyślał Chaol. – To on ją odebrał”.

– Gdzie się później udałaś? – spytał cicho.

Jej drżenie zelżało. Otarła nos.

– Matka miała kuzyna na północy Fenharrow. Tam poszłam. Zabrało mi to dwa tygodnie, ale w końcu dotarłam na miejsce.

Miała wówczas jedenaście lat, a armie króla były w trakcie podbijania całego terytorium Fenharrow. Mimo to udało się jej. Jedenastolatce...

– Przez sześć lat pracowałam u nich na gospodarstwie. Udawałam normalną osobę, ale próbowałam nie rzucać się w oczy. Leczyłam ziołami, jeśli nie budziło to niczyich podejrzeń. Ale takie życie mi nie wystarczało. Czułam, że ziele we mnie jama. Byłam niekompletna. Brakowało mi czegoś.

– A więc przybyłaś tu?

– Wyruszyłam w drogę. Chciałam tu dotrzeć. Szłam przez Fenharrow, potem przez Dębową Puszcę, przez... przez góry.

Jej głos załamał się i przeszedł w szept.

– Wędrowałam przez sześć miesięcy, ale w końcu dotarłam do portu o nazwie Innish.

Chaol nigdy nie słyszał o Innish, choć przypuszczał, że port znajdował się w Melisande, skoro po drodze pokonała góry.

Góry? Ta drobna dziewczyna przekroczyła łańcuch górski? Sama?

– Skończyły mi się pieniądze i nie byłam w stanie wykupić miejsca na żadnym statku. Zostałam więc w Innish i znalazłam sobie pracę.

Chaol odpędził pokusę, by spojrzeć na bliznę na jej gardle. By spytać, jaki rodzaj pracy sobie znalazła...

– Większość młodych dziewcząt pracowała na ulicach. Innish... Cóż, nie było przyjaznym miejscem. Natrafiłam jednak na gospodę przy dokach, gdzie znalazłam posadę jako barmanka, służąca i... Mniejsza o to. Zostałam tam. Z początku chciałam pracować jedynie przez miesiąc, ale zostałam na cały rok. Pozwalałam, by właściciel interesu zatrzymywał moje pieniądze i moje napiwki. Zwiększał mi czynsz i umieścił mnie w komórce pod schodami. Nadal nie miałam pieniędzy na rejs, a myślałam, że... że za moją edukację tutaj przyjdzie mi zapłacić. Czułam, że muszę też zebrać pieniądze na czesne, a więc... Dalej pracowałam w Innish.

Wpatrywał się w jej dłonie, zaciśnięte teraz kurczowo na kolanie. Wyobraził sobie, jak trzymają szczotkę i wiadro, jak szorują naczynia czy wyzymają mokre szmaty. Wyobraził je sobie czerwone i popękane. Wyobraził sobie brudną tawernę i jej mieszkańców. Nie chciał nawet myśleć o tym, co sobie wyobrażali i czego pragnęli, gdy na nią patrzyli.

– Jak tu dotarłaś?

Yrene zacisnęła mocniej usta. Jej łzy powoli schły. Wypuściła powietrze z płuc.

– To długa historia.

– Mam czas, by jej wysłuchać.

Uzdrowicielka jednakże potrząsnęła głową. W końcu na niego spojrzała. Na jej twarzy widniało zdecydowanie. Te oczy...

W jej głosie nie było wahania, gdy rzekła:

– Wiem, kto ci zadał tę ranę.

Chaol znieruchomiał.

Mówiła o człowieku, który odebrał jej ukochaną matkę i zmusił ją do ucieczki przez pół świata.

Zdołał skinąć głową.

– Poprzedni król – szepnęła Yrene, wpatrzona w powierzchnię sadzawki. – On również był nawiedzony przez demona, prawda?

Mówiła tak cicho, że ledwie słyszał jej słowa.

– Tak – wykrztusił. – Był pod władaniem Valgów przez wiele lat. Przykro mi, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej, ale... Uznaliśmy tę informację za tajną.

– Bo ludzie mogliby zacząć podważać sensowność przekazania tronu jego synowi?

– Tak. Oraz zadawać pytania, które lepiej zachować dla siebie.

Yrene potarła się dłonią po dekolcie. Jej bladą twarz przepełniała zgroza.

– Nic dziwnego, że moja magia odbija się w ten sposób.

– Przykro mi – powtórzył Chaol. Nie był w stanie powiedzieć nic bardziej sensownego.

Jej bystre oczy skierowały się na niego. Resztki mgły już dawno z nich wyparowały.

– To daje mi tylko kolejny powód do walki. Muszę zetrzeć pozostawioną przez niego plamę na zawsze. Czuję, jak na mnie czeka. Jak śmieje się ze mnie. Zdołałam cię odnaleźć, ale ciemność wokół ciebie była nazbyt gruba. Mrok utworzył wokół ciebie skorupę, ale widziałam wszystko, co ci pokazała. Widziałam twe wspomnienia i wspomnienia mroku. – Potarła twarz. – Zrozumiałam wówczas wszystko. Dowiedziałam się, kto zadał ci ranę. Ujrzałam też, co mrok ci robi, i nie mogłam się powstrzymać, musiałam go przegonić, przepędzić...

Zacisnęła usta, jakby się bała, że znów zaczną drżeć.

– Odrobiną dobra – dokończył za nią. – Wspomnieniem światła i dobra.

Nie znał słów, którymi mógł wyrazić swą wdzięczność. Nie miał pojęcia, co musiała przeżyć,

poświęcając wspomnienie swej matki w walce z demonem, który ją zniszczył.

Yrene najwyraźniej odczytywała jego myśli, bo powiedziała:

– Cieszę się, że to wspomnienie o mej matce odpędziło ciemność nieco dalej.

Chaol poczuł ucisk w gardle i przełknął ślinę.

– Widziałam twoje wspomnienia – powiedziała cicho. – W których pojawia się ten mężczyzna.

Twój ojciec.

– Łajdak, jakich mało.

– To nie twoja wina. Nic z tych rzeczy nie jest twoją winą.

Miał ochotę się sprzeczać, ale się powstrzymał.

– Masz szczęście, że nie rozbił ci czaszki – dodała, przyglądając się jego czołu. Blizna była ledwie widoczna, zasłonięta przez włosy.

– Jestem przekonany, że ojciec ma inne zdanie.

W oczach Yrene błysnął mrok, ale powiedziała jedynie:

– Zasłużyłeś sobie na lepsze życie.

Jej słowa trąciły pewną nutę, o której zdołał już zapomnieć. Jątrzący się ból, do którego nie wracał od bardzo, bardzo dawna.

– Dziękuję – zdołał powiedzieć.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy.

– Która godzina? – spytał potem.

– Trzecia.

Chaol drgnął, a spojrzenie Yrene natychmiast omiotło jego nogi. Jego stopy. Zauważyła, że poruszyły się wraz z nim. Otworzyła lekko usta.

– Kolejny postęp – oznajmił.

Jej uśmiech był nieśmiały, ale szczery. Nie przypominał tego, który udawała wiele godzin temu, gdy weszła do jego sypialni i ujrzała go z Nesryn, a on poczuł, że cały świat wymyka się spod jego stóp na widok jej wyrazu twarzy, gdy odwracała od niego wzrok, gdy obronnym gestem zakładała ramiona na piersi.

Żałował, że nie potrafi chodzić. Chciał, by ujrzała, jak się przed nią korzy.

Nie wiedział dlaczego. Nie miał pojęcia, dlaczego czuł się jak najgorsza szumowina. Dlaczego ledwie był w stanie spojrzeć na Nesryn, choć zdawał sobie sprawę z tego, że jest zbyt spozstrzegawcza, by tego nie zauważyć. Zeszłej nocy wszak zawarli niewypowiedzianą umowę co do tego. Bez słowa, uzgodnili, iż nie będą o tym mówić. A powód ku temu...

Yrene postukała go w bosą stopę.

– Czujesz to?

Chaol podkurczył palce u nóg.

– Tak.

Zmarszczyła brwi.

– Naciskam mocno czy słabo? – spytała i z całej siły wbiła palec w jego stopę.

– Mocno – stęknął Chaol, na co uzdrowicielka zwolniła napór.

– A teraz?

– Słabo.

Powtórzyła test na drugiej stopie, a potem dotknęła każdego z jego palców.

– Myślę – powiedziała – że zepchnęłam ów mrok gdzieś na środek twoich pleców. Znamię wygląda mniej więcej tak samo, ale mam wrażenie, że... – Pokręciła głową. – Nie umiem tego wyjaśnić.

– Nie musisz.

Poświęciła jednak swoją radość – niczym nieskażoną radość, płynącą z tego wspomnienia – by odzyskać tę cząstkę swobody. Oddała mu bardzo wiele.

– Umieram z głodu – powiedział i trącił ją łokciem. – Zjesz coś ze mną?

Ku jego zaskoczeniu zgodziła się.

Nesryn wiedziała.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, dlaczego Chaol chciał z nią rozmawiać zeszłej nocy. Bynajmniej nie był zainteresowany tym, co się u niej wydarzyło, ale po prostu powodowało nim poczucie winy.

Powtarzała sobie, że wcale jej to nie przeszkadza. Stanowiła wszak zastępstwo nie jednej, ale dwóch kobiet w jego życiu. A ta trzecia...

„W ogóle mi to nie przeszkadza” – powtarzała sobie w myślach, gdy przemykała po ulicach Antiki, nigdzie nie natrafiając na żaden ślad bytności Valgów. W końcu wróciła na teren pałacu.

Zatrzymała się i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jego bryłę. Nie była jeszcze gotowa, by wrócić do gościnnego apartamentu, gdzie mogłaby przeczekać morderczy żar popołudnia.

Jej uwagę przyciągnęła ogromna istota, która przycupnęła na szczycie minaretu. Uśmiechnęła się ponuro.

Dotarła na samą górę zdyszana i bez tchu, ale na szczęście nie widział tego nikt poza Kadarą. Ruk zakłapał dziobem na powitanie i powrócił do rozszarpywania ogromnego ochłapu mięsa, z którego sterczały żebra.

– Słyszałem, że się tu wybierasz! – odezwał się Sartaq za jej plecami.

Nesryn obróciła się na pięcie.

– Ja... Jak?

Książę uśmiechnął się znacząco i wkroczył na lądowisko. Podekscytowana Kadara nastroszyła pióra i wbiła dziób w mięso, jakby chciała jak najszybciej zakończyć posiłek i znaleźć się wysoko w górze.

– W pałacu roi się od szpiegów. Niektórzy spośród nich służą mnie. Czy czegoś ci trzeba?

Przyjrzał jej się uważnie i zobaczył twarz, która poprzedniego dnia stała się obiektem troski i narzekania ze strony wuja i cioci. Twierdzili, że Nesryn jest zmęczona, znużona i nieszczęśliwa, bez litości wpychali w nią jedzenie, a potem zasugerowali, by zabrała dzieciaki z powrotem do portu i kupiła ryby na kolację. Później nadal ją karmili, aż wymknęła się do pałacu na ucztę.

„Wciąż kiepsko wyglądasz. – Zahida zacmokała. – Masz takie ciężkie powieki”.

– Ja... – Nesryn rozejrzała się dookoła. Nad miastem migotało powietrze rozgrzane popołudniowym słońcem. – Ja chyba szukałam miejsca, w którym mogłabym zaznać ciszy i spokoju.

– Nic prostszego – rzekł Sartaq i obrócił się ku zwieńczonemu łukiem zejściu na klatkę schodową.

– Nie! – zawołała i odruchowo wyciągnęła rękę, ale zatrzymała ją w ostatniej chwili, tuż przed jego skórzaną kurtką. Przecież nikt nie miał prawa łapać księcia za ramię. Nikt. – Nie chodziło mi o to! Ja... ja nie chcę, byś stąd odchodził. Nie mam nic przeciwko twojej obecności. Wasza Wysokość – dodała pospiesznie.

Kąciki ust Sartaqa drgnęły.

– Trochę spóźniłaś się z tym tytułem, co?

Nesryn spojrzała na niego błagalnie, ale powiedziała mu szczerą prawdę. Zeszłej nocy, gdy rozmawiała z nim na przyjęciu, czy też kilka nocy wcześniej, gdy spotkali się na uliczce przy Torre, nie wyczuwała od niego wyniosłości, chłodu czy dystansu. Nie czuła się przy nim dziwnie ani nieswojo. Wyświadczył jej wielką łaskę, poświęcając jej tyle uwagi czy też odprowadzając ją i Chaola do apartamentu dla gości. Nie miała nic przeciwko towarzystwu innych ludzi. Była osobą cichą i zamkniętą w sobie, ale lubiła przebywać w większym gronie. Bywało jednak, że...

– Spędziłam cały wczorajszy dzień z moją rodziną. Oni potrafią być naprawdę męczący. I wymagający.

– Wiem, co czujesz – odparł sucho książę.

Na ustach Nesryn pojawił się nieśmiały uśmiech.



- Pewnie tak – stwierdziła.
- Ale ich kochasz, prawda?
- A ty? Nie kochasz swojej rodziny?

Było to śmiałe, niemalże aroganckie pytanie, ale Sartaq wzruszył jedynie ramionami.

– Kadara to moja rodzina. *Rukhin* są moją rodziną. Mój ród zaś... Trudno darzyć się nawzajem miłością, gdy wiesz, że pewnego dnia staniecie przeciwko sobie. Nie ma mowy o miłości, jeśli nie towarzyszy jej zaufanie. – Uśmiechnął się do swego ruka. – Ufam Kadarze bezgranicznie. Jestem gotów za nią zginąć, a ona za mnie. Czy mogę powiedzieć to samo o moim rodzeństwie? O rodzicach?

– Szkoda – przyznała Nesryn.

– Na szczęście mam ją – powiedział książę, patrząc na ptaka. – Oraz moich jeźdźców. Żal mi moich braci i sióstr, którzy nie mają tyle szczęścia co ja.

„On jest dobrym człowiekiem – uzmysłowiła sobie Nesryn. – Ten książę ma dobre serce”.

Podeszła do zwieńczonego łukiem portalu, z którego rozpościerał się widok na całe miasto. Pod jej stopami rozciągała się przepaść.

– Niebawem udam się w drogę – oznajmił cicho książę. – Polecę w góry, gdzie mieszkają *rukhin*. Będę szukał odpowiedzi na pytania, które padły między nami tamtej nocy na mieście.

Nesryn spojrzała na niego przez ramię, próbując znaleźć w sercu odwagę, a w głowie odpowiednie słowa. Książę, którego twarz nadal była obojętna, nie skończył jeszcze mówić:

– Jestem pewien, że moja rodzina zetnie mi za to głowę i złoży ją w ofierze, ale czy nie miałabyś ochoty mi towarzyszyć?

„Tak!” – chciała szepnąć, ale opanowała się i zapytała:

– Jak długo to potrwa?

Czas nie był po jej stronie. Po ich stronie. A poszukiwanie odpowiedzi w chwili, gdy zewsząd zbliża się niebezpieczeństwo...

– Kilka tygodni, nie więcej niż trzy. Muszę utrzymywać dyscyplinę wśród moich jeźdźców. Jeśli nie ma mnie wśród nich zbyt długo, do gniazdowiska wkrada się rozprężenie. Myślę więc, że podróż posłuży dwóm celom.

– Ja... ja muszę to omówić. Z lordem Westfallem.

Przecież obiecała mu to zeszłej nocy. Ustalili, że wspólnie opracują plan działania i rozważą wszystkie niebezpieczeństwa oraz możliwe korzyści. Ustalili, że wciąż są zespołem i wciąż walczą pod tym samym sztandarem.

Sartaq z powagą pokiwał głową, jakby był w stanie odczytać wszystkie myśli z jej twarzy.

– Oczywiście. Choć pamiętaj, że wyruszam niebawem.

Wtedy Nesryn usłyszała sapanie pnących się po schodach służących, bez wątplenia obciążonych zapasami na drogę.

– Nie, ty wyruszasz teraz! – uświadomiła sobie, ujrawszy włócznię, opartą o ścianę przy półkach z akcesoriami do lotu. Jego *sulde*. Rdzawobrunatne pasmo końskiego włosia, przywiązane pod ostrzem, kołysało się, trącane podmuchami wiatru. Ciemne drewno drzewca było wypolerowane i gładkie.

Onyksowe oczy Sartaka pociemniały jeszcze bardziej, gdy podszedł do swej włóczni i ujął ją. Przez moment ważył ją w dłoni, po czym ze stuknięciem postawił na podłodze.

– Ja...

Nigdy dotąd nie słyszała, by miał problemy z doborem słów.

– Nie chciałeś się nawet pożegnać? – spytała.

Nie miała prawa się tego od niego domagać czy nawet się tego spodziewać, bez względu na to, czy połączyła ich wspólna sprawa, czy nie. Sartaq jednakże znów oparł włócznię o ścianę i zaczął splatać swe ciemne włosy w warkocz.

– Odniosłem wrażenie, że po przyjęciu zeszłej nocy będziesz raczej zajęta.

Miał na myśli Chaolę. Jej brwi uniosły się wyżej.

– Przez cały dzień?

Książę obdarzył ją szelmowskim uśmiechem. Dokończył zaplatanie warkocza i znów złapał za

włócznie.

– Mnie cały dzień mógłby nie wystarczyć.

Jakiś litościwy bóg sprawił, że w tej samej chwili pojawili się zdyszani, zaczerwienieni służący, którzy wybawili ją od konieczności skomentowania jego słów. W niektórych z przytaszczonych przez nich tobołach połyskiwała broń, w innych znajdowała się żywność oraz koce.

– Jak tam jest daleko?

– Trzeba lecieć aż do zmierzchu, potem cały kolejny dzień i połowę następnego, by dotrzeć do pierwszych gniazdowisk Gór Tavan – odparł Sartaq, przekazując włócznie mijającemu go słudze. Kadara cierpliwie pozwalała, by załadowano na nią zapasy.

– Nie latasz nocą?

– Męczy mnie to, choć Kadara nie ma nic przeciwko. Niedoświadczeni jeźdźcy często popełniają ten błąd, a potem spadają, gdy zmorzy ich sen.

Nesryn przygryzła wargę.

– Kiedy wylatujesz?

– Za godzinę.

Tylko godzina... Nie powiedziała o niczym Chaolowi. Nie powiedziała mu, że widziała, jak porusza palcami u nóg. Widziała, jak podkurcza je i prostuje przez sen. Płakała cicho, a łzy radości powoli wsiąkały w jej poduszkę. Nic mu nie powiedziała. A gdy się obudził...

„Ruszajmy na spotkanie przygody, Nesryn Faliq” – rzekł do niej w Rifthold. Wtedy również płakała.

Ale... ale być może nie byli wówczas świadomi czekającej na nich drogi oraz wszystkich jej rozwidleń.

Teraz widziała ją wyraźnie.

Była to droga honoru i wciąż niewzruszonej lojalności, choć oboje musieliby tłumić uczucia i udawać, że nic się nie dzieje. A przecież ona... Cóż, Nesryn nie chciała być nagrodą pocieszenia. Nie chciała być zabawką. Nie życzyła sobie, by patrzono na nią z góry.

Na rozwidleniu pojawiła się jednak inna ścieżka, która kierowała się ku równinom, dżunglom, rzekom i górcom. Ku odpowiedziom, które mogły oznaczać wiele bądź nic. Które mogły zmienić losy wojny! Ścieżka, którą podążałaby na złocistych skrzydłach ruka.

Przeżyłaby przygodę. Sama. Choć raz. Ujrzałaby swą ojczyznę, posmakowałaby jej, oddychałaby nią. Patrzyłaby na nią z nieba, podziwiałaby, jak przemyka w dole szybko niczym wiatr.

Była sobie to winna, ale miała również dług wobec Chaola.

Być może wraz z ciemnookim księciem natrafią na coś, co da im choć trochę nadziei w walce z Morath. Może sprowadzi ze sobą armię.

Sartaq nadal się jej przyglądał. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Ostatni służący właśnie złożył ukłon i znikł. *Sulde* księcia została przymocowana pod jego siodłem, w zasięgu ręki, gdyby musiał za nią chwycić. Czerwonawa kita końskiego włosia powiewała na wietrze, ku południu. Ku odległej, dzikiej krainie Gór Tavan. Wzywała, jak inne duchowe amulety, ku nieznanym horyzontom. Ku temu, co za nimi czekało.

– Tak – powiedziała cicho Nesryn.

Księżę zamrugał.

– Pojadę z tobą – wyjaśniła.

Przez jego usta przemknął lekki uśmiech.

– Dobrze – oznajmił i wskazał ruchem podbródka wyjście, którym przed chwilą zeszli służący – ale nie bierz ze sobą dużo, bo Kadara jest już nieźle obładowana.

Nesryn potrząsnęła głową. Dostrzegła łuk oraz kołczan ze strzałami, już przymocowany do grzbietu rumaka.

– Nie mam niczego, co chciałabym zabrać.

Sartaq przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Ale na pewno chciałabyś się pożegnać...

– Nie mam nic – powtórzyła.

Książę zmarszczył lekko brwi, ale Nesryn dodała szybko:

– Ale zostawię list.

Z powagą pokiwał głową.

– Po dotarciu na miejsce znajdę dla ciebie jakieś ubranie. Papier i kałamarz jest w szafce przy przeciwnej ścianie. Zostaw list w skrzynce przy schodach. Posłaniec sprawdza ją co wieczór.

Jej dłonie drżały lekko, gdy ujmowała pióro, ale powodem był nie lęk, lecz ekscytacja. Wszak za moment miała zasmakować wolności!

Napisała nie jeden list, ale dwa. Pierwszy, adresowany do ciotki i wuja, był pełen wyrazów miłości, ostrzeżeń i życzeń pomyślności. Drugi okazał się krótszy i bardziej konkretny.

*Udaj się z Sartaqiem na spotkanie z ruhkin. Nie będzie mnie przez trzy tygodnie. Nie domagam się, byś dotrzymał jakichkolwiek obietnic. Sama również nie będę się żadnych trzymać.*

Schowała oba listy do skrzynki, którą przypuszczalnie często sprawdzano, gdyż ruki przynosiły wieści z odległych krain, a następnie przebrała się w skórzane ubranie, które nosiła podczas ostatniej podniebnej wyprawy.

Sartaq siedział już na Kadarze i czekał na nią. Wyciągnął twardą, szorstką dłoń, by pomóc jej wspiąć się na siodło. Nie zawahała się. Chwyciła go i poczuła, jak jego mocne palce zaplatają się wokół jej własnych. Po chwili siedziała już w siodle przed nim. Książę zapiął pasy i trzykrotnie sprawdził, czy są bezpieczni, ale wstrzymał Kadarę, nim wylecieli z minaretu.

Nachylił się ku Nesryn i szepnął jej do ucha:

– Modliłem się do Wiecznych Niebios i wszystkich trzydziestu sześciu bogów, byś się zgodziła.

Uśmiechnęła się, choć wiedziała, że tego nie widzi.

– Ja też – szepnęła i wzbili się ku niebu.

25.

Yrene i Chaol pospieszyli do biblioteki Torre natychmiast po obiedzie. Chaol bez większych trudności wspiął się na siodło, aż Shen, który był wyraźnie pod wrażeniem, klepnął go mocno w plecy. Coś w sercu Yrene kazało się jej rozpromienić, gdy zauważyła, jak Chaol spogląda strażnikowi w oczy i uśmiecha się lekko, by mu podziękować.

A gdy przejeżdżali przez bramę w białym murze, gdy wyrósł nad nimi masyw Torre, a nozdrza Yrene wypełnił zapach cytryn i lawendy, poczuła w głębi duszy ulgę i spokój. Zupełnie jak wtedy, gdy po długiej morskiej przeprawie wypatrzyła wieżę z pokładu statku. Miała wówczas wrażenie, że spogląda na jasne ramię wzniesione ku niebu w geście pozdrowienia. Jakby chciało oznajmić: „Witaj, córko. Czekaliśmy na ciebie”.

Biblioteka Torre znajdowała się na kilku niższych poziomach, na szczęście połączonych rampami. Bibliotekarki wtaczały po nich wózki z książkami, którymi objeżdżały korytarze w poszukiwaniu tomów zostawionych przez zapominalskie akolitki.

Natrafili jednakże na kilka stopni, po których Yrene, zacisnąwszy zęby, musiała wciągnąć ciężki fotel.

Chaol wpatrywał się w nią w tych chwilach. Zauważyła to i spytała, czemu tak na nią spogląda, na co odparł, że nigdy wcześniej nawet nie dotknęła jego fotela, nie mówiąc już o popchnięciu go.

Yrene doszła do wniosku, iż pewnie tak właśnie było, ale ostrzegła towarzysza, by się nie przyzwyczajał, i puszczała rączki fotela, gdy tylko znaleźli się w kolejnym jasno oświetlonym korytarzu Torre.

Zauważyło ich kilka uczestniczek zajęć z samoobrony. Przypadły do lorda Westfalla ze wszystkich stron i przypochlebiały się mu przez moment, a potem rozbiegły się, chichocząc, gdy ten obdarzył je krzywym uśmiechem. Yrene również się uśmiechnęła i pokręciła głową z udawaną dezaprobatą, gdy uciekły.

A może przyczyną jej dobrego nastroju było to, że cała stopa Chaola od kostki w dół odzyskała zarówno czucie, jak i swobodę ruchu? Przed opuszczeniem pałacu zmusiła go do serii wyteżonych ćwiczeń. Chaol leżał na dywanie, a ona pomagała mu rozruszać stopy. Rozciągała je i obracała nimi, by na nowo pobudzić krążenie krwi i być może pomóc mu odzyskać władzę nad kolejnymi partiami ciała.

Postęp był na tyle znaczący, że Yrene uśmiechała się przez całą drogę, aż dotarła do biurka Noushy, która właśnie pakowała kilka tomów do ciężkiej torby. Wybierała się gdzieś na resztę dnia.

Yrene zerknęła na dzwon, w który trącono zaledwie kilka nocy temu, ale odpędziła zimny dreszcz. Chaol zabrał ze sobą miecz i sztylet, a ona z oczarowaniem patrzyła, z jak wielką biegłością przypina broń. Nie musiał nawet patrzeć na to, co robi, jego palce poruszały się same. Przypuszczała, że robił to każdego ranka oraz każdego wieczoru.

Główna Bibliotekarka wpatrywała się w Chaola, który również mierzył ją spojrzeniem. Yrene pochyliła się nad biurkiem i powiedziała do niej:

– Chciałabym obejrzeć miejsce, w którym znalazłaś te teksty z Eyllwe. Oraz zwoje.

Nousha ściągnęła białe brwi.

– Czy to ściągnie na nas problemy?

Jej spojrzenie przesunęło się na miecz, który Chaol ułożył sobie na kolanach, by nie objął się o fotel podczas jazdy.

– Potrafię temu zaradzić – rzekła cicho Yrene.

Za ich plecami rozciągał się salon, którego centralnym punktem był kominek ze strzelającymi głośno bierwionami. Na jednym z krzeseł drzemała zwinięta w kłębek śnieżnobiała kocica Baast. Jej długi ogon zwisał niczym wahadło, ale Yrene nie miała wątpliwości, że zwierzę słuchało ich każdego słowa, przypuszczalnie po to, by przekazać je siostram.

Nousha westchnęła ostro, co Yrene słyszała już setki razy, ale machnęła ręką w kierunku głównego korytarza. Warknęła jakieś polecenie w halha do którejś z bibliotekarek, by przejęła jej zadania, po czym poprowadziła ich w głąb biblioteki.

Biała kocica otworzyła zielone oko. Yrene ukłoniła jej się z szacunkiem, a kot, najwyraźniej

zadowolony, znów zapadł w sen.

Mijała minuta za minutą, a oni nadal szli w głąb biblioteki. Chaol przyglądał się kolorowym latarniom, ciepłym, kamiennym murem i niekończącym się regałom.

– To miejsce mogłoby rywalizować z królewską biblioteką w Rifthold – zauważył.

– Naprawdę jest aż tak wielka?

– Tak, ale ta mogłaby się okazać większa, a na pewno starsza.

Jego oczy wodziły za każdą plamą mroku, zupełnie jakby nawiedzały go wspomnienia. Yrene zastanawiała się, czy ujrzy któreś z nich podczas kolejnej sesji. Po tym, co wydarzyło się dzisiaj, poczuła się tak, jakby ktoś wydarł jej serce, ale sól łez okazała się czyszcząca. Nie miała pojęcia, że tak bardzo potrzebuje owego oczyszczenia.

Schodzili coraz głębiej wzdłuż drewnianej rampy. Mijali bibliotekarki układające tomy na półkach, akolitki studiujące samotnie bądź w grupkach zgromadzonych wokół stołów, uzdrowicielki ślęczące nad zakurzonymi księgami w pokojach bez drzwi, a od czasu do czasu również kocice Baast, leżące wygodnie na półkach, drepczące wśród cieni czy też po prostu siedzące w miejscu krzyżowania się korytarzy, jakby na coś czekały.

Byli coraz głębiej.

– Skąd wiedziałas, że tam są? – spytała Yrene.

– Prowadzimy dokładne zapiski – odpowiedziała Główna Bibliotekarka.

Chaol obrzucił Yrene spojrzeniem, które mówiło: „W Rifthold też mamy marudnych bibliotekarzy”.

Uzdrowicielka z trudem powstrzymała się od szerokiego uśmiechu. Nousha potrafiła wyczuć śmiech i rozbawienie niczym ogar świeży trop, a potem bez litości je zgasić.

W końcu dotarli do ciemnego korytarza, z którego bił zapach kamienia i kurzu.

– Druga półka od dołu. Niczego nie zniszcz – oznajmiła Nousha w ramach pożegnania i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Zdumiony Chaol uniósł brwi, a Yrene zdusiła chichot.

Wszelka wesołość opuściła ich zresztą w chwili, gdy podeszli do wskazanych przez Główną Bibliotekarkę półek. Powitały ich tam rzędy ksiąg, których grzbiety lśniły od znaków zapisanych w alfabecie języka eyllwe, oraz poupychane między nimi naręcza zwojów.

Chaol gwizdnął cicho przez zęby i spytał:

– Ile lat właściwie liczy sobie Torre?

– Piętnaście stuleci.

Mężczyzna zamarł.

– I biblioteka znajduje się tu od tak dawna?

Yrene pokiwała głową.

– Całą wieżę wybudowano od początku do końca za jednym zamachem. Był to dar starożytnej królowej dla uzdrowicielki, która uratowała życie jej dziecka – miejsce, gdzie uzdrowicielki mogą mieszkać i studiować, a przy tym zapraszać inne, by do nich dołączyły.

– A więc Torre powstała na długo przed kaganatem?

– Kaganowie zajmują ostatnią pozycję na długiej liście zdobywców, ale nie mam wątpliwości, że od czasów pierwszej królowej nie było zdobywców tak życzliwych. Nawet jej pałac nie przetrwał w tak dobrym stanie jak sama Torre. Skrzydło, w którym mieszkasz, zostało wzniesione na gruzach poprzedniego pałacu, po tym jak najeźdźcy, którzy przybyli pokolenie przed wojownikami kagana, zrównali go z ziemią.

Chaol zaklął cicho, ale wyraziście.

– Uzdrowicielki – oznajmiła Yrene, przeglądając księgi – są zawsze bardzo potrzebne, bez względu na to, czy jesteś obecnym władcą Antiki, czy najeźdźcą. Inne miejsca być może nie są tak konieczne, ale wieża pełna kobiet, które mogą cię ocalić przed śmiercią, nawet jeśli twoje życie wisi na włosku...

– Jest cenniejsza od pełnego skarbcza.

– A to prowokuje pytanie, dlaczego ostatni król Adarlanu... – Yrene zawahała się. O mało nie powiedziała „twój król”, ale słowa te brzmiały dziwnie nawet w jej głowie. – Dlaczego czuł potrzebę wytrzebiecia wszystkich ludzi obdarzonych darem uzdrawiania na podbitym przez siebie kontynencie?

Nie powiedziała: „Dlaczego to coś w jego głowie tego pragnęło?”.

Chaol nie patrzył jej w oczy, a powodem wcale nie był wstyd.

Wiedział coś. Coś więcej.

– Co znowu? – spytała.

Chaol rozejrzał się wśród ciemnych regałów, a potem nasłuchiwał przez moment, czy nikogo nie ma w pobliżu.

– On naprawdę został przejęty. Opętany.

Yrene długo nie mogła uwierzyć w to, z czyją mroczną mocą musiała walczyć, gdy nachylała się nad raną Chaola. Przeżyła szok, ale to zmobilizowało jej magię. Miała wrażenie, że znikła spowijająca ją mgła, że rozwiął się nimb strachu i pozostał jedynie gniew oraz współczucie, z którymi wskakiwała w ciemność. Ale... A więc król naprawdę był opętany. Przez cały ten czas.

Chaol zdjął książkę z półki i przerzucał strony, nie skupiając się na treści. Yrene była prawie pewna, że nie zna języka eyllwe.

– Wiedział, co się z nim dzieje. Jego dusza walczyła zaciekle, najlepiej jak umiała. Wiedział, że jego pobratymcy...

„Valgowie” – pomyślała Yrene.

– ...są zaintrygowani ludźmi obdarzonymi pewnymi darami.

Ludźmi obdarzonymi mocą.

– Wiedział, że chcą pokonać tych, którzy władają mocami. Właśnie dla ich mocy.

Pragnęli przejąć ich ciała, tak jak się to stało z królem. Tak jak to pokazano na rycinie w *Pieśni o Początku*. Yrene poczuła mdłości.

– A więc król zdołał zachować na tyle świadomości, aby wydać rozkaz zabicia wszystkich ludzi władających magią. Wolał, by zostali wytępieni, niżby mieli zostać wykorzystani przeciwko niemu. Skazał nas na śmierć.

Nie chciał, by ich ciała stały się bronią w rękach demonów.

Yrene oparła się o regał stojący za jej plecami. Jej dłoń zsunęła się po szyi. Czowała pod palcami dudniący puls.

– Nienawidził się później za tę decyzję, ale wówczas uznał ją za konieczność. Ją oraz wszelkie starania, by demony nie mogły skorzystać z magii ani odnaleźć tych, którzy to potrafili. Od tej pory, żeby znaleźć człowieka obdarzonego magią, trzeba było mieć listę nazwisk lub niegodziwego sąsiada, gotowego sprzedać go za garść monet.

A więc zniknięcie magii nie było niczym naturalnym.

– Znalazł jakiś sposób, by przepędzić to zło?

Chaol ostro skinął głową.

– To długa historia, ale znalazł sposób, by je powstrzymać. By je zablokować. Zdobywcy nie dostali takich ciał, jakie im się marzyły, a król nadal tępił pozostałych, by było ich jak najmniej.

Król Adarlanu powstrzymał magię, zabił tych, którzy nią władali, i rozesłał swych żołnierzy, by zabili jej matkę i wielu, wielu jej podobnych, ale nie powodowała nim ślepa nienawiść oraz ignorancja, ale jakiś pokręcony, szalony pomysł na ocalenie ludzi? Bicie jej serca niosło się po całym cielem.

– Ale uzdrowicielki... Przecież nie władamy mocami, które można by wykorzystać w bitwie! Nie potrafimy nic poza tym, co sam widziałeś.

Chaol, całkiem nieruchomy, wpatrywał się w nią.

– Obawiam się, że możecie dysponować czymś, na czym zależy im bardzo, bardzo mocno.

Yrene czuła, jak podnoszą się jej włoski na ramionach.

– Lub może nie chcieli, byście wiedziały zbyt dużo.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Z jej twarzy odpłynęła krew.

– Byśmy nie poznały pewnych sekretów, jak ten związany z twoją raną?

Chaol skinął głową. Yrene wypuściła z płuc drżący oddech i podeszła do regału. Zwoje...

Dłoń mężczyzny musnęła jej palce.

– Nie pozwolę, by stała ci się jakakolwiek krzywda.

Yrene czuła, że jej towarzysz czeka, aż mu się sprzeciwi, ale uwierzyła mu.

– Pamiętasz, co ci już pokazywałam? – spytała, nachylając głowę nad zwojami. Rozpoznawała szeregi liter, które on nazywał Znakami Wyrda.

– W istocie, ten sam alfabet. To o wiele wcześniejsza i zupełnie inna forma mocy. Coś, co nie ma nic wspólnego z magią.

A on znał kogoś zaufanego, kto umiał je przeczytać. A także nimi władać.

– Trzeba się pospieszyć – powiedziała, nadal świadoma tego, że w pobliżu mogą czaić się szpiedzy. – Jestem przekonana, że opracowanie na temat chronicznej grzybicy twoich palców u nóg gdzieś tu jest, a ja zaczynam robić się głodna.

Chaol spojrział na nią z niedowierzaniem, a Yrene odpowiedziała przepaszającą miną, ale w jej oczach tańczyła wesołość, gdy zaczęła układać sobie książki na kolanach.

\*\*\*

Twarz i uszy Nesryn były zdrętwiałe z zimna, gdy Kadara usiadła wysoko na skalnym występie, gdzieś w samym środku niewielkiego łańcucha gór. Choć miała na sobie skórzany strój, ręce i nogi również bardzo jej zeszywniały i dziewczyna krzywiła się z bólu, gdy Sartaq pomagał jej zejść na ziemię.

Książę zmarszczył czoło.

– Zapomniałem, że nie jesteś przyzwyczajona do tak długich lotów.

Odrętwienie i zimno nie było jednak największym problemem. Nesryn tak naprawdę dokuczał pełen pęcherz.

Zaciskając nogi, rozejrzała się po miejscu, które Kadara uznała za odpowiednie dla swego pana. Niewielkie lądowisko było okolone z trzech stron wielkimi, szarymi głazami i sterczącymi wysoko skałami. Zauważyła też skalny nawis, który miał ich chronić przed furią żywiołów, ale nigdzie nie widziała ustronnego miejsca. Musiała spytać księcia, gdzie może załatwić swe potrzeby.

Sartaq wskazał jej głazy.

– Tam znajdziesz odrobinę prywatności, jeśli sobie życzysz.

Nesryn, oblana gorącym rumieńcem, pokiwała głową. Nie mogąc spojrzeć mu w oczy, pospieszyła tam, gdzie wskazał. Precisnęła się między dwoma głazami i nagle znalazła się na skraju przepaści. Daleko w dole widziała ostre krawędzie skał i drobne, migotliwe strumienie. Wybrała głaz, który zasłaniał ją od wiatru, pospiesznie odpięła spodnie.

Powróciła po chwili, wciąż się krzywiąc. W międzyczasie Sartaq zdążył już zdjąć większość tobołów z Kadary, ale nie odpiął jej siodła. Nesryn podeszła do ogromnego ptaka, który przyglądał jej się uważnie, i wyciągnęła rękę ku pierwszej sprzączce.

– Nie rób tego – powiedział spokojnym głosem Sartaq, który stawiał ostatnią sakwę pod nawisem. Jego *sulde* stała już oparta o ścianę. – Nigdy nie zdejmujemy siodła podczas podróży.

Nesryn opuściła rękę i przyjrzała się potężnemu, podniebnemu rumakowi.

– Dlaczego?

Sartaq wyciągnął dwie derki i oparł je o skałę. Jedną rozłożył dla siebie.

– Bo jeśli zostaniemy napadnięci lub pojawi się niebezpieczeństwo, możemy błyskawicznie wzbić się w powietrze.

Nesryn rozejrzała się po okolicznych szczytach. Zachodziło słońce i niebo powlekły różowe oraz pomarańczowe pasma. O ile dobrze pamiętała, obozowali w Górach Asimil, niewielkim, samotnym łańcuchu w centrum kraju. Góry Tavan, gdzie mieszkali *rukhin*, znajdowały się wciąż daleko, daleko na południe. Od godziny nie przelatywali nad żadną wsią i nie widzieli żadnych oznak cywilizacji. Wśród tych osamotnionych szczytów czekało na wędrowca wiele niebezpieczeństw, jak choćby lawiny czy gwałtowne ulewy, choć Nesryn podejrzewała, że lista jest o wiele dłuższa.

Podejrzewała również, że mogli tu dotrzeć tylko jeźdźcy ruków. Bądź wyvern.

Sartaq wyciągnął puszki z mięsem i owocami oraz dwa niewielkie bochenki chleba.

– Widziałaś je już? Rumaki Morath?

Jego pytanie zostało niemalże zagłuszone przez wycie wiatru, który przedarł się przez szczeliny skalne. Nesryn nie miała pojęcia, skąd wiedział, dokąd dotarły jej myśli.

Kadara usadowiła się pod jedną z trzech skalnych ścian i otuliła się skrzydłami. Zrobili po drodze postój, by ruk mógł zaspokoić swoje potrzeby i upolować coś do jedzenia. Najwidoczniej Sartaq nie chciał, by Kadara musiała szukać pożywienia w tych jałowych, niegościnnych górach. Ogromny ptak najwyraźniej był jeszcze najedzony i w tej chwili interesowała go głównie drzemka.

– Tak – przyznała Nesryn i szarpnięciem ściągnęła rzemyk, którym związała swój krótki warkocz, po czym przeczesła włosy dłonią. Wciąż zeszywniałymi z zimna palcami usiłowała rozdzielić splecione od wiatru kosmyki, ciesząc się, że może się czymś zająć. Wspomnienie wiem i ich rumaków było bowiem nazbyt przerażające, by się nad nim zatrzymywać. – Kadara jest mniejsza od wywerny. Może o jedną trzecią, może o połowę. Jest duża jak na ruka czy mała?

– Myślałem, że słyszałaś już wszystkie historie na mój temat.

Nesryn parsknęła. Uporawszy się wreszcie z włosami, podeszła do derki i jedzenia, które Sartaq przygotował dla niej.

– Wiesz, że nazywają cię Skrzydlatym Księciem?

Przez usta Sartaqa przemknął cień uśmiechu.

– Tak.

– Podoba ci się ten tytuł? – Nesryn usiadła na derce i skrzyżowała nogi. Książę podał jej puszkę z owocami, a wojowniczką, nie czekając na zachętę, zaczęła pochłaniać winogrona, wciąż chłodne po wielu godzinach spędzonych na zimnie.

– Czy mi się podoba? – zastanowił się Sartaq, odrywając kawałek chleba i podając jej resztę. Nesryn podziękowała mu skinieniem. – To w sumie dość dziwna świadomość, że człowiek staje się opowieścią jeszcze za życia. – Spojrzał na nią z ukosa, rwąc swoją porcję pieczywa. – Ciebie przecież również otaczają żywe legendy. Co oni o tym sądzą?

– Aelin na pewno czerpie z tego sporą przyjemność – odparła Nesryn. W istocie, nigdy nie poznała człowieka, który nosiłby tyle imion oraz tytułów, a przy tym nie przestawał nimi żonglować. – A co do innych... Chyba nie znam ich na tyle, by się tego domyślić. Choć Aedion Ashryver... Cóż, na pewno ma wiele wspólnego z Aelin. – Wrzuciła winogrono do ust. Włosy przesłoniły jej twarz, gdy sięgnęła po kolejną garść. – Są kuzynami, ale zachowują się bardziej jak rodzeństwo.

– Wilk Północy. – Sartaq zamyślił się.

– Słyszałaś o nim?

Książę podał jej puszkę z różnymi rodzajami mięsa i zaczął, aż wybierze kąsek z ulubionymi przyprawami.

– Już mówiłem, kapitan Faliq, że moi szpiedzy dobrze znają się na swojej robocie.

Wiedziała, że musi zachować ostrożność. Chcąc przekonać go do ewentualnego sojuszu, musiała uważać na każde słowo. Gdyby okazała zbyt wiele zapału i za mocno chwaliła swoich towarzyszy, jej intencje okazałyby się oczywiste, ale z drugiej strony nie mogła nie robić nic. Bierność była wbrew jej naturze. Nawet podczas służby w straży miejskiej nie mogła siedzieć bezczynnie. Gdy zdarzał się jej wolny dzień, zazwyczaj szukała sobie czegoś do zrobienia – chodziła na długie wędrówki po Rifthold lub pomagała ojcu i siostrze przygotować się na następny dzień.

Mama nazywała ją Tropicielką Wiatru.

„Nie możesz usiedzieć na miejscu – mówiła. – Ciągłe gnasz tam, gdzie zaniesie cię wiatr. Dokąd cię kiedyś zaprowadzi, moja różyczko?”

Daleko ją zaniósł, musiała przyznać.

– A więc mam nadzieję, że twoi szpiedzy opowiedzieli ci o Zgubie Aediona. To doskonale wyszkolona formacja.

Sartaq skinął lekko głową, a Nesryn nagle uświadomiła sobie, że książę przejrzał jej plan. Mimo to dojadł swój chleb i rzekł:



– A co z opowieściami o tobie, Nesryn Faliq?

Przez moment żuła swój kawałek solonej wieprzowiny.

– Nikt nic o mnie nie opowiada.

Nie przeszkadzało jej to. Miała wrażenie, że inne rzeczy są dla niej o wiele ważniejsze od sławy.

– A co z opowieścią o tej strzale, która ocaliła życie zmiennokształtnej? Legendarnym, niewyobrażalnym wprost strzale, który oddałaś z dachu?

Zaskoczona obróciła głowę ku Sartaqowi, ale ten upił jedynie łyk wody z bukłaka. Jego spojrzenie mówiło: „Nie żartowałem z moimi szpiegami. Są naprawdę dobrzy”.

– Myślałam, że z waszego grona to Arghun zbiera tajne informacje – powiedziała ostrożnie Nesryn.

Książę podał jej bukłak.

– Arghun jest tym, który się nimi chwali. Co w nich tajnego, skoro o nich rozpowiada?

Nesryn upiła kilka łyków wody i uniosła brew.

– Ale czy historia o moim strzale jest tajna?

– Niech ci będzie! – zaśmiał się Sartaq.

Cienie stawały się coraz dłuższe i ciemniejsze, a wiatr przybierał na sile. Nesryn przyjrzała się skałom dookoła oraz ich bagażom.

– Nie chcesz ryzykować rozpalenia ognia?

Książę pokręcił głową. Jego ciemny warkocz zakotłosał się.

– Z daleka przyciągnęlibyśmy uwagę – odparł i zmarszczył brwi, wpatrując się w pakunki. – Miałem gdzieś grube koce.

Zamilkli oboje. Jedli do chwili, gdy słońce całkiem znikło, a nad ostatnim pasmem błękitu nad horyzontem zamigotały gwiazdy. Pojawił się też księżyc, który zalał obozowisko blaskiem. Było na tyle widno, że książę bez trudu pozamykał puszkę i umieścił je w bagażach. Śpiąca po drugiej stronie obozowiska Kadara zaczęła chrapać tak donośnie, że drganie przeszywało głazy.

– Wybacz, jeśli nie będziesz mogła zasnąć – zachichotał Sartaq.

Nesryn pokręciła głową. Obozowała wysoko w górach z gigantycznym rukiem oraz Skrzydlatym Księciem... Nie, tym razem rodzina na pewno jej nie uwierzy.

Przyglądali się gwiazdom. Żadne z nich nie drgnęło nawet ani nie powiedziało słowa o tym, że chce udać się na spoczynek. Gwiazdy pojawiały się jedna za drugą, jaśniejsze i wyraźniejsze od tych, którym Nesryn przyglądała się z pokładu statku.

„Są inne – zauważyła ze zdziwieniem – od tych na północy”.

Inne, ale przez niezliczone stulecia mrugały nad głowami jej przodków. Nad głową jej ojca. Czy czuł się nieswojo, gdy je zostawiał? Czy tęsknił za nimi? Nigdy nie opowiadał, jak to jest przenieść się do kraju, nad którym świecą inne gwiazdy. Nigdy nie przyznał się, czy czuł się zagubiony w nocy.

– Strzała Neith – powiedział nagle Sartaq, oparty o skałę.

Nesryn oderwała wzrok od gwiazd. Na twarz księcia padał blask księżyca, a po jego niemalże onyksowym warkoczku spływało srebro. Oparł przedramiona na kolanach.

– Tak nazywali cię moi szpiegowie, nim przybyłaś. Strzałą Neith.

Neith była Boginią Łucznicstwa i Łowów. Wywodziła się z pustynnego królestwa na zachodzie, a po podboju została wciągnięta do wielkiego panteonu kaganatu. Kącik ust Sartaka drgnął.

– Nie zdziw się więc, jeśli się okaże, że jakaś historia na twój temat wyruszyła już w świat.

Nesryn wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Wyjący górski wiatr zlewał się z pochrapywaniem Kadary. Zawsze była doskonałą łuczniczką i była dumna ze swego celnego oka, ale nie posiadała tej umiejętności dlatego, że pożądała sławy. Nauczyła się strzelać, bo sprawiało jej to przyjemność. Bo strzelanie wyznaczało kierunek, w którym mógł ponieść ją wiatr. A mimo to...

Sartaq posprzątał resztę jedzenia, a po szybkiej inspekcji obozowiska sam udał się za głazy.

„Gdzie dostrzec go mogą tylko obce gwiazdy” – pomyślała Nesryn z uśmiechem.

Chaol zjadł obiad w kuchni Torre, gdzie chuda jak szparag kobieta nazywana po prostu kucharką wepchnęła w niego porcję smażonej na patelni ryby z chrupiącym chlebem, pieczonych pomidorów z łagodnym serem i estragonem, a potem zdołała go namówić, by jeszcze skosztował lekkiego puszystego ciasta z pistacjami, ociekającego wprost miodem.

Yrene siedziała obok, uśmiechając się ukradkiem, gdy kucharka nakładała coraz to kolejne porcje na jego talerz, aż Chaol zaczął wręcz błagać ją, by przestała. Był tak najedzony, że każdy ruch wydawał mu się teraz wyzwaniem, i nawet Yrene zaczęła prosić kucharkę, by się nad nimi ulitowała.

Ta w końcu dała im spokój i w pełni skupiła uwagę na dziewczętach, które pracowały w kuchni. Dyrgowała wynoszeniem kolacji do jadalni znajdującej się piętro wyżej z generalską charyzmą, która wzbudziła wielkie zainteresowanie Chaola.

Siedział wraz z Yrene i nie odzywali się do siebie, ale nie przeszkadzało im to cieszyć się własnym towarzystwem. Przyglądali się chaosowi panującemu wokół nich, aż przez szerokie okna kuchni wpadły promienie zachodzącego słońca.

Wówczas Chaol bąknął coś o konieczności osiedlenia konia, ale Yrene i kucharka nie dały mu dokończyć. Zdecydowały za niego, że spędzi noc w Torre, i oświadczyły, że nie będą służyć żadnych protestów. Nie protestował więc, ale poprosił jedną z uzdrowicielek, która udawała się do pałacu, by w kwaterach dla służby odwiedzić pacjenta, aby przekazała wiadomość Nesryn. Nie chciał, by dziewczyna na niego czekała.

W końcu przepelnione żołądki pozwoliły im wstać. Chaol udał się w ślad za Yrene do kompleksu budynków otaczających wieżę. Dziewczyna bez cienia skruchy czy żalu oznajmiła, że nie dość, iż Torre w większości składa się ze schodów, to jeszcze i tak nie ma tam żadnych pokoi gościnnych. W przyległych do wieży pomieszczeniach oddanych na użytek lekarzom znajdowało się jednak kilka pokoi, które można było zająć na noc. Przeznaczano je głównie na użytek rodzin pacjentów.

Yrene otworzyła drzwi do pokoju, którego okna wychodziły na dziedziniec z ogrodem. Pomieszczenie było małe, ale czyste, a jego jasne ściany wciąż emanowały światłem dnia. W środku było wystarczająco dużo miejsca, aby manewrować fotelem na kółkach.

– Pokaż mi to jeszcze raz – powiedziała Yrene, wskazując jego stopę.

Chaol uniósł nogę obiema rękami i rozprostował ją, a potem zaczął poruszać stopą, stękając, gdy noga zaczęła mu ciężać. Yrene, klęcząc przed nim, zdjęła mu buty oraz skarpetki.

– Dobrze. Trzeba to kontynuować.

Chaol spojrział na sakwę pełną zrabowanych z biblioteki książek i zwojów, którą uzdrowicielka zostawiła przy drzwiach. Nie miał pojęcia, co zawierały, ale na wszelki wypadek wzięli tyle, ile się dało. Jeśli tajemniczy zamachowiec w bibliotece również kilka z nich ukradł i jeszcze nie miał okazji, by wrócić po kolejne... Woleli nie ryzykować i nie zostawiać nic dla wroga.

Yrene uważała, że zwój schowany w jego apartamencie liczy sobie osiemset lat. Choć zważywszy na wiek Torre, coś, co znajdowało się tak głęboko we wnętrzu biblioteki... Chaol zostawił tę myśl dla siebie, ale miał wrażenie, że dokument mógł być o wiele starszy. Mógł zawierać informacje, które nie przetrwały w jego ojczyźnie.

– Mogę znaleźć dla ciebie jakieś ubranie – powiedziała Yrene, rozglądając się po pokoiku.

– Wystarczy mi to, co mam – rzekł Chaol, po czym dodał, nie patrząc na nią: – I tak śpię bez niczego.

– Ach.

Zapadła cisza, a Chaol domyślił się, że Yrene właśnie przypomina sobie, w jakim stanie zastała go rano. Rano? Czy naprawdę upłynęło zaledwie kilka godzin? Przecież ona musiała być wykończona.

Wskazała świecę na stole.

– Potrzeba ci więcej światła?

– Nie, dziękuję.

- Mogę ci przynieść wody.
- Nie, dziękuję – powtórzył. Kąciki jego ust drgnęły lekko. Wówczas Yrene pokazała mu porcelanowy nocnik w rogu.
- Pozwól więc, bym przynajmniej pomogła ci...
- Z tym też dam sobie radę. Podstawa to dobrze wycelować.

Jej policzki powłókl rumieniec.

- W sumie racja – bąknęła i przygryzła wargę. – Cóż, a więc... Dobrej nocy.

Chaol widział, że się waha. Że chciałaby jeszcze zostać. On zaś chętnie by na to pozwolił, ale...

- Już późno – oznajmił. – Wróć do swej komnaty, póki ludzie jeszcze się kręcą.

To, że Nesryn nie odnalazła żadnych śladów Valgów w Antice, a od morderstwa w bibliotece upłynęło już kilka dni, nie miało dlań żadnego znaczenia. Nie zamierzał ryzykować.

– Tak – odparła Yrene i położyła dłoń na futrynie. Sięgnęła po klamkę, by zamknąć za sobą drzwi.

- Yrene.

Zatrzymała się i odwróciła. Chaol patrzył jej w oczy, a na jego ustach błąkał się lekki uśmiech.

- Dziękuję – powiedział i przełknął ślinę. – Za to wszystko.

Pokiwała jedynie głową i zamknęła za sobą drzwi, ale Chaol zdążył dostrzec błysk światła, które tańczyło w jej oczach.

\*\*\*

Następnego dnia rano do jego drzwi zastukała kobieta o surowej twarzy, która przedstawiła się jako Eretia i poinformowała go, że Yrene ma spotkanie z Hafizą i odwiedzi go w porze obiadu.

Z tego powodu poprosiła Eretię, by odprowadziła Chaola do pałacu. On sam nie miał pojęcia, dlaczego uzdrowicielka zrzuciła ten obowiązek na starszą kobietę, która patrząc, jak mężczyzna zbiera broń i księgi, tupała ze zniecierpliwieniem stopą i cmokała niezadowolona przy każdym, najmniejszym nawet opóźnieniu.

Mimo to powrót stromymi uliczkami do pałacu okazał się miłym doświadczeniem, bo Eretia radziła sobie z jazdą konną z zaskakującą wprawą i nie pozwalała wierzchowcowi na żadne wybryki. Nie miała jednak najmniejszej ochoty na uprzejmą rozmowę i na pożegnanie burknęła tylko coś pod nosem.

Trwała właśnie zmiana wart i strażnicy zwolnieni przez kolegów stali jeszcze na dziedzińcu i rozmawiali swobodnie. Chaol rozpoznawał już kilku spośród nich, którzy witali go uprzejmymi skinieniami. Odwzajemnił pozdrowienia, czekając, aż stajenni przyprowdzą mu fotel.

Wyswobodził już stopy ze strzemion i przygotował się do wciąż budzącego w nim lęk procesu zsiadania z konia, gdy usłyszał lekkie kroki. Odwrócił się i ujrzał zbliżającego się biegiem Shena, trzymającego dłoń na przedramieniu.

Chaol zamrugał. Gdy Shen zatrzymał się przed nim, zdążył już naciągnąć rękawiczkę na dłoń. Lub na to, co Chaol do tej pory za dłoń uważał. Między rękawiczką a skrajem rękawa munduru Shena zauważył bowiem coś niezwykłego – metalowe przedramię oraz metalową dłoń, istne dzieło sztuki.

Po raz pierwszy przyjrzał się Shenowi uważnie i dostrzegł rzemienie biegnące wzdłuż bicepsów, które przypuszczalnie przytrzymywały metalowe przedramię.

Shen podsunął rękę, by pomóc mu przy zsiadaniu. Chaol zawahał się, uniosł głowę i wtedy napotkał jego spojrzenie.

- Jak do tej pory pomagałem ci bez trudu, lordzie Westfall.

Mężczyzna poczuł wstyd, a może coś intensywniejszego od wstydu. Oparł dłoń na ramieniu, tym samym, do którego przytwierdzono metalową rękę. Strażnik z niebywałą siłą pomógł mu opuścić się do czekającego na dole fotela. Stajenni odprowadzili jego konia, a gdy Chaol rozsiadł się, nadal wpatrzony w Shena, ten wyjaśnił:

– Straciłem je półtora roku temu. Doszło do zamachu na życie księcia Arghuna, gdy ten odwiedzał posiadłość pewnego wezyra. Za atakiem stała banda lojalistów z niezadowolonego królestwa.

Zostałem ciężko ranny w walce, a Yrene zajęła się mną po powrocie do Antiki. Byłem jednym z jej pierwszych pacjentów z poważnymi obrażeniami. Ocaliła tyle mojego ramienia, ile mogła.

Wskazał przy tym fragment od łokcia po bark. Chaol przyglądał się dłoni, która w rękawiczkę wydawała się tak żywa, że nie mógł spostrzec żadnej różnicy, może poza tym, że się nie poruszała.

– Uzdrowicielki potrafią zdziałać cuda – powiedział Shen – ale nawet one nie są w stanie stworzyć kończyny z niczego. – Zaśmiał się cicho. – Nawet Yrene nie umie czegoś takiego!

Chaol nie miał pojęcia, co powiedzieć. Przeprosiny wydawały się nie na miejscu, ale...

Shen uśmiechnął się do niego bez śladu żalu.

– Sporo czasu minęło, zanim dotarłem do tego momentu w życiu – rzekł cicho.

Chaol wiedział, że Shen wcale nie ma na myśli sprawnego władania sztucznym ramieniem.

– Ale wiedz, że nie byłem w tym sam.

W jego brązowych oczach błysnęła niewypowiedziana propozycja. Człowiek, z którym Chaol rozmawiał, przeszedł przez nie lada piekło, ale wyłonił się z niego silniejszy, niż był kiedykolwiek wcześniej. Kalectwo wcale nie uczyniło z niego słabszego mężczyzny, po prostu musiał znaleźć dla siebie inny sposób, aby iść dalej przez świat.

Co więcej, pozostał strażnikiem. Nadal służył w jednej z najbardziej elitarnych gwardii pałacowych świata, a zawdzięczał to nie współczuciu innych, ale własnym przymiotom i silnej woli.

Chaol nie był w stanie wyrazić słowami tego, co czuł.

Shen pokiwał głową, jakby on też to rozumiał.

Powrót do apartamentu trwał długo. Chaol nie zwracał uwagi na mijane twarze, na dźwięki, zapachy i podmuchy wiatru na korytarzach, a gdy wreszcie wszedł do środka, ujrzał swój list do Nesryn, leżący na stoliku w sieni. Nieprzeczytany.

To wystarczyło, by wszelkie inne myśli umknęły na bok.

Serce biło mu mocno, gdy podniósł go trzęsącymi się palcami. Nikt go nie czytał. Nikt go nie oglądał. Po chwili uświadomił sobie, że pod nim leży przecież inny, z jego imieniem na kopercie.

Rozdarł go i przeczytał kilka krótkich zdań, które znalazł w środku. A potem ponownie. I raz jeszcze.

Odłożył go i wbił wzrok w otwarte drzwi jej sypialni. Wsłuchał się w wypływającą stamtąd ciszę.

„Cóż ze mnie za łajdak” – pomyślał.

Przywłókł ją tu. Tyle razy w Rifthold o mało przez niego nie zginęła, tyle ich razem połączyło, a mimo to...

Nie dokończył tej myśli. Powinien być dla niej lepszym mężczyzną. Powinien traktować ją lepiej. Nic dziwnego, że uciekła do gniazdowisk ruków, by pomóc Sartaqowi zbierać informacje o Valgach w jego ojczyźnie. Bądź ojczyźnie ich obojga.

„Cholera. Jasna cholera”.

Może i nie chciała, by dotrzymał jakichkolwiek obietnic, ale... ale on sam chciał ich dotrzymać. Pozwalał, by ich osobliwy związek trwał, wspierał się na nim jak starzec na lasce w trudnych chwilach...

Chaol wypuścił powietrze z płuc i zgniótł oba listy w dłoni.

\*\*\*

Być może jest przyzwyczajony do większych przestrzeni i nie spał dobrze w owym niewielkim pokoiku w części dla lekarzy, powtarzała sobie Yrene po południu. To wyjaśniałoby jego małomówność i brak uśmiechów.

Sama wszak wkroczyła do jego apartamentu wręcz rozpromieniona. Opowiedziała o postępach w leczeniu Hafizie, która wydawała się bardzo zadowolona, a nawet ucałowała Yrene w czoło. Młoda uzdrowicielka dotarła do pałacu w podskokach, ale w apartamencie powitało ją milczenie.

Jego milczenie.

– Dobrze się czujesz? – spytała swobodnym tonem, gdy chowała książki, które Chaol rankiem zabrał ze sobą.

– Tak.

Yrene oparła się o biurko i przyjrzała się pacjentowi siedzącemu na złotej kanapie.

– Nie robiłeś żadnych ćwiczeń od kilku dni – powiedziała i przechyliła lekko głowę. – Mam na myśli resztę twego ciała. Zajmijmy się tym teraz.

Po kilku dniach bezruchu ludzie przyzwyczajeni do codziennej aktywności fizycznej mogli się czuć jak uzależnieni, którym odebrano ulubiony narkotyk. Byli zdezorientowani i niespokojni. Ćwiczyła wraz z Chaolem nogi, ale reszta... Być może to mu tak dokuczało?

– W porządku.

Jego oczy były szkliste, a wzrok mętny, rozmyty.

– Tu czy na placu treningowym straży? – spytała, szykując się w duchu na problemy w komunikacji, ale Chaol odpowiedział bez emocji:

– Tu jest dobrze.

– Może towarzystwo innych strażników okazałoby się korzystne... – spróbowała ponownie.

– Tu jest dobrze.

Potem zsunął się z kanapy na wyłożoną dywanami podłogę.

– Złap mnie za stopy – polecił jej.

Jego ton głosu oraz kategoryczny sprzeciw obudził w Yrene irytację, ale opanowała emocje. Mimo to, klękając przed nim, powiedziała:

– Czyżbyśmy wrócili do punktu wyjścia?

Chaol zignorował pytanie i zaczął wykonywać brzuszki. Jego potężne ciało podnosiło się i opadało, raz, drugi, trzeci... W okolicach sześćdziesięciu straciła rachubę. On zaś, za każdym razem, gdy wznosił się znad ugiętych kolan, unikał patrzenia jej w oczy.

Nie było nic niezwykłego w tym, że leczenie duchowe okazywało się równie trudne jak leczenie ciała i wypełniało wiele ciężkich dni, a nawet tygodni. Ale przecież on się uśmiechał, gdy się rozstali zeszłej nocy.

– Powiedz mi, co się stało. Bo coś musiało się wydarzyć.

Jej głos nie był tak łagodny, jaki powinien być głos uzdrowicielki.

– Nic się nie stało – sapnął między jednym ruchem a drugim. Pot spływał po jego szyi i wsiąkał w białą koszulę.

Yrene zacisnęła zęby i w milczeniu liczyła w głowie, próbując odzyskać równowagę. Nie mogła teraz wybuchnąć. Nikomu z nich nic by to nie dało.

Chaol w końcu odwrócił się na brzuch i rozpoczął kolejną serię ćwiczeń. Tym razem Yrene musiała przytrzymać jego stopy tak, by mógł unosić tułów. W górę i w dół, w górę i w dół. Smukłe mięśnie jego pleców napinały się i przemykały pod skórą.

Wykonał jeszcze sześć innych ćwiczeń, a potem zaczął od początku. Yrene podtrzymywała go, podpierając i przyglądała mu się w milczeniu, a w jej duszy kipiał gniew.

„Nie będę się w to mieszać. To jego sprawa. Niech sobie wszystko przemyśli, jeśli tego chce. A zresztą, niech go szlag. Przecież on sam nie wie, czego chce”.

Chaol dokończył kolejną serię. Oddychał chrapliwie i wpatrywał się w sufit, a jego pierś rosła i opadała. Przez jego twarz przemknęło coś ostrego, nieprzyjemnego, jakby odpowiadał sobie na coś w myślach. Poderwał się, by rozpocząć kolejną serię...

– Dość tego.

Jego oczy błysnęły. Wreszcie nawiązał z nią kontakt wzrokowy.

Yrene nawet się nie siliła na miły czy wyrozumiały ton.

– Zaraz sobie coś zrobisz!

Chaol spojrzał gniewnie na uzdrowicielkę, która nadal przytrzymywała jego zgięte kolana, i wykonał kolejny skłon.

– Wiem, na co mnie stać.

– Ja też to wiem! – warknęła Yrene i ruchem podbródka wskazała jego nogi. – I wiem na przykład, że możesz uszkodzić sobie kręgosłup, jeśli będziesz tak szalał!

Chaol odsłonił zęby z takim gniewem, że uzdrowicielka puściła jego stopy. Wyrzucił ramiona do

tyłu, by nie paść na plecy, ale Yrene zareagowała równie szybko i złapała go za barki. Przytrzymała go z całej siły, wpijając dłonie w mokrą od potu koszulę. Jego chrapliwy oddech rozlegał się tuż przy jej uchu.

– Mam cię – szepnęła.

– Dam sobie radę – warknął głucho.

– Wybacz, jeśli nie będę ci wierzyć na słowo – odcięła się.

Upewniła się, czy w istocie jest w stanie się podeprzeć, po czym cofnęła się i usiadła kawałek dalej od niego na dywanie. Spoglądali na siebie w gniewnym milczeniu.

– Fizyczne ćwiczenia są niezwykle ważne – wycedziła Yrene. – Ale jeśli dasz sobie za dużo w kość, nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Nic mi nie jest.

– Myślisz, że nie wiem, co robisz?

Twarz Chaola była nieprzeniknioną maską. Po jego skroni spływały krople potu.

– Oto twoje sanktuarium – powiedziała, wskazując jego wyrzeźbione, pokryte potem ciało. – Gdy coś układa się nie po twojej myśli, gdy jesteś wyprowadzony z równowagi, zły bądź smutny, zatracasz się w treningu. Ćwiczysz, aż pot pali cię w oczy, a mięśnie dygoczą i błagają, byś przestał. A teraz nie stać cię na aż tyle. Nie na tyle co kiedyś.

Gniew zapłonął w jego oczach, ale Yrene nie skończyła.

– I co na to powiesz? – spytała. Jej twarz nadal była zacięta i chłodna. – Jak się z tym czujesz?

Chaol odruchowo rozchylił nozdrza.

– Jeśli myślisz sobie, że jesteś w stanie sprowokować mnie w ten sposób do wyznań...

– Jak się z tym czujesz, lordzie Westfall?

– Dobrze wiesz, Yrene.

– Odpowiedz na pytanie.

Milczał.

– Cóż, skoro najwyraźniej masz ochotę na całonocną sesję treningową – mruknęła pod nosem – mogę w sumie popracować nad twoimi nogami.

Jego spojrzenie paliło jak ogień i uzdrowicielka zadała sobie w myślach pytanie, czy wyczuwa ucisk w jej piersi, czy jest może świadom tego, jak wielka otchłania otworzyła się w jej brzuchu. Bez słowa dźwignęła się na kolana i rozpoczęła serię ćwiczeń, które miały na celu uruchomienie połączeń między jego kręgosłupem i mózgiem. Chaol mógł już sam obracać kostką i stopami, choć widziała, jak po dziesiątej serii zaciska zęby.

Mimo to ani myślała zwolnić. Ignorowała jego kipiący gniew i z przesłodzonym uśmiechem na ustach rytmicznie poruszała jego nogami. Dopiero gdy dotarła do górnej części ud, Chaol zatrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu. Spojrzał jej w oczy, a potem odwrócił spojrzenie.

– Jestem zmęczony. Jest już późno. Umówmy się na jutro rano.

– W sumie mogłabym przejść teraz do samego uzdrawiania.

Nie wykluczała, że na skutek ćwiczeń zniszczone połączenia mogą się lepiej aktywować.

– Chcę odpocząć.

Kłamał. Pomimo intensywnych ćwiczeń na jego policzkach nadal widniały zdrowe rumieńce, a oczy lśniły gniewem. Przyjrzała się mu uważnie, a potem zastanowiła się nad jego prośbą.

– Odpoczynek nie jest w twoim stylu.

Chaol zacisnął wargi.

– Wynoś się.

Yrene głośno parsknęła.

– Możesz rozkazywać służbie i żołnierzom, lordzie Westfall, ale ja nie będę ci posłuszna.

Mimo to podniosła się płynnym ruchem. Miała już dość jego zachowania. Oparłszy dłonie na biodrach, wpatrywała się w Chaola, który nadal leżał na dywanie.

– Zamówię ci jakieś jedzenie. Takie, które pomoże ci rozbudować mięśnie.

– Wiem, co jeść.

Oczywiście, że tak. Przecież kształtował to wspaniałe ciało od wielu lat. Mimo to Yrene strzepnęła fałdy sukni i rzekła.

– Tak, ale ja studiowałam ten temat.

Chaol najeżył się, ale nie powiedział ani słowa. Miast tego wbił wzrok w motywy roślinne wyhaftowane na dywanie.

Yrene obdarzyła go kolejnym uśmiechem słodkim niczym miód.

– Chciałabym, byś jutro rano był wypoczęty i rześki jak skowronek, lordzie...

– Nie nazywaj mnie tak.

Uzdrowicielka wzruszyła ramionami.

– Będę cię nazywać tak, jak mam na to ochotę.

Chaol poderwał głowę. Na jego twarzy malowała się furia i Yrene przygotowała się już na kolejne ostre słowa, ale mężczyzna zdołał się opanować.

– Wynos się – powtórzył cicho i wyciągnął ramię, by pokazać jej drzwi.

– Powinam cię kopnąć w to przekłete łapsko! – parsknęła, kierując się ku wyjściu. – Ale gdybym złamała ci rękę, spędziłbyś tu jeszcze więcej czasu.

Chaol znów obnażył zęby. Aż buchał wściekłością, a blada blizna na policzku odcinała się jaskrawo od poczerwieniałej skóry.

– Wynos się.

Raz jeszcze przywołała swój obrzydliwie słodki uśmiech i zamknęła za sobą drzwi.

Szła szybkim krokiem przez korytarze pałacowe, zwierając pięści i powstrzymując narastający w niej ryk.

Pacjenci miewają gorsze dni. Mają do tego prawo. Było to naturalne zjawisko, element procesu leczenia. Ale... ale oni poczynili już taki postęp. Zaczynali się rozumieć. On zaczął się jej zwierzać, ona też zdradziła mu kilka sekretów, o których wiedziało niewiele osób, a wczoraj po prostu dobrze się bawiła...

Dokładnie przemyślała każde słowo, które padło między nimi zeszłego wieczoru. Może złościł się na coś, co powiedziała mu Eretia? Kobieta bynajmniej nie słynęła z wyrozumiałości wobec pacjentów. Yrene była szczerze zdumiona tym, że Eretia tolerowała czyjąkolwiek obecność, a co więcej, miała ochotę pomagać innym ludziom. Tak, ona mogła go wyprowadzić z równowagi. Mogła go urazić.

A może Chaol przyzwyczaił się do ciągłej obecności Yrene i nawet tak krótka przerwa zabiła go z tropu? Słyszała o podobnych przypadkach w relacjach między uzdrowicielkami i ich pacjentami. Ale przecież jak dotąd nie okazywał żadnych objawów podobnego uzależnienia. Wręcz przeciwnie, emanował niezależnością i dumą, które krzywdziły go w tym samym stopniu, co mu pomagały.

Nietypowe zachowanie Chaola nadal nie przestawało jej dręczyć. Oddychając nierówno, uzdrowicielka ruszyła do Hasar.

Księżniczka wracała właśnie z lekcji władania mieczem.

– Renia wyprawiła się na zakupy! – powiedziała. Otoczyła talię Yrene mokrym od potu ramieniem i poprowadziła ją ku swojej komnacie. – Wszyscy są zajęci, że hej! – marudziła po drodze, zarzuciwszy mokry warkocz na plecy. – Nawet Kashin wyruszył z ojcem na jakąś naradę w związku z armią.

– A jest ku temu jakiś powód? – ostrożnie spytała uzdrowicielka.

Hasar wzruszyła ramionami.

– Nic mi nie powiedział. Choć chyba miał na to ochotę, tym bardziej że Sartaq machnął na nas wszystkich ręką i odleciał do swego gniazda w górach na kilka tygodni.

– Opuścił stolicę?

– A do tego zabrał ze sobą kapitan Faliq – dodała Hasar z krzywym uśmiechem. – Jestem zaskoczona, że nie siedzisz z lordem Westfallem. Przecież na pewno trzeba go teraz pocieszyć.

„Och – pomyślała Yrene. – Och”.

– Kiedy wylecieli? – spytała głośno.

– Wczoraj po południu. Kapitan Faliq najwyraźniej nikomu o tym nie powiedziała i nie zabrała

niczego, co do niej należy. Zostawiła jedynie liścik i odleciała wraz z Sartaqiem w stronę zachodzącego słońca. Nie miałam pojęcia, że mój brat potrafi okazać się aż tak czarujący.

Yrene nie odwzajemniła uśmiechu. Mogła się założyć, że Chaol znalazł list pożegnalny dopiero dziś rano. Dopiero dziś uzmysłowił sobie, że Nesryn znikła.

– A skąd ty wiesz, że jej nie ma?

– Och, posłaniec opowiedział o tym wszystkim. Nie miał pojęcia, co jest w kopercie, ale list był adresowany do lorda Westfalla, a zostawiono go w miejscu, skąd startowała Kadara. Co więcej, posłaniec znalazł tam jeszcze drugi list, adresowany do rodziny kapitan Faliq. Łatwo się było domyślić.

Yrene poprzysięgła sobie w duchu, że już nigdy nie będzie wysyłać do pałacu żadnej korespondencji, a przynajmniej listów, które miały dla niej osobiste znaczenie.

Nic dziwnego, że Chaol był niespokojny i wściekły. Skoro Nesryn znikła bez śladu?

– Podejrzewasz jakąś nieczystą grę?

– Ze strony Sartaqa? – zachichotała Hasar, co w zupełności wystarczyło za odpowiedź.

Dotarli już do drzwi księżniczki. Służący otworzyli je w ciszy i usunęli się na bok. Swoim zachowaniem przypominali cienie, którym nadano cielesność.

Hasar chciała wprowadzić Yrene do środka, ale ta nagle zatrzymała się jak wryta.

– Zapomniałam podać mu eliksir! – skłamała i wyswobodziła się z objęć księżniczki.

Ta uśmiechnęła się znacząco.

– Jeśli natrafisz na jakieś ciekawe ploteczki, wiesz, gdzie mnie znaleźć! – zawołała.

Yrene zdołała skinąć głową i obróciła się na pięcie.

Nie udała się jednak do komnat Chaola. Od jej wyjścia minęło zaledwie dziesięć minut i nie sądziła, by przez ten czas poprawił mu się nastrój. Co więcej, wiedziała, że gdy znów go zobaczy, nie będzie mogła powstrzymać się od pytań na temat Nesryn. Czuła, że będzie na niego naciskać, aż mężczyzna straci panowanie nad sobą. Nie miała pojęcia, do czego mogło ich to doprowadzić, ale bała się, że przekroczą w ten sposób granicę, zza której się nie wraca.

Ale miała przecież dar. I czuła nieustępujące, pobudzające do działania dudnienie w uszach, które dzięki Chaolowi zamieniło się w ogłuszający ryk.

Nie mogła siedzieć beczynn timer. Nie chciała wracać do Torre, by czytać ani pomagać innym w pracy.

Opuściła pałac i skierowała się ku zakurzonym ulicom Antiki. Znała drogę. Przecież dzielnice biedoty zawsze znajdowały się w tym samym miejscu, a jedynie rosły bądź się kurczyły, w zależności od tego, kto rządził miastem.

W blasku słońca nie miała się czego obawiać. Nie było tam złych ludzi, jedynie ubodzy, czasem zdesperowani. Wielu zapomnianych lub zrozpaczonych.

Zrobiła więc to, co robiła zawsze, nawet w Innish. Ruszyła za odgłosem kaszlu.



Do zachodu słońca Yrene uzdrowiła sześć osób i dopiero potem zdecydowała się na opuszczenie dzielnic biedoty.

Jedna z natrafionych przez nią kobiet miała niebezpieczną narośl na płucach i bez jej interwencji niechybnie by umarła. Niestety, pracowała zbyt ciężko i długo, by znaleźć chwilę na odwiedzenie lekarza czy uzdrowicielki. Potem Yrene znalazła trójkę dzieci, mieszkających w nadmiernie zatłoczonym domu, które miały niebezpiecznie wysoką temperaturę. Ich matka płakała z przerażenia, a potem z ulgi, gdy magia dziewczyny uśmierzyła ich dolegliwość i oczyściła ich ciała. Następnie odnalazła mężczyznę, który tydzień temu złamał nogę, ale nie było go stać na powóz do Torre, więc odwiedził jakiegoś beznadziejnego lekarza w sąsiedztwie. Szóstą osobą zaś...

Szóstą osobą była dziewczyna, która nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Yrene zwróciła na nią uwagę, gdyż miała podbite oko. Potem dostrzegła też rozciętą wargę.

Jej magia była już na wyczerpaniu, a kolana drżały z wysiłku, ale zatrzymała nieznajomą, zaprowadziła ją do pobliskiej klatki schodowej i uleczyła jej oko, a potem wargę i popękane zębra. Uleczyła ogromne sińce, pozostawione na jej skórze przez zaciśniętą dłoń.

Nie zadawała żadnych pytań, gdyż odczytała wszystkie odpowiedzi w przerażonym spojrzeniu dziewczyny. Zrozumiała też jej wahanie – nieznajoma bała się, że jeśli wróci do domu uzdrowiona, oberwie jeszcze bardziej.

Nie wpłynęła więc na górne warstwy skóry i pozostawiła wszystkie ślady po obrażeniach. Dziewczyna, choć została w pełni wyleczona, nadal wyglądała jak ofiara.

Yrene nie próbowała nawet namawiać jej do ucieczki. Nie miała pojęcia, kto jest jej katem – członek rodziny, kochanek czy jeszcze ktoś inny – ale wiedziała, że tylko i wyłącznie ona sama może podjąć decyzję, by przestąpić próg i już nigdy nie wrócić. Tylko i wyłącznie ona. Poprzestała na informacji, że jeśli tylko będzie potrzebować pomocy, drzwi Torre zawsze będą stały dla niej otworem. A tam nikt nie zadaje żadnych pytań, nikt nie pobiera opłat, a co najważniejsze, nikt nie pozwoli, by została stamtąd zabrana wbrew swej woli.

Dziewczyna w wyrazie wdzięczności ucałowała jej dłonie i biegiem wróciła do domu, starając się zdążyć przed nadciągającym zmierzchem.

Yrene również przyspieszyła kroku, zmierzając ku wysokiemu, migoczącemu monolitowi Torre, który był jej domem. W brzuchu jej burczało, a głowa pulsowała ze zmęczenia i z głodu. Była wyczerpana i pozbawiona magii, ale lubiła ten stan. Lubiła pomagać.

A mimo to... Mimo to niespokojna, prześladowająca ją energia nadal dudniła, nadal popychała ją do działania.

„Jeszcze, jeszcze, jeszcze!”

Wiedziała, skąd to się bierze. Wiedziała, co ją tak burzyło, co w niej wciąż kipiało.

Zmieniła więc kurs i ruszyła w kierunku ogromnego, jaśniejącego pałacu.

Zatrzymała się na moment przy ulubionym straganie z jedzeniem, gdzie z apetytem pochłonęła porcję smażonej na wolnym ogniu jagnięciny. Była bardzo zajęta i rzadko się zdarzało, by jadła gdzieś poza pałacem czy Torre, ale gdy już do tego doszło...

Masując się z zadowoleniem po brzuchu, ruszyła w dalszą drogę, ale zauważyła otwarte stoisko z *kahve* i stwierdziła, że ma jeszcze ochotę na kubek napoju. I kawałek ciasta z miodem.

„Tracę czas – uznała. – Jestem niespokojna, zła i głupia”.

Zniesmaczona własną postawą wkroczyła w końcu do pałacu. Latem słońce zachodziło późno i było już dobrze po jedenastej, gdy szła przed siebie ciemnymi korytarzami.

„Może będzie spał – pomyślała. – Tak w sumie byłoby najlepiej”.

Nie miała bowiem pojęcia, dlaczego wróciła. Dlaczego jej zależało. Przecież mogła równie dobrze odgryźć mu głowę jutro.

„Zapewne śpi”.

Miała wielką nadzieję, że śpi. Uzdrowicielka z Torre nie powinna wpadać do komnaty lorda Westfalla, łapać go za ubranie i potrząsać nim. Hafizie na pewno by się to nie spodobało.

Mimo to szła nadal, coraz szybciej. Jej kroki na marmurowych podłogach niosły się echem.

„Skoro chce zrobić krok w tył w naszej relacji, proszę bardzo – pomyślała. – Ale nie pozwolę mu na to ot tak. Muszę najpierw spróbować”.

Szła prędko przed siebie długim, ciemnym korytarzem. Nie była przecież tchórzem i nie cofała się przed kłótniami. Ta część jej natury została na ulicy w Innish.

Jeśli chciał rozpamiętywać swój związek z Nesryn i opłakiwać go, miał do tego pełne prawo. Ale żeby odwołać sesję z tego powodu?

Niedopuszczalne. Obiecała sobie, że powie mu to wszystko i wyjdzie. Ze spokojem. W racjonalny sposób.

Każdemu krokowi towarzyszył nowy grymas gniewu i niechęci.

– Niedopuszczalne – mruzczała pod nosem.

A do tego pozwoliła mu, by ją wywalił, bez względu na to, jak sama chciała to nazwać. To było jeszcze bardziej niedopuszczalne.

– Co za głupek! Dureń! – burknęła.

Na tyle głośno, że o mało nie przeoczyła nowego odgłosu.

Ktoś zrobił krok za jej plecami. Wyraźnie słyszała chrobot podeszwy na kamieniu.

O tej porze służący zazwyczaj udawali się do komnat swoich panów, ale...

O, i jeszcze raz. Jej szczególny zmysł uruchomił się ponownie.

W szerokim korytarzu okolonym kolumnami widać było jedynie cienie i strużki światła księżyca.

Yrene przyspieszyła.

I wtedy znów usłyszała kroki za sobą. Swobodne, dumne.

W ustach jej zaszcło, serce biło jak szalone. Nie miała tym razem torby, nie miała nawet małego noża. W kieszeni odnalazła jedynie swój list.

„Pospiesz się” – szepnął cichy, łagodny głos w jej głowie.

Nigdy dotąd go nie słyszała, ale czasem czuła jego ciepło. Rozlewało się po jej ciele, w miarę jak ubywało jej magii. Znała go równie dobrze jak własny głos czy też bicie swego serca.

„Pospiesz się, dziewczę”.

Każde słowo emanowało lękiem, ponaglało.

Yrene zwiększyła tempo i już niemal biegła. Jeszcze tylko jeden zakręt. Wystarczy wyminąć ten róg, przebiec jeszcze kilkanaście kroków i już znajdzie się w jego apartamencie. Czy w drzwiach był zamek? Czy zamknął drzwi przed nią? Przed tym kimś, kto krążył po korytarzach?

„Biegnij, Yrene!”.

Ów głos... To głos jej matki rozbrzmiewał teraz echem w jej głowie i sercu. Ani myślała, by się zatrzymywać, myśleć, zastanawiać się.

Rzuciła się do biegu.

Jej buty ślizgały się po marmurze, a jej niewidzialny prześladowca – owo coś – popędziło w ślad za nią. Yrene skręciła za róg z taką prędkością, że nie zdążyła wyhamować. Poślizgnęła się i uderzyła barkiem w ścianę. Jęknęła z bólu, ale zdołała odzyskać równowagę i niewiele myśląc, znów pognęła przed siebie. Nie miała odwagi spojrzeć do tyłu.

„Szybciej!”.

Widziała już drzwi. Widziała światło w szczelinie pod nimi. Z jej ust wyrwał się szloch.

Pospieszne kroki za nią przybliżały się. Nie oglądała się, by znów nie stracić równowagi.

Dwadzieścia kroków. Dziesięć. Pięć.

Złapała za klamkę i naparła na nią, trzymając się jej ze wszystkich sił, by się nie przewrócić. Drzwi otworzyły się i uzdrowicielka wpadła do środka. Z trudem unikając upadku, przytrzymała je całym ciałem i w panice zaczęła szukać zamka. Były dwa.

Przekręciła jeden z nich, gdy osoba po drugiej stronie uderzyła w drzwi całym ciężarem ciała. Aż zadygotały. Zdyszana, przerażona uzdrowicielka zmagala się już z drugim, znacznie cięższym zamkiem.

Zdołała go zamknąć w chwili, gdy drzwi znów się zatrzęsły.

– Co, do jasnej cholery... – zaczął Chaol.

– Wracaj do pokoju! – szepnęła. Nie miała odwagi, by oderwać wzrok od drzwi i klamki, za którą ktoś właśnie szarpał. – I to w tej chwili!

Gdy spojrzała na niego, siedział na fotelu na progu sypialni z mieczem na kolanach. Wpatrywał się w wejście.

– Kto to jest, do cholery? – wycedził.

– Wracaj do pokoju – szepnęła łamiącym się głosem. – Proszę.

Odczytał przerażenie na jej twarzy. Zrozumiał. Cofnął się do pokoju, otwierając przed nią drzwi, a potem zamykając je, gdy weszła do środka. Miały tylko jeden zamek.

Frontowe drzwi zatrzeszczały niebezpiecznie.

– Możesz przesunąć tę komodę? – Głos Chaola nawet nie zadrżał.

Yrene obróciła się błyskawicznie ku meblowi stojącemu obok drzwi. Bez słowa naparła na niego. Zrzuciła pantofle, które ślizgały się po marmurowej podłodze – nagie stopy trzymały się jej znacznie lepiej. Stęknąwszy głośno, zaczęła pchać komodę ku drzwiom, aż znalazła się na miejscu.

– Drzwi ogrodowe! – rozkazał Chaol, który w międzyczasie zdążył je zamknąć.

Wykonano je z mocnego, grubego szkła.

Strach i panika ścisnęły jej żołądek. Nie mogła oddychać.

– Yrene! – odezwał się spokojnym, mocnym głosem Chaol. Wpatrywał się w jej oczy. Uspokajał ją. – Jak daleko stąd znajduje się najbliższe wejście do ogrodu z głównego korytarza?

– Dwie minuty spacerem – odpowiedziała automatycznie.

Do ogrodu można było się dostać tylko z pokoiów leżących wewnątrz kompleksu dla gości, a skoro większość komnat była zajęta, napastnik musiałby biec korytarzem aż do samego końca. Albo zaryzykować i przedostać się przez wejście z sąsiedniej sypialni apartamentu, co oznaczało...

– Lub jedną – dodała.

– Nie marnujmy ani sekundy.

Yrene rozejrzała po sypialni w poszukiwaniu czegokolwiek, czego można by użyć. Przy szklanych drzwiach stała wysoka szafa. Nie, była zbyt masywna, zbyt ciężka, ale... Parawan przed pokojem łazienym?

Yrene rzuciła się w jego kierunku. Chaol sięgnął po parę sztyletów leżących na nocnym stoliku. Dziewczyna złapała ciężki, drewniany parawan i pociągnęła go za sobą, przeklinając, gdy zahaczył o dywan. Szarpnęła mocniej i zdołała go w końcu przesunąć. Wepchnęła go między szafę a ścianę i potrząsnęła nim kilkakrotnie, by mieć pewność, że wytrzyma. Wytrzymał.

Potem przypadła do biurka i strąciła z niego książki i wazon, które roztrzaskały się po całej podłodze.

„Zachowaj spokój. Skup się”.

Przysunęła biurko bliżej parawanu i przewróciła je z głośnym łoskotem, a potem dopchnęła. Odstąpiła od swojej barykady, a wtedy przypomniała sobie o oknie.

Było tylko jedno, niewielkie i umieszczone wysoko, ale...

– Daj spokój – rozkazał jej Chaol i przysunął się do szklanych drzwi. W jednym ręku trzymał miecz, a w drugim sztylet. – Jeśli spróbują dostać się tędy, będą mieli trudności, by się przepchnąć.

A wówczas on będzie mógł ich pozabijać, kimkolwiek byli.

– Chodź tu – rzekł cicho.

Posłuchała go, choć nie przestawała się oglądać na drzwi od sypialni oraz te prowadzące do ogrodu.

– Oddychaj głęboko – przykazał jej. – Musisz odzyskać równowagę. Strach zabije cię równie łatwo jak broń napastnika.

Yrene zrobiła to, o co ją prosił.

– A teraz weź sztylet, który leży na łóżku.

Yrene wzdrygnęła się na widok broni.

– Dalej, zrób to!

W końcu pochwyciła sztylet. Był ciężki i nieporęczny, metalowa rękojeść chłodziła jej dłoń. Chaol oddychał spokojnie, rytmicznie. Ze skupieniem spoglądał to na jedne drzwi, to na drugie, a potem przenosił wzrok na okno.

– A pokój łazieny? – szepnęła. – Tam też są okna.

– Zbyt wysoko i wąskie.

– A jeśli to nie ludzkie ciało? – szepnęła ochryple. Ilustracje, które widziała w tej księdze...

– Wówczas ja go zajmę, a ty uciekaj.

„Przecież zatarasowaliśmy wszystkie wejścia” – pomyślała odruchowo Yrene, po czym niespodziewanie dotarło do niej to, co właśnie usłyszała.

– Ani mi się waź...

Ktoś na zewnątrz uderzył w drzwi do sypialni, które zadygotały. Potem spadł na nie drugi cios. Klamka podskakiwała, szarpana.

„Och, na bogów – pomyślała Yrene. – Nawet nie przyszło mu do głowy, by spróbować dostać się tu przez ogród. Przebił się po prostu przez drzwi frontowe”.

Wzdrygnęła się, gdy rozległo się kolejne uderzenie. A po nim następne.

– Spokojnie – mruknął Chaol.

Dłoń, w której trzymała sztylet, zadrżała. Chaol zbliżył się do drzwi, nieporuszony, skupiony.

Kolejne wściekłe uderzenie. A po nim...

Po nim głos. Cichy i syczący, ni to męski, ni to żeński.

– Yrene – wyszeptał przez dziurę w drzwiach. Była pewna, że słyszy w tym głosie uśmiech. – Yrene...

Przeszył ją chłód. Nie był to głos człowieka.

– Czego chcesz? – odezwał się Chaol. Jego głos był mocny jak stal.

– Yrene.

Kolana ugięły się pod nią. Miała wrażenie, że zaraz osunie się na ziemię. Wszelkie techniki samoobrony, które przekazywała innym dziewczętom, wyparowały jej z głowy.

– Wynoś się! – warknął Chaol. – Bo tego pożałujesz!

– Yrene – zasyczał przybysz i zaśmiał się. – Yrene!

Valg. A więc jeden z nich w istocie ścigał ją tamtej nocy, a teraz znów po nią przybył...

Zaciskając wolną rękę na ustach, Yrene opadła na skraj łóżka.

– Nie waź się marnować ani chwili życia na strach przed podłym tchórzem, który poluje na kobiety w ciemnościach! – parsknął na nią Chaol.

Istota po drugiej stronie drzwi warknęła. Klamka znów zadygotała.

– Yrene! – powtórzył głos.

Chaol nie spuszczał z niej oczu.

– To twój strach daje mu władzę nad tobą! – rzekł.

– Yrene...

Zbliżył się do niej. Opuścił sztylet i ułożył miecz na kolanach. Yrene wzdrygnęła się i już chciała go ostrzec, by nie odkładał broni, ale on ujął jej twarz w obie dłonie. Był całkiem zwrócony plecami w stronę drzwi, choć wiedziała, że kontroluje każdy ruch i dźwięk na zewnątrz.

– Ja się nie boję – powiedział cicho, ale bynajmniej nie słabym głosem. – I ty też nie powinnaś.

– Yrene! – parsknęła istota po drugiej stronie i znów uderzyła w drzwi.

Uzdrowicielka aż się skuliła, ale Chaol mocno trzymał jej twarz. Nie przerywał kontaktu wzrokowego.

– Stawimy temu czemuś czoła – powiedział. – Wspólnie.

Wspólnie. Bez względu na to, czy przeżyją tę noc, czy też przyjdzie im umrzeć, zrobią to razem.

Walące mocno serce Yrene zwalniało. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że jego oddech owiewał jej usta. Wspólnie.

Nie przyszło jej do głowy, by użyć tego słowa. By poczuć to, co ono oznaczało. Nie czuła tego

bowiem od czasów...

Wspólnie.

Kiwnęła głową. Raz, dwa razy.

Chaol odszukał jej spojrzenie, nadal niemalże dotykając jej nosa własnym. Uniósł dłoń uzdrowicielki, nadal zaciśniętą na rękojeści sztyletu, i poprawił jej chwyt.

– Kieruj go ku górze, a nie prosto. Wiesz w co.

Położył dłoń na swojej klatce piersiowej, nad sercem.

Wiedziała, co ma na myśli. Mózg. Oko. Gardło, które przecięte uwalniało życiodajną krew. Dziesiątki arterii, które zapewniały szybki krwotok.

Ale przecież ona się uczyła, jak ratować życie, a nie jak je kończyć.

Lecz ta istota...

– Odcięcie głowy to najpewniejsza technika, ale najpierw trzeba go powalić, by można było wykonać taki cios.

Wtedy Yrene uświadomiła sobie, że Chaol już to kiedyś robił. Już zabijał te istoty. Tryumfował nad ich zwłokami. Rzucił im wyzwanie, choć nie miał magii, lecz dysponował jedynie własną niezwykłą wolą i odwagą.

A ona... Ona pokonała góry i morza. Sama. Bez niczyjej pomocy.

Jej ręka przestała się trząść, a oddech się uspokoił. Palce Chaola zaciskały się na jej dłoniach, wciskając w nie metal rękojeści.

– Wspólnie – powtórzył po raz ostatni i wypuścił jej dłonie, by pochwycić własną broń. By odwrócić się ku drzwiom.

Cisza.

Czekał, kalkulując. Wyteżał zmysły. Czuwał niczym drapieżnik gotowy do ataku.

Yrene stanęła za nim. Jej sztylet już nie drżał.

Gdzieś w przedpokoju rozległ się łoskot, a potem krzyki. Yrene drgnęła, ale Chaol wypuścił jedynie z wielką ulgą powietrze z płuc.

Rozpoznał krzyki na chwilę przed nią.

To byli strażnicy pałacowi. Krzyczeli w halę przez wyłamane drzwi, dopytywali się, czy nic się nikomu nie stało. Czy byli bezpieczni? Czy nikt nie odniósł ran?

Yrene przywołała całą swą znajomość języka i odpowiedziała, że są cali. Strażnicy wyjaśnili wówczas, że jakaś służąca zauważyła wyłamane drzwi i pośpiesznie ściągnęła ich na pomoc.

W apartamencie nie było nikogo.

Książę Kashin pojawił się bardzo szybko, wezwany przez straż na prośbę Yrene, zanim ona czy Chaol ośmielili się w ogóle ruszyć meble, którymi zabarykadowali drzwi. Każdemu innemu członkowi rodziny królewskiej należałoby wyjaśniać zbyt wiele rzeczy, ale Kashin... Cóż, książę był świadom zagrożenia.

Chaol już dobrze znał głos księcia i gdy ten rozległ się w przedpokoju jego apartamentu, dał znać Yrene, by zaczęła odsuwać meble tarasujące przejście. Przez chwilę krótką jak uderzenie serca cieszył się z tego, że nie musi wstawać. Zalała go bowiem ulga tak wielka, iż na pewno ugięłyby się pod nim kolana.

Nie był bowiem w stanie wymyślić żadnego wyjścia z tej sytuacji. Ani dla siebie, ani dla niej. W fotelu na kółkach nie miał żadnych szans w starciu ze służą Valgów. Był właściwie równie groźny jak padlina, choć wyliczył, że celny rzut nożem mógłby ich ocalić. Wiązał z tym wszystkie nadzieje.

O sobie nie dbał. Liczyło się tylko tyle, ile czasu zyska w ten sposób dla Yrene.

Ktoś na nią polował. Ktoś chciał ją zabić. Sterroryzować ją i znęcać się nad nią, a być może, jeśli był to w istocie agent Morath, dopuścić się nawet gorszych czynów. Chaol słyszał jego głos i nie miał co do tego wątpliwości.

Nie był w stanie natomiast go rozpoznać. Nie wiedział nawet, czy należy do kobiety czy mężczyzny.

Yrene, zachowując podziwu godny spokój, otworzyła w końcu drzwi i wpuściła do środka zdyszanego Kashina o rozbieganych, dzikich oczach. Książę obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów, zerknął na Chaola, a potem znów skupił uwagę na uzdrowicielce.

– Co tu się działo?

– Szłam do lorda Westfalla, by się upewnić, czy wypił swoje lekarstwo – odpowiedziała ze spokojem Yrene.

„Kłamczucha – pomyślał Chaol. – Jestem przekonany, że wróciła po to, by znów mnie zrugać. Czekałem na to przez całą wieczór”.

Yrene obeszła fotel i stanęła obok niego, tak blisko, że wyczuwał ramieniem ciepło jej ciała.

– Byłam już blisko jego apartamentu, gdy nagle uświadomiłam sobie, że ktoś za mną podąża – powiedziała, po czym przedstawiła księciu resztę wydarzeń. Co chwila rozglądała się dookoła, jakby obawiała się, że ktoś może wyskoczyć na nich z cieni. A gdy Kashin spytał, dlaczego sądzi, że ktoś chciałby zrobić jej krzywdę, uzdrowicielka zerknęła na Chaola.

„Przypuszczalnie ktoś próbuje mnie przestraszyć – wyczytał w jej spojrzeniu. – Z jakiegoś mrocznego powodu Morath zależy na tym, bym przestała cię leczyć”.

Księżciu powiedziała jednak, że nie wie.

Twarz Kashina ściągnęła furia, gdy przyjrzał się popękany drzwiom do sypialni Chaola.

– Czterech z was ma objąć wartę przed drzwiami apartamentu – rzucił do strażników przetrząsających pokoje. – Kolejnych czterech ma stanąć przy końcu korytarza. Tuzin w ogrodzie. Sześciu na rozmaitych skrzyżowaniach korytarzy, które tu wiodą.

Yrene odetchnęła, co można było poczytać za ulgę. Kashin usłyszał to i oparł dłoń na rękojeści miecza.

– Pałac jest już przeszukiwany – oznajmił. – Mam zamiar dołączyć do nich.

Chaol wiedział, że nie chodziło o samą Yrene. Wiedział, że książę ma dobry powód, by wziąć udział w polowaniu, gdyż z okien jego komnat przypuszczalnie nadal powiewał biały proporzec, świadectwo miłości i oddania. Może wszyscy książęta powinni tacy być. Może Dorianowi przydałby się taki przyjaciel, oczywiście gdyby wszystko przebiegło po ich myśli.

Kashin nabrał tchu, jakby i on chciał się uspokoić, a potem cicho zwrócił się do Yrene:

– Zanim odejdę... Czy mogę cię odprowadzić do Torre? Wraz z grupą zbrojnych, oczywiście.

W jego oczach pojawiło się tyle troski i nadziei, że Chaol wołał zwrócić spojrzenie na strażników,

k którzy nadal zaglądali w każdy kąt apartamentu. Yrene jednakże założyła ramiona na piersi i oznajmiła:

– Tu czuję się bezpieczniej.

Zdziwiony Chaol chciał odwrócić ku niej głowę, ale opamiętał się w ostatniej chwili. Zaskoczyły go jej słowa.

Z nim. Czowała się bezpieczniej z nim.

Miał ochotę przypomnieć jej, że dalej jest częściowo sparaliżowany, ale ugryzł się w język.

Kashin tymczasem przeniósł wzrok na Chaola, jakby nagle przypomniał sobie o jego obecności. Jego spojrzenie stwardniało. Chaol, który bez lęku patrzył mu w oczy, odczytał w nich rozczarowanie i ostrzeżenie.

Przyszło mu do głowy, by przypomnieć księciu, iż zamiast gapić się na niego z wrogością, miał szukać sprawcy napadu, ale pozostawił tę uwagę dla siebie.

Miał dość na głowie. Przez cały dzień rozmyślał o liście Nesryn, a w przerwach powracał do tego, co pokazał mu Shen. Do myśli, jakie nawiedziły go, gdy ujrzał, co znajduje się pod rękawem dumnego strażnika.

Książę na szczęście nie miał ochoty na dalsze przepychanki. Ułożył dłoń na piersi i uklonił się.

– Przyślij więc wiadomość, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Yrene ograniczyła się do nieznacznego skinienia, tak wyniosłego, że Chaolowi prawie zrobiło się żal Kashina.

Książę obrzucił ją ostatnim spojrzeniem i wyszedł z częścią strażników. Kilku innych pozostało w apartamencie. Chaol patrzył, jak obejmują posterunki tuż za ich oknami.

– Sypialnia Nesryn jest pusta – powiedział, gdy wreszcie zostali sami.

Czekał na pytanie „dlaczego?”, ale nagle uświadomił sobie, że Yrene, wpadając do jego apartamentu, nawet o niej nie wspomniała. Nie próbowała dobijać się do jej drzwi i jej budzić. Nie zdziwił się więc, gdy odparła:

– Wiem o tym.

Nie dbał o to, czy dowiedziała się z plotek czy też od pałacowych szpiegów, tym bardziej że po chwili usłyszał jej pytanie:

– Czy ja... naprawdę mogę tu zostać? Będę spać na podłodze...

– Możesz zająć łóżko. Wątpię, czy dziś w ogóle zmruję oko.

Mieli teraz straż na zewnątrz, ale... Widział już, na ile było stać jednego Valga w walce z grupą uzbrojonych ludzi. Widział też Aelin w akcji, jak samotnie przebija się przez tłumy napastników i w ułamki sekund ścina każdego na swej drodze.

Nie, dziś na pewno nie zaśnie.

– Nie możesz przecież siedzieć w tym fotelu przez całą noc!

Spojrzenie, którym obrzucił ją Chaol, mówiło: „Owszem, mogę”.

Yrene przełknęła ślinę, przeprosiła i wymknęła się do pokoju łazienkowego, a Chaol w tym czasie przyjrzał się strażom na zewnątrz i zbadał zamek w drzwiach.

Po chwili Yrene wyszła, wciąż w swej sukni. Na jej mokrej twarzy pojawiła się niewyraźna mina i zawahała się, nim usiadła na łóżku.

– Zmienili pościel – powiedział cicho Chaol.

Nie spojrzała na niego, gdy się kładła. Każdy jej ruch wydawał się teraz skromniejszy, bardziej nieśmiały, jakby ona sama naraz stała się bardziej krucha.

Wciąż nie uwolniła się od obaw, choć zachowała się doprawdy wspaniale. Nie miał pewności, czy sam byłby w stanie przesunąć tę komodę, ale czysty strach dodał jej sił. Słyszał opowieści o matkach, które podnosiły wozy przygniatające ich dzieci.

Yrene wślizgnęła się pod kołdrę, ale nie miała zamiaru kłaść głowy na poduszkę.

– Jak to jest? No wiesz, gdy kogoś zabijasz?

Przez myśli przemknęła mu twarz Caina.

– Ja... Cóż, nie mam w tym wielkiego doświadczenia – przyznał.

Yrene obróciła ku niemu głowę.

– Po raz pierwszy odebrałem komuś życie tuż po Yulemas zeszłego roku.  
– Ale... Ale ty...  
– Tak, szkoliłem się w walce i niejednokrotnie brałem w niej udział, ale nigdy przedtem nikogo nie zabiłem.

– Byłeś kapitanem Gwardii.

– Mówiłem ci przecież – odezwał się z gorzkim uśmiechem – że to dość skomplikowane.

Yrene w końcu się położyła.

– Ale od tego czasu zdarzało ci się to, co?

– Tak. Ale nie na tyle często, by się do tego przyzwyczaić. Nie miałem problemów z zabijaniem Valgów, ale jeśli chodzi o ludzi, których ciała zajmowali... Wiesz, wielu z nich już właściwie nie żyło, ale inni... Inni wciąż w nich trwali, gdzieś skryci, stłamszeni przez demona. Nie wiedziałem, kogo zabijać, a kogo oszczędzić. Nie wiedziałem, w którym momencie dokonywałem złych wyborów. Wszak martwi nie mówią.

Yrene obróciła ku niemu głowę.

– Ja zaś złożyłam przed matką przysięgę, gdy miałam siedem lat. Obiecałam jej, że nigdy nie zabiję człowieka. Zdarzają się natomiast pacjenci... Matka powiedziała mi, że w przypadku niektórych chorób śmierć to wybawienie, ale to co innego niż rzeź.

– Prawda.

– Myślę, że... że mogłabym odebrać życie temu, kto nas dziś próbował dopaść. Byłam do tego stopnia...

Spodziewał się, że powie: „przeżrana”. Przecież jej jedyny obrońca był kaleką przykutym do fotela na kółkach.

– Byłam do tego stopnia zdesperowana. Nie chciałam uciekać. Powiedziałeś, że spróbujesz go zatrzymać, by zdobyć dla mnie trochę czasu, ale... Nie, nie mogę już uciekać. Już nie potrafię. Nie chcę tego więcej robić.

Chaol poczuł ucisk w piersi.

– Rozumiem.

– Cieszę się, że tego nie zrobiłam. Ale... Istota, która nas dziś ścigała, uciekła. Pewnie nie powinnam odczuwać tak wielkiej ulgi.

– Być może Kashinowi powiedzie się w poszukiwaniach.

– Wątpię. Ten ktoś uciekł przed przybyciem straży.

Chaol milczał przez chwilę, aż wreszcie rzekł:

– Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała korzystać z tego sztyletu, Yrene. Nawet, by przynieść ulgę cierpiącemu.

Smutek w jej oczach był tak przejmujący, że odebrał mu dech.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Za to, że byłeś gotów poświęcić za mnie życie.

Nikt nigdy nie powiedział mu niczego takiego. Nawet Dorian, choć miał powody. Aelin zaś, zważywszy jeszcze Celaenę, była mu wdzięczna za to, że zabił Caina, by ją uratować, ale spodziewała się, że któregoś dnia kogoś zabije. Później sama Aelin odebrała życie wielu, wielu ludziom – nie byłby w stanie ich nawet zliczyć, podczas gdy jego własne postępy w tej dziedzinie wprawiały go w zakłopotanie, o ile rywalizacja na tym polu była w ogóle możliwa.

Gdy w Rifthold przewodził buntownikom walczącym z Valgami, odbierał życie wielokrotnie. Ale przy Yrene uświadomił sobie, że jego dokonania wcale nie są imponujące. Nigdy nie patrzył na swe wyczyny w ten sposób.

– Przykro mi, że Nesryn wyjechała – szepnęła w półmroku.

„Nie domagam się, byś dotrzymał jakichkolwiek obietnic. Sama również nie będę się żadnych trzymać”.

– Obiecałem jej przygodę – przyznał Chaol. – Zasłużyła sobie na nią.

Yrene była tak milcząca, że po chwili odwrócił się od drzwi wiodących do ogrodu. Uzdrowicielka otuliła się kołdrą po samą brodę, ale nie spuszczała z niego oczu.



– A ty? Na co ty zasługujesz?

– Na nic. Na nic nie zasługuję.

Yrene przyglądała mu się uważnie.

– Zupełnie się z tym nie zgadzam – szepnęła. Jej powieki opadały powoli.

Chaol znów skupił uwagę na wyjściach z apartamentu.

– Otrzymałem bardzo wiele – rzekł po kilku minutach – ale wszystko zmarnowałem.

Spojrzał na nią, ale rysy twarzy Yrene złagodził już sen. Oddychała rytmicznie, spokojnie.

Przyglądał jej się długo.

\*\*\*

Yrene nadal spała, gdy niebo rozjaśnił świt.

Chaol również zdrzemnął się kilkakrotnie. Na więcej nie chciał sobie pozwolić, ale w końcu sen go zmógł i otworzył powieki dopiero, gdy po podłodze sypialni przesuwawały się już pierwsze promienie słońca. Zaspłany, przetarł oczy.

Yrene nawet nie drgnęła, gdy opuścił apartament i wyjechał na korytarz. Strażnicy stali dokładnie tam, gdzie Kashin kazał im czuwać. Podjechał do nich bliżej i zapytał o drogę, a oni dokładnie opisali, dokąd ma się udać. On zaś obiecał, że jeśli pod jego nieobecność uzdrowicielce stanie się krzywda, pogruchocze im wszystkie kości.

Kilka minut później odnalazł dziedziniec, na którym trenowali strażnicy. Ten sam, o którym wczoraj mówiła mu Yrene.

Roilo się tam już od żołnierzy, którzy przyglądali mu się uważnie lub całkiem go ignorowali. Rozpoznał kilku, którzy służyli na tej samej zmianie co Shen i pozdrowił ich skinieniem głowy. Wówczas podszedł do niego strażnik, z którym Chaol jeszcze nie zawarł znajomości, starszy i bardziej posiwiaty od reszty.

Przypominał nieco Brulla, Królewskiego Zbrojmistrza i jego nauczyciela.

Martwego już. Zwisającego z bram zamkowych.

Chaol odepchnął wspomnienie i zastąpił je wyobrażeniem uzdrowicielki, która nadal spała w jego łóżku. Wspomnieniem chwili, gdy oznajmiła księciu i całemu światu, że czuje się bezpieczniej w jego komnacie. Z nim.

Wyrzekł się bólu, który przetaczał się przez niego falami za każdym razem, gdy widział strażników ćwiczących na tym dziedzińcu, jakże podobnym do tego, na którym sam spędził tyle godzin swego życia. Zastąpił go wspomnieniem sztucznej ręki Shena i jego spokojnej, niezachwianej siły, jaką wyczuwał, gdy młodzieniec podtrzymywał go podczas wsiadania na konia. Bez tego ramienia wcale nie był gorszym człowiekiem. Nie był gorszym strażnikiem.

– Lordzie Westfall – odezwał się siwowłosy strażnik w jego ojczyściej mowie. – Cóż mogę dla ciebie zrobić o tej porze?

Chaol odniósł wrażenie, że był to człowiek przenikliwy i rozsądny. Że nawet jeśli słyszał o nocnej próbie włamania, nie będzie czynił w tym kierunku żadnych aluzji. Nie, on wiedział, że lord Westfall przybył tu z całkowicie innego powodu, a napięcie wyczuwalne w jego postawie nie było dlań powodem do niepokoju, ale budziło jego zaintrygowanie.

– Trenowałem przez lata z żołnierzami w mojej ojczyźnie – powiedział Chaol, pokazując miecz i sztylet, które zabrał ze sobą. – Nauczyłem się tyle, ile mogli mi przekazać.

Starszy żołnierz uniósł brwi. Chaol wpatrywał się w jego oczy.

– Teraz chciałbym się nauczyć tego, co ty możesz mi przekazać.

\*\*\*

Starszy strażnik, który nosił imię Hashim i piastował rangę niżej od kapitana, szkolił Chaola do chwili, gdy ten był ledwie w stanie nabrać tchu, choć nadal siedział na fotelu. Zresztą ćwiczył również poza nim.

Mężczyzna nadzorował szkolenie całej gwardii, ale znalazł wiele sposobów, by Chaol mógł

dołączyć do treningu. Zazwyczaj ktoś przytrzymał jego stopy bądź Hashim proponował mu nieco zmodyfikowane formy ćwiczeń.

Okazało się, że rok temu w istocie pracował z Shenem, podobnie jak wielu innych gwardzistów. Podczas długich miesięcy jego rekonwalescencji wspólnie pomagali mu opracować nowe sposoby na poruszanie się i walkę.

Nikt więc nie gapił się teraz na Chaola, nikt się z niego nie śmiał. Nikt nawet nie szepnął.

Wszyscy byli zresztą na to zbyt zajęci bądź zbyt zmęczeni.

Słońce stało już nad dziedzińcem, a strażnicy wciąż ćwiczyli. Hashim pokazywał Chaolowi nowe metody wyprowadzania ciosu. Szkolił go, jak rozbroić przeciwnika. Przedstawiał mu nowe sposoby myślenia i zabijania. Inne metody obrony. Inny język śmierci.

Przerwali dopiero w porze śniadania. Mięśnie strażników niemalże drżały z wyczerpania.

Chaol, choć zmęczony, czuł, że ma ochotę na kontynuację. Nie wiedział, czy znajdzie w sobie siłę, ale chciał nadal ćwiczyć.

Yrene czekała na niego, gdy wrócił do apartamentu, by się wykapać.

Tym razem obca ciemność zabrała im sześć godzin życia. Pod koniec sesji Chaol drżał z bólu, Yrene nie mogła wstać ze zmęczenia, ale znów dokonali postępu. Czucie sięgnęło powyżej jego kostek, zupełnie jakby paraliż i odrętwienie były cofającą się falą.

Yrene wróciła tego wieczoru do Torre, odprowadzona przez silną eskortę, a Chaol zapadł w najmocniejszy sen w swoim życiu.

Następnego dnia o świcie czekał już na Hashima na dziedzińcu treningowym.

Kolejnego dnia również.

## Część druga

Podróż ku północnej części Gór Asimil niespodziewanie przerwała burza.

Po przebudzeniu książę spojrział z uwagą na kotłujące się chmury i przykazał Nesryn, by zabezpieczyła wszystko, co tylko mogła na skalnym występie. Kadara przebierała ogromnymi, pazurastymi łapami i szeleściła skrzydłami. Jej złociste ślepia wpatrywały się w zbliżającą się burzę.

Na tej wysokości grzmoty wydawały się wstrząsać każdym kamieniem i każdą górską szczeliną. Nesryn i Sartaq próbowali przeczekać furję, wtuleni w skalną ścianę pod nawisem. Dziewczyna była gotowa przysiąc, że grzmoty wstrząsały całą górą.

Ale Kadara nie lękała się burzy. Usadowiła się przed nimi, wczepiona pazurami w grunt, i trwała niczym niewzruszony mur z białych i złocistych piór.

Siekący, lodowaty deszcz przemoczył Nesryn aż do samej kości nawet pomimo grubej, skórzanej odzieży i ciężkiego, wełnianego koca, którym otuliła się na wyraźny rozkaz Sartaqa. Zęby szczękały jej tak mocno, że aż rozboleły ją szczęki, odrętwiałe, lodowato zimne dłonie wciskała pod pachy, desperacko szukając jakiegokolwiek ciepła.

Przed zniknięciem magii Nesryn nigdy nie marzyła o żadnych magicznych darach, a potem, gdy pojawiły się dekrety zakazujące praktykowania sztuk magicznych i rozpoczęły się przerażające polowania na tych, którzy kiedyś parali się magią, nie miała odwagi, by w ogóle o tym pomyśleć. Wystarczyło jej doskonalenie się w strzelaniu z łuku i nauka walki mieczem i nożami. Wystarczyło jej ćwiczenie własnego ciała do chwili, gdy ono również stało się bronią.

„Magia zawiodła – mówiła ojcu i siostrze, gdy zadawali pytania. – A na stal zawsze można liczyć”.

Teraz jednak, gdy siedziała na klifie, smagana wichrem i falami deszczu tak długo, iż zapomniała, czym jest ciepło, zaczęła marzyć o iskierce ognia w swoich żyłach. Lub chociaż o pewnej Niosącej Ogień – niechby wyłoniła się zza skał i podeszła do nich zawiadackim krokiem, by ich ogrzać.

Aelin była daleko, a poza tym, jeśli wierzyć raportom Hasar, jej los był nieznan. Nesryn nie miała powodu, by to podważać. O wiele ważniejsze pytanie brzmiało, czy Aelin oraz jej dwór zniknęli na skutek jakichś intryg Morath, czy był to może zamysł samej królowej.

W Rifthold Aelin pokazała w pełni, do czego jest zdolna. Po tym, jak bez niczyjej wiedzy wprowadziła w życie nieprawdopodobne wprost plany, Nesryn była gotowa postawić wszelkie pieniądze na to, że to ona sama zaaranżowała swoje zniknięcie.

Królowa zapewne zamierzała się ujawnić tam, gdzie to sobie umyśliła i to w precyzyjnie wybranym przez siebie momencie. Nesryn miała wrażenie, że to właśnie dlatego ją lubi. Jak na kogoś, kogo cały świat uważał za nierozważnego i nieujarzmionego, królowa – knująca swe długoterminowe intrygi – okazywała się być osobą wyjątkowo powściągliwą i niezmiernie cierpliwą.

I gdy wokół nich szalała burza, Nesryn zastanawiała się, czy Aelin Galathynius kryje jeszcze w rękawie jakiegoś asa, o którym nie wie nawet jej dwór. W myślach modliła się, by okazało się to prawdą. Tak by było lepiej dla nich wszystkich.

„Ale przecież magia już raz zawiodła” – przypomniawszy sobie szczękającą zębami Nesryn i obiecała sobie w myślach, że zrobi wszystko, by znaleźć sposób na walkę z Morath bez niej.

Minęło wiele godzin, nim burza w końcu ucichła i przetoczyła się dalej, by terroryzować inne części świata. Sartaq po prostu się podniósł, a Kadara rozłożyła skrzydła i otrzepała swe pióra z wody. Oczywiście opryskała ją przy tym, ale Nesryn nie miała prawa narzekać – wszak ruk przyjął na siebie cały impet gniewu burzy.

Oczywiście jej siodło okazało się wilgotne, przez co pierwszy etap podniebnej podróży był mało komfortowy. Mimo to bez wahania pomknęli wraz z rześkimi wiatrami i wkrótce zostawili góry daleko za sobą. W dole rozciągnęły się rozległe, trawiaste równiny.

Ze względu na opóźnienie zostali zmuszeni do rozbicia obozowiska na kolejną noc, tym razem w gęstym zagajniku, przy czym Sartaq znów zdecydował, że nie będzie ognia. Nesryn nie

skomentowała tego ani słowem. Mężnie znosiła chłód, który zagnieżdził się w jej kościach, korzenie, które wyraźnie czuła przez derkę, i pustkę w żołądku, której nie mogła zapełnić owocami, suszonym mięsem ani chlebem.

Sartaq, co należało docenić, oddał jej swe koce i spytał, czy nie chce zmienić odzieży. Nesryn uświadomiła sobie wówczas, że właściwie prawie go nie zna. Ów mężczyzna, z którym odleciała, ksiązę z *sulde* i bystrookim rukiem, właściwie był dla niej niemalże obcym człowiekiem.

Na ogół w niczym jej to nie przeszkadzało. Pracując w straży miejskiej, miała codziennie kontakt z nieznanymi ludźmi, którzy przejawiali najrozmaitsze stadia podłości i paniki. Miłe spotkania miały miejsce rzadko, a przez ostatnie sześć miesięcy, gdy miasto spowił mrok, zdarzały się jeszcze rzadziej.

Ale Sartaq... Choć owinięta kocami, Nesryn drżała przez całą noc i zastanawiała się, czy przypadkiem nazbyt się nie pospieszyła, bez namysłu decydując się na podniebną eskapadę, nawet pominiawszy fakt, że stawką był możliwy sojusz.

Bolały ją wszystkie kości, a oczy wręcz paliły, gdy między pniami smukłych sosen przekradł się szary blask świtu. Kadara już się przebudziła i miała ochotę wzlecieć ku niebu, a Nesryn i Sartaq, wymieniwszy raptem kilka zdań, niedługo potem rozpoczęli ostatni odcinek podróży.

Lecieli przez dwie godziny, kierując się na południe. Wiatr z każdą chwilą stawał się bardziej orzeźwiający. Niespodziewanie ksiązę pochylił się i powiedział jej do ucha:

– Tędy. – Wskazywał wschód. – Leć przez pół dnia w tym kierunku, a dotrzesz do północnych granic stepów. Do ojczyzny Darghanów.

– Często ich odwiedzasz?

Milczał przez chwilę, a potem rzekł, pokonując świst wiatru:

– Są lojalni wobec Kashina. I... i Tumelun.

Sposób, w jaki wypowiedział imię siostry, zdradzał wiele emocji.

– Ale *rukhin* i Darghanowie kiedyś byli tym samym ludem. Ścigaliśmy ruki na naszych rumakach, które zważ się Muniqi, aż po najgłębsze przepaście Gór Tavan.

Wskazał ogromne, dzikie szczyty, które zdawały się szarpać niebo na południowym wschodzie. Tu i ówdzie ich zbocza porastały lasy, a najwyższe wierzchołki pokrywał śnieg.

– A kiedy je udomowiliśmy, niektórzy z naszych przywódców uznali, że nie chcą już wracać na stepy.

– To z tego powodu macie tyle wspólnych tradycji – zauważyła Nesryn, spoglądając na przytroczoną do siodła *sulde*. Dojrzała też ziemię daleko w dole oraz suche trawy, kołyszące się z wiatrem niczym złociste morze, pocięte cieniutkimi, rozgałęziającymi się wstążkami rzek.

Pospiesznie odwróciła wzrok ku górom. Niby przyzwyczaiła się już do świadomości, jak mało dzieli ją od śmierci na grzbiecie ruka, ale wystarczyło, by o tym pomyślała, a znów ścisnęła ją w żołądku.

– Tak – rzekł Sartaq. – Z tego samego względu nasi jeźdźcy często wspierają Darghanów podczas wojny. Różnymi się stylami walki, ale na ogół potrafimy się porozumieć.

– Kawaleria ze wsparciem z powietrza – oznajmiła Nesryn, mając nadzieję, że z jej głosu nie przebija nadmierne zainteresowanie. – Walczyłeś kiedyś na wojnie?

Książę milczał przez chwilę, po czym rzekł:

– Nigdy dotąd nie uczestniczyłem w zmaganiach na tak wielką skalę jak te, które toczą się teraz na twoim kontynencie. Nasz ojciec głosi, że mieszkańcy wszystkich terytoriów pod jego władzą są świadomi tego, że lojalność jest wynagradzana. Opór i bunt zaś pociągają za sobą tylko śmierć.

Po plecach dziewczyny spłynął dreszcz.

– Dwukrotnie więc zostałem wysłany, by przybliżyć tę chłodną prawdę kilku niespokojnym krainom.

Nesryn czuła na sobie gorący oddech.

– Ponadto wiedz, że *rukhin* również są podzieleni na klany. Długo poznawałem prawdę o różniących ich prastarych poglądach i uczyłem się rozstrzygać spory między nimi.

Czuła, że nieraz musiał się uciekać do użycia siły, ale nie powiedział tego na głos. Miast tego rzekł:

– Jako członkini miejskiej straży zapewne również miałaś do czynienia z podobnymi problemami.

Nesryn parsknęła, słysząc jego słowa.

– Głównie wysyłano mnie na patrole. Jakiegokolwiek awanse należały do rzadkości.

– Zważywszy na to, z jaką biegłością władasz łukiem, pomyślałbym, że stałaś na czele całej straży.

Nesryn uśmiechnęła się.

„Czaruś – pomyślała. – Emanuje żelazną pewnością siebie, ale kiedy przyjdzie co do czego, okazuje się być bezwstydnym flirciarzem”.

W jego słowach kryło się jednak niewypowiedziane pytanie, na które Nesryn od zawsze znała odpowiedź.

– Adarlan nie jest aż tak... otwarty na kwestie awansu kobiet w straży czy w armii jak kaganat – przyznała. – Pomimo moich umiejętności to mężczyźni byli najczęściej awansowani, a mnie pozostały żmudne patrole na murach czy zatłoczonych ulicach. Światem podziemnym czy problemami arystokracji zajmowali się o wiele ważniejsi członkowie straży ode mnie, a co istotne tacy, których rodziny wywodziły się z Adarlanu.

Jej siostra wpadała w szal w każdej tego typu sytuacji, ale Nesryn wiedziała, że gdyby wybuchła gniewem w przytomności przełożonego, gdyby zarzuciła mu cokolwiek... Oficerowie straży należeli do ludzi, którzy uważali, że powinna być wdzięczna za samo przyjęcie do ich grona. Kazaliby jej zwrócić miecz i mundur. Uznała więc, że lepiej pogodzić się z losem i robić to, co do niej należało, tym bardziej że nie było wielu takich strażników jak ona. Takich, których nie interesowała wypłata, a po prostu chcieli pomagać tym, którzy tej pomocy potrzebowali najbardziej. Dla nich pozostała na służbie. Dla nich pokornie pochylała głowę, gdy strażnicy gorsi od niej otrzymywali awans.

– Ach – odezwał się książę po kolejnej dłuższej chwili milczenia. – Słyszałem, że nie są wcale tak otwarci i serdeczni wobec ludzi z innych stron świata.

– Łagodnie powiedziane.

Słowa zabrzmiały chłodniej, niż myślała. Tak było. A mimo to właśnie tam jej ojciec chciał mieszkać, sądząc, że północ zaoferuje im lepsze życie. Pozostał tam, nawet gdy Adarlan rozpoczął kampanie mające na celu podporządkowanie reszty kontynentu, choć matka próbowała wpłynąć na niego i skłonić, by zmienił zdanie. Do końca chciała, by wrócił do Antiki, miasta, gdzie pozostawiła swe serce. Nesryn nie znała powodów, dla których ojciec chciał zostać – być może kierował nim upór, a być może nie życzył sobie, by ktoś znów skądś go wygnał – ale postawił na swoim.

Nesryn usiłowała go za to nie winić. Naprawdę próbowała. Czasami ogarniał ją gniew, który próbowała w sobie stłumić. Siostra nie potrafiła jej zrozumieć. Nie, Delara zawsze kochała Rifthold. Uwielbiała miejski zgiełk i każdego dnia robiła wszystko, by zjednać do siebie jego zaciętych, sztywnych mieszkańców. Nic dziwnego, że poślubiła mężczyznę, który urodził się w Rifthold i tam wychował. Jej siostra stała się prawdziwym dzieckiem Adarlanu, a przynajmniej tego Adarlanu, jakim kiedyś był i mógł się stać ponownie.

Kadara pochwyciła szybki wiatr i popłynęła na jego podmuchach. Świat przemykał pod nimi szybko, szczegóły się rozmywały, a potężne góry rosły w oczach.

– Czy byłaś kiedykolwiek... – zaczął cicho Sartaq.

– Nie ma o czym rozmawiać. – Tym bardziej że czasami nadal czuła ów kamień, trafiający w jej czaszkę. Tym bardziej że nadal słyszała wyzwiska tamtych dzieciaków. Przełknęła ślinę i dodała: – Wasza Wysokość.

Usłyszała cichy śmiech.

– Och, a więc mój tytuł znów powrócił? – zażartował Sartaq, ale zrezygnował z dalszych pytań. Dodał tylko: – Miałem zamiar cię jedynie prosić, byś nie nazywała mnie księciem ani nie używała mego tytułu wśród jeźdźców.

– Miałeś zamiar czy właśnie prosisz?

Zacisnął mocniej ramiona wokół niej, jakby udawał, że jej grozi.

– Minęło wiele lat, zanim przestali mnie pytać, czy mają mi przynieść jedwabne pantofle albo czy życzę sobie, by służący wyszczotkował mi włosy.

Nesryn zachichotała.

– Wśród nich jestem po prostu Sartaqiem. Lub kapitanem.

– Kapitanem?

– Wygląda na to, że łączy nas jeszcze to jedno.

„Bezwstydnym flirciarzem, bez dwóch zdań”.

– Ale przecież rządysz wszystkimi sześcioma klanami. Wszyscy jeźdźcy są tobie posłuszni.

– To prawda, a gdy zbierają się wszyscy przywódcy, na powrót staję się księciem. Ale w rodzinnym klanie – Eridun – jestem jedynie kapitanem, który dowodzi jego siłami. Co więcej, słucham poleceń Matki Przy Palenisku. – Znów ją uściśnął dla podkreślenia wagi swych słów. – Tobie też to radzę, chyba że chcesz zostać rozebrana do naga i przywiązana do skalnej ściany w samym środku burzy.

– Na bogów...

– Trafnie to ujęłaś.

– Czy ona kiedyś już...

– Tak. I jak sama to ujęłaś, nie ma o czym rozmawiać.

Nesryn znów zachichotała. Z zaskoczeniem skonstatowała, że rozboleły ją mięśnie twarzy – od dawna bowiem nie śmiała się już tak często jak przez ostatnich kilka minut.

– Dziękuję za ostrzeżenie, kapitanie.

Góry Tavan okazały się nieprawdopodobnie wprost wielkie. Nesryn miała wrażenie, że zbliżają się do ogromnego muru z ciemnoszarego kamienia, wyższego od jakichkolwiek gór, które widziała na północy.

„Choć w sumie z bliska wielu ich nie widziałam” – pomyślała.

Jej rodzina rzadko wyprawiała się w głąb Adarlanu bądź do sąsiednich królestw, głównie dlatego, że jej ojciec był bardzo zajęty człowiekiem, ale też dlatego, że ludzie zamieszkujący prowincję nie przepadali za obcymi. Nie pomagało nawet to, że ich dzieci urodziły się na adarlańskiej ziemi z adarlańskiej matki. Ba, bywało wręcz, że to irytowało ich jeszcze bardziej. Nesryn modliła się tylko, by *rukhin* okazali się bardziej otwarci.

\*\*\*

Jej ojciec nieraz opowiadał jej o osadach *rukhin*, ale w żadnej z historii nie było wzmianki o tym, że ich wzniesienie na zboczach i trzech szczytach w samym sercu Gór Tavan graniczyło wręcz z cudem. Nie było to zbiorowisko wielkich namiotów typowych dla klanów konnych wojowników na stepach. Nie, gniazdownisko Eridun zostało po prostu wykute w skale. Przodkowie żyjących tu teraz ludzi pracowicie, z uporem ryli korytarze, izby i sale w głębi gór, niejednokrotnie zaczynając w miejscach, gdzie kiedyś gnieździły się ruki. Niektóre z ich gniazd przetrwały nietknięte, zazwyczaj obok domostwa jeźdźcy i jego rodziny, by ogromny ptak mógł zostać błyskawicznie wezwany. Na ogół wystarczało gwizdnięcie, ale można też było wspiąć się do niego po niezliczonych drabinkach przymocowanych do kamieni. Dzięki nim mieszkańcy mogli bez trudu przemieszczać się między poszczególnymi domostwami i jaskiniami. Ich potrzebom służyły też liczne schody, używane głównie przez starsze osoby oraz dzieci.

Każde z domostw dysponowało szerokim wejściem, w którym mógł wylądować ruk, a komnaty mieszkalne wykuto w głębi jaskiń. Tu i ówdzie skalna ściana poznaczona była plamkami okien, co zdradzało, że za nią znajdowały się ukryte komnaty. W ten sposób doprowadzano również do mieszkań świeże powietrze.

To ostatnie nie było jednakże dla klanu Eridun żadnym problemem. Wiatr był niczym rzeka wijąca się między trzema szczytami, zamieszkanymi przez klan Sartaqa, a w jej niewidzialnym nurcie unosiło się mnóstwo ruków najrozmaitszych rozmiarów, które były powietrze skrzydłami bądź nurkowały w dół.

Nesryn próbowała zliczyć domostwa wykute w zboczach, ale szybko straciła rachubę. Uznała,

że zapewne jest tu ich wiele setek, a kolejne znajdują się w głębi samych gór.

– To... to tylko jeden klan? – odezwała się po raz pierwszy od wielu godzin.

Kadara wzniosła się ku szczytowi, który znajdował się w samym centrum. Nesryn odchyliła się w siodle i przywarła do stabilnego, ciepłego ciała Sartaqa, który pochylił się do przodu, przytrzymując ją. Przez cały czas otaczał ją swymi biodrami, a Nesryn czuła ruchy jego mięśni, gdy utrzymywał równowagę za pomocą strzemion.

– Eridun to jeden z największych klanów, a przy tym najstarszy, jeśli wierzyć opowieściom.

– A sam w nie nie wierzysz?

Otoczające ich gniazdownisko w istocie wyglądało, jakby trwało tu od niepamiętnych czasów.

– Każdy z klanów utrzymuje, że jest najstarszym i pierwszym wśród jeźdźców – oznajmił Sartaq i wybuchnął śmiechem. Wesołość księcia przeszła jej ciało. – Podczas Zgromadzenia nie mówi się o niczym innym. Z dwojga złego lepiej zakpić z żony jeźdźca, niż wypomnieć mu, że jego klan wcale nie jest najstarszy.

Nesryn uśmiechnęła się, choć jednocześnie zamknęła oczy. Nie chciała widzieć przepaści, która otworzyła się za jej plecami. Kadara zaś śmigała bez lęku prosto ku najszerszemu nawisowi, pod którym widniała ogromna pieczara.

„Istna weranda” – pomyślała dziewczyna.

Pod gigantycznym łukiem skalnym zgromadził się już tłum ludzi, którzy unosili ręce na powitanie. Nesryn poczuła uśmiech Sartaqa przy uchu.

– Oto Górską Hala Altun, dom mojej Matki Przy Palenisku i mej rodziny – oznajmił.

Nazwę „Altun” tłumaczyło się mniej więcej jako „Przystań Wiatrów”. Wejście do jaskini w istocie wydawało się o wiele większe od innych podobnych na pozostałych szczytach, określanych wspólną nazwą Dorgos bądź Trzech Śpiewaków. Liczyło sobie na oko przynajmniej dwanaście metrów wysokości i trzy razy tyle szerokości. W głębi Nesryn widziała kolumny oraz coś, co rzeczywiście przypominało wielką halę.

– To sala przyjęć – wyjaśnił Sartaq. – To tam odbywają się nasze święta i narady.

Otoczył ją mocniej ramionami, gdy Kadara zatrzepotała skrzydłami i wyrównała lot. Nesryn wiedziała, że jeśli wyląduje z zamkniętymi oczami, z pewnością nie wzbudzi zachwyty oczekujących ją ludzi, ale...

Jedną ręką złapała łęk siodła, a drugą zacisnęła na kolanie Sartaqa, mocno, bardzo mocno. Bała się, że pozostawi mu siniaki. Księżę zaśmiał się cicho.

– A więc owiana legendami łuczniczka ma jednak słabości?

– Daj mi chwilę, a rozgryzę twoje – odcięła się Nesryn, co wywołało tylko kolejny śmiech Sartaqa.

Na szczęście ręk okazał litość i wylądował miękko na wypolerowanym, ciemnym kamieniu gigantycznego balkonu. Oczekujący na Sartaqa ludzie zasłonili twarze przed podmuchami, wywołanymi przez ogromne skrzydła ptaka.

Kadara w końcu ułożyła skrzydła wzdłuż tułowia, a Nesryn wyprostowała się i rozluźniła swój miażdżący uchwyt na łęku siodła i kolanie księcia. Jej wzrok powędrował w głąb jaskini, gdzie ujrzała halę z rzędami drewnianych, pięknie rzeźbionych słupów. Ogień płonący w żelaznych koszach rzucał naokoło złocisty blask i wydobywał z mroku czerwoną i zieloną farbę, którą pomalowano słupy, oraz grube dywany pokryte śmiałymi wzorami, zasłaniające większą część kamiennej podłogi. Z mebli znajdował się tam jedynie okrągły stół, a pod jedną ze ścian – niewielkie podwyższenie.

Dalej, gdzie ciemności rozpraszały już tylko pochodnie tkwiące w uchwytach na ścianie, rozpoczął się korytarz wiodący w głąb góry. Z obu stron ciągnęły się szeregi drzwi.

W samym centrum Górskiej Hali Altun było jednak jej serce – wielki ogień.

Dół, w który go rozpalono, został wykuty w kamiennej podłodze. Był tak wielki i głęboki, że w głąb prowadziły pierścienie schodów. Przypominał niewielki amfiteatr, w którym rozrywki dostarczała nie scena z aktorami, ale sam ogień. Palenisko.

W istocie była to siedziba godna Skrzydlatego Księcia.



Nesryn wyprostowała się, gdy zewsząd ruszyli ku nim oczekujący, zarówno młodzi, jak i starzy, a wszyscy szeroko uśmiechnięci. Niektórzy mieli na sobie znajome jej skórzane stroje do lotu, a inni przepiękne, kolorowe wełniane płaszcze, które opadały im do kolan. Niemalże wszędzie widziała jedwabiste, onyksowe włosy jak u Sartaqa oraz ogorzałą od wiatru, złotobrazową skórę.

– Proszę, proszę! – oznajmiła przeciągle młoda kobieta w fioletowo-rubinowym płaszczu, stukając butem o kamienną podłogę.

Nesryn z niemałym trudem zniosła jej przeciągle, badawcze spojrzenie. Identyczne warkocze, przewiązane czerwonymi rzemykami, opadały poniżej piersi nieznajomej. Odrzuciła jeden z nich za ramię i oznajmiła:

– Spójrzcie tylko, kto postanowił zrezygnować z futrzanych mufek i kąpieli z olejkami i wreszcie nas odwiedzić!

Nesryn narzuciła sobie spokój, a Sartaq rzucił wodze Kadary i zerknął na nią.

„A nie mówiłem?” – odczytała w jego spojrzeniu.

– Nie zgrywaj się, Borte. Wiem, że nie przestajesz marzyć o tym, bym ci przywiózł kolejne jedwabne pantofelki! – zwrócił się do dziewczyny.

Nesryn przygryzła wargę, by zamaskować uśmiech, ale inni bynajmniej się nie krępowali i od ciemnych, skalnych ścian odbiły się liczne śmiechy.

Borte założyła ramiona na piersi.

– Przypuszczam, że dobrze wiesz, gdzie kupić najlepsze. Trudno o lepszego znawcę.

Sartaq zaśmiał się szczerze i wesoło. Nesryn z trudem opanowała zdziwienie. W pałacu nie roześmiał się ani razu.

Zresztą kiedy ona sama po raz ostatni wybuchła serdecznym śmiechem? Nawet w towarzystwie cioci i wuja śmiała się oszczędnie, skąpo, jakby niewidzialna dłoń trzymała ją za szyję. Pewnie miało to miejsce dawno, dawno temu, gdy służyła w straży miejskiej i nie miała pojęcia, co pełza w kanałach pod Rifthold.

Sartaq zwinnie zsunął się z pleców ruka i podał Nesryn dłoń. Dopiero wtedy pierwsi ze zgromadzonych zauważyli jej obecność i zaczęli się jej przyglądać. Nikt nie miał jednak tak przenikliwego wzroku jak Borte.

Nieznajoma dziewczyna wręcz przeszywała ją spojrzeniem. Widziała skórzany strój jeźdźca, ale ponadto nic, co podkreślałoby jej związek z klanem.

Nesryn nieraz czuła na sobie taksujące spojrzenie obcej osoby i nie było to dla niej nowością. Nawet teraz, gdy znalazła się przed wejściem do złocistej hali Altun, w samym środku tłumy *rukhin*.

Ignorując dłoń Sartaqa, uniosła zeszywniałą nogę i z niemałym trudem przerzuciła ją nad siodłem, by samodzielnie zsunąć się z grzbietu Kadary. Pomimo odrętwiałych kolan zdołała wylądować lekko i zwinnie, a do tego powstrzymała przemożną chęć, by dotknąć włosów, które pomimo krótkiego warkocza na pewno przypominały teraz szczurze gniazdo.

W oczach Borte błysnęła aprobata. Zadarła podbródek i oznajmiła:

– Kobieta z Balruhn w stroju *rukhina*. To ci dopiero.

Sartaq nic nie odpowiedział, a jedynie zerknął na Nesryn, która zrozumiała, że było to zarówno wyzwanie, jak i zaproszenie.

Wsunęła więc dłonie do kieszeni swych obcisłych spodni i zrobiła kilka kroków, by stanąć u boku księcia.

– Czy będziesz miała o mnie lepsze zdanie, gdy ci wyznam, że przyłapałam dziś rano Sartaqa na pielęgnowaniu paznokci?

Borte wbiła wzrok w Nesryn i zamrugała, a potem odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła głośnym śmiechem. W spojrzeniu, którym księżę obrzucił łuczniczkę, była zarówno aprobata, jak i udręka.

– Poznaj moją Siostrę Przy Palenisku, Borte, wnuczkę i dziedziczkę mej Matki Przy Palenisku, Houlun.

Wyciągnął rękę i złapał Borte za jeden z warkoczy. Ta pacnęła go w dłoń.

– Borte, oto kapitan Nesryn Faliq – oznajmił, po czym nabrał tchu i dodał: – Z Gwardii

Królewskiej Adarlanu.

Zapadła cisza. Borte uniosła wysoko ciemne brwi, a wtedy przez grono *rukhin* przecisnął się starszy mężczyzna.

– Nie wiem, co dziwniejsze. To, że kobieta z Balruhn została u nich kapitanem, czy może to, że kapitan z Adarlanu dotarł aż tu?

Borte machnęła lekceważąco dłonią.

– Zawsze gadasz po próżnicy i zadajesz bezsensowne pytania! – zbesztła mężczyznę, a ten, ku wielkiemu zdumieniu Nesryn, skrzywił się i zamknął usta.

– Prawdziwe pytanie brzmi – Borte uśmiechnęła się przebiegle do Sartaq – czy przybywa tu jako emisariuszka, czy może panna młoda?

Nesryn rozdziawiła usta, całkiem zapominając o tym, że jeszcze przed chwilą chciała udawać niewzruszoną i spokojną.

– Borte! – warknął Sartaq.

– Sartaq nigdy nie przywozi do domu pięknych panien, obojętnie z Antiki czy z Adarlanu. Uważaj na siebie, gdy znajdziesz się blisko skraju przepaści, kapitan Faliq. Niektóre z miejscowych mogą chcieć cię zepchnąć!

– Dołączysz do nich? – spytała Nesryn. Mówiła spokojnym głosem, choć na jej policzkach płonął rumieniec.

– Pewnie nie. – Borte się skrzywiła.

Niektórzy z zebranych wybuchnęli śmiechem.

– Borte to moja Siostra Przy Palenisku – wyjaśnił Sartaq, prowadząc Nesryn ku krzesłom z niskimi oparciami, ustawionymi przy krawędzi wielkiego krateru z ogniem. – A więc uważam ją za członka rodziny. Za prawdziwą siostrę.

Diabelski uśmiech Borte znikł, gdy zrównała się z Sartaqiem.

– Co słyszać w rodzinie? – spytała.

– Wszyscy zajęci – odparł z nieprzeniknioną miną. Jedyne w jego ciemnych oczach zamigotał jakiś ognik.

Nie powiedział nic więcej, ale mimo to Borte pokiwała głową, jakby dobrze znała jego nastawienie i nastroje. Milczała, gdy księżę prowadził Nesryn do rzeźbionego, malowanego krzesła. Gorąco bijące z ogromnego paleniska było wprost cudowne i łuczniczka z trudem powstrzymała jęk rozkoszy, gdy wyciągnęła ku niemu przemarznięte stopy.

– Sartaq, a nie mogłeś podarować swej gołąbeczce jakichś porządnych butów? – syknęła Borte.

Księżę odpowiedział jej ostrzegawczym warknięciem, ale Nesryn, marszcząc brwi, spojrzała na swe smukłe, skórzane buty. Nigdy w życiu nie ośmieliłaby się kupić sobie czegoś równie drogiego, ale Dorian Havilliard nalegał. „To część munduru” – powiedział i mrugnął do niej porozumiewawczo.

Nesryn zadała sobie w myślach pytanie, czy nadal uśmiecha się tak chętnie i wydaje pieniądze równie hojnie, gdziekolwiek się nie znalazł.

Spojrzała na buty Borte, również skórzane, ale mocniejsze, wyłożone grubym barankiem. O wiele lepiej nadawały się na takie wysokości.

– Jestem przekonany, że wygrzebiesz dla niej jakąś parę, co? – odparł Sartaq.

Nesryn obróciła głowę i ujrzała, że oboje odchodzą ku oczekującej Kadarze. Ludzie znów otoczyli księcia i rozmawiali o czymś, ale zbyt cicho, by Nesryn mogła ich usłyszeć. Księżę odpowiadał jednak z beztróskim uśmiechem i nie przestając mówić, zdejmował juki z grzbietu Kadary, podając je najbliższemu osobom. Potem zabrał się za ściąganie siodła.

Pogłaskał złocistego ruka po karku, a potem wymierzył mu mocnego klapsa w bok. Kadara zatrzepotała skrzydłami i wystrzeliła w powietrze.

Nesryn zastanawiała się, czy nie podejść do nich i nie zaproponować pomocy przy noszeniu bagaży ściągniętych z grzbietu ptaka, ale ciepło bijące od ognia, pnące się coraz wyżej po jej ciele, zaczynało ją obezwładniać. Nie miała siły wstać.

Sartaq i Borte znów się pojawili, a inni się rozeszli. Nesryn zauważyła mężczyznę siedzącego

przy koszu z ogniem po drugiej stronie hali. Siedział na krześle obok niewielkiego, drewnianego stolika, na którym stało naczynie z parującą zawartością. Trzymał na kolanach rozwinięty zwój, ale wpatrywał się w nią.

Nesryn rejestrowała kolejne szczegóły. Miał ciemną, opaloną skórę, ale widać było, że nie pochodzi z Południowego Kontynentu. W przeciwieństwie do jeźdźców, którzy preferowali długie warkocze, miał krótko przycięte, brązowe włosy, a jego strój przypominał raczej spodnie i kurtki noszone w Adarlanie. U pasa miał jedynie sztylet, a choć był barczystym, sprawnym fizycznie mężczyzną, nie znać było po nim niezachwianej pewności siebie i zawadiackości typowej dla wojownika. Nie ukończył jeszcze pięćdziesięciu lat, ale wokół oczu, zmrużonych przed wiatrem i słońcem, rozbiegały się jasne zmarszczki.

Borte oprowadziła Sartaqą wokół ogromnego paleniska. Przeszli między licznymi kolumnami i podeszli do mężczyzny ze zwojem, który na ich widok podniósł się i złożył im ukłon. Był mniej więcej tego samego wzrostu co książę i choć na zewnątrz wył wiatr, a w środku trzaskały płomienie, Nesryn dosłyszała, że halha nie jest jego ojczystym językiem.

– To wielki zaszczyt, książę – rzekł.

Borte parsknęła. Sartaq skinął mu lekko i odezwał się w mowie używanej na północy:

– Dowiedziałem się, że od kilku tygodni gościsz u naszej Matki Przy Palenisku.

– Tak. Okazała mi wielką życzliwość i zgodziła się mnie przyjąć.

Nesryn miała wrażenie, że przeszedł na ojczysty język z lekką ulgą. Potem zerknął na nią, a łuczniczka nawet nie udawała, że się nie przysłuchuje.

– Wydaje mi się, że słyszałem, jak ktoś coś mówi o kapitan Gwardii Adarlanu.

– Tak. Kapitan Faliq stoi na czele Gwardii Królewskiej.

Mężczyzna, nie odrywając od niej wzroku, bąknął pod nosem:

– To ci dopiero.

„Proszę bardzo – pomyślała Nesryn, odpowiadając mu spojrzeniem. – Gap się, ile chcesz”.

– A ty jak się nazywasz? – spytał ostro Sartaq.

Mężczyzna oderwał spojrzenie od wojowniczkę i przeniósł je na księcia.

– Falkan Ennar.

– To kupiec – wyjaśniła Borte w halha.

„Ale skoro przybył z północy...” – pomyślała Nesryn i wstała. Podeszła do nich niemalże bezszelestnie. Przybysz nie przestawał się jej przyglądać, przez co łuczniczka dołożyła wszelkich starań, by jej kroki w istocie były jak najcichsze. By zrozumiał, że gracja, z jaką się porusza, to nie atrybut kobiecości, ale efekt szkolenia, dzięki czemu potrafi się niespostrzeżenie zbliżyć do każdego.

Falkan zeszytniał, gdy wreszcie to sobie uświadomił. Zrozumiał też, że sztylet u jego boku na niewiele mu się przyda w starciu z tą kobietą, o ile oczywiście okaże się na tyle głupi, by po niego sięgnąć.

Dobrze. Czyli był mądrzejszy od wielu, wielu mężczyzn w Rifthold. Nesryn zatrzymała się w bezpiecznej odległości od niego i zapytała:

– Czy masz jakieś wieści?

Z bliska uświadomiła sobie, że jego oczy, które przed chwilą wydawały się brązowe, są ciemnoszafirowe. Za młodu musiał być przystojnym człowiekiem.

– Jakie wieści?

– O Adarlanie. Jakiegokolwiek wieści!

Falkan nawet nie drgnął, nie zdradził też żadnych emocji, co pewnie nieraz przychodziło mu z pomocą podczas zaciętych negocjacji.

– Naprawdę żałuję, ale nie mogę podzielić się niczym nowym, pani kapitan. Od dwóch lat przebywam na Południowym Kontynencie. Przypuszczalnie wiesz o wiele więcej ode mnie.

W jego słowach kryła się subtelna prośba, której Nesryn nie miała najmniejszej ochoty spełnić. Nie była gotowa rozmawiać o sprawach królestwa przy wszystkich. Wzruszyła więc ramionami i odwróciła się ku olbrzymiemu ognisku.

– Nim opuściłem Północny Kontynent – odezwał się stojący za nią Falkan – kapitanem Gwardii był młody mężczyzna o nazwisku Westfall. Zastąpiłaś go?

„Ostrożnie!” – Nesryn napomniała się w myślach.

Musiała uważnie dobrać słowa, by nie zdradzić zbyt wiele zarówno jemu, jak i wszystkim innym.

– Lord Westfall pełni teraz funkcję namiestnika króla Doriana Havilliarda.

Przez twarz kupca przemknęło zaskoczenie. Zauważyła każdy tik i odczytała je prawidłowo. Nie było w tym radości ani ulgi, ale nie dostrzegła też gniewu. Tylko i wyłącznie zdziwienie. Szczere i bezgraniczne.

– Dorian Havilliard zasiadł na tronie? – wyjąkał, a widząc uniesione wysoko brwi Nesryn, wyjaśnił: – Od kilku miesięcy przebywam w dziczy, a wieści nie rozprzestrzeniają się po niej szybko ani też nie docierają często.

– Dziwne miejsce na sprzedaż towarów – mruknął Sartaq.

Nesryn była gotowa się z nim zgodzić, ale Falkan jedynie obdarzył księcia powściągliwym uśmiechem.

„Człowiek pełen tajemnic” – uzmysłowiła sobie Nesryn.

– Macie za sobą długą podróż – wtrąciła Borte, po czym wsunęła rękę pod ramię Nesryn i obróciła ją ku ciemnemu korytarzowi. – Kapitan Faliq musi odpocząć. I wykapać się.

Nesryn nie wiedziała, czy ma podziękować młodej kobiecie, czy też mieć do niej pretensje o to, że przerwała ich rozmowę, ale... W istocie, burczało jej w brzuchu i minęło już sporo czasu, odkąd wzięła ostatnią kąpiel.

Sartaq i Falkan nawet nie próbowali ich zatrzymać, a po odejściu Borte i Nesryn podjęli rozmowę przyciszonymi głosami.

Siostra Przy Palenisku księcia poprowadziła zaś łuczniczkę korytarzem wiodącym w głąb góry. Mijały szeregi drzwi, za którymi kryły się sypialnie, a nawet niewielka biblioteka.

– To dziwny człowiek – odezwała się Borte w halha. – Moja babka nie chce nam powiedzieć, dlaczego tu przybył ani czego szuka.

– Może to naprawdę handlarz? – Nesryn uniosła brew.

Borte pokręciła głową i otworzyła drzwi mniej więcej w połowie korytarza. Oczom wojowniczkę ukazała się niewielka komnata z wąskim łóżkiem pod jedną ścianą oraz kufrem i krzesłem pod drugą. Naprzeciwko drzwi znajdowała się umywalka oraz dzban, a także sterta ubrań.

– Nie mamy niczego na sprzedaż. Zresztą zazwyczaj sami jesteśmy kupcami. Transportujemy towary po całym kontynencie. Nasz klan raczej się tym nie zajmuje, ale inne... Cóż, ich gniazdowiska są pełne skarbów ze wszystkich krain. – Kopnęła lekko rozklekotane łóżko i dodała, marszcząc brwi: – Nie takich jak ten rupieć.

Nesryn zachichotała.

– A więc może chciałby pomóc wam się wzbogacić?

Borte odwróciła się, jej warkocze śmignęły.

– Nie. Nie spotyka się z nikim ani też nie wydaje się tym zainteresowany – powiedziała i wzruszyła ramionami. – Nie, żebyśmy się tym szczególnie przejmowali. Przeszkadza mi tylko to, że on tu jest.

Nesryn przemyślała jej słowa. Falkan niezbyt pasował jej na szpiega Morath, ale z drugiej strony, kto mógł wiedzieć, jak daleko sięgało ramię Erawana? Skoro dotarł do Antiki, mógł równie dobrze spenetrować wnętrze kontynentu. Musiała mieć się na baczności. Sartaq bez wątpienia miał już oczy i uszy szeroko otwarte.

Borte owinęła koniec warkocza wokół palca.

– Widziałam, jak mierzysz go wzrokiem. Też ci się nie wydaje, że przywiodły go tu interesy, co?

Nesryn rozważyła korzyści, jakie płyną z powiedzenia prawdy, ale doszła do wniosku, że to dobre rozwiązanie.

– Nastąpiły dziwne czasy dla nas wszystkich. Nauczyłam się już, by nie wierzyć ludziom na słowo.

Wyglądem też mnie nikt nie przekona.

Borte opuściła warkocz.

– Nic dziwnego, że Sartaq zabrał cię ze sobą w drodze do domu. Mówisz tak jak on.

Nesryn powstrzymała uśmiech. Nie zdradziła, że dla niej podobne słowa brzmią jak komplement.

Borte parsknęła i zamaszystym gestem pokazała raz jeszcze komnatę.

– Nie mamy tu takich wygod jak w pałacu kagana, ale lepsze to niż gówniane derki Sartaqa.

– Każde łóżko jest od nich lepsze. – Nesryn się uśmiechnęła.

– A co do kąpeli to nie żartowałam – dodała Borte, krzywiąc się. – Naprawdę jej potrzebujesz.

I grzebienia.

Wojowniczką dotknęła w końcu włosów i zakłęła. Były tak potargane, że nie wyczuwała nic poza strąkami. Samo rozplecenie warkocza zapowiadało się jako koszmarnie wyzwanie.

– Nawet Sartaq lepiej sobie radzi z zaplataniem warkoczy – zadrwiła Borte, a łuczniczka westchnęła ciężko.

– Moja siostra robiła, co mogła, ale mimo jej najszczerzych chęci kiepsko sobie z takimi rzeczami radzę. – Mrugnęła do rozmówczynie i dodała: – A czemu niby twoim zdaniem nie zapuszczam włosów?

W rzeczy samej, jej siostra niemal zemdląła, gdy Nesryn, mająca wówczas piętnaście lat, przysła pewnego popołudnia do domu z włosami obciętymi do wysokości obojczyka. Od tego czasu zawsze pilnowała tej długości, częściowo po to, by rozżościć Delarę, która nadal nie mogła się z tym pogodzić, a po części dlatego, że z taką fryzurą łatwiej jej było sobie poradzić. Władanie mieczem czy strzelanie z łuku nie stanowiło dla niej żadnego problemu, ale układanie włosów... Nie, w tym była beznadziejna. Zresztą, paradowanie po koszarach straży w stylowej fryzurze nie zostałoby dobrze przyjęte.

Borte skinęła jedynie zdawkowo głową, jakby zdawała sobie z tego sprawę.

– Nim ponownie wzbijesz się w niebiosa, zaplotę ci włosy jak należy.

Potem wyszła na korytarz i pokazała Nesryn niknące w półmroku, wąskie schody na jego końcu.

– Tędy dojdziemy do łaźni. Chodź.

Nesryn powąchała własną skórę i aż się wzdrygnęła.

– Och, ależ to paskudne.

– Aż się dziwię, że Sartaqowi nie łzawiły oczy! – Borte zachichotała.

Nesryn, również rozbawiona, udała się w ślad za nią w nadziei, że zaraz ujrzy spowity parą basen z gorącą wodą. Chwilę później znów poczuła na sobie przenikliwy, badawczy wzrok Borte.

– Co znowu? – spytała.

– Dorastałaś w Adarlanie, nieprawdaż?

Nesryn zastanowiła się nad pytaniem.

„Po co o to pyta?” – pomyślała.

– Tak – odparła. – Urodziłam się i wychowałam w Rifthold, choć rodzina mego ojca pochodzi z Antiki.

Borte milczała przez chwilę, ale gdy dotarły do wąskiej klatki schodowej i zaczęły schodzić w półmrok, spojrzała na przybyszkę przez ramię i uśmiechnęła się do niej.

– A więc witaj w domu.

Nesryn zadała sobie w myślach pytanie, czy kiedykolwiek usłyszała coś równie pięknego.

\*\*\*

Łaźnie okazały się wielkimi kadziami ze starej miedzi, które napełniano wodą z czajników, ale Nesryn nie miała nic przeciwko. Godzinę później, gdy jej włosy zostały wreszcie rozplątane i rozczesane, siedziała już przy wielkim, okrągłym stole w ogromnej hali i pałaszowała mięso królika. Miała na sobie grube, ciepłe ubrane, które otrzymała od Borte. Błyski fioletowego i żonkilowego haftu na rękawach przykuwały jej uwagę równie mocno co tace pełne smażonego mięsiwa przed nią. To były piękne ubrania, uszyte z wielu warstw i świetnie chroniące przed chłodem, który przenikał z korytarza, nawet pomimo wielkiego ogniska. W stopy również było jej ciepło, bo Borte znalazła dla niej parę wyłożonych

futrem butów.

Sartaq siedział przy stole obok niej. Podobnie jak ona nie odzywał się ani słowem i pałaszował z równie wielkim entuzjazmem. Sam musiał się jeszcze wykąpać, ale jego zmierzwione od wiatru włosy zostały ponownie zaplecione i długi warkocz opadał teraz w dół jego muskularnych pleców.

Jej żołądek zaczął się wypełniać i Nesryn zwolniła nieco tempo jedzenia. Zerknęła na księcia i ujrzała lekki uśmiech na jego twarzy.

– Lepsze niż winogrona i solona wieprzowina?

W odpowiedzi wojownicza wskazała ruchem podbródka kości zalegające na jej talerzu, a potem tłuszcz na jej palcach.

„Czy tu wolno wylizywać palce? – zastanawiała się. – Naprawdę dobrze to przyprawiono!”

– Mojej Matki Przy Palenisku nie ma w domu – odezwał się Sartaq. Jego uśmiech przygasł.

Nesryn przerwała jedzenie. Przecież przybyli tu, by zasięgnąć jej rady...

– Borte twierdzi, że wróci jutro bądź pojutrze.

Czekała w milczeniu na kolejne informacje, wiedząc z doświadczenia, że cisza potrafi być równie wymowna jak same pytania. Sartaq odsunął swój talerz i skrzyżował ramiona.

– Jestem świadom tego, że nie masz czasu. Gdybym mógł, sam wyruszyłbym na poszukiwania, ale nawet Borte nie jest pewna, dokąd się udała. Houlun jest... Ona jest niepowstrzymana. Ledwie ujrzy, jak kita przy jej *sulde* kołysze się na wietrze, a wskakuje na swego ruka i gna na łowy. I dzieli drzewcem każdego, kto będzie chciał ją zatrzymać.

Ruchem podbródka wskazał stojak z włóczniami przy wylocie jaskini. Jego *sulde* znajdowała się wśród nich.

– Mam wrażenie, że to ciekawa kobieta. – Nesryn uśmiechnęła się.

– I to jeszcze jak. Czasem sobie myślę, że bliżej mi do niej niż... – Sartaq urwał i pokręcił głową.

„Niż do mojej własnej matki” – Nesryn dokończyła za niego w myślach.

W istocie, nie widziała, by wobec własnego rodzeństwa księżę pozwalał sobie na taką otwartość jak z Borte. Nie słyszała też, by tyle z nimi żartował.

– Mogę zaczekać – powiedziała w końcu, powstrzymując grymas. – Lord Westfall wszak potrzebuje czasu, by w pełni dojść do siebie, a ja poinformowałam go, że nie będzie mnie przez trzy tygodnie. Mogę zaczekać dzień czy dwa.

„I ani chwili dłużej, na litość boską” – dodała w myślach.

Sartaq pokiwał głową i postukał palcem w sędziwy stół.

– A więc dzisiaj odpoczywamy, a jutro... – Przez jego usta znów przemknął cień uśmiechu. – Co powiesz na wycieczkę?

– Byłby to dla mnie zaszczyt.

Uśmiech Sartaqa stał się jeszcze szerszy.

– Może poćwiczymy również strzelanie z łuku?

Spoglądał na nią ze szczerością tak wielką, że Nesryn zaczęła mimowolnie wiercić się na krześle.

– Mam wielką ochotę zmierzyć się ze Strzałą Neith i jestem przekonany, że nasi młodzi wojownicy również się do tego palą.

Nesryn odsunęła własny talerz i uniosła brwi.

– Słyszeli o mnie?

Sartaq rozpromienił się.

– Cóż, niewykluczone, że podczas mojej ostatniej wizyty opowiedziałem im jedną historyjkę czy dwie. A jak myślisz, czemu aż tylu ludzi zebrało się, by nas powitać? Z całą pewnością mogę rzec, że rzadko kiedy fatygują się, gdy przylatuję ze stolicy.

– Ale Borte zachowywała się, jakby nigdy...

– Pewnie sama już zauważyłaś, że Borte lubi się trochę poznać, prawda?

Nesryn poczuła ciepło w głębi serca.

– Tak. Ale skąd wiedzieli, że przybywam wraz z tobą?

Krzywy uśmiech, który pojawił się na obliczu Sartaqa, idealnie uzupełniał powszechnie

wyobrażenie o książęcej arogancji.

– Bo dzień wcześniej wysłałem posłańca z wieścią, że przypuszczalnie do mnie dołączysz.

Nesryn rozdziawiła usta, całkiem zapominając o swej masce opanowania. Sartaq podniósł się i zebrał talerze.

– Powiedziałem ci, że modliłem się, byś się zgodziła, Nesryn Faliq. Gdybym pojawił się sam, Borte dopiero dałaby mi wycisk.

Nesryn obudziła się w swej komnacie we wnętrzu góry. Nie miała pojęcia, jak długo spała i która była godzina. Sen miała niespokojny – co rusz zrywała się i wsłuchiwała w odgłosy dobiegające zza drzwi, by ustalić, co się dzieje. Miała wrażenie, że Sartaq nie zrugą jej przez to, że za długo śpi, ale jeśli *rukhin* w istocie natrzęsali się z księcia za to, że toczy dworski tryb życia, poranne lenistwo przypuszczalnie nie zjednałoby jej wielu zwolenników.

Miotła się więc i wierciła na łóżku, od czasu do czasu zapadając w krótkie drzemki, a gdy blask ognia, wnikający w szczelinę pod drzwiami, przecięło kilka poruszających się cieni, porzuciła wszelkie próby zapadnięcia w sen. Był to wyraźny sygnał, że ktoś był już na nogach w Hali Altun.

Ubrała się i umyła twarz. W jej komnacie było na tyle ciepło, że temperatura wody w dzbanku nie spadła jeszcze drastycznie, choć Nesryn czuła, że lodowate chluśnięcie pomogłoby jej szerzej otworzyć oczy.

Pół godziny później, gdy siedziała już w siodle przed Sartaqiem, pożałowała tej myśli.

Księżę w istocie był już na nogach i gdy weszła do pustej jeszcze hali, siodłał właśnie Kadarę. Ogień w ogromnym palenisku wciąż płonął jasno, zupełnie jakby ktoś zajmował się nim przez całą noc, ale poza księciem i jego rukiem nie było tam żywego ducha.

Gdy Sartaq wciągnął ją na siodło, wokół nadal było pusto. Kadara odbiła się od skraju występu. Marznące powietrze smagneło Nesryn po twarzy, gdy ręk rzucił się do lotu nurkowego.

Kilka innych ręków krążyło już w powietrzu.

– Pewnie szukają czegoś na śniadanie – powiedział jej Sartaq. Jego głos był cichy i łagodny pośród rodzącego się świtu.

Kadarę zresztą również interesowało głównie jedzenie. Szybko oddalili się od gniazdowiska Eridun i pomknęli nad dalszymi górami, których zbocza porastały gęste bory jodłowe.

Wkrótce ręk księcia wyłowił kilka tłustych, srebrnych łososi z wartkiej, turkusowej rzeki. Wyrzucał w powietrze każdą rybę, a potem połykał ją w całości. Gdy zaspokoił głód, Sartaq skierował go w stronę łańcucha niższych szczytów.

– Tam trenujemy ruki! – zawołał i wskazał palcem góry.

Skały nie były tam tak ostre, a przepaście między górami bardziej przypominały wąwozy o łagodnych, zaokrąglonych zboczach.

– Nowicjusze uczą się tam latać! – dodał.

Dla Nesryn wskazany łańcuch, choć zdecydowanie mniej poszarpany i dziki od trzech szczytów Dorgos, wcale nie wydawał się bezpieczniejszy.

– Powiedziałeś, że wychowałeś Kadarę od pisklęcia. Czy wszyscy jeźdźcy to robią?

– Nie podczas nauki latania. Dzieci dostają doświadczone ruki o spokojnej naturze, zbyt stare, by wykonywać dalekie loty. Uczymy się na nich do chwili, gdy ukończymy trzynaście, czternaście lat, a potem każdemu przydzielane jest pisklę, by samodzielnie je wychował i wyszkolił.

– Czternaście lat?

– Pierwsze loty wykonujemy w wieku czterech lat. A przynajmniej tak być powinno. Ja, jak sama wiesz, zacząłem kilka lat później.

– Pozwalacie, by czterolatki same latały nad czymś takim? – Nesryn wskazała łańcuch gór.

– Z początku towarzyszą im członkowie rodziny bądź Krewni Przy Palenisku.

Nesryn zamrugła, wpatrując się w góry. Nie była w stanie wyobrazić sobie swych siostrzenic i siostrzeńców, którzy nadal biegali z dzikim wrzaskiem na golasa po domu, gdy ktoś choćby zająknął się o kąpiel, jak nie dość, że dosiadają latających stworów, to jeszcze sterują nimi w powietrzu.

– Klany jeźdźców na stepach mają identyczne zwyczaje – wyjaśnił Sartaq. – Większość z nich jest w stanie stać na grzbiecie rozpędzonego konia w wieku sześciu lat, a władać włócznią i łukiem uczą się, gdy tylko ich stopy dotrą do strzemion. Nasze dzieci przechodzą więc ten sam trening poza tym, że mali *rukhin* nie muszą stawać na ptakach – zakończył ze śmiechem.



Zza szczytów wyrzało słońce, ogrzewając ich skórę wystawioną do tej pory na kąsający wiatr.

– To dzięki nim pierwszy kagan podbił kontynent. Nasz lud stanowił już zwartą, doskonale wyszkoloną konną armię, zdyscyplinowaną i przyzwyczajoną do noszenia własnych zapasów. Nasi przeciwnicy nie spodziewali się wrogów, którzy są w stanie przejechać po zamrzniętych rzekach i jeziorach, które miały osłaniać ich miasta podczas zimy. Nie spodziewali się armii, która podróżuje bez taborów, a w swych szeregach ma inżynierów, mogących zbudować broń ze wszystkich dostępnych materiałów po dotarciu na miejsce. Po dziś dzień Akademia Inżynierów w Balruhn cieszy się mianem najbardziej prestiżowej w kaganacie.

Nesryn była tego świadoma. Ojciec co rusz o niej wspominał. Wiedziała też, że któryś z jej kuzynów ukończył tę szkołę i zdobył później spore uznanie, opracowując jakąś maszynę rolniczą.

Sartaq skierował Kadarę na południe i zwiększył pułap, by przemknąć wysoko nad pokrytymi śniegiem szczytami.

– Te królestwa nie zdawały sobie też sprawy z tego, że potrafimy zejść je od tyłu, wykorzystując szlaki, na które mało kto by się zapuścił. – Wyciągnął rękę na zachód, gdzie ciągnęło się pasmo jasnego łądu. – To Pustynia Kyzultum. Przez wiele stuleci stanowiła barierę między stepami a bardziej zielonymi krainami. Zdobywcy, którzy chcieli podbić tereny na południu kontynentu, zawsze okrążali pustynię, dając obrońcom mnóstwo czasu na przygotowania. Kiedy więc władcy południa dowiedzieli się, że kagan na czele stu tysięcy wojowników wyruszył na wojnę, rozstawili swe oddziały, by odeprzeć natarcie. – Z każdego słowa przebijała duma. – Wkrótce przekonali się jednak, że kagan i jego armia pokonali Kyzultum, zawierając po drodze sojusz z miejscowymi nomadami, z których sami jak dotąd szydzili. Nomadzi posłużyli jako przewodnicy i dzięki nim kagan był w stanie niespostrzeżenie wdrzeć się na ich terytoria i splądrować pozbawione załóg miasta.

Nesryn poczuła uśmiech księcia i uświadomiła sobie, że wtula się w niego bardziej.

– A co się potem stało? – Znała jedynie urywki tej historii. Nigdy nie usłyszała jej w całości, a już na pewno nie z ust kogoś, kto pochodził z tego wspaniałego rodu. – Doszło do otwartej wojny?

– Nie – odparł Sartaq. – Pierwszy kagan tak naprawdę unikał wielkich starć. Przeprowadził natomiast krwawą egzekucję kilku miejscowych przywódców, by rozeszły się przerażające pogłoski. Dzięki temu większość miast nawet nie myślała o obronie. Na widok armii mieszkańcy sami składali broń w zamian za ochronę. Kagan wykorzystywał strach jako broń równie sprawnie jak swą *sulde*.

– Słyszałam, że miał dwie. Dwie *sulde*, znaczy się.

– To prawda. Mój ojciec wciąż je ma. Nazywamy je Heban i Kość Słoniowa. *Sulde* z białą kitą końskiego włosia, którą dzierży w czasach pokoju, oraz drugą z czarną, po którą sięga podczas wojny.

– Podczas tych kampanii zapewne władał Hebanem, co?

– Och, z całą pewnością. Gdy pokonał Kyzultum i splądrował pierwsze miasto, wieści o tym, że dzierży Heban i nie ma litości wobec każdego, kto stawia mu opór, rozeszły się tak szybko i tak daleko, że gdy dotarł do następnego królestwa, jego władca nawet nie zebrał armii na jego powitanie. Od razu się poddał. Kagan wynagrodził go wówczas sownicą i również dołożył wszelkich starań, by inne krainy o tym usłyszały.

Sartaq milczał przez moment, a potem spytał:

– Król Adarlanu nie był taki mądry ani łaskawy, co?

– Nie. – Nesryn przełknęła ślinę. – Zupełnie nie.

Ten człowiek niszczył, łupił i wtrącał do niewoli. Nie, nie człowiek. Demon w jego ciele.

– Armia, którą zebrał Erawan... – rzekła. – Cóż, zaczął ją gromadzić na długo, nim Dorian i Aelin dojrżeli, by sięgnąć po to, co im należne z tytułu urodzenia. Chaol... znaczy się lord Westfall, opowiedział mi o tunelach i komnatach znajdujących się pod pałacem w Rifthold, o wiele starszych od samego zamku. Eksperymentowano tam na ludziach i Valgach. Tuż pod stopami głupich, obojętnych na wszystko dworzan.

– Rodzi się pytanie: dlaczego? – dumał Sartaq. – Skoro podbił większość Północnego Kontynentu, po co miałby zbierać tak wielką siłę? Przecież sądził, że Aelin Galathynius nie żyje. I nie sądzę, by przypuszczał, że Dorian Havilliard zbuntuje się przeciwko niemu.

Nie powiedziała mu jeszcze o Kluczach Wyrda i nadal nie mogła się zmusić, by wyjawić przed nim ten sekret.

– Zawsze sądziliśmy, że Erawan po prostu uparł się, żeby zawładnąć całym światem, a to chyba dostateczny motyw.

– Ale wyczuwam w twoim głosie wątpliwość.

Nesryn zastanowiła się.

– Ja po prostu tego nie rozumiem. Dlaczego miałby podejmować tak wielki trud? Po co podbijać kolejne terytoria, kiedy w sekrecie włada już całym Północnym Kontynentem? Czy naprawdę chce pogrążyć cały nasz świat w jeszcze większych ciemnościach? Naprawdę chce się zwać władcą wszechrzeczy?

– Demony nie kierują się czymś takim jak motywy czy powody. Być może powoduje nim jedynie żądza zniszczenia.

Nesryn pokręciła głową. Mrużyła oczy przed blaskiem, które w miarę jak słońce wznosiło się na nieboskłon, stawał się oślepiający.

\*\*\*

Sartaq powrócił do gniazdowiska Eridun, pozostawił Kadarę przy wejściu do wielkiej hali i kontynuował oprowadzanie Nesryn po stolicy swego klanu. Przeczuwając, że na widok drabinek linowych zwisających na skałach może stracić pewność siebie, poprowadził ją schodami i korytarzami wydrążonymi we wnętrzu góry.

– Chcąc dostać się do któregoś z dwóch pozostałych szczytów – oznajmił – należy wsiąść na ruka albo przejść po rozciągniętych między nimi mostach.

Nesryn rzuciła okiem na konstrukcję z lin oraz desek i oznajmiła, że spróbuje kiedy indziej. Podróż na Kadarze to jedno – wszak nauczyła się ufać zarówno rukowi, jak i jego jeźdźcowi – ale spacer po rozkołysanym moście, nawet doskonale zbudowanym... Czują, że zanim zrobi pierwszy krok, będzie musiała dobrze sobie wypić.

Na szczęście we wnętrzu góry było wiele do obejrzenia. Nesryn wiedziała już, że szczyt zwany jest Rokhal, a więc Szepczący. Jego bracia-szczyty zwane były Arik, czyli Nucący, oraz Torke – Ryczący. Ich nazwy brały się od odgłosów, które wydawały śmigające wokół nich wiatry.

Rokhal był największym wzniesieniem. Wydrążono w nim najwięcej domostw, sal oraz tuneli, a klejnotem pośród nich była Hala Altun znajdująca się niedaleko szczytu. Niemniej na tym cuda góry się nie kończyły i Nesryn, idąca w ślad za księciem krętymi korytarzami w głąb, nie wiedziała, na czym zawiesić wzrok. Mijali bowiem rozmaite kuchnie oraz sale, domy jeźdźców oraz ich warsztaty, a także gniazda najrozmaitszych ruków o ubarwieniu od złotego – jak Kadara – aż po ciemnobrązowe. Przechodzili obok kuźni, gdzie wykuwano zbroje z rudy wydobytej we wnętrzu góry, garbarni, gdzie trwała sumienna, drobiazgowa praca nad siodłami, i kramy, gdzie można było wymieniać różne produkty użytku domowego, zabawki i inne drobiazgi. W końcu dotarli na sam szczyt Rokhala, gdzie znajdowały się areny treningowe.

Szczyt góry okazał się płaski, nieotoczony żadnym murem ani płotem. Stał tam tylko niewielki, okrągły budynek, który miał zapewnić schronienie przed wiatrem i zimnem, a jednocześnie mieścił zejście na niższe poziomy.

Nesryn była zasapana po długiej wspinaczce, a gdy księżę pchnął drewniane drzwi na ostry wiatr, widok, który roztoczył się przed jej oczami, odebrał jej resztki tchu.

Nawet lot nad tymi górami wydawał się teraz czymś innym.

Zewsząd otaczały ich wyniosłe, pokryte śniegiem szczyty, stare niczym sama ziemia, nietknięte, pogrążone we śnie. Niedaleko migotała tafla długiego jeziora, ciągnącego się między dwoma niemalże bliźniaczymi wzniesieniami. Śmigające nad jego zielononiebieską powierzchnią ruki wydawały się drobnymi cieniami.

Nesryn nigdy wcześniej nie widziała niczego równie olbrzymiego, obojętnego i nieubłaganego, równie rozległego i pięknego. W porównaniu z ogromem otaczających ją gór czuła się równie nieistotna

jak jętką, ale mimo to w głębi duszy poczuła, że jest częścią tego wszystkiego i z tego się wywodzi.

Sartaq stał u jej boku i spoglądał w tym samym kierunku co ona, jakby ich spojrzenia zostały nierozzerwalnie sprzęgnięte. Gdy wzrok Nesryn padł na samotną, szeroką górę po drugiej stronie jeziora, wciągnął szybko powietrze. Zbocza góry nie były porośnięte lasem. Widać było jedynie śnieg, który pokrywał jej wierzchołek i okoliczne granie.

– To Arundin – powiedział cicho, jakby się bał, że wiatr ich podsłucha. – Czwarty Śpiewak.

Wiatr w istocie zdawał się stamtąd nadciągać, zimny i szybki.

– Nazywamy go Milczącym – dodał ksiączę.

Nesryn odniosła wrażenie, iż w rzeczy samej szczyt otacza ciężka, nieubłagana cisza. Turkusowe wody jeziora u stóp góry ukazywały jej idealne, zwierciadlane odbicie, tak wyraźne, że Nesryn zapytała się w myślach, czy ten, kto tam zanurkuje, nie znajdzie się aby w innym świecie – świecie cieni.

– Dlaczego?

Sartaq odwrócił się, jakby widok Arundina był czymś, czego nie można było długo znieść.

– Ponieważ na jego stokach *rukhin* grzebią swoich zmarłych. Jeśli podlecisz bliżej, ujrzysz las *sulde* na zboczach. To jedyne pamiątki po tych, co zginęli.

Pytanie, które przyszło jej do głowy, było całkowicie niestosowne i wręcz makabryczne, ale mimo to powiedziała je na głos:

– Czy to tam kiedyś zostanie złożone twe ciało czy daleko stąd na świętych stepach, obok twej rodziny?

Sartaq kopnął gładki kamień leżący między nimi.

– Nie podjąłem jeszcze decyzji. Obie połowy mojego serca stoczą zapewne o to zaciekły bój.

Rozumiała to doskonale. Wiedziała, jak to jest, gdy człowieka ciągnie w dwa miejsca.

Wtedy usłyszała okrzyki i szcęk oręża, co wyrwało ją z zadumy, wywołanej przez odwieczną ciszę Arundina, i przypomniało o prawdziwym przeznaczeniu szczytu, na którym właśnie byli. Przecież na wierzchołku Rokhala znajdowały się areny treningowe!

Na rozmaitych placykach trenowali mężczyźni i kobiety w skórzanych strojach. Niektórzy z imponującą sprawnością słali strzały w sam środek tarcz, inni ciskali włóczniami, jeszcze inni wprawiali się w walce na miecze. Starsi jeźdźcy kroczyli między walczącymi, wykrzykiwali polecenia, korygowali postawę bądź rzucali rady. Kilku odwróciło się ku Sartaqowi i Nesryn, którzy wolnym krokiem zbliżali się do najdalszej areny.

Tej, na której trenowano strzelanie z łuku.

„Z takim wiatrem, przy takim zimnie...” – Nesryn już szacowała czynniki, które należało wziąć pod uwagę i tym bardziej podziwiała kunszt miejscowych łuczników.

Wśród trzech *rukhin* strzelających do wypchanych sianem manekinów dostrzegła Borte z warkoczami łożącymi na wietrze. Co ciekawe, jej widok wcale Nesryn nie zdziwił.

– O, to ty, braciszku! – zadrwiła Borte. – Aż tak bardzo pragniesz, by ktoś skroił ci tyłek?

W jej uśmiechu znać było żartobliwą złośliwość. Sartaq w odpowiedzi parsknął swym miłym dla ucha, serdecznym śmiechem, ujął długi łuk i zdjął ze stojaka kołczan, który zarzucił sobie na ramię. Ruchem biodra odtrącił Siostrę Przy Palenisku na bok i bez trudu naciągnął cięciwę. Wycelował i zwolnił strzałę, a Nesryn z uśmiechem skonstatowała, że trafił manekina prosto w szyję.

– Imponujące jak na książętko – oznajmiła przeciągle Borte, po czym odwróciła się do Nesryn i uniosła wysoko brwi.

– A ty?

„Cóż” – pomyślała Nesryn.

Zdusiła uśmiech, zrzuciła z siebie ciężki, wełniany płaszcz i skinęła Borte, a potem podeszła do stojaka z łukami i strzałami. Skórzany strój do podniebnej jazdy nie chronił dobrze przed lodowatymi podmuchami wiatru, ale Nesryn zignorowała jego szepty i musnęła palcami rzeźbione ramiona stojących obok siebie łuków. Cisowe, jesionowe... W końcu zdecydowała się na cisowy. Sprawdziła jego wagę, elastyczność i napięcie cięciwy. Tak, to była solidna, zabójcza broń.

I znajoma. Znajoma niczym stary przyjaciel. Nesryn nie trzymała łuku w ręku do śmierci matki.

Przez pierwsze lata żałoby i odrętwienia ćwiczenia fizyczne oraz wymagana przy nich koncentracja i siła były dla niej sanktuarium, azylem i kuźnią.

Wciąż zastanawiała się, czy któryś z jej mentorów i nauczycieli przeżył atak na Rifthold. Czy któraś z ich strzał powaliła wywernę lub przynajmniej spowolniła atak z powietrza na tyle, by ktoś zdołał ująć z życiem.

Pielęgnując tę myśl w głowie, Nesryn podeszła do kołczanów i zaczęła wybierać strzały. Metalowe groty były cięższe od tych, z których korzystała w Adarlanie, ale drzewca okazały się nieco lżejsze. Zaprojektowano je tak, by z ogromną prędkością przesywały gwałtowne wichury. Być może, przy odrobinie szczęścia, zdołano by nimi zabić jakąś wywernę.

Wybrała kilka strzał z różnych kołczanów i wsunęła je do własnego kołczanu, który zapięła na plecach. Podeszła do linii, przy której zgromadzili się Borte, Sartaq i kilkoro innych, przyglądających się jej w milczeniu.

– Wybierz cel – zwróciła się do Borte.

Kobieta uśmiechnęła się chytrze.

– Tu szyja, tam serce, a tam głowa – powiedziała, wskazując.

Manekinami potrząsał wiatr i trafienie każdego z nich wymagało innej siły i innego podejścia. Borte, podobnie jak wszyscy zgromadzeni wojownicy, doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Nesryn uniosła ramię za głowę i przesunęła palcami po lotkach, przyglądając się uważnie celom. Wsłuchiwała się w szept wichru omiatającego Rokhala, w dzikie okrzyki, których echo słyszała we własnym sercu. Matka przecież nazywała ją Tropicielką Wiatru.

I przeszła do działania. Wyciągała strzałę za strzałą, napinała cięciwę i zwalniała ją.

Pierwsza, druga, trzecia.

I kolejne w ślad za nimi.

I następne.

A gdy skończyła, słyhać było jedynie wycie wichru. Wiatru ze szczytu Torke, zwanego Ryczącym. Przerwano treningi na każdej arenie. Wszyscy wpatrywali się w to, czego dokonała.

Miał trafić każdego manekina jedną strzałą, posłała w każdego po trzy. Wszystkie groty trafiły dokładnie tam, gdzie miały – odpowiednio w serce, szyję i głowę. Nie chybiła ani o włos, nawet pomimo porywistego wiatru.

Sartaq uśmiechał się szeroko, gdy odwróciła się ku niemu. Jego długi warkocz unosił się, porywany podmuchami wiatru, niczym kita *sulde*.

Borte jednakże przepchnęła się obok niego i szepnęła do Nesryn.

– Pokaż mi, jak to robisz.

\*\*\*

Przez następnych kilka godzin Nesryn stała na arenie treningowej Rokhala i tłumaczyła Borte, w jaki sposób dokonała tego, co właśnie widzieli. Tłumaczyła, jak oszacowała siłę wiatru, opór powietrza i ciężar strzały. Słuchający jej wojownicy z kolei zademonstrowali własne techniki. Pokazali, jak obracają się w siodłach, by strzelić do tyłu. Z których łuków korzystają podczas walki, a które przydają się w trakcie polowań.

Policzki Nesryn były zaczerwienione od wiatru, jej palce odrętwiałe, ale uśmiechała się szeroko i radośnie, gdy do Sartaqą podbiegł zdyszany posłaniec z ważnymi wieściami.

Jego Matka Przy Palenisku wreszcie powróciła.

Wyraz twarzy Sartaqą niczego nie zdradził, choć wystarczyło jedno kiwnięcie głową w stronę Borte, by ta bezzwłocznie nakazała wszystkim gapiom powrót do własnych zajęć. Ci rozeszli się, dziękując Nesryn uśmiechami i witając ją serdecznie wśród *rukhin*, na co ta odpowiadała skinieniem.

Sartaq odstawił łuk i kołczan na drewniany stojak i wyciągnął rękę, by odebrać broń od Nesryn. Z ulgą rozprostowała palce, od kilku godzin zaciśnięte na ramieniu łuku i cięciwie.

– Jest pewnie zmęczona – ostrzegła księcia Borte, która trzymała w ręku krótki miecz. Jej trening, jak widać, jeszcze nie dobiegł końca. – Nie zwracaj jej głowy zbyt długo.

Sartaq spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Myślisz, że znów chcę oberwać łyżką?

Nesryn uniosła brwi, zaskoczona, ale bez słowa założyła fioletowo-złoty wełniany płaszcz, po czym zawiązała go mocno w pasie. Udała się w ślad za księciem do ciepłego wnętrza góry, poprawiając po drodze skłębione od wiatru włosy.

– Borte ma pewnego dnia przejąć władzę nad Eridun, a mimo to ćwiczysz wraz z innymi? – spytała, gdy schodzili po ciemnych schodach.

– Tak – odparł Sartaq, nie oglądając się przez ramię. – Wszystkie Matki Przy Palenisku potrafią walczyć, szykować atak i organizować obronę. W szkoleniu Borte uwzględnione zostały jednak również inne elementy.

– Jak choćby nauka języków obcych? – odgadła Nesryn. Borte mówiła w języku północy równie biegle jak sam Sartaq.

– Na przykład. Do tego dochodzi też historia i... i wiele innych rzeczy. Takich, o których nie mówią mi nawet sama Borte i jej babka.

Słowa odbiły się echem od kamiennych ścian.

– A gdzie jest jej matka? – ośmieliła się spytać Nesryn.

Sartaq mimowolnie napiął mięśnie ramion.

– Jej *sulde* tkwi w zбочu Arundina – odparł chłodno.

– Przykro mi.

– Mnie też – rzekł krótko.

– A jej ojciec?

– To człowiek, którego jej matka spotkała w odległej krainie i którym nie interesowała się dłużej niż jedną noc.

Nesryn myślała przez moment o zadziornej, charyzmatycznej młodej kobiecie, która właśnie pokazała niemałe umiejętności na arenach treningowych.

– Cieszę się, że ma ciebie. I swą babkę.

Sartaq wzruszył ramionami, a Nesryn uświadomiła sobie, że zabrnęła na niebezpieczne, osobliwe terytorium, do którego nie miała prawa wstępu. Nie wolno jej było wściubiać nosa w miejscowe sprawy.

– Jesteś dobrą nauczycielką – odezwał się nieoczekiwanie Sartaq.

– Dziękuję.

Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Stał blisko, gdy pokazywała innym wojownikom rozmaite pozycje i techniki, ale nie odzywał się często. Okazywał się być przywódcą, który nie musi bez przerwy mówić, przechwalać się i przypominać innym o swoim znaczeniu.

Naraz odetchnął. Napięcie uszło z jego ramion.

– Czuję też wielką ulgę, że rzeczywistość dorównała legendzie.

Nesryn zachichotała, ciesząc się, że znów znalazła się na bezpieczniejszym gruncie.

– A miałeś wątpliwości?

Dotarli do piętra, gdzie rozpoczynał się korytarz prowadzący do wielkiej hali. Sartaq zaczekał, by się z nim zrównała.

– W meldunkach szpiegów brakowało niektórych istotnych informacji, przez co powątpiewałem w ich dokładność.

Nesryn dojrzała błysk przebiegłości w jego oczach i przechyliła zadziornie głowę.

– A czego takiego w nich brakowało?

Dotarli już do wielkiej hali, pustej, jeśli nie liczyć postaci w płaszczu z kapturem, ledwie widocznej po drugiej stronie paleniska. Po chwili okazało się, że siedzi przy niej jeszcze ktoś.

Sartaq jednakże odwrócił się do łuczniczki i obrzucił ją bardzo dokładnym spojrzeniem, któremu mało co umykało.

– Żaden z raportów nie wspominał ani słowem o tym, że jesteś piękna.

Nesryn otworzyła i zamknęła usta, świadoma, że przypomina rybę wyrzuconą na brzeg, co bynajmniej nie przydaje jej wdzięku. Sartaq mrugnął do niej i ruszył naprzód, wołając:

– *Ehj!*

Tego dnia przy śniadaniu Nesryn dowiedziała się od księcia, że słowo to w mowie *rukhin* oznacza matkę. Pospieszyła za nim. Okrążyli ogromne palenisko, a osoba siedząca na skraju najwyższego pierścienia schodów odrzuciła kaptur.

Łuczniczka spodziewała się ujrzeć sędziwą staruszkę, zgarbioną i bezzębną, zmęczoną długim życiem.

Zamiast tego jej oczom ukazała się wysoka, wyprostowana kobieta o onyksowych włosach przetkanych gdzieś siwizną, która wpatrywała się w Sartaq z ponurym uśmiechem. A jej twarz... Choć wiek w istocie zdążył się już na niej odcisnąć, Nesryn nie miała wątpliwości, że wpatruje się w oblicze Borte. Lub, ściślej mówiąc, Borte za czterdzieści lat.

Matka Przy Palenisku miała na sobie skórzany strój jeźdźca, ale częściowo zasłaniał go ciemnoniebieski płaszcz, który spływał z jej ramion. A człowiekiem u jej boku okazał się... Falkan.

Jego twarz również była poważna, choć ciemnoszafirowe oczy otaksowały ich uważnie.

Na widok kupca Sartaq zwolnił kroku. Nesryn nie miała pojęcia, czy rozdrażnił go fakt, że Falkan jako pierwszy stanął przed obliczem Matki Przy Palenisku czy to, że po prostu wprosił się na ich spotkanie, ale instynkt samozachowawczy i głęboko wpojone maniery natychmiast doszły do głosu. Księżę zeskoczył na niższy stopień i ruszył ku Houlun.

Kobieta powstała na jego widok i objęła go szybko, po męsku, a potem położyła dłonie na jego barkach. Dorównywała mu wzrostem, a jej ramiona i uda znamionowały ogromną siłę.

– Twe serce nadal spowija wielki smutek – powiedziała, mierzając go przenikliwym spojrzeniem, po czym musnęła jego kość policzkową poblížoną dłonią. – Smutek i troska.

Sartaq zamrugał i pochylił głowę.

– Tęskniłem za tobą, *ehj*.

– Ale ty kadzisz – zadrwiła z niego Houlun, poklepując go po policzku.

Ku wielkiemu zachwytowi Nesryn na policzkach księcia pojawił się lekki rumieniec. Siwe kosmyki we włosach Houlun zapłonęły złotem i czerwienią w blasku ognia, gdy kobieta spojrzała zza ramion księcia na oczekującą Nesryn.

– Łuczniczka z północy również do nas dotarła, jak widzę – oznajmiła i pochyliła głowę. – Jestem Houlun, córka Dochin, ale możesz zwracać się do mnie tytułem *ehj*, jak wszyscy pozostali.

Wystarczyło raz spojrzeć w brązowe oczy kobiety, by wiedzieć, że nie należała do tych, której uwadze cokolwiek by uchodziło. Nesryn ukłoniła się nisko.

– To wielki zaszczyt.

Matka Przy Palenisku wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Nesryn odpowiedziała jej spojrzeniem, próbując nawet nie drgnąć. Pozwalała kobiecie dostrzec wszystko to, co chciała ujrzeć. W końcu spojrzenie Houlun przesunęło się na Sartaq.

– Mamy wiele spraw do omówienia.

Wreszcie wolna od jej intensywnego spojrzenia Nesryn pozwoliła sobie wypuścić powietrze z płuc, choć nadal stała wyprostowana jak struna. Sartaq pokiwał głową, a przez jego twarz przemknęła ulga. Zerknął jednak na Falkana, który przyglądał się powitaniu ze swojego krzesła.

– Są to sprawy, o których należy mówić na osobności, *ehj*.

Jego słowa nie były nieuprzejme, ale bez wątpienia bił z nich chłód. Houlun jednakże machnęła dłonią.

– A więc niech zaczekają – oznajmiła i wskazała kamienną ławę. – Siadaj.

– *Ehj!*

Falkan poruszył się, jakby chciał wyświadczyć wszystkim przysługę i zniknąć, ale Houlun wycelowała w niego palec, co stanowiło ciche ostrzeżenie. Nie miał prawa się nawet ruszyć.

– Wszyscy macie mnie wysłuchać.

Sartaq usiadł posłusznie, postukując miarowo stopą o podłogę, co było jedyną oznaką jego niezadowolenia. Nesryn usiadła obok niego, a surowa przywódczyni klanu zajęła miejsce między nimi a Falkanem.

– Starożytne zło przebudziło się w tych górach – oznajmiła. – To z tego powodu nie było mnie w osadzie przez kilka dni. Musiałam przeprowadzić zwiad.

– *Ehj!* – Z głosu księcia przebijało zarówno ostrzeżenie, jak i lęk.

– Nie jestem jeszcze taka stara, by nie móc samodzielnie pochwycić za *sulde*, chłopcze! – Houlun zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

W istocie, wcale nie wyglądała na swój wiek. Nesryn nigdy w życiu nie określiłaby jej starą kobietą.

– Czego więc szukałaś? – spytał Sartaq, marszcząc brwi.

Houlun rozejrzała się dookoła, chcąc się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Kilka gniazd ruków zostało splądrowanych. Skradziono jaja, a pisklęta znikły.

Sartaq zaklął z wściekłością pod nosem. Nesryn zamrugła, zaskoczona, a w żołądku poczuła ucisk.

– Kłusownicy od wielu dekad nie mają odwagi, by zapuścić się w te góry! – odezwał się książę.

– Ale tak czy owak nie powinnaś ścigać ich samotnie, *ehj*.

– To nie kłusownicy. Miałam do czynienia z czymś o wiele gorszym.

Twarz przywódczyni klanu powlókł cień, a Nesryn przełknęła ślinę. Jeśli dotarli tu Valgowie...

– Moja własna *ehj* zwała je *kharankui*.

– To cień. Lub mrok – szepnął Sartaq do Nesryn. W jego oczach pojawiła się zgroza.

Serce łuczniczki waliło jak szalone. Czyżby naprawdę już tu byli? Valgowie?

– U was jednakże – ciągnęła Houlun, patrząc to na Nesryn, to na Falkana – nazywa się je inaczej, prawda?

Nesryn otaksowała wzrokiem Falkana, który przełknął ślinę. Nie miała pojęcia, czy ma kłamać czy może spróbować w jakiś sposób uniknąć wyjawienia prawdy na temat Valgów...

Nieoczekiwanie Falkan pokiwał głową i odezwał się tak cicho, iż jego głos niemalże pochłonął trzask płomieni:

– Nazywamy je stygijskimi pająkami.

Przecież stygijskie pająki to niemalże mit! – wykrztusiła Nesryn, zwróciwszy się do Houlun. – Pajęczy jedwab jest tak rzadki, że wielu ludzi nawet nie wierzy w jego istnienie! Szukacie duchów.

– Obawiam się, że mam na ten temat inne zdanie, kapitan Faliq – odezwał się kupiec z ponurym uśmiechem.

Sięgnął w głąb kurtki. Nesryn napięła mięśnie i złapała za sztylet, ale Falkan nie wyciągnął broni.

W jego dłoni zamigotało białe płótno, które mieniło się niczym blask gwiazd, gdy poruszył palcami. Nawet Sartaq gwizdnął z podziwem na widok skrawka o rozmiarach chustki do nosa.

– Oto pajęczy jedwab – rzekł mężczyzna i wsunął skrawek z powrotem do kieszeni w głębi kurtki. – Prosto ze źródła.

Nesryn otworzyła usta ze zdziwienia, a Sartaq powiedział:

– Czyli widziałeś te potwory z bliska.

Nie było to pytanie.

– Handlowałem z ich pobratymcami na Północnym Kontynencie – odparł Falkan, a na jego twarzy znów pojawił się ów ponury uśmiech. Wraz z nim napłynęły cienie. Wiele cieni. – Prawie trzy lata temu. Sporo osób pewnie uznałoby, że zrobiłem kiepski interes, ale zszedłem z gór jako właściciel prawie stu metrów pajęczego jedwabiu.

Za skrawek, który właśnie im pokazał, można by wykupić króla z niewoli. Sto metrów zaś...

– Musisz być bogaty niczym sam kagan! – wyrwało się Nesryn.

– Nauczyłem się, że prawdziwe bogactwo nie ma nic wspólnego z migoczącym złotem i brylantami. – Kupiec wzruszył ramionami.

– Co im więc za to oddałeś? – spytał cicho Sartaq.

Stygijskie pająki nie handlowały bowiem materialnymi dobrami. Sprzedawały sukno za marzenia, życzenia i...

– Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat życia. Odliczone niestety nie od końca, ale od chwili zawarcia transakcji.

Nesryn uważnie przyjrzała się mężczyźnie. Na jego twarzy pojawiły się już pierwsze oznaki starości, choć na włosach nie było jeszcze siwizny.

– Mam dwadzieścia siedem lat – rzekł do niej Falkan. – A mimo to wyglądam, jakbym miał prawie pięćdziesiąt.

Na bogów...

– Co więc porabiasz tu, w gniazdowisku? – spytała Nesryn. – Czy tutejsze pająki również wytwarzają sukno?

– Nie są tak cywilizowane jak ich siostry na północy – oznajmiła Houlun, cmoknąwszy. – *Kharankui* nie tworzą, a jedynie niszczą. Od dawna mieszkają w jaskiniach i przełęczach Łańcucha Dagul na południu naszych gór, ale jak dotąd szanowały nas i trzymały się z daleka.

– Dlaczego twoim zdaniem to właśnie one kradną nam jaja? – Sartaq zerknął na kilka ręków, które siedziały przy wejściu do jaskini i czekały na swoich jeźdźców. Pochylił się i oparł przedramiona na udach.

– A kto miałby to robić? – odparła Matka Przy Palenisku. – Nie widzieliśmy w pobliżu żadnych kłusowników. Któż inny mógłby wspiąć się aż tak wysoko do gniazda ruka? Przez ostatnich kilka dni latałam nad ich krainą. Sieci pajęcze sięgają znacznie dalej niż kiedykolwiek wcześniej, od szczytów aż po sosnowe lasy w dole zboczy, skutecznie dusząc wszystko, co żywe. – Zerknęła na Falkana. – Jak to możliwe, że *kharankui* zaczęły znów żerować dokładnie w chwili, gdy w naszym gniazdowisku pojawił się kupiec, szukający informacji na temat ich północnego klanu? Ja nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Falkan, widząc ostre spojrzenie Sartaka, uniósł dłonie.

– Nie zakradałem się do ich krainy ani też w żaden sposób ich nie prowokowałem. Usłyszałem jedynie opowieści o mądrości waszej Matki Przy Palenisku i postanowiłem poprosić ją o radę, zanim



ośmielę się podjąć jakiegokolwiek inne kroki.

– A czego od nich chcesz? – zapytała Nesryn, przechylając głowę.

Falkan przyjrzał się swoim dłoniom i wyprężył palce, jakby były zeszywniałe.

– Chcę odzyskać moją młodość.

– Sprzedał już swoje sto metrów pajęczego jedwabiu – Houlun zwróciła się do Sartaqa – ale nadal wierzy w to, że może odzyskać czas.

– Mogę – rzekł dobitnie Falkan.

Houlun, której nie spodobał się jego ton, spojrzała na niego ostrzegawczo, na co kupiec zmiarkował się i wyjaśnił:

– Mam jeszcze... jeszcze sporo spraw przed sobą. Chcę je zakończyć, nim dopadnie mnie starość.

Dowiedziałem się, że jedynym sposobem na odzyskanie moich dwudziestu lat jest zabicie pająka, który je pożarł.

Nesryn zmarszczyła brwi.

– To dlaczego nie szukasz tego pająka na północy? Po co przybyłeś tutaj?

Falkan nie odpowiedział.

– Ponieważ dowiedział się również, że tylko wielki wojownik jest w stanie zabić *kharankui* – odparła za niego Houlun. – Największy na świecie. Usłyszał, że mieszkamy w bezpośrednim sąsiedztwie tych potworów i uznał, że najpierw spróbuje swego szczęścia tutaj. Dowie się, co wiemy o pająkach i czy może znamy sposoby na ich zabicie. – W oczach Matki Przy Palenisku pojawiło się lekkie rozbawienie. – Zapewne też przyszło mu do głowy, że znajdzie tu jakiś inny, łatwiejszy sposób na odzyskanie straconych lat, co pozwoli mu oszczędzić sobie konfrontacji na północy.

„Człowiek szalony na tyle, by handlować własnym życiem, na pewno wpadłby na coś podobnego” – pomyślała Nesryn.

– A co to ma wspólnego z naszymi skradzionymi jajami i zaginionymi pisklakami, *ehj*? – Sartaq najwyraźniej również nie żywił wielkiego współczucia dla kupca, który prehandlował swoją młodość za królewską fortunę.

Falkan obrócił twarz ku płomieniom, jakby zdawał sobie z tego sprawę.

– Chcę, byś je znalazł – rzekła Houlun.

– Przypuszczalnie już nie żyją, *ehj*.

– Te potwory potrafią długo przechowywać swą zdobycz w kokonach, ale pewnie masz rację. Przypuszczalnie zostały pożarte. – Na twarzy kobiety zamigotała wściekłość, świadcząca o tym, że kryje się w niej wojownicza. Taka sama, jaką stawała się teraz jej wnuczka. – Dlatego też chcę, byś je odszukał, gdy dojdzie do kolejnego porwania. Masz je znaleźć i przypomnieć tym plugawym kreaturom, że nie pozwolimy im na kradzież naszych młodych. – Przeniosła wzrok na Falkana i wskazała go ruchem podbródka. – A ty możesz się wówczas udać z nimi. Sam się przekonasz, czy szukasz swych odpowiedzi we właściwym miejscu.

– Dlaczego nie wyruszyć już teraz? – spytała Nesryn. – Po co zwlekać? Możemy ukarać je od razu.

– Ponieważ nadal nie mamy dowodów – odparł Sartaq. – A jeśli zaatakujemy jako pierwsi, niesprowokowani...

– *Kharankui* od dawna są wrogami ruków – dokończyła za niego Houlun. – Dawno temu, jeszcze zanim jeźdźcy opuścili stopy, oba gatunki toczyły już wojnę. – Pokręciła głowę, strząsając z siebie mroczny cień wspomnień, i zwróciła się do Sartaqa: – I z tego właśnie powodu nikt nie ma się o tym dowiedzieć. Nie życzę sobie, by zapanowała tu panika, ani też by uniesieni gniewem *rukhin* porwali za broń. Każ im zachować większą czujność niż zwykle, ale nie mów im dlaczego.

Sartaq pokiwał głową.

– Jak sobie życzysz, *ehj*.

Matka Przy Palenisku odwróciła się do Falkana.

– Chcę zamienić kilka słów na osobności z moim kapitanem.

Falkan zrozumiał, że jego audyencja dobiegła końca, i wstał.

– Jestem do twojej dyspozycji, książę – powiedział, po czym uklonił się z wdziękiem i odszedł korytarzem. Gdy jego kroki ucichły, Houlun mruknęła:

– I wszystko zaczyna się od początku, nieprawdaż?

Jej ciemne oczy przesunęły się na Nesryn. W źrenicach płonął ogień.

– Ten, Który Śpi się przebudził.

– Erawan – szepnęła Nesryn. Mogłaby przysiąc, że wielki ogień zaszumiał w odpowiedzi.

– Wiesz coś o nim, *ehj*? – Sartaq usiadł po drugiej stronie przywódczyni, dzięki czemu Nesryn również mogła przysunąć się bliżej na kamiennej ławie.

Niemniej Matka Przy Palenisku omiotła łuczniczkę ostrym spojrzeniem.

– Miałaś już z nimi do czynienia. Z bestiami kryjącymi się w mroku.

Nesryn rozpędziła wspomnienia, przywołane słowami Houlun.

– Tak. Erawan zgromadził armię potworów i koszmarów na Północnym Kontynencie. W Morath. Houlun odwróciła się ku Sartaqowi.

– Twój ojciec wie o tym?

– Nie wszystko. Jego żaloba... – Sartaq wpatrywał się w płomień.

Houlun położyła dłoń na jego kolanie.

– Doszło do ataku w Antice – podjął książę. – Ofiarą padła uzdrowicielka z Torre.

Houlun zakłęta równie ciężko jak przed chwilą jej Syn Przy Palenisku.

– Myślimy, że może za tym stać jeden z agentów Erawana – ciągnął Sartaq. – Nie chciałem jednak tracić czasu i przekonywać ojca, by słuchał moich poszlak i domysłów. Uznałem, że lepiej posłuchać twoich opowieści, *ehj*. Postanowiłem spotkać się z tobą i spytać, czy nie wiesz czegoś więcej.

– A gdybym ci powiedziała... – Houlun mierzyła go wzrokiem ostrym i przenikliwym jak spojrzenie ruka. – Gdybym ci powiedziała to, co wiem o zagrożeniu, czy skrzyknąłbyś wszystkich jeźdźców, opróżnił wszystkie osady i gniazdowiska? Czy poleciałbyś daleko za Wąskie Morze na spotkanie owych koszmarów? I nigdy nie wrócił?

Grdyka księcia podjechała w górę i w dół. Nesryn uświadomiła sobie zaś, że on nie przybył tu w poszukiwaniu odpowiedzi.

Być może Sartaq wiedział o Valgach na tyle dużo, że samemu zdecydował, jak należy poradzić sobie z zagrożeniem. Być może przybył tu, by zdobyć poparcie swego ludu i ich przywódczyni. W oczach swego ojca, władcy imperium, Sartaq był przywódcą jeźdźców ruków, ale tu, w górach, liczyło się tylko i wyłącznie zdanie Houlun. To jej słowo było tu prawem.

A na milczącym zboczu Arundina, czwartego szczytu, podmuchom wiatrów opierała się włócznia jej córki. Tak, Houlun dobrze знаła cenę życia. Nie będzie chciała się zgodzić na to, by jej wnuczka stanęła na czele legionu jeźdźców. O ile w ogóle pozwoli na to, by *rukhin* z Eridun polecieł na wojnę.

– Jeśli *kharankui* się ruszyły, a Erawan zbiera armię na północy – powiedział ostrożnie Sartaq – to widomy znak, że pojawiło się zagrożenie, któremu wszyscy będziemy musieli stawić czoła. – Pochylił głowę. – Ale mimo to chętnie wysłucham tego, co wiesz, *ehj*. Chcę poznać opowieści, które na północy zostały zapomniane bądź zaginęły wśród zawieruchy wojennej. Chcę wiedzieć, dlaczego nasi rodacy, mieszkający tu bezpiecznie, znają opowieści o pradawnych wojnach z demonami, które nigdy nie dotarły do naszych wybrzeży.

Houlun długo im się przyglądała. Jej długi, gruby warkocz kołysał się miarowo. Naraz oparła dłoń na kamieniu i powstała z głośnym stęknięciem.

– Najpierw muszę coś zjeść i odpocząć przez chwilę. Potem wszystko ci powiem.

Zmarszczyła brwi, spoglądając w kierunku wyjścia z jaskini. Po ścianach pełgał srebrzysty poblask światła słonecznego.

– Nadciąga burza – dodała. – Prześcignęłam ją w drodze powrotnej. Każ innym się przygotować.

Po czym Matka Przy Palenisku odwróciła się od ciepła ognia i weszła w głąb korytarza. Jej kroki były ciężkie, sztywne, ale nie garbiła się. Tak kroczyli wojownicy, równo i z pewnością siebie.

Miast skierować się w stronę okrągłego stołu czy kuchni, Houlun znikła za drzwiami, za którymi

Nesryn zauważyła bibliotekę.

– Ona jest naszą Strażniczką Opowieści – wyjaśnił Sartaq, spoglądając w tym samym kierunku.

– Sąsiedztwo ksiąg pomaga jej przeszukiwać pamięć.

A więc nie była jedynie Matką Przy Palenisku, która знаła przeszłość *rukhin*, ale również świętą Strażniczką Opowieści. Miała dar zapamiętywania i opowiadania legend oraz historii z całego świata.

Sartaq wstał i przeciągnął się ze stęknieniem.

– I nigdy jeszcze nie pomyliła się, jeśli chodzi o burzę. Powinniśmy ostrzec pozostałych.

Wskazał korytarz za nimi.

– Powiadom ludzi we wnętrzu góry, a ja udam się na inne szczyty.

Zanim Nesryn zapytała, kogo konkretnie miałyby ostrzec, księżę ruszył w stronę Kadary. Łuczniczka zmarszczyła brwi. Cóż, wyglądało na to, że będzie skazana jedynie na towarzystwo własnych myśli.

Wówczas przypomniał jej się kupiec, który polował na pająki w poszukiwaniu utraconych lat lub przynajmniej sposobu, jak je odzyskać od ich pobratymców z północy. Zaś same pająki... Nesryn aż zadrżała na myśl o owych paskudztwach, które ze wszystkich miejsc na świecie wybrały sobie akurat to, by żerować na najbardziej niewinnych i słabych. Potwory rodem z najstraszliwszych legend.

Być może Erawan skrzykiwał wszystkie mroczne, ohydne istoty pod swój sztandar.

Nesryn zatarła dłonie, jakby chciała wszczepić na stałe ciepło ogniska do wnętrza swej skóry, po czym skierowała się do gniazdowiska.

– Nadciąga burza – mówiła każdemu napotkanemu człowiekowi, choć sama w głębi duszy wiedziała, że inna burza już dawno się zaczęła.

\*\*\*

Burza rozpętała się tuż po zmroku. Wielkie szpony błyskawic rozszarpały niebo, a huk pioruna wstrząsał każdym piętrem i korytarzem. Siedząca przy palenisku Nesryn zerknęła na odległe wejścia do jaskini, przesłonięte teraz ciężkimi, grubymi zasłonami. Materia wydymała się pod naporem wiatru, ale została mocno przytwierdzona do podłóg oraz sufitów i tylko czasem rozchylała się na tyle, by ukazać skrawki sieczonej ulewą nocy.

Po wewnętrznej stronie zasłon na prowizorycznych gniazdach z siana i skrawków materiału kuliły się trzy ruki – Kadara, obok niej dumny, brązowy ptak należący do Houlun oraz mniejszy ruk o czerwono-burym upierzeniu. Był to rumak Borte – przy wieczery wyzywała go od cherlaków, choć z jej słów przebijała duma.

Nesryn wyciągnęła obolałe nogi, ciesząc się z bliskości ognia oraz ciepłego koca, który Sartaq ułożył jej na kolanach. Przez wiele godzin biegła po schodach gniazdowiska, ostrzegając każdego napotkanego człowieka przed zapowiadaną przez Houlun burzą. Niektórzy kiwali z wdzięcznością głową i przyspieszali kroku, inni proponowali jej gorącą herbatę i małe kaski gotowanych dań. Byli też tacy, którzy pytali, skąd Nesryn przybyła i co tu porabia. Gdy zaś wyjaśniała, że przybyła z Adarlanu, ale jej przodkowie pochodzili z Południowego Kontynentu, wszystkie odpowiedzi brzmiały tak samo: „Witaj w domu”.

Bieganina po rozlicznych schodach i stromych korytarzach sporo ją kosztowała, tym bardziej że wcześniej tego dnia spędziła kilka godzin na treningu. Gdy Houlun usiadła na ławie między Nesryn a Sartaqiem – Falkan i Borte udali się już bowiem do swoich komnat – łuczniczka prawie drzemała.

Na zewnątrz zamigotała błyskawica, która powlokła skalne ściany srebrem. Przez kilka długich minut Houlun wpatrywała się w ogień. Słysząc było jedynie dudnienie piorunów, wycie wiatru i odgłosy ulewy, trzask płomieni i szelest skrzydeł ręków.

– Burzliwe noce to domena Strażników Opowieści – zaintonowała Houlun w halha. – Słyszymy nadciągającą burzę z odległości setek kilometrów. Niczym tropiące ślady ogary z dala wyczuwamy zapach wyładowań atmosferycznych. Mówią nam, by się przygotować. By zebrać blisko rodzinę i uważnie słuchać.

Włoski na ramionach Nesryn podniosły się, choć otulała się ciepłym, wełnianym płaszczem.

– Dawno temu – ciągnęła Matka Przy Palenisku – nim powstał kaganat, nim na stepach pojawili się jeźdźcy, a przy morzu wyrosła Torre, nim władzę nad tymi ziemiami objął jakikolwiek śmiertelnik, między światami powstało pęknięcie. Tu, dokładnie w tych górach.

Twarz Sartaqą była nieporuszona, ale Nesryn przełknęła ślinę.

Pęknięcie. Czyli otwarta Brama Wyrda. Tutaj...

– Otworzyła się, na chwilę krótszą od mignięcia błyskawicy, i szybko zamknęła.

Jakby w odpowiedzi na zewnątrz, na niebie, zamigotał rozszczepiony zygzak.

– Koszmary i potwory nie potrzebowały jednak więcej czasu, by wdrzeć się do tego świata. Były wśród nich *kharankui* oraz inne potwory cienia.

Słowa rozbrzmiały echem w sercu Nesryn. *Kharankui*, czyli stygijskie pająki oraz... oraz inni intruzi. Nikt z nich nie był dziełem natury. Wszystkie były Valgami.

Ucieszyła się w duchu, że siedzi.

– Valgowie tu byli? – spytała. Jej głos był nader donośny, zbyt zwyczajny pośród ciszy wymuszonej przez burzę.

Sartaq smagnął ją ostrzegawczym spojrzeniem, ale Houlun skinęła jedynie głową w odpowiedzi.

– Większość z nich odeszła, zwabiona na północ, gdzie pojawiło się ich o wiele więcej. Ale te ziemie... Być może Valgowie, którzy się tu pojawili, byli jedynie strażą przednią, która miała ocenić możliwości, jakie dawała ta kraina. Gdy uznali, że nie znajdą tu tego, czego szukają, opuścili ją. *Kharankui* ukryły się jednak wśród górskich przełęczy, wciąż służąc mrocznej koronie. Nie udały się w ślad za Valgami. Nauczyły się języka ludzi od pożeranych głupców, którzy zapuszczali się do ich jałowego dominium. Ci, którym udało się wyrwać z ich niewoli, utrzymywali, że zapewne ta okolica przypomina pająkom ich własny świat. Inni twierdzili, że pająki trzymają się blisko, gdyż czekają, aż znów otworzy się dla nich droga. Do domu.

Na wschodzie, w starożytnych królestwach Fae, rozgorzała straszliwa wojna. Trzech królów demonów stawilo czoła królowej Fae oraz jej armiom. Demony, które prześlizgnęły się przez szczelinę między światami, postanowiły podporządkować sobie nasz świat.

I mówiła dalej, przedstawiając historię, którą Nesryn dobrze знаła. Nie przerywała jednak Matce Przy Palenisku, a myśli w jej głowie rozpoczęły gorączkową gonitwę.

A więc stygijskie pająki były Valgami, którzy nawet nie próbowali się ukrywać.

– Wkrótce Valgowie zostali wygnani z powrotem do swego królestwa, a ostatni król demonów wślizgnął się do swej mrocznej kryjówki. Wówczas w tych górach pojawili się Fae. Pokazali rąkom, jak walczyć z *kharankui*, nauczyli je również języków ludzi i Fae. Wzniesli strażnice i ułożyli wszędzie stosy sygnałowe, które miały nieść wieści o zagrożeniu daleko w świat. Czy chcieli nas chronić przed *kharankui*? A może sami, podobnie jak pająki, również czekali, aż ponownie otworzy się szczelina między światami? Nim ktoś zdążył zadać to pytanie na głos, Fae opuścili strażnice i znikli w mrokach dziejów.

Houlun urwała, a wtedy Sartaq zapytał:

– Czy istnieją jakieś... jakiegokolwiek zapiski o tym, jak można pokonać tych Valgów? Poza wydaniem im bitwy? Czy istnieje jakaś potęga, która pomoże nam w walce z nowymi hordami, skrzyknętymi przez Erawana?

Houlun przesunęła wzrok na Nesryn.

– Zapytaj jej – powiedziała do księcia. – Ona to wie.

Sartaq nie był w stanie ukryć wstrząsu. Pochylił się ku łuczniczce.

– Nie mogę wam powiedzieć – szepnęła Nesryn. – Nikomu z was. Jeśli Morath usłyszy choć szept na ten temat, przepadnie ostatni strzęp nadziei.

Nie mogła im opowiedzieć o Kluczach Wyrda. Nie mogła zaryzykować. Nie mogła powiedzieć prawdy nawet im.

– A więc po co tu przylecieliśmy? – spytał ostro, zimnym głosem Sartaq. – Zrobiłaś ze mnie durnia!

– Nie – sprzeciwiła się Nesryn. – Przecież nadal nie wiemy wszystkiego. To, że te pająki przybyły

wraz z Valgami z ich świata, że stanowiły część ich armii, a obok ich hufca tutaj znajduje się drugi, w Górach Ruhnn na północy... Być może między tymi faktami istnieje jakiś związek. Może jest coś, czego się jeszcze nie dowiedzieliśmy. Może Valgowie mają jakąś słabość, którą możemy wykorzystać.

Rozejrzała się dookoła, próbując uspokoić bijące mocno serce. Przecież strach jeszcze nikomu w niczym nie pomógł.

Houlun patrzyła to na nią, to na niego.

– Większość strażnic wzniesionych przez Fae już dawno rozsypała się w pył, ale kilka z nich jeszcze stoi, choć są w częściowej ruinie. Najbliższa znajduje się jakieś pół dnia lotu stąd. Zaczynjcie poszukiwanie informacji tam. Zobaczcie, czy coś tam zostało. Może znajdziesz jakieś odpowiedzi, Nesryn Faliq.

– Nikt tam nigdy nie zagłądał?

– Fae założyli wiele pułapek, by trzymać pająki na dystans. Gdy opuścili wieże, pułapki siłą rzeczy pozostały. Byli tacy, którzy próbowali się wdrzeć do środka i poszukać czegoś wartego zrabowania, ale nikt z nich nie powrócił.

– Czy to warte ryzyka? – spytał Sartaq.

„Rzeczowe pytanie, które kapitan zadaje Matce Przy Palenisku swego gniazdowiska” – pomyślała Nesryn.

Houlun zacisnęła mocno szczęki.

– Powiedziałam ci tyle, ile mogłam, choć wiem, że to tylko okruchy wiedzy, którą zabrała niepamięć. Ale jeśli *kharankui* znów się ruszyły... Ktoś powinien odwiedzić tę strażnicę. Może dowiecie się czegoś, co nam się przyda. Może odkryjecie, w jaki sposób Fae walczyli z tymi koszmarami i jak trzymali je w ryzach. – Obrzuciła Nesryn długim, taksującym spojrzeniem. Kolejne uderzenie pioruna wstrząsnęło jaskiniami. – Może ów strzép nadziei się nieco zwiększy?

– Albo wszyscy zginiemy. – Sartaq spojrział na ruki, pogrążone w półśnie w swoich gniazdach.

– Za wszystko, co ma jakąś wartość, przychodzi zapłacić cenę – sprzeciwiła się Houlun. – Ale nie siedzicie tam po zmroku.

Dobrze – powiedziała Yrene.

Powoli obracała ciężką nogę Chaola, wspartą o jej ramię.

Mężczyzna przyglądał się jej w milczeniu, leżąc na podłodze pracowni w części dla lekarzy. Panował ogromny upał i skórę Yrene pokrył już pot. Jej ubranie dawno byłoby przepocone na wskroś, gdyby nie gorące powietrze, które osuszało strużki potu, nim wsiąkł w tkaninę. Czula go jednak na swej twarzy. Widziała też, jak lśni na skupionym obliczu Chaola, gdy się nad nim pochylała.

– Twoje nogi dobrze reagują na trening – zauważyła.

Jej palce wbijały się w potężne mięśnie jego ud.

Nie pytała, skąd wzięła się ta zmiana. Nie miała pojęcia, dlaczego zaczął trenować ze strażą pałacową. Sam niczego jej nie wyjaśnił.

– To prawda – rzekł zdawkowo, drapiąc się po szczęce. Nie ogolił się dziś. Kiedy Yrene weszła do jego apartamentu rano, tuż po tym, jak wrócił z porannych ćwiczeń ze strażą, powiedział, że ma ochotę na przejażdżkę konną.

„Chcę na moment zmienić otoczenie – oznajmił. – O niczym nie marzę tak bardzo, jak o tym, by zobaczyć miasto i dopasować się do jego nastroju”.

Yrene nie miała serca mu odmówić. Urządzili sobie więc wycieczkę po krętych uliczkach Antiki, po czym dotarli do Torre, by kontynuować terapię w jednym z cichych pokojów w części dla lekarzy. Wszystkie pomieszczenia wyglądały tak samo – w każdym znajdowało się biurko, łóżko oraz rząd szafek. Każde z nich dysponowało też pojedynczym oknem, które wychodziło na równe grządki bujnego ogrodu ziołowego. Pomimo upału w powietrzu unosił się zapach rozmarynu, mięty i szałwii.

Chaol stęknął, gdy Yrene ułożyła jego lewą nogę na chłodnej, kamiennej podłodze i zabrała się za prawą. Jej magia, mruczac cicho, przepływała przez nią i wnikała w niego, ostrożnie wymijając ciemność, która powoli, jakże powoli wycofywała się w dół kręgosłupa.

Walczyli z nią codziennie. Wspomnienia pożerały go i karmiły się nim, a Yrene odpychała je i bez litości chlastała mrok, który napływał ze wszystkich stron, by go dręczyć.

Czasami w wirującej, bezdennej czerni udawało jej się dojrzeć, przez co przechodzi mężczyzna. Czula jego ból, wściekłość, winę i smutek, ale były to tylko urywki doznań Chaola, przemykające obok niej niczym strużki dymu. I choć nie rozmawiał z nią o tym, co widzi, Yrene udawało się odepchnąć falę czerni. Postępy były niewielkie – zupełnie, jakby wylupywała szczyrby w wielkim głazie – ale lepsze to niż nic.

Zamknawszy oczy, posłała naprzód swą moc, która wnikała w jego nogi niczym rój białych świetlików, odszukiwała uszkodzenia, oblepiała poszarpane nerwy, które nie reagowały podczas ćwiczeń, choć powinny aż płonąć życiem i energią.

– Trochę ostatnio czytałam – odezwała się, skupiona na ćwiczeniu stawu biodrowego. – Szukałam informacji o tym, jak starożytne uzdrowicielki radziły sobie z urazami kręgosłupa. Jedna z nich imieniem Linqin była w stanie stworzyć magiczną uprzęż dla całego ciała, coś na kształt magicznego egzoszkieletu, który umożliwiał człowiekowi dotarcie do uzdrowicielki lub dalsze funkcjonowanie, jeśli leczenie kończyło się fiaskiem.

Chaol uniósł brew.

– Pewnie nie masz nic takiego, co?

Yrene pokręciła głową. Opuściła jego nogę i podniosła drugą, by rozpocząć kolejną serię ćwiczeń.

– Linqin wykonała ich tylko dziesięć, a wszystkie powiązane były z talizmanami, które mógł nosić użytkownik. Zaginęły w mrokach dziejów wraz z metodami ich tworzenia. Inna uzdrowicielka, Saanvi, wedle legendy była w stanie zastąpić leczenie wstawieniem malutkiego magicznego kamiennego okrucha do mózgu...

Chaol wzdygnął się.

– Przecież nie mówię, że będę na tobie eksperymentować! – Yrene klepnęła go w udo. – Nie ma takiej potrzeby.

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Jak to możliwe, że ta wiedza została utracona? Sądziłem, że biblioteka zawiera opisy wszystkich waszych dokonań.

Yrene zmarszczyła brwi.

– Obie uzdrowicielki pracowały na naszych placówkach odległych od Torre. Oprócz samej wieży są bowiem jeszcze cztery mniejsze ośrodki na całym kontynencie, gdzie uzdrowicielki z Torre mogą mieszkać i pracować. To idealne rozwiązanie dla ludzi, którzy nie są w stanie dotrzeć do Antiki. Linqin oraz Saanvi działały w takim oddaleniu, że nim ktokolwiek uświadomił sobie potrzebę przywiezienia ich dzienników do Torre, te zdążyły już zaginać. Mamy więc do dyspozycji głównie mity i plotki.

– A ty spisujesz to? To wszystko? – Chaol wskazał ich oboje, a Yrene zarumieniła się.

– Niektóre sprawy. Pomijam sytuacje, w których zachowujesz się jak uparty osioł.

Na jego twarzy znów pojawił się ten sam uśmiech, ale Yrene odłożyła już jego nogę i odsunęła się, choć nie wstawiała z kłęczek.

– Chodzi mi o to – powiedziała, chcąc odwrócić jego uwagę od zapisków, które prowadziła w swojej komnacie – że takie rzeczy miały już miejsce. Leczone paraliż. Wiem, że długo to trwa i że bardzo chciałbyś wrócić do...

– Tak, to prawda, ale nie popędzam cię, Yrene – rzekł Chaol i podniósł się płynnym ruchem.

Gdy oboje znajdowali się na podłodze, górował nad nią. Jego rozmiary wydawały się dziewczynie niemalże przytłaczające. Powoli obracał stopą – każdy ruch stanowił dla niego wielki wysiłek, gdyż mięśnie w innych partiach nóg stawały zdecydowany opór.

Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Bez trudu rozszyfrował jej spojrzenie.

– Twój prześladowca nie będzie miał już szansy, by ci wyrządzić krzywdę, bez względu na to, czy zakończymy moją terapię jutro czy za sześć miesięcy.

– Wiem – szepnęła.

Kashin i jego ludzie nie natrafili na żadne ślady tajemniczego zamachowca. Choć przez ostatnich kilka nocy trwała cisza, Yrene z trudem udawało się jednak zmrużyć oko, nawet w bezpiecznej Torre. Tylko dzięki temu, że z sesji z Chaolem wracała skrajnie wyczerpana, mogła w ogóle zapaść w sen.

Westchnęła i rzekła:

– Myślę, że powinniśmy znów spotkać się z Nouszą. Wybierzmy się raz jeszcze do biblioteki.

Chaol przyjrzał się jej czujnie.

– A dlaczego?

Yrene, marszcząc brwi, spojrzała na otwarte okno, za którym widać było krzaki lawendy, kołyszące się na wietrze znad morza. Między gałązkami uwijały się pszczoły. Nie było ani śladu kogokolwiek, kto mógłby podsłuchiwać.

– Bo nadal nie zapytaliśmy, jak doszło do tego, że te księgi i zwoje się tam znalazły.

\*\*\*

– Nie mamy żadnych dokumentów potwierdzających zakup tak starych pism – powiedziała Nousha w ojczystym języku Yrene i Chaola, choć jej zaciśnięte mocno usta znamionowały dezaprobatę.

Wokół trwała gorączkowa krzątanina. Uzdrowicielki i asystentki wpadały do środka i pospiesznie wybiegały, a niektóre zwalniały, by szepnąć kilka słów powitania do Noushy i Yrene. Na szerokiej poręczy kanapy przy ogromnym kominku wylegiwała się dziś pomarańczowa kocica Baast, która nie spuszczała z nich swych berylowych oczu.

Yrene uśmiechnęła się do Noushy najserdeczniej jak umiała.

– Ale może ktoś gdzieś napisał, do czego te książki były tu w ogóle potrzebne?

Nousha oparła ciemne przedramiona na blacie biurka.

– Niektórzy ludzie powinni się porządnie zastanowić, czego właściwie szukają w bibliotece, zwłaszcza jeśli ktoś na nich poluje. Co, zwróć uwagę, zaczęło się mniej więcej wtedy, gdy zaczęłaś się

interesować tym tematem.

Chaol pochylił się na fotelu i błysnął zębami.

– Czy to groźba?

Yrene odpędziła go machnięciem ręką.

„Kolejny nadopiekuńczy mężczyzna” – pomyślała, a głośno rzekła:

– Wiem, że to niebezpieczna wiedza i przypuszczalnie związana z tym, co się wydarzyło. Ale właśnie z tego względu, Nousho, wszelkie dodatkowe informacje o tych materiałach, jak choćby to, skąd pochodzą i kto je nabył, mogą okazać się niezwykle istotne.

– By on znów zaczął chodzić. – W suchym zdaniu Noushy kryło się niedowierzenie.

Yrene nawet nie odważyła się spojrzeć na Chaola.

– Sama widzisz, że postępy są powolne – wycedził Chaol. – Może badacze z dawnych czasów znali sposoby, by to przyspieszyć.

Spojrzenie, którym obrzuciła ich Nousha, świadczyło o tym, że kobieta nie wierzy w absolutnie nic z tego, co słyszy, ale westchnęła i spojrzała w sufit.

– Jak już powiedziałam, nie ma żadnych archiwów z tak dawnych czasów. Ale – dodała, widząc, że Chaol otwiera już usta – podobno na pustyni istniały jaskinie, w których przechowywano takie informacje. O większości z nich zaginął słuch, ale jedna z tych jaskiń znajdowała się w Oazie Aksara.

Yrene skrzywiła się, ale Nousha spojrzała na nią znacząco.

– Może powinniście rozpocząć poszukiwania tam?

\*\*\*

Yrene przygryzała wargę, gdy opuszczali bibliotekę. Chaol dotrzymywał jej kroku.

Gdy byli już blisko głównego korytarza Torre prowadzącego do dziedzińca, gdzie czekał koń, którym miał wrócić do pałacu, mężczyzna spytał:

– Czemu się tak wzdragasz?

Yrene założyła ramiona na piersi i rozejrzała się dookoła. O tej porze dnia, chwilę przed krzątaniem obiadową, panował tu jeszcze spokój.

– Chodzi o tę oazę. Aksarę. Tam nie jest tak łatwo dotrzeć.

– To daleko?

– Nie, nie o to chodzi. To miejsce należy do rodziny królewskiej i nikt nie ma tam prawa wstępu. To ich osobisty azyl.

– Ach. – Chaol podrapał się po zaroście porastającym jego szczękę. – A prośba o prawo do wstępu wywoła wiele pytań.

– Otóż to.

Mężczyzna przyglądał się Yrene, mrużąc oczy.

– Nawet się nie waży proponować, bym poprosiła o to Kashina – syknęła.

Chaol uniósł dłonie i przewrócił oczami.

– Nigdy bym się nie ośmielił. Choć pamiętam tę noc, kiedy pstryknęłaś palcami, a on się natychmiast pojawił. Dobry z niego człowiek.

Yrene oparła ręce na biodrach.

– To może zaprosisz go na romantyczny wypad na pustynię?

Chaol zachichotał i podążył za nią ku dziedzińcowi.

– Nie jestem biegły w dworskich intrygach, ale wydaje mi się, że masz jeszcze jeden interesujący kontakt.

– Hasar. – Yrene skrzywiła się, bawiąc się końcem loka. – Ostatnio nie prosiła mnie, bym odgrywała dla niej rolę szpiega, ale nie jestem pewna, czy mam ochotę... No, ponownie otwierać te drzwi.

– A może uda ci się ją przekonać, że taki wypad na pustynię będzie... Wiesz, będzie fajną przygodą?

– Chcesz, bym próbowała nią manipulować? – Spojrzenie Yrene ani drgnęło.



– Znajdziemy inny sposób, jeśli to ci nie odpowiada.

– Nie, nie... Właściwie to mogłoby się udać. Sęk w tym, że Hasar jest prawdziwą mistrzynią intryg i może mnie przejrzeć. A do tego ma takie wpływy i taką władzę... Czy warto ryzykować jej gniew? Przecież mamy zaledwie jedną sugestię od Noushy.

Chaol zastanowił się dłużej nad jej słowami, tak jak robiła to tylko Hafiza.

– Dobrze to sobie przemyślimy. Z Hasar trzeba postępować ostrożnie.

Yrene wyszła na dziedziniec i dała znać jednemu z oczekujących tam strażników Torre, że należy przyczołgać lordowi konia ze stajni.

– Nie nadaję się zbyt do udziału w intrygach – przyznała Chaolowi, uśmiechając się przepraszająco, a ten w odpowiedzi musnął jej dłoń.

– Dla mnie to ożywcza zmiana.

Widząc błysk w jego oku, Yrene złapała się na tym, że mu wierzy. Przynajmniej na tyle, by jej policzki zapłonęły lekkim rumieńcem.

Odwróciła się ku ogromnej, sięgającej nieba Torre, jakby chciała zyskać nieco przestrzeni do swobodniejszego oddychania. Zadzierała wzrok coraz wyżej, aż natrafiła na swe okienko, wychodzące na morze. Ku ojczyźnie.

Gdy znów spojrzała na Chaola, jego oblicze było już ponure.

– Przykro mi, że ściągnąłem to wszystko na ciebie. Na was wszystkie – powiedział cicho.

– Przestań. Być może tego właśnie chce nasz nieprzyjaciel. Chce wykorzystać lęk i winę, by nas powstrzymać lub choć spowolnić. – Przyglądała mu się. Patrzyła, z jaką dumą unosi podbródek, chłonęła siłę, która emanowała z każdego oddechu. – Choć... choć przyznam, że czas chyba nie jest po naszej stronie i martwi mnie to – dodała. – Twoje leczenie zabiera sporo czasu i nie może być inaczej, ale... – Potarła skórę dekoltu. – Ale mam wrażenie, że nasz prześladowca nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Chaol pokiwał głową, zaciskając mocno zęby.

– Damy sobie z tym radę.

Znów to powiedział. Wspólnie. Dadzą sobie z tym radę wspólnie.

Yrene uśmiechnęła się do niego lekko, gdy rozległy się ciche kroki konia, stąpającego po jasnym zwirze. Niemniej na samą myśl o wspinaczce po schodach do swego pokoju, o kolejnych godzinach przepelnionych niepokojem... Czowała, że przemawia przez nią żalonna desperacja, ale mimo to wypaliła:

– A może miałbyś ochotę zostać na obiedzie? Kucharka będzie niepokieszona, że nie wpadłeś się przywitać.

Wiedziała, że nie przemawia przez nią tylko i wyłącznie lęk. Wiedziała, że po prostu chce spędzić z nim jeszcze kilka minut.

Przez moment Chaol po prostu się w nią wpatrywał, jakby poza nią nie było żadnej innej osoby na świecie. Przygotowała się na odmowę. Na to, że okaże jej chłodny dystans. Wiedziała, że powinna po prostu pozwolić mu odjechać w noc.

– A może zamiast tego po prostu udamy się gdzieś na obiad?

– Masz na myśli jakąś knajpkę na mieście? – Yrene wskazała otwarte bramy.

– Chyba że twoim zdaniem mój fotel na ulicach...

– Chodniki są równe – odparła. Serce waliło jej jak młot kowalski. – Masz jakieś preferencje?

Uświadomiła sobie, że właśnie przekroczyli jakąś osobliwą, niewidzialną granicę. Że porzucali neutralne terytoria i wkraczali do leżącego za nimi świata, już nie jako uzdrowicielka i jej pacjent, ale jako kobieta i mężczyzna.

– Nie ma dla mnie różnicy – powiedział Chaol, a ona zrozumiała, że to szczerze słowa. A wzrok, jakim spoglądał za otwarte bramy Torre na miasto, w którym właśnie budziło się nocne życie... Wiedziała, że naprawdę ma ochotę spróbować wszystkiego, że szuka czegoś, co oderwie go od myślenia o wiszących nad nimi cieniach. Sama zresztą również nie marzyła o niczym innym.

Dała więc znać strażnikom, że lord Westfall nie potrzebuje jednak konia. Przynajmniej na razie.

– Znam idealne miejsce – powiedziała.

\*\*\*

Chaol popychał swój fotel obok idącej obok niego Yrene. Niektórzy ludzie gapili się na nich, ale większość spieszyła się do domów bądź była zbyt zaabsorbowana obowiązkami, by zwrócić na nich uwagę. Uzdrowicielka właściwie nie musiała pomagać swojemu towarzyszkowi z wyjątkiem chwil, gdy ulica stawała się zbyt bądź trzeba było wjechać na krawężnik. Zaprowadziła go do miejsca oddalonego o pięć przecznic i w niczym nieprzypominającego żadnego lokalu w Rifthold. Wraz z Dorianem Chaol odwiedził kilka ekskluzywnych restauracji, ale przeznaczone były one dla elit, dla członków klubu oraz ich gości.

Lokal wybrany przez Yrene był do nich podobny z uwagi na to, że jego głównym przeznaczeniem było jedzenie – wszędzie widać było stoły i rzeźbione, drewniane krzesła – ale otwarty był dla wszystkich, tak jak gospody czy tawerny. Drzwi znajdujące się na froncie budynku z jasnego kamienia zamykano dopiero późno w nocy. Prowadziły one na patio, gdzie czekały kolejne krzesła i stoły. Goście mogli więc ucztować pod gwiazdami, śledzić życie toczące się na sąsiednich ulicach, a nawet wypatrzeć ciemne morze, lśniąca w świetle księżyca.

A kuszące zapachy, które dobiegały ze środka? Czosnek, coś pikantnego, coś wędzonego...

Yrene szepnęła coś do kobiety, która powitała ich przy wejściu. Przypuszczalnie poprosiła ją o stół dla dwojga, ale z jednym krzesłem, gdyż chwilę później poprowadzono ich na uliczne patio, gdzie kelner dyskretnie usunął jedno z krzesel i przystawił fotel z Chaolem bliżej blatu. Yrene usiadła naprzeciwko niego. Kilka osób odwróciło się w ich kierunku, ale gapili się na nią, a nie na niego. Wszak była uzdrowicielką z Torre.

Yrene udawała, że tego nie widzi. Kelner powrócił do nich natychmiast, by wyrecytować, co znajdowało się w menu, a uzdrowicielka złożyła zamówienie w swoim kulejącym halha. Potem przygryzła wargę i rozejrzała się dookoła.

– Może być? – spytała.

Chaol spojrział na niebo nad ich głowami, które powoli nabierało koloru szafirowego błękitu. Tu i ówdzie budziły się już na nim gwiazdy. Kiedy odprężył się po raz ostatni? Kiedy ostatni raz jadł coś nie po to, by mieć siłę do działania, ale dla samej przyjemności jedzenia?

Przez chwilę rozkoszował się tą sytuacją, a potem zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nigdy dotąd nie robiłem niczego takiego – wyrzucił z siebie w końcu.

Nawet zeszłej zimy w owej szklarni, podczas swych urodzin, które spędził z Aelin, nie przestawał myśleć o pałacu. Bez przerwy zadawał sobie w myślach pytanie, kto teraz dowodzi i gdzie jest Dorian. Lecz teraz...

– Co? Nigdy nie jadłeś obiadu?

– Nigdy nie zasiadłem do obiadu, nie będąc przy tym... Inaczej to ujmę. Nigdy nie jadłem posiłku jako ja sam. Po prostu jako Chaol.

Nie miał pojęcia, czy udało mu się to dobrze wyjaśnić i należycie się wysławić. Yrene przechyliła głowę, a gęste kosmyki jej włosów zsunęły się z ramienia.

– Dlaczego?

– Bo najpierw byłem synem oraz dziedzicem lorda Anielle, potem kapitanem Gwardii, a na końcu Królewskim Namiestnikiem.

Yrene wpatrywała się w niego intensywnie, gdy próbował wyjaśnić, co miał na myśli.

– Tutaj nikt mnie nie poznaje. Nikt nawet nie słyszał o Anielle. I przyznam, że to...

– Wyzwalające uczucie?

– Może raczej ożywcze. – Uśmiechnął się lekko, przypominając sobie, że takich słów użył już wcześniej tego dnia.

Yrene rozpromieniła się uroczo w złocistym blasku latarni stojącej w sali za ich plecami.

– Cóż... To dobrze.

– A ty? Często wychodzisz z przyjaciółmi i zapominasz o tym, że jesteś uzdrowicielką? Zostawiasz ją w domu?

Yrene przyglądała się mijającym ich ludziom.

– Nie mam wielu przyjaciół – przyznała. – Nie chodzi o to, że nie chcę ich mieć! – dodała pospiesznie, wywołując u niego uśmiech. – Chodzi o to, że w Torre... W Torre wszystkie jesteście bardzo zapracowane. Czasami wyjdziemy coś zjeść lub się napić, ale przerwy w zajęciach rzadko kiedy nam się pokrywają. Poza tym łatwiej jest zjeść coś w stołówce... Tak więc, jak widzisz, nie jesteście rozrywkową grupą. To dlatego zaprzyjaźniłam się z Kashinem i z Hasar i spędzam z nimi trochę czasu, oczywiście, gdy przebywają w Antice. Poza tymi chwilami z nimi rzadko mam okazję wyjść gdzieś i się zabawić.

O mały włos nie zapytał: „Z innymi mężczyznami?”.

– Skupiałaś się na innych rzeczach – powiedział zamiast tego.

Yrene pokiwała głową.

– Może kiedyś znajdę czas na to, by wychodzić i dobrze się bawić, ale... Przecież są ludzie, którzy potrzebują mojej pomocy. Byłabym bardzo samolubna, gdybym żądała wolnego czasu dla siebie, nawet teraz.

– Nie powinnaś tak myśleć.

– Nie jesteś lepszy ode mnie.

Chaol zachichotał i rozparł się na fotelu. Po chwili pojawił się kelner z dzbanem schłodzonej miętowej herbaty. Chaol odczekał, aż mężczyzna postawi go na stole, po czym rzekł:

– Może oboje nauczymy się jeszcze żyć tak jak należy. Jeśli przetrwamy tę wojnę.

Jego słowa były niczym ostry, zimny nóż wbity w blat między nimi. Yrene jednakże wyprostowała się i uniosła swój kieliszek.

– Za życie, lordzie Chaolu – oznajmiła. Z jej lekkiego uśmiechu przebijała hardość i zawziętość. Mężczyzna trącił jej kieliszek własnym.

– Za bycie Yrene i Chaolem. Nawet jeśli tylko przez jedną noc.

\*\*\*

Chaol jadł do chwili, gdy ledwie mógł się ruszać. Z każdym kęsem przyprawy użyte podczas gotowania roztaczały przed nim nowe uroki.

Sporo rozmawiali przy kolacji. Yrene opowiadała mu o swoich pierwszych miesiącach w Torre i o wyzwaniach, jakie stawiała przed nią nauka, a potem zapytała o to, jak przebiegało jego szkolenie na kapitana. Chaol się zawahał. Nie chciał jej opowiadać o Brullu i reszcie, ale... Ale nie mógł odmówić jej tej przyjemności. Nie mógł nie zaspokoić jej zainteresowania.

Co ciekawe, opowieść o Brullu, mężczyźnie, który okazał się dla niego lepszym ojcem niż jego własny, bolała mniej, niż sądził. W sercu poczuł lekkie ukłucie, ale potrafił to znieść.

Ba, uświadomił sobie nawet, że czyni słusznie. Opowiadając tę historię, mógł przecież uczcić pamięć Brulla, a w takiej sytuacji ból w sercu wydawał się niską ceną.

Rozmawiali i jedli, a gdy skończyli, Chaol odprowadził Yrene pod lśniące mury Torre. Dziewczyna sama wydawała się jaśnieć, gdy uśmiechała się, czekając, aż służba podprowadzi mu konia.

– Dziękuję – powiedziała, rozpromieniona i zarumieniona. – Za wspólny posiłek i za twe towarzystwo.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł szczerze Chaol. – Zobaczymy się jutro rano w pałacu, prawda?

Pytanie było niepotrzebne, ale uzdrowicielka i tak pokiwała głową. Przystąpiła z nogi na nogę, nadal uśmiechnięta, nadal rozpromieniona, zupełnie jakby była ostatnim, pełnym życia odblaskiem słońca, który barwił niebo długo po zachodzie.

– Co znowu? – spytała.

Chaol uświadomił sobie, że się na nią gapi.

– Dziękuję ci za ten wieczór – powiedział, dusząc w sobie słowa, które tłoczyły się w jego głowie. Chciał wszak powiedzieć, że nie może oderwać od niej wzroku.

Yrene znów przygryzła wargę. Zachrząsał żwir pod kopytami zbliżającego się konia.

– Dobranoc – szepnęła i cofnęła się o krok.

Chaol wyciągnął rękę, chcąc musnąć palcami jej dłoń. Yrene zamarła. Zamknęła dłoń, jakby jej palce były płatkami nieśmiałego kwiatu.

– Dobranoc – odparł po prostu.

I gdy wracał do opromienionego pałacu, jaśniejącego na całe miasto, mógłby przysiąc, że wielki ciężar, który nosił w sercu i na barkach, znikł bez śladu. Miał wrażenie, że przeżył z nim całe swe dotychczasowe życie, zupełnie go nieświadom, a teraz, pomimo troski o Adarlan i wszystkich bliskich, mimo mroku i cieni, ten ciężar całkiem wyparował.

Czuł w sobie dziwną lekkość, której nie doświadczył nigdy wcześniej.

Strażnica Eidolon wyrastała spośród spowitych mgłą sosen niczym złamany miecz. Zbudowano ją na płaskim wierzchołku, z którego rozciągał się widok na monstrualny łańcuch górski. Nesryn i Sartaq wprawdzie przemknęli niedaleko wieży, a potem przelecieli nad czubkami drzew. Łuczniczka spojrzała ku górom i pomyślała, że mkną na spotkanie ogromnej fali twardego kamienia.

Przez ułamek sekundy widziała pędzącą ku niej śmiercionośną falę szkła. Zamrugła i szkło znikło.

– O, tam – szepnął Sartaq, jakby się bał, że ktoś go usłyszy, gdy wskazywał ogromne góry czające się w oddali. – Widzisz ten klif? Za nim rozciąga się terytorium *kharankui*, zwane Łańcuchem Dagul. obrońcy strażnicy byli w stanie dostrzec wszystko, co stamtąd nadciągało, tym bardziej że cechował ich wzrok Fae.

Nesryn, choć o takich możliwościach mogła jedynie pomarzyć, uważnie przyjrzała się jałowemu zboczom Łańcucha Dagul, które przypominały wały głazów i skalnych odłamków. Nie dostrzegła żadnych drzew ani strumieni, zupełnie jakby umknęło stamtąd wszelkie życie.

– I Houlun poleciała tam?

– Możesz mi wierzyć – burknął Sartaq. – Nie jestem z tego zadowolony. Borte oberwało się za to dziś rano.

– Cud, że masz jeszcze obie całe rzepki.

– Nie zauważyłaś, że utykam?

Choć byli tak blisko przestarzej strażnicy, a za nią wyrastał mur złowieszczych gór, Nesryn zachichotała. Mogłaby przysiąc, że Sartaq przysunął się bliżej. Jego szeroka klatka piersiowa napierała na łuk i kołczan, które przytroczyła sobie do pleców, wraz z dwoma nożami, otrzymanymi od Borte.

Nie powiedzieli nikomu, dokąd się wybierają ani czego szukają, przez co Borte podczas śniadania nie przestawała ich obrzucać gniewnymi spojrzeniami. Falkan, siedzący po przeciwnej stronie okrągłego stołu, przyglądał im się z zaciekawieniem. Zeszłej nocy, nim Sartaq rozstał się z Nesryn przed drzwiami jej komnaty, uzgodnili jednak, że przede wszystkim muszą dbać o zachowanie tajemnicy. Przynajmniej na razie.

Wyruszyli więc godzinę po świcie, uzbrojeni po zęby i obciążeni kilkoma workami zapasów. Mieli zamiar wrócić do domu na długo przed zachodem słońca, ale Nesryn wymogła na księżciu, by zabrali wszystko, co może się przydać.

„Któż może wiedzieć, co się nam przytrafi? – oznajmiła. – Wolę być gotowa na wszystko”.

Borte, choć wściekała się na to, że o niczym jej nie powiedziano, po śniadaniu zaplotła Nesryn elegancki i zwarty warkocz, rozpoczynający się na czubku głowy, a kończący się na wysokości kołnierza płaszczka, który zakrywał skórzany strój do podniebnych wypraw. Warkocz był tak ciasny, że Nesryn co rusz walczyła z pokusą, by go poluznić, ale nie uległ podmuchom wiatru nawet po kilku godzinach lotu, więc uznała, że się nadaje i nie będzie go rozplatać.

Kadara zatoczyła podwójny krąg nad wieżą, schodząc coraz niżej.

– Ani śladu sieci – stwierdziła Nesryn.

Górne partie strażnicy zostały już dawno zniszczone przez burze bądź też armie, które przechodziły tędy wieki temu. Po dziś dzień przetrwały jedynie dwa piętra, oba wystawione na działanie żywiołów. Spiralne schody we wnętrzu pokryte były ziemią i igliwem. Tu i ówdzie widać było również połamane belki i pokruszone głązy, ale nigdzie żadnych oznak życia. Nesryn nie dostrzegła też śladów cudem zachowanej biblioteki.

Sartaq obawiał się, że mury strażnicy mogą się skruszyć pod ciężarem ruka. Skierował więc Kadarę na poszukiwanie polany, na której ogromny ptak mógłby swobodnie wylądować. Wkrótce Nesryn i Sartaq znaleźli się na ziemi i rozpoczęli wspinaczkę w górę zbocza ku strażnicy, a Kadara machnęła skrzydłami i wzbiła się w powietrze. Wyglądało na to, że będzie krążyć nad ich głowami, aż Sartaq przywoła ją gwizdnięciem.

Gwizdanie było kolejną tradycją wspólną dla *rukhin* i Darghanów ze stepów. W ten sposób oba ludy potrafiły się komunikować w sposób niemalże niezauważalny dla obcych. Mogli dzięki temu przekazywać wiadomości na nieprzyjaznym terytorium lub przez szeregi wrogiego wojska. Jeźdźcy rúków najwidoczniej nauczyli również swoje wierzchowce sztuki rozpoznawania gwizdów, dzięki czemu wiedziały, kiedy przyjść im z pomocą lub rzucić się do ucieczki.

Oboje pięli się wśród grubych sosen i granitowych głazów, a Nesryn z każdym stawianym z mozołem krokiem modliła się, by rzeczywiście wystarczyło gwizdnięcie, by przywołać ptaka. Nie była wytrawną tropicielką, ale wyglądało na to, że Sartaq umiejętnie odczytywał znaki z okolicy.

Wystarczyło, by pokręcił głową, a Nesryn zrozumiała przekaz. Nigdzie wokół nich nie było śladu życia, zarówno ludzkiego, jak i pajęczego. Zamaskowała ulgę. Choć skrywał ich gęsty las, nie mogła zapomnieć o Łańcuchu, który nadal górował nad nimi i nieustannie przyciągał wzrok.

Najpierw powitały ich bloki kamienne, ogromne, niemalże prostokątne głazy, do połowy zagrzebane w glebie i igliwiu. Choć na bezchmurnym niebie prażyło letnie słońce, powietrze było tu chłodne, a w cieniu pod drzewami przeszywały ich dreszcze.

– Nie obwiniam ich o to, że porzucili to miejsce – mruknęła Nesryn. – Nawet latem jest tu chłodno. Możesz sobie wyobrazić tę strażnicę zimą?

Sartaq uśmiechnął się, ale przytknął palec do ust, gdyż docierali do skraju lasu otaczającego strażnicę. Zawstydzona cichą reprimendą Nesryn zdjęła łuk i nałożyła strzałę na cięciwę. Oboje zadarli głowy, by przyjrzeć się wieży.

Tysiące lat temu strażnica musiała być naprawdę potężna, skoro nawet na widok ruin Nesryn czuła się drobna. Stojące tu niegdyś domostwa czy koszary zabrał już czas, ale przetrwało kamienne, zwieńczone łukiem wejście do wieży. Po obu jego stronach stały identyczne posągi jakichś ptaków, których kształty zatarła furia żywiołów.

Sartaq podszedł bliżej. Ostrze jego długiego noża migotało niczym rtęć w rozmytym świetle słońca.

– Myślisz, że to ruki? – szepnął ledwie słyszalnym głosem.

Nesryn zmrużyła oczy.

– Nie, popatrz tylko na ich dzioby... Nie, to... to sowy!

Patrzyli na posągi wysokich, smukłych sów o skrzydłach ciasno przylegających do ciała. Sowy były przecież symbolem Silby. Znakiem Torre.

Grdyka Sartaqa podjechała w górę i opadła.

– Pospieszmy się. Nie ma co się ociągać.

Nesryn skinęła głową i zerkając za siebie, wślizgnęła się w ślad za księciem do wnętrza strażnicy. Często pełniła rolę straży tylnej – w kanałach pod Rifthold puszczała Chaola przodem, a sama kryła tyły, celując grotem strzały w ciemność za ich plecami. Kiedy więc Sartaq ruszył przed siebie, zareagowała instynktownie i obróciła się, ze strzałą na cięciwie lustrując las.

Nic. Nie słyszała nawet szelestu ptaka pośród sosen.

Odwróciła się w ślad za księciem uderzenie serca później. Jej umysł nie wyszedł z wprawy – odruchowo taksowała wzrokiem otoczenie, zapamiętując wyjścia, szukając pułapek i rejestrując ewentualne osłony i schronienia. Wśród ruin nie dostrzegła jednak wielu szczegółów godnych uwagi.

Strażnicy brakowało dachu, przez co wewnątrz było stosunkowo jasno. Kruszące się, spiralne schody wiodły ku szaremu niebu. Nesryn widziała wąskie okna w ścianach, przy których podczas oblężenia czuwali łucznicy, a w zimowe dni mieszkańcy podziwiali okolicę, ciesząc się ciepłem panującym w środku.

– Na górze nie ma nic – oznajmiła Nesryn, być może niepotrzebnie. Odwróciła się w stronę Sartaqa, który zrobił krok w kierunku zwieńczonego łukiem, otwartego wejścia do podziemi. Złapała go za ramię. – Nie rób tego.

Książę spojrział na nią z niedowierzaniem, ale twarz Nesryn była niewzruszona, niczym wykuta z kamienia.

– Twoja *ehj* powiedziała, że te wieże roją się od pułapek. To, że jeszcze żadnej nie widzieliśmy,

nie oznacza, że ich tu nie ma. – Wskazała grotem strzały wejście do podziemi. – Zachowujemy ciszę. Ostrożnie stawiamy kroki. Ja ruszam pierwsza.

Niech szlag trafi straż tylną. Nie mogła pozwolić, by książe wdepnął w pułapkę. Oczy Sartaa rozbłysły, ale nie dopuściła go do głosu.

– Walczyłam z potworami Morath całą wiosną i lato. Wiem, jak wyczuć ich obecność. Wiem też, jak uderzać, by zabić.

Sartaq przyjrzał się jej ponownie.

– Naprawdę powinni cię awansować.

Nesryn uśmiechnęła się i puściła jego muskularne ramię. Skrzywiła się, uświadomiwszy sobie, na co się właśnie poważyła. Przecież złapała księcia za rękę bez jego zgody!

– Każde z nas jest kapitanem, pamiętasz? – oznajmił Sartaq, który zauważył nagłą niepewność na jej twarzy, której nie zdołała zamaskować.

Fakt. Dziewczyna pochylała głowę i stanęła przed nim, a potem ostrożnie wkroczyła na schody, prowadzące ku podziemiom. Napięła cięciwę, przesywając wzrokiem ciemność na klatce schodowej, ale nic na nich nie wyskoczyło. Ostrożnie zwołnia strzałę z cięciwy, wsunęła ją z powrotem do kołczanu, po czym podniosła garść kamieni i odłamków skalnych z ziemi.

Znajdujący się krok za nią Sartaq zrobił to samo.

Wyteżywszy słuch, Nesryn ujęła jeden z kamieni i rzuciła nim w dół schodów. Ten spadał ze stukotem, aż...

Nagle rytmiczny stukot zakłóciło ciche kliknięcie. Nesryn odskoczyła do tyłu, wpadła na Sartaa i przewróciła go na ziemię. W dole schodów rozległ się głuchy łoskot, a po nim kolejny.

Potem spowiła ich ciężka cisza, zakłócana jedynie ich chrapliwymi oddechami. Nesryn znów wyteżyła słuch.

– Ukryte belty – stwierdziła. Skrzywiła się, uświadomiwszy sobie, że twarz Sartaa znajduje się tuż obok jej.

Nie spuszczał oczu ze schodów. Jedną dłoń trzymał na plecach dziewczyny, a w drugiej ścisnął rękę noża.

– Wygląda na to, że zawdzięczam ci życie, pani kapitan – powiedział.

Nesryn podniosła się szybko i podała mu rękę. Sartaq zacisnął na niej palce, a łuczniczka pomogła mu wstać. Dłoń księcia okazała się ciepła.

– Nie przejmuj się – odparła sucho Nesryn. – Nie powiem Borte.

Rzuciła jeszcze kilka kamieni w dół schodów. Rozległo się kilka kolejnych kliknięć i łoskotów, aż wreszcie następne kamienie powitała cisza.

– Schodzimy powoli – oznajmiła. W jej głosie nie było już ani śladu wesołości. Nie czekając na reakcję księcia, ostukała pierwszy stopień końcem łuku. Obmacała go dokładnie, a potem przyjrzała się ścianom i sufitowi. Nic. Powtórzyła procedurę na kolejnych stopniach, sięgając tak daleko łukiem, jak tylko się dało, a ruszała naprzód dopiero, gdy była w pełni przekonana, że nie czai się tam na nich żadna pułapka.

Nie natrafiła na nic aż do pierwszego zakrętu spiralnych schodów.

– Ja naprawdę zawdzięczam ci życie – szepnęła Sartaq.

Oboje patrzyli na żelazne ostrza z zadziornymi, wystrzelone ze szczeliny w ścianie. Wykuto je po to, by wbijały się w ciało i pozostawały w nim, chyba że ofiara byłaby gotowa wyszarpnąć je razem ze własnymi wnętrznościami.

Zostały wystrzelone z taką siłą, że wbiły się mocno w zaprawę między kamieniami.

– Pamiętaj, że te pułapki nie zostały zastawione na ludzi – szepnęła Nesryn.

„Ale na pająki wielkości koni – dodała w myślach. – Które potrafią mówić, planować i zapamiętywać”.

Ostukała stopień przed nimi. Za którymś uderzeniem rozległo się puste echo i Nesryn natrafiła na szczelinę, z której wyleciał pocisk.

– Fae, gdy tu mieszkali, zapewne wiedzieli, na których stopniach nie wolno im stawiać stóp –

stwierdziła kilka kroków dalej. – Ale nie sądzę, by byli na tyle głupi, by zastosować prosty system.

W rzeczy samej, kolejny bełt tkwił w ścianie trzy stopnie niżej. Następny – pięć stopni dalej. A potem... Sartaq wydobył garść swoich kamieni. Oboje ukucnęli, gdy zaczął je zrzucić w dół.

Klik!

Nesryn była tak skupiona na ścianach, że nawet nie zarejestrowała, skąd dobiegł odgłos. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że z dołu.

Uderzenie serca później stopień zaczął usuwać się jej spod stóp. Oczom zaskoczonych łuczniczki ukazała się ziejąca czarna dziura tuż pod nią...

Silne dłonie złapały ją za ramię i kołnierz, jakieś ostrze z brzękiem spadło na kamienną podłogę.

W ostatniej chwili zdołała się złapać najbliższego stopnia, przytrzymywana przez stękającego pod jej ciężarem Sartaqa. Jego długi nóż spadł w przepaść i kilkakrotnie odbił się od czegoś metalowego. Poniosło się metaliczne echo.

Kolce. Zapewne całe mnóstwo kolców, czekających na spadającą ofiarę.

Sartaq wciągał ją z mozołem. Nesryn łamała paznokcie na gładkim kamieniu, desperacko walcząc o życie, ale wreszcie wdrapała się na stopień. Ciężko oddychając, leżała między nogami równie zdyszanego księcia. Oboje spojrzeli w przepaść.

– Chyba mamy remis – oznajmiła Nesryn, bezskutecznie próbując opanować drzenie. Książę zacisnął dłoń na jej ramieniu, a drugą pogłodził ją po głowie. Zwykły pokrzepiający gest.

– Budowniczości tego miejsca nie mieli litości dla *kharankui* – oznajmił.

Minęła minuta, nim Nesryn opanowała drzenie. Sartaq czekał cierpliwie i gładził ją po głowie. Jego palce muskały koniec zaplecionego przez Borte warkocza. Nie miała nic przeciwko. Jego dotyk dodawał jej otuchy, gdy wpatrywała się w przepaść, którą teraz mieli przeskoczyć.

Kiedy jej kolana uspokoiły się na tyle, by mogła wreszcie wstać, oboje ostrożnie przeskoczyli nad dziurą. Potem pokonali kilka kolejnych stopni, nim natrafili na następną zamaskowaną przepaść, której tym razem towarzyszył bełt. Pokonali i ją, i powoli, krok za krokiem, minuta po minucie, dotarli na sam dół.

Przez starannie ukryte otwory na wyższym piętrze – lub być może dzięki przemyślnemu systemowi luster? – na dół przenikały słupy światła. Nesryn nie zaprzętała sobie tym głowy. Grunt, że było stosunkowo widno.

A ich oczom ukazały się lochy.

Pięć otwartych cel z wyrwanymi drzwiami. Prostokątny kamienny stół w samym środku. Po więźniach czy strażnikach oczywiście nie było już ani śladu.

– Każdy, kto utrzymuje, że Fae to rozbrykane istoty oddane poezji i śpiewom, powinien to ujrzeć – mruknął Sartaq. Stali na ostatnim stopniu, bojąc się zejść na podłogę. – Ten kamienny stół też nie był wykorzystywany do pisania raportów czy jedzenia.

W istocie jego powierzchnię szpeciły ciemne plamy, a przy ścianie stał stół roboczy, na którym leżało mnóstwo broni. Wszelkie papierowe dokumenty już dawno rozsypały się w proch, a oprawione w skórę księgi również znikły.

– Rzykujemy czy opuszczamy to miejsce? – zastanawiał się Sartaq.

– Skoro dotarliśmy aż tak daleko? – mruknęła Nesryn i zmrużyła oczy, wpatrując się w przeciwną ścianę. – Tam! Widzę jakiś napis.

Nisko nad podłogą w istocie ciągnęły się ciemne litery. Książę wsunął dłonie do kieszeni i rozrucił po podłodze jeszcze kilka kamieni, ale tym razem nie odpowiedziały im żadne kliknięcia. Rzucił kilkoma kamykami w sufit oraz w ściany. Nic.

– Mnie to wystarczy – oznajmiła Nesryn.

Sartaq pokiwał głową i oboje zeszli na podłogę, choć przed wykonaniem kroku dokładnie sprawdzali każdy kamień, Nesryn końcem łuku, a książę ostrzem swego wspaniałego, wąskiego miecza. Minęli kamienny stół, a dziewczyna odwróciła głowę od rozrzuconych narzędzi.

Widziała ludzi Chaola, zwisających z bram zamkowych. Widziała ślady na ich ciałach.

Sartaq jednakże zatrzymał się przy stole i obejrzał broń.



– Niektóre są nadal ostre – zauważył.

Nesryn podeszła bliżej i ujrzała, jak książę wysuwa długi sztylet z pochwy. Rozmyte światło słoneczne odbiło się od klingi i zamigotało wzdłuż wygrawerowanych na niej znaków. Nesryn sięgnęła po krótki miecz leżący obok. Skórzana pochwa niemalże rozpadła się jej w dłoni. Otarła rękę z nagromadzonego przez wieki brudu i ujrzała błyszczący, ciemny metal inkrustowany wzorami ze złota. Jelec był nieco wykrzywiony w stronę ostrza.

Uniosła miecz, strząsając resztki futerału. Był lekki pomimo rozmiarów i wydawał się idealnie wyważony. Na zbieżności widniały kolejne znaki, być może układające się w imię właściciela bądź modlitwę.

– Tylko broń Fae może pozostać tak ostra po upływie tysiąca lat – rzekł Sartaq i odłożył nóż. – Przypuszczalnie wyszły spod młotów kowali Fae w Asterionie, na wschód od Doranelle. Może pochodzą nawet sprzed pierwszej wojny z demonami.

Czyli Sartaq studiował nie tylko historię własnego imperium, ale i wielu innych. Historia nie była najmocniejszą stroną Nesryn, więc zapytała:

– W Asterionie? Słyszałam o asteriońskich koniach.

– Właśnie stamtąd pochodzą. Asterion jest stolicą wspaniałych kowali i hodowców koni. Czy raczej był, zanim zamknięto granice, a świat spowił cień.

Nesryn przyjrzała się krótkiemu mieczowi trzymanemu w dłoni. Nie licząc rzędów znaków wzdłuż ostrza, metal lśnił, jakby przesycono go blaskiem gwiazd.

– Ciekawe, co oznacza ten napis.

Sartaq oglądał kolejne ostrze. Po jego przystojnej twarzy przesuwały się refleksy.

– To przypuszczalnie czary broniące przed wrogiem. Być może nawet przed samymi...

Urwał. Nesryn pokiwała głową. Wiedziała, że ma na myśli Valgów.

– Mam wielką nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy.

Odwróciła się od Sartaqa, który nadal przebierał wśród broni, wsunęła krótki miecz za pas i podeszła do ściany, na której znajdował się ów nakreślony tuż nad podłogą napis. Zbadała każdy kamień, ale nie natrafiła na nic szczególnego. W końcu spojrzała na sam napis, wyblakły na skutek upływu czasu. Litery nie były czarne, ale...

– To krew – oznajmił Sartaq, który podszedł do niej. U boku miał asterioński nóż. Nigdzie nie było ciała tego, kto mógł napisać te słowa, ani nawet śladu po nim.

– Język Fae – stwierdziła Nesryn. – Nie sądzę, by któryś z twoich niezwykłych nauczycieli wbił ci do głowy Starą Mowę podczas lekcji historii?

Książę pokręcił głową. Nesryn westchnęła.

– Powinniśmy jakoś go skopiować. Chyba, że masz pamięć jak...

– Nie. – Sartaq zaklął i odwrócił się ku schodom. – Mam gdzieś papier i atrament w jukach Kadary. Mógłbym...

Urwał w pół słowa, ale nie to sprawiło, że Nesryn obróciła się błyskawicznie. Zaalarmowało ją to, że Sartaq znieruchomiał, jakby zamienił się w kamień.

Odruchowo dobyła miecza Fae.

– Nie ma sensu niczego tłumaczyć – rozległ się kobiecy głos, mówiący w halha. – Napisano tam: „Spójrz w górę. Szkoda, że jesteś tak nieostrożny”.

Nesryn uniosła wzrok i spojrzała na to, co wyłoniło się z klatki schodowej i pelzło po suficie ku nim. Zdusiła w sobie krzyk przerażenia.

Był o wiele okropniejszy, niż Nesryn mogła sobie wyobrazić.

*Kharankui*, który zsunął się z sufitu, był ucieleśnieniem najgorszych koszmarów. Rozmiarami przewyższał konia. Jego skóra była czarna i szara, tu i ówdzie poznaczona plamkami bieli, a dziesiątki ślepi wyglądały jak bezdenne, obsydianowe stawy. Pomimo swoich ogromnych rozmiarów pajęczycza była smukła i zwinna niczym czarna wdowa.

– Ci smakowici Fae zapomnieli o patrzeniu w górę, gdy budowali to miejsce – powiedziała. Choć wyglądem wzbudzała obrzydzenie, jej głos był słodki i czarujący. Długie przednie nogi szurały cicho po prastarym kamieniu. – Nie pamiętali, na kogo zastawiali te pułapki.

Nesryn zerknęła na schody za potworem, szukając jakiegokolwiek drogi ucieczki. Niczego nie znalazła. Strażnica niespodziewanie stała się dla nich pułapką.

„Ależ ze mnie idiotka – pomyślała. – Czemu nie wynieśliśmy się stąd w diabły?”

Szpony na końcach pajęczych odnóży zachrobotowały o kamienie. Nesryn schowała swój krótki miecz.

– Dobrze – mruknęła pajęczycza. – Te żalosne graty Fae nie na wiele ci się zdadzą i cieszę się, że o tym wiesz.

Nesryn zerwała z pleców łuk i nałożyła strzałę na cięciwę. Pajęczycza roześmiała się.

– Skoro łucznicy Fae nie dali mi rady wiele lat temu, tobie też się nie uda.

Stojący obok niej Sartaq uniósł nieco miecz.

Dziś rano, gdy Borte zaplatała jej warkocz, nie przyszło jej nawet do głowy, że tego dnia może ponieść śmierć.

Nie miała jednak wyboru. Pająk zbliżał się, a z jego szczęk wysunęły się kły.

– A gdy skończę z tobą, jeźdźcze, zabiorę się za twego ptaka. I obiecuję ci, że będzie wrzeszczał z bólu.

Z kłów pajęczycy ściekały jakieś krople. Jad.

Nesryn wypuściła strzałę, a po niej drugą, zanim pierwsza trafiła do celu. Pajęczycza jednakże poruszała się tak szybko, że pocisk, który miał trafić ją w ślepia, ugodził w pancerz podbrzusza, tak twardy, że ledwie w nim utkwiał. Potwór zaś spadł na kamienny stół do tortur, jakby chciał się od niego odbić i skoczyć na nich.

Wtedy Sartaq chlasnął go po najbliższej pazurzastej łapie.

Pajęczycza wrzasnęła, a z rany trysnęła czarna krew. Książę i łuczniczka rzucili się ku odległym drzwiom.

*Kharankui* okazała się szybsza. Wparła nogi między kamienny stół a ścianę. Była tak blisko, że wyraźnie czuli zapach śmierci ściekający z jej kłów.

– Ludzkie ścierwo! – parsknęła, pryskając jadem, którego kropelki padły u ich stóp.

Kątem oka Nesryn zauważyła, że Sartaq wyciąga ku niej ramię, by ją odepchnąć, jak sam skacze, by zasłonić ją przed morderczymi szczękami potwora.

W pierwszej chwili nie wiedziała, co się dzieje. Nie wiedziała, co śmignęło przed jej oczami, co sprawiło, że *kharankui* wrzasnęła.

Jeszcze przed chwilą chciała skoczyć na pomoc Sartaqowi, który jak ostatni idiota postanowił zaryzykować dla niej życiem, a teraz oszołomiona patrzyła na pająka, który toczył się po pomieszczeniu jak wystrzelony z procy.

Pojawił się ktoś jeszcze. Nie Kadara, ale jakieś duże stworzenie, zbrojne w kły i pazury.

Szary wilk, wielki niczym kuc, groźny i szalejący.

Sartaq nie tracił ani chwili, Nesryn również nie. Skoczyli ku schodom, nie dbając o to, ile beltów czy strzał czekało na nich w ścianie. Pędzili bowiem tak szybko, że żaden pocisk nie był w stanie ich zahaczyć. Biegli i przeskakiwali przez dziury, nie odwracając się za siebie, a z dołu dobiegały odgłosy zacieklej walki.

Rozległo się szczeknięcie, a potem zapadła cisza.

Wybiegli na górę, wypadli przez zwieńczone łukiem wejście i popędzili ku drzewom. Książę opierał dłoń na jej plecach i popychał ją lekko, choć oboje co chwila odwracali się ku strażnicy.

Pajęczycza wystrzeżiła z mroku, kierując się nie ku drzewom, ale ku górnym partiom wieży, jakby chciała przyciąć się na ścigającego ją wilka. Zgodnie z jej oczekiwaniami wilk wyskoczył na zewnątrz tuż po niej. Gnał ku drzewom, nie rozglądając się nawet dookoła.

Pajęczycza skoczyła. W tej samej chwili zaśnieło spadające z nieba złoto.

Okrzyk bojowy Kadary wprawił świerki w drzenie. Szpony ruka wbiły się w brzuch pajęczycy i cisnęły ją w dół schodów.

Wilk uskoczył na bok. Sartaq wykrzychał ostrzeżenie dla swego ruka, ale wrzask Kadary oraz pajęczycy zagłuszył jego słowa. Strażona *kharankui* wylądowała na grzbiecie, dokładnie tam, gdzie zaplanowała to Kadara.

Odslaniając podbrzusze prosto przed pazurami ruka i jego dziobem ostrym niczym nóż.

Kilka brutalnych chłaśnieć, tryskająca czarna krew, drgające smukłe odnóża i...

Cisza.

Łuk Nesryn zwiśł z jej drżących dłoni, gdy patrzyła, jak Kadara rozszarpuje na kawałki wciąż przeszywaną drgawkami pajęczycę. Obróciła się ku Sartaqowi, ale ten patrzył gdzieś indziej.

Na wilka.

Odgadła prawdę, gdy tylko wilk ruszył ku nim, utykając z powodu głębokiej rany w boku. Zrozumiała wszystko, gdy dostrzegła jego ciemnoszafirowe oczy. Wiedziała, kim jest i czym jest.

Wtedy, jakby na potwierdzenie jej domysłów, szara sierść zamigotała, a ciało wypełniło falujące światło. Po chwili, chwiejąc się, stanął przed nimi Falkan, który przyciskał dłoń do krwawiącej rany.

– Jesteś zmiennokształtnym – szepnęła Nesryn.

Falkan padł na kolana, rozrzucając sosnowe igliwie. Między jego palcami spływała krew. Nesryn chciała doskoczyć, by mu pomóc, ale zatrzymało ją wyciągnięte ramię Sartaq.

– Nie rób tego! – ostrzegł ją.

Łuczniczka odepchnęła go i uklękła przed rannym.

– Dotarłeś tu w ślad za nami! – oznajmiła.

Falkan uniósł głowę. Jego oczy gorzały bólem.

– Podśledzałem wczoraj waszą rozmowę przy ogniu.

– Pewnie jako szczur czy inny szkodnik! – parsknął Sartaq.

Na twarzy Falkana pojawiło się coś na kształt wstydu.

– Poleciałem za wami jako sokół i widziałem, jak wchodzicie do strażnicy. Potem dostrzegłem to paskudztwo, jak się podkrada po zboczu w ślad za wami.

Przeszył go dreszcz, gdy spojrzał na rozszarpane przez rękę zwłoki pajęczycy. Kadara siedziała na szczycie zrujnowanej wieży i przyglądała mu się uważnie, jakby miał być jej kolejnym posiłkiem.

Nesryn machnęła ku niej, żeby wylądowała na ziemi z ich bagażami, ale rękę celowo ją zignorował.

– On potrzebuje pomocy! – syknęła do Sartaq. – Bandaży!

– Czy moja *ehj* wie o tym? – spytał ksiązę.

Dyszący przez zęby Falkan próbował na chwilę odsunąć zakrwawioną dłoń od rany, ale nie zdołał.

– Tak – wykrztusił. – Powiedziałem jej wszystko.

– Który dwór zapłacił ci, byś tu dotarł?

– Sartaq... – Nesryn nigdy nie słyszała, by ksiązę odzywał się w ten sposób do kogokolwiek.

Nigdy nie widziała go tak rozwścieczonego. Złapała go za rękę. – Uratował nam życie. Powinniśmy zrobić dla niego to samo! – oznajmiła i wskazała Kadare. – Bandaże!

Sartaq przeniósł na nią wściekle spojrzenie.

– On i jego pobratymcy to zabójcy i szpiedzy! – warknął. – Lepiej porzućmy go tu, by zdechł!

– Nie jestem ani szpiegiem, ani zabójcą! – wydyszał Falkan. – Jestem tym, kim powiedziałem, że jestem! Kupcem! Jako młody człowiek nie zdawałem sobie sprawy, że mam ten dar! Zdarzał się... zdarzał się w mojej rodzinie, ale potem magia znikła i wydawało mi się, że nie ma we mnie nic niezwykłego. Ba, cieszyłem się z tego. Chyba jednak nie dojrzałem wówczas wystarczająco, bo gdy dotarłem na te ziemie jako mężczyzna... – Wskazał gestem swe ciało, któremu sam odebrał dwadzieścia lat, ale skrzywił się, gdyż ruch wywołał falę bólu. – Tak, odkryłem ów dar w sobie. Mogłem zmieniać postać. Nie szło mi to dobrze i nie mogłem tego robić często, ale gdy się skupiłem, udawało mi się to i owo. – Spojrzał na księcia. – Gdzieś to mam. Nie dbam o moje dziedzictwo. Mój brat, mój ojciec... Tak, dla nich była to ważna umiejętność, ale dla mnie nie. Nigdy mi na niej nie zależało i dalej mi nie zależy.

– A mimo to zmieniłeś się bez trudu z ptaka w wilka. Jakbyś nigdy w życiu nie robił nic innego.

– Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że nigdy dotąd nie zdobyłem się na... – Urwał i zatoczył się z jęknięciem.

Nesryn złapała go, nim przewrócił się na ziemię, i warknęła na Sartaq:

– Jeśli natychmiast nie przyniesiesz mi bandaży, oberwiesz jeszcze bardziej od niego!

Ksiązę zamrugał i rozdziawił usta. Mimo to gwizdnął ostro przez zęby i odwrócił się. Rękę zeskokczył z wieży i wylądował na jednym z sowych posągów. Jego potężne pazury nadkruszyły starożytny kamień.

– Nie jestem zabójcą – powtórzył Falkan, dygocząc. – Spotkałem ich paru, ale nie jestem jednym z nich.

– Wierzę ci – odpowiedziała bez wahania Nesryn.

Sartaq ściągał juki z Kadary i przetrząsał je.

– W lewej torbie! – warknęła.

Książę raz jeszcze obrzucił ją spojrzeniem przez ramię, ale posłuchał.

– Chciałem zabić ją sam! – wydyszał Falkan. Jego spojrzenie stało się szkliste, niewątpliwie na skutek upływu krwi. – Chciałem się przekonać, czy... czy mogę w ten sposób odzyskać lata. Nawet... nawet jeśli to nie ona odebrała mi młodość, pomyślałem, że... Że może istnieje między nimi jakaś więź, nawet ponad oceanami. Jakaś sieć, a w niej wszystko, co ich ród zabrał. – Zaśmiał się gorzko, z trudem. – Ale wygląda na to, że szansę na zadanie śmiertelnego ciosu również straciłem.

– Myślę, że możemy wybaczyć Kadarze, że cię wyręczyła – rzekła Nesryn, patrząc na plamy czarnej krwi na dziobie i piórach ptaka.

Falkan znów zaśmiał się z bólem.

– Nie boisz się? Tego, czym jestem?

Sartaq podszedł z bandażami, maścią oraz słoikiem czegoś, co przypominało miód, a przypuszczalnie miało tymczasowo zasklepić ranę przed spotkaniem z uzdrowicielką.

„Dobrze” – pomyślała Nesryn, a głośno powiedziała:

– Jedna z moich przyjaciółek również jest zmiennokształtną.

Sekundę później Falkan zasłabł w jej ramionach.

\*\*\*

Wzbili się w powietrze kilka minut po tym, jak Nesryn oczyściła ranę na żebrach Falkana, a Sartaq obłożył ją jakimiś liśćmi oraz nałożył na nią miodu. Zabezpieczył ją tym samym przed zakażeniem i zatrzymał upływ krwi. Chwilę później już gnali do gniazdowiska.

Nie rozmawiali dużo podczas lotu, głównie dlatego, że między nimi siedział nieprzytomny Falkan, co mocno utrudniało rozmowę. Lot zresztą okazał się trudny. Nieprzytomny mężczyzna co chwilę przechylał się na boki i Sartaq z najwyższym trudem ratował go przed upadkiem. Nie mieli trzeciego zestawu pasów i rzemieni, a książę nie miał najmniejszego zamiaru narażać życia kogokolwiek z nich dla zmiennokształtnego, nawet takiego, który uratował im życie.

Mimo to udało im się. Ujrzeni trzy szczyty Dorgos w chwili, gdy chyłące się ku zachodowi słońce zalało je czerwonym ogniem – zbrocza wyglądały, jakby oblepiły je roje świetlików.

Kadara krzyknęła przeraźliwie, gdy zanurkowała w stronę Górskiej Hali Altun. Był to najwyraźniej jakiś sygnał rozpoznawczy, bo zaraz po wylądowaniu otoczyli ich Borte, Houlun i wielu innych, wszyscy gotowi, by przyjść z pomocą Falkanowi. Nikt nie pytał, co mu się stało ani co właściwie z nimi robił. Nesryn pomyślała, że Houlun być może zabroniła dręczyć rannego lub po prostu nikomu nie przyszło to do głowy w zamieszaniu, jakie powstało podczas ściągnięcia go z grzbietu ptaka.

Nikommu z wyjątkiem Borte.

Sartaq, który wciąż kipiał gniewem, odprowadził *ehj* na bok, najwyraźniej po to, by domagać się odpowiedzi na temat zmiennokształtnego. Takie przynajmniej robił wrażenie, gdy stał przed Houlun z założonymi ramionami i zaciśniętymi zębami. Przywódczyni osady słuchała go z zaciętą, gniewną miną.

Nesryn, pozostawiona sama sama z Kadarą, zabrała się do zdejmowania juków. Stojąca kilka kroków dalej Borte przyglądała się jej uważnie.

– To, że Sartaq znalazł w sobie odwagę, by opieprzyć *ehj*, świadczy tylko i wyłącznie o tym, że stało się coś bardzo złego. A to, że ona mu na to pozwala, sugeruje, że czuje się odrobinę winna – oznajmiła.

Nesryn nie odpowiedziała, ściągając wyjątkowo ciężką torbę. Borte podeszła do Kadary i przyjrzała się rukowi uważnie. I ostrożnie.

– Czarna krew na szponach, dziobie i piersi. Mnóstwo czarnej krwi.

Nesryn zrzuciła torbę pod ścianą.

– A twoje plecy są z kolei pobrudzone zwykłą krwią. Czerwoną.

Ślady po Falkanie, który opierał się o nią podczas lotu.

– A u boku masz nowy miecz. Miecz Fae – szepnęła Borte i podeszła bliżej, by obejrzeć nagie ostrze, wsunięte za pas.

Nesryn cofnęła się o krok. Borte zacisnęła usta.

– Chcę wiedzieć wszystko to co ty.

– Nie ja decyduję o tym, co masz wiedzieć.

Obie spojrzały na Sartaqa, który nadal się pieklił. Houlun stała i czekała, aż jego gniew przycichnie.

– Najpierw *ehj* wylatuje na kilka dni. – Borte zaczęła wyliczać na palcach. – Potem lecicie wy i wracacie z człowiekiem, który wcale z wami nie wyruszył i który nie wziął nawet ruka. A biedna Kadara jest oblepiona tym... tym paskudztwem! – Wskazała ptaka ruchem głowy.

Kadara zakłapała dziobem w odpowiedzi.

– To błoto – skłamała Nesryn.

– A ja jestem księżniczką Fae! – zaśmiała się Borte. – Jeśli chcesz, mogę zacząć wypytywać innych, ale...

Nesryn zaciągnęła ją pod ścianę, przy której leżały juki.

– Jeśli ci powiem cokolwiek, nie masz prawa szepnąć o tym nikomu. Absolutnie nikomu. Nie masz też prawa angażować się w to w żaden sposób!

Borte ułożyła dłoń na sercu.

– Przysięgam.

Nesryn westchnęła, wpatrzona w odległy, skalny sufit. Kadara zmierzyła ją ostrzegawczym spojrzeniem, jakby nakazywała jej przemyśleć swą decyzję. Mimo to łuczniczka opowiedziała o wszystkim Borte.

\*\*\*

Powinna była posłuchać Kadary.

Borte, należało jej oddać sprawiedliwość, w istocie nie powiedziała o ich rozmowie nikomu.

Poza Sartaqiem.

Gdy książę zakończył wreszcie rozmowę z Houlun, miał pecha wpaść prosto w szpony swej Siostry Przy Palenisku, która trzepnęła go w ramię i zbesztła od stóp do głów za to, że nie powiedział jej, dokąd leci. A tym bardziej za to, że nie zabrał jej ze sobą.

Sartaq natychmiast uświadomił sobie, skąd Borte o wszystkim wie i spojrzął gniewnie na Nesryn, ale ta była zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Klucząc między kolumnami, ruszyła ku swojej komnacie i wyteścniłemu miękkiemu łóżku.

– Następnym razem weźmiesz mnie ze sobą, ty uparty ośle! – wrzasnęła Borte i w ten sposób Nesryn uświadomiła sobie, że Sartaq podąża w ślad za nią.

Nim położyła rękę na klamce, książę złapał ją za łokieć.

– Mamy do pogadania – oznajmił.

Nesryn pchnęła drzwi i weszła do środka. Sartaq wszedł w ślad za nią, zatrzasnął drzwi, oparł się o nie i założył ramiona na piersi. Łuczniczka zrobiła to samo.

– Borte zagroziła mi, że zacznę rozpytywać po całym gniazdowisku, jeśli nie wyznam jej prawdy.

– Gdzieś to mam – warknął książę.

Nesryn zamrugnęła.

– No to o co ci...

– Kto ma Klucze Wyrda?

Pytanie zawisło między nimi. Nesryn przełknęła ślinę.

– Co to takiego?

– Nie kłam! – Sartaq odbił się od drzwi. – Podczas naszej nieobecności *ehj* przypomniła sobie inne historie, a jako Strażniczka Opowieści zna ich naprawdę sporo, wierz mi. Przypomniła sobie opowieści o Bramie Wyrda, przez którą przeszli Valgowie oraz ich królowie. O Bramie, którą mogli

otwierać, gdy zebrali wszystkie trzy Klucze. Przypomniała sobie też, że Klucze zaginęły po tym, jak Maeve ukradła je, by odesłać Valgów. Twierdzi, że są ukryte. Gdzieś na świecie!

Nesryn jedynie uniosła brew.

– I co z tego?

Odpowiedzią było chłodne parsknięcie Sartaqa.

– To właśnie w ten sposób Erawan zebrał tak szybko wielką armię. Dlatego nawet Aelin Dziki Ogień nie jest w stanie sama rzucić mu wyzwania! Musi mieć przynajmniej jeden z nich. Nie wszystkie, bo wówczas już zwalibyśmy go naszym władcą. Ma przynajmniej jeden, może nawet dwa? A więc gdzie jest trzeci?

Nesryn nie miała pojęcia. Jeśli Aelin i pozostali wiedzieli coś o tym, nie zdradzili jej tego. Wiedziała tylko tyle, że ich ostatecznym oraz najważniejszym celem było odzyskanie tych Kluczy, którymi zawładnął Erawan. Ale czy mogła mu o tym powiedzieć?

– Być może teraz rozumiesz – odpowiedziała z identycznym chłodem w głosie – dlaczego z taką desperacją szukamy pomocy u twego ojca. Dlaczego tak bardzo potrzebujemy jego armii!

– By zostały wymordowane!

– Zrozum, że gdy Erawan rozprawi się z nami, wyruszy tutaj. Stanie u waszego progu szybciej, niż myślisz.

Sartaq zaklął.

– To, co dziś widziałem... Ta rzecz... – Potarł twarz drżącą dłonią. – Valgowie niegdyś posługiwali się tymi pajakami jako piechotą. Mieli ich całe legiony. – Opuścił rękę. – Houulun dowiedziała się o trzech innych zrujnowanych strażnicach na południu. Polecimy tam, gdy tylko zmiennokształtny dojdzie do siebie.

– Zabieramy Falkana?

Sartaq otworzył drzwi szarpnięciem tak gwałtownym, że o mało nie wyrwał ich z zawiasów.

– Utrzymuje, że żaden z niego zmiennokształtny, ale skoro potrafi zmienić się w tak wielkiego wilka, szkoda byłoby go zostawić. Przyda się. – Zmierzył Nesryn ostrym spojrzeniem. – Polecisz ze mną.

– A ja?

Księżę parsknął śmiechem pozbawionym wesołości i wyszedł na korytarz.

– A ty polecisz z Borte.

Atrofia w jego nogach ustępowała.

Minęły kolejne trzy tygodnie i Yrene nie mogła się temu nadziwić. Udało jej się przywrócić Chaolowi sprawność aż po kolana, ale nie wyżej. Jej pacjent był teraz w stanie zginać nogi, ale nie mógł ruszać udami. Nie potrafił wstać.

Mimo to poranne ćwiczenia ze strażą i popołudnia wypełnione sesjami uzdrowicielskimi, spowitymi mrokiem, wspomnieniami i bólem, doprowadziły do tego, że w jego nogach odżywały mięśnie. Yrene widziała też, jak rozrastają się jego już przecież potężne ramiona oraz imponująca klatka piersiowa. Jego skóra zbrązowiła dzięki ćwiczeniom w porannym słońcu, dzięki czemu stał się jeszcze przystojniejszy.

Pracowali ze spokojem, niespiesznie, wypracowując rutynę, która stała się elementem jej dnia w tym samym stopniu co obmywanie twarzy, szorowanie zębów czy konieczność wypicia kubka *kahve* po przebudzeniu.

Chaol znów towarzyszył Yrene podczas lekcji samoobrony. Najmłodsze akolitki na jego widok nadal nie mogły zapanować nad histerycznym chichotem, ale przynajmniej żadna z nich już się nie spóźniała. Co więcej, Chaol nauczył Yrene kilku strategii radzenia sobie z większymi napastnikami. Podczas ich wspólnych zajęć na dziedzińcu Torre wciąż było mnóstwo uśmiechów, ale zarówno on, jak i Yrene podchodzili do nauki nowych strategii z całkowitą powagą, gdyż oboje nie mogli zapomnieć o tym, w jakiej sytuacji Yrene może ich potrzebować.

Nadal nie było śladu istoty, która ją zaatakowała. Nie mieli pewności, czy był to rzeczywiście jeden z Valgów, ale Yrene nie czuła z tego powodu wielkiej ulgi. Przykładała się natomiast bardzo do nauki, a Chaol szkolił ją z uwagą i sumiennością.

Dzieci kagana znikwały i znów się pojawiały. Z Kashinem Yrene spotkała się tylko raz podczas wieczery na dworze. Podeszła wówczas do niego i podziękowała mu za pomoc i ofiarność, którą jej okazał owej nocy po napaści. Kashin odpowiedział, że nie oczekuje żadnych podziękowań, ale Yrene mimo to dotknęła jego ramienia, by choć w ten sposób wyrazić wdzięczność. Chwilę później już siedziała u boku Chaola, gdyż przy nim naprawdę czuła się bezpiecznie.

Zaś jeśli chodziło o sprawy, które Chaol chciał poruszyć na spotkaniu z kaganem... Oboje nie śmieli rozmawiać o wojnie i o konieczności pozyskania wsparcia. Nadal nie znali też sposobu, by dotrzeć do Oazy Aksara, gdzie wśród palm być może kryło się źródło mądrości. Nie mieli pojęcia, dlaczego akurat tam mieliby odnaleźć informacje o Valgach i wciąż nie wiedzieli, jak nakłonić Hasar, by ich tam zabrała i nie wzbudzić przy tym jej podejrzeń. Nie mogli przecież dopuścić do tego, by księżniczka dowiedziała się o zwojach, które ukryli w pokoju Chaola.

Yrene wiedziała jednak, że Chaolowi kończy się czas. Widziała, że w jego oczach czasami pojawia się mgła, jakby spoglądał ku odległej krainie. Jakby przypominał sobie przyjaciół pograżonych w walce. Walczących o ich rodaków. Zwykle potem dawał z siebie więcej podczas ich sesji i każdy postępek zawdzięczał zarówno swojej ciężkiej pracy, jak i magii Yrene.

Ona sama jednakże również się nie oszczędzała. Przez cały czas zastanawiała się, czy doszło już do pierwszych bitew i czy zdoła w ogóle zdążyć na czas, by komuś pomóc. Zastanawiała się, czy będzie miała do czego wracać.

Ciemność, z którą walczyła podczas uzdrawiania, mroczna cząstka demona, który mieszkał w ciele króla-niszczyciela, powoli ustępowała. Yrene nie była wciągana w jego wspomnienia tak jak kiedyś, nie musiała już oglądać koszmarów Morath czy też znosić zainteresowania istoty, która nadal żyła w Chaolu, ale jej magia nadal odbijała się od rany. Spowijała mrok niczym tysiące płamek białego światła, wgryzała się w niego, szarpała i walczyła.

Chaol cierpliwie znosił ból, nurzając się w nieznanych Yrene wizjach podsyłanych mu przez ciemność. Ani razu się nie zawahał, ani razu nie ustąpił. Dopiero gdy sama uzdrowicielka zaczynała opadać z sił, proponował jej przerwę na coś do jedzenia, drzemkę na złocistej kanapie czy choćby



rozmowę nad filiżankami schłodzonej herbaty.

Yrene przypuszczała, że ich spokojna rutyna kiedyś dobiegnie końca, ale sądziła, że nastąpi to przypuszczalnie na skutek jakiejś umowy między nimi. Nie przyszło jej do głowy, że przyczyną mogą być wieści z innych krain.

Kagan powrócił do stolicy po dwóch tygodniach spędzonych w nadmorskiej posiadłości, gdzie wraz ze swą wciąż pogrążoną w żałobie żoną chciał się schronić przed letnimi upałami. Dwór miał się spotkać na wieczerzy powitalnej, która zapowiadała się na wesołą uroczystość. Przez ostatnie tygodnie nie doszło bowiem do kolejnych ataków, dzięki czemu nerwowość i czujność w pałacu powoli ustępowały.

Lecz gdy Yrene oraz Chaol znaleźli się na progu wielkiej sali, a uzdrowicielka odczytała napięcie na twarzach zebranych przy wysokim stole, przeszło jej przez myśl, czy się dyskretnie nie wycofać. Wezyrowie wiercili się na swoich krzesłach. Arghun, z którym pożegnano się bez żalu, gdy postanowił dołączyć do rodziców nad morzem, uśmiechał się krzywo.

Hasar rozpromieniła się na widok przyjaciółki i obrzuciła ją spojrzeniem współspiskowca.

„Jest źle” – pomyślała Yrene.

Przez jakiś kwadrans wszyscy jedli w milczeniu, aż księżniczka uniosła głowę i zwróciła się do Chaola:

– Musisz być dziś bardzo zadowolony, lordzie Westfall.

Yrene nawet nie drgnęła. Ze stoickim spokojem nadziała na widelec kęsek morskiego suma skropionego cytryną, uniosła go do ust i zmusiła się do przełknięcia.

Chaol upił łyk wody z pucharka i odparł chłodno:

– A niby dlaczego miałoby tak być, Wasza Wysokość?

Uśmiechy Hasar potrafiły być paskudne. Wręcz zabójcze. A ten, z którym wypowiedziała kolejne słowa, kazał Yrene porządnie zastanowić się nad tym, dlaczego kiedykolwiek wcześniej odpowiedziała na jej wezwanie.

– Cóż, jeśli człowiek dobrze policzy, dojdzie do wniosku, że kapitan Faliq jutro powróci do stolicy z moim bratem.

Yrene zacisnęła dłoń na widelcu, licząc dni w głowie. Trzy tygodnie. W istocie, upłynęły już trzy tygodnie od chwili, gdy Nesryn i Sartaq wylecieli ku Górom Tavan. Nesryn miała wrócić jutro. I choć między nią i Chaolem nie doszło do niczego – absolutnie do niczego! – Yrene nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej serce osuwa się w przepaść. Że lada moment ktoś zatrzśnie przed nią drzwi. Na zawsze.

Nie rozmawiali o Nesryn. Ani słowem nie wspomnieli o tym, co było między nimi. Chaol zaś nigdy nie dotykał Yrene częściej, niż było to konieczne. Nigdy nie spoglądał na nią tak jak tamtej nocy na przyjęciu.

Ponieważ, co oczywiste... czekał na Nesryn. Ta kobieta... Cóż, był wobec niej lojalny.

Zmusiła się do przełknięcia kolejnego kęsa, choć ryba skwaśniała jej w ustach.

Idiotka. Była skrajną idiotką, a do tego...

– Nie słyszałaś już wieści? – spytał przeciągłym głosem Chaol, równie lekceważąco jak Hasar. Odstawił pucharek, muskając przy tym kłykciami dłoń Yrene. Dla każdego, kto ich obserwował, byłby to przypadkowy gest, ale nie dla kogoś, kto znał go na wylot. Yrene wiedziała, że on kontroluje każdy swój ruch. Nigdy nie przestaje być skupiony.

To przelotne muśnięcie było sygnałem. Szeptem, który miał jej dodać otuchy, jakby Chaol skądś wiedział o tym, co dziewczyna poczuła. O tym, że zdawało jej się, jakby ściany zaczęły się przybliżać i zewsząd ją dusić.

Hasar spojrziała na nią z niezadowoleniem.

„Dlaczego o niczym nie wiem?” – pytały jej oczy.

„Bo i ja nie mam o niczym pojęcia!” – Yrene patrzyła na nią z niewinnością wypisaną na twarzy.

– Jak rozumiem podzielił się nimi? – Hasar zwróciła się chłodno do lorda.

Ten wzruszył ramionami.

– Otrzymałem dziś wiadomość od kapitan Faliq. Ona i twój brat postanowili przedłużyć swój

pobyt w górach o kolejne trzy tygodnie. Okazało się bowiem, że umiejętność władania łukiem, z której słynie kapitan, zaimponowała *rukhin* na tyle, że ubłagali ją, by została dłużej.

Yrene przybrała obojętny wyraz twarzy, choć jej serce zalała ulga oraz wstyd. Przecież Nesryn Faliq była dobrą, odważną kobietą. Dlaczego czuła taką ulgę z powodu tego, że jeszcze nie wraca? Że nie... nie przeszkadza?

– Nasz brat jest mądrym człowiekiem – odezwał się Arghun. – Cieszę się, że zatrzymuje tak wybitną wojowniczkę przy sobie najdłużej jak się da.

W jego pozornie neutralnych słowach kryła się złośliwość, ale Chaol znów wzruszył ramionami.

– W istocie jest mądry, skoro potrafi docenić jej wielkość – odparł.

Yrene złapała się na tym, że wsłuchuje się w jego słowa, by odczytać kryjące się w nich emocje. Czy było tam coś poza dumą?

Arghun pochylił się ku Hasar.

– Cóż, a zatem podzielmy się również innymi informacjami, o których, mam nadzieję, lord Westfall również słyszał.

Kagan, który siedział kilka krzeseł dalej, przerwał nagle rozmowę ze swoimi najbliższymi wezyrami.

– Ach, tak! – powiedziała Hasar. Rozsiadła się wygodnie, kręcąc kielichem z winem. – Byłabym zapomniała.

Yrene próbowała pochwycić spojrzenie Reni w nadziei, że w oczach kochanki wyczyta jakieś ostrzeżenie. Czuła, że napięcie wzbiera, a nad ich głowami unosi się fala, gotowa lada moment upaść. Nie rozumiała, skąd się wzięła nagle zmiana atmosfery w pomieszczeniu. Renia wpatrywała się jednak w księżniczkę i trzymała dłoń na jej ramieniu, jakby chciała powiedzieć: „Ostrożnie!”

Nie chodziło jej o to, co księżniczka chciała ujawnić, ale o to, jak miała zamiar to zrobić.

Chaol spoglądał to na Arghuna, to na Hasar. Ich uśmieški wyraźnie sugerowały, iż wiedzą, że przybysz z północy nie ma o niczym pojęcia. On sam najwyraźniej nadal rozważał, czy udawać zorientowanego czy może przyznać się już do porażki. Z dylematu wybawiła go Yrene.

– Co się stało? – spytała. – Ja o niczym nie wiem.

Chaol musnął ją pod stołem kolanem w podzięcie, a Yrene wytłumaczyła sobie, że przyjemność, jaka ją przeszła w tej chwili, zawdzięcza tylko temu, że jej pacjent jest w stanie poruszać kolanem. Tak czy owak, nie ukoła ona lęku, który narastał w jej żołądku.

– Cóż. – Hasar rozpoczęła taniec, którego przebieg ułożyła wraz z Arghunem jeszcze przed rozpoczęciem wieczery. – Wygląda na to, że sytuacja na sąsiednim kontynencie zaczyna się zmieniać.

Yrene przytuliła nogę do kolana Chaola, by choć w ten sposób okazać mu solidarność.

„Wspólnie – próbowała mu przekazać. – Wspólnie w tym uczestniczymy”.

– Na północy doprawdy sporo się dzieje – rzekł Arghun do Yrene i Chaola, a potem przeniósł uwagę na ojca. – Koronowane głowy najpierw znikają, potem znów się pojawiają... Mam na myśli zarówno Doriana Havilliarda, jak i królową Terrasenu. Ta ostatnia, rzecz jasna, zrobiła to wielkim stylem.

– Gdzie? – szepnęła Yrene, gdyż Chaol nie mógł wykrztusić ani słowa. Wystarczyła bowiem wzmianka o jego królu, by odebrać mu dech.

Hasar uśmiechnęła się do Yrene. Tym razem był to ten sam pełen zadowolenia uśmiech, którym przywitała ją na początku posiłku.

– W Zatoce Czaszek.

A więc zwykle kłamstwo, mizerny domysł, który Chaol podsunął Yrene, by przekazała go księżniczce, okazał się prawdą! Poczowała, jak jej towarzysz napina mięśnie, choć na jego twarzy widać było jedynie obojętne zainteresowanie.

– To piracki port na południu, Wielki Kaganie – zwrócił się do władcy tonem człowieka, który doskonale zdaje sobie ze wszystkiego sprawę i po prostu kontynuuje rozmowę. – W samym centrum wielkiego archipelagu.

Kagan zerknął na swoich zauważalnie niezadowolonych wezyrów i wraz z nimi zmarszczył brwi.

– Po co mieliby się ujawnić w Zatoce Czaszek?

Chaol nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie, ale Arghun skwapliwie podsunął mu rozwiązanie.

– Bo Aelin Galathynius postanowiła rzucić wyzwanie armii, którą Perrington wysadził na skraju archipelagu.

Yrene zsunęła dłoń ze stołu i zacisnęła ją na kolanie Chaola. Jego ciało emanowało napięciem.

– Kto odniósł zwycięstwo? – spytała Duva, oparłszy dłoń na rosnącym brzuchu. – Ona czy Perrington?

Zupełnie jakby rozmawiali o turnieju rozegranym dla zabawy!

– Och, zdecydowanie ona – rzekła Hasar. – Mamy ludzi w mieście, dzięki czemu mogliśmy zapoznać się z raportem.

I znów obdarzyła Yrene przebiegłym uśmiechem współniczki w intrydze. Mówiła o szpiegach, których wysłała dzięki informacjom przekazanych przez uzdrowicielkę.

– Jej moc jest w istocie imponująca – dodała, zwracając się do ojca. – Nasi ludzie twierdzą, że spaliła całe niebo, a potem zniszczyła większość zgromadzonej przeciwko niej floty. Jednym uderzeniem.

„Na bogów...”

Wezyrowie poruszyli się niespokojnie. Twarz kagana stwardniała.

– A więc opowieści o zniszczonym szklanym zamku nie są przesadzone.

– Nie – rzekł łagodnie Arghun. – A jej moce znacznie się od tego czasu rozrosły. Ma też nowych sojuszników. Wśród członków jej dworu znalazł się Dorian Havilliard, a Władca Piratów z Zatoki Czaszek złożył jej hołd.

Zdobywczyni...

– Piraci sprzymierzyli się z nią, by walczyć po jej stronie – sprzeciwił się Chaol. – Przeciwno siłom Perringtona.

– Doprawdy? – Hasar skontrowała z łatwością. – Ciekawe, bo to wcale nie Perrington żegluje wzdłuż wybrzeża Eyllwe, pałac wioskę za wioską.

– To nieprawda – rzekł Chaol, ale w jego głosie zabrakło siły.

– Jesteś pewien? – Arghun wzruszył ramionami, a potem odwrócił się ku ojcu, odgrywając rolę zatroskanego syna. – Oczywiście nikt jej nie widział, ale po wsiach został jedynie popiół. Nasze źródła przekazały, że królowa żegluje ku Banjali, gdzie planuje zmusić rodzinę Ytger do skrzyknięcia dla niej armii.

– A to jeszcze większa nieprawda! – warknął Chaol, obnażając zęby.

Zaskoczeni jego wybuchem wezyrowie otworzyli szeroko oczy i parsknęli z niedowierzaniem, ale Chaol zwrócił się do samego władcy:

– Znam Aelin Galathynius, Wielki Kaganie. To nie w jej stylu ani nie w jej naturze. Rodzina Ytger... – Urwał.

„Rodzina Ytger jest bliska jej sercu”.

Yrene wiedziała, co chciał powiedzieć, wręcz usłyszała jego niewypowiedziane jeszcze słowa. Hasar i Arghun pochyliłi się, pragnąc usłyszeć potwierdzenie swoich domysłów. Pragnąc odkryć słabość Aelin Galathynius.

Chcieli się dowiedzieć, kto był dla niej ważny. A Eyllwe, które leżało między ziemiami Perringtona oraz kaganatem... Yrene niemalże słyszała wir myśli w ich głowach.

– Rodzina Ytger o wiele bardziej przyda się jej jako sojusznik broniący południowej flanki – rzekł Chaol. Jego ramiona były sztywne z napięcia. – Aelin to mądry gracz i zdaje sobie z tego sprawę.

– Nic dziwnego, że mówisz z takim przekonaniem – rzekła Hasar. – Wszak byłeś kiedyś jej kochankiem. A może był to król Dorian? Albo wy obaj? Nasi szpiegowie nie mają pewności, kto tak naprawdę gościł w jej łóżku i kiedy to było.

Yrene zdusiła zaskoczenie. Chaol z... z Aelin Galathynius?

– Tak, znam ją dobrze – rzekł Chaol przez ściśnięte gardło. Przciskał teraz kolano do nogi Yrene, jakby chciał powiedzieć: „Później. Wszystko ci wyjaśnię później”.

– Przecież to wojna! – sprzeciwił się Arghun. – A podczas wojny ludzie dopuszczają się czynów, o których w innych okolicznościach nawet by nie pomyśleli.

Z jego głosu przebijały pobłażliwość i szyderstwo tak wyraźne, że Yrene miała ochotę zazgrzytać zębami. Nie miała wątpliwości, że Hasar i Arghun zawarli tymczasowy sojusz, by przeprowadzić na nich skoordynowany atak.

– Czy wykazuje zainteresowanie naszymi wybrzeżami? – wtrącił Kashin.

Było to typowo żołnierskie pytanie. Księżę chciał się upewnić, czy Aelin nie stanowi zagrożenia dla jego ojczyzny i jego władcy. Hasar skubnęła paznokcie.

– Któż może wiedzieć? Z taką mocą... Być może wszystkich nas ma za swoje przyszłe ofiary.

– Aelin ma już jedną wojnę na głowie – wycedził Chaol. – A poza tym podboje terytorialne nie leżą w jej naturze.

– Jej czyny w Zatoce Czaszek i Eyllwe świadczą przeciwko twym słowom.

Jeden z wezyrów nachylił się, by wyszeptać coś kaganowi do ucha. Drugi pochylił się, by przysłuchać się jego słowom, już kalkulując w myślach.

Chaol zwrócił się więc do samego władcy.

– Wielki Kaganie, wiem, że wielu ludzi powtórzy przed tobą te plotki, by ukazać Aelin w złym świetle, ale przysięgam, że królowa Terrasenu pragnie tylko uwolnić nasze ziemie. Mój król nie sprzymierzyłby się z nią, gdyby było inaczej.

– A powtórzyłyś te słowa pod przysięgą? – zastanawiała się głośno Hasar. – Przysięgłabyś, na przykład, na życie Yrene?

Chaol zamrugał.

– Widziałeś ją przecież nieraz – ciągnęła księżniczka. – I znasz jej charakter. Czy byłbyś gotów przysiąc na życie Yrene Towers, że Aelin Galathynius nie sięgnie po taką taktykę? Że nie będzie przejmować cudzych armii, a sama je zbuduje?

„Powiedz, że tak! Powiedz, że tak!”.

Chaol nawet nie spojrział na Yrene. Wbijał wzrok w Hasar, a potem w Arghuna. Kagan i jego wezyrowie milczeli.

Lord Westfall nie powiedział ani słowa. Na ustach Hasar błąkał się lekki uśmiezek tryumfu.

– Tak właśnie myślałam.

Yrene miała wrażenie, że wywracają się jej wszystkie wnętrzności.

Kagan przyjrzał się Chaolowi uważnie.

– Skoro Perrington i Aelin Galathynius zbierają armie, być może zniszczą się nawzajem i oszczędzą mi kłopotu.

W szczęce Chaola zadrgał mięsień.

– Skoro jest taka potężna – dodał Arghun – sama może zmierzyć się z Perringtonem.

– Nie zapominaj o królu Dorianie – włączyła się Hasar. – Założę się, że we dwójkę są w stanie poradzić sobie z Perringtonem i każdą armią, którą zbierze. Bez niczyjej pomocy. Niech sami stoczą tę wojnę. Po co mamy rozlewać naszą krew na obcych ziemiach?

Yrene trzęsła się ze złości. Podstępne, ostrożne gierki słowne, intryga, którą Hasar i jej brat skonstruowali, by usprawiedliwić swój brak udziału w wojnie, obudziły w niej istną furię.

– Niemniej – odezwał się Kashin, który najwyraźniej zauważył reakcję Yrene – gdybyśmy wsparli dwóch tak potężnych władców, zyskalibyśmy w zamian długie lata pokoju, a płynące stąd korzyści mogłyby być zdecydowanie warte ryzyka. – Obrócił się ku kaganowi. – Sojusz z nimi mógłby nam wiele dać! Wyobraź sobie taką moc zwróconą przeciwko naszym wrogom!

– Lub przeciwko nam, jeśli uzna, że zerwanie paktu okaże się łatwiejsze – wtrącił Arghun.

Kagan przyglądał się teraz swemu najstarszemu synowi, który wpatrywał się w brata, krzywiąc się z niesmakiem. Duwa, wciąż trzymając dłoń na brzuchu, obserwowała wszystko w milczeniu. Nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt o nic nie pytał, nawet jej mąż.

Arghun zwrócił się do ojca.

– Na naszych ziemiach magia raczej nie występuje. Wieczne Niebiosa i trzydziestu sześciu

bogów pobłogosławiło nasz lud głównie mocami uzdrawiania. – Spojrzał przy tym na Yrene, marszcząc brwi. – Czym są stal i drewno wobec takiej potęgi? Aelin Galathynius zajęła Rifthold, potem Zatokę Czaszek, a teraz najwyraźniej szykuje się do przejęcia Eyllwe. Mądry władca udałby się na północ, umocnił własne królestwo i ruszył na południe, spychając wroga jak najdalej od granic. Ona tymczasem rozciąga swe siły i dzieli je między północ i południe. Nie mam pojęcia, kto tu jest głupcem – ona sama czy też jej doradcy?

– Jej doradcy to doświadczeni weterani, którzy widzieli więcej bitew, niż ty kiedykolwiek zobaczysz – rzekł chłodno Chaol.

Najstarszy książę zeszytywniał. Hasar zaśmiała się cicho. Kagan rozważał usłyszane słowa.

– Takie kwestie będziemy rozstrzygać w salach narad, a nie podczas wieczerzy – oznajmił, choć bez przekonania. Jego słowa nie pocieszyły ani Chaola, ani Yrene, tym bardziej że dodał: – Choć jestem skłonny zgodzić się z wnioskami, które płyną z faktów.

Chaol opanował się po mistrzowsku. Nie argumentował już dłużej, powstrzymał się nawet od grymasu niechęci. Skinął głową i rzekł:

– Jestem ci wdzięczny, Wielki Kaganie, za to, że rozważyłeś naszą prośbę. Uczyniłeś nam tym wielki zaszczyt.

Arghun i Hasar wymienili tryumfujące, szydercze spojrzenia, ale kagan bez słowa powrócił do posiłku. Chaol oraz Yrene stracili apetyt i nie tknęli już ani kęska.

\*\*\*

Suka. Księżniczka okazała się wredną suką, a książę Arghun jednym z największych łajdaków, jakich Chaol kiedykolwiek napotkał.

Należało przyznać, że ich obawy były częściowo uzasadnione. Moc Aelin mogła wszak stanowić zagrożenie również dla ich imperium, ale Chaol odczytał ich intencje. Wiedział, że Hasar po prostu nie miała ochoty opuszczać wygodnego pałacu i ramion kochanki, by popłynąć na wojnę. Nie tęskniła za zamieszaniem i trudem.

A Arghun... Obsesją najstarszego księcia była władza, kontrola i informacje. Chaol nie miał wątpliwości, że chodziło mu tylko o zapędzenie go w kozi róg. O wzbudzenie w nim jeszcze większej rozpaczki i determinacji.

By w końcu zechciał oddać wszystko za ich pomoc.

Kashin był gotów zrobić to, co rozkaże mu ojciec, a jeśli chodziło o samego kagana...

Kilka godzin później Chaol nadal leżał w łóżku, wpatrywał się w sufit i zgrzytał zębami. Yrene na pożegnanie ścisnęła mu ramię i obiecała, że przyjdzie jutro. Mężczyzna ledwie był w stanie odpowiedzieć.

Powinien był skłamać. Powinien był przysiąc, że bezgranicznie ufa Aelin.

Tymczasem Hasar odgadła, że jeśli poprosi go, by przysiągł na życie Yrene...

Nie, nie mógł ryzykować, nawet gdyby miał po swojej stronie ich trzydziestu sześciu bogów.

Bo widział, jak Aelin dopuszczała się strasznych czynów.

W snach nadal widywał Archera Finna, wypatroszonego z zimną krwią. Nadal śnił o tym, co dziewczyna pozostawiła w tamtej uliczce z ciała zabójcy o imieniu Grób. Nadal śnił o tym, jak mordowała ludzi niczym bydło, zarówno w Rifthold, jak i w Endovier. Doskonale wiedział, że potrafi okazać się lodowato zimna, nieczuła i brutalna. Pokłócili się zresztą o to tego lata. O to, że nie panuje nad swoją mocą i swoim temperamentem.

Rowan był uczciwym, prawym mężczyzną. Ani trochę nie bał się Aelin i jej magii. Ale czy ona posłuchałaby jego rady? Aedion i Aelin kłócili się równie często i chętnie, jak się zgadzali, a Lysandra... Chaol nie znał zmiennokształtnej na tyle dobrze, by osądzić, czy uda jej się zapanować nad Aelin.

Aelin w istocie się zmieniła. Dojrzała i z każdym dniem coraz bardziej stawała się królową. Chaol wiedział, że zrobi wszystko, absolutnie wszystko, by ochronić tych, których kocha. By ochronić swoje królestwo. A jeśli ktokolwiek stanie na jej drodze, jeśli ktokolwiek jej w tym przeszkodzi... Wiedział, że wówczas nie cofnie się absolutnie przed niczym.

Nie mógł więc złożyć przysięgi na życie Yrene, bo czuł, że w razie potrzeby Aelin nie będzie się oglądać na czyjeś interesy. Swego czasu miała przecież na pieńku z Rolfe'em. Przypuszczalnie ukazała mu pełnię swej mocy, by skłonić go do poparcia jej sprawy.

Ale Eyllwe... Czy rzeczywiście stawili jej jakiś opór? Co skłoniło ją do użycia przemocy? Nie mógł sobie wyobrazić, by Aelin w ogóle kiedyś przyszło do głowy, by krzywdzić niewinnych ludzi, a już tym bardziej poddanych ukochanej przyjaciółki. Z drugiej strony wiedziała, jakie niebezpieczeństwo przedstawia Perrington-Erawan. Wiedziała, jaki los ich czeka, jeśli nie połączą sił. Bez względu na koszty.

Chaol potarł dłonią twarz. Gdyby Aelin panowała nad sobą, gdyby po prostu skupiła się na odgrywaniu roli królowej w opałach... Tak, jego zadanie byłoby wówczas o wiele łatwiejsze.

Być może właśnie pogrzebała ich szanse na sojusz z kaganem. Może ostatnia szansa właśnie przepadła.

Przynajmniej odnalazł się Dorian. Co więcej, przebywał wśród przyjaciół Aelin, a trudno sobie wyobrazić bezpieczniejsze miejsce.

Chaol posłał krótką modlitwę dziękczynną w mrok nocy.

Ciche pukanie sprawiło, że zerwał się błyskawicznie. Nie dobiegało od drzwi. Ktoś stukał w szybę tarasową.

Jego nogi przeszył skurcz. Zgięły się lekko w kolanach. Był to raczej odruch niż ruch kontrolowany przez niego. Wraz z Yrene dwa razy dziennie wykonywali serię żmudnych ćwiczeń na nogi. Dzięki różnym terapiom wprowadzanym przez uzdrowicielkę, Chaol krok po kroku odzyskiwał zdolność do poruszania się. Pomagała w tym oczywiście również magia, którą wlewała do jego ciała, podczas gdy on zmagał się ze zrodzonymi przez mrok hordami wspomnień. Nigdy jej nie powiedział, co w nich widział. Nigdy jej nie powiedział, dlaczego tak wrzeszczy.

To nie miało sensu. Nie miał zamiaru opowiadać, jak bardzo zawiódł, jak wielką poniósł porażkę, jak błędnej oceny dokonał. Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. Niemniej to, co stało w spowitym ciemnościami ogrodzie, wcale nie było wspomnieniem.

Chaol zmrużył oczy i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wysokiego mężczyznę, który uniósł rękę w powitaniu. Ukradkowo pochwycił za nóż, ale wówczas obcy zbliżył się do latarni. Chaol odetchnął z ulgą i gestem zaprosił księcia do środka.

Ten wyciągnął mały nożyk, otworzył drzwi i wślizgnął się do pokoju.

– Nie sądziłem, że księżęta uczą się rozbrajania zamków – oznajmił Chaol w ramach przywitania.

Latarnia na zewnątrz opromieniła twarz Kashina na tyle, by Chaol zdołał ujrzeć jego półuśmiešek.

– Wykorzystuję tę umiejętność głównie po to, by zakradać się do sypialni dam, a nie kraść.

– Sądziłem, że wasz dwór jest w tych kwestiach bardziej otwarty od mojego.

Uśmiech księcia stał się szerszy.

– Być może, ale marudni, starzy mężowie są wszędzie tacy sami, bez względu na kontynent.

Chaol zachichotał i pokręcił głową.

– Co mogę dla ciebie zrobić, księżę?

Kashin przyjrzał się drzwiom w apartamencie, Chaol poszedł w jego ślady. Obaj szukali niepokojących ruchów bądź kształtów pośród cieni, ale niczego nie odkryli.

– Przypuszczam, że nie natrafiłeś na żadne wskazówki co do tego, kto w pałacu mógłby prześladować Yrene.

– Niestety, masz rację.

Po zniknięciu Nesryn polowanie na ewentualnych agentów Valgów siłą rzeczy musiało ustać. Co więcej, przez ostatnie trzy tygodnie w istocie panowała cisza i w głębi duszy Chaol zaczął mieć nadzieję, że napastnik po prostu odszedł. W pałacu i w Torre panowała już o wiele spokojniejsza atmosfera, jakby w rzeczywistości cienie znikły już na zawsze.

Kashin pokiwał głową.

– Wiem, że Sartaq odleciał wraz z twą kapitan, by szukać informacji odnośnie do owego

zagrożenia.

Chaol nie miał odwagi zaprzeczyć ani potwierdzić. Nie był bowiem całkowicie pewien, w jakich układach z resztą rodziny był Sartaq i czy otrzymał od ojca błogosławieństwo na wyjazd.

– Być może to z tego względu mój brat oraz moja siostra trzymają przeciwko tobie tak silny front – ciągnął Kashin. – Jeśli Sartaq również wziął zagrożenie na poważnie, zdali sobie sprawę, że mają coraz mniejsze szanse na przekonanie ojca, by nie interweniował.

– Ale jeśli zagrożenie jest realne – rzekł Chaol. – Jeśli istnieje spora szansa, że wdrze się na te ziemie, dlaczego nie położyć mu kresu, zanim w istocie do tego dojdzie?

– Ponieważ wojna to wojna – odparł Kashin.

Sposób, w jaki księżę wypowiedział te słowa i postawa, jaką przy tym przybrał, sprawiły, że Chaol z nieznanym sobie powodów poczuł się młodszy.

– Hasar i Arghun przedstawili swój punkt widzenia w niezbyt miłej formie, ale przypuszczam, że oboje są świadomi kosztów, jakie pociągnie za sobą poparcie waszej sprawy. Nigdy dotąd nie wysyłaliśmy całej potęgi kaganatu na inny kontynent. Zdarzało się, że posyłaliśmy *rukhin*, flotę wojenną bądź moją własną konnicę. Bywało, że prowadziliśmy połączone operacje, ale nigdy nie angażowaliśmy wszystkich sił. Nigdy nie posyłaliśmy tyle wojska, ile wy chcecie. Ilość zabitych oraz same koszty takiej eskapady będą ogromne. Jeśli myślisz, że moje rodzeństwo nie zdaje sobie z tego sprawy, jesteś w błędzie.

– A ich lęk przed Aelin?

– Na ten temat nie chcę się wypowiadać – parsknął Kashin. – Może ich obawy są uzasadnione.

Może nie.

– A więc po co właściwie zakradłeś się do moich komnat?

Powinien odzywać się z większym szacunkiem, ale...

– Przybyłem, by podzielić się z tobą jeszcze jedną informacją, którą Arghun postanowił zataić.

Chaol czekał. Żałował, że musi przyjmować księcia, siedząc w łóżku z nagą klatką piersiową.

– Nasz wezyr zajmujący się handlem zagranicznym przekazał, iż złożono ogromne, dochodowe zamówienie na stosunkowo nową broń – odparł księżę.

Chaol przestał oddychać. Jeśli Morath znalazł nowy sposób...

– Nazywamy ją ognistą lancą – rzekł księżę. – Nasi najwybitniejsi inżynierowie skonstruowali ją na podstawie różnych innych broni, które ściągnięto z całego kontynentu.

„Na bogów, jeśli coś takiego znalazło się w arsenale Morath...”

– Zamówienie złożył kapitan Rolfe, by wyposażyć swą flotę. Wiele miesięcy temu.

Rolfe?

– Wraz z informacją o tym, że Zatoka Czaszek znalazła się pod władaniem Aelin Galathynius, pojawiły się kolejne zamówienia na jeszcze więcej ognistych włóczni, które miały zostać wysłane na północ.

Chaol analizował usłyszane wieści.

– Dlaczego Arghun nie chciał nic o tym powiedzieć?

– Bo te ogniste lance są bardzo, bardzo drogie.

– To chyba dobrze dla waszej gospodarki.

– Tak, to prawda.

„Ale nie pomogłoby to Arghunowi w próbach uniknięcia wojny” – pomyślał Chaol.

Milczał przez moment, a potem zapytał:

– A co ty sądzisz, księżę? Chciałbyś przystąpić do wojny czy nie?

Kashin nie odpowiedział od razu. Omiótł wzrokiem pokój, sufit, łóżko, a w końcu samego Chaola.

– To będzie największa wojna naszych czasów – powiedział cicho. – Długo po tym, jak odejdziemy, jak odejdą wnuki naszych wnuków, ludzie nadal będą o niej mówić. Będą szeptać o niej przy ogniskach i śpiewać o niej w wielkich halach. Będą pamiętać, kto przeżył, a kto zginął, kto walczył, a kto się od walki uchylił. – Jego grdyka podjechała w górę i w dół. – Kita przy mojej *sulde* powiewa ku

północy, dzień i noc. Być może odnajdę swe przeznaczenie na wielkich równinach Fenharrow lub pod białymi murami Orynthu, ale udam się na północ tak czy owak. Jeśli ojciec mi rozkaże.

Chaol zadumał się nad tym, co usłyszał, a potem jego wzrok padł na kufry, stojące przy ścianie niedaleko drzwi do pokoju łaziennego. Kashin już się odwracał, by wyjść, gdy Chaol zapytał:

– Kiedy wypada kolejne spotkanie twego ojca z wezyrem zajmującym się handlem zagranicznym?



Nesryn kończył się czas. Rekonwalescencja Falkana miała potrwać dziesięć dni, co oznaczało, że wraz z Sartaqiem nie będą w stanie odwiedzić pozostałych strażnic na południu. Próbowwała przekonać księcia, by udać się tam bez zmiennokształtnego, ale ten się nie zgodził. Nie miał zamiaru ryzykować, choć przecież miała ich wesprzeć Borte, która aż się paliła do wyjazdu.

Sartaq znalazł jednak sposób, by wypełnić Nesryn czas. Zabrał ją do innych gniazdowisk na północy i zachodzie, gdzie poznała panujące tam Matki Przy Palenisku oraz ich kapitanów, zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

Niektóre gniazdowiska powitały Sartaqa z szeroko otwartymi ramionami i urządzały na jego cześć przyjęcia, które trwały do późnych godzin nocnych.

Inne zaś, jak na przykład Berlad, okazywały chłód oraz wyniosłość i gościły ich tylko tyle, ile należało. Nikt tam nie witał ich dzbanami sfermentowanego koziego mleka, które było ulubionym napojem *rukhin*, a przy tym najmocniejszym alkoholem, jaki Nesryn w życiu piła. Po pierwszym łyku o mało nie udławiła się na śmierć, a ubawieni *rukhin* klepali ją po plecach i wznosili toasty na jej cześć.

Nadal zaskakiwało ją serdeczne przyjęcie w wielu miejscach. Dziwiły ją uśmiechy *rukhin*, którzy prosili ją później, czasem niepewnie, a czasem śmiało, by zademonstrowała im swe umiejętności w posługiwaniu się łukiem. Dzielili się swymi tajemnicami, ale sama również się uczyła. Urządzali z Sartaqiem dzikie loty nad przełęczami, w trakcie których księżę wskazywał cele, a Nesryn raziła je strzałami. Doskonaliła umiejętność brania poprawki na wiatr, a raz Sartaq pozwolił jej nawet samodzielnie przelecieć się na Kadarze. Miało to miejsce tylko raz, ale wystarczyło, by Nesryn ponownie zadała sobie w myślach pytanie, jak to możliwe, że oni pozwalają na to czteroletnim dzieciom. Lot był krótki, ale mimo to nigdy dotąd nie czuła się aż tak wyzwolona.

Nigdy dotąd nie czuła się jednocześnie tak wolna i tak skoncentrowana.

Wędrowali więc od klanu do klanu, od paleniska do paleniska. Sartaq sprawdzał postępy w szkoleniu jeźdźców, odwiedzał rodziców, którym urodziły się malutkie dzieci, a także złożonych chorobami starców. Nesryn trzymała się zaś w jego cieniu albo przynajmniej próbowała, bo za każdym razem, gdy robiła krok w tył, Sartaq wypychał ją do przodu. Gdy tylko pojawiała się coś do zrobienia w większej grupie, prosił, by to ona się tym zajęła. W ten oto sposób Nesryn przyszło zmywać naczynia po posiłku wraz z innymi *rukhin*, zbierać strzały po treningu czy też sprzątać to, co ruki pozostawiły po sobie w korytarzach i gniazdach.

Księżę wspomógł ją przynajmniej podczas ostatniego zadania. Pomimo swego pochodzenia i wysokiej rangi wykonywał wszystkie obowiązki bez słowa narzekania. Zapytała go o to pewnej nocy, na co Sartaq oznajmił, że nikt nie ma prawa wymigiwać się od pracy.

Nesryn zaś, bez względu na to, czy zdrapywała zeschnięte odchody z podłogi korytarza czy też uczyła młodych wojowników sztuki napinania cięciwy, czuła, jak coś niespokojnego w jej sercu powoli cichnie.

Nie potrafiła już sobie wyobrazić cichych odpraw w pałacu w Rifthold, gdzie wydawała dyspozycje milczącym, poważnym strażnikom, którzy później odmaszerowywali po marmurowych podłogach. Nie pamiętała już koszar straży miejskiej, gdzie w kącie zatłoczonej izby otrzymywała rozkazy, a potem stała przez długie godziny na rogu ulicy, przyglądając się, jak zwykli ludzie robią zakupy, jedzą, kłócą się lub po prostu idą przed siebie.

Miała wrażenie, że wszystko to wydarzyło się w innym życiu i w innym świecie.

Tu, w samym sercu gór, gdzie oddychała ożywczym, czystym powietrzem, siadywała przy ogniu i słuchała, jak Houlun opowiada o *rukhin*, jeźdźcach ze stepów, pierwszym kaganie i jego ukochanej żonie, po której Borte odziedziczyła imię, nie była w stanie przypomnieć sobie swego poprzedniego życia.

I nie chciała do niego wracać.

Podczas jednego wieczoru spędzanego przy ogniu, kiedy Nesryn rozczesywała ciasny warkocz,

którego Borte nauczyła ją zaplatać, zaskoczyła nawet sama siebie. Houlun usiadła z osełką i zaczęła szlifować długi sztylet, jednocześnie rozmawiając z małą grupką zebraną wokół niej – Sartaqiem, Borte, utykającym wciąż, bladym Falkanem i sześcioma innymi ludźmi, którzy byli różnymi kuzynami Borte. Matka Przy Palenisku przyjrzała się ich twarzom, złocistym i rumianym od ognia, po czym zapytała:

– A może posłuchamy czegoś o Adarlanie?

Oczy wszystkich zwróciły się ku Nesryn i Falkanowi. Zmiennokształtny skrzywił się lekko.

– Obawiam się, że nie znam żadnych ciekawych historii – odparł, po czym zastanowił się. – Cóż, kiedyś odbyłem ciekawą wyprawę na Czerwoną Pustynię, ale... – Machnął ręką i wskazał Nesryn. – Wolałbym najpierw posłuchać jednej z twoich opowieści, kapitan Faliq.

Nesryn poczuła na sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych i z trudem opanowała odruch wiercenia się.

– Historie, z którymi dorastałam, pochodzą głównie stąd, z waszych ziem – przyznała.

Odpowiedziały jej szerokie uśmiechy, a Sartaq mrugnął. Nesryn pochyliła głowę, czując na policzkach gorący rumieniec.

– Opowiedz nam o Fae, skoro ich poznałaś – zaproponowała Borte. – O tym księciu Fae, którego spotkałaś.

Nesryn pokręciła głową.

– Nie znam go tak dobrze – odparła, ale widząc zmarszczkę na czole Borte, dodała: – Ale mogę dla was zaśpiewać.

Odpowiedziała jej cisza. Houlun odłożyła osełkę.

– Bylibyśmy zaszczytzeni – rzekła i spojrzała ostro na Borte i Sartaqa. – Tym bardziej że żadne z moich dzieci nie potrafiłoby zaśpiewać czysto, nawet gdyby była to kwestia życia i śmierci.

Borte przewróciła oczami, ale Sartaq pochylił przepaszając głowę. Na jego ustach pojawił się krzywy uśmiech. Nesryn również się uśmiechnęła, choć serce biło jej jak szalone. Nigdy tak naprawdę nie występowała przed nikim, ale...

„Przecież to nie występ! – napomniała się w myślach. – Ja po prostu dzielę się czymś z innymi”.

Wysłuchała się w wiatr wyjący na zewnątrz jaskini. Pozostali cichli.

– To będzie pieśń o Adarlanie – powiedziała w końcu. – Śpiewano ją wśród wzgórz na północ od Rifthold, gdzie urodziła się moja matka. – Jej serce zalał stary, znajomy ból. – Śpiewała mi ją, zanim... zanim odeszła.

W stalowym, twardym wzroku Houlun pojawił się błysk współczucia, ale Nesryn zerknęła przy tych słowach na Borte. Wyraz twarzy młodej kobiety był nieoczekiwanie łagodny. Wpatrywała się w łuczniczkę, jakby nigdy dotąd jej nie widziała. Ta skinęła jej lekko, jakby chciała powiedzieć: „To ciężar, który obie nosimy”.

Przez moment znów słuchała wiatru. Pozwoliła, by przeniósł ją do jej małej, ślicznej sypialni w Rifthold. Przywołała w pamięci dotyk jedwabistych dłoni matki, głaszczących jej twarz i włosy. Tak bardzo lubiła pochodzące z odległej ojczyzny ojca opowieści o rukach i klanach jeźdźców, że rzadko prosiła o jakąś opowieść z Adarlanu, choć stamtąd przecież pochodziła jej matka.

Ale ta pieśń jej mamy... Była to jedna z nielicznych opowiedzianych przez nią historii, a do tego w formie, którą Nesryn kochała najbardziej. Mówiła o jej ojczyźnie za lepszych dni. Niespodziewanie łuczniczka poczuła, że chce się nią podzielić. Że chce pokazać jeźdźcom ręków choć cząstkę tego, czym jej ojczyzna jeszcze kiedyś może się stać.

Odkaszlnęła i nabrała tchu.

A potem otworzyła usta i zaczęła śpiewać.

Jedynym akompaniamentem był trzask płomieni. Jej głos wypełnił Górską Halę Altun, wił się między prastarymi kolumnami i odbijał się od rzeźbionych skał.

Miała wrażenie, że Sartaq nieruchomieje, że z jego twarzy znika wszelka zaciętość i wesołość.

Skupiła się jednak całkiem na pieśni i na słowach, które słyszała tak dawno. Na opowieści o odległych zimach i śladach krwi na śniegu, o matce i jej córkach, o ich miłości, walce i wzajemnej

opiece.

Jej głos wznosił się i opadał, śmiały i pełen gracji niczym ruk. Mogłaby wręcz przysiąc, że nawet wyjący wiatr ucichł, by jej posłuchać. A gdy zakończyła złocistą, wysoką nutą, przywodzącą na myśl wiosenne słońce, przebijające się przez zimne krainy, gdy halę na powrót wypełniła cisza i trzask płomieni...

Borte płakała. Ciche łzy spływały po jej pięknej twarzy, a Houlun, zapomniawszy o oselce, ścisnęła mocno dłoń wnuczki. Rany w ich sercach najwyraźniej nadal się goiły. Sartaqa zresztą również, bo jego oblicze także spowił smutek.

– I tak oto w świat wyruszy kolejna legenda o Strzale Neith – powiedział, a w jego głosie pobrzmiwał jednocześnie żal i rozpacz, a także niewysłowna czułość.

Nesryn ponownie opuściła głowę, uśmiechem dziękując wszystkim za pochwały. Falkan bił brawo najgłośniej jak umiał i domagał się kolejnej pieśni, a łuczniczka, ku własnemu zdumieniu, spełniła jego prośbę. Po hali poniosła się wesola, górską pieśń, której nauczył ją ojciec, opowiadająca o wartkich strumieniach i polach kwitnących dzikich kwiatów.

Noc trwała, a Nesryn, śpiewająca w tej przepięknej hali we wnętrzu góry, poczuła na sobie spojrzenie Sartaqa. Wyraz jego oczu był inny niż kiedykolwiek wcześniej. Napomniała się w myślach, że powinna natychmiast odwrócić wzrok, ale tego nie zrobiła.

\*\*\*

Kilka dni później, gdy Falkan wreszcie doszedł do siebie, ośmielili się zapuścić do trzech strażnic, które odkryła Houlun. W pierwszych dwóch, które znajdowały się na tyle daleko, że wymagały osobnych wypraw, nie natrafili na nic godnego uwagi. Houlun surowo zabroniła im obozować w dziczy, więc, by oszczędzić sobie jej gniewu, wracali posłusznie na noc, po czym dawali Kadarze i Arcas, słodkiemu rukowi Borte, kilka dni odpoczynku.

Sartaqa przekonał się nieco do zmiennokształtnego. Przyglądał się Falkanowi równie ostrożnie jak Kadara, ale przynajmniej od czasu do czasu próbował odbyć z nim jakąś rozmowę. Borte, w przeciwieństwie do niego, zasypywała Falkana tysiącami pytań, gdy wspólnie przeczesywali ruiny wież Fae.

– Jak to jest, gdy jesteś kaczką i suniesz gładko po powierzchni, młócąc nóżkami za sobą? Kiedy jesz coś jako zwierzę, czy twój ludzki żołądek również się wypełnia? A może musisz z tego powodu czekać, zanim powrócisz do ludzkiej postaci? A załatwiasz się jako zwierzę?

Ostatnie pytanie przynajmniej rozbawiło Sartaqa do tego stopnia, że parsknął śmiechem, a Falkan poczerwieniał i wymigał się od odpowiedzi.

Przeszukanie zarówno strażnic, jak i ich okolic nic im niestety nie dało. Nadal nie wiedzieli, dlaczego zostały wzniesione, z kim ich załogi toczyły boje i w jaki sposób pokonały swych wrogów.

Została już tylko jedna. Nesryn przeliczyła dni i uświadomiła sobie, że trzy tygodnie, po których obiecała Chaolowi powrót, dobiegły końca.

Sartaqa również to wiedział. Odnalazł ją, gdy stała w gnieździe ruków i patrzyła, jak odpoczywają, stroszą pióra bądź zrywają się do lotu. Wiedział, że często tu przychodziła podczas spokojniejszych popołudni, by przyglądać się ptakom. Podziwiała zarówno ich błyskotliwość i inteligencję, jak i mocne więzi rodzinne.

W chwili, gdy się zjawił, Nesryn stała przy drzwiach, oparta o ścianę. Przez kilka minut oboje przyglądali się parze ruków, które muskały się dziobami, aż jeden z nich podskoczył na skraj uskoku i odbił się w przepaść.

– Widzisz tego tam? – Książę wskazał jej czerwono-brązowego ruka, siedzącego przy przeciwległej ścianie. Nesryn wielokrotnie już patrzyła na niego, ale głównie zwracała uwagę na to, że w przeciwieństwie do innych na ogół siedział sam i nigdy nie był odwiedzany przez jeźdźca.

– Jego jeździec zmarł kilka miesięcy temu. Podczas posiłku złapał się nagle za pierś i padł martwy. Był już starym człowiekiem, ale jego ruk... – Sartaqa uśmiechnął się ze smutkiem, patrząc na ptaka. – Jest wciąż młody. Nie ma nawet czterech lat.

– Co się dzieje z ptakami, których jeźdźcy umierają?  
– Zwracamy im wolność. Niektóre odlatują w dzicz, ale część zostaje z nami. – Sartaq założył ramiona na piersi. – Ten pozostał.

– Otrzymują nowych jeźdźców?

– Niektóre. O ile ich zaakceptują. Wybór należy do ruka.

Nesryn usłyszała zachętę w głosie księcia. Odczytała ją w jego oczach. Poczowała ucisk w gardle.

– Nasz czas dobiegł końca.

– W istocie.

Odwróciła się ku niemu i przechyliła głowę.

– Potrzebujemy go więcej.

– Co napisałaś?

Było to proste pytanie, ale Nesryn przez kilka godzin zastanawiała się, jak sformułować list do Chaola, nim przekazała go najszybszemu posłańcowi Sartaqa.

– Poprosiłam go po prostu o kolejne trzy tygodnie.

Książę przechylił lekko głowę, przyglądając się jej z nieubłaganą, nieustającą intensywnością.

– Wiele może się wydarzyć przez trzy tygodnie.

Nesryn wyprostowała się i zadarła wyżej podbródek.

– Tak czy owak w końcu muszę wrócić do Antyki.

Sartaq pokiwał głową, a w jego oczach błysnęło coś na kształt rozczarowania.

– A więc ów ruk będzie musiał poczekać na innego jeźdźca.

Przez cały kolejny dzień po tej wymianie zdań Nesryn nie była w stanie zbyt długo spoglądać na księcia. Dopiero następnego ranka, gdy wyruszyli ku trzeciej strażnicy, zdołała zerknąć raz i drugi na Kadarę, niosącą Sartaqa i Falkana.

Po kilku godzinach lotu ruk rozrzucił skrzydła i skierował się w stronę ostatniej strażnicy, która znajdowała się na równinie między wzgórzami i szczytami Gór Tavan. Trwało lato i górskie wichry smagały szmaragdowe trawy i śmigły nad szafirowymi strumieniami. Z lotu ptaka sama wieża wydawała się jedynie stertą ruin.

Borte gwizdnęła przez zęby i szarpnęła wodzami. Arcas skręciła w lewo, po czym wyrównała lot. Borte była doświadczonym jeźdźcem, śmielszym od Sartaqa, głównie dlatego, że jej ruk był nieco mniejszy, a przez to zwinniejszy. Trzykrotnie wygrywała coroczne wyścigi klanów, w których liczyła się zręczność, szybkość i umiejętność błyskawicznego reagowania.

– Czy to ty wybrałaś Arcas? – spytała Nesryn, przekrzykując wiatr. – A może to ona wybrała ciebie?

Borte pochyliła się i poklepała rumaka po karku.

– Chyba obie podjęłyśmy tę decyzję. Zobaczyłam ten opierzony łebek wystający z gniazda i nie musiałam się już dłużej nad niczym zastanawiać. Wszyscy mówili mi, bym wybrała większego pisklaka, a matka nawet mnie zbeształa. – Uśmiechnęła się ze smutkiem przy tych słowach. – Ale ja już wiedziałam, że Arcas jest moja. Wiedziałam to już w chwili, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy.

Nesryn zamilkła, gdy Borte skierowała ptaka ku ruinom w ślad za Kadarą, której skrzydła lśniły blaskiem księżycy.

– Powinnaś wziąć tego ruka z gniazdowiska i przelecieć się raz czy drugi – dodała *rukhin*, pozwalając Arcas na miękkie, gładkie lądowanie. – Wiesz, przetestować go.

– Wkrótce was opuszczam. To byłoby nie w porządku zarówno wobec niego, jak i wobec mnie.

– Wiem. Ale może tak czy owak powinnaś to zrobić.

Borte uwielbiała szukać pułapek zastawionych przez Fae. Nesryn nie miała nic przeciwko temu, gdyż dziewczyna była w tym o wiele lepsza od niej. Trzecia wieża, ku wielkiemu rozczarowaniu Borte, zawałiła się do szczytu i wielkie rumowisko przesłaniało zejście na dolne poziomy. Nad ruinami wznosiło się jedyne piętro, otwarte ku niebu.

Na szczęście mieli ze sobą Falkana.

Zmiennokształtny zaczął się transformować i kurczyć, a Sartaq nawet nie próbował ukryć

obrzydzenia. Kiedy spod głazu, na którym przed chwilą siedział Falkan, wyłonił się sporych rozmiarów krocionóg, wzdrygnął się ponownie, tym bardziej że stworzenie uniosło się na tylnych nóżkach i pomachało do nich niezliczonymi przednimi odnóżkami.

Nesryn również skrzywiła się z niesmakiem, ale Borte wybuchnęła śmiechem i odmachnęła do niego. Sekundę później Falkan znikł między głazami, by rozejrzeć się w ciemnościach.

– Naprawdę nie wiem, co cię w tym tak porusza – zwróciła się Borte do Sartaqa, cmokając. – Przecież to urocze!

– Nie chodzi mi o to, czym on się stał – przyznał Sartaq, przyglądając się stercie kamieni w oczekiwaniu na powrót krocionoga. – Po prostu robi mi się niedobrze na samą myśl o topniejących kościach i mięsie rozlewającym się niczym woda... – Zadrżał i odwrócił się ku Nesryn. – Mówiłaś, że wśród twoich przyjaciół jest zmiennokształtna. Przeszkadzało ci to kiedyś?

– Nie – odparła bez wahania Nesryn. – Nie widziałam nawet, jak się przemienia, do dnia, o którym zameldowali ci szpiedzy.

– Do dnia, kiedy oddałaś Niewykonalny Strzał – mruknął książę. – A więc naprawdę uratowałaś zmiennokształtną.

Nesryn pokiwała głową.

– Ma na imię Lysandra.

Borte trąciła Sartaqa łokciem.

– Nie masz przypadkiem ochoty, by udać się na północ, bracie? By ujrzeć wszystkich tych ludzi, o których opowiada Nesryn? Zmiennokształtnych, królowe ziejące ogniem, księżęta Fae...

– Zaczynam dochodzić do wniosku, że twoja fascynacja wszystkim, co ma związek z Fae, może okazać się niezdrowa – burknął Sartaq.

– Zabrałam tylko jeden sztylet! – sprzeciwiła się Borte. – No, może dwa.

– Zabrałaś ich z poprzedniej wieży tyle, że biedna Arcas ledwie się od ziemi odbiła.

– Chcę się zająć handlem! – zachnęła się Borte. – Kiedyś nasi rodacy być może wreszcie powyciągają głowy z dup i przypomną sobie, że w ten sposób można się dorobić!

– Nic dziwnego, że Falkan tak ci przypadł do gustu – stwierdziła Nesryn, na co Borte wbiła jej łokieć w żebra.

– Jeszcze wszyscy popamiętacie... – zaczęła, ale przerwał jej przeraźliwy wrzask. Nie Falkana, który penetrował lochy, ale dochodzący gdzieś z góry.

To krzyczała Kadara.

Nesryn w okamgnieniu wyciągnęła strzałę i nałożyła ją na cięciwę. Wszyscy troje obiegli rumowisko i ujrzeli ruki lądujące na równinie. Ich jeźdźcy mieli srogie, ponure miny.

Sartaq westchnął i rozluźnił się, ale Borte przepchnęła się obok niego, przeklinając wściekle. W dłoni nadal miała miecz, wspaniałe ostrze z Asterionu, które znalazła w ruinach ostatniej wieży.

Młody mężczyzna, mniej więcej w wieku Borte, zeskoczył ze swojego rumaka. Jego włosy były tak intensywnie brązowe, iż zdawały się wręcz czarne. Szedł ku nim krokiem człowieka pewnego swych racji, a na jego przystojnej twarzy widniał krzywy uśmiech. Borte zmierzała ku niemu, deptając wysokie trawy.

Pozostali jeźdźcy przyglądali się scenie z chłodem i wyższością. Nikt nie uklonił się Sartaqowi.

– Co ty tu porabiasz, do cholery? – spytała ostro Borte, która zatrzymała się w bezpiecznej odległości od młodzieńca i oparła dłoń na biodrze.

Mężczyzna również miał na sobie skórzany strój do podniebnych podróży, ale kolorowa opaska na ramieniu sugerowała, że pochodzi z innego miejsca.

„Berlad – przypomniła sobie Nesryn. – Najmniej przyjazne z odwiedzonych przez nas gniazdowisk, ale też jedno z najpotężniejszych”.

Tamtejsi jeźdźcy byli poddawani surowemu treningowi, a jaskinie utrzymywane były w niebywałej czystości.

Młody człowiek zignorował Borte i zawołał do Sartaqa:

– Zauważyliśmy wasze ruki. Daleko zbłądziłeś od swego gniazdowiska, kapitanie.

Ostrożnie dobierał słowa.

– Zjeżdżaj stąd, Yeran – syknęła Borte. – Nikt cię tu nie zapraszał.

Ten z chłodem uniósł brew.

– Wciąż ujadasz bez umiaru, jak widzę.

Borte splunęła mu pod stopy. Wśród pozostałych jeźdźców pojawiło się napięcie, ale gdy dziewczyna smagnęła ich wściekłym spojrzeniem, wszyscy odwrócili głowy.

Gdzieś za nimi zgrzytnął kamień. Oczy Yerana zapłonęły. Ugiął kolana, jakby chciał rzucić się ku Borte i odepchnąć ją na bok. Zza rumowiska wyłonił się Falkan pod postacią wilka.

Borte odsunęła się od Yerana i powiedziała słodkim głosem:

– To moje nowe zwierzątko.

Zaskoczony Yeran patrzył to na nią, to znów na Falkana, który usiadł obok Nesryn. Ta nie oparła się pokusie i podrapała go po puszystych uszach. Zmiennokształtny nie dość, że jej na to pozwolił, to jeszcze wepchnął łeb w jej dłoń.

– W dziwnym towarzystwie się ostatnio obracasz, kapitanie – rzekł po chwili Yeran do Sartaqa.

Borte pstryknęła mu palcami przed twarzą.

– A do mnie się nie odezwiesz?

Yeran obdarzył ją leniwym uśmiechem.

– A masz do powiedzenia coś, czego warto posłuchać?

Borte najeżyła się, ale Sartaq uśmiechnął się lekko i stanął u boku swej Siostry Przy Palenisku.

– Mamy w tych okolicach sprawy do załatwienia i zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Co sprowadza was tak daleko na południe?

Yeran zaplótł palce na rękojeści długiego noża, który trzymał za pasem.

– Zagięły nam trzy pisklęta. Chcieliśmy je wytropić, ale jak do tej pory nie natrafiliśmy na żadne ślady.

Nesryn poczuła ucisk w żołądku. Wyobraziła sobie pająki, przemykające przez gniazdowisko między rękami do tak pilnie strzeżonych piskląt. I do śpiących w pobliżu ludzkich rodzin.

– Kiedy znikły? – Twarz Sartaqa była twarda jak kamień.

– Dwie noce temu. – Yeran potarł szczękę dłonią. – Wydawało nam się, że stoją za tym kłusownicy, ale nie natrafiliśmy na żaden trop zapachowy. Nie ma też śladów na ziemi ani pozostałości po obozowisku.

„Spójrz w górę” – pomyślała Nesryn.

Przez jej umysł przemknęło wypisane krwią ostrzeżenie ze strażnicy Eidolon. O tym samym pomyślał Sartaq, sądząc po tym, z jaką pasją zacisnął szczęki.

– Wracaj do swego gniazdowiska, kapitanie – powiedział i wskazał szczyty, jakże nagie i jałowe w porównaniu z huczącym wokół nich życiem. Jak zwykle Łańcuch Dagul wydawał się czuwać i obserwować. Czekać. – Nie macie tu czego szukać – dodał.

W oczach Yerana błysnęła czujność, gdy spoglądał to na niego, to na Borte. Potem przeniósł wzrok na Nesryn i Falkana.

– Stoją za tym *kharankui*.

Jeźdźcy drgnęli, nawet ruki zaszeleściły skrzydłami, słysząc to słowo. Jakby i one je znały.

– Słyszeliście mego brata – oznajmiła Borte głośno, by wszyscy ją usłyszeli. – Możecie odpełznąć do własnego gniazdowiska.

Yeran wykonał parodię ukłonu.

– Ruszaj do własnego, to i ja zawrócę do mojego, Borte – oznajmił.

Dziewczyna wyszczerzyła zęby. Yeran jednakże z gracją wskoczył na swego ruka i skinął pozostałym. Ogromne ptaki jeden po drugim wzbijały się w powietrze, a Yeran odczekał, aż wszyscy oderwą się od ziemi, po czym zwrócił się do Sartaqa:

– Jeśli *kharankui* opuściły swe terytoria, musimy zebrać armię i przegnać je z powrotem, zanim będzie za późno.

Wiatr szarpał Sartaqa za warkocz, ciągnąc nim ku wrogim górą. Nesryn żałowała, że nie widzi

wyrazu twarzy, z jakim powitał propozycję zebrania armii.

– Zaradzimy temu – odparł książę. – Miejcie się na baczności. Trzymajcie dzieci i pisklęta blisko siebie.

Yeran kiwnął z powagą głową, jak żołnierz, który otrzymuje rozkaz od dowódcy bądź oficer słuchający księcia. Potem przeniósł spojrzenie na Borte, która pokazała mu wulgarny gest.

Mrugnął do niej, a potem gwizdnął na swego ruka i pomknął ku niebu. Podmuch, wywołany uderzeniami skrzydeł ptaka, poderwał warkocze Borte. Odprowadziła wzrokiem Yerana, który dołączył do reszty, a potem splunęła na ziemię, gdzie jeszcze przed chwilą stał jego ręk.

– Łajdak – syknęła, a potem odwróciła się gwałtownie i podeszła do Nesryn i Falkana, który powrócił do swojej ludzkiej formy.

– Na dole nie ma nic godnego uwagi – oznajmił, gdy podszedł do nich również Sartaq.

Nesryn spojrzała na Łańcuch Dagul i zmarszczyła brwi.

– Pora chyba przemyśleć całkiem nową strategię.

Sartaq powiódł wzrokiem w tym samym kierunku, a potem stanął tak blisko Nesryn, że poczuła ciepło jego ciała. Razem wpatrywali się w odległą ścianę gór i myśleli o tym, co znajdowało się za nimi.

– Ów młody kapitan, Yeran. – Falkan ostrożnie zwrócił się do Borte. – Wygląda na to, że dobrze go znasz.

Ta skrzywiła się.

– Tak. To mój narzeczony.

Kashin może i nie miał ochoty, by wywierać jakikolwiek nacisk na ojca, ale miał swoje sposoby, by ułatwić to innym. Gdy Chaol zbliżył się do drzwi, za którymi kagan odbywał naradę handlową, musiał zamaskować swój uśmiech na widok Hashima, Shena oraz dwóch innych strażników, z którymi trenował.

Shen mrugnął do niego, a potem zastukał do drzwi sztuczną dłonią. Od jego zbroi odbijał się rozmyty blask porannego słońca. Chaol, udając, że nie zna strażników, wjechał bez słowa czy choćby gestu do środka. W zalanej światłem sali ujrzał kagana i trzech wezyrów w złocistych szatach, którzy siedzieli przy długim stole z czarnego, wypolerowanego drewna. Wszyscy czterej spojrzeli na niego w milczeniu, ale Chaol, z uniesioną wysoko głową i miłym, życzliwym uśmiechem na twarzy, bezceremonialnie podjechał bliżej.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale istnieje pewna sprawa, którą chciałbym omówić.

Zaciśnięte mocno usta kagana utworzyły ciekłą kreskę. Miał na sobie ciemne spodnie oraz lekką, zieloną tunikę, odsłaniającą wciąż potężne kark i ramiona, przypominające o tym, iż pomimo wieku kagan nadal był wojownikiem.

– Kilkakrotnie już mówiłem, lordzie Westfall, że jeśli zyczysz sobie ubiegać się o audiencję, powinieneś porozmawiać z moim głównym wezyrem. – Kagan ruchem głowy wskazał mężczyznę o kwaśnej twarzy, siedzącego naprzeciwko.

Chaol zatrzymał się przed stołem, prężąc stopy i poruszając nimi. Po porannym treningu z gwardią pałacową wykonał tyle ćwiczeń na nogi, ile zdołał. Choć odzyskał zdolność poruszania nimi aż po kolana, sama myśl o tym, by wstać i oprzeć na nich ciężar ciała... Nie, wyrzucił ten pomysł z głowy. Trudno wszak było o gorszy moment, by to rozważyć. Poza tym, bez względu na to, czy stał czy leżał, wciąż mógł przemawiać stanowczo i z autorytetem, a tylko to miało teraz znaczenie. Jego fotel na kółkach nie był więzieniem i nie czynił go mniej istotnym człowiekiem.

Pochylił więc głowę i uśmiechnął się lekko.

– Z całym szacunkiem, Wielki Kaganie, ale nie przybyłem tu, by spotkać się z tobą.

Jedyną oznaką zaskoczenia Urusa było kilkakrotne mrugnięcie. Chaol zwrócił się zaś do mężczyzny w szatach koloru nieba, którego dokładnie opisał mu Kashin.

– Chciałbym porozmawiać z wezyrem, który nadzoruje handel zagraniczny.

Wezyr spoglądał to na kagana, to znów na gościa, jakby chciał przekonać wszystkich o swej niewinności, choć w jego brązowych oczach zamigotało zainteresowanie. Nie odważył się jednak odezwać.

Chaol przez kilka sekund wytrzymywał spojrzenie kagana.

Nie myślał o tym, że właśnie przeszkodził w prywatnym spotkaniu być może najpotężniejszemu człowiekowi świata. Nie myślał o tym, że przebywał jako gość na obcym dworze, a życie jego przyjaciół i rodaków być może zależało od tego, co uda mu się tu zdziałać. Po prostu wpatrywał się w kagana jak mężczyzna w mężczyznę, wojownik w wojownika.

Walczył już z jednym władcą i wyszedł z tego cało.

Kagan w końcu drgnął i ruchem podbródka wskazał Chaolowi puste miejsce przy stole. Nie było to życzliwe powitanie, ale lepsze to niż nic. Chaol skinął z podziękowaniem i podjechał na wyznaczone miejsce. Panując nad swoim oddechem, spojrzał czterem zebranych w oczy i odezwał się do wezyra zajmującego się handlem zagranicznym:

– Dowiedziałem się, że kapitan Rolfe złożył zamówienie na dwa duże arsenały ognistych lanc dla swojej armady. Pierwsze z nich wyszło przed przybyciem Aelin Galathynius do Zatoki Czaszek, a drugie, jeszcze większe, później.

Kagan uniósł białe brwi. Wezyr poruszył się nerwowo, ale pokiwał głową.

– Tak – rzekł w mowie ojczystej Chaola. – To prawda.

– Ile dokładnie kosztuje jedna ognista lanca?



Wezyrowie spojrzeli po sobie, ale odpowiedzi udzielił Chaolowi inny mężczyzna, który przypuszczalnie zajmował się handlem wewnętrznym. Chaol czekał cierpliwie. Kashin zdradził mu dokładną cenę zeszłej nocy i w istocie była ona astronomiczna. Zgodnie z jego oczekiwaniami, zaskoczony kagan spojrzął na wezyra.

– Ile z nich zostało wysłanych do Rolfe’a, a więc do Terrasenu?

Padła kolejna liczba. Chaol odczekał, aż kagan przemnoży sobie wszystko w myślach. Kątem oka widział, jak jego brwi podjechały jeszcze wyżej.

Główny Wezyr oparł przedramiona na blacie.

– Chcesz nas przekonać o dobrych intencjach Aelin Galathynius czy może złych, lordzie Westfall?

Chaol zignorował zaczepkę i zwrócił się bezpośrednio do wezyra od handlu zagranicznego.

– Chciałbym złożyć kolejne zamówienie. Pragnę podwoić zamówienie królowej Terrasenu.

Jego słowa powitała cisza. Wezyr wyglądał, jakby lada moment miał spaść z krzesła, ale ich przełożony parsknął szyderczo:

– A czym zapłacisz?

Chaol uśmiechnął się leniwie do niego.

– Przybyłem tu z czterema kuframi bezcennych klejnotów. Myślę, że to wystarczy.

Znow zapadła cisza, którą przerwał dopiero kagan pytaniem skierowanym do wezyra od handlu zagranicznego:

– Czy to wystarczy?

– Skarb będzie trzeba zważyć i oszacować...

– Co już się dzieje. – Chaol rozparł się na swoim fotelu. – Poznamy dokładną kwotę po południu.

Milczenie. Po chwili kagan powiedział coś w halha do wezyra zajmującego się handlem zagranicznym, który zebrał swe papiery i pospiesznie opuścił komnatę, po drodze obrzucając Chaola ostrożnym spojrzeniem. Urus rzucił zaś jeszcze po słowie do dwóch pozostałych gości, którzy również wyszli. Główny wezyr nie omieszkał obrzucić przy tym lorda Westfalla kolejnym chłodnym spojrzeniem.

Pozostawiony sam na sam z kaganem Chaol czekał w milczeniu. Urus podniósł się ze swego krzesła i podszedł do okna wychodzącego na kwitnący, cienisty ogród.

– Myślę, że uważasz się za wielkiego spryciarza – rzekł. – Wszak dopiąłeś swego i dostąpiłeś wreszcie zaszczytu porozmawiania ze mną.

– Powiedziałem prawdę – odparł Westfall. – Chciałem omówić interes z wezyrem od handlu zagranicznego. Nawet jeśli twe armie nie staną po naszej stronie, nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby się sprzeciwić zakupowi broni.

– Co bez wątpienia miało mi uświadomić, że skoro macie ochotę inwestować w naszą broń, wojna może okazać się dla mnie źródłem wielkich zysków.

Chaol nie odpowiedział. Kagan odwrócił się od ogrodu. Blask słońca sprawiał, że jego włosy wydawały się jaśnieć.

– Nie podoba mi się to, że próbujesz mnie wmanewrować w tę wojnę, lordzie Westfall.

Chaol wytrzymał jego spojrzenie, choć ze wszystkich sił zacisnął dłonie na oparciach fotela.

– Czy ty w ogóle wiesz, na czym polega wojna? – spytał cicho kagan.

Westfall zacisnął zęby.

– Cóż, niebawem się przekonam, prawda?

Na twarzy kagana nie było ani cienia uśmiechu.

– W wojnie nie chodzi o bitwy, zaopatrzenie i strategię. Wojna to absolutne poświęcenie i zaangażowanie armii w walce przeciwko wrogom. – Jego spojrzenie było długie, ciężkie taksujące. – Oto, co was czeka. Niewzruszone, zdyscyplinowane szeregi Morath. Żołnierze przeświadczeni, że ich zadaniem jest rozbicie was w pył.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

– Doprawdy? A czy ty w ogóle wiesz, co Morath już z wami robi? Oni budują, planują i uderzają,

a wy jesteście ledwie w stanie za tym nadażyć. Gracie wedle reguł ułożonych przez Perringtona i z tego powodu poniesiecie klęskę.

Śniadanie przewróciło się Chaolowi w żołądku.

– Nadal możemy odnieść zwycięstwo.

Kagan potrząsnął głową.

– Chcąc wygrać, musicie tak naprawdę odnieść zwycięstwo całkowite. Musicie zniszczyć każdy punkt oporu. Co do jednego.

Chaol czuł swędzenie w nogach. Przesunął lekko stopy.

„Wstań! – nakazał sobie w myślach. – Wstań!”.

Napiął mięśnie, lecz na próżno.

– Dlatego właśnie – warknął z wysiłkiem – potrzebujemy waszej pomocy.

Kagan spojrział na nogi Chaola, jakby zdawał sobie sprawę, iż ten toczy właśnie zażarty bój ze swoim sparalizowanym ciałem.

– Nie podoba mi się to, że uganiaasz się za mną niczym myśliwy za dorodnym jeleniem. Kazałem ci czekać. Kazałem ci uszanować żalobę, którą noszę po mojej córce...

– A gdybym ci powiedział, iż być może twa córka została zamordowana?

Zapadła cisza, pusta i straszliwa.

– A gdybym ci powiedział, że agenci Perringtona być może już tu są? – warknął Chaol. – Że być może już cię osaczają i oplatają własnymi intrygami?

Na twarzy kagana pojawiło się napięcie. Chaol przygotował się na to, że tamten wybuchnie gniewem albo nawet pochwyci za długi, wysadzany klejnotami nóż i wbije mu go w pierś. Nic takiego nie miało jednak miejsca.

– Wyjdź – powiedział cicho kagan.

Strażnicy, jakby świadomi każdego słowa, które padło w środku, otworzyli drzwi, a Hashim z ponurą miną dał Chaolowi znak, by ruszył ku wyjściu.

Ten nawet nie drgnął. W odpowiedzi usłyszał kroki za sobą. Chcieli go wyprowadzić.

Ze wszystkich sił naparł na hamulec. Nie pozwoli, by go stąd wywlekli, nigdy na to nie pozwoli!

– Nie przybyłem tu po to, by ocalić swój lud, ale wszystkich ludzi na świecie! – warknął na kagana.

Ktoś – chyba Shen – złapał za rączki fotela i zaczął kierować go ku wyjściu.

Chaol obrócił głowę.

– Nie dotykaj! – warknął, obnażając zęby.

W oczach Shena błysnął żal, ale nie puścił. Doskonale wiedział. Tak, Chaol uświadomił sobie, że strażnik wie, jak to jest, gdy ktoś bez pozwolenia dotyka twego fotela i przesuwają go.

I wiedział też, czym się skończy dla Shena sprzeciwienie się rozkazowi władcy. Przestał więc protestować i po raz ostatni wbił wzrok w kagana.

– Nigdy w życiu nie widziałem miasta piękniejszego niż twoje, a twe imperium stanowi niedościgniony wzór dla innych. Gdy przybędzie Morath, by obrócić je w perzynę, kto stanie u twego boku, skoro my wszyscy będziemy już padliną?

Oczy kagana płonęły jak rozżarzone węgle. Shen pchał fotel ku drzwiom. Ramiona Chaola drżały z wysiłku, gdy usiłował go zatrzymać, a nogi mu dygotały, gdy przez cały czas próbował się podnieść. W końcu spojrział przez ramię i warknął:

– Stałem po złej stronie zbyt długo i kosztowało mnie to wszystko. Nie popełnij tego samego błędu...

– Oszczędź sobie. – Głos władcy ciął jak lodowy bicz. – Nikt nie ma prawa mówić kaganowi, co powinien zrobić. – Ruchem podbródka przekazał sygnał strażnikom, którzy przebierali nogami przy drzwiach. – Odprowadźcie lorda Westfalla do jego komnat. Nie pozwalajcie mu już wpraszać się na moje narady.

Za jego chłodnymi, spokojnymi słowami czaiła się groźba. Urus nie musiał podnosić głosu, nie musiał głośno ryczeć, by strażnicy zrozumieli, że w przeciwnym razie spotka ich kara.

Chaol napierał ze wszystkich sił, ścisnął hamulec, zatrzymywał obracające się koła i próbował choć odrobinę się podnieść, ale Shen wypchnął już jego fotel za drzwi i ruszył jasnym, lśniącym korytarzem.

Ciało nie słuchało. Nie reagowało.

Drzwi do sali narad kagana zamknęły się z cichym trzaskiem, który odbił się echem w każdej kości i każdym mięśniu Chaola. Żadne ze słów nie świadczyło o jego porażce bardziej niż ten dźwięk.

\*\*\*

Poprzedniej nocy Yrene zostawiła Chaola, by się uporał z własnymi myślami. Sama zaś pognęła do Torre, a w drodze raz jeszcze myślała o Hasar. Doszła do wniosku, że nie ma nic przeciwko, by choć raz wkręcić księżniczkę we własną intrygę. Co więcej, wiedziała już dokładnie, w jaki sposób nakłoni ją, by zabrała ich do tej przeklętej oazy.

Okazało się jednak, że nawet poranny trening z gwardią pałacową nie załagodził burzy, która wrzała w duszy Chaola. Wyczuła to wyraźnie, gdy ujrzała go w salonie. Tradycyjnie wysłała Kadję z kolejnym bezsensownym zadaniem – tym razem miała przynieść sznurek, kozie mleko oraz ocet – i zaczęła przygotowywać się do sesji.

Na dworze panował upał, ale lato miało się już ku końcowi. Dzikie jesienne wichry zaczynały chłostać turkusowe wody zatoki. W Antice zawsze było ciepło, ale między Yulemas a Beltane Wąskie Morze stawało się wzburzone i nieokiełznane. Siłą rzeczy wszelkie działania floty wojennej całkiem wówczas zamierały. Ich czas się kończył.

Cóż, Yrene przypuszczała, że po tym, co miało miejsce zeszłej nocy, i tak nikt nigdzie nie wypłynie. Siedzący przy używanej przez nich zazwyczaj złocistej kanapie Chaol powitał ją jedynie przelotnym spojrzeniem. Na jego twarzy nie było znać zwykłego ponurego uśmiechu, a cienie pod jego oczami... Yrene miała zamiar natychmiast opowiedzieć mu o swoim planie, ale gdy na niego popatrzyła, zapomniała o wszystkim.

– Nie spałeś przez całą noc?

– Przez większą część – odparł cicho.

Podeszła do kanapy, ale nie usiadła. Założyła ramiona na piersi i wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

– Być może kagan jeszcze sobie wszystko przemyśli. Jest przecież świadom intrygi własnych dzieci. Na pewno zauważył, że Arghun i Hasar połączyli tamtego wieczoru siły, co oznacza, że trzeba zachować czujność.

– Czyli znasz kagana aż tak dobrze? – Pytanie Chaola było chłodne i kąśliwe.

– Nie, ale mieszkam tu o wiele dłużej od ciebie.

W brązowych oczach mężczyzny pojawił się błysk.

– Nie mam dwóch lat na ich gierki!

Czego nie można było powiedzieć o Hasar. Yrene stłumiła irytację i rzekła:

– Cóż, ponure rozmyślanie niczego nie naprawią.

Chaol rozchylił nozdrza.

– Dokładnie – burknął.

Nie widziała go takim od wielu tygodni. Zaraz, czy naprawdę pracowali razem już tak długo? Jej urodziny wypadały za dwa tygodnie. Szybciej, niż sądziła. Nie był to oczywiście dobry moment, by o tym wspominać, ani też o planie, który ułożyła. Przez ponury nastrój, jaki go ogarnął, wszystko wydawało się teraz mało istotne. Yrene czuła ciężar, który jej pacjent nosił w sercu, wyczuwała frustrację i rozpacz, które go przygniatały.

– Opowiedz mi o tym, co się stało.

Bo od chwili ich rozstania na pewno wydarzyło się coś nowego.

Chaol smagnął ją ostrym spojrzeniem i zacisnął zęby, a Yrene przygotowała się w duchu na to, że nie będzie chciał o niczym mówić.

Mimo to odezwał się:

– Udałem się dziś rano do kagana.  
– Udało ci się uzyskać audiencję?  
– Nie do końca. – Chaol zacisnął mocniej usta.  
– Co się wydarzyło? – Yrene położyła dłoń na oparciu kanapy.  
– Kazał mnie wywlec z sali. – Jego słowa były zimne, pozbawione emocji. – Nie mogłem wyslizgnąć się straży. Nie byłem w stanie skłonić go, by mnie wysłuchał.  
– Gdybyś stał, a nie siedział na fotelu, też by cię wywlekli.  
„A przy tym pewnie jeszcze byś oberwał” – dodała w myślach.  
Chaol wbił w nią ponure spojrzenie.  
– Ale ja nie chciałem z nikim walczyć. Chciałem go błagać, a nie byłem nawet w stanie paść na kolana.

Odwrócił spojrzenie ku oknu ogrodowemu, a w sercu Yrene rozlał się ból. Na twarzy mężczyzny widziała smutek, strach i wściekłość.

– Dokonałeś ogromnych postępów!  
– Chcę walczyć u boku moich ludzi – powiedział Chaol. – Zginąć przy nich.  
Jego słowa przeszły duszę uzdrowicielki lodowatym strachem.  
– Przecież możesz walczyć z siodła – wykrztusiła.  
– Nie. Ja chcę stanąć w szeregu między nimi! – warknął. – Chcę walczyć w błocie, w największym ścisku!  
– Czyli mam cię uzdrowić tylko po to, byś później zginął? – wyrwało się jej.  
– Tak.

Odpowiedź Chaola była równie zimna i zacięta jak jego mina. W jego sercu szalała burza, a Yrene nie chciała, by zniweczyła ona jej dotychczasowe wysiłki.

Tymczasem w ich ojczyźnie naprawdę trwała wojna. Bez względu na to, co Chaol chciał ze sobą zrobić, kończył mu się czas. Jej również.

Jej rodacy w Fenharrow także nie mieli już czasu.

Yrene podeszła więc do niego, złapała go pod ramię i powiedziała:

– No to wstawaj.

\*\*\*

Chaol doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że popadł w paskudny nastrój.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym lepiej uświadamiał sobie, z jaką łatwością Arghun i Hasar go ograli. To, co robiła Aelin, nie miało żadnego znaczenia, gdyż każde jej posunięcie mogli wykorzystać przeciwko niej, a więc i przeciwko niemu. Gdyby Aelin zachowywała się jak dama, uznaliby ją za sojusznika słabego i niepewnego. Nie było sposobu, by ich przechytryć.

Spotkanie z kaganem okazało się głupim posunięciem. Być może Kashin również wystrychnął go na dudka, bo jeśli kagan rzeczywiście planował, że kiedyś w przyszłości udzieli mu audiencji, teraz nie zrobi już tego z pewnością. I nawet gdyby Nesryn powróciła z *rukhin* Sartaqa...

List, który od niej otrzymał, był bardzo precyzyjnie skonstruowany.

*Choć rukhin są zręcznymi łucznikami, moje umiejętności bardzo ich zaintrygowały. Będę przez jakiś czas ich szkolić i sama się uczyć. Oni tu latają swobodnie. Do zobaczenia za trzy tygodnie!*

Nie miał pojęcia, jak należy odebrać przedostatnie zdanie. Czy Nesryn chciała go obrazić czy może w zawołowany sposób przekazać, że Sartaq i *rukhin* mogą zlekceważyć słowa kagana, jeśli ten zabroni im wylecieć na wojnę? Czy Sartaq naprawdę byłby w stanie poważnie się na zdradę, by im pomóc? Na wszelki wypadek Chaol skwapliwie spalił liścik.

Latają swobodnie. Nie znał tego uczucia, ale cieszył się, że jej przyjdzie to odkryć. Choć te tygodnie spędzone z Yrene, kolacja pod gwiazdami, rozmowy o wszystkim i o niczym, być może w gruncie rzeczy okażą się czymś podobnym. Nic jednak nie było w stanie zmienić tego, co ich czekało.

Nie, na tej wojnie nadal byli osamotnieni. Im dłużej zwlekał, im więcej czasu spędzał w Antice,

podczas gdy jego przyjaciele już walczyli...

Nie mógł się pogodzić z tym, że wciąż siedzi w tym przeklętym fotelu. Bez armii. Bez sojuszników.

– Wstawaj.

Powoli odwrócił się ku Yrene, która powtórzyła polecenie. Trzymała dłoń na jego ramieniu, a na jej twarzy pojawiła się zacieklność.

– Co. – Chaol zamrugął. Nie było to pytanie.

– Wsta. Waj. – wycedziła dziewczyna. – Skoro tak bardzo chcesz zginąć na tej wojnie, to wstawaj!

A więc jej też udzielił się paskudny nastrój. W porządku. Miał ochotę na porządną awanturę. Wymiany ciosów z gwardzistami niewiele mu pomogły, póki siedział na tym cholernym fotelu. Ale Yrene...

Przez ostatnie tygodnie pilnie wystrzegał się jakiegokolwiek kontaktu cielesnego. Uważnie przestrzegał odpowiedniego dystansu, nie licząc przypadkowych dotknięć bądź chwil, gdy uzdrowicielka pochylała głowę i nie mógł oderwać wzroku od jej ust.

Mimo to podczas kolacji zeszłej nocy wyczuł w niej napięcie, gdy Hasar od niechcenia wspomniała o powrocie Nesryn. Wyczuł rozczarowanie, które Yrene ze wszystkich sił próbowała ukryć, a potem ulgę, gdy wyjawiał, że nieobecność łuczniczki wydłuży się o trzy tygodnie.

Był łajdakiem najczystszej wody. Nawet gdyby zdołał przekonać kagana, by ocalił ich tyłki na wojnie, i tak przecież musiałby ją tu zostawić. Wyjedzie stąd bez względu na to, czy zdobędzie poparcie władcy czy też nie. Yrene co prawda również planowała powrót na kontynent, ale Chaol nie miał pewności, kiedy następnym razem ją zobaczy. I czy w ogóle do tego dojdzie.

Przecież może się zdarzyć, że żadne z nich nie przeżyje.

Miał do wykonania raptem jedno jedyne zadanie, które powierzył mu Dorian, ale nie wyszło mu. Zawiódł. Tak wiele zniósł, tyle się nauczył, ale... Nie wystarczyło. Zawiódł i już.

Spojrzał z ironią na swe nogi, a potem przeniósł wzrok na Yrene.

– A niby jak mam to zrobić?

Dokonali ogromnego postępu, większego, niż śmiał oczekiwać, ale to żądanie...

Yrene zacisnęła dłoń tak mocno, że Chaol poczuł ból.

– Sam powiedziałaś, że nie masz dwóch lat. Naprawiłam twój kręgosłup do tego stopnia, że powinieneś móc wstać. A więc wstawaj.

Posunęła się nawet do tego, że go szarpnęła.

Chaol spojrzał na nią spode łba. Z trudem panował nad emocjami.

– Puść mnie. I daj mi spokój.

– Bo co?

Och, ale była wściekła.

– A wiesz, co szpiedzy przekażą rodzinie kagana? – wycedził. Zimne, zacięte słowa.

Yrene zacisnęła usta.

– Nie mam się czego obawiać.

– Nie? A wydawać by się mogło, że nie masz nic przeciwko paru przywilejom. Wystarczyło, byś pstryknęła palcami, a Kashin momentalnie tu przybiegł! A co będzie, jak się znuży uganianiem za tobą?

– To bzdura i sam dobrze o tym wiesz. – Yrene znów go szarpnęła. – Wstawaj!

Ani drgnął.

– Odrzucasz od siebie księcia na rzecz wydziedziczonego syna jakiegoś lorda?

Nigdy dotąd nie wypowiedział tej myśli na głos, nawet sam przed sobą.

– To, że jesteś zły na Hasar i Arghuna, którzy cię wymanewrowali, oraz na kagana, który nie chce cię słuchać, nie daje ci prawa, by wciągać mnie do kłótni! – Yrene odsłoniła zęby. – A skoro masz tak wielką ochotę ruszyć do bitwy, to zapraszam! Wstawaj!

Chaol wyszarpnął swe ramię.

– Nie odpowiedziałas mi na pytanie.

– Nie mam zamiaru!

Tym razem Yrene, miast znów go pochwyć, wsunęła pod niego całe ramię i stęknęła głucho, jakby sama chciała go podnieść, choć był niemalże dwukrotnie cięższy od niej. Chaol zacisnął zęby. Nie chcąc, by zrobiła sobie krzywdę, znów strząsnął ją z siebie i zsunął stopy na podłogę. Wparł dłonie w oparcia fotela i wychylił się najdalej jak mógł.

– I?

Był w stanie poruszać kolanami, łydkami i stopami, a w udach od paru dni odczuwał mrowienie, ale...

– Pamiętasz chyba, jak się wstaje, co?

Odpowiedział jej wściekłym spojrzeniem.

– Skąd się wzięła ta wielka ulga, gdy powiedziałem, że Nesryn wróci dopiero za kilka tygodni?

Na jej piegawatych policzkach pojawił się rumieniec. Znów oplótła rękami jego ramiona.

– Nie chciałam, by coś ci przeszkodziło w terapii.

– Kłamiesz.

Znów szarpnęła go ku górze, a Chaola owionął jej zapach. Fotel zatrzeszczał, gdy pociągnął ją w dół, a wtedy Yrene przeszła do ofensywy.

– Myślę, że to ty poczułeś ulgę! – wysyczała. Jej oddech ogrzewał mu ucho. – Myślę, że ucieszyłeś się, że nie wraca, byś mógł udawać, że wiąże cię dane jej słowo! Byś mógł zasłaniać się tym, że przecież nadal jesteś jej wierny! Abyś, będąc tu ze mną, nie musiał się przejmować tym, że ona na nas patrzy! Abyś nie musiał myśleć o tym, kim ona dla ciebie jest! Teraz, dopóki jej nie ma, Nesryn jest tylko wspomnieniem, odległym ideałem, ale gdy jest tutaj i patrzysz na nią, co widzisz? Co czujesz?

– Miałem ją w łóżku. To chyba mówi wystarczająco dużo o moich uczuciach wobec niej!

Znienawidził się za te słowa, choć gwałtowność, z jaką je z siebie wyrzucił, przyniosła mu ulgę.

Yrene wciągnęła haustem powietrze, ale nie poddawała się.

– Tak, spaliście ze sobą, ale coś mi mówi, że miała tylko odwrócić twoją uwagę od innych spraw, i że miała już tego dosyć. Miała dość bycia nagrodą pocieszenia.

Napiął ramiona. Fotel zadygotał, gdy dźwignął się w górę. Choćby tylko po to, by stojąc, mógł spojrzeć jej w twarz.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

Nie wspomniała w ogóle o Aelin. Nie spytała o nią od wieczery zeszłej nocy. Aż do teraz...

– A więc wybrała Dorianą? Waszą królową? Dziwne, że była w stanie w ogóle na was dwóch patrzeć, zważywszy na krzywdy, które twoje imperium wyrządziło jej ojczyźnie!

Jego uszy wypełnił dziki ryk. Powoli przenosił ciężar ciała na stopy i zmuszał swój kręgosłup, by wytrzymał.

– Jakoś wcale ci to nie przeszkadzało podczas tamtego przyjęcia! Niemalże mnie błagałaś!

Nie miał pojęcia, skąd brały się słowa wychodzące z jego ust.

Paznokcie Yrene wbiły się w jego plecy.

– Zdziwiłbyś się, do czego doprowadzają ludzi opiaty. Zdziwiłbyś się, z kim byłbyś skłonny pójść do łóżka po wchłonięciu takiej ilości narkotycznego dymu!

– Zgadza się! Żeby zainteresować się synem Adarlanu? Łamiącym przysięgi zdrajcą bez krzty wiary! Bo tym właśnie jestem, nieprawdaż?

– A skąd miałabym o tym wiedzieć? Przecież nawet nie próbujesz o tym rozmawiać!

– Ty natomiast jesteś taka dobra w mówieniu o sobie, co?

– Tu chodzi o ciebie, nie o mnie.

– Ale zostałam do mnie przydzielona, ponieważ wasza Najwyższa Uzdrowicielka doszła do innego wniosku. Uświadomiła sobie bowiem, że bez względu na to, jak wysoko dotrzesz w tej waszej wieży, nadal będziesz tą samą dziewczyną z Fenharrow! – Chaol parsknął chłodnym, zimnym śmiechem. – Znałem pewną kobietę, która straciła tyle co ty. I wiesz, co z tym zrobiła? Co poczęła z tą stratą? – Nie był w stanie powstrzymać słów, które płynęły z niego wartkim strumieniem. Ryk w jego głowie zagłuszał wszelkie myśli. – Wytropiła ludzi, którzy byli za to odpowiedzialni, i zniszczyła ich. Jednego

po drugim. A co ty zrobiłaś przez te wszystkie lata?

Chaol uświadomił sobie, że jego słowa trafiły w sedno. Poczul, jak Yrene nieruchomieje. Naparł raz jeszcze, ugiął kolana i złapał równowagę. Sekundę później uzmysłowił sobie, że stoi.

„Za daleko – pomyślał. – Zabrnąłem za daleko”.

Nigdy przecież nie wierzył w to, co właśnie powiedział. Nigdy tak nie pomyślał. Nie umiał myśleć w ten sposób o niej. Czul, jak chrapliwie nabiera tchu, jak mruga, wpatrzona w niego z zamkniętymi ustami.

I nagle zrozumiał, że między nimi wyrasta nieprzenikniony mur.

Nigdy. Nigdy mu tego nie wybaczy. Nigdy się do niego nie uśmiechnie. Nigdy nie zapomni tego, co powiedział. Bez względu na to, czy stał czy nie.

– Yrene – wychrypiął, ale uzdrowicielka wyswobodziła ramiona i cofnęła się o krok, kręcąc głową. Pozwoliła mu stać. Samodzielnie. Bez pomocy. Samotna i bezbronna, zrobiła jeszcze krok do tyłu. Blask słońca odbił się od srebrnych łez, które wezbrały w jej oczach.

Chaol miał wrażenie, że coś wydziera mu serce. Nakrył je dłonią, jakby czuł już dziurę ziejącą w klatce piersiowej. Nogi się pod nim chwiały.

– Nie mam prawa mówić takich rzeczy. Jestem nikim. To ja sam...

– Może nie walczyłam nigdy z królami – odparła zimnym, drżącym z gniewu głosem, cofając się krok za krokiem. – Może też nie strzaskałam szklanego zamku, ale jestem dziedziczką Najwyższej Uzdrowicielki. Dzięki mej własnej pracy, dzięki latom cierpienia i ofiarom. Stoisz zresztą o własnych siłach właśnie dzięki temu. Wielu ludzi żyje dziś dzięki temu. Nie jestem wojowniczką wymachującą mieczem i nie jestem godna znaleźć się w twoich pełnych chwały opowieściach, ale przynajmniej ratuję ludzi przed złym losem. Ratuję życie, zamiast je odbierać.

– Wiem – odparł, walcząc z pokusą, by złapać za oparcie fotela, które teraz wydawało się być tak daleko od niego, że aż się zachwiał. – Yrene, ja to wiem.

Zabrnął za daleko, o wiele za daleko. Nigdy dotąd nie nienawidził siebie bardziej niż w tej chwili. Za to, że chciał wszcząć awanturę, że wrzeszczał na nią, a tak naprawdę mówił o sobie, za to, że okazał tak wielką głupotę.

Yrene zrobiła jeszcze jeden krok w tył.

– Proszę...

Ona jednak cofała się ku drzwiom. Chaol wiedział, że jeśli wyjdzie...

Pozwolił im wszystkim, by odeszli. Bywało, że sam odchodził, ale w przypadku Aelin, Doriany i Nesryn wina była po jego stronie. Pozwolił, by znikli, i nie podążył za nimi.

Niemniej ta kobieta cofająca się teraz ku drzwiom, usiłująca powstrzymać łzy bólu, który jej zadał, łzy gniewu, na który sam sobie zasłużył... Wyciągnęła rękę ku klamce. Usiłowała ją namacać na ślepo.

Jeśli wyjdzie... Jeśli jej na to pozwoli...

Yrene nacisnęła klamkę. A Chaol zrobił krok ku niej.

Nie myślał.

Nie dziwiło go to, że nagle znalazł się tak wysoko. Nie zaskoczył go ciężar własnego ciała ani też niepewność, z jaką wykonał pierwszy, rozchwiany krok.

Liczyła się tylko Yrene, która trzymała dłoń na kłamce. Liczyły się tylko łyzy w jej zagniewanych, pięknych oczach, najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widział.

Otworzyły się szerzej, gdy zrobił krok ku niej. Gdy się zachwiał i o mało nie upadł. Ale zdołał postawić kolejny.

Potykając się, Yrene zrobiła kilka kroków ku niemu, ale zatrzymała się. Otaksowała go od stóp do głów i zasłoniła dłonią otwarte szeroko usta.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, o ile była drobniejsza od niego. Jaka była delikatna.

Z tego, że bez niej świat nie był już tym samym. Nie wyglądał tak samo. Nie smakował tak samo.

– Nie odchodź – szepnął. – Przepraszam cię.

Yrene obejrzała go raz jeszcze. Odchyliła głowę do tyłu. Po jej policzkach spływały łyzy.

– Przepraszam – powtórzył Chaol.

Nadal nie odezwała się ani słowem. łyzy spływały jedna za drugą.

– Wcale tak nie myślę – wychrypiął.

Kolana zaczynały go boleć i dygotać, uda mu drżały.

– Byłem w paskudnym nastroju i po prostu miałem ochotę na kłótnię. Ja naprawdę tak nie myślę.

Nie powiedziałem niczego, co byłoby prawdą, Yrene. I przykro mi.

– Ale coś z tego, co powiedziałeś, musiało wynikać z twoich przemyśleń – szepnęła.

Chaol pokręcił głową, od czego znów się zachwiał. Złapał się oparcia fotela, by się nie przewrócić.

– Tak. Wszystko, co powiedziałem o sobie, było prawdą. To, czego ty dokonałaś, co nadal chcesz robić... Spójrz, to twoja zasługa. Przywróciłaś mi sprawność nie dla chwały czy własnych ambicji, ale dlatego, że wierzysz, iż tak należy. Twoja odwaga, twój spryt, twoje niezmacone przekonanie... Nie umiem tego wyrazić słowami, Yrene.

Jej twarz nawet nie drgnęła.

– Proszę, Yrene.

Wyciągnął ku niej rękę i zaryzykował kolejny chwiejny krok.

Cofnęła się.

Dłonie Chaola pochwyciły powietrze.

Zacisnął zęby z wysiłkiem, próbując utrzymać równowagę. Jego ciało chwiało się. Wydawało mu się obce, nieswoje.

– Być może czujesz się lepiej, gdy przebywasz z takimi potulnymi, żalonymi ludźmi jak ja.

– Ja nie... – Chaol zacisnął zęby i zdobył się na jeszcze jeden krok. Chciał jej dotknąć, złapać ją za rękę, ścisnąć ją, chciał ją przekonać, że wcale nie jest takim człowiekiem. Że tak nie uważa.

Zatoczył się, w ostatniej chwili wyrzucił rękę w lewo, by odzyskać równowagę.

– Wiesz przecież, że nie miałem tego na myśli.

Yrene znów się cofnęła. Trzymała się poza jego zasięgiem.

– Tak? Naprawdę to wiem?

I jeszcze jeden krok. Znów wykonała unik.

– Wiesz to, do cholery!

Stąpił ponownie. Yrene usunęła się. Chaol zamrugał, przystanął. Dostrzegł blask w jej oczach. Zrozumiał, co kryło się w tonie jej głosu.

Ta przekłeta wiedźma igrała z nim. Zmuszała go do chodzenia. Do stawiania kolejnych kroków. Manipulowała nim.

Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. W jej własnych nie było już ani śladu bólu. Patrzyła na



niego, jakby chciała powiedzieć: „Sądziłam już, że się nigdy nie domyślisz”. W kątku jej ust czaił się lekki uśmiech.

Wstał. Chodził... Chodził!

A ta kobieta przed nim...

Kolejny krok.

I znów unik.

To nie było polowanie, ale taniec.

Nie przerywając kontaktu wzrokowego, zrobił jeszcze jeden niepewny krok, a potem następny. Jego ciało drżało i pulsowało bólem, ale zacisnął zęby i zdusił go w sobie. Z zacięłością pokonywał każdy centymetr, który go od niej dzielił. Powoli przypierał ją do ściany.

Yrene oddychała płytko. Szeroko otwartymi złocistymi oczami śledziła każdy jego ruch. Prowadziła go, aż natrafiła plecami na mur, aż zadrżał wiszący na nim kinkiet. Jakby zapomniała, gdzie się znajduje.

Chaol natychmiast do niej przypadł.

Całym ciężarem ciała wsparł się dłonią o ścianę. Tapeta była gładka. Jakże trudno było się utrzymać w pionie, gdy uda drżały, a plecy bolały z wysiłku.

Mało istotne problemy. Nie przejmował się nimi.

Natomiast druga dłoń...

Oczy Yrene nadal lśniły od łez, które wywołał. Jedna z nich zamarła w pół drogi w dół policzka.

Chaol stał ją, a potem to samo zrobił z drugą, którą odnalazł przy szczęce.

Nie rozumiał, jak ktoś tak drobny i delikatny jak ona mógł wywrócić całe jego życie do góry nogami. Jak te dłonie i ta dusza mogły dokonać takich cudów. Jak ta niewielka kobieta była w stanie pokonać góry i morza.

Drżała. Nie ze strachu, nie w chwili, gdy uniosła głowę i spojrzała na niego.

Dopiero gdy oparła dłoń na jego piersi, nie po to, by go odepchnąć, ale po to, by poczuć wściekły łomot jego serca, Chaol pochylił głowę i ją pocałował.

Stał. Chodził. Całował ją.

Yrene ledwie mogła oddychać. Ledwie była świadoma własnej cielesności, gdy usta Chaola nakryły jej wargi. Miała wrażenie, że się budzi, rodzi się na powrót bądź spada z nieba. Nie mogła myśleć ani odczuwać wystarczająco szybko.

Jej dłonie wpiły się w jego koszulę. Palce zaciskały się na materiale i przyciągały go bliżej. Całował ją powoli, niespiesznie, jakby chciał ją poznać, poczuć, zrozumieć. A gdy jego zęby skubnęły jej wargę, rozchyliła usta.

Przycisnął ją mocniej do ściany. Ledwie czuła gładkość tapety i sztukaterię wbijającą się jej w plecy, gdy Chaol wsunął jej język do ust. Jęknęła, nie bacząc na to, że ktoś może ich usłyszeć. Jeśli o nią chodziło, wszyscy ludzie na świecie mogli teraz iść do diabła. Płonęła, jaśniała...

Chaol położył dłoń na jej policzku, przechylił jej twarz, by wpić się mocniej w jej usta. Wygięła się, bez słowa błagając go, by wziął jak najwięcej...

Wiedziała, że dał się ponieść złości. To, co wykrzyczał jej prosto w twarz, wcale nie było prawdą. Wiedziała, że tak naprawdę wściekał się na siebie. To ona wciągnęła go w tę awanturę i nawet jeśli ją również zabolalo... W chwili, gdy wstał, a jej serce przestało bić, zrozumiała, że wcale nie mówił tego na poważnie.

Że byłby gotów podpełznąć do niej i błagać o wybaczenie.

Ten mężczyzna, ten szlachetny, niemyślący nigdy o sobie, niezwykły mężczyzna...

Yrene otoczyła go ramionami i wsunęła dłonie w jego jedwabiste, brązowe włosy.

„Więcej, więcej, więcej...”

Jego pocałunek nie miał końca, jakby chciał poznać wszystkie odcienie jej smaku. Ich języki zetknęły się, a Chaol warknął tak przejmująco, że Yrene podkurczyła palce u nóg.

Poczuła, jak przez jego ciało przemknęło drżenie, ale dopiero po chwili zrozumiała, co to oznacza.

Wysięk. Napięcie.

Nadal ją całował. Nie przerywał i nie miał zamiaru przerwać, nawet jeśli w końcu miał się osunąć na podłogę.

Drobnymi krokami. Drobnymi.

Yrene odsunęła się od niego i ułożyła mu dłoń na piersi w chwili, gdy chciał się ponownie wpić w jej usta.

– Powinieneś usiąść.

Jego oczy pociemniały.

– Ja... Pozwól mi, proszę... Yrene...

Wychrypiał każde słowo z wielkim trudem, jakby w jego wnętrzu coś pękło. Jakby się uwolnił.

Yrene skupiła się na równym, rytmicznym oddechu. Musiała pozbierać myśli. Skoncentrować się.

„Jeśli będzie stał zbyt długo, może uszkodzić sobie plecy. Co więcej, zanim go skłonię do wykonania kolejnego kroku i... innych rzeczy, będę musiała wejrzeć w jego ranę. Może mrok sam ustąpił...”

Chaol musnął jej wargi ustami. Wystarczyło, by poczuła ich jedwabiste ciepło, a natychmiast chciała zapomnieć o zdrowym rozsądku. Na szczęście zdołała wziąć się w garść i ostrożnie wyslizgnęła się poza jego zasięg.

– Teraz mam wreszcie sposób, by cię nagradzać – powiedziała, siląc się na wesołość.

Nie uśmiechnął się. Wpatrywał się w nią z niemalże drapieźną zaciętością, patrzył, jak cofa się o krok i podaje mu ramię. By wrócił na fotel. By przeszedł tych kilka kroków.

Przeszedł.

Zrobił to, do czego go zachęcała. Odepchnął się od ściany, zachwiał się...

Yrene złapała go. Pomogła mu zachować równowagę.

– A ja myślałem, że nigdy nie pomożesz mi w przemieszczaniu się – rzekł sucho, unosząc brew.

– Póki siedzisz w fotelu, nie ma mowy. Ale teraz upadek wyglądałby o wiele bardziej dramatycznie.

Chaol parsknął śmiechem, a potem pochylił się i szepnął jej do ucha.

– Dokąd mnie prowadzisz, Yrene? Na kanapę czy do łóżka?

Przełknęła ślinę i ośmieliła się spojrzeć na niego. Oczy mężczyzny nadal były ciemne, twarz zarumieniona, a usta opuchnięte. Przez nią.

Jej krew wrzała. Jak to możliwe, że jak dotąd pracowała na jego niemalże nagim ciele i nic?

– Nadal jesteś moim pacjentem – zdołała powiedzieć w ugrzecznony sposób, po czym podprowadziła go do fotela i niemalże go do niego wepchnęła. A potem o mały włos by na niego wskoczyła. – I choć nie ma żadnych przepisów czy wytycznych co do układów między pacjentami a uzdrowicielkami, mam zamiar zachować się w pełni profesjonalnie.

Uśmiech, którym odpowiedział jej Chaol, zdradzał, że nic go to nie obchodzi, podobnie jak ton jego głosu, gdy rzekł:

– Chodź tu.

Yrene odczuwała bicie serca w każdym centymetrze ciała. Zbliżyła się do niego, wytrzymując jego płonący wzrok, i usiadła mu na kolanach. Chaol wsunął dłoń w jej włosy i przesunął ją na kark, a potem przyciągnął bliżej jej głowę i ucałował kącik ust. Potem drugi. Yrene złapała go za ramiona i wbiła palce w jego twarde mięśnie. Oddychała coraz szybciej, coraz bardziej chrapliwie, gdy Chaol skubał i muskał jej dolną wargę. Druga dłoń mężczyzny zawędrowała w okolice jej dekoltu...

W korytarzu otworzyły się drzwi. Yrene błyskawicznie zerwała się i przypadła do biurka po leżące tam fiolki z olejami. W tej samej chwili do środka wślizgnęła się Kadja z tacą, na której leżały rzeczy rzekomo potrzebne Yrene.

Szpagat, kozie mleko i ocet.

Uzdrowicielka z trudem wykrztusiła słowa podziękowania, gdy służąca postawiła tacę na biurku. Jeśli dostrzegła zmiany na ich twarzach, w ich włosach i ubraniu, jeśli odebrała wiszące w powietrzu

napięcie, nie dała tego po sobie poznać. Yrene jednakże nie miała wątpliwości, że domyśla się wielu rzeczy i z pewnością doniesie o tym temu, kto trzymał jej smycz, ale... Pochylona nad biurkiem, odkryła, że właściwie wcale się tym nie przejmuje. Kadja wyszła równie cicho, jak się pojawiła.

Yrene zorientowała się, że Chaol nadal się jej przygląda. Jego pierś unosiła się i opadała.

– I co teraz? – spytała cicho.

Nie miała pojęcia, jak wrócić do tego, co miało miejsce przed chwilą.

Nie odpowiedział. Wyprostował jedną nogę, potem drugą. Powtórzył ruch, nadal nie mogąc w to uwierzyć.

– Nie będziemy się za siebie oglądać – rzekł w końcu, patrząc jej w oczy. – Nikomu jeszcze to w niczym nie pomogło.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa... To zabrzmiało, jakby oznaczały coś więcej, przynajmniej dla niego.

Chaol uśmiechnął się szerzej, a jego oczy błysnęły, gdy dodał:

– Możemy tylko iść naprzód.

Yrene podeszła do niego, nie mogąc się powstrzymać, jakby był jedyną latarnią we wszechogarniających ciemnościach. A gdy Chaol podjechał do kanapy i zdjął koszulę, gdy położył się, a ona przytknęła dłonie do jego szerokich, ciepłych pleców, sama również się uśmiechnęła.

Powstanie i zrobienie kilku kroków nie oznaczało jeszcze powrotu do pełni sił, co udowodnił następny tydzień. Yrene nadal toczyła zaciekle boje z nieznaną istotą, która wciąż czaiła się w kręgosłupie Chaola – u samej nasady, jak mu wyjaśniła – i uniemożliwiała mu odzyskanie pełnej swobody. Bieganie, skoki, kopnięcia na razie były nie do pomyślenia, ale dzięki mocnej, drewnianej lasce, którą Yrene znalazła dla niego, mógł powstać i chodzić.

Samo w sobie było to wielkim cudem.

Zabierał ze sobą wózek i laskę na poranne treningi z Hashimem i gwardią pałacową, gdyż zdarzało się, że zmuszał się do nazbyt wielkiego wysiłku i nie był w stanie samodzielnie powrócić do apartamentu. Yrene przychodziła tam wraz z nim i pokazywała Hashimowi, jakie ćwiczenia ma z nim przeprowadzać, by pomóc w rozbudowie mięśni nóg i zwiększyć jego stabilizację. Hashim powiedział mu któregoś poranka, że to samo zrobiła dla Shena. Po tym, jak otrzymał sztuczną rękę, osobiście nadzorowała większość jego sesji treningowych na początku rekonwalescencji.

Yrene była więc obecna w chwili, gdy Chaol po raz pierwszy ujął miecz i stoczył walkę z Hashimem. Czy raczej robił, co mógł, zważywszy na to, że wciąż opierał się na lasce. Nie był w stanie dobrze utrzymać równowagi ani też zaufać swym nogom, ale zdołał wymierzyć kilka celnych ciosów. A laska... Cóż, w ostateczności sama również okazywała się bronią.

Yrene przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami, gdy walka dobiegła końca, a Chaol podszedł powoli do niej. Opierał się mocno na lasce, a jego ciało drżało i dygotało, ale rumieniec na jego twarzy, co uświadomiła sobie z niemalą satysfakcją, nie brał się tylko i wyłącznie z upału. Powoli weszli w chłodne cienie korytarza, a wtedy Yrene zaciągnęła go do alkowy oddzielonej zasłoną i pocałowała.

Dłonie Chaola, oparte o regał dla lepszej równowagi, błędziły po całym jej ciele, wodziły po jej kuszących krągłościach, otaczały wąską talię i wnikały w jej długie, gęste włosy. Całowała go bez końca, pozbawiona tchu, zdyszana, a potem zlizywała pot z jego szyi. Chaol jęczał tak głośno, że nic dziwnego, iż krótką chwilę później pojawił się służący, który odsunął zasłonę jednym szarpnięciem, jakby się spodziewał, że kryją się za nią robotnicy unikający obowiązków.

Pobladła Yrene wyprostowała się i poprosiła kłaniającego się w pas służącego, by nikomu o niczym nie mówił. Ten obiecał, że zachowa dyskrecję i odszedł, ale wstrząśnięta dziewczyna długo nie mogła dojść do siebie i trzymała się z dala przez resztę dnia.

Następnego dnia zachowywała się tak samo. Kolejnego również. Chaol był bliski szaleństwa.

Rozumiał ją jednak. Przecież cieszyła się wysoką pozycją i wielkim uznaniem. Powinni zachowywać się mądrzej i przezorniej, zarówno w pałacu, jak i w Torre. Niestety, w apartamencie zawsze przebywała Kadja i Chaol musiał trzymać ręce przy sobie. Nawet, gdy Yrene kładła swe dłonie na jego plecach i uzdrawiała go, dobywając wszelkich sił, by wreszcie przebić się przez ostatnią ścianę mroku.

Zastanawiał się, czy jej nie powiedzieć, że to właściwie wystarczało. Że był gotów chodzić o lasce przez resztę życia. Że dała mu więcej, niż mógł sobie wymarzyć.

Przecież codziennie widział się ze strażą. Dzierżył miecz, przypinał sobie tarczę. I myślał o wojnie, która wreszcie spadła na głowy jego przyjaciół. Na jego ojczyznę. Nawet jeśli nie uda mu się zdobyć armii, by ich wesprzeć, przynajmniej sam znajdzie sposób, by stanąć na polu bitwy. Na razie największy sens miałyby walka z końskiego grzbietu, ale zawsze to już coś.

Mógł walczyć. Za nią.

Jakiś tydzień później rozmyślał o tym w drodze na kolację. Gdy chodził wsparty o laskę, droga zabierała mu nieco więcej czasu niż zwykle, ale cieszył się na każdą dodatkową chwilę spędzaną w jej towarzystwie.

Miała na sobie fioletową szatę, tę, która podobała mu się najbardziej. Spod upiętych wysoko włosów uciekały kosmyki, które wiły się i skręcały, gdyż dzień był niebywale wilgotny. Wydawała się spięta i niespokojna.

– Co się dzieje?

Rodzina kagana oraz dostojnicy dworscy nie zareagowali nawet, gdy po raz pierwszy przyszedł na kolację o własnych siłach. Wszyscy po prostu uznali to za kolejny cud, które w Torre zdarzały się co dzień. Kagan osobiście pochwalił Yrene, a ona rozpromieniła się, słysząc jego słowa, choć władca nadal ignorował Chaola od ich niefortunnego spotkania.

Yrene podrapała się po bliźnie na szyi, jakby ta zaczęła ją boleć. Chaol nigdy o nią nie pytał. Nie chciał wiedzieć, skąd się wzięła. Gdyby bowiem poznał prawdę, mógłby zapomnieć o wiszącej nad nim wojnie, dopaść tego, kto jej to zrobił i odebrać mu życie.

– Nakłoniłam Hasar, by urządziła dla mnie przyjęcie – powiedziała cicho Yrene.

Chaol odczekał, aż miną grupę służących, po czym zapytał:

– Po co?

Yrene odetchnęła.

– Za trzy dni mam urodziny.

– Urodziny?

– Wiesz, to święto na cześć dnia, w którym przyszedłeś...

Chaol trącił ją łokciem, choć o mało nie stracił przy tym równowagi. Jego laska zaskrzypiała, gdy wsparł na niej cały ciężar ciała.

– Nie miałem pojęcia, że więdźmy i diabllice też je obchodzą!

Pokazała mu język.

– Tak, nawet takie jak ja obchodzą urodziny.

Chaol uśmiechnął się szeroko.

– A więc poprosiłaś ją, by urządziła dla ciebie przyjęcie?

Zważywszy na to, jak wyglądało ostatnie... Istniała spora szansa, że dołączyłby do ludzi wymykających się do ciemnych sypialni. Zwłaszcza gdyby Yrene ponownie założyła tamtą sukienkę.

– Nie do końca – rzekła kwaśno Yrene. – Wspomniałam jej tylko, że moje urodziny są coraz bliżej, a twoje plany w związku z nimi raczej nie nastrajają optymizmem...

Chaol roześmiał się.

– Aleś ty bezczelna!

Yrene zamrugowała.

– Chyba też wymknęło mi się, że siedzę tu od tylu lat, a ani razu nie byłam na pustyni. Przyszło mi do głowy, by udać się tam samotnie, ale byłoby mi smutno, gdybym musiała świętować bez niej...

– I domyślam się, że zaproponowała zamiast tego wyprawę do oazy, którą włada jej rodzina?

– Czeka nas krótka wycieczka do Aksary – zanuciła Yrene. – Ich miasteczko namiotowe znajduje się pół dnia drogi stąd na wschód.

A więc uzdrowicielka uknuła niezłą intrygę! Ale...

– Przecież na pustyni będą panowały upały nie do wytrzymania...

– Skoro księżniczka zażyczyła sobie urządzić przyjęcie na pustyni, dostanie to, czego chce – odparła Yrene, ale po chwili przygryzła wargę, a w jej oczach znów pojawiły się cienie. – Udało mi się również wypytać ją o wszystko. O Aksarę i jej historię.

Chaol nabrał tchu.

– Hasar szybko się znudziła i nie opowiedziała mi wiele, ale dowiedziałam się, że oaza rozciąga się na ruinach miasta umarłych. Że ruiny to właściwie brama do wnętrza samego miasta. Nie chcą ryzykować i przeszkadzać umarłym, więc nigdy nie oddalają się od źródła. Nigdy nie zagłębiają się w dżunglę, która wyrasta dookoła.

Nic dziwnego, że uzdrowicielka była poruszona.

– A więc można tam odnaleźć o wiele więcej niż tylko same jaskinie.

– Może Noushy chodziło o coś innego. Może tam są również jaskinie z informacjami. – Yrene westchnęła. – Cóż, dowiemy się. Parokrotnie podczas opowieści Hasar udało mi się ziewnąć. Nie wydaje mi się, aby się zastanawiała, po co o to pytałam.

Chaol ucałował ją w skroń. Było to lekkie, przelotne muśnięcie wargami, którego na pewno nikt

nie zauważył.

– Sprytnie, Yrene.

– Już dawno chciałam ci o tym powiedzieć, ale podniosłeś się wreszcie i zapomniałam o wszystkim. Niezła ze mnie intrygantka dworska, co?

Przesunął wolną dłoń wzdłuż jej pleców. Odrobinę za daleko.

– Nie dziwię się, że o niczym nie mówiłaś. Naprawdę byliśmy zajęci.

Na policzkach dziewczyny zakwitł prześliczny róż, ale w głowie Chaola pojawiła się nowa myśl.

– A co tak naprawdę chcesz dostać na urodziny? I które to są?

– Dwudzieste drugie. I nie wiem. Gdyby nie moja intryga, nikomu bym nie przypominała o tym dniu.

– Nie chciałaś mi nic powiedzieć?

Spojrzała na niego z winą w oczach.

– Przyszło mi do głowy, że przy tylu sprawach, które masz na głowie, urodziny nie mają aż takiego znaczenia.

Wsunęła rękę do kieszeni, by ująć rzecz, o którą nigdy nie zapytał.

Zbliżali się do wielkiej sali, w której trwało już zamieszanie w związku ze zbliżającą się wieczerzą. Chaol musnął palcami jej dłoń. Odebrała jego niemą prośbę i zatrzymała się na progu. Wokół nich przechodzili wezyrowie i służba.

Chaol oparł się o swą laskę, przenosząc na nią ciężar ciała.

– Czy ja też jestem zaproszony na tę wyprawę na pustynię?

– Och, jasne. Ty oraz wszyscy ludzie, za którymi przepadam: Arghun, Kashin i kilku wspaniałych wezyrów.

– Cieszę się, że się załapałem, zważywszy na to, że Hasar mnie nienawidzi.

– Nie. – Oczy Yrene pociemniały. – Gdyby naprawdę cię nienawidziła, nie byłoby cię wśród żywych.

„Na bogów – pomyślał Chaol. – Ona się naprawdę zaprzyjaźniła z tą kobietą?”

– Przynajmniej będzie tam Renia – ciągnęła Yrene. – Duwa natomiast w swoim stanie powinna raczej unikać upałów, a mąż nigdy jej nie opuszcza. Zresztą jestem pewna, że kiedy już tam dotrzemy, przypuszczalnie zacznę żałować, że sama nie wymyśliłam podobnego pretekstu, by zostać w Antice, bez względu na wszelkie informacje, które można tam znaleźć.

– Mamy jeszcze kilka dni. Moglibyśmy w sumie postarać się o identyczny powód, by zostać.

Minęła chwila, nim dotarło do niej, co właśnie usłyszała, zarówno zaproszenie, jak i aluzja. Jej policzki powlókł cudowny rumieniec, po czym pacnęła go w ramię.

– Ty łotrze!

Chaol zachichotał i rozejrzał się po korytarzu w poszukiwaniu ustronnego kąca.

– Nie możemy! – szepnęła Yrene.

Nie chodziło bynajmniej o jego beznadziejny dowcip, ale o pokusę, którą bez wątpienia ujrzała w jego oczach. Tę samą, którą on dostrzegł w niej, skrzącą i kipiącą.

Poprawił kurtkę.

– Cóż, postaram się znaleźć dla ciebie jakiś odpowiedni prezent godny wyprawy na pustynne przyjęcie, ale nie obiecuję.

Yrene otoczyła ręką wolne ramię Chaola. Wyglądała teraz tylko i wyłącznie jak zwykła uzdrowicielka, która prowadzi pacjenta do miejsca przy stole.

– Mam wszystko, czego mi trzeba – powiedziała.

Zaplanowanie wszystkiego zabrało około tygodnia.

Sartaq i Houlun wykorzystali ten czas, by odnaleźć starożytne mapy Łańcucha Dagul, z których większość okazała się niejasna lub bezwartościowa. Znalazło się na nich to, co jeźdźcy ujrzeli z powietrza, ale żaden z nich nie miał odwagi, by podlecieć bliżej i się przekonać. Terytorium *kharankui* było niewielkie, ale przez ostatnich kilka lat znacznie się rozrosło.

Oni zaś zmiierzali ku jego ciemnemu sercu.

Najtrudniejszym zadaniem było jednak przekonanie Borte, by została w gniazdowisku.

Nesryn i Sartaq pozostawili to Houlun. Wystarczyło jedno ostre słowo Matki Przy Palenisku, by dziewczyna zarzuciła wszelkie protesty. Jej oczy skrzyły gniewem, ale ukloniła się i spełniła życzenie babki.

– Jesteś moją dziedziczką – warknęła Houlun. – I twoim pierwszym, podstawowym obowiązkiem jest dbanie o swój lud.

W istocie, jej ród kończył się na Borte. Gdyby ta wzięła udział w wyprawie do mrocznego, niebezpiecznego serca Dagul, mogłaby równie dobrze splunąć na *sulde* swojej matki, tkwiącą w stoku Arundina.

Borte upierała się, że skoro jako dziedzicze Houlun nie wolno jej nigdzie lecieć, tym bardziej powinien zostać Sartaq, który jest potencjalnym następcą kagana. Słyszając to, książę odwrócił się i odszedł korytarzem, a przez ramię rzucił, że jeśli rola następcy tronu ma się sprowadzać do siedzenia z założonymi rękami i patrzenia, jak inni walczą za ciebie, jego rodzeństwo może sobie wziąć tę przeklętą koronę.

Mieli więc lecieć we troje: Sartaq oraz Nesryn na Kadarze, a wraz z nimi Falkan pod postacią polnej myszy, schowany w kieszeni łuczniczki.

Poprzedniej nocy odbyła się długa debata, czy powinni brać ze sobą cały legion. Borte była za, ale Sartaq się sprzeciwił. Nie wiedzieli, ile *kharankui* mieszka pośród jałowych szczytów i w zalesionych dolinach między nimi. Nie mogli pozwolić sobie na niepotrzebne ofiary wśród jeźdźców, a na rekonesans nie było czasu. We trójkę byli w stanie prześlizgnąć się niespostrzeżenie, ale armia ruków na pewno zostałaby zauważona na długo przed przybyciem na miejsce.

Wokół paleniska długo toczyły się spory, aż Houlun zawyrokowała – Sartaq, Nesryn i Falkan polecą samotnie, a jeśli nie wrócą w ciągu czterech dni, polecą za nimi cała armia. Potrzebowali pół dnia, by dolecieć na miejsce, dobę na rekonesans, kolejną na samą akcję i kilka godzin na powrót ze skradzionymi pisklętami. Być może udałoby się nawet dowiedzieć, jakiego zagrożenia ze stron pajaków obawiali się Fae i w jaki sposób z nimi walczyli. Gdyby, oczywiście, dopisało im szczęście.

Lecieli od kilku godzin i wysoki masyw Łańcucha przybliżał się z każdym uderzeniem skrzydeł Kadary. Lada moment mieli przelecieć nad pierwszym grzbietem szarego masywu i znaleźć się na terytorium pajaków. Im bliżej byli celu, tym zjedzone śniadanie ciążyło Nesryn coraz bardziej, jej usta były suche jak pergamin.

Siedzący za nią Sartaq milczał przez większość czasu, a Falkan na ogół drzemał w jej kieszeni – od czasu do czasu wysuwał jedynie wąsaty pyszczek, węszył w powietrzu i znów się chował. Zbierał siły, póki mógł.

Zmiennokształtny nadal spał, gdy Nesryn zwróciła się do Sartaqa:

– Mówiłeś serio zeszłej nocy? O tym, że zrezygnowałbyś z korony, gdyby oznaczała, że nie możesz o nic walczyć?

Ciało księcia przypominało ciepły mur za jej plecami.

– Mój ojciec walczył na wojnie tak jak wszyscy inni kaganowie. Nie bez powodu władą dwoma *sulde*, Hebanem i Kością Słoniową. Niemniej gdyby się okazało, że muszę zrezygnować z wojowania, bo przyszłość rodu jest zagrożona, zrezygnowałbym z pretensji do tronu. Tak. Nie mam ochoty spędzić całego życia na dworze.

– Ale mimo to podobno masz kiedyś objąć tron.

– Tak głosi plotka. Ojciec jednakże nigdy czegoś takiego nie powiedział ani nawet nie zasugerował. Z tego, co wiem, mógłby równie dobrze ukoronować Duvę. Bogowie dobrze wiedzą, że byłaby sprawiedliwą, łagodną władczynią, a jako jedyna z nas jak dotąd zdołała zatroszczyć się o potomstwo.

Nesryn przygryzła wargę.

– A dlaczego... dlaczego ty nie jesteś żonaty?

Nigdy dotąd nie miała odwagi, by o to spytać, choć niejednokrotnie o tym myślała. Sartaq zacisnął dłonie na wodzach. Minęła chwila, nim odpowiedział:

– Byłem na to zbyt zajęty. Zaś kobiety, które potencjalnie nadawały się na żonę, po prostu były nie dla mnie.

Nesryn nie miała prawa wścibiać nosa w nie swoje sprawy, ale mimo to spytała:

– Dlaczego?

– Bo gdy pokazywałem im Kadarę, bały się jej, udawały, że im się podoba, albo pytały, ile czasu spędzam poza domem.

– Mając nadzieję na twą częstą nieobecność czy może bojąc się, że będą tęsknić?

– Pojęcia nie mam! – Sartaq zachichotał. – Gdy słyszałem takie pytanie, miałem wrażenie, że ktoś dopasowuje mi smycz i od razu wiedziałem, że żadna z tych kobiet nie jest dla mnie.

– A więc ojciec pozwala wam wiązać się wedle własnego uznania?

Czuła, że zabrnęła na tajemnicze, obce terytorium i podświadomie czuła, że Sartaq zaraz z niej zadrwi, ale ten znów milczał, nim odpowiedział:

– Tak. Nawet zaaranżowane małżeństwo Duvy... Była całym sercem za nim. Powiedziała, że nie ma ochoty przesiewać całego dworu pełnego żmij w poszukiwaniu jednego dobrego mężczyzny i modlić się, by jej nie oszukał. Nie wiem, czy można to lepiej ująć. Poszczęściło się jej jednak. Jej mąż to cichy człowiek, ale uwielbia ją. Widziałem jego twarz w chwili, gdy spotkali się po raz pierwszy. Patrzyłem też na nią. Zobaczyłem ich ulgę i... i coś jeszcze.

„A co się stanie z nimi i ich dzieckiem, gdy ktoś inny obejmie tron?” – pomyślała Nesryn, ale zapytała ostrożnie:

– Czemu nadal trzymacie się tradycji walki ze sobą? Czemu nie położycie jej kresu?

Sartaq znów milczał.

– Może ktoś ją kiedyś przerwie. Może będzie to ktoś, czyja miłość do rodzeństwa przewyższy szacunek do tradycji. Mocno wierzę w to, że nie jesteśmy już tymi ludźmi, którymi byliśmy kilka stuleci temu, gdy imperium wciąż się rozwijało, ale może właśnie teraz owe lata względnego pokoju okażą się niebezpiecznym okresem.

Poczuła, jak wzrusza ramionami.

– Być może wojna rozstrzygnie kwestię sukcesji za nas?

Nesryn nie wiedziała, skąd się bierze jej śmiałość – może sprawiła to wysokość albo coraz większa bliskość mrocznej krainy pajaków? – ale zapytała:

– A więc nic cię nie powstrzyma przed wzięciem udziału w wojnie?

– Zabrzmiało to tak, jakbyś zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę chcesz wciągnąć nas w te wasze walki na północy.

Zesztywniała.

– Przyznam, że tygodnie, które tu spędziłam, mocno zmieniły moje nastawienie. Kiedyś, gdy miałam *rukhin* za bezimienny legion, byłoby mi łatwiej poprosić was o pomoc. Zanim poznałam wasze imiona, wasze rodziny. Zanim poznałam Houlun i Borte. Zanim dowiedziałam się, że Borte ma narzeczonego.

Sartaq roześmiał się cicho. Nesryn pytała Borte o Yerana, ale ta nie miała najmniejszej ochoty odpowiadać. Powiedziała nawet, że szkoda czasu na gadanie o nim.

– Jestem pewien, że Borte chętnie wyruszyłaby na wojnę tylko po to, by współzawodniczyć z nim na polu bitwy.



– Co za miłość!

Sartaq uśmiechnął się przy jej uchu.

– Nie masz pojęcia – westchnął. – Ich rywalizacja rozpoczęła się trzy lata temu, tuż po śmierci jej matki.

Urwał na moment. Cisza była na tyle przejmująca, że Nesryn zapytała:

– Dobrze ją znałeś?

– Powiedziałem ci kiedyś – Sartaq rzekł po chwili – że ojciec wysyłał mnie do innych królestw, by uciszać tamtejsze niepokoje bądź rozstrzygać spory. Podczas ostatniej interwencji miałem ze sobą niewielki oddział *rukhin*. W jego skład wchodziła matka Borte.

Znów nastąpiła ciężka cisza. Nesryn powoli, ostrożnie ułożyła dłoń na przedramieniu, które ją otaczało. Czowała, jak potężne mięśnie pod skórzanym rękawem przesunęły się.

– To długa, nieprzyjemna historia. W każdym razie doszło do starcia między *rukhin* i grupą, która dążyła do zniszczenia imperium. Matka Borte... Cóż, jeden z tych tchórzy strzelił jej w plecy. Trafił ją zatrutą strzałą prosto w szyję. Dokładnie w chwili, gdy mieliśmy już zgodzić się, by się poddali.

Wiatr wył wokół nich.

– Po tym, co się stało, nie pozwoliłem, by ktokolwiek z nich uszedł z życiem. – Jego pusty, chłodny głos najlepiej oddawał emocje tamtej chwili. – Sam zawiozłem jej ciało – dodał, choć wiatr wyrwał mu słowa z ust. – Nadal słyszę wrzask Borte, który się rozległ po naszym wylądowaniu. Wciąż widzę, jak klęczy na stokach *Arundina* po pogrzebie i wtula się w *sulde* matki, wbitą w ziemię.

Nesryn zacisnęła dłoń na jego przedramieniu. Ręka Sartaqa odziana w skórzaną rękawicę nakryła jej dłoń i zacisnęła się lekko na jej palcach. Odetchnął ciężko.

– Sześć miesięcy później – podjął opowieść – Borte wzięła udział w zawodach podczas Zgromadzenia. Rozgrywki i pokazy trwają trzy dni i uczestniczą w nich wszystkie klany. Miała siedemnaście lat, a Yeran dwadzieścia. W finałowym wyścigu lecieli łeb w łeb. Na ostatniej prostej Yeran sięgnął po sztuczkę, którą można by spokojnie nazwać oszustwem, ale Borte przejrzała go i pokonała bez wysiłku. A potem, po wylądowaniu, pobiła go znów. Dosłownie. Zeskoczyła z ruka i ściągnęła go na ziemię, tłukąc go po głębie za te beznadziejne manewry, które mogły się zakończyć śmiercią *Arcas*. – Zaśmiał się do siebie. – Nie znam szczegółów tego, co się działo dalej, ale widziałem, jak próbował do niej zagadać. Borte roześmiała mu się w twarz i odeszła, a Yeran skrzywił się, a następnego dnia odleciał wraz z resztą klanu. Z tego, co wiem, nie widzieli się przez rok. Aż do następnego Zgromadzenia.

– Na którym Borte znów odniosła zwycięstwo? – odgadła Nesryn.

– Ledwie. Tym razem to ona sięgnęła po tamtą kontrowersyjną metodę. Nieźle oberwała, ale z technicznego punktu widzenia wygrała. Osobiście uważam, że Yeran był w głębi duszy przerażony ryzykiem, na jakie wystawiła się Borte – przecież mogło się to skończyć jej kalectwem bądź śmiercią! – i pozwolił jej wygrać. Nie opowiadała mi o tamtym wyścigu, ale wiem, że wstrząs minął dopiero po kilku dniach. Wszystkim się wydawało, że to przez poniesione obrażenia, ale Borte nigdy wcześniej nie przejmowała się ranami.

– A w tym roku?

– W tym roku Yeran przybył do *Altun* na tydzień przed Zgromadzeniem. Nie widział się z *Houlun* ani ze mną, ale podszedł prosto do Borte. Nikt nie wie, co się wtedy stało, ale Yeran niedługo potem odleciał. Od chwili lądowania do momentu startu spędził w *Altun* może niecałe pół godziny. Tydzień później Borte znów wygrała, a gdy ogłoszono ją zwyciężczynią, ojciec Yerana wystąpił i ogłosił jej zaręczyny ze swoim synem.

– Byliście zaskoczeni?

– Tak, zważywszy na to, że poza skakaniem sobie do gardeł nie robią nic wspólnie. Co ciekawe, Borte również była zaskoczona. Udała, że o wszystkim wie, ale później słyszałem ich kłótnię w korytarzu. Nadal nie powiedziała mi, czy naprawdę chciała, by jej zaręczyny ogłoszono w ten sposób czy może nawet się ich nie spodziewała, ale nigdy tego faktu nie kwestionowała. Z drugiej strony raczej też się z tym nie pogodziła. Nie ustalono jeszcze dnia ślubu, choć taki związek z pewnością załagodziłby

nasze... napięte układy z Berladem.

Nesryn uśmiechnęła się lekko.

– Mam nadzieję, że jakoś im się poukłada.

– Być może wojna ich w tym wyręczy.

Kadara zbliżała się coraz bardziej do ściany Łańcucha. Chmury przesłoniły słońce i światło stało się rozrzedzone, chłodne. Dotarli do wysokiego skraju pierwszych szczytów i pomknęli ku niebu na ostrym podmuchu wiatru, by ujrzeć całe Dagul, leżące u ich stop.

– Na bogów! – szepnęła Nesryn.

\*\*\*

Ciemne, szare szczyty jałowych skał. Cienkie sosny rosnące w dolinach. Żadnych jezior, żadnych rzek, jedynie tu i ówdzie wąły strumyk, ledwie zresztą widoczny przez ciągnące się wszędzie pajęczyny.

Niektóre sieci były białe i grube, duszące wszelką roślinność wśród drzew. Inne układały się w migotliwe girlandy między szczytami, jakby próbowały pochwycić sam wiatr.

Nigdzie nie było znać śladu życia. Nie słychać było bzyczenia owadów czy pokrzykiwania zwierząt. Nie słychać było furkotania skrzydeł czy szelestu liści.

Falkan wysunął głowę z kieszeni, przyjrzał się martwej krainie u swych stóp i pisnął. Nesryn miała ochotę zrobić to samo.

– Houlun nie przesadzała – mruknął Sartaq. – Rozrastają się.

– Uda nam się tu gdzieś wylądować? – spytała Nesryn. – Szczerze powiedziawszy, nie widzę bezpiecznego miejsca. Mogły zabrać pisklaki i jaja gdziekolwiek.

Łuczniczka przyglądała się szczytom i dolinom w poszukiwaniu śladów jakiegokolwiek ruchu, ale nigdzie nie widziała przemykających czarnych kształtów.

– Oblecimy ich terytorium – rzekł Sartaq. – Rozeznamy się w terenie. Może dowiemy się czegoś o tym, co jedzą, jak i kiedy.

Na bogów...

– Nie zniżaj lotu. Udawajmy, że po prostu sobie lecimy. Jeśli uznają, że na coś polujemy, mogą wyskoczyć na nas w wielkiej sile.

Sartaq gwizdnął ostro do Kadary, która w istocie wzniosła się wysoko, o wiele szybciej niż zwykle, jakby cieszyła się, że może się oddalić od powleczonej pajęczynami krainy.

– Nie pokazuj się, przyjacielu – powiedziała Nesryn do Falkana i poklepała się po kieszeni drżącymi rękami. – Jeśli nas teraz obserwują, lepiej, by się o tobie nie dowiedziały.

Zmiennokształtny w odpowiedzi poskrobał ją małymi pazurkami i schował się do środka.

Zataczali leniwie kręgi nad dolinami, a Kadara od czasu do czasu przechodziła do lotu nurkowego, jakby rzucała się w pogoń za orłem czy sokołem lub czymś innym do schrupania.

– Tamte góry... – odezwał się po chwili Sartaq, wskazując najwyższe wzniesienia Łańcucha, dwa szczyty celujące ku niebu niczym rogi. Znajdowały się tak blisko siebie, iż kiedyś mogły być jedną górą. Między dwoma przypominającymi szpony szczytami ciągnęła się dolina zasłana łupkami, rozchodząca się w skalny labirynt. – Kadara ciągle ku nim spogląda – dodał.

– Okrąż je, ale w bezpiecznej odległości.

Kadara wykonała polecenie, nim Sartaq zdołał powiedzieć choć słowo.

– Coś się porusza w dolinie – szepnęła Nesryn, wyjętywszy wzrok.

Ruk bił skrzydłami. Znalazł się bliżej bliźniaczych szczytów, niż to było konieczne.

– Kadara! – warknął Sartaq ostrzegawczo.

Ruk nic sobie z tego nie robił. Jak szalony tłukł skrzydłami i przyspieszał.

Wtedy owa istota na przełęcz stała się widoczna.

Biegła po łupkach, zadzierając główkę i wymachując pokrytymi puchem skrzydełkami.

Pisklak.

Sartaq zaklął wściekle.

– Szybciej, Kadara, szybciej!

Ruk nie potrzebował zachęty. Pisklak popiskiwał i machał skrzydełkami, ale te były zbyt małe, by unieść go w powietrze. Zauważyli, że wyłonił się z lasu sosnowego, który ciągnął się wzdłuż prawego skraju przełęczy, a biegł w stronę serca kamiennego labiryntu.

Nesryn zdjęła luk i nałożyła strzałę na cięciwę. Sartaq poszedł w jej ślady.

– Cicho! – syknął, gdy Kadara rozchyliła dziób, by wydać głośny okrzyk. – Ostrzeżesz je!

Pisklak jednakże wrzeszczał wniebogłosy. Jego przerażenie było wyczuwalne nawet z tej odległości. Kadara pochwyciła nowy wiatr i zwiększyła prędkość.

– No dalej! – szepnęła Nesryn. Celowała w skraj lasu, gotowa wpackować strzałę w pierwszy koszmar, który się stamtąd wyłoni.

Tymczasem malutki ruk zbliżał się już do najszerszej części przełęczy, lecz zawahał się na widok ściany skał, jakby wiedział, że za nią czekają tylko kolejne kłopoty. Jakby zrozumiał, że wpadł w pułapkę.

– Obniż lot, przeleć nad przełęczą i odbij w górę – rozkazał Sartaq.

Ruk odbił w prawo, tak ostro, że Nesryn z trudem utrzymała się w siodle. Kadara nurkowała teraz ku pisklakowi, który ją dostrzegł i wrzeszczał ze wszystkich sił.

– Spokojnie – szeptał Sartaq. – Spokojnie i równo, Kadara.

Nesryn celowała teraz w skalny labirynt, a książę obrócił się w siodle, by mierzyć w las. Kadara zbliżała się do zasłanej skalnymi odłamkami przełęczy, do szarawego, puchatego pisklaka, który znieruchomiał i wpatrywał się w szpony wyciągnięte, by go pochwycić i ocalić.

Dziesięć metrów. Pięć.

Ramię Nesryn, wciąż napinające cięciwę, drżało z wysiłku.

Podmuch wiatru uderzył w Kadarę i wytrącił ją z kursu. Świat się przechylił, światło zamigotało.

Ruk błyskawicznie wyrównał lot i znów rozwarł szpony, gotów pochwycić pisklę, gdy Nesryn uświadomiła sobie, skąd się brało owo migotanie. Lekka zmiana kursu pomogła jej zrozumieć, co ich czeka.

– Uwaga! – wrzasnęła, ale było już za późno.

Szpony Kadary zacisnęły się na pisklęciu i poderwały je z ziemi. Ruk pomknął ku górskim szczytom.

Prosto w gigantyczną, rozpiętą między nimi sieć.

Pisklak okazał się przynętą.

Tak brzmiała ostatnia myśl, która pojawiła się w głowie Nesryn, nim Kadara uderzyła w sieć, utkaną między dwoma szczytami nie po to, by łapać wiatr, lecz by chwycić ręki.

Zdała sobie sprawę, że Sartaq przygniata ją własnym ciałem i przygwaźdża do siodła, chroniąc przed wypadnięciem. Kadara wrzeszczała.

Trzaski, łoskot, migoczące światło i skały. Łupki, szare niebo i złote pióra. Wycie wiatru, przesywający wrzask pisklęcia oraz ryk Sartaqa. Potem jeden obrót w powietrzu, drugi, trzeci i uderzenie tak potężne, że ból zawibrował w jej kościach i zębach. Sartaq osłaniający ją własnym ciałem, kolejne obroty, wygięta Kadara, desperacko chroniąca pisklę przed upadkiem.

I w końcu uderzenie w ziemię. Tak potężne, że popękały skórzane rzemienie mocujące siodło do grzbietu ruka. Wciąż przywiązani do niego i do siebie, wystrzelili w górę. Nesryn wypuściła z ręki łuk, a jej palce zacisnęły się na próżni.

Sartaq nadal ochraniał ją własnym ciałem. Mignęło niebo, a po nim dno przełęczy.

Książę ryknął, gdy uderzył w łupki, przyjmując na siebie cały impet upadku. Przez ułamek sekundy słychać było jedynie szelest osypujących się kamyków i łoskot głazów, odłamujących się od ścian przełęczy. Przez ułamek sekundy Nesryn nie była świadoma swego ciała. Nie wiedziała, czy w ogóle oddycha.

Zaszeleściło skrzydło na łupkach.

Otworzyła szeroko oczy i zerwała się odruchowo, nie będąc jeszcze w stanie pozbierać myśli. Na jej nadgarstku ziało wielkie rozcięcie, wypełnione pyłem i drobnym żwirem, ale nie czuła bólu. Ledwie dostrzegła krew, szarpiąc z rozpaczą za rzemienie, które mocowały ją do siodła, odpinając jeden po drugim. Zdyszana, zdołała wreszcie podnieść głowę, ośmieliła się rozejrzeć...

Książę był oszołomiony. Mrugając, wpatrywał się w szare niebo, ale żył i oddychał. Krew ściekała mu po skroni i policzku, spływała z kącika ust.

Szlochając przez zęby, Nesryn uwolniła nogi, a potem przetoczyła się, by wyswobodzić Sartaqa z płataniny porwanych pasków i rzemieni. Leżał zagrzebany do połowy w łupkach. Zdołała uwolnić dłonie, ale nie widziała jego nóg...

– Nie są złamane – wychrypiał bardziej do siebie niż do niej. – Nie złamane...

Zapanowała nad swymi trzęsącymi się dłońmi na tyle, by móc uwolnić jego sprzączki. Gruby kombinezon uratował jej życie – gdyby nie strój, przy upadku obdarłaby sobie skórę do żywego. Sartaq przyjął na siebie cały impet, obrócił ją w powietrzu tak, by uderzyć w ziemię jako pierwszy...

Nesryn kopala wściekle i odgarniała łupki, które zakrywały jego ramiona i barki. Ostre kamienie wgryzały się w jej dłonie. Rzemiek, którym związała warkocz, pękł podczas upadku i włosy opadły jej teraz na oczy, częściowo zasłaniając widok na las za nimi oraz skały dookoła.

– Wstawaj – wydyszała. – Wstawaj!

Sartaq zaczerpnął tchu i zamrugął parokrotnie.

– Wstawaj! – błagała.

Gdzieś znów zaszeleściły roztracone łupki. Od skał odbiło się echo cichego krzyku pełnego bólu. Sartaq usiadł.

– Kadara...

Nesryn obróciła się na kolanach, szukając łuku. Natychmiast dostrzegła ruka.

Leżał kilkanaście kroków dalej, oblepiony niemalże niewidzialną siecią, która unieruchomiła mu skrzydła i głowę...

Sartaq poderwał się, zatoczył, poślizgnął na sypkich łupkach, wyszarpując swój asterioński nóż.

Nesryn również zdołała się podnieść. Jej nogi drżały, a w głowie się zakręciło, gdy rozejrzała się w poszukiwaniu łuku...

O, jest! Przy ścianie! Nietknięty!

Skoczyła po broń, a Sartaq pobiegł w stronę ruka. Zaciśnęła dłoń na ramieniu łuku w chwili, gdy książkę zaczął ciąć pajęczynę.

– Nic ci nie będzie! – mówił do Kadary. Jego dłonie i szyja były czerwone od krwi. – Wydostanę cię stąd!

Nesryn zarzuciła łuk na plecy i dotknęła dłonią kieszeni. A co z Falkanem?

W odpowiedzi poczuła pacnięcie ze środka. Żył.

Nie tracąc ani chwili, podbiegła do ruka i wyszarpnęła miecz Fae z pochwy, którą znalazła dla niej Borte. Bez wahania zaczęła ciąć grube włókna. Te kleiły się jej do palców i kaleczyły skórę, ale cięła i rąbała, uwalniając jedno skrzydło Kadary, podczas gdy Sartaq pracował nad drugim.

Dotarli do jej nóg w tym samym czasie.

Jej szpony były puste.

Nesryn poderwała głowę i rozejrzała się po przełęczy.

Pisklak musiał wypaść podczas zderzenia z ziemią. Odurzona straszliwym bólem Kadara najwyraźniej rozchyliła szpony i wypuściła małego ruka, który leżał nieopodal, próbując się podnieść. Od skał odbijał się pełen łęku świergot maleństwa.

– Wstawaj, Kadara – rozkazał Sartaq łamiącym się głosem. – Dalej, wstawaj.

Zaszumiały rozkładane skrzydła, łupki zazgrzytały pod szponami ruka, który usiłował wypełnić polecenie. Nesryn zaś już zmierzała ku pisklęciu. Na jego łebku dostrzegła plamkę krwi, a w szeroko otwartych, czarnych oczach strach i błaganie.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Nesryn nie zdołała nawet krzyknąć.

Pisklak otworzył dziobek, by zawołać o pomoc, ale uderzenie serca później pisnął z bólu, gdy zza skały wyłoniła się długa, czarna noga i uderzyła go w grzbiet. Rozległ się chrzęst łamanej kości, trysnęła krew.

Nesryn zahamowała tak gwałtownie, że aż usiadła na łupkach. Przeżona patrzyła, jak piskzący, miotający się pisklak zostaje wciągnięty za skałę.

Potem wszystko ucichło.

Widziała w życiu straszliwe rzeczy, takie, od których robiło jej się niedobrze i długo nie mogła zasnąć, ale widok tego pisklęcia ruka, przeżonego, błagającego o pomoc i piskzącego z bólu, który znika za skałą, a tam cichnie...

Odwróciła się, ślizgając na łupkach, i pognąła ku Kadarze i księciu. Ten również widział, jak pisklak znika za skałą, a teraz krzyczał ze wszystkich sił:

– Leć!

Potężny ruk chciał powstać, ale nie zdołał.

– Leć! – ryknął Sartaq.

Powoli, przerażająco powoli Kadara wreszcie dźwignęła się, odpychając się od żwiru podrapanym dziobem.

Nigdy jej się to nie uda. Nie zdołają się wzbic na czas! Nesryn widziała bowiem, że między oblepionymi siecią drzewami wiły się już cienie. Wiły się i przybliżały.

Wsunęła miecz do pochwy i sięgnęła po łuk. Drżącymi rękami wycelowała strzałę w kierunku skały, za którą zniknął pisklak, oraz skraju lasu, odległego o kilkaset kroków.

– Leć, Kadara! – błagał Sartaq. – Dalej, wznos się!

Ruk ledwie był w stanie wzbic się do lotu, nie mówiąc już o zabraniu jeźdźców.

Za swoimi plecami Nesryn usłyszała szelest kamyków. Odgłos dobiegał ze skalnego labiryntu na samym środku przełęczy. Byli uwięzieni. W pułapce.

Falkan poruszył się w jej kieszeni, usiłując się wyswobodzić, ale łuczniczka zasłoniła go przedramieniem.

– Jeszcze nie! – szepnęła. – Jeszcze nie.

Jego moc nie mogła się równać z potęgą Lysandry. Przez cały tydzień usiłował zmienić się w ruka i nie udało mu się ani razu. Największym stworzeniem, w które mógł się przeistoczyć, był olbrzymi wilk. Wszystko, co większe, było powyżej jego możliwości.

– Kadara...

Pierwszy pająk wyłonił się spomiędzy drzew, czarny i równie zwinny jak jego zabita siostra.

Nesryn wypuściła strzałę.

Pająk przewrócił się, wrzeszcząc przeraźliwie, gdy grot utkwiał w jego ślepiu. Potworny krzyk poniósł się po dolinie, a Nesryn odruchowo sięgnęła po drugą strzałę, cofając się ku Kadarze, która zaczęła już uderzać skrzydłami.

Ale zachwiała się.

– Leć! – wrzeszczał Sartaq.

Wiatr zmierwił Nesryn włosy i poderwał kłęby odłamków. Ziemia zadudniła za ich plecami, ale łuczniczka nie miała odwagi oderwać wzroku od drugiego pająka, który wyłonił się zza drzew. Puściła kolejną strzałę, której świst utonął w łopocie skrzydeł ruka. Uderzał nimi z trudem i bólem, ale miarowo...

Nesryn zdobyła się na odwagę i spojrzała za siebie. Na ułamek sekundy.

Ujrzała Kadarę, która, łopocząc skrzydłami, wznosiła się powoli nad wąską przełęczą. Z jej ciała ściekały krople krwi i odpadały kamyki. W tej samej chwili z cieni między skałami wyłonił się *kharankui*, który wspinał się wysoko i napiął odnóża, jakby chciał skoczyć na ruka.

Nesryn puściła strzałę, a sekundę później Sartaq posłał swoją.

Trafiły obie – jedna w oko, a druga w rozwartą paszczę pająka, który wrzasnął i sturlał się ze szczytu skały. Kadara wykonała zwrot, by go uniknąć, cudem wymijając poszarpane, ostre krawędzie. Z labiryntu dobiegło mokre plaśnięcie, co oznaczało, że ogromny pająk uderzył o ziemię.

Niemniej Kadara była już wysoko. Wściekle bijąc skrzydłami, pięła się ku szaremu niebu.

Sartaq obrócił się ku Nesryn w chwili, gdy ta znów spojrzała na las sosnowy. Spomiędzy drzew wyłoniło się pół tuzina syczących *kharankui*.

Książę był zalany krwią i oddychał z trudem, ale zdołał złapać ramię Nesryn i szepnąć:

– Uciekajmy!

I rzucili się do biegu. Nie w stronę lasu, ale prosto w mrok skalnego labiryntu.

Chaol, który nie musiał już jeździć w specjalnym siodle z szynami, otrzymał czarną klacz o imieniu Farasha. Podczas spotkania na dziedzińcu pałacowym Yrene wyjaśniła mu, że imię to oznacza „motyl”, ale Chaol szybko zorientował się, że trudno o bardziej nietrafione miano.

Farasha nie miała w sobie nic z motyla. Szarpała wędzidło, tupiała kopytami i rzucała łbem, uparcie testując cierpliwość jeźdźca i sprawdzając, ile jej wolno. Chaol poznał jej złośliwy, niezależny charakter na długo, nim grupa ruszająca na pustynię przygotowała się do wyjazdu. Grupa służących wyjechała przodem, by przygotować obozowisko dla reszty.

Wiedział, że otrzyma najzłośliwszego konia, być może nie ogiera, ale na pewno klacz, która będzie w stanie dorównać mu temperamentem. Mógł się założyć o każde pieniądze, że Farasha urodziła się już w paskudnym nastroju, ale postanowił, że za nic w świecie nie poprosi o innego wierzchowca, choć czuł, że jego plecy i nogi źle to zniosą.

Yrene przyglądała się ze zmarszczonymi brwiami zarówno jemu, jak i Farashy, gładząc ciemną niczym noc grzywę własnej kasztanki. Oba konie zachwyciły się swą urodą, choć żaden z nich nie był w stanie dorównać oszałamiającemu asteriońskiemu ogierowi, który Chaol otrzymał rok temu na urodziny od Doriany.

Jeszcze jedno urodziny, zdawałoby się w innym świecie. I w innym życiu.

Czasem się zastanawiał, co się stało z tym pięknym koniem, któremu nawet nie nadał imienia. Jakby skądś wiedział, że te szczęśliwe, piękne tygodnie za moment się skończą. Być może nadal znajdował się w królewskich stajniach. Być może zrabowały go wiedźmy lub pozwoliły, by ich potworne rumaki napełniły nim swe żołądki.

Może to dlatego Farasha tak go nie znosiła. Może wyczuwała, że porzucił owego ogiera o szlachetnym sercu daleko na północy, i uznała, że jej za to zapłaci.

– To rasa spokrewniona z Asterionami! – Hasar zachichotała, okrążając go dwukrotnie na swoim białym ogierze.

O ich rodowodzie Fae świadczyły między innymi zgrabne łby i wysokie ogony, ale rasa, którą teraz zwano Muniqi, została wyhodowana na potrzeby ludzi przemierzających pustynię. Mieli wszak dziś jechać przez piaski oraz stopy, które kiedyś były ojczyzną ludu kagana. Księżniczka wskazała mu niewielkie wybrzuszenie między oczami konia, które nazwała *jibbah*. Muniqi mogły się pochwalić o wiele wydajniejszymi zatokami, dzięki czemu lepiej znosiły suchy, niegościnnie klimat pustynny.

– A do tego są szybkie – dodała księżniczka. – Nie tak jak Asteriony, ale potrafią zrobić wrażenie.

Yrene przysłuchiwała się krótkiemu wykładowi księżniczki z obojętną twarzą. Wykorzystała chwilę, by przymocować laskę Chaola za jego siodłem, a potem przygotować się do drogi. Chaol miał na sobie jak zwykle zielononiebieską kurtkę i brązowe spodnie, ale Yrene postanowiła wyrzec się sukni.

Ubrano ją w długą tunikę, która opadała do kolan luźnych, zwiewnych spodni, wsuniętych w brązowe buty. Strój był biały z elementami złota, gdyż taka kombinacja kolorów najbardziej chroniła przed słońcem. Jej zgrabną talię opinał pas, a między piersi wcinął się migotliwy złoto-srebrny naszyjnik. Włosy jak zwykle częściowo upięła, ale ktoś wplótł w ich kosmyki złote spinki.

Była piękna i urocza jak poranek.

W wyprawie wzięło udział około trzydziestu osób. Yrene nie знаła dobrze prawie nikogo, gdyż Hasar nie przyszło do głowy, by zaprosić inne uzdrowicielki z Torre. Po dziedzińcu uwijały się chyże psy myśliwskie, co rusz uskakując spod kopyt dwunastu strażników. Konie, których dosiadali, z pewnością nie należały do rasy Muniqi. Były to bez wątpienia wspaniałe rumaki – w porównaniu z nimi konie adarlańskich strażników przypominały zwykłe chabety – ale nie cechowała ich wrażliwość typowa dla Muniqi, które sprawiały wrażenie, jakby słuchały każdego wypowiedzianego słowa.

Hasar dała znać Shenowi, stojącemu przy bramie w dumnej pozie, a ten zadął w róg.

Wyruszyli.

Jak na kobietę, która dowodziła flotą, Hasar wydawała się o wiele bardziej zainteresowana

jeździecką tradycją swej rodziny. Widać było, że miała ogromną ochotę popisać się swoim talentem darghańskiego jeźdźca. Krzywiła się i przeklinała, gdy wstrzymywał ich ruch na ulicach miasta. Choć posłała przodem ludzi, by usunęli wszelkie potencjalne zatory, wąskie i strome uliczki spowalniały ich znacząco.

Panował potworny skwar. Zlany potem Chaol jechał obok Yrene, skupiony na kontrolowaniu Farashy, która już dwukrotnie próbowała pochwycić zębami jakiegoś drobnego handlarza, przyglądającego się korowodowi. Motyl, jakich mało.

Chaol kontrolował Faraszę, ale też rozglądał się po mieście. Zmierzali ku wschodniej bramie, za którą ciągnęły się suche, porośnięte krzewami wzgórza, a Yrene wskazywała mu co bardziej interesujące miejsca i dzieliła się z nim ciekawostkami.

Między budynkami wiły się akwedukty, które dostarczały wodę do domów, publicznych fontann oraz niezliczonych ogrodów i parków rozrzuconych po okolicy. Nic dziwnego, że zdobywca, który zawładnął miastem trzy stulecia temu, pokochał je tak bardzo. Nic dziwnego, że dobrze je traktował i karmił jego mieszkańców.

Uczestnicy wyprawy przejechali przez wschodnią bramę i ruszyli długą, zakurzoną drogą, przecinającą dzielnicę ciągnące się za murami miejskimi. Hasar nie miała już ochoty dłużej zwlekać i niespodziewanie popędziła swego ogiera do galopu, przez co resztę orszaku spowity kłęby pyłu.

Kashin oznajmił, że nie ma ochoty połykać jej kurzu przez resztę drogi do oazy, uśmiechnął się do Yrene i gwizdnął na swego rumaka. Większość zaproszonych do udziału w wyprawie wezyrów i arystokratów, którzy przypuszczalnie zawnazami przyjęli serię zakładów, rzuciło się na łeb, na szyję do rozmaitych wyścigów po oczyszczonych z wyprzedzeniem ulicach miasta. Zupełnie jakby królestwo było dla nich placem zabaw.

W istocie, przyjęcie urodzinowe jak się patrzy. Księżniczka przypuszczalnie się nudziła, a nie chciała wyjść na nieodpowiedzialną w oczach ojca, choć Chaol był zaskoczony tym, że do wyprawy dołączył Arghun. Przecież mógł wykorzystać nieobecność większości rodzeństwa i uknuć jakiś nowy plan. Tymczasem Chaol dostrzegł go, jak zniknął na horyzoncie u boku Kashina.

Kilku szlachetnie urodzonych członków wyprawy zostało jednak przy nim oraz Yrene, pozwalając, by reszta wyprzedziła ich o całe kilometry. Jadąc powoli, wkrótce minęli ostatnie osady otaczające Anticę i na zdyszanych, zlanych potem wierzchowcach wjechali na wielkie, kamieniste wzgórze.

– Po drugiej stronie rozpoczynają się wydmy – powiedziała Chaolowi Yrene. – Tam napoimy konie i rozpoczniemy ostatni etap podróży przez piaski.

Uśmiechała się lekko, gdy pięli się na szczyt wzgórza po ścieżce, wydeptanej przez jelenie pośród zarośli. Widać było, że przedzierały się tędy konie – wiele krzaków zostało połamanych bądź zdeptanych przez nieostrożnych jeźdźców, a na kilku nawet widniały plamki krwi, zaschniętej w blasku bezlitosnego słońca.

Jeździec, który kierował swoim rumakiem z taką bezmyślnością, powinien zostać wychłostany.

Pozostali zatrzymywali się i poili swe wierzchowce, a potem ruszali w dalszą drogę. Chaol widział jedynie, jak ciała ludzi i koni znikwały na tle nieba, jakby odbijali się od krawędzi klifu i po prostu rozplywali się w powietrzu.

Farasha tupnęła i pognała w górę zbocza, a Chaol robił wszystko, by nie spaść. Bez szyn przy siodle nie było to łatwe i wysiłek spowodował ból pleców oraz ud, ale mężczyzna nie pozwolił sobie nawet na stęknienie niezadowolenia.

Yrene dotarła na górę pierwsza. W białym ubraniu przypominała pochodnię jasności na tle bezchmurnego, błękitnego nieba, a jej włosy błyszczały niczym ciemne złoto. Czekwała na niego, a kasztanowa klacz dyszała ciężko. Jej sierść lśniła odcieniami głębokiego rubinu.

Uzdrowicielka zeskoczyła na ziemię, a Chaol popędził konia ku górze, aż...

Aż nagle ujrzał coś, co odebrało mu dech.

Pustynia.

Jałowe, syczące morze złocistego piasku. Wzgórza i wąwozy, niekończące się, sięgające daleko



za horyzont fale, puste, ale mimo to mruczące, szeleszczące. Nigdzie nie widział drzewa, krzaka czy wody.

Miejsce to zostało stworzone rękami pozbawionego litości boga, który nie przestawał go kształtować. Jego oddech wciąż napierał na wydmy i przekształcał je ziarenko po ziarenku.

Chaol nigdy dotąd niczego takiego nie widział. Cóż to był za cud. Miał przed sobą świat, z którego istnienia nie zdawał sobie sprawy.

Być może powinien dziękować losowi, że informacje, których poszukiwali, kryły się gdzieś tutaj. Spojrzał na Yrene, która czytała mu w myślach. Przyglądała się jego reakcji.

– Nie wszyscy potrafią docenić piękno pustyni – powiedziała – ale w moim przypadku jej śpiew trafia prosto do mego serca.

Pustynia była morzem, po którym nigdy nie popłynie żaden okręt. Dla wielu ludzi była piekłem, na którym czekała płonąca śmierć. Chaol jednakże czuł jedynie ciszę i spokój.

A także powolne, stłumione, przetaczające się tętno pustynnego życia. Nieokiełznane, dzikie piękno.

– Wiem, co masz na myśli – powiedział, ostrożnie zsiadając z Farashy.

Yrene śledziła go wzrokiem, ale ograniczyła się do wyciągnięcia laski. Czekala, aż sam znajdzie najlepszy sposób, by przetrząsnąć nogę nad siodłem. Pojękiwał cicho, a jego ciało drżało z wysiłku, gdy powoli zsuwał się na przysypaną piaskiem skałę. Wówczas chwycił laskę, ale równowagę złapał sam, bez pomocy uzdrowicielki, która jedynie przyglądała mu się biernie. W końcu puścił siodło i cisnął wodze Farashy.

Klacz napięła mięśnie, jakby się zastanawiała, czy nie wierzgnąć, ale Chaol wbił w nią spojrzenie, które odradzało wszelkie głupie zachowania. Laska aż trzeszczała pod jego ciężarem. Ciemne oczy Farashy skrzyły, jakby w istocie zrodziła się pośród płomieni podziemnego królestwa Hellasa, ale Chaol zebrał wszystkie siły i stał wyprostowany. Ani na moment nie odwrócił spojrzenia, aż koń parsknął i zwiesił łeb, a potem pozwolił się poprowadzić w kierunku oblepionego piaskiem kamiennego koryta, które kruszyło się już ze starości. Być może liczyło sobie tyle wieków co pustynia, być może piły z niego konie setek zdobywców.

Farasha najwidoczniej zorientowała się, że zaraz wkroczą na ocean piasku, i piła chciwie. Yrene również podprowadziła swego konia, ale zachowywała bezpieczny dystans od Farashy.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Stabilnie – odparł, nie przesadzając. – Trochę mnie ta podróż kosztuje i po dotarciu na miejsce wszystko zapewne będzie mnie boleć, ale daję radę.

Bez laski nie miał jak do tej pory odwagi ani siły zrobić więcej niż kilka kroków. Yrene przytknęła dłoń do dołu jego pleców, a potem do ud, wpuszczając w te miejsca strumienie swej mocy. Choć panował upał, a oboje mieli na sobie ubrania, jej dotyk uświadomił mu każdy centymetr, który dzielił ich ciała.

Wkrótce inni uczestnicy ich wyprawy otoczyli ogromne koryto z dawnych czasów i Chaol przerwał kontakt cielesny z Yrene. Odprowadził Farashę kawałek na bok, choć na samą myśl o tym, że miałby na nią wsiąść...

– Nie spiesz się – szepnęła Yrene, ale na wszelki wypadek stanęła kilka kroków dalej.

Przy pałacu podsunęto mu stołek, ale tu, nie licząc kruszącej się krawędzi koryta, nie było nic, o co mógł oprzeć nogę. Odległość między jego stopą a strzemieniem nigdy dotąd nie wydawała mu się tak wielka.

„Najpierw trzeba było oprzeć się na jednej stopie, by podnieść drugą, następnie dźwignąć się w górę na jednej nodze i przetrząsnąć nad siodłem drugą”.

Przypominał sobie ruchy, które wykonywał już tysiące razy. Nauczył się przecież jeździć konno, gdy miał sześć lat, i spędził w siodle niemalże całe życie.

Oczywiście tym razem miał do czynienia z koniem o diabelskim usposobieniu, ale Farasha stała nieruchomo i wpatrywała się w morze przesuwanego się piasku, w trakt, który powadził w dół wzgórza, a dla nich stanowił bramę do bezkresnej pustyni. Choć wiatry nieustannie zmieniały rzeźbę

wydm i dolin, ślady pozostawione przez pozostałych były wyraźne. Chaol widział nawet kilku z nich, jak wspinali się po zboczach wydm i zjeżdżali w dół. Z tej odległości byli jedynie plamkami bieli i czerni.

On jednakże stał w miejscu i wpatrywał się w siodło oraz strzemiona.

– Mogę przynieść jakieś wiadro – powiedziała od niechcienia Yrene, ale Chaol drgnął i zbliżył się do konia.

Jego ruchom przypuszczalnie zabrakło nieco gracji, być może włożył w to nieco więcej wysiłku, niżby sobie tego życzył, ale w końcu wspiął się na siodło. Laska aż zatrzeszczała, gdy oparł na niej cały ciężar ciała, a potem z trzaskiem przewróciła się na kamień, gdy Chaol z trudem wsunął stopę w strzemię i złapał się łąku siodła. Farasha przestąpiła z nogi na nogę, gdy wciągnął się wyżej, a jego plecy i uda eksplodowały bólem, kiedy przerzucił nogę nad końskim grzbietem, ale dopiął swego. Siedział w siodle.

Yrene podeszła do upuszczonej laski i otrzepała ją z kurzu.

– Nie najgorzej, lordzie Westfall.

Przytoczyła jego laskę za swoim siodłem i dosiadła swej klaczy.

– W rzeczy samej, całkiem sprawnie.

Na twarzy Chaola wciąż pulsowały rumieńce od wysiłku, ale ukrył uśmiech i trącił Faraszę, kierując ją ku piaszczystemu zbocz.

Powoli ruszyli po śladach pozostawionych przez innych. Znow otoczył ich upał.

Wjeżdżali na wydmy i zjeżdżali w dół. Jedynym odgłosem był stłumiony stukot kopyt oraz szelest osypującego się piasku. Ich grupa rozciągnęła się w długi, wijący się sznur jeźdźców. Na drodze, równomiernie rozstawieni, czekali na nich strażnicy z długimi tyczkami, na których powiewała flaga kagana z ciemnym koniem w biegu. Wskazywali kierunek ku osadzie.

Chaol współczuł nieszczęśnikom, którzy musieli sterczeć tam z kaprysu księżniczki, ale nie powiedział ani słowa.

Po jakimś czasie wydmy zaczęły stawać się coraz bardziej płaskie, aż w końcu znaleźli się na piaszczystej równinie. W pewnej odległości mieniła się i falowała w blasku słońca rozległa plama gęstej zieleni.

– Tam rozbijemy obóz – rzekła Yrene.

Ani śladu starożytnego miasta umarłych, na którym wedle Hasar wyrosła kiedyś oaza, choć z takiej odległości trudno było cokolwiek zauważyć.

Chaol miał wrażenie, że od skraju zieleni równie dobrze mogło ich dzielić pół godziny drogi, zważywszy na ich tempo.

Yrene, choć zlana potem od stóp do głów, uśmiechała się. Być może ona również potrzebowała dnia przerwy. Być może i ona musiała zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wyczuła jego wzrok i odwróciła ku niemu głowę. Blask słońca sprawił, że jej piegi stały się wyraźniejsze, a skóra zbrązowiła. Rozpromienioną twarz przesłaniały kręcące się loki.

Farasha szarpnęła za wodze. Drżała z niecierpliwości na całym ciele.

– Mam Asteriona w Rifthold – powiedział Chaol.

Yrene uniosła brwi, najwyraźniej będąc pod wrażeniem, na co mężczyzna wzruszył ramionami.

– Ciekaw jestem, czy Muniqi mogą iść z nimi w zawody – dodał.

Uzdrowicielka zmarszczyła brwi.

– Masz na myśli... – Zawahała się, patrząc na gładki teren, rozciągający się między nimi a oazą. Idealny na wyścigi. – Nie, ja chyba nie jestem w stanie... Chcesz galopować?

Czekał, aż powie coś o jego kręgosłupie czy nogach, ale nic takiego nie usłyszał.

– Boisz się? – spytał, unosząc brew.

– Koni? I to jak – odparła i wzdrygnęła się, spoglądając na swego niespokojnego wierzchowca.

– Dajże spokój. Twoja klacz jest słodka niczym dojna krowa – rzekł Chaol, patrząc na kasztankę Yrene. Pochylił się, by poklepać diabelską motylicę po karku. Farasha próbowała go ugryźć, ale on szarpnął ostro za wodze, by dać jej do zrozumienia, że nie pozwoli na wygłupy. – Ścigajmy się – zaproponował.

Oczy Yrene zamigotały.

– A co będzie nagrodą? – szepnęła ku jego ogromnemu zaskoczeniu.

Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni czuł się tak bardzo świadom każdego uderzenia swego serca i szumu krwi pulsującej w jego ciele.

– Pocałunek. Zwycięzca wybiera gdzie i kiedy.

– Gdzie? Co masz na myśli?

Chaol uśmiechnął się szeroko i pozwolił Farashy skoczyć naprzód. Jego uszu dobiegło przekleństwo, które wyszło z ust Yrene, najokropniejsze, jakie dotąd słyszał, ale nie odważył się spojrzeć za siebie, bo...

Bo Farasha przeobraziła się w rozpędzoną czarną burzę.

Nie miał okazji, by choć raz dosiąść swego Asteriona, ale jeśli był jeszcze szybszy...

Mknąca nad piaskami klacz przypominała czarną błyskawicę, która przesywa złocistą pustynię. Chaol nie był w stanie w żaden sposób na nią wpłynąć – mógł tylko zaciskać zęby, ignorować ból mięśni i próbować utrzymać się w siodle.

Zapomniał jednak o wszystkich dolegliwościach, gdy kątem oka ujrzał rozpędzoną plamę czerwonego brązu. Z białym jeźdźcem w siodle.

Złocistobrązowe loki Yrene unosiły się z każdym uderzeniem kopyt klaczy, głośnym niczym uderzenie pioruna. Białe szaty powiewały na wietrze, złoto i srebro migotało niczym gwiazdy, a jej twarz...

Chaolowi zaparło dech, gdy ujrzał dziką radość na obliczu uzdrowicielki, jej niczym nieposkromioną euforię.

Farasha spostrzegła, że klacz ją dogania i przyspieszyła, chcąc pogrzebać pościg w warkoczu pyłu. Chaol przystopował jej zapędy – ściągnął nieco wodze i przyhamował piętami, nie mogąc się nadziwić, że mu się to udało. Że ta doganiająca go, a potem jadąca obok niego kobieta, rozpromieniona tak, jakby w tym jałowym, uprażonym na słońcu piekle poza nimi dwojgiem nie było nikogo, zdołała tego dokonać. Że dostarczyła mu tyle radości i satysfakcji.

Yrene uśmiechała się, aż w końcu parsknęła śmiechem, jakby nie była w stanie go dłużej powstrzymać. Dla Chaola był to najpiękniejszy odgłos, jaki kiedykolwiek słyszał.

I w tej chwili, gdy lecieli tak razem nad piaskami, chłonąc pustynny wiatr, a jej włosy powiewały niczym złocistobrązowy proporzec, Chaol być może po raz pierwszy w życiu poczuł, że się przebudził. I cieszył się z tego z całego serca.

Yrene była zrana potem, choć ten wysechł tak szybko, że ledwie zdążyła poczuć jego lepkość na sobie.

Na szczęście w cienie oazy panował miły chłód, a w środku znajdował się wielki, płytki staw. Konie zaprowadzono do zakątka, gdzie cienie były najgłębsze, tam je napojono i wyszczotkowano, a służba i strażnicy znaleźli sobie inne miejsce, ukryte przed oczami reszty, gdzie sami chcieli się umyć i zabawić.

Nigdzie nie było ani śladu jaskini wspomnianej przez Noushę ani też miasta umarłych, które zdaniem Hasar kryło się w dżungli nieopodal, ale przecież oaza była rozległa.

Uczestnicy ich wyprawy kąpali się już w stawie. Renia, co Yrene zauważyła natychmiast, miała na sobie jedynie cienką suknię z jedwabiu, która bynajmniej nie skrywała jej kuszących wdzięków, gdy dziewczyna wyszła z wody, śmiejąc się z czegoś, co powiedziała Hasar.

– Cóż. – Chaol zakaszłał znacząco.

– Ostrzegałam cię przed miejscowymi zabawami – mruknęła Yrene i skierowała się ku białym i pozłaczonym namiotom, rozstawionym wśród wysokich palm i krzaków. Każdy z nich zdobił proporzec księcia lub księżniczki, ale skoro Sartaq i Duva nie mogli uczestniczyć w wyprawie, dwa spośród nich przydzielono Chaolowi i Yrene.

Na szczęście znajdowały się blisko siebie. Yrene spojrzała pod uchyloną klapę i ujrzała przestrzeń równie wielką jak izba chaty, w której mieszkała z matką. Potem odwróciła się ku odchodzącemu Chaolowi. Choć wspierał się na lasce, utykał bardziej niż rano. Widziała też, z jaką sztywnością zsiadał z tego przeklętego konia.

– Wiem, że tylko marzysz o tym, by się umyć – powiedziała. – Ale muszę się tobie przyjrzeć. Twoim plecami i nogami, wiesz. Po tej jeździe.

Może nie powinna była się z nim ścigać. Zresztą i tak nawet nie pamiętała, kto jako pierwszy dotarł na skraj oazy. Śmiała się tak bardzo, że nie widziała niczego wokół siebie. Czuła, jak dzięki swej bezgranicznej radości wyrzywa się z własnego ciała. Czuła, że pewnie nigdy już nie doświadczy czegoś takiego.

Nie, była jedna rzecz, którą zauważyła i od której nie mogła oderwać oczu. Jego twarz, płonąca wielkim światłem.

Chaol zatrzymał się przy swoim namiocie. Laska drżała mu w ręku, jakby potrzebował jej bardziej niż dotychczas.

– Twój namiot czy mój? – zapytał.

W jego głosie usłyszała ulgę, która ją trochę zaniepokoiła.

– Mój – powiedziała.

Była przekonana, że inni uczestnicy wyprawy, zarówno służba, jak i szlachetnie urodzeni, którzy przypuszczalnie nie mieli pojęcia, że to ona jest powodem zorganizowania tej ekspedycji, z ochotą zameldują przelozonym o wszystkich jej poczynaniach. Chaol pokiwał głową i ruszył ku niej, a Yrene dokładnie śledziła wzrokiem każdy jego krok, zmianę w ułożeniu ciała czy sposób, w jaki podpira się na lasce.

Gdy w końcu dotarł do wejścia do namiotu, mruknął jej do ucha:

– A tak na marginesie, to ja wygrałem.

Yrene zerknęła na słońce, które chyliło się ku horyzontowi, i poczuła głęboko w sobie osobliwy ucisk.

\*\*\*

Chaol był obolały i miał liczne otarcia, ale na szczęście nadal był w stanie chodzić po tym, jak Yrene zakończyła swe sumienne badanie. A także serię kojących ćwiczeń rozciągających oraz masaż.

Miał niejasne przeczucie, że Yrene bawi się z nim, choć nie wykonała ani jednego ruchu, który

choć odrobinę przekraczałyby normy przyzwoitości. Traktowała go z profesjonalizmem. Chłodno.

Okazała nawet tyle bezczelności, że poprosiła służącego o przyniesienie dzbanka wody.

Wielki i wygodny namiot był uszyty na miarę potrzeb księżniczki, która na ogół go zajmowała. W samym środku znajdowało się podwyższenie, a na nim wielkie łóżko. Podłogę wysłano pięknymi dywanami, a toaletę i umywalkę wydzielono parawanem. Wszędzie aż kipiało od złotych ozdób, co dawało Chaolowi do myślenia. Być może dekoracje zostały przywiezione przez służbę poprzedniego dnia, ale niewykluczone, że okoliczna ludność żyła w tak wielkim strachu przed kaganatem, że nikt nie ośmielił się dokonać rabunku.

Albo żyli na tyle dostatnio, że nie musieli kraść.

Gdy wreszcie zrzucił z siebie przepocone, ale wyschnięte ubranie, i założył świeże, wszyscy pluskali się już w stawie. Wraz z Yrene wyszli, by odnaleźć swój tajny cel.

Naradzili się szeptem jeszcze w namiocie. Żadne z nich nie zauważyło niczego ciekawego w chwili przybycia do oazy, a w samym stawie i w okolicach nie było ani śladu jaskini czy ruin. Kąpiący się arystokraci byli rozluźnieni i radosni, a Chaol z niechęcią doszedł do wniosku, że w Adarlanie nigdy nie widział ludzi tak wyzwolonych. Nie był naiwnym człowiekiem i wiedział, że nawet w chłodnych wodach stawu mogą się rozgrywać intrygi, ale nigdy nie słyszał, by adarlańska szlachta urządzała gdzieś wyprawę, by wspólnie popływać.

Choć nadal zastanawiał się, dlaczego Hasar postanowiła urządzić taką imprezę dla Yrene, tym bardziej że ta nie знаła większości spośród zaproszonych gości.

Yrene zawahała się i spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs, co każdy mógłby odebrać jako oznakę nieśmiałości. Jako wyraz obawy przed rozebraniem się do lekkich szat, które nosili kąpiący się w stawie. Najwyraźniej chciała, by wszyscy zapomnieli, że jest uzdrowicielką i napatrzyła się w życiu na nagość.

– Chyba nie mam ochoty na kąpiel – powiedziała pośród śmiechów i plusków. – Przejdziemy się?

Jej słowa były miłe i uprzejme, a ruch głową, którym wskazała kilka akrów dzikiej dżungli, rozrastającej się po lewej stronie stawu, nie powinien budzić niczyich podejrzeń. Yrene nie miała doświadczenia w życiu dworskim, ale na pewno potrafiła przekonująco kłamać. Chaol miał wrażenie, że w zawodzie uzdrowicielki to ważna umiejętność.

– Z przyjemnością – rzekł i podał jej ramię.

Znów się zawahała, modelowo odgrywając skromność, i zerknęła ukradkiem na bawiących się w stawie. Niektórzy się jej przyglądali. W ich liczbie Kashin.

Chaol postanowił, że nie będzie wywierał na Yrene żadnych nacisków. Sama powinna zdecydować, kiedy i jak przekazać księciu – ponownie! – że nie jest nim zainteresowana. Mimo to nie mógł powstrzymać ukłucia winy, gdy uzdrowicielka wsunęła rękę pod jego ramię i razem wkroczyli w ciemną, wilgotną dżunglę oazy.

Kashin był dobrym człowiekiem. Chaol wierzył w to, że księżę jest gotów udać się tam, gdzie zawezwie go potrzeba wojenna. Nie miał więc zamiaru czynić sobie z niego wroga i popisywać się przy wszystkich dobrymi układami z Yrene. Wsparty na lasce, która zapadała się w miękkiej glebie, zerknął na dziewczynę.

Ta uśmiechnęła się lekko. Policzki nadal miała zarumienione od słońca.

A niech szlag trafi Kashina!

Bulgota wody ze źródła mieszała się z szumem kołyszących się palm. Szli przed siebie, nie dbając o kierunek.

– W Anielle – odezwał się Chaol – w dolinie niedaleko Srebrnego Jeziora znajduje się wiele, wiele gorących źródeł. Jako młody chłopak czasami moczyłem się w nich po całym dniu ćwiczeń.

– Czy to przez to szkolenie wstąpiłeś później do gwardii pałacowej? – spytała Yrene ostrożnie, jakby właśnie sobie uświadomiła, że Chaol odsłonił przed nią skrawek duszy.

– Częściowo – odparł po chwili ochryplym głosem. – Ja... ja byłem po prostu w tym dobry. Walka mieczem, jazda konna, strzelanie z łuku. Z niczym nie miałem problemów. Otrzymałem szkolenie

odpowiednie dla syna lorda górskiego ludu, który od wielu setek lat toczy zaciekle boje z barbarzyńcami z Kłów. Mój prawdziwy trening rozpoczął się jednak po przybyciu do Rifthold i wstąpieniu do Gwardii Królewskiej.

Zwolniła, gdy Chaol musiał obejść kłęb splecionych korzeni. Przez moment był skupiony na wyszukiwaniu odpowiednich miejsc do postawienia stóp i laski.

– Podejrzewam, że przez wrodzony upór niechętnie przyswajałeś sobie dyscyplinę?

Chaol zachichotał i trącił ją łokciem.

– To prawda – odparł. – Na placu treningowym pojawiałem się jako pierwszy i jako ostatni z niego schodziłem, choć codziennie dostawałem niezłego łupnia.

Znów poczuł ból w sercu, gdy przypomniał sobie ich twarze. Gdy wspomniawszy ludzi, którzy go szkolili i dawali mu taki wycisk, że schodził z placu, krwawiąc i utykając, ale zawsze opatrywali jego obrażenia w koszarach. Z reguły dodawali do tego porządną porcję i mocne kłapnięcie przez plecy.

– To nie byli źli ludzie, Yrene – powiedział ochryple, chcąc choć w ten sposób uczcić ich pamięć.

– Ci, z którymi trenowałem... Z którymi dorastałem i którymi dowodziłem... Tak, to byli dobrzy ludzie.

Przypomniał sobie roześmianą twarz Ressa i rumieniec, którego nie mógł ukryć, gdy w pobliżu była Aelin. Jego oczy zapłonęły.

Yrene zatrzymała się. Oaza szumiała i nuciła wokół nich, a plecy i nogi Chaola były w coraz lepszej kondycji. Ewidentnie spokojny spacer pomógł im wrócić do normy po ostrej jeździe. Cofnęła ramię i dotknęła jego policzka.

– Jeśli są choć w części odpowiedzialni za to, że jesteś taki, jaki jesteś – odezwała się i stanęła na palcach, by musnąć wargami jego usta – nie mam wątpliwości, że byli dobrymi ludźmi.

– Byli – szepnął.

Właśnie. Tego jednego słowa, które zostało natychmiast pochłonięte przez szum i świergot oazy, nie mógł znieść i wytrzymać.

Mógł się jeszcze wycofać. Mógł się nie zbliżać do niewidzialnej przepaści, która otworzyła się przed nimi. Yrene wciąż stała przy nim, oparłszy dłoń na jego sercu, czekając na kolejne słowa. Być może to właśnie z tego powodu szepnął:

– Tej wiosny przez długie tygodnie poddawano ich torturom. Potem zostali zamordowani, a ich ciała wywieszono na bramach zamkowych.

W oczach Yrene pojawiła się zgroza i bezbrzeżny żal.

– Żaden z nich się nie poddał – zdołał dodać Chaol. – Nikt się nie złamał. Kiedy król i... i tamci...

Nie potrafił dokończyć. Jeszcze nie. Bo bez przerwy musiał mierzyć się z podejrzeniami, które przypuszczalnie miały okazać się prawdą.

– Kiedy wypytywali ich o mnie. O to, czym się zajmuję. Nikt się nie złamał.

Nie umiał nazwać ani opisać tak wielkiej odwagi. Tak wielkiej ofiary. Yrene zdusiła emocje i ujęła jego twarz w obie dłonie.

– To była moja wina – dodał w końcu Chaol. – Król... król zrobił to, by mnie ukarać. Za ucieczkę, za pomoc, jakiej udzieliłem buntownikom w Rifthold. To wszystko przeze mnie.

– Nie możesz się obwiniać.

Proste, szczerze słowa, ale jak bardzo nieprawdziwe.

Podziały na niego jak wiadro zimnej wody.

Cofnął się i uwolnił od jej dotyku. Nie powinien był jej tego mówić. Nie powinien był w ogóle o tym wspominać. Przecież to jej urodziny, na bogów! Mieli się skupić na poszukiwaniu informacji, które mogłyby im pomóc!

Wszedł w dżunglę.

Kuszykając między paprociami i palmami, sprawdził, czy nadal ma przy pasie miecz i sztylet. Musiał przecież coś zrobić z trzęsącymi się rękami i zranionym sercem. Zebrał wspomnienia i wypowiedziane słowa razem i odepchnął je daleko, jak najdalej. Dotykając swej broni, zamknął je w bezpiecznym miejscu w swej pamięci.

Yrene bez słowa podążała za nim w głąb. Oaza była większa od wielu osad, ale nikt nawet nie

próbował ujarzmić rosnącej wokół dżungli. Nie było żadnych ścieżek i przez długi czas nic nie wskazywało na to, że kiedyś mieściło się tu miasto umarłych.

Aż między drzewami i krzakami wyrosły pierwsze jasne kolumny. Chaol uznał to za dobry znak. Niewykluczone, że w pobliżu w istocie kryła się jakaś jaskinia, być może ktoś ją kiedyś zamieszkiwał.

Niemniej z leśnego poszycia wyłaniały się coraz to nowe i bardziej imponujące szczątki dawnej zabudowy, co zmuszało go do uważnego stawiania kroków.

– Nie wiem, kto tu kiedyś mieszkał, ale na pewno nie byli to jaskiniowcy, którzy grzebali swych zmarłych w ziemi – zauważył. Jego laska zgrzytnęła o starożytny kamień.

– Hasar powiedziała, że to miasto umarłych. – Yrene zmarszczyła czoło, przyglądając się zdobionym kolumnom i rzeźbionym, kamiennym płytom, które porosły mchami. – Miasto, Chaolu. Pod stopami mamy całą nekropolię.

Wbił wzrok w leśne runo.

– A mnie się wydawało, że rodacy kagana pozostawiają swoich zmarłych pod otwartym niebem w sercu swych ziem.

– To prawda. – Yrene przesunęła dłońmi po kolumnie, na której wryto rozliczne zwierzęta i inne dziwne stworzenia. – Ale... ale to miejsce jest starsze od kaganatu. Od Torre i Antiki również.

Kruszące się stopnie prowadziły na kamienne podwyższenie. Rosnące tam drzewa obłapiały korzeniami kamienie, przewróciwszy już kilka starannie rzeźbionych kolumn.

– Hasar mówiła mi, że w tunelach ukryto rozliczne pułapki – dodała. – By zatrzymać włamywaczy lub... lub umarłych w środku.

Pomimo upału Chaol miał wrażenie, że podnoszą mu się włosy na ramionach.

– I teraz mi to mówisz?

– Założyłam, że Noushy chodzi o coś innego. Że po prostu mamy szukać jaskini. Uznałam, że gdyby jej zdaniem była ona połączona z ruinami, wspomniałaby choć słowem o tym.

Yrene weszła na podwyższenie. Chaol podążył za nią, choć nie bez trudu.

– Nie widzę tu żadnych skał. A w każdym razie nie tak dużych, by mogły ukryć jaskinię. Widać tylko to.

Zdaniem Hasar całe to miejsce było zaledwie wejściem do kryjącej się poniżej nekropolii.

Obejrzeliby dokładnie wszystkie ruiny. Ogromne kolumny zostały połamane lub przewrócone, a ich kikuty porosły mchy, korzenie lub pnącza. Cisza wydawała się tu równie ciężka jak skwar, zupełnie jakby śpiewające ptaki czy bzyczące owady nie miały odwagi, by się tu zapuścić.

– Niepokoi mnie to – powiedziała Yrene.

W pobliżu czekało dwudziestu strażników, który mogliby błyskawicznie przybyć z odsieczą – wystarczyłoby, aby ich zawołał – a mimo to Chaol poczuł, że ręka opada mu na rękojeść miecza. Jeśli pod ich stopami w istocie znajdowało się miasto umarłych, Hasar być może miała rację. Może należało im pozwolić spać.

Yrene obróciła się w miejscu, przyglądając się kolumnom i rzeźbom. Nigdzie nie było śladu żadnych jaskiń.

– Ale Nousha znała lokalizację tego miejsca. – zastanowiła się. – A więc musiało być kiedyś ważne dla Torre.

– Pewnie tak, ale powód został zapomniany wiele lat temu. Pozostała tylko nazwa i świadomość, że kiedyś działo się tu coś istotnego.

– Ta kraina zawsze przyciągała uzdrowicielki, wiesz? – powiedziała zamyślona Yrene, nadal wodząc dłonią po powierzchni kolumny. – Ten kraj po prostu... po prostu został pobłogosławiony magią. Bardziej niż jakikolwiek inny. Zupełnie jakby sztuka uzdrawiania wzięła się właśnie stąd.

– Dlaczego?

Yrene przesuwiała palcem wzdłuż ryty na kolumnie dłuższej od masztu.

– A dlaczego cokolwiek się rozwija? Przecież wiesz, że w pewnych okolicznościach rośliny rosną lepiej niż w innych. Po prostu wybierają najbardziej korzystne warunki.

– Czyli na Południowym Kontynencie panują najlepsze warunki dla uzdrowicieli?

Coś przyciągnęło jej uwagę.

– Może to było sanktuarium – wyszeptwała.

Chaol podszedł bliżej, krzywiąc się, gdy w jego plecach znów odezwał się ból, ale natychmiast o tym zapomniał, gdy nachylił się nad rytym niedaleko jej dłoni.

Na szerokiej kolumnie uwieczniono dwie przeciwstawne sobie siły. Z lewej strony widnieli wysocy, barczyści wojownicy uzbrojeni w miecze i tarcze, spowici mocą ognia i wody. Towarzyszyły im rozmaite zwierzęta w powietrzu bądź u ich stóp. Wojownicy mieli spiczaste uszy.

Naprzeciwko nich stali...

– Tylko nie mów, że to zbieg okoliczności. – powiedziała Yrene, wskazując na armię, która mierzyła się z Fae.

Ci wojownicy byli niżsi, ale ich ciała wydawały się masywniejsze. Uzbrojeni byli w kły, szpony i budzące lęk ostrza.

– Valgowie – szepnęła.

Na bogów...

Yrene podbiegła do pozostałych kolumn. Zaczęła zrywać z nich pnącza i mchy.

Kolejne oblicza Fae. Kolejne postacie. Niektóre walczące w pojedynkę przeciwko przywódcom Valgów. Widziała pokonanych. Widziała też zwycięzców.

Chaol usiłował za nią nadążyć. Przyglądał się, analizował, wypatrywał, aż...

Aż dostrzegł coś pośród gęstych cieni rzuczanych przez niskie, przysadziste palmy. Mauzoleum.

– I mamy jaskinię – szepnęła Yrene. – Lub coś, co za jaskinię można uznać, gdy pamięć o miejscu ulega zatarciu.

Chaol, ignorując ból pleców, zabrał się za zrywanie pnączy. Darł i szarpał, aż odsłonił wejście do nekropolii. Pochylił się, by przeczytać, co na nim wyryto.

– Nousha twierdzi, że wedle legend niektóre zwoje pochodzą stąd – powiedział. – Z miejsca pełnego Znaków Wyrda i podobizn Fae oraz Valgów. Sęk w tym, że to miejsce nigdy nie było miastem żywych. Owe zwoje musiały więc zostać zabrane z grobowców czy też archiwów, które znajdują się pod naszymi stopami.

Czyli zza drzwi, na które teraz patrzyli.

– Tu nie chowano ludzi – szepnęła Yrene. Rozpoznawała bowiem znaki wykute na kamiennej bramie. – To Stara Mowa.

Chaol widział podobne na twarzy i ramionach Rowana. Natrafili na nekropolię Fae. Fae, a nie ludzi.

– Wydawało mi się, że Doranelle opuściła tylko jedna grupa Fae – rzekł. – Ci, którzy założyli Terrasen z Brannonem.

– Może inna grupa osiedliła się tu podczas wojny.

Podczas pierwszej wojny. Pierwszej wojny z demonami, przed urodzeniem Eleny i Gavina, przed powstaniem Terrasenu.

Chaol przyglądał się Yrene, która pobladła jak trup.

– Albo chcieli tu ukryć coś ważnego – rzekł.

Yrene zmarszczyła brwi i spojrzała na ziemię, jakby była w stanie przeniknąć wzrokiem do grobowców.

– Skarb?

– Tak, ale innego rodzaju.

Spojrzała mu w oczy, słysząc jego ton, i spostrzegła, że znieruchomiał. Do jej serca wlał się zimny, ostry lęk.

– Nie rozumiem – powiedziała cicho.

– Fae dziedziczą magię z pokolenia na pokolenie. Nie objawia się ona zniecka. Być może ci Fae przybyli tu dawno temu i zostali zapomnieni przez cały świat, zarówno przez siły dobra, jak i zła. Być może uznali, że to miejsce leży wystarczająco daleko od areny wielkich zdarzeń, by pozostało nietknięte. Przeczuwali, że wielkie wojny będą toczone gdzieś indziej. Przez nich. – Ruchem podbródka



wskazał ryt żołnierza Valgów. – Tymczasem Południowy Kontynent był zamieszany głównie przez ludzi. Ludzi, którzy od czasu do czasu łączyli się z Fae w pary, a ich potomstwo dziedziczyło moc uzdrawiania.

– Ciekawa teoria – powiedziała Yrene ochryłym głosem – ale skąd wziąć pewność, że ma ona sens?

– Gdybyś chciała ukryć coś cennego, czy nie byłoby najlepiej schować to na widoku? W miejscu, gdzie kiedyś na pewno wyrosnie potężna siła, gotowa tego bronić? Jak choćby imperium. Lub kilka imperiów, mocarstw, których murów nigdy nie zniszczy żaden najeźdźca. Których władcy docenią talenty uzdrowicielek i będą wielbić ich moc, ale nigdy nawet nie pomyślą, że nadejdą czasy, kiedy ich magia będzie mogła zostać wykorzystana w inny sposób. Jako broń.

– My nie zabijamy.

– Nie – rzekł Chaol. Czuł, jak jego krew zamienia się w lód. – Ale ty i wszystkie inne uzdrowicielki... Istnieje tylko jedno podobne miejsce na świecie, strzeżone przez mocarstwo równie potężne jak władztwo kagana.

– Masz na myśli Doranelle i uzdrowicieli Fae? – spytała Yrene.

Imperium strzeżone przez Maeve. Tę samą królową, która walczyła przeciwko Valgom w pierwszej wojnie.

– Jeśli tak, to co to wszystko ma oznaczać? – szepnęła Yrene.

Chaol miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod stóp.

– Zostałem tu wysłany, by zebrać armię. Ale zastanawiam się... Zastanawiam się, czy jakaś inna siła nie przysłała mnie tu, bym zdobył coś jeszcze.

Yrene wsunęła dłonie w jego ręce i spojrzała na niego. W jej oczach błysnęła niema obietnica, o której miał pomyśleć kiedy indziej.

– Być może dlatego owa istota, która nawiedza Torre, poluje na mnie – szepnęła. – Jeśli ona rzeczywiście została przysłana przez Morath... Oni nie chcą, byśmy zdali sobie z tego wszystkiego sprawę, a przecież leżąc cię, dowiedziałam się wielu rzeczy. – Zacisnęła dłonie na jego palcach. – A te zwoje w bibliotece... Zostały stąd zabrane bądź przyniesione, po czym o nich zapomniano. Pozostała tylko legenda, mówiąca o tym, skąd się wywodzą. Skąd być może pochodzą wszystkie uzdrowicielki w tej krainie.

I nie chodziło tu bynajmniej o nekropolię, ale o Fae, którzy ją zbudowali.

– Zwoje! – westchnęła Yrene. – Jeśli wrócimy i znajdziemy kogoś, kto... kto je przetłumaczy...

– Wówczas być może wszystko zrozumiemy. Dowiemy się, co uzdrowicielki mogą zdziałać przeciwko Valgom.

Yrene przełknęła ślinę.

– Hafiza – powiedziała. – Ciekawe, czy może skądś wie, co zawierają owe zwoje. Wszak Najwyższa Uzdrowicielka jest nie tylko najważniejszą spośród nas, ale również najmądrzejszą. Hafiza to chodząca biblioteka i nosi w sobie wiedzę, którą przekazała jej poprzedniczka. Wie o rzeczach, których nie poznał nikt inny w Torre. – Owinęła lok wokół palca. – Chyba warto pokazać jej niektóre z tych tekstów. Ciekawa jestem, czy będzie wiedzieć, co one oznaczają.

Podzielenie się tymi informacjami pociągało za sobą ryzyko, ale oboje byli gotowi je podjąć.

Chaol pokiwał głową.

Czyjś śmiech przebił się przez ciężką ciszę, wiszącą nad nekropolią Fae. Yrene puściła jego rękę.

– Musimy się uśmiechać i dobrze się bawić, bo wzbudzimy podejrzenia. A o brzasku wyjedziemy z powrotem do Antiki.

– A ja od razu pošlę Nesryn wiadomość, by wracała. Nie ma już chyba sensu czekać na pomoc kagana.

– Tak czy owak spróbujemy raz jeszcze go przekonać – obiecała Yrene.

Chaol przechylił głowę.

– Ty nadal musisz wygrać tę wojnę – powiedziała cicho uzdrowicielka. – Bez względu na to, jaką rolę ja i mnie podobne mamy w niej do odegrania.

Musnął kciukiem jej policzek.  
– Nie mam zamiaru jej przegrać.  
\*\*\*

Po odkryciu, którego dokonali, trudno było udawać, że nic się nie wydarzyło. Że nie natrafili na coś, co wstrząsnęło nimi do głębi.

Hasar wkrótce znudziła się kąpielą i zażyczyła sobie muzyki, tańców oraz przekąsek. Świętowanie wkrótce przerodziło się w długie godziny wylegiwania się w cieniu, słuchania muzykantów i zajadania frykasów, które znalazły się w oazie w tajemniczy sposób. Yrene nie miała pojęcia, jak je tu dowieziono.

Po zapadnięciu zmroku uczestnicy wyprawy rozeszli się do namiotów, by przebrać się do kolacji. Po tym, czego Yrene dowiedziała się wraz z Chaolem, bała się zostać sama nawet przez chwilę, ale opanowała lęk, umyła się i przebrała w przejrzystą, fioletową szatę, którą otrzymała od Hasar.

Chaol czekał przed namiotem.

Hasar przygotowała dla niego wspaniały, ciemnoniebieski strój, który podkreślał złoty poblask jego brązowych oczu i piękną, letnią opaleniznę.

Yrene zarumieniła się, gdy omiótł wzrokiem jej dekolt i skrawki ciała, które powiewające fałdy sukni odsłaniały na wysokości talii i ud. W materiał wszyto liczne perły, srebrne i białe, przez co szata mieniła się niczym gwiazdy, budzące się na nocnym niebie nad ich głowami.

Wokół stawu płonęły już pochodnie i latarnie, pojawiły się też stoły, kanapy oraz wielkie poduszki. Grała muzyka, a uczestnicy przyjęcia raczyli się już przygotowanymi specjałami. Prym wiodła siedząca przy centralnym stole Hasar, która z wdziękiem i majestatem godnym królowej podejmowała innych rozmową.

Natychmiast zauważyła Yrene i przywołała ją do siebie gestem. Chaola również.

Dwa krzesła po jej prawicy były puste. Yrene mogłaby przysiąc, że idący obok niej mężczyzna otaksował całą oazę baczным spojrzeniem, jakby wszędzie spodziewał się zagrożeń. Potem musnął dłonią jej odsłonięte plecy, jakby chciał ją przekonać, że wszystko jest w porządku.

– Nie sądzisz chyba, że zapomniałam o moim honorowym gościu, co? – powiedziała Hasar i ucałowała Yrene w oba policzki.

Chaol uklonił się przed księżniczką najniżej jak umiał i zajął miejsce obok swej towarzyszki. Laskę oparł o stół.

– To był wspaniały dzień – powiedziała szczerze Yrene. – Dziękuję ci.

Hasar milczała przez chwilę, przyglądając się uzdrowicielce z rzadką u siebie tkliwością.

– Wiem, że nie jestem łatwą osobą w obyciu – powiedziała, spojrzawszy w końcu dziewczynie w oczy. – Przyjaźń ze mną również stanowi wyzwanie. Niemniej nigdy nie dałaś mi tego do zrozumienia.

Yrene poczuła ucisk w gardle, słysząc tak nieoczekiwane słowa. Hasar pochyliła głowę, szerokim gestem wskazując bawiących się towarzyszy.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić, by wyrazić mą wdzięczność, przyjaciółko.

Renia pogładziła Hasar po ramieniu, jakby chciała jej przekazać, że rozumie ją i docenia jej gest. Yrene ukloniła się lekko i powiedziała do księżniczki:

– Nie interesują mnie łatwe przyjaźnie ani ludzie, których łatwo zrozumieć. Wydaje mi się, że ufam im mniej niż tym, których uważam za trudnych, a do tego wydają mi się o wiele mniej pociągający.

Jej słowa wywołały uśmiech na twarzy Hasar. Pochyliła się, by spojrzeć na Chaola, i oznajmiła przeciągłym głosem:

– Bardzo przystojnie się dziś prezentujesz, lordzie Westfall.

– A ty jesteś piękna, księżniczko.

Nawet wspaniale ubrana i umalowana, Hasar nadal nie mogła uchodzić za piękność, ale przyjęła komplement z kocim uśmiechem, który przypomniał Yrene ową nieznaną, spotkaną w Innish. Błysnęło w nim bowiem przekonanie, że uroda jest ulotna, ale władza... Tak, władza była o wiele potężniejszą walutą.

Przyjęcie rozwijało się w najlepsze i Yrene musiała spełnić toast, który Hasar wzniosła ku czci swej drogiej, lojalnej i mądrej przyjaciółki. Miała wrażenie, że nie był do końca szczery, ale wypila trunek do dna. Chaol również. Wino, miód i piwo lało się dookoła, a służący uzupełniali zawartość kieliszków, nim Yrene zdołała ich w ogóle zauważyć.

Rozmowa o wojnie rozpoczęła się jakieś pół godziny później.

Zaczął ją Arghun, który wznosił szyderyczy toast za bezpieczeństwo i spokój w tak niebezpiecznych czasach.

Yrene upiła łyk. Zerknęła przy tym na Chaola i z trudem ukryła zaskoczenie, widząc, iż ten czyni to samo co ona z dziwnym uśmiezkim przyklejonym do twarzy.

Potem Hasar zaczęła głośno się zastanawiać, czy Zachodnie Pustkowia również stanowią interesujący kasek dla obu stron konfliktu, skoro wszyscy są tak zaintrygowani wschodnią częścią kontynentu. Chaol jedynie wzruszył ramionami, jakby i on doszedł do jakichś wniosków tego popołudnia, zwłaszcza dotyczących potencjalnego udziału w wojnie miejscowej rodziny rządzącej.

Hasar najwyraźniej też o tym pomyślała i choć brali właśnie udział w przyjęciu urodzinowym, rozpoczęła kolejny wywód, nie kierując swych słów do nikogo z obecnych:

– Wydaje mi się, że być może Aelin Galathynius powinna przywlec swój szacowny tyłek tutaj i wybrać sobie któregoś z moich braci na męża. Może wówczas zastanowilibyśmy się, czy jej pomoc, gdyż jej szczególne oddziaływanie pozostałoby w rodzinie.

Miała na myśli ognistą, niszczycielską moc Aelin, która stałaby się również i ich dziedzictwem. Dzięki więzom krwi zostałaby związana z Południowym Kontynentem, a przez to przestałaby być zagrożeniem.

– Oczywiście wybrany przez nią brat musiałby się jakoś nauczyć żyć z kimś takim jak ona – ciągnęła Hasar – ale to nie są mężczyźni tak słabi i potulni, jak mogłoby się wydawać.

Zerknęła przy tym na Kashina, który udawał, że nie słyszy, choć Arghun parsknął. Yrene zastanawiała się, czy inne dzieci kagana wiedzą, jak dobry jest Kashin w ignorowaniu ich drwin. Nigdy nie dawał się wciągnąć w podobne wymiany zdań, gdyż w ogóle się nimi nie przejmował.

– Przyznam, że z ochotą przyglądałbym się temu, jak Aelin radzi sobie z wami – odpowiedział Chaol księżniczce łagodnym głosem, choć na jego twarzy pojawił się tajemniczy, znaczący uśmiech, jakby przeczuwał, że byłoby to doprawdy ciekawe widowisko. Jakby wiedział, że Aelin urządziłaby sobie z nimi ostrą zabawę. – Ale małżeństwo to opcja, której nie bierze pod uwagę – dodał.

Hasar uniosła brew.

– Nie interesują jej mężczyźni?

Renia obrzuciła ją ostrym spojrzeniem, które Hasar zignorowała.

Chaol roześmiał się.

– Nie interesuje jej nikt poza jej ukochanym.

– Czyli król Dorian. – Arghun obrócił kielichem z winem. – Jestem zaskoczony, że jego potrafi znieść.

Chaol zeszywniał, ale pokręcił głową.

– Nie. Chodzi o innego księcia, również zamorskiego i obdarzonego wielką potęgą.

Wszyscy obecni zamilkli. Nawet Kashin spojrział ku nim.

– A zdradzisz nam sekret, kto to jest? – Hasar upiła łyk wina, choć jej bystre oczy pociemniały.

– To książę Rowan Biały Cierń z Doranelle. Były dowódca wojsk królowej Maeve i członek jej dworu.

Yrene mogłaby poprzysiąc, że z twarzy Arghuna odpłynęła krew.

– Aelin Galathynius ma wyjść za Rowana Białego Ciernia?

Sam sposób, w jaki wypowiedział to imię, świadczył, że o nim słyszał. Chaol wspomniał o nim parokrotnie. Powiedział, na przykład, że ów Rowan zdołał zaleczyć znaczną część obrażeń jego kręgosłupa. Książę Fae. I ukochany Aelin.

– Są *carranam*. – Chaol wzruszył ramionami. – Ponadto złożył jej przysięgę krwi.

– Nie, on złożył przysięgę Maeve! – sprzeciwił się Arghun.

Chaol rozsiadł się wygodniej.

– To prawda. Ale Aelin zmusiła Maeve, by go z niej zwolniła. Patrząc jej prosto w oczy.

Arghun i Hasar spojrzeli po sobie.

– W jaki sposób? – spytał księżę.

Chaol uśmiechnął się lekko.

– W ten sam, w jaki Aelin osiąga każdy swój cel – rzekł i unióś lekko brwi. – Otoczyła miasto Maeve ogniem. Gdy zaś ta powiedziała jej, że Doranelle zostało zbudowane z kamienia, Aelin odparła, że jej poddani wcale nie.

Po plecach Yrene spłynął zimny dreszcz.

– A więc to sadystka i szalona kobieta – parsknęła Hasar.

– Doprawdy? A znasz jeszcze kogoś, kto byłby w stanie stawić czoła Maeve i wyjść z tego starcia cało, a przy tym otrzymać to, czego chce?

– Byłaby gotowa zniszczyć całe miasto dla jednego człowieka! – warknęła Hasar.

– Dla najpotężniejszego Fae czystej krwi na świecie – odparł po prostu Chaol. – Którego każdy ród powitałby z radością. Tym ważniejszego dla Aelin, że pokochała go z wzajemnością.

Mówił spokojnym głosem, ale uciekał spojrzeniem, a w ostatnich słowach pojawiło się napięcie.

Arghun zastanowił się nad tym, co powiedział Chaol.

– Skoro połączyła ich miłość, stoją w obliczu wielkiego zagrożenia. Przecież ich wrogowie mogą dopaść Rowana, by ją ukarać – rzekł i uśmiechnął się, jakby już to planował. Zesztywniał jednak, gdy usłyszał parsknięcie Chaola.

– Życzę powodzenia każdemu, kto będzie próbował dopaść Rowana Białego Ciernia.

– Bo Aelin spali go na popiół? – spytała Hasar głosem, w którym słodycz mieszała się z jadem.

– Bo z takiego starcia jedynie Rowan wyjdzie żywym. – Do rozmowy wmieszał się Kashin. – Żaden zamachowiec nie ma z nim szans.

Nastąpiła chwila ciszy, po której odezwała się Hasar:

– Cóż, skoro Aelin nie jest w stanie reprezentować własnego kontynentu, może powinniśmy poszukać gdzieś indziej. – Uśmiechnęła się przy tych słowach do Kashina i dodała: – Może więc Yrene Towers mogłaby zająć miejsce królowej?

– Nie mam szlacheckiego pochodzenia! – wypaliła Yrene.

„Hasar oszalała do szczytu” – pomyślała.

Księżniczka wzruszyła ramionami.

– Jestem przekonana, że lord Westfall jako Królewski Namiestnik jest w stanie znaleźć dla ciebie odpowiedni tytuł. Wyniesie cię do godności hrabiny, księżnej czy jak tam ich nazywacie. My oczywiście będziemy doskonale wiedzieć, że jesteś niewiele więcej niż zwykłą dojarką, strojną w klejnoty, ale jeśli pozostanie to między nami... Jestem przekonana, że wielu ludziom nie będzie przeszkadzać twe skromne pochodzenie.

Przecież tak samo postąpiła z Renią.

Chaol spoważniał.

– Nagle mówisz tak, jakbyś chciała się wmieszać w tę wojnę, księżniczko.

Ta machnęła dłonią z lekceważeniem.

– Ja tylko rozważam opcje.

Przyjrzała się uważnie Yrene i Kashinowi. Niespodziewanie jedzenie w żołądku uzdrowicielki stało się ciężkie jak ołów.

– Zawsze uważałam, że doczekalibyście się wspaniałych dzieci.

– Gdyby wasz przyszły kagan pozwolił im żyć.

– To niewielki problem, którym można zająć się później.

Kashin pochylił się i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Wino uderzyło ci do głowy, siostró.

Hasar wyróciła oczami.

– A co jest złego w takich rozważaniach? Yrene jest nieoficjalną kandydatką do przejęcia roli

Najwyższej Uzdrawicielki, a to wiąże się z wielkim znaczeniem. Gdyby więc lord Westfall znalazł dla niej jakiś arystokratyczny rodowód lub wymyślił historię o jej niedawno odkrytym pokrewieństwie z rodem królewskim, Yrene mogłaby bez problemu wyjść za ciebie, Ka...

– Nie ma mowy – odezwał się Chaol bez emocji, ale dobitnie.

Na twarzy księcia pojawił się rumieniec.

– A dlaczego tak twierdzisz, lordzie Westfall?

Chaol wytrzymał jego wzrok.

– Ona nie wyjdzie za ciebie.

– Myślę, że nasza Yrene może mówić sama za siebie. – Hasar się uśmiechnęła.

Yrene miała ochotę przewrócić się wraz z krzesłem do wody, opaść na samo dno i pozostać tam po wsze czasy. Wszystko było lepsze od patrzenia na księcia czekającego na odpowiedź, księżniczkę uśmiechniętą niczym demon i lorda z zaciętą twarzą.

Niemniej gdyby słowa Hasar potraktować poważnie, jeśli kryła się za nimi decyzja, jeśli jej zgoda oznaczała zaangażowanie w wojnę całej potęgi militarnej Południowego Kontynentu... Jeśli jej zgoda oznaczała pomoc i ratunek...

– Nawet nie bierz tego pod rozwagę – powiedział Chaol. – Ona bredzi, jakby się szaleju najadła.

Dookoła rozległy się okrzyki oburzenia i niedowierzania. Hasar parsknęła śmiechem.

– Masz się odnosić do mojej siostry z szacunkiem! – warknął Arghun. – Chyba, że chcesz się znów pożegnać z nogami!

Chaol zignorował ich oboje. Dłonie Yrene trzęsły się tak bardzo, że schowała je pod stołem.

Czy księżniczka sprowadziła ją tu po to, by wymusić na niej zgodę na swą niedorzeczną propozycję czy po prostu miała ochotę podroczyć się trochę z lordem Westfallem?

Chaol najwyraźniej chciał znów się odezwać, by wybić jej ów idiotyczny pomysł z głowy, ale naraz się zawahał.

„Bynajmniej nie dlatego, że się zgodził – uświadomiła sobie Yrene. – Chce mi po prostu dać swobodę, bym sama podjęła decyzję”.

Był wszak człowiekiem przyzwyczajonym do wydawania rozkazów. Przywykł, że go słuchano, ale Yrene miała wrażenie, że emocje, które pojawiły się między nimi, są dla niego również czymś nowym. Emocje, takie jak cierpliwość czy zaufanie.

A ona mu ufała. Wierzyła, że dokona tego, czego dokonać pragnie. Że znajdzie sposób, by przetrwać tę wojnę, bez względu na to, z jaką armią powróci. Jeśli nie znajdzie sojuszników tu, popłynie gdzieś indziej.

Spojrzała na Hasar, Kashina i resztę zebranych, którzy uśmiechali się krzywo lub wymieniali zniesmaczone spojrzenia. Na Arghuna, który wydawał się zdegustowany myślą o kalaniu swego rodu podobnymi związkami.

Ufała Chaolowi.

Potomkom kagana zaś nie.

Uśmiechnęła się najpierw do Hasar, a potem do Kashina.

– To bardzo poważne rozmowy jak na zwykłe przyjęcie urodzinowe. Dlaczego miałabym się dziś decydować na jednego mężczyznę, skoro w towarzystwie mamy tylu innych przystojniaków?

Była pewna, że Chaol aż zadrżał z ulgi.

– Och, w rzeczy samej! – zagruchała Hasar, choć jej uśmiech stał się ostrzejszy. Yrene dojrzała w nim niewidzialne kły i opanowała odruch wzdrygnięcia się. – Trudno o coś bardziej odpychającego od zrękowin. Pomyślcie tylko o tej biednej Duvie, która utknęła z tym swoim wiecznie zamyślonym książątkiem o smutnych oczach!

I rozmowa potoczyła się dalej. Yrene nawet nie spojrzała na Kashina czy pozostałych. Wpatrywała się jedynie w swój kielich, który opróżniała, gdy tylko dolano jej wina.

I na Chaola, który wyglądał, jakby miał ochotę wyciągnąć ramię i zepchnąć krzesło Hasar do wody razem z samą księżniczką. Wieczera jednakże powoli dobiegała końca, a Yrene wciąż piła. Z tego, ile w siebie wlała, zdała sobie sprawę dopiero w chwili, gdy podniosła się z krzesła po deserze.

Świat chwiał się i kołysał, ale na szczęście Chaol złapał ją w porę za łokieć, chociaż sam miał problemy z równowagą.

– Wygląda na to, że na północy ludzie nie potrafią nawet pić. – Arghun się skrzywił.

– Przyjmij moją radę i nigdy nie mów tego nikomu z Terrasenu – zachichotał Chaol.

– Bo czy można robić coś innego poza piciem w kraju, w którym nie ma nic poza śniegiem i owcami? – wycedził Arghun, rozparty na krześle.

– Może i racja. – Chaol ułożył dłoń na plecach Yrene, by poprowadzić ją ku namiotom. – Ale pomimo to zarówno Aelin Galathynius, jak i Aedion Ashryver spiliby cię tak, że spadłbyś pod stół.

– A macie tam stoły? – zaćwierkała Hasar do Chaola.

Być może było temu winne wino. Być może upał, dłoń, która wspierała się o jej plecy bądź fakt, że mężczyzna obok niej walczył przez całe swoje życie i ani razu na to nie narzekał.

Yrene doskoczyła do księżniczki.

Chaolowi zapewne przyszło to do głowy, ale uznał, że to zły pomysł. Yrene jednakże takich skrupułów nie miała. Złośliwy uśmiech Hasar znikł niespodziewanie, gdy księżniczka, wymachując nogami, poleciała wraz z krzesłem do wody. Jej wrzask poniósł się nad wydmami.

Yrene zrozumiała, że jest już po niej.

Zrozumiała, że nie żyje w chwili, gdy Hasar wpadła do ciemnej wody, a wszyscy dookoła zerwali się na równe nogi, krzycząc i wyciągając broń. Chaol błyskawicznie zasłonił Yrene swoim ciałem, wyciągając do połowy miecz z pochwy ruchem tak szybkim, że nawet go nie spostrzegła.

Staw nie był głęboki i Hasar szybko się podniosła, przemoczona do suchej nitki, kipiąca nienawiścią. Odrzuciła mokre włosy i obnażając zęby, wskazała dłonią uzdrowicielkę.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

Księżniczka wstała, wciąż wskazując Yrene. Chwila przeciągała się, a uzdrowicielka przygotowywała się w duchu na wyrok śmierci.

„Zabiją mnie – pomyślała. – A potem Chaola, który będzie próbował mnie ratować”.

Czuła, jak taksuje wzrokiem straż, książęta, wezyrów. Każdego, kto może stanąć im na drodze do koni. Każdego, kto może sięgnąć po broń.

Wtedy za plecami Yrene ktoś gwałtownie wciągnął powietrze. Odwróciła się i ujrzała Renię, która trzymała się jedną ręką za brzuch, a drugą za usta, wpatrzona w ukochaną. Hasar zwróciła się ku niej, ale Renia nie mogła już dłużej wytrzymać. Wskazała Hasar palcem i ryknęła śmiechem. Śmiała się tak, że po policzkach płynęły jej łzy.

Chwilę później dołączył do niej Kashin.

Yrene i Chaol nie ośmielili się nawet drgnąć.

Hasar odepchnęła służącego, który wskoczył do wody, by jej pomóc, i wypelzła na brukowany brzeg, po czym spojrzała na Yrene. W jej oczach wrzała cała potęga kaganatu.

Znów zapadła cisza, aż księżniczka parsknęła:

– Zastanawiałam się czasami, kiedy ty wreszcie wyhodujesz w sobie jakiś pazur.

Odeszła, wlekąc za sobą mokre szaty. Renia znów się roześmiała.

Uzdrowicielka pochwyciła spojrzenie Chaola. Widziała, jak powoli rozluźnia dłoń zaciśniętą na mieczu, jego źrenice na powrót się skurczyły. Uświadomił sobie, że jednak nie zginą tej nocy.

– A więc – powiedziała cicho Yrene – czas się położyć spać.

Renia opanowała wesołość i rzekła:

– Na twoim miejscu znikłabym stąd przed jej powrotem.

Yrene pokiwała głową i poprowadziła Chaola za rękę ku drzewom, ciemności i pochodniom. Nie przestawała myśleć o śmiechu Reni i Kashina. Czy była to prawdziwa wesołość czy też może dar? Prezent urodzinowy, który ocalił ją przed stryczkiem, od dwóch osób, które wiedziały, jak niebezpieczne mogą być humory Hasar.

Yrene uznała, że nigdy nie dostała lepszego prezentu na urodziny.

\*\*\*

Chaol wiedział, że właściwie powinien ją zrugać. Powinien na nią nakrzyczeć za zupełnie niepotrzebne ryzyko, które mogłoby zakończyć się jej śmiercią. Kilka miesięcy temu nawet by się nie zawahał. Ha, nie przestawał o tym myśleć!

Wślizgnęli się do ogromnego namiotu, a on nadal próbował ukoić instynkty, które zawładnęły nim bez reszty w chwili, gdy strażnicy sięgnęli po broń. W głębi duszy czuł głęboką wdzięczność, że nie było wśród nich nikogo, z kim by ostatnio trenował. Że nie musiałby się mierzyć z kolejnym bolesnym dylematem.

Ale widział przerażenie w oczach Yrene w chwili, gdy ta uświadomiła sobie, co się zaraz wydarzy. Co by się z pewnością wydarzyło, gdyby kochanka księżniczki oraz jej brat w porę nie zainterweniowali, by rozładować napięcie.

Chaol wiedział, że Yrene zrobiła to dla niego.

Pomściła złośliwe, drwiące słowa księżniczki.

A gdy patrzył na uzdrowicielkę, jak idzie pośrodku namiotu, lawirując między kanapami, stołami i poduszkami, zrozumiał, że ona doskonale zdaje sobie ze wszystkiego sprawę.

Przysiadł na miękkim oparciu fotela, opierając łaskę obok siebie, i czekał.

Yrene odwróciła się ku niemu. Wyglądała oszałamiająco w owej fioletowej sukni, która niemalże odebrała mu dech, gdy po raz pierwszy wyłoniła się w niej z namiotu. Idealnie na niej leżała, to prawda, ale nie było to jedynym powodem. Suknia odsłaniała partie jej ciała. Uwydatniała krągłości. Podkreślała kolor skóry.

– Zanim zaczniesz krzyżeć – oznajmiła Yrene – chciałam tylko powiedzieć, że wszystko to, co się tam zdarzyło, jest tylko dowodem na to, że nie powinnam wychodzić za żadnego księcia.

Chaol założył ramiona na piersi.

– Ja spędziłem u boku pewnego księcia większość życia i dlatego mam całkowicie odmienne zdanie.

Yrene machnęła ręką. Chodziła to w jedną, to w drugą stronę.

– Wiem, że to było głupie.

– Niewiarygodnie.

Syknęła, ale nie na niego. Najwyraźniej znów naszło ją wspomnienie tego, co zrobiła, oraz emocji, które nią targały, ale rzekła:

– Nie żałuję.

Na ustach Chaola pojawił się lekki uśmiech.

– Do końca życia tego nie zapomnę – oznajmił.

Widok stóp Hasar, które nagle wystrzeliły ponad jej głowę i jej wrzask, zanim wpadła do wody...

– Naprawdę tak cię to cieszy?

– Och, nie – odparł, choć nie przestał się uśmiechać. – Ale dobrze się bawię, gdy widzę, jak kierujesz swój ognisty temperament na kogoś innego niż ja.

– Ja nie mam ognistego temperamentu.

Chaol uniósł brwi i rzekł:

– Poznałem w życiu kilka osób, które z pewnością takowy mają, i będę utrzymywał, że ty, Yrene Towers, znajdujesz się w absolutnej czołówce.

– Jak Aelin Galathynius.

Przez twarz Chaola przemknął cień.

– Och, nieźle by się dziś ubawiła, patrząc, jak Hasar wlatuje do stawu.

– Czy ona naprawdę chce poślubić tego księcia Fae.

– Może. Przypuszczalnie tak.

– A ty... Przeszkadza ci to?

Zadała to pytanie na pozór swobodnym tonem, a na jej twarzy malowały się spokój i ciekawość, klasyczne cechy każdej uzdrowicielki.

– Aelin była kiedyś dla mnie ważna. – Chaol ostrożnie dobierał słowa. – I nadal jest, choć w inny sposób. Przez długi czas... Miałem bowiem pewne plany i marzenia na przyszłość, ale musiałem z nich zrezygnować. Cóż, nie było to łatwe, tym bardziej że te marzenia miały związek z nią.

Yrene przechyliła głowę. Światło latarni odbijało się w jej miękkich lokach.

– Dlaczego?

– Bo gdy poznałem Aelin i się w niej zakochałem, nie była... Cóż, miała wówczas inne imię. Inne imię oraz inną tożsamość. To, co nas połączyło, rozpadło się, zanim poznałem prawdę o niej, ale mam wrażenie, że domyślałem się wielu spraw. Uświadomiłem to sobie, gdy dowiedziałem się, że tak naprawdę nazywa się Aelin. Wiedziałem, że nie będę w stanie wybrać między nią a Dorianem...

– Nigdy nie opuściłbyś przecież Adarlanu. Ani jego.

Chaol bawił się łaską. Muskał palcami jej gładkie drewno.

– Myślę, że ona też to wiedziała. Że zrozumiała to na długo przede mną. I odeszła. To długa historia, ale... W każdym razie udała się sama do Wendlyn. Tam poznała Rowana. Nasz związek tak naprawdę nigdy się nie zakończył, a więc czekała. Z szacunku dla mnie. Oboje czekali. A gdy wróciła



do Rifthold, wszystko dobiegło końca. Wiesz, wszystko między nami. Oficjalnie. I mało przyjemnie. Kiepsko to rozegrałem, ona zresztą też i... Cóż, jakoś się pogodziliśmy przed naszym rozstaniem kilka miesięcy temu. Wyjechali we dwoje, tak jak należało. Oni są... Cóż, kiedy ich poznasz, wszystko pojmiesz. Aelin, podobnie jak Hasar, nie ma łatwego charakteru i trudno ją zrozumieć. Poza tym wszyscy się jej boją. – Chaol parsknął. – Wszyscy, ale nie on. To chyba dlatego się w nim zakochała, choć nie miała takiego zamiaru. Rowan ujrzał w Aelin wszystko to, czym jest i czym kiedyś była, i nie poczuł lęku.

Yrene milczała przez moment.

– A ty się bałeś?

– To był... To był dla mnie trudny czas. Mój świat leżał w gruzach. Cały mój świat. A ona... Wydaje mi się, że ona wzięła znaczną część winy na siebie. Zaczęła postrzegać siebie jako potwora.

– A jest nim?

– To już chyba zależy od tego, kto opowiada historię. – Chaol wpatrywał się w skomplikowany wzór, utkany na czerwono-zielonym dywanie pod jego butami. – Moim zdaniem nie. Osobiście nie oddałbym tej wojny w ręce nikogo innego. Tylko jej ufam. Tylko Aelin jest w stanie rzucić wyzwanie Morath i wyjść z tego zwycięsko. Nawet Dorian by temu nie podołał. Jeśli istnieje jakiś sposób na osiągnięcie zwycięstwa, Aelin go znajdzie. Koszty być może będą wysokie, ale dopnie swego. – Pokręcił głową. – Przecież to twoje urodziny. Chyba powinniśmy rozmawiać o miłszych rzeczach.

Yrene nie uśmiechnęła się.

– Ale czekałeś na nią długo, prawda? Choć wiedziałeś, czym... kim naprawdę była.

Chaol nigdy nie przyznał tego nawet przed sobą. Poczul ucisk w gardle.

– Tak.

Teraz to Yrene przeniosła wzrok na tkany dywan.

– Ale... ale nie kochasz jej już, co?

– Nie – odparł ze świadomością, że nigdy w życiu nie powiedział niczego bardziej szczerze. Po chwili dodał cicho: – Nesryn też nie.

Słyszac to, uzdrowicielka uniosła brwi, ale mężczyzna zacisnął dłoń na lasce i podniósł się z cichym stęknieniem. Powoli ruszył ku niej. Yrene zaś podświadomie śledziła każdy jego krok, ruchy nóg, bioder, dłoń zaciśniętą na lasce. Ani przez moment nie zapomniała o swej profesji.

Zatrzymał się krok przed nią i wyciągnął z kieszeni małe zawiniątko, po czym bez słowa podał je dziewczynie. Był to czarny aksamit, pofałdowany niczym wydmy.

– Co to takiego?

Nie cofał ręki.

– Nie mieli pudełka, które by mi się spodobało, więc zawinałem go w materiał...

Yrene drżącymi rękami ujęła zawiniątko, które mężczyzna nosił przy sobie przez cały dzień, i ostrożnie je rozwinęła. Srebrny medalion zamigotał w blasku latarni, gdy uzdrowicielka uniosła go wyżej, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie mogę tego przyjąć!

– Może jednak się zastanów – powiedział Chaol, po czym ujął medalion i ułożył go jej na dłoni. – Kazałem wygrawerować na nim twe inicjały.

Dziewczyna już je zauważyła. Muskała palcem piękne, ozdobne litery, dzieło jubilera w Antice, a potem go odwróciła i...

Przytknęła dłoń do szyi, zasłaniając bliznę.

– Góry. I morza – szepnęła.

– Abyś nigdy nie zapomniała, że z mozołem pokonałaś i jedno, i drugie. Że dotarłaś tu tylko i wyłącznie dzięki sobie.

Zaśmiała się cicho, z czystą radością. Chaol miał wrażenie, że usłyszał jeszcze coś, ale nie chciał tego nazywać.

– Kupiłem go – wyjaśnił zamiast tego – po to, byś mogła w nim umieścić ową rzecz, którą zawsze trzymasz w kieszeni sukni. Byś nie musiała jej przekładać podczas przebierania się i zawsze miała ją ze

sobą. Obojętne, co to jest.

W jej oczach błysnęło zaskoczenie.

– Zauważyłeś?

– Cóż, nie wiem, co to jest, ale widzę, że przez cały czas coś przy sobie nosisz.

Doszedł do wniosku, że to mały przedmiot i dobrał medalion pod tym kątem. Nigdy nie widział w jej kieszeni wybruszenia czy obciążenia, co wskazywałoby na wagę tajemniczego przedmiotu. Przyglądał się natomiast innym rzeczom, które wsuwała do kieszeni podczas sesji uzdrowicielskich – fiołki, papiery i tak dalej – dzięki czemu uznał, że musi to być coś płaskiego i cienkiego. Może kosmyk włosów albo drobny kamyczek...

– To doprawdy nic w porównaniu z przyjęciem na pustyni...

– Nie dostałam niczego, odkąd ukończyłam jedenaście lat – przerwała mu.

„Od śmierci matki”.

– Znaczący się, nie dostałam prezentu urodzinowego – uściśliła. – Ja...

Zarzuciła srebrny łańcuszek na głowę, a ten na moment znikł wśród jej niesfornych, połyskliwych loków. Chaol patrzył, jak unosi swe gęste włosy i przerzuca je nad łańcuszkiem, a rozkołysany medalion nieruchomieje nad jej dekoltem, lśniąc srebrem na tle miodowobrązowej skóry. Poczul ucisk w piersi, gdy uzdrowicielka uniosła głowę i ujrzał błysk łez w jej oczach.

– Dziękuję ci – powiedziała cicho.

Wzruszył jedynie ramionami, nie będąc w stanie odpowiedzieć w żaden sposób. Zebrał się w sobie, gdy Yrene podeszła bliżej i ujęła dłońmi jego twarz. Wbiła wzrok w jego oczy.

– Cieszę się – szepnęła – że nie kochasz tej królowej. Ani Nesryn.

Dudnienie jego serca rozbrzmiewało w całym ciele.

Yrene stanęła na palcach i złożyła na jego ustach pocałunek lekki niczym pieszczota. Ani na moment nie odrywała spojrzenia od jego oczu, a on wyczytał w nim niewypowiedziane słowa. Zastanawiał się, czy i ona czyta to, czego nie powiedział na głos.

– Nigdy tego nie zapomnę – rzekła, a Chaol wiedział, że nie mówiła o prezencie.

Tym bardziej że w chwilę później jedna z jej dłoni opadła na jego rozszalałe serce.

– Bez względu na to, co się stanie z całym światem.

Kolejny pocałunek lekki jak piórko.

– Bez względu na to, ile oceanów, gór czy lasów stanie na drodze.

Chaol czuł, jak puszczają ostatnie zahamowania. Laska upadła na podłogę, a jego dłoń znalazła się na jej talii. Kciuk muskał skrawek odsłoniętej skóry. Druga dłoń zanurzyła się w jej bujnych włosach i odchyliła głowę, by mógł spojrzeć w jej brązowo-złote oczy i skrzące w nich emocje.

– Ja też się cieszę, że ich nie kocham, Yrene Towers – szepnął w jej usta.

Ich wargi się spotkały. Yrene otworzyła się przed nim, a jej ciepło i zetknięcie z jedwabistą skórą sprawiły, że w gardle Chaola narósł niski pomruk.

Dłonie dziewczyny wpiły się w jego włosy, ramiona, klatkę piersiową i szyję. Były wszędzie, jakby nie mogła się nim nasycić. Jej palce, niczym szpony szukające oparcia, wbijały się w jego ubranie. Chaol, odurzony dotykiem Yrene, wsunął język do jej ust, a wtedy napała na niego.

Cofał się, prowadząc ich ku łóżku. Białe prześcieradła niemalże jaśniały w blasku latarń. Potykał się i zataczał, ale nie dbał o to, gdyż suknia Yrene zdawała się teraz utkana z pajęczyn i mgły. Gdyż ich usta nie rozdzielały się ani na moment.

Yrene natrafiła nogami na skraj materaca. Oderwała usta tylko po to, by zaprotestować:

– Twoje plecy...

– Dam radę.

Znów wpił się w jej wargi. Jej pocałunek rozrywał go na strzępy i docierał do głębi jego duszy.

Była jego. Jego. Nigdy dotąd nie natrafił na nic, co mógłby nazwać tym słowem. Nigdy nie natknął się na nic, co chciałby tak nazwać.

Nie zamierzał przerywać pocałunku choćby po to, by zapytać, czy ona również uważa go za swą własność. By wyjaśnić, że sam już znalazł odpowiedź na to pytanie. Że być może znał ją od chwili, gdy

weszła do salonu jego pałacowego apartamentu i spojrzała na niego bez cienia współczucia czy smutku.

Naparł lekko na nią, a Yrene pozwoliła mu ułożyć się na łóżku, łagodnie i z czcią, choć łapczywość, z jaką wciągnęła go na siebie, nie miała nic wspólnego z delikatnością. Chaol parsknął lekkim śmiechem, wtulony w jej ciepłą szyję, w skórę łagodniejszą od jedwabiu, a Yrene pochwyciła za jego sprzączki i guziki. Powoli, uważnie ułożył się na niej, a jego twardość zetknęła się z jej miękkością.

Miał wrażenie, że zaraz wyskoczy ze skóry. Yrene oddychała ostro, chrapliwie, szarpiąc go za koszulę, usiłując ją ściągnąć.

– Myślałem, że moich pleców masz już dosyć! – próbował zażartować, ale zakneblowała go pocałunkiem tak miażdżącym, że na moment zapomniał, jak się mówi.

Nie pamiętał swego imienia, tytułu i wszystkich innych rzeczy.

Była tylko ona.

Yrene. Yrene. Yrene.

Jęknęła, gdy przesunął dłonią po jej udzie i odsłonił ciało skryte między fałdami sukni. I gdy obnażył jej drugą nogę. Pojękiwała, gdy skubał zębami jej usta i zataczał palcami kręgi na jej boskich nogach, początkowo z brzegu, a potem coraz bliżej środka...

Nie miała jednak ochoty na to, by się z nią bawił.

Pochwyciła jego męskość, a on aż się wygiął, ulegając jej. Nie chodziło o sam fakt dotyku, lecz o to, że była to dłoń Yrene.

Nie był w stanie myśleć. Pozostał mu smak, dotyk i uległość.

Ale mimo to odnalazł w sobie umiejętność mówienia. Na tyle, by spytać:

– Czy ty kiedykolwiek...

– Tak – wydyszała chrapliwym głosem. – Raz.

Chaol odepchnął od siebie falę ciemności. Zdusił wspomnienie jej blizny na szyi. Zamiast tego ucałował ją. Polizał.

A potem, wtulony w jej skórę, całując jej szczękę, zapytał:

– Czy chcesz...

– Nie przerywaj.

Ale zmusił się, by przestać. Uniósł głowę i spojrzał na jej twarz. Na swe dłonie na smukłych udach uzdrowicielki, na jej dłoń, gładzącą jego męskość.

– Czyli tak?

Oczy Yrene były niczym złociste ognie.

– Tak.

Podniosła głowę i ucałowała go łagodnie. Słodko. Mocno.

– Tak – powtórzyła.

Przeszył go dreszcz, gdy ją usłyszał. Ujął jej udo w miejscu, gdzie łączyło się z biodrem, a Yrene puściła go i nasunęła się na niego. Ich ciała dzieliła jedynie cieniutka, przejrzysta tkanina jej szaty. Pod nią nie było już nic.

Chaol odsunął materiał na bok. Pochylił głowę, chcąc się napatrzeć, a potem dotykać jej ciało, smakować je i odkrywać to, co odbiera Yrene Towers panowanie nad sobą.

– Później – poprosiła go ochryplym głosem. – Później.

Nie mógł odmówić jej niczego. Ściągnął koszulę, potem spodnie, a następnie zerwał z niej suknię i rzucił ją w strzępach na podłogę. Aż Yrene leżała przed nim ubrana jedynie w medalion, a Chaol, obejrawszy jej ciało od stóp do głów, uświadomił sobie, że nie potrafi nabrać tchu.

– Nigdy tego nie zapomnę – szepnął jej do ucha, po czym wszedł w nią, powoli i głęboko. Wzdłuż jego kręgosłupa rozlała się rozkosz.

– Bez względu na to, co się stanie z całym światem.

Yrene całowała go po szyi, ramionach, twarzy.

– Bez względu na to, ile oceanów, gór czy puszczy stanie na drodze.

Patrząc jej w oczy, znieruchomiał, chcąc, by się przyzwyczaiła. By się dopasowała. Sam bowiem również musiał w pełni pojąć to, że oś całego świata właśnie się przesunęła. Wpatrując się w jej skrzące

oczy, zadał sobie w myślach pytanie, czy i ona to czuje.

Wtedy Yrene znowu go pocałowała, co było jednocześnie odpowiedzią, jak i milczącym żądaniem.

Chaol zaczął się poruszać. I zrozumiał, że tu, pośród wydm i gwiazd, w sercu obcego kraju, odnalazł dom.

Wydarzenia tej nocy zniszczyły ją, rozbiły na drobne kawałki, a potem pozwoliły jej się odrodzić.

Leżąc na piersi Chaola kilka godzin później i słuchając bicia jego serca, Yrene nadal nie potrafiła wyrazić słowami tego, do czego doszło między nimi. Nie chodziło jej bynajmniej o ich fizyczne złączenie, a po nim kolejne akty, ale jego bliskość. Świadomość, że go czuje. Że do niego należy.

Nie miała pojęcia, że to tak może wyglądać. Jej jak dotąd jedyny kontakt seksualny, który miał miejsce zeszłej jesieni, był krótki i nie zrobił na niej wielkiego wrażenia, a już na pewno nie skłonił jej do poszukiwania kolejnych takich doznań, ale to... Chaol dołożył wszelkich starań, by odkryła, czym jest przyjemność. I to wielokrotnie. Nim sam jej doznał.

A to, czego za jego sprawą doświadczyła...

Nie chodziło tylko o jego ciało, ale o to, kim był.

Yrene złożyła pocałunek na muskularnej piersi ukochanego i rozkoszowała się dotykiem dłoni, która nadal muskała jej plecy. Wyczuwała w tym geście bezpieczeństwo, radość, spokój. I wiedziała, że bez względu na to, co się stanie, on jej nie opuści.

Potarła głową o jego policzek. Wiedziała, że takie uczucia są niebezpieczne. Wiedziała, co zdradzają jej oczy, gdy Chaol spoglądał na nią. Wiedziała, że bez słowa oddała mu serce. Ale gdy ujrzała ów medalion, który dla niej wyszukał, a potem przygotował z taką starannością...

Jej inicjały zostały pięknie wygrawerowane, ale góry i fale... Imponujące dzieło, które bez wątpienia wyszło spod ręki mistrza jubilerstwa.

– Nie dokonałam tego sama – mruknęła, wtulona w jego skórę.

– Hm?

Yrene musnęła palcami jego wspaniale wyrzeźbiony brzuch, a potem uniosła się na łokciach, by w półmroku spojrzeć na jego twarz. Latarnie już dawno się wypaliły i w obozie zapadła cisza, którą przerywało jedynie bzyczenie chrząszczy między palmami.

– Chodzi mi o podróż tutaj, do Antiki. Góry przebyłam sama, zgadza się, ale morza... Cóż, ktoś mi pomógł.

W oczach Chaola błysnęła czujność.

– Doprawdy?

Yrene uniosła medalion. Między jednym miłosnym porywem a drugim, gdy podniosła się, by przysunąć do łóżka laskę, tak by była w zasięgu jego dłoni, zdołała wsunąć liścik do wnętrza. Pasował idealnie.

– Utknęłam w Innish i nie miałam pojęcia, jak się stamtąd wydostać. Aż pewnej nocy w gospodzie, w której pracowałam, pojawiła się nieznajoma. Była wszystkim tym, czym ja nie byłam. Wszystkim, o czym zapomniałam. Czekala na swój statek. Spędziła w tawernie trzy dni i myślę, że chciała, by miejscowe zbiry ją obrabowały. Miała ogromną ochotę na bójkę, ale trzymała się na uboczu. Jednego wieczoru musiałam zostać dłużej i posprzątać.

Dłoń Chaola znieruchomiała, ale nie powiedział ani słowa.

– Kilku najemników, którzy dokuczali mi wcześniej, odnalazło mnie w ciemnej uliczce.

Chaol całkowicie znieruchomiał.

– Myślę, że... że wiem, czego chcieli.

Odepchnęła emocje. Choć minęło wiele lat, nadal przejmowało ją lodowate przerażenie na wspomnienie tamtej chwili.

– Owa nieznajoma dziewczyna czy kobieta, sama nie wiem, zainterweniowała, zanim udało im się choć spróbować. Uporała się z nimi i tyle. A potem pokazała mi, jak należy się bronić.

Chaol znów zaczął ją gładzić.

– A więc to w ten sposób nauczyłaś się tego, co umiesz.

Yrene musnęła dłonią bliznę na szyi.

– Inni najemnicy, kompani tamtych, powrócili. Jeden z nich przytknął mi nóż do gardła, by ją

zmusić, by opuściła broń. Odmówiła. Wykorzystałam więc sztuczki, które mi pokazała, by go rozbroić i unieszkodliwić. – Mocnym dmuchnięciem rozrzuciła swe włosy. – Dla niej to był test. Wiedziała o tym, że zbliża się druga grupa i uznała, że muszę zdobyć więcej doświadczenia. Nigdy wcześniej nie słyszałam czegoś równie głupiego. – Owa nieznajoma musiała być geniuszem bądź szaleńcem, a najprawdopodobniej jednym i drugim. – Powiedziała mi jednak, że lepiej cierpieć na ulicach Antiki niż w Innish i że jeśli naprawdę chcę tam pojechać, powinnam to zrobić. I że jeśli czegoś pragnę, nie mam się wahać. Powiedziała mi, że powinnam walczyć o me żalosne życie. – Yrene odrzuciła swe mokre od potu włosy z oczu. – Opatrzyłam jej rany, a ona odeszła. Gdy zaś wróciłam do mego pokoju, przekonałam się, że zostawiła mi worek złota. I złotą broszę z rubinem wielkości jajka drozda. Bym mogła opłacić rejs i naukę w Torre.

Chaol zamrugął, zaskoczony.

– Myślę, że ona była boginią – szepnęła Yrene łamiącym się głosem. – Nie wiem, kogo innego byłoby stać na taki gest. Zostało mi trochę złota, ale ta brosza... Nigdy jej nie sprzedałam. Nadal ją mam.

Chaol spojrział na medalion i zmarszczył brwi, jakby uświadomił sobie, że źle ocenił jego rozmiar.

– Ale to nie ją trzymałam w kieszeni – uściśliła Yrene.

Mężczyzna uniósł brwi.

– Tamtego ranka opuściłam Innish. Wzięłam złoto oraz broszę, po czym wsiadłam na statek. A więc góry pokonałam sama, tak, ale Wąskie Morze... – Musnęła palcem fale wygrawerowane na medalionie. – Morze pokonałam dzięki niej. Szkolę kobiety w Torre, gdyż owa nieznajoma kazała mi dzielić się wiedzą z każdą kobietą, która będzie gotowa mnie wysłuchać. Uczę, gdyż mam dzięki temu świadomość, że w jakiś sposób spłacam swój dług wobec niej. – Dotknęła inicjałów na awersie. – Nigdy nie poznałam jej imienia. Pozostawiła mi jedynie krótki liścik: „To na Twoją podróż – obojętnie, dokąd się udasz – i jeszcze trochę. Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki”. To ten list nosiłam dotychczas w kieszeni, a teraz skrywa się tu. – Yrene postukała medalion. – Wiem, że to głupie, ale dodawał mi on odwagi i chyba dalej dodaje.

Chaol odsunął jej włosy z czoła i ucałował je.

– Nie ma w tym nic głupiego. Nie wiem, kim jest ta nieznajoma, ale jestem jej dozgonnie wdzięczny.

– Ja też – szepnęła Yrene, gdy mężczyzna musnął ustami jej twarz. Znów skuliła palce u nóg. – Ja też...

Przełęcz między bliźniaczymi szczytami Dagul była większa, niż na to wyglądała. Ciągnęła się bez końca, a wypełniał ją labirynt ogromnych skał o poszarpanych krawędziach. Nesryn i Sartaq nie mieli odwagi nawet zwolnić.

Drogę czasem zagradzały im pajęczyny, inne wisały nad ich głowami, ale oboje wciąż parli naprzód, szukając jakiegokolwiek ścieżki w górę, skąd Kudara mogłaby ich poderwać ku niebu.

W ciasnym, skalnym labiryncie ruk nie miał szans ich dosięgnąć. Jeśli chcieli ująć z życiem, musieli wspiać się wyżej. Nesryn nie ośmieliła się jeszcze wypuścić Falkana z kieszeni. Jeszcze nie. Nadal mnóstwo rzeczy mogło pójść nie tak i nie chciała dopuścić do tego, by pająki poznały ich ostatni sekret. To byłoby zbyt ryzykowne.

Czuła jednak wielką pokusę, by to zrobić. Ściany skał były gładkie i nie nadawały się do wspinaczki, a Sartaq, znużony wielogodzinną ucieczką, oddychał z trudem. Jego sapanie odbijało się echem.

Nie nadawał się do wspinaczki. Był ledwie w stanie ustać na nogach czy też pochwycić za miecz. Nesryn szła ze strzałą na cięciwie, gotowa puścić ją w kierunku pierwszego napastnika, który wyłoni się zza rogu.

Niektóre wąwozy okazywały się tak wąskie, iż musieli się przez nie przeciskać, a niebo kurczyło się do rozmiarów cienkiej strużki nad ich głowami. Nie rozmawiali, nie śmiali nawet głośniej odetchnąć i robili wszystko, by stąpać jak najciszej.

Nie miało to jednak znaczenia. Nesryn nie ludziła się.

Zastawiono na nich pułapkę, a oni w nią wpadli. *Kharankui* doskonale wiedziały, gdzie byli, i przypuszczalnie podążały za nimi w swobodnym tempie, osaczając ich ze wszystkich stron. Minęło już kilka godzin, nim po raz ostatni słyszeli łopot skrzydeł Kadary.

Co gorsza, zaczynało się ściemniać.

A gdy zapadnie zmrok i trudno im będzie odnaleźć dalszą drogę... Nesryn przyłożyła dłoń do kieszeni i postanowiła, że wówczas uwolni Falkana.

Przecisnęli się przez wąską szczelinę między dwoma głazami, które niemalże stykały się ze sobą.

– Na pewno jesteśmy już blisko końca – sapnął zmierzający za nią Sartaq.

Nesryn szczerze wątpiła w to, że pająki są na tyle głupie, by pozwoliły im wyjść po drugiej stronie przełęczy prosto ku oczekującej Kadarze, ale nie odezwała się ani słowem. Poza tym wcale nie miała pewności, czy ranny ruk w ogóle będzie w stanie ich ponieść.

Przepychała się naprzód, a prześwit stawał się coraz szerszy. Liczyła oddechy, przekonana, że nie zostało jej ich wiele.

Ale myślenie w ten sposób jeszcze nigdy nikomu w niczym nie pomogło. Tego lata patrzyła już śmierci w oczy, gdy fala szkła ruszyła na nią. Skoro przeżyła wtedy, być może i teraz jej się uda.

Sartaq potknął się za jej plecami. Oddychał ciężko. Rozpaczliwie potrzebowali wody oraz bandaży, by opatrzyć jego rany. Gdyby jakimś cudem udało im się wymknąć pająkom, zabiłby ich brak wody na jałowej przełęczy, na długo zanim *rukhin* z Eridun zdołaliby przyjść im z pomocą.

Nesryn zmuszała się do stawiania kolejnych kroków. Skalne ściany przed nimi znów się zwężyły niczym imadło. Obróciła się bokiem i przecisnęła między nimi, szorując mieczami. Sartaq stęknął i zaklął z bólem.

– Utknąłem.

Nesryn odwróciła się i odkryła, że książę w istocie nie mógł się wydostać spomiędzy skał. Jego klatka piersiowa okazała się zbyt szeroka jak na szczelinę. Szarpał, miotał się, usiłował przepchnąć się naprzód. Z jego ran ciekła krew.

– Przestań – nakazała mu. – Dość tego. Spróbuj się cofnąć.

Nie było innej drogi, ale może gdyby zdjął broń...

Ich oczy spotkały się. Łuczniczka odczytała nieme polecenie: „Idź naprzód sama”.

– Sartaq – szepnęła.

Wtedy ich uszu dobiegł nowy odgłos. Pazury zgrzytające na kamieniach. Wiele pazurów, zbyt wiele. Dźwięk docierał z tyłu i przybliżał się.

Nesryn złapała księcia za rękę i szarpnęła.

– Pchaj! – wyszeptała. – Pchaj!

Sartaq jęknął z bólu, a żyły na jego szyi nabrzmiały, gdy podjął kolejną próbę przecięcia się. Jego buty chrzęściły na kamieniach...

Nesryn rozstawiła szeroko nogi, zacisnęła zęby i ciągnęła go ku sobie.

Zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt...

– Mocniej! – szepnęła.

Sartaq przechylił głowę i napierał ze wszystkich sił.

– Cóż za wspaniałą kąseczek z naszego gościa! – wysyczał kobiecy głos. – Tak tłusty, że nie jest nawet w stanie przecisnąć się przez szczelinę. Czeka nas doprawdy wspaniała uczta!

Nesryn ciągnęła i szarpała, ale jej dłonie, mokre od potu i krwi, zaczęły się wyslizgiwać pomiędzy palców Sartaqa. Pochwyciła wówczas jego nadgarstek, tak mocno, że poczuła, jak przemieszczają się kości pod skórą.

– Uciekaj! – szepnął Sartaq, wciąż walcząc. – Uciekaj sama!

Falkan wiercił się w jej kieszeni, próbując się wydostać, ale przejście było tak wąskie, iż nie mógł nawet wyciągnąć głowy.

– Wspaniała parka – ciągnęła pajęczycyca. – Ależ jej włosy lśnią! Niczym bezksiężycowa noc. Zabierzemy was do naszej siedziby, nasi czcigodni goście honorowi!

W gardle Nesryn narastał szloch.

– Proszę! – wykrztusiła, patrząc na skały pnące się wysoko ku niebu, granie ciągnące się wzdłuż przełęczy oraz zakrzywione szczyty. Nie przestawała ciągnąć Sartaqa. – Proszę – błagała jego, ich, wszystkich na świecie, ale nagle na twarzy księcia zagościł spokój. Niezwykły spokój. Przestał się szarpać, zarzucił wszelkie próby wydostania się z pułapki.

Nesryn pokręciła głową i pociągnęła raz jeszcze. Nawet nie drgnął.

Ich ciemne oczy znów się spotkały. Nie było w nich ani cienia strachu.

– Słyszałem opowieści szpiegów na twój temat – powiedział czystym, wyraźnym głosem. – Nieustraszona kobieta z Balruhn w imperium adarlańskim. Strzała Neith. I wiedziałem...

Zapłakana Nesryn ciągnęła i szarpała, ale Sartaq uśmiechnął się tylko do niej. Łagodnie i słodko. Jak nigdy wcześniej.

– Kochałem cię, na długo zanim cię w ogóle ujrzałem.

– Proszę – płakała Nesryn.

Sartaq uścisnął jej dłoń.

– Żałuję, że nie mieliśmy więcej czasu.

Nagle gdzieś za nim rozległ się syk, pojawiło się ogromne ciało, lśniące i czarne i...

Książę znikł, wyrwany z jej ręki. Jakby nigdy nie istniał.

\*\*\*

Oślepiąca łzami Nesryn rzuciła się do ucieczki. Mało co widziała, ale pospiesznie przeciskała się przez kolejne szczeliny. Napinała mięśnie, odnajdowała oparcie dla stóp, parła i gnała.

„Uciekaj!”

Słowa rozbrzmiewały niczym pieśń w jej krwi i jej kościach. Nie zatrzymywała się. Musiała stąd uciec, wydostać się, znaleźć pomoc...

Wąska szczelina otwarła się wreszcie na szerszą komorę. Zdyszana Nesryn wypadła z ciasnego wąwozu, przed oczami miała twarz księcia.

Korytarz zakręcał. Nesryn znów ruszyła przed siebie, pochylając się. Odruchowo zasłoniła dłonią wysuwającego mysią główkę Falkana. Rozszlochała się, gdy za sobą znów usłyszała zgrzyt pazurów, coraz bliższy, wyraźniejszy.



Było już po wszystkim. Nadciągał koniec.

Naraz uświadomiła sobie, że właściwie to ona zabiła Sartaqa. Niepotrzebnie w ogóle wyjeżdżała, niepotrzebnie brała się za to wszystko...

Zebrała w sobie siły i rzuciła się do biegu. Drobne kamyki strzelały spod jej butów.

„Zabierzemy was do naszej siedziby”.

Żywcem.

Pajęczycyca mówiła tak, jakby oboje mieli zostać zabrani żywcem do ich nory! Na krótką chwilę, zanim rozpocznie się uctowanie. Jeśli rzeczywiście tak miało być...

Nesryn pacnęła dłonią wierzącego się Falkana, a ten pisnął głośno, urażony.

– Jeszcze nie – szepnęła cicho i łagodnie niczym wiatr muskający trawy. – Jeszcze nie, mój przyjacielu.

I zwolniła, a potem zatrzymała się i szeptem przekazała mu swój plan.

\*\*\*

*Kharankui* nawet nie próbowali się ukrywać. Sycząc i śmiejąc się, wypadli zza zakrętu wąwozu i zatrzymali się na widok Nesryn, która klęczała i ciężko dyszała. Ze skaleczeń na jej rękach i obojczyku ciekła krew, w powietrzu niósł się jej zapach. Zauważyła, że dostrzegli rozrzucone łupki wokół niej i plamki krwi dookoła.

Zupełnie, jakby uciekająca im dziewczyna próbowała się wspiąć na ścianę wąwozu, ale poślizgnęła się i spadła z wielkim impetem.

Jakby nagle zabrakło jej sił.

Cmokając i gadając do siebie, pająki otoczyły ją ze wszystkich stron. Zewsząd widziała ich cuchnące odnóża, długie kły i rozdęte brzuchy. Oraz oczy. Więcej, niż mogła zliczyć, a w każdym z nich własne odbicie.

Nie udawała przerażenia, które wstrząsało jej ciałem.

– I już po wszystkim? – parsknął jeden z nich. – Myślałem, że czeka nas lepsza zabawa.

– Zabawimy się jeszcze nieraz – odparł inny.

Nesryn przeszył kolejny dreszcz, silniejszy od poprzedniego.

– Czujecie to? – westchnął inny. – Uwielbiam zapach świeżej krwi. Ależ on czysty!

– Proszę... – wykrztusiła.

*Kharankui* parsknęły śmiechem.

A potem jeden z nich skoczył jej na plecy.

Przygniótł ją do ziemi, do ostrych kamieni i łupków, które raniły jej twarz i dłonie. Nesryn wrzasnęła, gdy ostre pazury wbiły się w jej skórę. Zdołała odwrócić głowę i ujrzała gruczoły przędne pająka nad swymi nogami. Ułamek sekundy później wystrzeliły z nich nici, by owinąć ją w szczelny kokon.

Zbudziło ją ostre ugryzienie.

Zerwała się, gotowa wrzeszczeć, ale w ostatniej chwili powstrzymała odruch, gdy nieznana istota ugryzła ją ponownie. Rozpoznała drobne ząbki, które kąsały ją po uchu i szyi. Budziły ją.

To był Falkan.

Nesryn skrzywiła się. W głowie czuła głuche pulsowanie, w jej gardle gromadziła się żółć.

Falkan. A więc chwilowo nic jej nie groziło. Niemniej całe ciało oplecione miała cuchnącą pajęczą siecią, a jaskinia, w której się znalazła...

Nie, nie była to jaskinia, a jedynie osłonięta część przełęczy, opromieniona słabym blaskiem księżyca. Zewsząd otaczał ją półmrok, ale zdołała dostrzec szeroki skalny łuk. Narzuciła sobie równy rytm oddychania, rozglądała się, rozglądała...

Jest! Leżał kilka kroków dalej, pokryty nicią od stóp do głów. Na twarzy miał zaschniętą krew, jego oczy były zamknięte, ale... pierś unosiła się i opadała.

Ciało Nesryn przeszły drgawki, gdy próbowała stłumić szloch. Falkan prześlizgnął się po jej ciele, tu i ówdzie przegryzając nici. Nie musiała go ponaglać. Raz jeszcze rozejrzała się dookoła, a potem zerknęła na blade gwiazdy. Nie miała pojęcia, gdzie się znaleźli, ale miejsce wydawało się osobliwe. Inne od tego, co do tej pory widzieli.

Skąła była tu gładka. Wypolerowana. I poznaczona rytami.

Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się rzędy prymitywnych, prastarych znaków. Falkan nie przestawał zuć. Pękały kolejne nici.

– Sartaq – ośmieliła się szepnąć Nesryn. – Sartaq!

Książę nawet nie drgnął.

Zza kamiennego łuku dobiegł odległy zgrzyt pazurów.

– Przestań! – szepnęła do Falkana. – Zmykaj.

Zmiennokształtny znieruchomiał w połowie pleców łuczniczki i przylgnął do jej skórzanego stroju, gdy zza rogu wyłonił się cień mroczniejszy od samej nocy. Był za nimi... A może przed nimi? Nie miała pojęcia, gdzie leży północ. Nie wiedziała, czy wciąż znajdują się na przełęczy czy może już na kolejnym szczycie.

Nadciągający pająk był nieco większy od pozostałych i jeszcze ciemniejszy, jakby nawet światło gwiazd bało się go tknąć. Zatrzymał się, gdy ujrzał, że Nesryn wpatruje się w niego. Usiłowała opanować oddech i pospiesznie wymyślić coś – cokolwiek! – by zyskać trochę czasu dla Falkana i Sartaqa...

– To wy uparcie węszyć po zapomnianych miejscach – odezwał się pająk. Mówił w halha pięknym, ujmującym wręcz kobiecym głosem.

Nesryn przełknęła ślinę raz i drugi, usiłując zwilżyć język, który wysechł na wiór.

– Tak – zdołała wychrypieć.

– Czego szukacie?

Falkan uszczypnął ją w plecy, chcąc ją ostrzec.

„Nie – zrozumiała Nesryn. – On chce, bym ją czymś zajęła! Przecież ma jeszcze wiele nici do przegryzienia”.

– Zapłacił nam pewien kupiec – wypaliła. – Handlował z waszymi siostrami z północy, stygijskimi pająkami...

– Siostrami! – zasyczała pajęczyca. – Może i łączą nas więzy krwi, ale na tym się kończy! To idiotki o łagodnych sercach, które handlują ze śmiertelnikami... Handlują! A przecież zostałyśmy zrodzone, by was pożerać!

Dłonie Nesryn trzęsły się.

– To... to właśnie dlatego zostaliśmy wy... wynajęci. Ten kupiec się ich nie bał. Powiedział, że w legendach jest przesada. Że nie jesteście groźne! – mówiła pospiesznie, nie mając pojęcia, skąd się biorą jej pomysły. – Chciał się z wami spotkać. Chciał się przekonać, czy z wami też da się... No, czy

da się handlować!

Falkan musnął jej ramię, by dodać jej otuchy.

– Handlować? Nie mamy czym się z wami wymieniać, chyba że interesują was kości waszych przodków.

– A więc nie ma tu pajęczego jedwabiu?

– Nie. Choć wprost uwielbiamy smak waszych marzeń i lat. Zanim z wami skończymy.

Czyżby już odebrały coś Sartaqowi? Czy to dlatego się nie ruszał?

– A więc – odezwała się Nesryn, czując, jak nici pękają powoli. Zbyt powoli. – A więc co tu robicie?

Pajęczycza podeszła bliżej. Łuczniczka przygotowała się na najgorsze, ale potwór uniósł jedynie ciemne, uzbrojone w pazury odnóże i wskazał jedną z wypolerowanych, pokrytych rytami ścian.

– Czekamy.

Oczy Nesryn powoli przyzwyczajały się do ciemności i wreszcie ujrzała to, co pokazywał jej pająk. Był to ryt w kształcie łuku... Nie, bramy. Pośrodku stała postać w kapturze. Dziewczyna zmrużyła oczy, usiłując ją rozpoznać.

– Na... na kogo czekacie?

Houlun powiedziała, że kiedyś przeszli tędy Valgowie...

Pajęczycza machnęła odnóżem, ścierając brudną warstwę, która przysłaniała postać. Nieznany rzeźbiarz przydał jej długie, powiewające na wietrze włosy. To, co Nesryn wzięła za płaszcz, okazało się suknią.

– Na naszą królową – rzekła pajęczycza. – Czekamy, aż Jej Mroczny Majestat wreszcie powróci.

– A nie... nie na Erawana?

Houlun mówiła coś o sługach mrocznej korony...

Pajęczycza splunęła. Jadowita plwocina wylądowała przy stopie Sartaqa.

– Nie, nie na niego. Nigdy.

– A więc...

– Czekamy na królową Valgów – zamruczała pajęczycza i potarła odwołkiem ryt. – Tę, która na tym świecie zwie się Maeve.

Królowa Valgów.

– Maeve jest królową Fae – sprzeciwiła się ostrożnie Nesryn.

Pajęczycyca odpowiedziała cichym, złośliwym chichotem.

– To właśnie wszystkim wmówiła!

„Myśl, myśl, myśl...”.

– W takim razie... W takim razie naprawdę jest wielką i potężną królową! – wyjąkała Nesryn. –

Skoro rządzi zarówno Valgami, jak i Fae!

Falkan gryzł jak oszalały, ale każde kolejne włókno poddawało się powoli, irytująco powoli.

– Opowiesz mi... Opowiesz mi o tym?

Pajęczycyca przyglądała się łuczniczce. Jej bezdenne ślepie przypominały jamy prowadzące do piekieł.

– Nie kupisz w ten sposób swego życia, śmiertelniczko.

– Ja... ja to wiem... – Nesryn znów się zatrzęsła, ale nie przestawała mówić. – Ale opowieści...

Ja zawsze kochałam opowieści, zwłaszcza z tych ziem. Matka zwała mnie Tropicielką Wiatru, bo pędziłam tam, gdzie gnał mnie wiatr, a w marzeniach zawsze wracałam do tych historii. A teraz... Skoro wiatr przywiął mnie w to miejsce, chciałabym posłuchać ostatniej historii, jeśli mi pozwolisz. Zanim nadejdzie mój koniec.

Pajęczycyca milczała przez sekundę. I kolejną.

Potem rozsiadła się pod rytem, który – czego Nesryn była już pewna – przedstawiał Bramę Wyrda.

– Niech to będzie mój dar dla ciebie. Za to, że znalazłaś w sobie odwagę, by poprosić.

Nesryn nie odpowiedziała ani słowem. Bicie serca rozbrzmiewało w każdym skrawku jej ciała.

– Dawno temu – opowiadała pajęczycyca cicho swym pięknym głosem – w innym świecie oraz innym życiu istniała kraina mroku, zimna i wiatru. Rządziło nią trzech królów, władców cienia i bólu. Trzech braci, którzy zapragnęli objąć władzę nad całym światem. Rozpętali wojnę, która miała zakończyć wszystkie wojny, i walczyli, podbijali, aż dopięli swego. Obrócili świat w perzynę. Zamienili go w pustkowia, istny raj dla tych, którzy żyli w mroku. Przez tysiąc lat rządzili ramię w ramię, równi sobie potęgą, a ich synowie i córki, którzy mieli zapewnić im ciągłość władzy, służyli im wiernie. Tak było do chwili, gdy pojawiła się królowa, której moc rozbrzmiewała niczym mroczna pieśń. Dzięki swej magii mogła dokonać niezwykłych rzeczy, jakże straszliwych cudów... – Pajęczycyca westchnęła. – Każdy z władców jej zapragnął. Uganiali się za nią, kokietowali ją, próbowali uwieść, ale ona była gotowa sprzymierzyć się jedynie z tym, który był z nich najsilniejszy.

– Erawan – mruknęła Nesryn.

– Nie. Mam na myśli Orcusa, najstarszego z królów Valgów. Wzięli ślub, ale Maeve wciąż nie była zadowolona. Niespokojna i pełna ambicji, nasza królowa przez wiele dni zastanawiała się nad tajemnicami świata... innych światów, aż wreszcie dzięki swej mocy znalazła sposób, by do nich zajrzeć. By przebić barierę, która je oddzielała. By ujrzeć krainy zieleni, światła i pieśni. – Pajęczycyca splunęła, jakby były to dla niej rzeczy niepojęte i ohydne. – Pewnego dnia, gdy Orcus udał się na spotkanie z braćmi, Maeve przekroczyła granicę między światami. Opuściła swój świat i weszła do sąsiedniego.

Krew Nesryn zamieniła się w lód.

– Ale... ale jak?

– Przyglądała się. Uczyla. Poznawała przerwy między światami. Odnalazła przejście, które otwierało się w losowych momentach lub na życzenie tego, kto znał odpowiednie zaklęcie – wyjaśniła pajęczycyca, a jej oczy zalśniły. – A my, jej ukochane dwórki, udałyśmy się w ślad za nią. Zeszłyśmy na ten świat. Znalazłyśmy się tutaj.

Nesryn zerknęła na wypolerowany kamień. Nawet Falkan zamarł, by zrobić to samo.

– Poprosiła nas, byśmy tu zostały i pilnowały Bramy, gdyż obawiała się, że ktoś może za nią

podążać. Uznała bowiem, że nie chce wracać. Nie chciała wracać do swego męża ani do swego świata. Udała się więc w podróż, a o tym, co się działo później, słyszałyśmy jedynie opowieści, przekazywane szeptem przez nasze siostry oraz pomniejszych krewnych, niesione przez wiatr.

Pajęczycza zamilkła.

– A czego się dowiedziałyście? – spytała Nesryn.

– Że Orcus przybył tu, a w ślad za nim jego bracia. Dowiedział się, że jego żona odeszła i odkrył, w jaki sposób tego dokonała. Co więcej, szybko ją wyprzedził i znalazł metodę, by kontrolować bramę między światami. Wykonał Klucze, które mogły ją otwierać i zamykać, po czym obdzielił nimi swych braci. Trzy Klucze dla trzech królów. A potem otwierali bramę za bramą i wraz ze swymi armiami przemierzali rozmaite światy, pustosząc je i pałac. W każdym z nich szukali Maeve, aż dotarli tu.

Nesryn z trudem nabrała tchu, by zapytać:

– I znaleźli ją?

– Nie. – W głosie pajęczyczy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. – Jej Mroczny Majestat opuściła bowiem te góry, znalazła dla siebie inne królestwo i dobrze się przygotowała do wojny. Wiedziała, że któregoś dnia zostanie odnaleziona i dlatego postanowiła ukryć się tam, gdzie nikt nie spodziewałby się jej zastać. Natrafiła na cudowny, długowieczny, niemalże nieśmiertelny lud, którym rządziły dwie siostry.

„Mab i Mora – pomyślała Nesryn. – Na bogów...”

– Dzięki swej mocy wdarła się do ich umysłów i kazała im uwierzyć w to, że mają siostrę. Starszą od siebie, tą, która będzie nimi władać. I tak oto powstały trzy królowe, które kiedyś miały się zmierzyć z trzema królami. Gdy we trzy wróciły do pałacu, Maeve włamała się do umysłów wszystkich, którzy tam mieszkali i każdego, kto później tam dotarł. Wpajała im przeświadczenie, że trzecia królowa istniała od zawsze i od zawsze władała. Jeśli ktoś był w stanie oprzeć się jej mocy, znajdowała sposób, by się z nim rozprawić.

Pajęczycza zaśmiała się złośliwie. Nesryn w istocie słyszała opowieści o mrocznej, nienazwanej mocy Maeve, o ciemności, która potrafiła pochłonąć gwiazdy. O tym, że Maeve nigdy nie pokazała swej formy Fae, ale za to umiała się przeistaczać w śmiercionośny mrok. I że żyła o wiele, wiele dłużej od jakiegokolwiek znanego Fae. Żyła tak długo, że jedynym, kto mógł się z nią mierzyć w tej dziedzinie, był... Erawan.

A więc żyła tak długo jak Valg. Wszak była królową Valgów.

Pająk znów zamilkł. Falkan dotarł niemalże do dłoni Nesryn, ale wciąż nie był na tyle blisko, by je uwolnić.

– A więc królowie Valgów przybyli do naszego świata, ale nie wiedzieli, kto stawiał im czoła podczas wojny?

– Dokładnie. – Pajęczycza zamruczała z zachwytem. – Przybrała ciało Fae, a ci głupcy jej nie poznali. Wykorzystała to przeciwko nim. Wiedziała, jak ich pokonać. Znała strategię ich armii. A gdy uzmysłowiła sobie, czego dokonali, by tu przybyć, gdy zrozumiała, że posiadają Klucze... Nagle ich zapragnęła. Postanowiła przegnać trzech braci, pozabijać ich, zabrać im Klucze i wykorzystać je tak, jak jej się żywnie podoba, zarówno w tym świecie, jak i w innych. Zakradła się i zrabowała je! Otaczała się wojownikami Fae, by nikt nie wiedział, skąd zna tyle sekretów Valgów, a tym, którzy mieli okazję zapytać, wyjaśniła, że czerpie wiedzę ze świata duchów. Och, mądra jest nasza królowa, mądra i sprytna. Przecież sama kierowała obozami wojennymi. Znała metody działania każdego króla. Wiedziała o nich wszystko i bez trudu ukradła im Klucze. Dzięki nim zdołała odesłać dwóch spośród nich, w tym Orcusa, z powrotem do rodzinnego świata. Miała zamiar rozprawić się również z ostatnim, z najmłodszym bratem, który tak bardzo kochał pozostałych, ale Klucze zostały jej odebrane!

Pajęczycza zasyczała.

– Przez Brannona – szepnęła Nesryn.

– Tak! Przez ognistego króla! Ujrzał w niej mrok, ale nie umiał go nazwać. Zastanawiał się długo i snuł rozmaite przypuszczenia, ale z naszego ludu poznał do tej pory jedynie mężczyzn-żołnierzy. Znał zwykłych wojowników, książąt i królów. Nigdy dotąd nie poznał kobiety, a przecież kobiety Valgów są

niezwykle, tak odmienne od oczekiwania... Nawet Brannon dał się jej zwieść. Maeve zaś wkradła się do jego umysłu i doprowadziła do tego, że nie uświadomił sobie całej prawdy. – I znów rozległ się cichy, piękny śmiech. – Nawet teraz, choć dzięki swemu wścibskiemu umysłowi powinien już wszystko rozgryźć, nadal nie wie wszystkiego. Na swoje nieszczęście, na swą zgubę. Swoją i innych.

Nesryn poczuła mdłości. Aelin. Na zgubę Aelin.

– Choć nie odgadł, skąd królowa tak naprawdę pochodzi i kim jest, wiedział, że bardzo boi się jego ognia. Jak wszyscy prawdziwi Valgowie.

Nesryn zapamiętała tę informację.

– Odszedł więc i gdzieś daleko założył inne królestwo, a Maeve postanowiła przygotować się na najgorsze. Należało się przecież liczyć z tym, że Erawan znów kiedyś powstanie i uświadomi sobie, że królowa, której szukał dla swego brata, była tu przez cały czas. Że zrozumie, iż ma teraz pod rozkazami armie Fae, którzy stoczą wojnę za nią.

„Pająk w środku sieci – pomyślała Nesryn. – Oto, czym jest Maeve”.

Falkan dotarł do dłoni Nesryn i przegryzał się przez sieci wiążące jej nadgarstki. Sartaq, leżący niebezpiecznie blisko pająka, nadal był nieprzytomny.

– A więc od tysięcy lat czekacie, aż Maeve powróci w te góry?

– Rozkazała nam pilnować tej przełęczy. Mamy strzec luki między światami. Jesteśmy posłuszne jej rozkazom od wielu, wielu lat i będziemy je wypełniać dalej, aż znów wezwie nas, byśmy walczyły u jej boku.

Nesryn czuła, że wiruje jej w głowie. Maeve... Nie, przemyśli to kiedy indziej. Jeśli uda im się ujść z życiem.

Strzeliła cicho palcami, by dać mu znać. Zmieniokształtny niespostrzeżenie, trzymając się cieni, umknął w mrok.

– I teraz już wiesz, jak doszło do tego, że Czarna Straż mieszka w tych górach – oznajmiła pajęczycza i podniosła się gwałtownie. – Mam nadzieję, że historia ci się podobała, Tropicielko Wiatru.

Widząc zbliżającego się potwora, Nesryn otworzyła usta i gwałtownie poruszyła nadgarstkami za plecami.

– Siostro – zasyczał inny głos z ciemności. – Siostro, to ważne.

Pajęczycza zatrzymała się i obróciła swe monstrualne, rozdęte cielsko ku zwieńczonemu łukiem wyjściu.

– Czego?

Nuta lęku?

– Mam problem, siostro. Pojawiło się niebezpieczeństwo.

Pajęczycza podkraśniała się do krewnej, kłapiąc szczękami.

– Mów! – zasyczała.

– Ruki nad północnym horyzontem. Przynajmniej dwadzieścia!

– Pilnuj śmiertelników. Ja zajmę się ptakami.

Wokół, na kamieniach i łupkach, zgrzytały pazury. Serce Nesryn biło jak szalone, gdy prostowała zdrętwiałe, obolałe palce.

– Sartaq! – szepnęła.

Książę otworzył oczy. Błysnęły spokojem. Czujnością.

Drugi pająk podkraśniał się bliżej, zwinny, choć mniejszy od przywódczyni. Sartaq napiął mięśnie, jakby był gotów wyskoczyć z kokonu, ale pająk szepnął jedynie:

– Pospieszcie się.

Sartaq aż osłabł z ulgi, gdy usłyszał głos Falkana, który wydobył się z ohydneho pyska *kharankui*.

Nesryn wyrwała już obie dłonie z nici, tłumiąc przy tym syk bólu, gdy włókna darły jej skórę. Współczuła w duchu Falkanowi – jego usta i język musiały piec jak diabli!

Spojrzała na pająka, górującego nad Sartaqiem, który chłaśnięciami szponów uwalniał go z kokonu. W istocie, z jego pyska ściekały strużki krwi.

– Szybko! – szepnął zmiennokształtny. – Wasza broń leży tu, w narożniku.

Łuczniczka dostrzegła blade światło gwiazd, odbijające się od ramienia jej łuku i obnażonego ostrza asteriońskiego krótkiego miecza. Falkan zerwał już resztę włókien krępujących księcia, a ten skoczył na równe nogi i strząsnął z siebie nici. Sekundę później zachwiał się i oparł dłoń na kamieniu. Krew, wszędzie krew... Było na nim tyle krwi...

Mimo to podbiegł do niej, uwalniając stopy z ostatnich włókien.

– Nic ci nie jest?

– Szybciej! – rzucił Falkan, zerkając na zwieńczone łukiem wejście. – Zaraz się zorientują, że nikt tu nie zmierza.

Nesryn również odzyskała już swobodę ruchu, a Sartaq pomógł jej się podnieść.

– Słyszałeś, co powiedziała o Maeve?

– Każde słowo – szepnął książę i oboje przypadli do broni.

Sartaq podał Nesryn łuk, kołczan i ostrze Fae, a sam złapał asterioński sztylet i syknął do Falkana:

– Którędy?

Zmiennokształtny przemknął obok rytu przedstawiającego Maeve.

– Tędy! Zbocze pnie się ku górze. Jesteśmy po drugiej stronie przełęczy. Jeśli uda nam się dotrzeć wyżej...

– Widziałeś Kadarę?

– Nie, ale...

Nie czekali na resztę zdania. Starając się zachować jak największą ciszę, ruszyli w stronę opromienionej blaskiem gwiazd przełęczy, jak najdalej od bramy. W istocie, wkrótce ujrzeli zbocze kryte luźnymi łupkami, które przypominało ścieżkę wiodącą ku gwiazdom.

Byli już w połowie drogi po zdradliwym wzniesieniu, gdy wśród gór poniósł się przeraźliwy wrzask. Na niebie nie było jednak ani śladu Kadary...

– Ogień! – szepnęła Nesryn, gdy wciąż pięli się w stronę szczytu. – Powiedziała, że wszyscy Valgowie nienawidzą ognia. Nienawidzą ognia!

Przecież pożerające życie i dusze pająki były w tym samym stopniu Valgami co Erawan. Pochodziły z tego samego, mrocznego piekła!

– Wyciągnij krzesiwo z kieszeni! – przykazała księżciu.

– A co mam podpalić?

Jego wzrok padł na strzały na plecach Nesryn, gdy zatrzymali się na wąskiej grani.

– Jesteśmy tu uwięzieni – dodał, rozglądając się po niebie. – Niczego w ten sposób nie zyskamy.

Łuczniczka wyciągnęła strzałę, ściągnęła łuk z pleców, a potem wyszarpnęła koszulę spod skórzanej kurtki. Urwała dół, przerwała pasek na dwie części, a jedną z nich owinęła grot.

– Potrzebujemy jakiejś rozpałki – powiedziała do Sartaqa, który wyciągnął krzemień z kieszeni na piersi. Błysnął nóż i po chwili w jego wyciągniętej ręce pojawił się kawałek odciętego warkocza.

Nie zawahała się. Owinęła warkocz wokół płótna i wyciągnęła strzałę ku księżciu, a on zaczął uderzać krzemieniem o skałę. Strzeliły iskry raz, drugi, trzeci, aż wreszcie któraś padła na omotany grot. Zapłonął ogień.

W tej samej chwili w dole zamrowiła się ciemność. Pająki ruszyły ku nim zwartym szeregiem.

Były ich co najmniej dwa tuziny.

Nesryn nałożyła strzałę, napięła cięciwę i... wystrzeliła ku niebu.

Nie prosto w nie. Strzała pomknęła wysoko, jakby chciała przebić mroźne gwiazdy. Pajęczycy zamarły, patrząc, jak osiąga zenit, a potem spada, niżej i niżej...

– Jeszcze jedną! – zawołała Nesryn. Pochwyciła drugi pasek materiału i owinęła go wokół grotu kolejnej strzały. W kołczanie pozostały już tylko trzy. Sartaq w międzyczasie odciął następny kawałek warkocza i owinął nim ostrze.

Krzemień uderzył o kamień, strzeliły iskry. Grot zapłonął.

Pierwsza strzała opadała ku pająkom, które rozstąpiły się przed nią. Pochłonięte groźnym spektaklem, nawet nie spojrzały na Nesryn, która wycelowała w największą pajęczycę, tę, która uraczyła ją opowieścią.

Ułamek sekundy później płonący pocisk Nesryn utkwiał głęboko w jej brzuchu.

Wrzask pajęczycy wydawał się wstrząsać prastarymi skałami pod ich stopami.

– I jeszcze jedna! – szepnęła Nesryn. Sartaq już odrywał kawałek własnej koszuli. – Szybciej!

Nie mieli dokąd uciec. Nie mieli też innego sposobu, by zatrzymać potwory.

– Zmień postać! – Nesryn przykazała Falkanowi, który przyglądał się panikującym pająkom. Szalejąca z bólu przywódczyni wrzaskiem nakazywała podwładnym, by ugasiły płomienie, ogarniające jej odwłok, ale żadna z nich nie kwapiła się do tego. – Jeśli chcesz się w coś zmienić, zrób to teraz!

Zmiennokształtny obrócił ku nim swój ohydny, pajęczy pysk. Sartaq w tym czasie odciął kolejny kosmyk warkocza i owinął nim trzeci grot.

Trysnęły iskry, trzecia strzała zapłonęła.

– Chcę cię o coś poprosić, pani kapitan – odezwał się zmiennokształtny.

Na bogów, przecież nie mieli na to czasu...

– Gdy miałem siedem lat, mój starszy brat zrobił dziecko pewnej ubogiej kobiecie w Rifthold. Dziewczynkę. Potem porzucił ich oboje. Od tego czasu minęło dwadzieścia lat, ale ja zawsze próbowałem ich znaleźć. Szukałem ich od chwili, gdy rozpocząłem samodzielny handel już jako dorosły mężczyzna i po wielu poszukiwaniach odnalazłem matkę, która niestety leżała już na łożu śmierci. Nie była w stanie mi wiele powiedzieć poza tym, że wyrzuciła swą córkę na ulicę. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się moja bratanica i nie obchodziło jej to. Przed śmiercią nie zdążyła mi nawet wyznać jej imienia.

Dłonie Nesryn drżały, gdy celowała w pajęczycę, próbującą prześlizgnąć się obok płonącej siostry.

– Szybciej! – rzucił Sartaq.

– Jeśli przeżyła i jest dorosłą dziewczyną, być może odziedziczyła dar zmieniania postaci. To jednak nie ma znaczenia. Liczy się przede wszystkim to, że to moja rodzina. Jest jedyną bliską mi osobą na tym świecie, a szukam jej już od tak dawna.

Nesryn wypuściła strzałę. Trafiona pajęczycy wrzasnęła przeraźliwie. Pozostałe potwory cofnęły się.

– Znajdź ją. – Falkan zrobił krok w stronę miotających się pająków. – Cała moja fortuna... Wszystko, co mam, jest jej. Być może zawiodłem ją jako żywy, ale mam nadzieję, że moja śmierć coś jej da.

Nesryn otworzyła usta. Nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała. Słowa tłoczyły się w jej głowie, ale nim zdążyła wyrzucić z siebie choć jedno, Falkan skoczył ku płonącym pajęczycycom.

Sartaq złapał ją za łokieć i wskazał strome zbocze, które otwierało się po drugiej stronie ich szczytu.

– Tędy...

Niespodziewanie odepchnął ją i wyszarpnął miecz. Nesryn zachwiała się i zamachała rękami, by utrzymać równowagę. Nagle uświadomiła sobie, co im zagraża.

Po stromym zboczu pełzła ku nim inna pajęczycyca. Syczała głośno, a z jej ogromnych kłów ściekał jad. Naraz rzuciła się na księcia, wyciągając dwa przednie odnóża. Ten uchylił się i chlasnął ją po



kończynie. Strzeliła czarna krew, a potwór wrzasnął przeraźliwie, ale zdołał wbić drugi pazur głęboko w udo Sartaqa.

Nesryn puściła czwartą strzałę prosto w ślepią bestii. Piąta wyleciała chwilę później i wbiła się w otwarty pysk wrzeszczącego *kharankui*, który kłapnął szczękami i przegryzł ją na pół.

Dziewczyna odrzuciła wówczas łuk i porwała za miecz Fae.

Pajęczycza zasyczała na jego widok, a Nesryn odważnie zasłoniła plecami rannego księcia. Reszta stworów za jej plecami wrzeszczała przeraźliwie. Łuczniczka nie była gotowa spojrzeć na to, co się tam działo. Nie chciała sprawdzać, czy Falkan jeszcze żyje.

Ostrze miecza wydawało się być skrawkiem blasku księżycowego, jedyną przeszkodą stojącą między nią a pajęczyczą.

*Kharankui* zrobił krok. Nesryn się cofnęła. Sartaq usiłował się podnieść.

– Będziesz mnie błagać o śmierć – zasyczała pajęczycza, nie zatrzymując się, aż wreszcie ugięła odnóża, by wykonać skok.

Nesryn wiedziała, że ma czas tylko na jeden cios.

„Niech okaże się celny...”.

Pająk wyskoczył i...

I sekundę później potoczył się w dół zbocza, gdy wpadł na niego czarny, ryczący z furią ruk.

Nie Kadara.

Arcas.

Przybyła Borte.

Arcas niczym wściekły wichur poderwała się i znów natarła. Okrzyk bojowy Borte odbił się echem od skał i kamieni, gdy dziewczyna na grzbiecie swego ruka rzuciła się w stronę *kharankui* na przełęczy. Na odsiecz pajakowi, który zatrzymywał pozostałe, brocząc krwią – czerwoną krwią! – z licznych ran.

Kolejny dziki okrzyk rozdarł noc. Okrzyk, który Nesryn знаła równie dobrze jak własny głos.

Niespodziewanie pojawiła się Kadara, lecąc ku nim z dwoma innymi rękami.

Z ust Sartaq wyrwał się ochrypliwy szloch. Jeden z ręków odłączył się i runął w ślad za Borte, która szerzyła zniszczenie wśród *kharankui*. Ptak z niezwykle ciemnymi, brązowymi piórami, a na jego grzbiecie młody jeździec.

Yeran.

Nesryn nie rozpoznała drugiego z jeźdźców, który pojawił się za Kadarą. Jej złociste pióra wciąż były brudne od krwi, ale leciała prosto i bez trudu przeszła do pętli nad ich głowami. Drugi ręk podleciał bliżej.

– Nie ruszaj się i nie bój się upadku – szepnął Sartaq i musnął dłonią policzek Nesryn. W blasku księżycy widziała, że jego twarz pokryta jest warstwą zaschniętej krwi i brudu, a oczy lśnią bólem, ale mimo to...

Niebo przesłoniły szerokie skrzydła, pojawiły się potężne szpony, które zacisnęły się wokół jej talii oraz uda i oderwały ją od ziemi. Sartaq złapał się drugiej nogi ręką i ogromny ptak wystrzelił w powietrze. Zahuczał wiatr, a ręk wznosił ich coraz wyżej i wyżej. Kadara ruszyła za nim, strzegąc tyłów.

Targane wiatrem włosy przesłoniły jej widok, ale Nesryn zdołała spojrzeć na opromienioną ogniem przełęcz, nad którą unosili się właśnie Borte i Yeran. W szponach jego ręk zwiślał ciemny kształt, całkowicie bezwładny.

Borte jednakże nie miała jeszcze dość. Na grzbiecie jej ręk zapłonął ogień i Nesryn zorientowała się, że to płonąca strzała. Dziewczyna wypuściła ją wysoko w niebo.

Był to sygnał.

Po chwili powietrze wypełnił szum niezliczonych skrzydeł. Strzała Borte opadła na sieć, która szybko stanęła w ogniu, a w odpowiedzi na niebie zapłonęły setki mniejszych światełek.

Jeźdźcy ręków odpalali swe strzały. Każdy celował w dół. Po chwili ogniste pociski przecięły mrok Łańcucha Dagul niczym deszcz spadających gwiazd. Lądowały na sieciach i na drzewach, ogień natychmiast zaczął się rozprzestrzeniać.

Noc zamieniła się w dzień, a ku niebu buchnęło tysiące słupów dymu, przemieszanych z przeraźliwymi wrzaskami.

Ruki skrzyły na północ. Nesryn drżała, przylegając do trzymających ją szponów. Sartaq, którego łopoczące na wietrze włosy sięgały teraz ledwie ramion, przechwycił jej spojrzenie. W blasku płomieni pożerających dolinę rany na jego twarzy, dłoniach i szyi wyglądały jeszcze bardziej przerażająco. Skóra księcia była blada, usta sine, a w oczach dostrzegła jedynie ulgę i skrajne zmęczenie.

A mimo to uśmiechnął się do niej. Lekko, niemalże niedostrzegalnie.

Słowa jego wyznania unosili się na wietrze między nimi.

Nesryn nie mogła oderwać od niego oczu. Nie mogła odwrócić głowy. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Pod nimi i za nimi płonął Łańcuch Dagul.

O świcie Chaol i Yrene pogalopowali z powrotem do Antiki.

Pozostawili dla Hasar list z informacją, że uzdrowicielka musi koniecznie odwiedzić ciężko chorego pacjenta, i ruszyli przez wydmy w promieniach wschodzącego słońca. Żadne z nich nie wyspało się tej nocy, ale jeśli to, co odkryli na temat uzdrowicieli, było prawdą, nie mieli ani chwili do stracenia.

Chaola bolały plecy po wczorajszej jeździe i nocnych atrakcjach, nie mniej intensywne, a na pewno wielu i bardzo urozmaiconych. Gdy ich oczom ukazały się minarety i białe mury Antiki, posykiwał już przez zęby.

Podróż zatłoczonymi ulicami do pałacu była trudna i nieprzyjemna. Yrene przez cały czas przyglądała się Chaolowi uważnie, marszcząc brwi. Nie rozmawiali o tym, gdzie będą spać, ale Chaol był przygotowany na pokonanie wszystkich schodów Torre. Na samą myśl o tym, że miałby rozstać się z Yrene choć na chwilę...

Skrzywił się, zsiadając z Farashy, która tego dnia była podejrzenie spolegliwa, po czym przyjął laskę, podaną przez któregoś ze stajennych. Udało mu się zrobić kilka chwiejnych kroków ku uzdrowicielce, ale ta uniosła dłoń w ostrzegawczym geście.

– Tylko nie próbuj zdejmować mnie z konia, porywać w ramiona czy czegoś w tym stylu!

Chaol skrzywił się, ale spełnił jej życzenie.

– A co powiesz na coś w innym stylu? – mruknął.

Na jej policzkach znów pojawił się prześliczny rumieniec. Zsunęła się z siodła i oddała wodze oczekującemu stajennemu, który przejął je z prawdziwą ulgą. Był wdzięczny za to, że nie musi zajmować się popędliwą Farashą, która właśnie wpatrywała się w próbującego ją zawlec do stajni parobka, jakby chciała go pożreć. Rumak Hellasa, bez dwóch zdań.

– Hm. – Yrene wygładziła wygniecioną lekko suknię. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, że przez to wszystko, co kryje się pod pojęciem „w innym stylu”, utykasz dziś bardziej niż wczoraj?

Chaol zaczekał, aż się zrówna z nim, i oparł się na lasce, by pocałować ją w skroń. Nie interesowało go już, kto to widział, był gotów posłać wszystkich ciekawskich w cholerę. Mógłby przysiąc, że Shen i pozostali uśmiechają się za jego plecami od ucha do ucha.

Mruknął do dziewczyny.

– A więc lepiej uzdrów mnie, Yrene Towers, bo dziś w nocy chciałem ci udowodnić, że nie masz jeszcze pojęcia, co tak naprawdę znaczy „w innym stylu”!

Zarumieniła się jeszcze mocniej, ale zadarła podbródek i przybrała pruderyjną minę.

– Najpierw skupmy się na tych zwojach, ty łajdaku.

Chaol uśmiechnął się szeroko, czując szczęście rozlewające się w każdym skrawku jego obolałego ciała. Razem weszli do pałacu.

\*\*\*

Szczęście nigdy nie trwa długo.

Po dotarciu do ich cichego skrzydła szósty zmysł Chaola podpowiedział mu, że coś jest nie tak. Niejasny domysł potwierdził widok rozmawiających szeptem strażników oraz przemykających niespostrzeżenie służących. Spojrzeli po sobie z Yrene i przyspieszyli najbardziej, jak mogli. Po plecach Chaola spływały dreszcze, ale jeśli coś się wydarzyło...

Drzwi do jego apartamentu były uchylone. Na zewnątrz stało dwóch strażników, którzy spojrzeli na niego z mieszaniną lęku i współczucia. Chaol poczuł, że wywraca mu się w żołądku.

Nesryn. Jeśli zdążyła już wrócić, jeśli coś zaszło z owym połującym na nich Valgiem...

Wpadł do apartamentu, nagle zapominając o swoim protestującym ciele. Jego głowę wypełniła rycząca cisza.

Drzwi do sypialni Nesryn były otwarte.

Na dywanie nie leżało jednak żadne ciało. Ani na podłodze, ani na ścianach nie widział też śladów

krwi. Podobnie w jego pokoju, ale to bynajmniej go nie uspokoiło. Oba pomieszczenia wyglądały bowiem, jakby dziki wiatr rozbił okna i wdarł się do środka. Panował w nich niewyobrażalny wprost bałagan, ale salon prezentował się jeszcze gorzej.

Złocista kanapa, na której odbyli tyle sesji, została pocięta i poszarpana. Obrazy były obrócone bądź pocięte, szuflady wyrwane z biurka, dywany ciśnięte pod ściany... Kadja klęczała w kącie i gołymi rękami zbierała resztki zniszczonej wazy.

– Uważaj! – syknęła Yrene, podchodząc bliżej. – Weź lepiej miotłę i szufelkę, zamiast podnosić to rękami.

– Kto za tym stoi? – spytał cicho Chaol.

W oczach Kadji zamigotał wielki strach.

– To już tak wyglądało, gdy tu przyszedłam dziś rano – szepnęła.

– Niczego nie słyszałaś? Zupełnie niczego? – spytała Yrene.

W jej słowach słyhać było niedowierzanie i Chaol napiął odruchowo mięśnie. Yrene ani przez chwilę nie ufała służącej i bez przerwy wymyślała dla niej zajęcia, by trzymać ją jak najdalej od ich terapii, ale trudno było mu uwierzyć, by Kadja sama tego dokonała.

– Po waszym wyjeździe, panie... Ja wzięłam wolne na dzień i noc, by odwiedzić rodziców.

Chaol miał ochotę odwrócić głowę. Rodzina. Miała tu gdzieś rodzinę, a on nigdy nawet o nią nie zapytał...

– Czy twoi rodzice mogą potwierdzić, że byłaś u nich przez całą noc? Pod przysięgą?

Odwrócił się ku uzdrowicielce.

– Yrene.

Nie zwróciła na niego uwagi. Wbiła wzrok w służącą, która kulila się pod jej ostrym spojrzeniem.

– Choć zapewne o wiele mądrzej byłoby pozostawić dla kogoś otwarte drzwi.

Ciało Kadji przeszło dreszcz. Zgarbiła się.

– Yrene, to mógł zrobić każdy!

– Każdy, jasne. A zwłaszcza ten, kto czegoś szukał.

Jej słowa spotęgowały jedynie niepokój, który zbudził się w Chaolu na widok zdemolowanych pokoi. Odwrócił się ku służącej.

– Nie sprzątaj niczego. Wszystko, co tu się znajduje, może służyć jako dowód i pomóc nam odnaleźć sprawcę – rzekł i zmarszczył brwi. – Ile już posprzątałaś?

Sądząc po bałaganie, jaki wszędzie panował, doprawdy niewiele.

– Dopiero co zaczęłam. Sądziłam, że wrócicie jutro, więc nie...

– W porządku – rzekł, a widząc, że dziewczyna drży, dodał: – Wróć do swoich rodziców. Zrób sobie dzień wolnego, Kadja. Cieszę się, że nie było cię tu, gdy do tego doszło.

Mina Yrene sugerowała, iż jej zdaniem służąca równie dobrze mogła być przyczyną całego zamieszania, ale nie odezwała się ani słowem. Po minucie Kadja wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Yrene zakryła twarz dłońmi.

– Oni wszystko zabrali. Wszystko!

– Czyżby? – Chaol, utykając, podszedł do biurka, zajrzał do szuflad i przesunął dłonią po blacie. Jego plecy pulsowały bólem. Yrene przypadła do wypatroszonej kanapy i podniosła pocięte poduszki.

– Wszystkie książki, wszystkie zwoje...

– Wszyscy wiedzieli, że nas nie będzie. – Chaol oparł się o biurko, które aż skrzypnęło pod jego ciężarem. Yrene krążyła zaś po pokoju i zaglądała w każde miejsce, w którym ukryła książki i zwoje.

– Nic nie zostawili. Zabrali nawet *Pieśń o Początku*.

– A w sypialni?

Yrene znikła bez słowa. Chaol pomasażował sobie dół pleców i syknął cicho. Słyszał dobiegające z pokoju szuranie, a potem:

– Ha!

Dziewczyna stanęła na progu i zamachała jednym z jego butów.

– Przynajmniej to uszło ich uwadze.

Ów pierwszy zwój... Chaol uśmiechnął się.

– Przynajmniej tyle.

Yrene tuliła but do piersi, jakby to było niemowlę.

– Są zdesperowani, a zdesperowani ludzie robią się niebezpieczni – powiedziała. – Nie powinniśmy tu zostawać.

Chaol rozejrzył się po zdemolowanym apartamencie.

– Masz rację.

– A więc ruszajmy prosto do Torre.

Mężczyzna spojrział przez otwarte drzwi do sypialni Nesryn. Miała niebawem wrócić, a gdy to nastąpi i nie zastanie go w pałacu... Gdy odkryje, że odszedł wraz z Yrene... Potraktował ją haniebnie. Zapomniał o tym, co jej obiecał, co dał jej do zrozumienia w Rifthold, a potem na statku. Co prawda Nesryn napisała, że nie będzie go rozliczać z żadnych obietnic, ale i tak złamał ich o wiele za dużo.

– O co chodzi? – Pytanie Yrene było ledwie słyszalne.

Chaol zamknął oczy. Był łajdakiem. Zaciągnął Nesryn do Antiki i oto, jak ją potraktował. Podczas gdy ona szukała odpowiedzi na dręczące ich pytania, narażała życie, próbowała znaleźć sposób na zawiązanie sojuszu, choć szanse były znikome... Postanowił, że wyśle do niej list. Natychmiast. Poprosi ją, by wracała najszybciej jak to możliwe.

– Nie, nic takiego – odparł w końcu. – Chyba rzeczywiście powinnaś zostać dziś w nocy w Torre. Jest tam tylu strażników, że każdy, kto będzie chciał się wedrzeć na teren wieży, dobrze się nad tym zastanowi. Nie chcę, by myślano o mnie, że przed czymś uciekam – dodał, gdy ujrzał ból w jej oczach.

– Tym bardziej że rodzina kagana zaczyna sądzić, że mogę się na coś przydać. Zaczęli się przecież przejmować Aelin. Może powinienem to jakoś wykorzystać? – Przez chwilę przerzucił laskę z ręki do ręki. – Ale powinienem tu zostać. A ty powinnaś iść gdzieś indziej.

Yrene otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale zmieniła zdanie. Wyprostowała się, a w jej oczach błysnęła stal.

– A więc osobiście zaniosę Hafizie ten zwój – oznajmiła.

Chaol skinął głową, ale z ciężkim sercem. Nie podobał mu się ostry ton jej głosu, nie podobało mu się to, że oczy Yrene przygasły. Ją przecież też skrzywdził. Przecież w pierwszej kolejności powinien był zakończyć to, co łączyło go z Nesryn. Aby sprawa była jasna. Tymczasem znów narobił bałaganu.

Jeśli myślał, że uda mu się wznieść ponad popełniane dotąd błędy i stać się lepszym człowiekiem, srodze się pomylił. Wyszedł na głupca.

Totalnego głupca.

Yrene gnała po schodach Torre, uważając, by nie uszkodzić drogiego zwoju. Splądrowanie apartamentu głęboko wstrząsnęło Chaolem. Ona sama również była poruszona, ale...

Chaol nie bał się bólu czy śmierci. Coś innego nim powodowało.

W drugiej ręce Yrene ścisnęła naszyjnik. Metal ogrzewał jej dłoń. Ktoś wiedział, że byli bliscy odkrycia tego, co miało pozostać tajemnicą lub przynajmniej przypuszczał, że być może dowiedzieli się czegoś, i postanowił zniszczyć wszystkie możliwe źródła. A po tym, czego zaczęli się domyślać w ruinach Aksary...

Yrene poskromiła emocje. Była już blisko najwyższego piętra wieży, na którym panował niewysłowiony wprost upał. Zastała Hafizę w jej osobistej pracowni, gdzie mlaskała z niezadowoleniem nad wywarem, z którego buchał gęsty dym.

– Ach, Yrene – powiedziała bez odwracania głowy, odmierzając krople jakiegoś płynu. Jej biurko było zastawione fiolkami, miskami i miseczkami, rozłożonymi między otwartymi księgami i zestawem klepsydr z brązu. – Udało się przyjęcie?

„Było bardzo odkrywcze” – pomyślała Yrene, a głośno powiedziała:

– Bardzo.

– Zakładam, że młody lord wreszcie otworzył przed tobą serce?

Yrene zakaszła. Hafiza uśmiechnęła się i uniosła głowę.

– Wiedziałam!

– My nie... To znaczy, to jeszcze nic oficjalnego...

– Tak? Twój naszyjnik mówi coś innego.

Zarumieniona Yrene zacisnęła na nim dłoń.

– On nie... On jest lordem!

Słyszac to, Hafiza uniosła brwi. Yrene nagle się zdenerwowała. Kto jeszcze wiedział o tym? Kto jeszcze ich widział? Kto to komentował i robił zakłady?

– To lord z Adarlanu! – wyjaśniła.

– No i?

– Z Adarlanu!

– Sądziłam, że już się pogodziłaś ze swą przeszłością.

Może tak było. A może nie.

– Nie ma się czym przejmować.

Hafiza obdarzyła ją znaczącym uśmiechem.

– To dobrze.

Yrene wciągnęła powietrze przez nos.

– Niestety, obawiam się, że nie przyszedł tu po to, by podzielić się ze mną pikantnymi szczegółami.

– Och, nie. – Yrene się skrzywiła.

Hafiza odmierzyła jeszcze kilka kropel do wrzącej, kotłującej się substancji. Ujęła klepsydrę odmierzającą dziesięć minut i odwróciła ją. Bielutki piasek zaczął sypać się w dół cieniutką strużką. Nim Yrene zdążyła powiedzieć cokolwiek, jej przełożona oznajmiła:

– Domyślam się więc, że twoja wizyta ma związek z tym zwojem, który trzymasz w ręku.

Yrene odwróciła się, po czym podeszła do drzwi wychodzących na korytarz i starannie je zamknęła. Następnie zrobiła to samo z oknami. Hafiza odstawiła wywar, a na jej twarzy zagościła niezwykła powaga.

Dziewczyna usiadła i opowiedziała jej o wszystkim. O splądrowaniu pokoju. O zabranych księgach i zwojach. O ruinach w oazie oraz dzikiej teorii, że dar uzdrawiania na Południowym Kontynencie nie pojawił się sam z siebie, ale został tu potajemnie zaszczerpiony, by kiedyś stał się bronią

przeciwko Valgom i ich królom.

Po raz pierwszy od chwili, gdy się poznały, opalona twarz sędziwej uzdrowicielki lekko pobladła. Kobieta otworzyła szerzej ciemne, bystre oczy i po wysłuchaniu całej opowieści zapytała:

– Jesteś pewna, że właśnie te siły gromadzą się na waszym kontynencie?

– Tak. Lord Westfall widział tych żołnierzy na własne oczy i walczył z nimi. Z tego powodu tu przybył. Nie szuka wcale sojusznika do wspólnej walki z siłami lojalnymi wobec władców imperium adarlańskiego. Chce stworzyć armię do walki z demonami w ludzkich skórach, z demonami, które hodują potwory. Z istotami tak straszliwymi i licznymi, że nawet Aelin Galathynius i Dorian Havilliard nie zdołają się z nimi uporać.

Hafiza przesiadła się na niewielkie krzesło stojące przy biurku. Potrząsnęła głową, siwiuteńkie włosy zakołysały się.

– I teraz oboje wierzycie w to, że uzdrowicielki mają w tym jakąś rolę do odegrania?

Yrene krążyła po komnacie.

– Być może. Na Północnym Kontynencie byliśmy tępione bez litości. Wiem, że pewnie nie brzmi to zbyt sensownie, ale jeśli w istocie cywilizacja w tych stronach wywodzi się od kolonii Fae zajmujących się uzdrawianiem... Dlaczego mieliby to zrobić? Po co mieliby opuszczać Doranelle i wędrować tak daleko? Dlaczego mieliby dbać o to, by dar uzdrawiania nie przepadł, a jednocześnie nie pozostawić po sobie żadnych innych śladów?

– To dlatego tu przysłaś? I przyniosłaś te pisma?

Yrene umieściła zwój przed Najwyższą Uzdrowicielką.

– Skoro Nousha zna jedynie kilka mętnych legend i nie włada językiem, w którym go zapisano, pomyślałam, że może ty znasz prawdę. Albo będziesz w stanie mi powiedzieć, co tu jest napisane.

Hafiza ostrożnie rozwinęła pergamin i obciążyła narożniki różnymi fiołkami. Ich oczom ukazały się ciemne, osobliwe litery. Najwyższa Uzdrowicielka przesunęła wzdłuż kilku z nich palcami.

– Nie wiem, jak odczytać te znaki – powiedziała i raz jeszcze przejechała dłonią nad pergaminem. Yrene zgarbiła się. – Ale przypomniało mi się...

Przyjrzała się półkom z książkami. Część z nich była zasłonięta szkłem. Najwyższa Uzdrowicielka wstała i utykając, podeszła do zamkniętej na klucz szafki w ciemnym kącie komnaty. Jej drzwi nie były ze szkła, ale z metalu. Z żelaza.

Zdjęła klucz z rzemyka na szyi i otworzyła zamek. Potem przywołała Yrene gestem.

Ta poderwała się szybko i potykając się o własne nogi, przypadła do Hafizy. We wnętrzu szafki znajdowało się wiele tomów, z których część niemalże rozpadała się ze starości, ale na grzbietach kilku z nich ciągnęły się...

– Znaki Wyrda! – szepnęła Yrene.

– Powiedziano mi kiedyś, że te książki nie są przeznaczone dla ludzkiego oka. Że tę wiedzę należałoby zamknąć i zapomnieć o niej, by nie wydostała się na świat.

– Dlaczego?

Hafiza wzruszyła ramionami. Przyglądała się starożytnym tekstom, ale nie dotknęła żadnego z nich.

– To właśnie usłyszałam od mojej poprzedniczki. Że te księgi nie są przeznaczone dla ludzkich oczu. Cóż, raz czy dwa upiłam się na tyle, że zaczęłam myśleć o ich otwarciu, ale za każdym razem, gdy brałam do ręki ten klucz... – Bawiła się przez moment długim naszyjnikiem, z którego zwisał klucz wykonany z najczarniejszego żelaza. Identycznego z tym, z którego zrobiono zamek. – Dochodziłam do wniosku, że lepiej tego nie robić – dokończyła i zważyła klucz w dłoni. – Nie wiem, jak odczytać te księgi ani skąd się wziął ten język, ale skoro podobne księgi i zwoje znikły z biblioteki, być może ktoś dobrze zrobił, że je tu zamknął. Być może kryje się w nich coś, za co warto zabijać.

Po plecach Yrene spłynął lodowaty dreszcz.

– Chaol... Lord Westfall, znaczy się, zna kogoś, kto potrafi odczytać ten alfabet – rzekła.

„Aelin Galathynius” – przypomniała sobie jego słowa.

– Może powinniśmy zabrać to do niej? Zarówno zwój, jak i te księgi?

Hafiza zacisnęła usta. Zamknęła drzwi szafki i obróciła klucz w zamku z głośnym szcęknięciem.

– Będę musiała się nad tym zastanowić, Yrene. Trzeba rozważyć ryzyko. Nie wiem, czy te książki powinny opuścić Torre.

– Tak, oczywiście. – Dziewczyna skinęła głową. – Ale obawiam się, że nie zostało nam wiele czasu.

Stara uzdrowicielka wsunęła żelazny klucz pod szatę i powróciła do stołu. Yrene podążyła za nią.

– Znam nieco historię – przyznała Hafiza. – Kiedyś sądziłam, że znaczna jej część to tylko mity, ale moja poprzedniczka opowiedziała mi wiele rzeczy. Byłam wówczas młodą dziewczyną i miałam różne dzikie pomysły. Raz podczas festiwalu Zimowego Księżyca upiłam ją, bo chciałam ją skłonić do wyjawienia mi kilku sekretów. Zamiast tego skłoniłam ją jedynie do rozwlekłej lekcji historii. – Hafiza parsknęła i potrząsnęła głową. – Nigdy nie zapomniałam tamtego wieczoru, głównie ze względu na swoje rozczarowanie. Nie mogłam się pogodzić z tym, że wydałam niemal wszystkie swe pieniądze na trzy butelki drogiego wina i nic mi to nie dało.

Yrene oparła się o sędziwy stół. Hafiza zasiadła za nim i splótła palce na kolanie.

– Powiedziała mi, że dawno temu, na długo, nim dotarli tu pierwsi ludzie, nim na stepach pojawiły się klany jeźdźców, a nad nimi ruki, ziemie te w istocie należały do Fae. Było to niewielkie, piękne królestwo, którego stolica znajdowała się tutaj. Antica została wzniesiona na jej ruinach. Fae jednakże budowali świątynie ku czci swych bogów poza murami miast: w górach, na rzecznych wyspach, wśród wydm.

– Tak jak ową nekropolię w Aksarze?

– Tak. Opowiedziała mi również, że nie palili swych zmarłych, ale chowali ich w wielkich sarkofagach o ścianach tak grubych, że nie dałoby się ich zniszczyć żadnym młotem. Zabezpieczali je ponadto magią oraz pułapkami.

– Po co?

– Ta pijana koza wyznała, że bali się, by ktoś nie dostał się do środka i nie zabrał ich ciał.

Yrene cieszyła się, że opiera się o biurko.

– Valgowie do dziś w ten sposób wykorzystują ludzi.

Hafiza skinęła głową.

– Bredziła długo o tym, jak ukryli dla nas sztukę uzdrawiania. Ponoć sami ukradli ją skądś, a ich dokonania dały nam podstawę do wzniesienia Torre. Ponoć sama Kamala szkolila się w ich sztuce, gdyż odnalazła ich zapiski w dawno zaginionych grobowcach i katakumbach. Towarzyszyło jej kilka innych uzdrowicielek i z wiedzą, którą wspólnie nabyły, założyły Torre. Przeniosły tu również kult Silby, ponieważ Fae także wyznawały boginię. – Staruszka wskazała sowy wyryte na ścianach pracowni i potarła się po skroni. – Twoja teoria wydaje się więc zawierać w sobie nieco sensu. Nigdy nie dowiedziałam się, jak Fae się tu dostali, gdzie się udali i dlaczego odeszli. Ale byli tu i jeśli wierzyć mojej poprzedniczce, pozostawili po sobie nieco wiedzy bądź mocy. – Marszcząc czoło, spojrzała ku zamkniętej szafce i dodała: – Którą teraz ktoś próbuje zniszczyć.

Yrene przełknęła ślinę.

– Nousha zabije mnie, gdy się dowie, że te książki i zwoje zostały skradzione.

– Cóż, pewnie tak. Ale w pierwszej kolejności bez wątpienia będzie próbowała dopaść tego, kto naprawdę jej porwał.

– Jak sądzisz, Hafizo, co to wszystko właściwie znaczy? Dlaczego ktoś miałby posuwać się aż do kradzieży?

Najwyższa Uzdrowicielka podeszła do swojego wywaru. Ziarenka piasku w klepsydrze niemalże się przesyłały.

– Być może tego właśnie masz się dowiedzieć – powiedziała.

Dodała jeszcze kilka kropli, pochwyliła jednogminutową klepsydrę i obróciła ją.

– Zastanowię się nad tymi książkami, Yrene.

\*\*\*



Yrene powróciła do swego pokoju i otworzyła szeroko okna, by wpuścić ożywczy powiew wiatru do dusznego wnętrza. Usiadła na skraju łóżka i tkwiła przez moment w bezruchu, po czym znów się zerwała.

Pozostawiła zwój u Hafizy, gdyż zamykana na klucz szafka wydała jej się najlepszą znaną kryjówką, ale wybiegła na korytarz bynajmniej nie z powodu zwojów czy starożytnych ksiąg. Ruszyła w dół.

Postęp. Dokonali znacznego postępu w walce z paralizem Chaola, a po powrocie do Antiki zastali ich pokój w ruinie.

Zaraz, nie ich pokój. Jego. Chaol sam to podkreślił.

Choć była obolała po dwóch dniach spędzonych w siodle, Yrene rącho zbiegała po schodach. Musiał istnieć jakiś związek między postępu w walce z jego dolegliwością a atakami. W jej ciasnym, dusznym pokoju nie była w stanie pozbierać myśli, podobnie w bibliotece, gdzie każdy krok lub miauknięcie zaciekawionych kocic Baast wywoływał u niej palpację serca.

Istniało na szczęście miejsce ciche, spokojne i bezpieczne. Miejsce, w którym mogła zatopić się w rozmyślaniach i spróbować posplatać pozrywane wątki przeznaczenia, które doprowadziły ich aż tutaj.

\*\*\*

Łono było puste.

Yrene umyła się i założyła cieniutką szatę koloru jasnej lawendy, po czym weszła do wypełnionej parą podziemnej komory. Choć próbowała nad tym zapanować, jej spojrzenie natychmiast przyciągnęła kadź przy przeciwległej ścianie, ta sama, w której pewna uzdrowicielka płakała na kilka godzin przed własną śmiercią.

Yrene zasłoniła dłońmi twarz i nabrała tchu, by się uspokoić.

Bulgocząca, przyjemnie gorąca woda w kadziach kusiła, obiecywała ulgę jej zmęczonym, obolałym członkom, ale Yrene nadal stała w samym centrum jaskini, pośród brzdąkających cichutko dzwonek, i wpatrywała się w ciemność nad sobą.

Od niewidocznego w mroku stalaktytu oderwała się kropla i wylądowała na jej czole. Zaskoczona chłodnym, mocnym rozbrzgiem Yrene zamknęła oczy, ale nawet nie wyciągnęła ręki, by zetrzeć wodę.

Dzwonki śpiewały i szemrały, a odgłosy te przywodziły jej na myśl siostry-uzdrowicielki, które już dawno odeszły. Zastanawiała się, czy zmarła uzdrowicielka... Czy jej głos również dołączył do chóru.

Spojrzała na najbliższy sznur z dzwonekami o różnej wielkości i rozmiarach, rozciągnięty w poprzek komory. Jej własny dzwonek...

Boso i bezszelestnie podeszła do niewielkiego stalagmitu, który wyrastał z podłogi niedaleko ściany. Między nim a innym słupem, wznoszącym się kilka kroków dalej, rozciągnięto łańcuszek, na którym wisiało siedem kolejnych dzwonek. Yrene od razu rozpoznała ten, który zawiesiła sama. Uśmiechnęła się.

Był to mały srebrny dzwonek, który kupiła za pieniądze otrzymane od tajemniczej nieznajomej. Z boku widniało imię Yrene, być może wygrawerowane przez tego samego mistrza, któremu Chaol powierzył wykończenie amuletu, który teraz nosiła na szyi. Nie chciała się z nim rozstać nawet tutaj.

Delikatnie musnęła palcem dzwonek, swe imię oraz datę przybycia do Torre.

Pod wpływem jej dotyku z dzwonka wydobył się cichutki, słodki dźwięk, który odbił się od kamiennych ścian i innych dzwonek. Niektóre spośród nich zaczęły dzwonić, jakby w odpowiedzi. Śpiew jej dzwonka tańczył wokół niej, a Yrene obracała się dookoła, jakby była w stanie za nim nadążyć, a gdy ucichł...

Gdy ucichł, trąciła go ponownie. Tym razem odgłos był głośniejszy i wyraźniejszy. Rozszedł się po komorze, a uzdrowicielka wodziła za nim wzrokiem, aż znów ucichł.

Jej magia zamigotała w odpowiedzi.

Yrene miała wrażenie, że jej dłonie nie należą już do niej. Uniosły się i trzęsły dzwonek po raz trzeci.

Gdy jego pieśń znów wypełniła całą komorę, Yrene ruszyła w ślad za nią. Stąpając bosymi stopami po wilgotnych kamieniach, szła przez Łono ścieżką wytyczoną przez dźwięki. Wymijała stalagmity. Nachylała się pod stalaktytami zwisającymi z góry. Przemykała się wzdłuż ścian, wprawiając promyki świateł w łopotanie. Szła naprzód, tropiąc dźwięki. Mijała dzwonki zawieszane przez całe pokolenia uzdrowicieli, które odpowiadały własną muzyką ściganej przez nią pieśni. Yrene muskała je palcami, a one śpiewały jeszcze głośniej.

„Musisz wkroczyć do miejsca, które budzi twój lęk”.

Szła naprzód, otoczona niezwykłą muzyką setek dzwonek, ale nadal podążała za dźwiękiem, wydawanym przez jej własny, za słodką, wyraźną pieśnią, która prowadziła ją naprzód. Która ciągnęła ją za sobą.

Owa ciemność nadal w nim mieszkała. Nadal w nim żyła. Zepchnęli ją najbardziej, jak się dało, ale nadal trwała w jego ciele. Wczoraj Chaol opowiedział jej o rzeczach, które złamały jej serce, ale nie była to cała historia.

Ale jeśli zmierzenie się ze wspomnieniami nie było wcale sposobem na zniszczenie owego strzępu ciemności Valgów? Jeśli ślepe ciosy jej magii nie przynosiły żadnego skutku...

Yrene szła za muzyką srebrnego dzwonka do miejsca, gdzie się urwała.

Był to zakątek, do którego mało kto zaglądał, prastary, wręcz przedwieczny. Łańcuchy już dawno tu przerdzewiały, a niektóre dzwonki pozieleniały. Jej własny dzwonek ucichł właśnie tutaj.

Zaraz, wcale nie ucichł...

Muzyka zdawała się na nią czekać. Mruczała cicho w kamiennym zakamarku.

Przy końcu łańcucha Yrene zauważyła malutki dzwoneczek, utleniony do tego stopnia, że trudno było odróżnić wygrawerowane na nim litery. Mimo to odczytała jedną po drugiej.

Yafa Towers.

Nawet nie poczuła bólu kolan, gdy osunęła się na twarde kamienie. To nazwisko, ta data sprzed dwustu lat... Jedna z jej rodu. Uzdrowicielka z jej rodu! Była tu, wraz z nią! Kobieta z jej rodu śpiewała w tej jaskini przez wszystkie te lata. Nawet tutaj, choć tak daleko od domu, Yrene ani przez moment nie była sama.

– Yafa – wyszeptwała imię z ręką na sercu.

„Musisz wkroczyć do miejsca, które budzi twój lęk”.

Uniosła głowę i spojrzała w ciemności Łona.

„Moc Valgów żywi się czymś w ciele bądź duszy Chaola” – pomyślała.

Ciemność zdawała się potakiwać.

Yrene nie słyszała wokół siebie żadnych dźwięków. Nie brzdęknał ani jeden dzwonek. Spojrzała na swe wiszące bezwładnie dłonie i przywołała niewyraźny, blady blask swej magii. Niech wypełni tę komorę, niech odbije się od skalnych ścian, śpiewając swą niesłyszalną pieśń. Niech odbije się od muzyki zaklętej w tysiącach dzwonek, niech obudzi głosy tysięcy jej siostr, głosy innych z rodu Towers.

„Musisz wkroczyć do miejsca, które budzi twój lęk”.

Nie do próżni, która czyhała w jego ranie.

Musiała wkroczyć w nicość w sobie samej.

W tę, która powstała, gdy tamci żołnierze zgromadzili się wokół jej chaty i wywlekli ją z niej za włosy na jasną trawę. Czy Yafa, ukryta w komorze tak głęboko pod ziemią, wiedziała, co się wydarzyło owego dnia za morzem? Czy przyglądała się ostatnim dwóm miesiącom i wysłała prastarą, zardzewiałą pieśń, w której kryło się milczące ostrzeżenie?

„To nie byli źli ludzie, Yrene”.

Nie, nie byli. Ci, którymi dowodził, z którymi ćwiczył, którzy nosili ten sam mundur i kłaniali się temu samemu królowi co żołnierze, którzy stanęli pod jej chatą.

Oni nie byli złymi ludźmi. Adarlan był pełen ludzi, których warto było ocalić. O których warto było walczyć. Oni nie byli jej wrogami. Nigdy nimi nie byli. Być może zdawała sobie z tego sprawę na

długo przed wyznaniem Chaola w oazie. Być może po prostu nie chciała tego przyznać sama przed sobą.

Ale owa rzecz, która w nim pozostała, ów strzęp mocy demona, który zarządził to wszystko...

– Wiem, czym jesteś – powiedziała cicho Yrene.

Była to bowiem ta sama rzecz, która od lat mieszkała również w niej, czerpiąc jej energię, a jednocześnie dając jej siłę do działania. Różniła się na wiele sposobów, ale mimo to była tym samym.

Yrene przywołała magię na powrót do siebie. Blask osłabł.

Uśmiechnęła się do słodkiej ciemności nad sobą.

– Już rozumiem.

Kolejna kropla wody ucałowała ją w czoło.

Yrene uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę ku dzwonkowi swej przodkini. Trąciła go.

Następnego dnia po przebudzeniu Chaol ledwie mógł się ruszać.

Jego apartament został przywrócony do stanu używalności, a pod drzwiami pojawili się dodatkowi strażnicy. Do zachodu słońca, kiedy to powrócili uczestnicy wyprawy na pustynię, po włamaniu nie było już śladu.

Nie widział Yrene przez resztę dnia i zastanawiał się, czy Najwyższa Uzdrawicielka w istocie znalazła w treści zwoju coś godnego uwagi. Kiedy nadeszła pora kolacji, a uzdrawicielki nadal nie było, wysłał Kadję, by poprosiła Shena o raport.

Chwilę później Shen stawiał się w apartamencie. Był lekko zarumieniony, co zawdzięczać należało urodzie służącej, która go tu przywiodła. Jego meldunek okazał się jednak treściwy i rzeczowy – osobiście upewnił się w Torre, że Yrene dotarła na miejsce i jak dotąd nie opuściła więzy.

Ból pleców wkrótce stał się nie do wytrzymania i Chaol nie był w stanie przemieszczać się nawet o lasce. Zaczął się zastanawiać, czy nie wezwać uzdrawicielki, ale jego apartament nie był bezpieczny. A gdyby zaczęła go częściej odwiedzać i spotkałaby się z Nesryn, nim zdążyłby jej wszystko wyjaśnić...

Nie mógł wyrzucić tej wizji z głowy. Nie mógł przestać myśleć o tym, co zrobił. O zaufaniu, które zawiódł.

Wykąpał się z trudem, w nadziei, że ulży w ten sposób swoim mięśniom, a potem niemalże wpełzł do łóżka.

Przebudził się o świcie. Wyciągnął rękę po laskę, która stała przy łóżku, i zdusił jęk bólu. Niespodziewanie zawładnęła nim dzika, szalona panika. Zacisnął zęby, próbując ją pokonać.

Palce u nóg. Wciąż mógł ruszać palcami u nóg. Oraz kostkami. I kolanami!

Jego ciało przeszył straszliwy ból, gdy spróbował poruszyć nogami. Aż wygiął szyję do tyłu.

Na bogów, przesadził. Narzucił sobie zbyt duże tempo, zbyt wielki wysiłek...

Naraz drzwi stanęły otworem, a do środka wpadła Yrene w swojej fioletowej sukni. Otworzyła szeroko oczy na jego widok, ale szybko narzuciła sobie spokój. Wyglądała, jakby miała zamiar mu coś powiedzieć, ale zamiast tego odepchnęła wszelkie emocje i związała włosy. Podeszła do niego pewnym krokiem.

– Możesz się ruszać?

– Tak, ale boli jak... – Chaol ledwie zdołał odpowiedzieć.

Yrene opuściła torbę na dywan i podwinęła rękawy.

– Możesz się odwrócić na brzuch?

Nie. Próbował, ale... Yrene jednakże nie czekała na jego odpowiedź.

– Opisz mi dokładnie, co robiłeś od naszego rozstania do teraz.

Chaol opowiedział jej o wszystkim, a gdy wspomniał o kąpieli, Yrene zakłęła ostro.

– Lód! To lód przynosi ulgę mięśniom, a nie gorąca woda – oznajmiła i odetchnęła. – Musisz się odwrócić. Zaboli jak cholera, a więc warto to zrobić raz a...

Nie czekał ani chwili. Zacisnął zęby i spełnił jej polecenie. Z jego gardła wyrwał się chrapliwy wrzask, ale Yrene przypadła do niego, przycisnęła dłonie do jego policzka i włosów, przyłożyła usta do jego skroni

– Dobrze – szepnęła, wtulona w jego skórę. – Dzielnny chłopak.

Na szczęście położył się spać jedynie w spodenkach, przez co Yrene mogła niemalże od razu przystąpić do pracy. Jej dłonie znalazły się nad jego plecami.

– To... to coś powróciło – szepnęła.

– W ogóle mnie to nie dziwi – wycedził Chaol przez zaciśnięte zęby.

Nic a nic.

Yrene opuściła dłonie.

– Dlaczego?

Chaol wodził palcem po haftowanej narzucie.

– O nic nie pytaj. Rób, co możesz.

Yrene, choć nieco zaskoczona wymijającą odpowiedzią, pochyliła się nad swą torbę. Wyciągnęła z niej wędzidło, ale trzymała je przez chwilę, miast wsunąć je mężczyźnie między zęby.

– Wchodzę – powiedziała cicho.

– Dobrze.

– Nie zrozumiałeś mnie. Wchodzę i kończę to. Dziś, teraz, raz na zawsze.

Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, co tak naprawdę usłyszał. I co to wszystko oznacza.

– A jeśli nie dam rady? – ośmielił się spytać.

Jeśli nie da rady stawić temu czoła? Znieść tego cierpienia?

W oczach Yrene nie było lęku ani wahania.

– To nie ja powinnam na to pytanie odpowiedzieć.

Prawda. To przecież nigdy nie było jej zmartwieniem.

Chaol patrzył na promienie słońca tańczące na medalionie, na owe góry i morza, i zastanawiał się, co tym razem ujrzy. Czy będzie świadkiem tego, jak raz za razem zawodził innych?

Ale przecież dotarli tak daleko. Wspólnie.

Yrene nie odwróciła się ani razu. Od niczego.

On również tego nie robi.

Mimo ucisku w gardle zdołał wykrztusić:

– Zrobisz sobie krzywdę, jeśli będziesz walczyć zbyt długo.

W jej oczach nadal nie było ani śladu przestrachu.

– Mam pewną teorię i muszę ją przetestować – oznajmiła i wsunęła wędzidło między jego zęby. Zacisnął je lekko. – A ty – dodała – jesteś jedynym człowiekiem, na którym mogę ją wypróbować.

Gdy kładła dłonie na jego nagich plecach, Chaol uświadomił sobie, że wie, dlaczego jest jedynym człowiekiem, na którym Yrene może sprawdzić swoją teorię. Ale nie zdołał powiedzieć ani słowa, gdyż w tej samej chwili uderzyły w niego ból oraz czerń.

Nikt i nic nie było w stanie powstrzymać Yrene, która weszła w jego ciało, otoczona białą aurą uzdrowicielskiej magii.

Jego ciało zostało splugawione mocą Valgów, a ona...

\*\*\*

Yrene nie wahała się. Wnikała w niego z szybkością błyskawicy, śmigała wzdłuż jego kręgosłupa, gnała korytarzami kości i żył. Była włócznie światłości wystrzeloną w mrok, wycelowaną w ów ogromny cień, który raz jeszcze powstał i wszystko przesłonił. Który ponownie próbował przejąć władzę nad ciałem mężczyzny.

Uderzyła w niego z wrzaskiem.

Cień zaryczał. Spletli się w bezpardonowej walce.

Był czymś obcym. Był zimny i pusty, cuchnął zgnilizną, wiatrem i nienawiścią.

Mimo to Yrene cisnęła się w niego całą sobą. Bez reszty.

A nad nimi, jakby rozdzielало ich morze ciemne niczym noc, Chaol ryczał z bólu.

Dziś, to się skończy dziś, raz na zawsze.

„Wiem, czym jesteś”.

Yrene walczyła, a ciemność miotła się w furii.

Ból, bezdenny i nieskończony, rozdzierał go na strzępy.

W ciągu minuty stracił przytomność, po czym uświadomił sobie, że spada.

Leciał w głąb przepaści. Tej przepaści.

Zmierzał w stronę piekła u stóp gór.

Tam, gdzie wszystko zostało zamknięte i pogrzebane. Tam, gdzie wszystko się rozpoczęło.

Puste fundamenty, rozkopane i zryte, rozpadły się w nicość. Została tylko przepaść.

Poza nią nie było nic.

Nic.

Nic sensownego. Nic wartościowego.

Najpierw ujrzał ojca. Potem matkę, brata i tę zimną, górską fortecę. Ujrzał schody pokryte lodem i śniegiem, splamione krwią. Patrzył na mężczyznę, któremu sprzedał się z ochotą w nadziei, że w ten sposób Aelin będzie bezpieczna. Nie, nie Aelin. Celaena.

Wysłał kobietę, którą kochał, by mogła znów pochwycić za sztylet zabójczyni. Wysłał ją do Wendlyn w nadziei, że to miejsce jest lepsze od Adarlanu. By zabiła panującą tam rodzinę królewską.

Jego ojciec wyłonił się z mroku. Chaol patrzył na człowieka, którym kiedyś sam mógł się stać. Na swoje zwierciadlane odbicie z przyszłości.

Na twarzy ojca malował się niesmak oraz rozczarowanie. Wpatrywał się w syna, którego kiedyś chciał w Chaolu ujrzeć.

Pierwszy warunek, jaki przedstawił, był dla Chaola niczym kara więzienia.

Ale może próbował go ocalić? Może chciał wyrwać swego bezużytecznego, krnąbrnego syna z objęć zła, bo przeczuwał, co eksploduje lada dzień?

Złamał dane mu słowo.

Nienawidził swego ojca, ale mimo to jego ojciec – ów zwyrodniały, żaloszny łajdak – wypełnił swoją część umowy.

A on... On nie.

Był krzywoprzysięzcą i zdrajcą.

Aelin zniszczyła wszystko, czego dokonał i czym się szczycił. Poczynając od jego honoru.

Aelin, która mieszkała pośród cieni, podstępna i zwodnicza... Dla niej złamał dane słowo. Dla niej zerwał z tym, kim był.

Dostrzegł ją pośród ciemności. Złote włosy i turkusowe oczy, które były ostatnią podpowiedzią, ostatnim elementem zagadki.

Kłamczucha. Morderczyni. Złodziejka.

Wyrzewała się na szezlongu na balkonie owego apartamentu, który przydzielono jej w pałacu, z książką na kolanie. Przechyliwszy głowę w bok, przyglądała mu się z tym leniwym półuśmieszkiem. Przypominała kota, któremu ktoś przerwał odpoczynek.

Nienawidził jej.

Nienawidził tej twarzy, tego jej rozbawienia i tej przenikliwości. Tego temperamentu i złośliwości, dzięki której była w stanie rozszarpać kogoś na strzępy bez słowa. Samym tylko spojrzeniem.

Lubiła takie rzeczy. Sprawiały jej ogromną przyjemność.

Była żywym ogniem, a on został przez nią opętany do tego stopnia, że był gotów wszystko dla niej porzucić. Honor. Przysięgi, które złożył.

Pozwolił, by ta wyniosła, butna, zadufana w sobie kobieta potłukła mu serce na kawałki. Zniósł to dla niej, a ona?

Ona odeszła. Porzuciła go niczym popsutą zabawkę i wskoczyła w ramiona księcia Fae, który wyłonił się z mroku. Który podszedł do owego szezlongu na jej balkonie i przysiadł z brzegu.

Jej półuśmieszek zmienił się. W jej oczach zaiskrzyło. Skupiła swą uwagę drapieżnika na owym

księciu. Wydawała się jaśnieć coraz bardziej, naraz wydawała się bardziej skupiona, świadoma. Bardziej... żywa.

Ogień i lód. Koniec i początek.

Nawet się nie dotknęli.

Siedzieli na tym szezlongu i toczyli między sobą rozmowę bez pomocy słów. Jakby każde z nich wreszcie znalazło na tym świecie swą brakującą połowę, swe odbicie w lustrze.

Nienawidził ich.

Nienawidził ich za to zgranie, za łączącą ich intensywność, za to, że się tak dobrze uzupełniali.

Zniszczyła go. Zniszczyła mu życie, a potem rzuciła się w ramiona tego księcia równie łatwo, jakby przechodziła z pokoju do pokoju. A kiedy wszystko trafił szlag, kiedy on sam odwrócił się od wszystkich ludzi, których znał, kiedy okłamał tego, który był dla niego najważniejszy, po to, by ukryć jej tajemnicę, ona nie kiwnęła dla niego palcem. Nie stanęła przy nim, by walczyć. By mu pomóc.

Wróciła dopiero po kilku miesiącach i wykrzyczała mu prosto w twarz. Jego bezużyteczność. Jego słabość. Jego brak zaangażowania. „Pokazujesz mi, jak ten świat powinien wyglądać. Jak ten świat może wyglądać”.

Kłamstwa, cóż za kłamstwa. Słowa dziewczyny, która była mu wdzięczna za to, że oddał jej wolność, za to, że wyciskał z niej siódme poty i nie pozwalał jej odetchnąć, aż znów mogła wrzasnąć na cały świat. Słowa dziewczyny, która przestała istnieć tej nocy, gdy znaleźli trupa na łóżku. Gdy poszarpała mu twarz. Gdy próbowała mu wbić sztylet w serce. Drapieżnik, którego zawsze widział w jej oczach, uwolnił się.

Nie było sposobu, by na powrót ją okiełznać, a słowa takie jak honor, obowiązek czy zaufanie przestały mieć znaczenie.

Wypatroszyła owego kawalera do towarzystwa w tunelu. Pozwoliła, by jego ciało osunęło się na ziemię i zamknęła oczy, a wyglądała przy tym dokładnie tak jak wtedy, gdy ogarniało ją pożądanie. Kiedy zaś na powrót je otworzyła...

Zabójczynie. Kłamczucha. Złodziejka.

Nadal siedziała na szezlongu ze swoim księciem Fae. Oboje przyglądali się scenie w tunelu, jakby było to wydarzenie sportowe. Patrzyli, jak Archer Finn osuwa się na kamienną posadzkę, jak rozlewa się jego krew, jak jego twarz zniekształca cierpienie i szok. Patrzyli, jak Chaol stoi oniemiały, nie mogąc drgnąć czy powiedzieć choć słowo, a ona, zabójczynie i morderczynie, wdycha śmierć. Rozkoszuje się zemstą.

Patrzyli, jak Celaena Sardothien kończy się i rozpada.

Nadal próbował jej strzec. Wyprowadzić ją. Odpokutować.

„Zawsze będziesz moim wrogiem!” – wyrzeszczała, a w jej głosie pobrzmiwała nagromadzona przez dziesięć lat furia.

Jej wściekłość nie była udawana. Była szczerą i autentyczną. Znał ją każdy, kto doświadczył tyle zła ze strony Adarlanu.

Yrene też ją znała.

Z kolejnego kłębu ciemności wyłonił się ogród.

Ogród, chata, kobieta oraz jej roześmiana córka.

Yrene.

Nie spodziewał się tego ujrzeć. Nie spodziewał się jej tu zobaczyć.

Mimo to wyłoniła się z mroku.

Zawiódł i ją. Skrzywdził zarówno ją, jak i Nesryn.

Powinien był poczekać. Powinien był uszanować obie na tyle, by zakończyć związek z jedną, nim zwiąże się z drugą, ale to chyba również mu nie wyszło.

Aelin i Rowan nadal siedzieli w blasku słońca na balkonie.

Zobaczył, jak księżę Fae delikatnie, z szacunkiem ujmuje dłoń Aelin i obraca ją. Odwraca jej nadgarstek ku słońcu. Odślania słabe, ledwie widoczne ślady pozostawione przez kajdany.

Zobaczył, jak Rowan delikatnie muska blizny kciukiem, a wtedy ogień w oczach Aelin bucha ze

zdwojoną siłą.

Pieścił jej blizny i gładził, a maska Aelin zniknęła. Pojawiła się prawdziwa ona.

W jej twarzy huczał ogień. A wraz z nim furia. Spryt.

A także smutek. Lęk. Rozpacz. Wina. Wstyd.

Duma, nadzieja i miłość. Ciężar, przed którym raz umknęła, ale...

„Kocham cię”.

„Przykro mi”.

Próbowała wszystko wyjaśnić. Przekazała mu prawdę najlepiej jak umiała. By później, po jej wyjeździe, zdołał poukładać sobie fakty i dotarł do sedna. Nie żartowała ani nie przesadzała. Naprawdę było jej przykro.

Za kłamstwa. Za to, co mu zrobiła i w co zamieniła jego życie. Za to, że obiecywała, że go wybierze, bez względu na wszystko. Na zawsze.

Chciał ją znienawidzić za te kłamstwa. Za te fałszywe obietnice, o których zapomniała w mglistych lasach Wendlyn.

A mimo to...

Mimo to siedziała teraz wraz ze swym księciem, a jej maska opadła...

Uświadomił sobie, że ona również dotarła na samo dno. Rowan poznał ją w chwili, gdy miała duszę w strzępach. Pokazała mu się taką, jakiej nie widział jej nikt wcześniej. I podniosła się. Doszła do siebie. Odzyskała równowagę.

A jednak zaczęła, nim mu się oddała.

Chaol zaciągnął Yrene do łóżka, nawet nie myśląc o Nesryn, podczas gdy Aelin...

Ona i Rowan patrzyli teraz na niego. Dzicy i drapieżni niczym zwierzęta w sercu puszczy, ale w ich oczach ujrzał zrozumienie. Oni wiedzieli.

Aelin zakochała się w innym mężczyźnie i pragnęła go równie mocno, jak on pożądał Yrene, a mimo to ona, właśnie ona, zuchwała, lekceważąca i nieszanująca żadnych świętości, uszanowała go. Bardziej, niż on uszanował Nesryn.

Aelin pochylała głowę, jakby chciała przytaknąć.

A Rowan? Księżę pozwolił jej na powrót do Adarlanu. Chciał, by rozpoczęła walkę o swoje królestwo, ale także zdecydowała, czego naprawdę pragnie. Kogo pragnie. I gdyby wybrała Chaola...

W głębi serca wiedział, że gdyby to miało przynieść Aelin szczęście, Rowan wycofałby się bez słowa. Nie wyznałby jej nawet tego, co czuje.

Przygniótł go wstyd, nieprzyjemny, wywołujący obrzydzenie.

Nazwał ją potworem.

Za jej moc, za to, co zrobiła, a mimo to...

Nie obwiniał jej. Rozumiał ją.

Rozumiał, że złożyła pewne obietnice, ale... ale się zmieniała. Droga, którą podążała przez życie, również nie była już ta sama.

Wszystko rozumiał.

On też obiecał coś Nesryn lub przynajmniej dał jej kilka rzeczy do zrozumienia. A kiedy w nim również zaszły zmiany, gdy jego droga zaczęła się przekształcać, a potem pojawiła się na niej Yrene...

Zrozumiał i to.

Aelin uśmiechnęła się łagodnie, po czym wraz z Rowanem rozplłynęli się w blasku słońca. Pozostała po nich jedynie posadzka z czerwonego marmuru, a na niej kałuża krwi.

I odcięta głowa, tocząca się po gładkich płytkach podłogi.

I księżę krzyczący z bólu, wściekłości i rozpacz.

„Kocham cię”.

„Uciekaj”.

To był moment, który zdecydował o wszystkim. Od tamtej chwili wszystko zaczęło się walić. Od chwili, gdy się odwrócił i uciekł. Gdy pozostawił swego przyjaciela i brata w tamtej komnacie. Gdy umknął przed walką, przed śmiercią.



Dorian wybaczył mu to. Nie miał do niego żalu.

Chaol jednakże wciąż nie mógł tego zapomnieć. Wciąż dokuczała mu świadomość, że umknął. Wszystko, co planował, wszystko, co chciał ocalić, runęło w gruzy.

Dorian stał przed nim z rękami w kieszeniach i lekkim uśmiechem na twarzy.

Nie zasługiwał na to, by służyć takiemu człowiekowi. Takemu królowi.

Mrok wciągnął go głębiej. Pokazał mu zakrwawioną salę narad. Pokazał mu księcia i króla, którym służył, i to, co zrobili. To, co wyrządzili jego ludziom. To, czym się zajmowali w owej komnacie pod zamkiem.

Widział uśmiech Doriana, gdy Ress krzyczał z bólu, a Brullo pluł mu w twarz.

Wszystko to było jego winą. Wszystko. Każda chwila bólu, każda śmierć...

Widział dłonie Doriana, którymi ujmował rozmaite narzędzia tortur. Widział tryskającą krew i miażdżone kości. Widział czyste dłonie księcia, które nie wykonują ani jednego fałszywego ruchu. I ten uśmiech...

Wiedział. Od początku wiedział. Od razu odgadł. W żaden sposób nie będzie w stanie tego cofnąć ani za to odpokutować. Nie wróci swoich ludzi do życia, nie skłoni Doriana, by zapomniał o tym, co się wydarzyło.

Nie pomoże Dorianowi, którego on sam porzucił w zamku.

Ciemność pokazywała mu tamte chwile, raz za razem.

Chwilę, gdy Dorian postanowił walczyć. W którym ujawnił swą magię, co było właściwie równoznaczne z karą śmierci, i zdobył dla niego trochę czasu na ucieczkę.

Tak bardzo się obawiał... Tak bardzo się bał magii, utraty... Bał się wszystkiego, ale ów lęk... i tak popchnął go do irracjonalnych czynów. Opierał się ze wszystkich sił, ale i tak w końcu strach odebrał mu wszystko. Niestety, nie zdążył zareagować w porę tak jak należało. Było już za późno.

A gdy ujrzał to, co było najgorsze, gdy ujrzał naszyjnik Doriana oraz trupy swych ludzi, które zwisały z bram pałacowych, ogryzane przez ptactwo, coś w nim pękło. Na wskroś. Osunął się w głąb przepaści. Rozpadł się na kawałki. Później próbował o wszystkim zapomnieć i w sumie zdołał powrócić do normalnego życia w Rifthold, nawet mimo swego kalectwa, ale niewiele mu to dało.

Miał wrażenie, że obwiązuje bandażem ranę, która sięga daleko w głąb ciała.

Nie doszedł do siebie. Nie wyzdrowiał.

Nie odnalazł spokoju. Nie odnalazł równowagi. W głębi jego serca nadal szalała burza i Chaol uświadomił sobie, że wcale nie chce się wyleczyć. Cóż, dobrze byłoby odzyskać sprawność ciała, ale mimo to... Czasami słyszał w głowie jakiś szept, który tłumaczył mu, że zasłużył sobie na to wszystko.

A co do ran w jego duszy... Cieszył się, że nadal przeżerają go na wskroś.

Był nieudacznikiem, kłamcą i krzywoprzysięzcą.

Ciemność mrowiała i falowała, przesywana podmuchami wiatru. Mógłby pozostać tu na zawsze, w tej pozbawionej czasu czerni.

„Tak” – szepnęła ciemność w odpowiedzi.

Mógł tu pozostać. Mógł szaleć, nienawidzić i kulić się, aż sam zamieniłby się w cień, ale Dorian nadal stał przed nim i uśmiechał się lekko. Czekał. Czekał.

Czekał na niego.

Przecież Chaol złożył mu jeszcze jedną obietnicę, tę, której nie zdołał złamać. Miał ich ocalić. Miał przyjść z pomocą przyjaciółom i królestwu.

Tak, wciąż pozostał mu ten cel w życiu. Nawet tu, na samym dnie przesyconego mrokiem piekła wciąż miał ten cel.

A owa droga, po której wędrował od tak dawna... Nie, nie będzie się oglądał za siebie.

„A co pocniemy, gdy w istocie będziemy iść do przodu, a po drodze będziemy natrafiać na coraz więcej bólu i rozpacz?”

Aelin uśmiechnęła się, słysząc to pytanie zadane na dachu kamienicy w Rifthold. Jakby już wtedy wiedziała, o wiele szybciej od niego, że on również runie we własną przepaść. I sam poszuka odpowiedzi dla siebie.

„Wówczas trzeba będzie bardziej się postarać”.

A więc to jeszcze nie koniec. Owo pęknięcie w jego duszy, ta przepaść, ten mrok... To jeszcze nie koniec.

Pozostała mu jeszcze jedna obietnica do wypełnienia.

Ta, której dotrzyma.

Uśmiechnął się do Doriana, którego szafirowe oczy lśniły radością i uwielbieniem.

„Wracam do domu” – rzekł do brata. Do swego króla.

Ten jedynie pochylił głowę i znikł wśród ciemności.

Za nim pojawiła się Yrene, która jaśniała białym światłem niczym nowo narodzona gwiazda.

„Ciemność należy do ciebie – powiedziała cicho. – Możesz uformować ją, jak zechcesz. Możesz nadać jej moc lub uczynić nieszkodliwą”.

„A więc skąd ona się w ogóle wzięła? – spytał. Echo poniosło jego słowa w nicość. – Czy ona w ogóle należała do Valgów?”.

„Tak, ale teraz należy do ciebie. To, co z niej pozostało, jest twoje”.

A więc cząstka mroku zostanie w nim na zawsze. Jako blizna i pamiątka.

„Czy odzyska poprzednie rozmiary?”.

„Tylko jeśli jej na to pozwolisz. Jeśli nie wypełnisz jej lepszymi rzeczami. Jeśli nie wybaczysz”.

Wiedział, że nie ma na myśli tylko innych ludzi.

„Ale jeśli będziesz dobry dla siebie, jeśli... – Usta Yrene zadrżały. – Jeśli będziesz kochał siebie tak bardzo, jak ja ciebie kocham...”.

Coś zaczęło tłuc się w jego piersi. Rozległ się łomot, który ucichł dawno temu.

Yrene wyciągnęła ku niemu dłoń. Otaczająca ją aura przeganiała mrok.

„To jeszcze nie koniec”.

„Będzie bolało? – spytał ochryplym głosem. – Wiesz, droga powrotna? Zaboli?”.

Droga powrotna... Droga do życia. Do bycia sobą.

„Tak – szepnęła Yrene. – Ale to już po raz ostatni. Ciemność nie chce cię stracić”.

„Obawiam się, że nie mogę powiedzieć tego samego”.

Uśmiech Yrene był jaśniejszy od poświaty, która otaczała jej ciało.

Była gwiazdą. Gwiazdą, która spadła na ziemię.

Znów wyciągnęła dłoń.

Chaol ujrzał w tym milczącą obietnicę, zwiastun tego, co czekało po drugiej stronie mroku.

Nadal miał tyle do zrobienia. Miał przysięgi, których musiał dotrzymać. A gdy patrzył na nią, na jej uśmiech, przypominał sobie, że miał również życie. Życie, z którego miał czerpać radość, o które miał walczyć.

A owo pęknięcie w jego duszy, które zaczęło się tutaj i tutaj kończyło... Tak, ono również należało do niego. Stanowiło jego część. Miał prawo pękać, załamywać się i kruszyć, choćby po to, by móc na powrót wykuć swą duszę. By móc stać się sobą.

Przecież był to winien swemu królowi i swej ojczyźnie. Był to winien sobie samemu.

Yrene pokiwała głową, jakby chciała się z nim zgodzić.

I tak oto Chaol powstał. Przyjrzał się owej ciemności, która stanowiła część jego samego. Nie wzdragał się już, nie bał.

Uśmiechnął się do Yrene i wziął ją za rękę.

Ból, rozpacz i strach. Radość, śmiech i odpoczynek.

Chaol widział przed sobą całe życie i gdy mrok runął znów na niego i na Yrene, nie czuł już strachu. Patrzył w ciemność i uśmiechał się.

Nie był już złamanym, zniszczonym człowiekiem. Powstał na nowo. Odrodził się.

A gdy ciemność spojrzała na niego, Chaol musnął jej policzek dłonią. Ucałował jej czoło, a ta wypuściła go i odtoczyła się, by wpaść do swej przepaści. Skuliła się na kamiennej podłodze i przyglądała mu się w ciszy, ostrożnie.

Nagle poczuł, że się unosi, że zostaje wessany przez nazbyt wąskie drzwi. Yrene trzymała go mocno. Uświadomił sobie, że to ona ciągnie go ku górze. Nie puściła go. Nie zawahała się.

Trzymając Chaola, pomknęła niczym gwiazda wznosząca się ku nocnemu niebu.

Uderzyło w nich białe światło.

Nie, nie białe. Światło dnia.

Oślepiiony Chaol zacisnął powieki.

W pierwszej chwili nie czuł nic. Nie było bólu. Nie było odrętwienia. Nie było wyczerpania i znużenia.

Wszystko znikło.

A jego nogi... Poruszył jedną z nich.

Przyszło mu to z niewysłowioną łatwością. Przesunął ją bez najmniejszego trudu.

Spojrzał w prawo, gdzie zawsze siedziała Yrene. Uzdrowicielka uśmiechnęła się do niego.

– Jak to możliwe? – wychrypiął.

Jej przepiękne oczy wypełniła radość.

– Moja teoria... Wyjaśnię ci to później.

– Czy moje znamię...

– Jest o wiele mniejsze, ale nadal tam jest. – Yrene przyłożyła palec do punktu na jego kręgosłupie. – Choć nie wyczuwam niczego, gdy go dotykam. Zupełnie niczego.

Pamiątka. Tak jakby jakiś bóg chciał, by pamiętał o tym, co się wydarzyło. Chaol usiadł, nie mogąc się nadziwić odzyskanej swobodzie.

– Uzdrowiłaś mnie.

– Myślę, że tym razem to oboje jesteście autorami sukcesu.

Jej skóra była blada, a usta wręcz sine. Chaol musnął jej policzki kciukami.

– Dobrze się czujesz?

– Ja... jestem po prostu zmęczona. Ale nic mi nie jest. A ty? Jak się czujesz? Dobrze?

Chaol porwał Yrene, posadził ją sobie na kolanach i przytknął czoło do jej szyi.

– Tak – szepnął. – Po tysiącokroć tak.

Czuł taką lekkość w piersi i w ramionach!

Yrene jednakże pacnęła go w ramię.

– Ale nadal musisz na siebie uważać! Przecież dopiero co odzyskałeś pełną swobodę ruchu. Nadal możesz zrobić sobie krzywdę! Musisz dać swemu ciału nieco czasu na odpoczynek. Pozwól mu, by samo również zaczęło dochodzić do siebie.

– A co się kryje w słowie „odpoczynek”? – Chaol uniósł brew.

Uśmiech Yrene stał się nieco kpiący, gdy powiedziała:

– Różne rzeczy, ale o niektórych dowiedzą się tylko szczegółni pacjenci.

Chaol poczuł, jak budzi się w nim pożądanie, ale Yrene w porę zsunęła się z jego kolan.

– Myślę, że przede wszystkim powinienes się wykąpać.

Zamrugnął, patrząc po sobie, a potem na łóżko i aż się wzdrygnął. Prześcieradła i jego lewe ramię były pokryte wymiocinami.

– Kiedy...

– Nie jestem pewna.

Zachodzące słońce w istocie pozłociło już ogród i zasłało pokój długimi cieniami. Minęły godziny. Spędzili tu cały dzień...

Chaol wstał i zrobił kilka kroków. Nie mógł się nadziwić, że znów idzie przez świat gładko niczym ostrze tnące jedwab. Szedł ku pokojowi łaziennemu, aż poczuł na sobie jej wzrok.

– Gorąca woda nie zaszkodzi mi już? – zawołał przez ramię, ściągając spodenki i wchodząc do rozkosznie ciepłej wanny.

– Nie! – odkrzyknęła uzdrowicielka. – Nie masz już przecież obolałych mięśni!

Chaol zanurzył się, mył się i szorował. Każdy jego ruch... Och, na bogów.

Pogрузił się w wodzie, a gdy znów się wynurzył, ocierając mokrą twarz, ujrzał Yrene w zwieńczonych łukiem drzwiach do komnaty łaziennej. Znieruchomiał, widząc jej roziskrzone spojrzenie.

Powoli rozwiązała tasiemki z przodu swej fioletowej szaty. Pozwoliła, by suknia zsunęła się na ziemię wraz z jej bielizną. Zaschło mu w ustach, gdy zrobiła krok ku niemu, nie spuszczać go z oczu. Szła, kołysząc biodrami, aż zeszła do wody. Krew huczała mu w skroniach.

Przypadł do niej, nim zrobiła pierwszy krok.

\*\*\*

Nie zdążyli na kolację. Na deser również nie. I na wieczorną *kahve*.

Kadja wkradła się podczas kąpieli, by wymienić pościel, ale Yrene nie potrafiła już obudzić w sobie zażenowania na myśl o tym, co słyszała służąca. A na pewno nie byli cicho w wodzie.

Podczas następnych godzin również nie.

Gdy wreszcie odsunęli się od siebie, Yrene była wyczerpana i tak spocona, że kolejna wyprawa do łazienki wydawała się nieunikniona. Nie mogła podnieść rąk ani poruszyć nogami, a klatka piersiowa Chaola wznosiła się i opadała, gdy łączywie wciągał powietrze.

W namiocie na pustyni był niesamowity, ale teraz, gdy odzyskał w pełni władzę nad ciałem i zwalczył gnijącą czern w głębi swej duszy...

Wycisnął pocałunek na jej spoconym, lepkiem czole. Włosy uzdrowicielki, niesfornie kręcące się po kąpieli, kleiły mu się do ust. Palcami drugiej ręki zataczał kółka w dole jej pleców.

– Powiedziałaś coś – szepnął. – W głębi przepaści.

Yrene była zbyt wyczerpana, by wydać z siebie jakikolwiek inny dźwięk poza sennym mruknięciem.

– Powiedziałaś, że mnie kochasz.

To ją rozbudziło. Poczła niespodziewany ucisk w żołądku.

– Nie czuj się zobligowany, by...

Chaol uciszył ją spokojnym, nieporuszonym spojrzeniem.

– Czy to prawda?

Yrene przesunęła palcem wzdłuż blizny na jego policzku. Niewiele widziała z tego, co miało miejsce na początku. Wniknęła w jego wspomnienia dopiero w chwili, gdy pojawił się wśród nich ów piękny, ciemnowłosy mężczyzna – Dorian! – który uśmiechał się do niego. Wyczuła jednak i domyśliła się, kto pozostawił tę bliznę.

– Tak – przyznała. Choć jej głos był cichy, wierzyła w to całą sobą. Z całego serca.

Kąciki jego ust lekko drgnęły.

– To dobrze się składa, Yrene Towers, że ja też cię kocham.

Poczła ucisk w klatce piersiowej. Czula, że to, co w niej nabrzmiewa, co krąży w jej żyłach, przestaje mieścić się w ciele.

– Od chwili, gdy po raz pierwszy weszłaś do salonu – ciągnął Chaol. – Tak, to się chyba wtedy zaczęło.

– Byłam dla ciebie kimś obcym.

– Ale patrzyłaś na mnie bez odrobiny współczucia. Widziałaś mnie, a nie ten fotel na kółkach

czy kalectwo. Widziałas mnie. Po raz pierwszy w zyciu poczułem się... widziany. Po raz pierwszy od dawna poczułem, że się budzę.

Pocałowała go w pierś, tuż nad sercem.

– Bo jak mogłabym się oprzeć takiej muskulaturze?

Jego śmiech rozbrzmiał w jej ciele i kościach.

– To ci dopiero profesjonalistka!

Yrene uśmiechnęła się, wtulona w jego skórę.

– Inne uzdrowicielki nigdy mi tego nie wybaczą, a Hafiza już zaciera dłonie z radości.

Niespodziewanie zeszywniała, gdy przypomniała jej się droga, jaką mieli przed sobą. Wybory, jakie ich czekały.

– Po powrocie Nesryn wszystko jej wyjaśnię – rzekł Chaol po chwili. – Choć zdaje mi się, że ona domyśliła się wszystkiego na długo przede mną.

Yrene pokiwała głową, próbując opanować dreszcze, które zawładnęły jej ciałem.

– A poza tym, Yrene, musisz wiedzieć, że wybór należy do ciebie. To ty decydujesz, kiedy wyjedziesz i w jaki sposób. O ile naprawdę tego chcesz.

Uzdrowicielka najeżyła się.

– Ale jeśli sobie tego zażyczysz, znajdę dla ciebie miejsce na moim statku. Obok mnie.

Yrene mruknęła powabnie i obwiodła palcem jego sutek.

– Jakie miejsce?

Chaol przeciągnął się jak kot, splótł ramiona za głową i rzekł przeciągle:

– Miałem na myśli typowe zadania: gotowanie, pranie, zmywanie...

Yrene ugodziła go łokciem w żebra, na co parsknął śmiechem. Był to piękny odgłos, niski i melodyjny. Jego oczy złagodniały, gdy ujął jej twarz.

– A jakie miejsce ci się marzy, Yrene?

Gdy usłyszała pytanie i tembr głosu, jakim zostało zadane, jej serce zaczęło łomotać jak szalone, ale uśmiechnęła się krzywo i powiedziała:

– Takie, które da mi prawo, by na ciebie wrzeszczeć, gdy nie będziesz się szanować.

Musnęła dłonią jego nogi, a potem plecy. Tak, przez jakiś czas będzie musiał dbać o siebie.

Znów się uśmiechnął i położył się na niej.

– Dobrze się składa – oznajmił. – Bo znam idealną pozycję.

Po ich powrocie w gniazdowisku Eridun zapanował obłęd.

Falkan zdołał ująć z życiem, ale był ciężko ranny i nieprzytomny.

Na widok obwisłego, pajęczego cielska ruki ogarnęła furia tak wielka, że Houlun musiała zasłonić zmiennokształtnego własnym ciałem, aby uchronić go przed rozszarpaniem.

Sartaq zdołał się utrzymać na nogach wystarczająco długo, by uściskać Kadarę i wezwać uzdrowicielkę, a potem zawisł na ramieniu Borte, zbryzganej czarną krwią i uśmiechniętej od ucha do ucha. Chwilę później oderwał się jednak od niej i uściśnął rękę Yeranowi, manifestacyjnie ignorowanemu przez Borte. Przyglądająca się scenie Nesryn doszła do wniosku, że czasy otwartej wrogości pozostawili za sobą.

– Jak? – Sartaq spytał Borte.

Nesryn stała nad ciałem nieprzytomnego Falkana i strzegła go przed wciąż niespokojnymi rękami.

Yeran chwilę wcześniej pożegnał się ze swą drużyną jeźdźców, którzy wyruszyli w drogę powrotną do Berladu. Teraz odstąpił od swego rumaka i odpowiedział zamiast swej narzeczonej:

– To Borte mnie ściągnęła. Powiedziała, że wybiera się na idiotycznie niebezpieczną misję, a ja mogę pozwolić jej zginąć albo polecieć wraz z nią.

Sartaq zaśmiał się ochryple.

– Nie miałaś prawa! – powiedział do Borte, zerkając na Houlun, która klęczała u boku Falkana. Na twarzy Matki Przy Palenisku widniała mieszanina ulgi oraz bezgranicznej furii.

Borte parsknęła.

– O ile dobrze pamiętam, zabroniła mi tego Matka Przy Palenisku z Eridun. Ale skoro jestem obecnie zaręczona z kapitanem z Berladu – na twarzy Yerana pojawił się grymas rozczarowania, gdy podkreśliła słowo „obecnie” – jestem również zobowiązana do okazywania lojalności tamtejszej Matce Przy Palenisku. Ona zaś nie miała żadnych skrupułów i z ochotą zgodziła się, bym spędziła kilka miłych chwil z moim narzeczoną.

– Pogadam z nią o tym w cztery oczy – zasyczała Houlun, podnosząc się.

Przeszła obok nich, przykazując pod drodze kilku osobom, by zabrali Falkana w głąb korytarza. Ci posłusznie spełnili jej wolę, choć krzywili się pod ciężarem pająka.

Borte wzruszyła ramionami i poszła w ślad za Houlun.

– Przynajmniej jego Matka Przy Palenisku ma zbliżoną definicję „miłych chwil” do mojej – rzuciła na odchodne.

Nesryn mogłaby przysiąc, że obdarzyła też Yerana sekretnym, ledwie zauważalnym uśmiechem. Kapitan Berladu wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym zwrócił się ku pozostałym i uśmiechnął się krzywo.

– Obiecała, że ustali datę ślubu. Gdyby nie to, Matka Przy Palenisku nigdy by się nie zgodziła na naszą wyprawę. – Mrugnął do Sartaqa. – Szkoda, że nie powiedziałem jej, że mnie akurat ta data w ogóle nie pasuje.

Po czym ruszył w ślad za Borte, podbiegając kilka kroków, by ją dogonić. Dziewczyna odwróciła się i parsknęła do niego ostro, ale pozwoliła, by podążył za nią.

Nesryn spojrzała na Sartaqa w chwili, gdy ten się zachwiał.

Skoczyła ku niemu. Jej obolałe ciało zaprotestowało, ale zdołała złapać go w pasie. Ktoś zawołał uzdrowicielkę, ale książę odzyskał równowagę, choć nie wypuścił dziewczyny z ramion. Sama łuczniczka nie miała zaś najmniejszej ochoty go puszczać.

Spojrzał na nią. Na jego ustach znów pojawił się ów łagodny uśmiech.

– Uratowałam mnie.

– Uznałam, że opowieści o Skrzydlatym Księciu nie mogą się tak kiepsko skończyć – odparła, przyglądając się ranie na jego nodze. – Powinieneś usiąść i...

Po drugiej stronie korytarza rozbłysło jakieś światło i rozległy się ludzkie krzyki. Ogromny pająk znikł, a zamiast niego na ziemi leżał mężczyzna o ciele pokrytym ranami i skaleczeniami.

Gdy Nesryn spojrzała z powrotem na Sartaq, ujrzała, że przygląda się jej twarzy. Poczowała ucisk w gardle i zacisnęła usta w drżącą linię, gdy uświadomiła sobie wreszcie, gdzie się znaleźli. Udało im się.

Powrócili. Przeżyli.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła tak wielkiego strachu i takiej rozpaczyny jak w chwili, gdy pająki wciągnęły go w mrok.

– Nie płacz – szepnął Sartaq i pochylił się, by ustami zebrać niesforne łzy. – Co by ludzie powiedzieli o Strzale Neith, gdyby ujrzeli ją w takim stanie?

Nesryn zaśmiała się wbrew sobie, wbrew wszystkiemu temu, co się wydarzyło, i opłotła go ramionami najmocniej, jak się ośmieliła. Oparła głowę na jego piersi.

Sartaq bez słowa pogładził ją po włosach i sam również ją objął.

\*\*\*

Rada Klanów zebrała się dwa dni później o świcie.

Matki Przy Palenisku oraz ich kapitanowie z każdego gniazdowiska zbrali się w głównej sali. Przybyszów było tylu, że wypełnili całe pomieszczenie.

Nesryn przespała poprzedni dzień.

Bynajmniej nie w swojej komnacie, lecz u boku księcia, który stał teraz z nią przed zgromadzonymi. Wykapali się, ich rany zostały opatrzone i choć z Sartaqiem połączyło ją dopiero kilka pocałunków, wcale nie protestowała, gdy ten ujął ją za rękę i kuszykając, udał się do swej sypialni.

Zasnęli, a gdy się przebudzili, ich rany zostały na nowo opatrzone, a potem ruszyli do sali pełnej jeźdźców.

Pod ścianą siedział Falkan – miał rękę na temblaku, ale jego wzrok był przytomny. Nesryn uśmiechnęła się do niego, ale nie było teraz czasu na rozmowę. Nie miała czasu, by podzielić się prawdą, którą nosiła w sobie.

Houlun powitała wszystkich zebranych i w sali zapadła cisza. Nesryn stała tuż obok Sartaq. Dziwnie wyglądał z krótkimi włosami. Dziwnie, ale nie najgorzej.

„Odrośną” – powiedział rano, widząc jej grymas.

Po powitaniu ze strony Houlun zgromadzeni zwrócili na nich swą uwagę. Niektóre spojrzenia były ciepłe i przyjazne, w innych dało się wyczuć troskę, w jeszcze innych zacięcie i złość.

– *Kharankui* znów się poruszyły – oznajmił książę, co obudziło szepty i ciche rozmowy w całej sali. – Klan Berlad z wielką odwagą uporał się z zagrożeniem, ale pająki przypuszczalnie powrócą. Usłyszały już wezwanie ciemnych sił, które obiegiło cały świat, i są gotowe, by na nie odpowiedzieć.

Nesryn wystąpiła i uniosła głowę. Choć słowa, które przygotowała, przepełniały ją przerażeniem, wypowiedzenie ich przyszło jej równie łatwo jak oddychanie.

– Dowiedzieliśmy się wielu rzeczy na Przełęczu Dagul. – Jej głos odbił się echem od słupów i kamiennych ścian. – Informacje te odmieniają charakter wojny toczącej się na północy. I zmieniają ten świat.

Nikt nie spuszczał z niej teraz oczu. Houlun pokiwała głową, a siedząca obok niej Borte uśmiechnęła się, by dodać jej otuchy. Nieopodal zasiadał Yeran, który co chwila zerkał na narzeczoną.

Palce Sartaq musnęły jej dłoń. Raz. Gest był ponagleniem, ale i obietnicą.

– Na Północnym Kontynencie nie mierzymy się z armią ludzi – ciągnęła Nesryn. – Walczymy z armią demonów. Jeśli nie chwycimy za broń, by uporać się z zagrożeniem, jeśli nie staniemy do walki wspólnie, jako jeden lud, czeka nas zagłada. Nas wszystkich.

Opowiedziała im pełną historię. O Erawanie i o Maeve. Nie wspomniała jedynie o Kluczach, ale gdy skończyła, w sali rozgorzały prowadzone szeptem rozmowy.

– Wybór pozostawiam wam – rzekł Sartaq mocnym głosem. – Koszmar, który wypełza z Łańcucha Dagul, to dopiero początek. Nie będę was osądzał, jeśli postanowicie trzymać się od tego z daleka. Niemniej ci, którzy mnie poprą, polecą do boju pod sztandarem kagana. Pozostawimy was

teraz, byście omówili tę kwestię we własnym gronie.

Z tymi słowami ujął Nesryn za rękę i wyszedł z sali. Za nimi udał się Falkan. Borte i Houlun pozostały na miejscu jako głowy klanu Eridun. Nesryn wiedziała, że są za tym, by polecieć na północ, ale pozostali...

Za ich plecami szepty zamieniły się w ożywioną debatę. Sartaq, Nesryn i Falkan dotarli do jednej z prywatnych komnat, ale książę po chwili mrugnął do pozostałych i udał się do kuchni, by przynieść coś do jedzenia.

Nesryn, pozostawiona sama na samą ze zmiennokształtnym, podeszła do ognia i ogrzała dłonie.

– Jak się czujesz? – spytała, zerkając przez ramię na Falkana, który opadł na drewniane krzesło z niskim oparciem.

Ten skrzywił się i podrapał po nodze.

– Nigdy już nie pozwól mi na zabawę w bohatera.

Zaśmiała się, wpatrzona w strzelające płomienie.

– Dziękuję ci. Za to wszystko – powiedziała.

– Nie ma w moim życiu nikogo, kto by za mną tęsknił.

Gardło Nesryn ścisnęło się, gdy usłyszała jego słowa, ale zapytała:

– Jeśli polecimy na północ, najpierw do Antyki, a potem na Północny Kontynent... – zaczęła, ale zawahała się. Nie potrafiła już użyć słowa „dom” w tym kontekście. – Udasz się z nami?

Zmiennokształtny milczał przez moment.

– A właściwie to po co? Przydam się komukolwiek na co?

Nesryn odwróciła się w końcu od ognia. Jej oczy łśniły.

– Opowiem ci pewną historię.

\*\*\*

Falkan płakał.

Schował twarz w dłoniach i płakał, słuchając słów łuczniczki. Nie znała dobrze przeszłości Lysandry i wielu rzeczy mogła się tylko domyślać, ale pasował zarówno jej wiek, jak i miejsce, w którym spędziła dzieciństwo. Nie zgadzał się jedynie wygląd. Matka opisywała, że jej córka to zwykła, ciemnowłosa dziewczynka, a nie czarnowłosa piękność z zielonymi oczami.

Ale zgodził się. Zgodził się skwapliwie. Był gotów udać się na wojnę, by ją ujrzeć. Swą bratanicę, ostatni strzępek jego rodziny, którego nigdy nie przestał szukać.

Sartaq wrócił z jedzeniem. Pół godziny później dotarła do nich wieść, że klany podjęły decyzję.

Nesryn podeszła do drzwi, a Sartaq ujął jej drżącą dłoń. Ich palce splotły się, po czym książę poprowadził ją ku głównej sali, w której panowała już cisza. Falkan podniósł się ze stęknieniem bólu, otarł łzy i pokuszył się za nimi.

Przebyli zaledwie kilka kroków, gdy wpadł na nich posłaniec, zdyszana dziewczyna o dzikim spojrzeniu. Nesryn odsunęła się od Sartaqa, by ten mógł się z nią rozmówić, ale okazało się, że dziewczyna miała wiadomość dla niej.

Ręce Nesryn zadrżały, gdy rozpoznała charakter pisma. Czowała, że Sartaq również zeszywniał, gdy uzmysłowił sobie, że list został napisany przez Chaola. Zrobił krok w tył i zamknął oczy, dając jej tym samym możliwość, by w spokoju zapoznała się z treścią.

Przeczytała wiadomość dwukrotnie. I nabrała tchu, by opanować nudności.

– On... on chce, bym wróciła do Antyki – szepnęła. List szeleścił w jej drżących rękach. – Prosi nas, byśmy wracali natychmiast. Najszybciej jak się da.

Sartaq wziął list i sam go przeczytał. Falkan przyglądał mu się w ciszy.

Książę zaklął.

– Coś jest nie tak – powiedział, a Nesryn pokiwała głową.

Skoro Chaol, który nigdy nie prosił o pomoc i nigdy jej nie potrzebował, teraz namawiał ich do pośpiechu... Zerknęła na radę, która czekała, by ogłosić decyzję, ale odwróciła się ku księciu i spytała:

– Kiedy możemy wylecieć?



Poranek szybko minął, ale Yrene nie miała wielkiej ochoty wstawać z łóżka. Chaol zresztą też. Bez pośpiechu zjedli posiłek w salonie, nie dbając nawet o to, by się odpowiednio ubrać.

Nie mogli poganiać Hafizy, która sama musiała podjąć decyzję, czy przekazać im te księgi czy też nie. Pozostało im więc tylko czekać. A potem znów czekać, aż spotkają się z Aelin Galathynius lub kimkolwiek innym, kto potrafi je odczytać.

– W tych księgach muszą się kryć istotne informacje – zastanawiał się Chaol, żując nasiona granatu. Owoce, które wkładał sobie do ust, przypominały małe rubiny.

– Jeśli w istocie są tak stare, jak sądzą... – powiedziała Yrene. – Jeśli naprawdę pochodzą z nekropolii lub podobnych miejsc, mogą okazać się prawdziwym skarbem. Mogą nam zdradzić wiele o Valgach i naszych związkach z nimi.

– Aelin natknęła się na kilka takich tomów w Rifthold – rzekł Chaol. – Naprawdę miała sporo szczęścia.

Zeszłej nocy opowiedział jej o wszystkim. O zabójczyni imieniem Celaena, która okazała się królową Aelin. Nie zataił żadnego szczegółu i przedstawił jej całą historię, długą i smutną. Jego głos ochrypl, gdy mówił o Dorianie, o naszyjniku oraz księciu Valgów. O tych, których utracili. O własnej roli w wydarzeniach, o ofiarach, które poniósł i obietnicach, które złamał. Nie zataił niczego.

I gdyby Yrene już nie kochała go z całego serca, pokochałaby go po tym, jak poznała całą prawdę. Wreszcie bowiem ujrzała w pełni, jakim człowiekiem się stał po tylu tragediach.

– Król jakimś cudem przeoczył je podczas polowania na zakazane tomy.

– A może to jakiś bóg zatroszczył się o to – stwierdziła Yrene i naraz uniosła brew. – Nie ma tam pewnie żadnych kocic Baast w tej bibliotece?

Chaol pokręcił głową i odłożył resztki granatu na talerz.

– Na ramieniu Aelin zawsze siedzi przynajmniej jeden bóg – rzekł. – Na tym etapie nic już mnie nie zdziwi.

– A co się właściwie stało z królem? – zastanawiała się uzdrowicielka. – Skoro miał w sobie demona?

Chaol spochmurniał i rozparł się na nowej kanapie, niestety nie tak wygodnej jak poprzednia, która padła ofiarą włamywacza.

– Aelin go wyleczyła.

Yrene wyprostowała się.

– Jak?

– Wypaliła Valga z jego ciała. Cóż, nie sama. Pomógł jej Dorian.

– A sam król? Przeżył to?

– Nie. Znaczący, przeżył chyba samą walkę i unicestwienie demona, ale Aelin i Dorian nie chcieli specjalnie rozmawiać o tym, co miało miejsce na moście. Zdążył im wyjaśnić wszystko, co się działo do tej pory, ale myślę, że życie szybko z niego uszło. Potem Aelin zniszczyła cały zamek wraz z nim.

– Czyli ogień wypędził z niego demona?

– Tak. I wydaje mi się, że w jakiś sposób pomógł ocalić Dorianą. Lub przynajmniej uwolnił go na tyle, by mógł sam podjąć walkę – wyjaśnił Chaol, ale po chwili przechylił głowę i zmrużył oczy. – A dlaczego pytasz?

– Ponieważ ta moja teoria... – zaczęła Yrene, ale urwała. Zerwała się, rozejrzała po pokoju, popatrzyła na drzwi. Byli sami. – Myślę, że... – Pochyliła się bliżej i złapała Chaola za kolano. – Że Valgowie to pasożyty. Zarazki.

Chaol otworzył usta, ale Yrene nie przestawała mówić:

– Krótco po moim przybyciu do Antiki wraz z Hafizą wyciągnęliśmy z Hasar tasiemca. Te stworzenia żywią się kosztem nosiciela, podobnie jak Valgowie. Zaspokajają dzięki nim podstawowe potrzeby, jak głód, a w końcu zabijają nosiciela, gdy wykorzystają już wszystko, co się wykorzysta da.

Chaol znieruchomiał.

– Ale to nie są przecież bezmyślne larwy!

– Nie, i to właśnie chciałam wczoraj sprawdzić u ciebie. Chciałam się przekonać, do jakiego stopnia owa ciemność jest świadoma. Jaką dysponuje mocą i czy pozostawiła jakiegoś pasożyta w twojej krwi. Tak się nie stało, ale... Ale natrafiłam na innego pasożyta, który karmił się tobą i sprawował nad tobą kontrolę.

Chaol nie odzywał się ani słowem. Yrene odkaszlnęła i musnęła kciukiem jego nadgarstek.

– Uświadomiłam to sobie poprzedniej nocy. Zrozumiałam, że sama również noszę coś takiego. Moją nienawiść, mój gniew, mój strach i ból. – Odgarnęła niesforny lok z czoła. – Wszystkie one były pasożytami, które żerowały na mnie od lat. Podtrzymywały mnie przy życiu i dodawały mi energii, ale również żywiły się mną. – I gdy zrozumiała, że miejscem, do którego najbardziej boi się wkroczyć, jest jej własne wnętrze, miejsce, w którym musiałyby pogodzić się z tym, co tak naprawdę w niej mieszka... – Gdy uświadomiłam sobie, co robię, olśniło mnie i zrozumiałam, czym naprawdę jest Valg. Czym są nasze własne cienie. To pasożyty. Znoszenie ich obecności to nie walka z nimi, więc postanowiłam zakończyć sprawę raz na zawsze. Zaatakowałam tego pasożyta tak jak każdego innego: otoczyłam go i przytłoczyłam. Zmusiłam go, by umknął do ciebie, byś ty mógł się z nim zmierzyć i go pokonać. Byś ty mógł udać się tam, gdzie najbardziej się bałeś zapuścić i zdecydował, czy jesteś gotów wreszcie stoczyć walkę.

Jego oczy błyszczały.

– To wielkie odkrycie.

– Bez wątplenia – rzekła Yrene. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała od niego o Aelin i demonie w ciele króla. – Ogień oczyszcza, ale jako moc rzadko pojawia się wśród uzdrowicieli. Zbyt trudno jest nad nim zapanować. Częściej korzysta się z mocy wody, ale zdarzają się również inne dary, rzadkie. Takie jak mój.

– Czyli światło – rzekł Chaol. – Miałem wrażenie, że patrzę na światło, które zalewa ciemność.

Uzdrowicielka pokiwała głową.

– Aelin zdołała uwolnić Doriana i jego ojca, ale działała ostro, brutalnie, nie siląc się nawet na delikatność. Jeden z nich zresztą nie przeżył. Tymczasem może potrzeba kogoś takiego jak ja? Uzdrowicielki z moim darem, która zajmowałaby się leczeniem ludzi zarażonych przez Valgów? Pierścienie i naszyjniki to tylko urządzenia, które przenoszą zakażenie jak zanieczyszczona woda czy jedzenie. Kryją w sobie coś drobnego, cząstkę demona, który się później rozrasta w ciele nosiciela. Usunięcie ich to pierwszy krok, ale sam powiedziałeś, że demon może pozostać we wnętrzu człowieka.

Chaol oddychał krótko, nierówno, poruszony jej słowami. Skinął w odpowiedzi.

– Myślę, że mogę ich uzdrawiać – szepnęła Yrene. – Myślę, że Valgowie to... to jedynie pasożyty, a ja wiem, jak się zajmować ludźmi, którzy zostali zarażeni.

– A więc wszyscy ludzie, których porwał Erawan, których uwięził za pomocą pierścieni i naszyjników...

– Tak. – Yrene uściśniła jego dłoń. – Jesteśmy w stanie ich ocalić.

– Ale najpierw trzeba by się do nich zbliżyć, a ich potęga, Yrene...

– Przypuszczam, że w tym akurat mogą pomóc Aelin i Dorian. Pomogą mi ich zatrzymać i unieszkodliwić.

– Ale nie jesteśmy w stanie tego przetestować. Nie bez ogromnego ryzyka. – Chaol zacisnął zęby.

– To z pewnością dlatego ściga cię agent Erawana. Przypuszcza, że lecząc mnie, zdołałaś zgromadzić pewną wiedzę, i chce cię zniszczyć, zanim przekazesz ją innym uzdrowicielkom.

– Jeśli o to chodzi... To dlaczego dzieje się to dopiero teraz? Po co było czekać tak długo? Dlaczego wcześniej nie zatarli wszelkich śladów?

– Być może nawet Erawan nie zdawał sobie z tego sprawy do czasu, gdy Aelin zniszczyła Valgów w ciele Doriana oraz króla. – Chaol podrapał się po klatce piersiowej. – Ale przypomniałem sobie o pewnym pierścieniu, który kiedyś należał do Athrila, przyjaciela króla Brannona i Maeve. Dawał Athrilowi całkowitą odporność na Valgów. Był jedynym takim pierścieniem na świecie, ale zaginął.

Odnalazła go Aelin. Maeve zależało na nim tak bardzo, że w zamian za niego zgodziła się zwolnić Rowana z przysięgi krwi. Wedle legendy Mała wykuła go osobiście dla Athrila, ale... Mała przecież kochała Brannona, a nie Athrila.

Chaol zerwał się z kanapy i zaczął chodzić to w jedną, to w drugą stronę na oczach wpatrzonej w niego Yrene.

– W dawnym pokoju Aelin wisiał gobelin z jeleniem. Za nim ukryte było tajne wejście do grobowca, w którym Brannon ukrył Klucz Wyrda. Była to pierwsza wskazówka, od której rozpoczęły się długie poszukiwania Aelin.

– I? – szepnęła Yrene, cicho jak wiatr.

– Pośród zwierząt na gobelinie znajdowała się również sowa. Była to zwierzęca forma Athrila, a nie Brannona. Wszystko to okazało się skomplikowanym szyfrem. Gobelin, grobowiec, symbol za symbolem, ale sowa... Nigdy nawet nie braliśmy pod uwagę, że...

– Że co?

Chaol zatrzymał się na środku pokoju.

– Że sowa to nie tylko zwierzęca forma Athrila, ale również znak jęgo lojalności wobec kogoś innego.

Pomimo upalnego dnia ciało Yrene przeszły zimny dreszcz.

– Wobec Silby...

– Bogini Uzdrawiania. – Chaol pokiwał głową

– Mała nie wykonała tego pierścienia odporności – szepnęła Yrene.

– Nie.

Pierścień został stworzony przez Silbę.

– Musimy się udać do Hafizy – rzekła cicho Yrene. – Nawet jeśli nie pozwoli nam zabrać ksiąg, powinniśmy ją poprosić, by pozwoliła nam je obejrzeć. Na własne oczy musimy się przekonać, co mogło przetrwać do naszych czasów i czego uzdrowiciele Fae mogli się nauczyć podczas tej wojny.

– Nie marnujmy czasu. – Chaol już chciał się podnieść, gdy nagle drzwi do jego apartamentu stanęły otworem i do środka wkroczyła Hasar, ciągnąc za sobą powłóczystą złoto-zieloną szatę.

– Proszę! – Uśmiechnęła się krzywo, widząc ich zmierzwióne włosy i częściową nagość. – Przynajmniej wy się dobrze bawicie.

Yrene miała wrażenie, że ktoś jej usunął ziemię spod nóg, tym bardziej że księżniczka uśmiechnęła się do Chaola i rzekła:

– Mamy wieści z waszej ojczyzny.

– Co się stało? – wyrzęził Chaol.

Hasar skubnęła paznokieć.

– Och, w sumie nic takiego. Tylko tyle, że flota królowej Maeve zdołała odnaleźć armię, którą Aelin Galathynius usiłowała potajemnie zebrać. Doszło do niezłej bitwy, mówię wam!

Chaol miał ochotę udusić uśmiechniętą księżniczkę, ale ofuknął się w myślach i nawet nie uniosł dłoni. Zadarł natomiast podbródek, co nie przyszło mu łatwo, bo miał na sobie jedynie spodnie.

– Co. Się. Stało – wycedził.

Morska bitwa. Aelin przeciwko samej Maeve. Chaol miał wrażenie, że czeka, aż spadnie miecz katowski. Jeśli się spóźnił...

Hasar uniosła wzrok znad swoich paznokci.

– Wygląda na to, że był to niezły spektakl. Pomyślelibyście? Cudem sklecona armia ludzka przeciwko armadzie Fae...

– Hasar, proszę – szepnęła Yrene.

Księżniczka uniosła wzrok ku sufitowi i westchnęła.

– No dobrze, dobrze. Maeve została rozgromiona.

Chaol opadł na kanapę. Aelin... Aelin znalazła sposób...

– Ale pojawiło się kilka interesujących szczegółów – dodała księżniczka i szybko przedstawiła kolejne fakty. Po pierwsze, jedna trzecia floty Maeve, płynąca pod znakiem Białego Ciernia, obróciła się przeciwko królowej Fae i dołączyła do floty Terrasenu. Po drugie, Dorian walczył w pierwszym szeregu wraz z Rowanem. Po trzecie, znikąd pojawiła się eskadra wyvern, by wesprzeć Aelin.

Manon Czarnodzioba. Chaol zaryzykowałby życiem stwierdzenie, że wiedźma, za sprawą Aelin lub Dorian, wyświadczyła im przysługę i przypuszczalnie odmieniła losy wojny.

– Ich magia była potężna – ciągnęła Hasar. – Lód, wiatr i woda.

A więc Rowan i Dorian.

– Pojawiły się nawet plotki o jakimś zmiennokształtnym.

Lysandra...

– Nie słyszałam jednak o ciemności czy czym tam walczy Maeve. Ani też o płomieniach.

Chaol oparł przedramiona na kolanach.

– Pojawiło się kilka meldunków o płomieniach i cieniach na lądzie, daleko od brzegu i ledwie zauważalnych. Nikt nie widział Aelin czy też Mrocznej Królowej na pokładach okrętów.

Przeniesienie starcia z Maeve na ląd było w stylu Aelin. Chciała uwolnić pełnię swej mocy z dala od ewentualnych ofiar.

– Jak już mówiłam – Hasar wygładziła fałdy sukni – Aelin zwyciężyła. Widziano ją, jak wraca na okręty kilka godzin później. Postawili żagle i odpłynęli. Wygląda na to, że na północ.

Chaol wymamrotał modlitwę dziękczynną do Mali, a potem do każdego boga, który czuwał nad Dorianem.

– Ponieśli znaczne straty?

– Tak, wśród ludzi, ale nie zginął żaden z bardziej interesujących graczy – odparła Hasar, a Chaol poczuł, że jej nienawidzi. – Ale Maeve znikła bez śladu. Nikt jej nie widział. – Księżniczka zmarszczyła brwi, wpatrzona w okna. – Może przyplynie tu, by wylizać rany.

Chaol miał wielką nadzieję, że Hasar się myli, ale jeśli armada Maeve nadal przebywała na wodach Wąskiego Morza... Przecież oni sami mieli się niebawem przeprawiać!

– Reszta popłynęła na północ, tak? Dokąd? – spytał.

„Gdzie jest mój król? – pomyślał. – Mój brat?”

– Idę o zakład, że udali się do Terrasenu. Aelin ma już przecież armadę. A właściwie dwie. – Hasar uśmiechnęła się do niego.

Czekała na pytanie. Na prośbę.

– Ma drugą flotę? – Chaol przemógł się.

Hasar wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę wyjścia.

– Wygląda na to, że Aelin skrzyknęła wszystkich tych, którzy byli jej coś winni. Jak choćby Milczących Zabójców z Czerwonej Pustyni.

Oczy Chaola płonęły.

– Oraz flotę Wendlyn.

Jego dłonie zaczęły drżeć.

– Ile okrętów? – spytał szeptem.

– Wszystkie. – Hasar ułożyła dłoń na kłamce. – Przybyła cała flota Wendlyn, której dowodzi następca tronu, księżę Galan.

Krew Chaola wrzała. Spojrzał na Yrene, której szeroko otwarte oczy aż skrzyły. Jaśniały nadzieją, bezcenną nadzieją.

– Wygląda na to – powiedziała zamyślona Hasar, jakby właśnie przyszło jej coś do głowy – że istnieje na tym świecie całkiem dużo ludzi, którzy mają o niej dobre zdanie. I którzy wierzą w to, co im sprzedaje.

– Czyli co takiego? – szepnęła Yrene.

Hasar znów wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że to samo, co próbowała sprzedać również mnie, gdy napisała do mnie list kilka tygodni temu, prosząc o pomoc. Jak jedna księżniczka drugiej.

Chaol, drżąc, nabrał tchu.

– A co ci obiecała?

Hasar uśmiechnęła się do siebie.

– Lepszy świat.

Chaol i Yrene pędzili po wąskich uliczkach Antiki, na których roiło się od ludzi spieszących na noc do domów. Uzdrowicielka zauważyła, że jej ukochany dygocze na całym ciele.

„Nie ze złości – uświadomiła sobie. – Lecz z niecierpliwości. Z gotowości do działania”.

Aelin zebrała armię. Gdyby mogli teraz dołączyć na czele hufców z kaganatu... Yrene ujrzała w jego oczach nadzieję. Skupienie.

Wciąż mieli szansę na zwycięstwo. Gdyby udało im się przekonać rodzinę kagana...

– Spróbuję jeszcze raz – rzekł Chaol, gdy wpadli do chłodnego wnętrza wieży i pognali w górę po schodach. – Nawet gdybym miał paść kaganowi do stóp. Gdybym miał go po nich całować. Spróbuję jeszcze raz go przekonać, ale najpierw musimy odwiedzić Hafizę.

Jej książki mogły zawierać broń o wiele cenniejszą od mieczy i strzał. Wiedzę.

Chaol wraz z Yrene przemierzał niekończące się schody i korytarze Torre. Czuł, że spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność, ale mimo to nachylił się i szepnął jej do ucha:

– Nic dziwnego, że masz takie zgrabne nogi!

Zarumieniona Yrene pacnęła go w ramię.

– Łajdak! – syknęła.

\*\*\*

O tej porze większość akolitek schodziła już na obiad. Kilka spośród nich uśmiechnęło się szeroko do Chaola, gdy mijały go na schodach, młodsze nawet zachichotały. Ten odpowiadał im ciepłymi, pobłażliwymi uśmiechami, które wywoływały kolejne fale chichotów.

„Jest mój. – Yrene miała ochotę pisać z zachwytem. – Mój! Ten cudowny, odważny, oddany idei mężczyzna jest mój!”.

„I wracam z nim do domu” – uświadomiła sobie po chwili, co otrzeźwiło ją nieco. Zrozumiała, że uganiecie się po niekończących się schodach Torre nie będzie trwało wiecznie. Że przez długi czas nie poczuje już zapachu lawendy i pieczonego chleba. Nie usłyszy tych chichotów.

Chaol dotknął jej dłoni, jakby rozumiał to wszystko, a Yrene złapała go mocno za palce. Tak, pozostawi tu część siebie, ale to, co zabierze ze sobą, przerastało jej wyobrażenia.

Uśmiechała się szeroko, gdy wreszcie dotarli na samą górę Torre. Chaol ciężko dyszał, oparłszy dłoń o ścianę. Drzwi do biura Hafizy były lekko otwarte i wpuszczały do środka ostatnie promienie zachodzącego słońca.

– Ten, który wznosił tę wieżę, był sadystą – oznajmił Chaol.

– Czyli Kamala! – roześmiała się Yrene, która zapukała do drzwi i pchnęła je lekko. – Wedle plotek...

I zastygła w bezruchu, bo biuro Najwyższej Uzdrowicielki było puste.

Zaniepokojona Yrene wyminęła Chaola i ruszyła w stronę pracowni, której drzwi również były uchylone.

– Hafiza?

Nie było odpowiedzi, ale mimo to pchnęła drzwi. Pusto. Szafka w bibliotece na szczęście nadal była zamknięta.

„Zapewne odwiedza pacjentów lub jest na obiedzie” – pomyślała Yrene, choć mijali wszystkich schodzących na dół i Hafizy wśród nich nie było.

– Zaczekaj tu! – poleciła Chaolowi i zbiegła na niższe piętro, jeden poziom nad tym, gdzie znajdowała się jej własna komnata.

– Eretia! – odezwała się, wchodząc do niewielkiego pomieszczenia.

– Chwilę wcześniej przechodził tędy zgrabny tyłek – burknęła ta w odpowiedzi.

Z góry dobiegł kaszel Chaola. Yrene parsknęła, ale skupiła się na ważniejszym problemie.

– Wiesz, gdzie jest Hafiza?

- W pracowni. – Eretia nawet się nie odwróciła. – Siedzi tam cały dzień.
- Jesteś... jesteś pewna?
- Tak. Widziałam, jak wchodzi do środka i zamyka drzwi. Od tamtej pory nie wychodziła.
- Ale drzwi są otwarte.
- No to pewnie wyszła.

Nie mówiąc ani słowa? Nie leżało to w jej charakterze.

Yrene podrapała się po głowie i spojrzała na klatkę schodową za sobą oraz nieliczne drzwi. Odwróciła się, nie zwracając sobie głowy pożegnaniem z Eretią, i zaczęła do nich pukać. Jedna z komnat była pusta, a uzdrowicielka mieszkająca w drugiej potwierdziła, że Hafiza przebywa w swej pracowni.

Chaol czekał, gdy Yrene powróciła na najwyższe piętro.

– Bez powodzenia?

Dziewczyna stuknęła nerwowo butem o podłogę. Może ulegała paranoi, ale...

– Sprawdźmy stołówkę – rzekła w odpowiedzi.

Dojrzała błysk w oku Chaola i odczytała go prawidłowo. Niepokój i ostrzeżenie.

Zeszli dwa piętra w dół. Yrene zatrzymała się przed własnymi drzwiami. Były zamknięte, ale odniosła wrażenie, że zostały czymś zablokowane, jakby przechodzący człowiek kopnięciem wbił jakiś przedmiot między próg, a framugę.

– Co się dzieje?

Chaol dobył miecza tak szybko, że nawet tego nie zarejestrowała. Każdy ruch jego ciała oraz ostrza wydawał się być elementem tańca.

Pochyliła się i wyciągnęła ów przedmiot. Metal zgrzytnął o kamień.

W jej ręku zakołysał się żelazny klucz Hafizy.

Yrene drżącymi rękami zarzuciła sobie rzemień z kluczem na szyję, a Chaol uważnie obejrzał drzwi i schody.

– Nie przemknęła niepostrzeżenie na dół przez przypadek – oznajmił.

A skoro uznała, iż należy schować klucz tutaj...

– Przeczuwała, że ktoś chce ją dopaść – stwierdziła dziewczyna.

– Ale na górze nie ma śladów włamania! – sprzeciwił się Chaol.

– Może po prostu coś ją wystraszyło, ale... – Yrene myślała szybko. – Ale Hafiza nie robi nic bez namysłu.

Chaol położył jej dłoń na plecach i popchnął lekko w kierunku schodów.

– Musimy powiadomić strażników i rozpocząć poszukiwania.

Yrene czuła, że nie wytrzyma dłużej. Jej żołądek buntował się wściekle i groził wymiotami. Jeśli to ona ściągnęła ten los na Hafizę...

Panika nigdy nikomu nie pomogła. W niczym. Yrene zmusiła się do nabrania tchu. A potem jeszcze raz odetchnęła.

– Musimy się pospieszyć. Czy twoje plecy...

– Dam sobie radę. Nic mi nie jest.

Yrene oceniła wzrokiem jego postawę i równowagę.

– A więc pospieszmy się!

\*\*\*

Mknęli w dół po spiralnych schodach Torre. Każdego napotkanego człowieka pytali, czy widział Hafizę, ale wszyscy twierdzili, że Najwyższa Uzdrowicielka jest w swojej pracowni.

Zupełnie jakby się rozplynęła w powietrzu. Złała z cieniami.

Chaol widział i przeżył wystarczająco wiele, by ufać swej intuicji. Ta zaś mówiła, że coś złego się wydarzyło bądź właśnie działo. Twarz Yrene była biała jak ściana, a żelazny klucz podskakiwał z każdym jej krokiem.

Dotarli na dół Torre, gdzie dziewczyna odnalazła straż i w kilku spokojnych słowach wyjaśniła,

ze Najwyższa Uzdrawicielka zaginęła.

Niemniej zorganizowanie poszukiwań długo trwało. Tymczasem w każdej chwili mogło się coś stać.

W głównym korytarzu Torre trwał rozgardiasz. Yrene przypadła do kilku znajomych uzdrawicieli i wypytała je, czy widziały Hafizę. Nie, nie było jej ani na stołówce, ani też w ogrodzie ziołowym. Właśnie stamtąd wracały, ale żadna z nich jej nie spotkała.

Z drugiej strony, Torre było ogromnym kompleksem.

– Sprawdzimy więcej miejsc, jeśli się rozdzielimy – wysapała Yrene, rozglądając się wokół.

– Nie. Oni mogą tego oczekiwać. Trzymajmy się razem.

Yrene potarła twarz dłońmi.

– Ogólna panika pomogłaby sprawcy działać szybciej. Sprawniej. Nie wolno nam tego nagłaśniać. – Opuściła ręce. – Od czego zaczynamy? Hafiza może być w mieście, może być...

– Ile wyjść prowadzi z Torre na ulice?

– Tylko główna brama. Jest jeszcze druga, mniejsza, dla dostawców. Obie są pod strażą.

W ciągu kilku minut odwiedzili oba miejsca. Niczego nowego się nie dowiedzieli. Straż była dobrze przeszkolona i skrupulatnie zapisywała wszystkich, którzy wchodzili i wychodzili. Nikt nie widział Hafizy. Od wczesnego ranka, czyli od kiedy Eretia widziała Hafizę po raz ostatni, nie przepuszczono też tędy żadnego wozu.

– A więc musi być gdzieś w wieży lub przynajmniej wewnątrz murów – oznajmił Chaol, przyglądając się ogromnej, wyniosłej budowli i otaczającym ją kompleksom medyków. – Chyba że istnieje inny sposób, by do wieży wejść i ją opuścić. Może jest coś, o czym zapomnieliśmy?

Yrene znieruchomiała, a jej oczy błysnęły niczym ogniki w zapadającym zmierzchu.

– Biblioteka – szepnęła i rzuciła się do biegu.

Pędziła jak wiatr, a Chaolowi nie pozostało nic, jak tylko pognać za nią. Na bogów, ależ ona gnała...

– Plotki mówią o tunelach pod biblioteką – sapała Yrene, biegnąc znajomym im korytarzem. – Gdzieś głęboko. Ponoć wychodzą za murami, ale nikt nie wie gdzie. Podobno zostały zapieczętowane, ale...

Serce Chaola biło głośno.

– To by wyjaśniało, w jaki sposób udawało im się wydostać niespostrzeżenie.

Jeśli ta starszka została sprowadzona na dół...

– Jak oni ją do tego zmusili? Jak zabrali ją ze sobą tak, by nikt tego nie zauważył?

Chaol nie chciał odpowiadać na to pytanie. Wiedział, że Valgowie na życzenie potrafili przywoływać cienie i skrywać się wśród nich. Cienie, które niespodziewanie mogły stać się zabójcze.

Yrene wyhamowała przed biurkiem Noushy, która poderwała głowę. Marmurowa podłoga była tak śliska, że dziewczyna musiała złapać się krawędzi blatu, by się nie przewrócić.

– Widziałaś gdzieś Hafizę? – wyrzuciła z siebie.

Nousha spoglądała to na niego, to na nią. Zerknęła na miecz, nadal w ręku Chaola.

– Co się dzieje?

– Gdzie są tunele? – spytała ostro Yrene. – Te, które zapieczętowano?

Szara kocica Baast, czuwająca przy kominku, zerwała się i wkroczyła między biblioteczne regały. Nousha zerknęła na stary dzwon wielkości melona, stojący na jej biurku. Obok leżał młotek. Chciała za niego pochwycić, ale Yrene złapała ją za rękę.

– Nie rób tego. Ostrzeżesz ich. Będą wiedzieli, że się zorientowaliśmy.

Ciemna skóra kobiety zdawała się tracić kolory.

– Zejdźcie na najniższe piętro. Musicie dotrzeć do muru, a potem skręcić w lewo i dojść do najdalszej ściany, tam gdzie skała jest szorstka, niepolerowana. Wtedy skręćcie w prawo, a ujrzycie wejście.

Yrene oddychała ciężko, ale skinęła głową, powtarzając pod nosem instrukcje. Chaol również wbił je sobie do głowy.



Nousha podniosła się.

– Czy mam wezwać strażę?

– Tak – odparł Chaol. – Ale dyskretnie. Poślij ich w ślad za nami najszybciej jak się da.

Dłonie Noushy trzęsły się, gdy ułożyła je na blacie.

– Do tych tuneli nie zaglądał nikt od bardzo, bardzo dawna. Uważajcie na siebie. Nikt nie ma pojęcia, co tam się kryje, nawet my.

Chaol zastanawiał się przez moment, czy nie zwrócić jej uwagi, że tajemnicze, dwuznaczne ostrzeżenia na niewiele się zdają na chwilę przed walką, ale po prostu złapał Yrene za rękę i razem pobiegli korytarzem.

61.

Yrene liczyła każdy krok. Nie żeby jej to w czymkolwiek pomagało. To jej umysł, nieproszony, tworzył niekończący się ciąg liczb.

Jeden, dwa trzy... Czterdzieści.

Trzysta.

Czterysta dwadzieścia cztery.

Siedemset dwadzieścia jeden.

Zmierzali coraz głębiej, wpatrując się w każdy cień, w każdy korytarz, zaglądając do każdej komnaty i każdego kąta.

Nic.

Widzieli tylko akolitki, niektóre pracujące w ciszy, inne zbierające się już na spoczynek. Nie zauważyli ani jednej kocicy Baast. Ani jednej.

Osiemset trzydzieści.

Tysiąc trzy.

Dotarli na najniższe piętro biblioteki, gdzie światła nie były tak jasne, atmosfera zdawała się bardziej senna, a cienie czujniejsze. Yrene widziała w każdym z nich twarz.

Chaol rzucił się naprzód. Klinga jego miecza połyskiwała niczym płynna rtęć, gdy podążali za wskazówkami Noushy.

Temperatura spadała. Światła były coraz rzadsze. Oprawione w skórę księgi ustąpiły miejsca rozpadającym się zwojom. Wkrótce te również zostały zastąpione rzeźbionymi tabliczkami. Znikły drewniane półki. Marmurowa podłoga stała się szorstka i nierówna, podobnie jak ściany.

– To tu – szepnął Chaol i zatrzymał Yrene, unosząc miecz.

Korytarz przed nimi był oświetlony pojedynczą świeczką, która płonęła na ziemi. Czekwały na nich cztery pary drzwi. Trzy z nich były zastawione ciężkimi kamieniami, ale czwarte...

Te były otwarte.

Kamień, którym je zastawiano, został odtoczony na bok, a tkwiąca przed drzwiami samotna świeczka opromieniała kryjącą się za nimi ciemność. Stali przed wejściem do tunelu, który sięgał głębiej niż Łono. Głębiej niż jakikolwiek poziom Torre.

Chaol wskazał Yrene kurz i ziemię w przejściu.

– Ślady. Dwóch osób idących obok siebie.

Nie było wątpliwości, że ktoś tędy szedł. Chaol odwrócił się ku dziewczynie.

– Zostań tu, a ja...

– Nie – odparła z naciskiem. – Wspólnie. Zrobimy to wspólnie.

Nie zastanawiał się długo i skinął głową. Ostrożnie poprowadził ją naprzód, pokazując, którądy ma iść i jak stąpać, by nie narobić hałasu.

Świeczka przy otwartym wejściu wabiła. Zapraszała.

Jej blask tańczył na ostrzu miecza Chaola. Mężczyzna zajrzał do środka tunelu, ale nie ujrzał nic oprócz gruzu i niekończącego się ciemnego korytarza.

Yrene wciągała powietrze przez nos i wypuszczała je ustami. Hafiza. Hafiza była gdzieś tutaj. Pewnie została ranna bądź przytrafił się jej jeszcze gorszy los.

Chaol chwycił Yrene za rękę i poprowadził ją w mrok.

Czas mijał. Minuty zlewały się ze sobą, a oni brnęli naprzód, aż światło pojedynczej świeczki za ich plecami zgasło. Wówczas pojawiła się inna poświata, odległa i słabo widoczna, jakby świeczka płonęła za dalekim narożnikiem.

Jakby ktoś tam na nich czekał.

\*\*\*

Chaol wiedział, że to pułapka. Wiedział, że Najwyższa Uzdrowicielka nie była celem ataku, lecz

przynętą. Ale jeśli się spóźnili...

Nie dopuści do tego.

Szli powoli w kierunku drugiej świecy. Światło w tych ciemnościach było równie wyraźne jak uderzenie w dzwon, wzywające na obiad.

Nie zważając na nic, Chaol podążał naprzód, a Yrene za nim.

Samotna świeca jaśniała coraz mocniej.

Nie, to nie była świeca. Z korytarza za zakrętem padało złociste światło, które opromieniało kamienną ścianę.

Yrene chciała się pospieszyć, ale Chaol ją przytrzymał. Był cichy jak śmierć.

Nie miał wątpliwości, że tajemniczy napastnik zdaje sobie sprawę z tego, że nadchodzi.

Dotarli już do zakrętu. Chaol wpatrywał się w światło na przeciwległej ścianie, szukając cieni bądź zakłóceń. Nic. Tylko światło.

Wyrzwał za róg, a w ślad za nim Yrene.

Oddech uwiązał mu w gardle. Przez ostatni rok widział niejedno, ale to przekroczyło jego oczekiwania.

Pod jego stopami rozciągała się ogromna komnata, wielka niczym sala tronowa w pałacu królewskim w Rifthold, a może nawet większa. Sufit, wspierający się na rzeźbionych kolumnach, nikał w mroku, a na dół prowadziły schody. Zrozumiał już, skąd się brał złoty poblask na ścianach tunelu.

Gdyż światło pochodni odbijało się od... od złota.

W komnacie zgromadzono bogactwo całego imperium. Kufry pełne złota, złote posągi i ozdoby. Zbroje. Miecze. Biżuterię.

A wśród nich stały sarkofagi, zbudowane nie ze złota, ale z kamienia.

Podziemna komnata okazała się jednocześnie skarbcem oraz grobowcem.

A gdzieś na samym tyle, na imponującym podium...

Yrene krzyknęła cicho na widok zakneblowanej, związanej Hafizy, którą umieszczono na złotym tronie.

Ale krew Chaola zmroził inny widok.

Obok sędziwej uzdrowicielki stała kobieta, która trzymała nóż na swym okrągłym brzuchu.

Duva. Obecnie najmłodsza córka kagana.

Uśmiechnęła się do nich, ale jej uśmiech nie miał nic wspólnego z ludzkim.

To był uśmiech Valga.

Cóż – oznajmiła istota w ciele księżniczki. – Ależ to trwało.

Słowa poniosły się echem po ogromnej komnacie, odbijając się od kamieni i złota. Chaol zerkał na każdy cień, na każdą mijaną rzecz. Na każdą potencjalną broń i możliwą drogę ucieczki.

Zbliżali się szerokim korytarzem między niekończącymi się górami złota i sarkofagami. Hafiza ani drgnęła.

Trafili do nekropolii. Być może było to ogromne, podziemne miasto, które ciągnęło się od pustyni aż tu.

Duva wymówiła się od udziału w wyprawie do oazy. Powiedziała, że nie chce narażać ciąży.

Yrene syknęła pod nosem, najwyraźniej uświadomiwszy sobie to samo.

Duva była w ciąży, a jej ciałem zawładnął Valg.

Chaol ocenił szanse. Księżniczka pod władzą Valga, uzbrojona w nóż i zapewne czarną magię, a obok niej Najwyższa Uzdrowicielka przywiązana do tronu.

I Yrene.

– Widzę, że coś kalkulujesz, lordzie Westfall, a więc oszczędzę ci wysiłku i przedstawię twoje możliwości – powiedziała Duva, kreśląc ostrzem noża rozmaite kształty nad swym brzuchem, zahaczając lekko o tkaninę sukni. – Widzisz, będziesz musiał podjąć decyzję. Ja, Najwyższa Uzdrowicielka czy Yrene Towers. – Księżniczka uśmiechnęła się i powtórzyła szeptem. – Yrene...

Stojąca obok Chaola dziewczyna zadrżała. Ten sam głos usłyszeli tamtej potwornej nocy...

Zatrzymali się przed schodami wiodącymi na podium, a wówczas Yrene uniosła głowę.

– Czego pragniesz? – spytała księżniczkę pewnym, mocnym głosem godnym królowej.

Duva przechyliła głowę. Jej oczy powlokła czerń. Czerń Valgów.

– Nie chcesz się dowiedzieć, jak do tego doszło?

– Jestem pewien, że i tak nam powiesz – odezwał się Chaol.

Duva zmrużyła oczy z gniewem, ale mimo to parsknęła cichym śmiechem.

– Te tunele łączą pałac z Torre. Ci nieśmiertelni gówniarze Fae chowali tu swoich władców. Renegatów ze szlachtetnej linii Mory. – Uniosła ramię i zatoczyła nim łuk. – Jestem przekonana, że kagan nie będzie posiadał się z radości, gdy się dowie, ile złota znajduje się pod jego nogami. To kolejny argument do wykorzystania w odpowiedniej chwili.

Yrene nie spuszczała oczu z Hafizy, która przyglądała im się ze spokojem niczym kobieta pogodzona z własną śmiercią. Teraz zależało jej tylko na tym, by Yrene nie uznała, że się boi.

– Czekałam, aż się zorientujesz, że to ja – ciągnęła Duva. – Po tym, jak zniszczyłam wszystkie te cenne księgi i zwoje, uznałam, że przyjdzie ci to do głowy, że tylko ja nie wzięłam udziału w wyprawie. Ale potem pomyślałam, że ty nigdy nie będziesz mnie podejrzewać. – Ułożyła dłoń na zaokrąglonym brzuchu. – To dlatego właśnie wybrał ją na początek. Słodką, kochaną Duvę, zbyt miłą i dobroduszną, by ktokolwiek brał ją na poważnie jako pretendentkę do tronu. – Jej uśmiech stał się gadzi. – A wiecie, że Hasar jako pierwsza chciała założyć pierścień? Wypatrzyła go wśród darów weselnych przysłanych przez Perringtona i zapragnęła go, ale Duva ją wyprzedziła. – Księżniczka uniosła dłoń i pokazała im szeroką obrączkę z czystego srebra. Ani śladu Kamienia Wyrda. – Został ukryty w przemyślny sposób – szepnęła. – A w chwili, gdy wypowiedziała słowa przysięgi małżeńskiej do tego słodkiego, chorego z miłości ludzkiego księcia, pierścień znalazł się na jej palcu. – Duva uśmiechnęła się, aż błysnęły jej białe zęby. – I nikt nawet tego nie zauważył – dodała. – Z wyjątkiem bystrej, młodszej siostrzyczki. – Cmoknęła głośno. – Tumelun podejrzewała, że coś jest nie w porządku. Przyłapała mnie parokrotnie, jak myszkowałam po zakazanych miejscach, aż w końcu ja też ją złapałam. – Zachichotała. – Choć w sumie chyba nie, bo przecież spadła z tego balkonu. Co więcej, to ja byłam przyczyną.

Yrene gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Dzika, krnąbrna księżniczka – oznajmiła przeciągle Duva. – Ciągłe popadała w zmienne

nastroje. Przecież nie mogłam pozwolić na to, by udała się do swych ukochanych rodziców i naskarżyła na mnie, prawda?

– Ty suko! – warknęła Yrene.

– Dokładnie tak mnie nazwała – odparła Duva. – Powiedziała, że mi odbiło.

Pomasowała dłonią brzuch, a potem postukała się palcem z pierścieniem w bok głowy.

– Szkoda, że nie słyszeliście, jak wrzeszczała. Mam na myśli Duvę. Darła się wniebogłosy, gdy wypchnęłam tę smarkulę za balustradę. Ale szybko się zamknęła. Mam na nią sposób.

Znów uniosła nóż i przesunęła ostrzem po tkaninie zakrywającej brzuch.

– Co ty tu robisz? – szepnęła Yrene. – Czego chcesz?

– Ciebie.

Serce Chaola zatrzymało się na moment. Duva zaś wyprostowała się.

– Mroczny Władca usłyszał szepty. Szepty o uzdrowicielce pobłogosławionej darem Silby, która wstąpiła do Torre. I stał się bardzo, bardzo niespokojny.

– Dlatego, że jestem w stanie wygubić was jak pasożyty, którymi zresztą jesteście?

Chaol obrzucił Yrene ostrzegawczym spojrzeniem, ale Duva odsunęła jedynie sztylet od łona i przyjrzała się ostrzu.

– A dlaczego twoim zdaniem Maeve tak strzeże swoich uzdrowicieli i nigdy nie pozwala im przekroczyć patrolowanych granic? Wiedziała, że kiedyś powrócimy. Chciała być gotowa. Chciała się obronić. Bardzo ceni swoich faworytów, uzdrowicieli z Doranelle. Swą sekretną armię. – Duva zanuciła i wskazała sztyletem nekropolię. – Niektórzy Fae okazali się mądrzejsi od reszty. Wymknęli się z jej szponów po ostatniej wojnie i zbiegli aż tu. Byli uzdrowicielami i wiedzieli, że królowa będzie ich trzymać pod kluczem jak zwierzęta gospodarskie. Potem przekazali swój talent tej krainie i mieszkającym tu ludziom. Pomogli powstać właściwym potęgom, by Południowy Kontynent zawsze był silny i dobrze strzeżony, a potem znikli, zabierając ze sobą skarby i opowieści pod ziemię. Dołożyli wszelkich starań, by o nich zapomniano, podczas gdy posadzony przez nich ogródek nadal kwitł.

– Po co? – wykrztusił Chaol.

– By dać tym, których Maeve nie uważała za istotnych, możliwość stawienia oporu powracającemu Erawanowi. – Duva cmoknęła. – Ależ oni byli szlachetni, prawda? Wspaniali renegaci Fae. I tak oto wyrosła Torre. Jego Mroczny Majestat w istocie znów się pojawił, upadł, a potem zasnął. Wkrótce nawet on zapomniał, do czego jest zdolny ktoś z odpowiednimi darami. Niemniej przebudził się ponownie i przypomniał sobie o uzdrowicielach. Dołożył więc wszelkich starań, by wyróżnić tych, którzy zamieszkiwali północ. – Uśmiech, który skierowała do Yrene, był lodowaty i pełen nienawiści. – Wygląda jednak na to, że nasza mała uzdrowicielka wymknęła się spod katowskiego topora i pokonała całą drogę do tego miasta, gdzie teraz strzeże jej dumne imperium.

Oddech Yrene stał się chrapliwy. Chaol ujrzał, jak w jej oczach pojawia się przerażenie oraz poczucie winy, gdy zrozumiała, że przybywając do Antiki, ściągnęła na wszystkich nieszczęście. Na Tumelun, Duvę, Torre, cały kaganat.

Ujrzał też to, z czego Yrene nie zdawała sobie sprawy. Patrząc z perspektywy człowieka, który został wciągnięty w wojnę o cały kontynent, uzmysłowił sobie, że Erawan jest przerażony. Boi się tak, że musiał wysłać tu jednego ze swych agentów, gdyż Yrene, pełna mocy, wpatrzona w tryumfującego demona, mogła przynieść ludziom nadzieję.

Tak, obok niego stała nadzieja. Ukrywana i chroniona przez długie lata w tym mieście, a wcześniej na bezdrożach północy, natchniona i prowadzona przez samych bogów, chowana przed mrocznymi siłami, które chciały ją zniszczyć. Odrobina nadziei.

Najbardziej niebezpieczna ze wszystkich broni wymierzonych przeciwko Erawanowi i prastarej ciemności Valgów. Ta, po którą przybył. Ta, którą miał chronić.

Cenniejsza od żołnierzy i stali, jedyna szansa na ocalenie. Nadzieja.

– A więc czemu po prostu mnie nie zabijesz? – spytała ostro Yrene.

Chaol nie miał odwagi, by choć zadać sobie to pytanie w myślach. Duva ponownie oparła sztylet na brzuchu.

– Bo o wiele bardziej przydasz się Erawanowi żywa, Yrene Towers.

\*\*\*

Uzdrowicielka drżała na całym ciele.

– Jestem nikim – szepnęła.

Ostrze, wsparte o brzuch, w którym dorastało dziecko. Hafiza, nieruchoma i uważna, niemalże spokojna, trwająca obok Duvy.

– Doprawdy? – zaszczębiotała księżniczka. – Przez dwa lata wspięłaś się na samą górę w hierarchii Torre. To niebywale szybkie tempo, czyż nie?

Yrene chciała zwymiotować, gdy demon w ciele Duvy spojrział na Hafizę. Ta wytrzymała jego spojrzenie bez lęku. Duva zaśmiała się cicho.

– Ona wiedziała o wszystkim. Sama mi o tym powiedziała, gdy zabrałam ją z jej pracowni. Wiedziała, że cię szukam, Dziedziczko Silby.

Yrene dotknęła medalionu, w którym skrywał się liścik.

„Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki”.

Czy to sama Silba przybyła do niej owej nocy w Innish? Czy to ona sama wysłała ją tu wraz z wiadomością, którą miała zrozumieć dopiero później?

Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki. Po to, by walczyć z Erawanem!

– Po to właśnie Jego Mroczny Majestat mnie tu wysłał – powiedziała przeciągle Duva. – Bym dla niego szpiegowała. Bym się przekonała, czy z Torre w istocie wyjdzie kiedyś uzdrowicielka z niebezpiecznymi darami. I bym dopilnowała, byś się zbyt wiele nie nauczyła. – Wzruszyła lekko ramionami. – Oczywiście, zabicie tej księżniczki smarkuli i tej drugiej uzdrowicielki było błędem, ale jestem przekonana, że Jego Mroczny Majestat mi wybaczy, gdy podaruję mu ciebie.

Głowę Yrene wypełnił dziki ryk, tak głośny, że ledwie usłyszała własne słowa:

– Skoro miałaś dostarczyć mu mnie i tylko mnie, dlaczego zabiłaś uzdrowicielkę, którą wzięłaś za mnie? Może należało oszczędzić sobie trudu i zabić wszystkie uzdrowicielki w mieście?

Duva parsknęła i machnęła sztyletem.

– To zrodziłoby zbyt wiele pytań. Niektórzy kluczowi przywódcy mogliby zacząć się zastanawiać, z jakiego powodu Erawan uwziął się na twoje konfraterki. Uznaliśmy więc, że Torre należy zostawić w spokoju. By nikt nawet o nie pomyślał o tym miejscu. Wasza wieża miała trwać w spokoju, daleko od wydarzeń na północy, ignorowana i zapomniana, aż mój władca uznałby, że nadszedł czas, by uporać się z całym tym imperium.

Uśmiech demona zmroził Yrene krew w żyłach.

– A co do tej uzdrowicielki... Była do ciebie podobna, ale to nie miało znaczenia. Znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Cóż, niewłaściwym dla niej, bo ja akurat byłam nieznośnie głodna, a nie mogłam zaspokoić głodu tak, by nikt mnie nie zauważył. Co więcej, mogłam w ten sposób obudzić w tobie strach i uświadomić ci, że praca dla tego idioty z Adarlanu i grzebanie w odległej przeszłości mogą się dla ciebie źle skończyć. Nie posłuchałaś jednakże rady, co?

Yrene zacisnęła dłonie w pięści.

– Szkoda, Yrene Towers – ciągnęła Duva. – Bo gdy pracowałaś nad nim i powoli go uzdrawiałaś, ja zaczynałam nabierać przekonania, że to ty. Że to ty jesteś tą, której pożąda Mroczny Król. Gdy szpiedzy pałacowi Duvy donieśli jej, że odniosłaś sukces, a on odzyskał pełną swobodę ruchów, nie miałam już wątpliwości, że przybyłam tu po ciebie.

Uśmiechnęła się szyderczo do Hafizy. Yrene miała ochotę zedrzyć jej ten uśmiech z twarzy.

– Wiedziałam, że nie mogę cię po prostu zaatakować, a więc postanowiłem cię tu zwabić. Choć przyznam, że okazało się to nazbyt łatwe. Jestem rozczarowana. Tak czy owak – Duva podrzuciła sztylet – wracasz ze mną, Yrene Towers. Do Morath.

Chaol zasłonił Yrene własnym ciałem.

– Zapomniałaś o jednej rzeczy.

Duva uniosła wypielęgowaną brew.

– Doprawdy?

– Jeszcze nie wygrałaś.

„Uciekaj! – chciała mu przekazać Yrene. – Uciekaj stąd!”

Wokół dłoni Duvy i rękojeści jej sztyletu zaczynała bowiem mienić się mroczna moc.

– Wiesz, co mnie bawi, lordzie Westfall? – Duva spoglądała na nich ze szczytu podwyższenia. – Mianowicie to, że myślisz, iż uda ci się zdobyć trochę czasu do przybycia straży. Wówczas jednakże będziecie już wszyscy martwi i nikt nie podważy słów księżniczki, gdy powiem, że próbowaliście nas zabić. Że chcieliście zabrać to złoto do swego malutkiego, ubogiego królestwa daleko na północy, bo przecież własny majątek zmarnowaliście już na zakup broni. Za ten skarb moglibyście kupić sobie tysiąc armii!

– Ale musisz jeszcze uporać się z nami – syknęła Yrene.

– Pewnie tak – rzekła Duva, wyciągając coś z kieszeni. Był to kolejny pierścień, wykonany z kamienia tak czarnego, iż zdawał się pożerać światło. Bez wątpienia został przysłany prosto z Morath.

– Ale wystarczy, byś założyła to, a zrobisz wszystko, czego zapragnę.

– A niby czemu miałabym w ogóle...

Przerwała, gdy Duva przystawiła sztylet do szyi Hafizy.

– Dlatego.

Yrene spojrzała na Chaola, ale ten przyglądał się komnacie, schodom i wyjściom. Ciemnej mocy, która kłębiła się wokół palców księżniczki.

– A więc... – Duva zeszła jeden stopień w dół. – Zaczynamy.

Zrobiła jeszcze jeden krok, gdy wydarzenia ruszyły z prędkością lawiny.

Chaol nawet nie drgnął, ale zrobiła to Hafiza.

Sędziwa uzdrowicielka targnęła złotym tronem, na którym została posadzona, i wraz z nim runęła na Duvę.

Yrene wrzasnęła i skoczyła ku nim, Chaol za nią.

Hafiza i dziecko, dziecko i Hafiza...

Księżniczka i przywiązana do tronu staruszka staczały się w dół. Trzasnęło pękające drewno, raz, drugi i trzeci. Drewno, nie metal. Tron nie był wykonany ze złota, a jedynie z pomalowanego drewna i pękał, uderzając o kolejne stopnie. Duva wrzeszczała, ale z ust Hafizy, choć wypluła knebel, nie wydostał się ani jeden dźwięk.

Uderzyły o kamienną podłogę z łoskotem, który przeszył bólem serce Yrene. Chaol, ignorując leżącą na ziemi Duvę, przypadł do Najwyższej Uzdrowicielki, która nawet nie drgnęła. Jej ciało było miękkie i bezwładne. Usta miała rozchylone. Odrzucił liny i kawałki popękane drewna, po czym odciągnął ją ostrożnie.

Staruszka otworzyła oczy.

Szlochająca Yrene ujęła Hafizę za drugie ramię. Wspólnie zaciągnęli ją ku ogromnej rzeźbie wojownika Fae.

Wtedy Duva dźwignęła się na łokcie.

– Wy przekłete, cuchnące łajdaki... – wycodziła z twarzą przesłoniętą rozsypanymi włosami.

Chaol zerwał się i zasłonił obie uzdrowicielki własnym ciałem. Uniósł miecz, a Yrene przywołała swą magię, by uzdrowić kruche ciało staruszki. Hafiza zdołała unieść ramię na tyle, by zacisnąć dłoń na nadgarstku dziewczyny.

„Uciekaj!” – zdawała się mówić.

Duva zdołała się podnieść. Z jej szyi sterczały długie drzazgi, a z ust ciekła krew. Czarna krew.

Chaol obrzucił Yrene jednym spojrzeniem przez ramię.

„Uciekaj. I weź Hafizę”.

Yrene otworzyła usta, chcąc mu odpowiedzieć, ale Chaol już zwrócił się ku opętanej księżniczce, która zrobiła krok ku niemu. Jej suknia rozdarła się podczas upadku, ukazując twardy, okrągły brzuch. Taki upadek dla ciężarnej kobiety...

„Jej dziecko...”.

Yrene pochwyciła Hafizę za chude ramiona i pociągnęła ją za sobą po podłodze.

Wiedziała, że Chaol nie będzie w stanie skrzywdzić Duvy.

Szlochając przez zaciśnięte zęby, ciągnęła starą uzdrowicielkę korytarzem pośród stert złota. Rzeźby przyglądały im się obojętnie.

Nie, on nie zabije Duvy, nigdy. Przecież w jej łonie dojrzewa dziecko.

Po podziemnej komnacie rozlał się cichy szum gromadzącej się magii. Yrene skądś wiedziała, że Chaol nie stawia Duvie zdecydowanego oporu. Nie będzie chciał jej zabić. Spróbuje tylko dać Yrene i Hafizie czas na ucieczkę.

– Przypuszczalnie mocno zaboli – mruknęła Duva.

Yrene odwróciła się w chwili, gdy księżniczka wypuściła strugi cienia, wycelowane prosto w Chaola. Ten uskokzył w bok, a strumień mocy uderzył prosto w rzeźbę, za którą się skrył.

– Cóż za dramaturgia! – Duva wydeła usta.

Yrene spieszyła się. Wlekła Hafizę w stronę jakże odległych schodów ze świadomością, że właśnie go zostawia. Że go porzuca.

Wtem jej uwagę przyciągnął ruch.

Na księżniczkę runęła jakaś rzeźba, ale ta zmiotła ją falą swej mocy. Złote szczątki potoczyły się po wiekach sarkofagów z grzechotem, który odbił się echem po komnacie.

– Przez ciebie to wszystko staje się nudne! – syknęła Duva i pchnęła falę ciemności tam, gdzie ostatni raz widziała Chaola.

Podłoga zatrzęsała się pod nogami Yrene, ale zdołała utrzymać równowagę.

Kolejny cios.

I jeszcze jeden.

Duva syczała, okrążając sarkofag, za którym jej zdaniem krył się przeciwnik, i ciskała swą mocą na ślepo.

Niespodziewanie pojawił się sam Chaol z wielką tarczą. Nie, nie tarczą! Dzierżył wielkie lustro, którym zasłonił się przed kolejnym atakiem. Moc księżniczki strzaskała szkło, ale odbiła się i pomknęła z powrotem ku niej.

Yrene najpierw ujrzała krew. Zarówno jego, jak i jej.

Potem zgrozę na twarzy Chaola, gdy patrzył, jak odrzucona magicznym uderzeniem Duva uderza w kamienny sarkofag z taką siłą, że zatrzęszczały jej kości, a następnie osuwa się na ziemię i zamiera.

Yrene odczekała jeden oddech. Potem drugi.

Ułożyła Hafizę na ziemi i podbiegła do Chaola, który stał i ciężko dysząc, wpatrywał się w nieruchome ciało księżniczki.

– Co ja narobiłem – wyszeptał, nie mogąc oderwać od niej oczu. Okruchy szkła pozostawiły na jego ciele dziesiątki broczących krwią skaleczeń, ale nie było to nic poważnego, nic, co mogłoby zagrozić jego życiu.

Ale Duva...

Yrene pozostawiła go i przypadła do leżącej na ziemi księżniczki. Skoro była nieprzytomna, być może zdołałaby wygnać z niej demona i naprawić jej ciało...

Odwróciła ją na plecy. I zobaczyła, że Duva się do niej uśmiecha.

Wszystko wydarzyło się szybko, o wiele za szybko.

Ciemne pasma mocy wystrzeliły z dłoni Duvy, by wpić się w jej twarz i gardło.

Ale Yrene już tam nie było. Wylądowała na kamiennej podłodze, odrzucona silnym ramieniem Chaola, a on sam skoczył między nią i księżniczkę. Bez tarczy, bez broni. Nachylił się, by pomóc Yrene, a wówczas Duva ujrzała jego odsłonięte plecy.

I pchnęła w nie całą moc.



W jego kręgosłupie eksplodował potworny ból, który rozlał się wzdłuż nóg i ramion aż po końce palców.

Był o wiele gorszy od tego, który zniósł w szklanym zamku.

Gorszy niż podczas sesji uzdrowicielskich.

Nie widział jednak nic poza Yrene i ciemną mocą, która mknęła prosto ku jej sercu...

Padł na kamienną podłogę, ale przeraźliwy wrzask dziewczyny przebił się przez jego ból.

– Wstawaj, wstawaj, wstawaj!

– Wielka szkoda, że taka ilość ciężkiej pracy poszła na marne – zaszcebiotała Duva i wskazała palcem jego kręgosłup. – Biedne, biedne plecy.

Mroczna moc uderzyła w niego raz jeszcze. Coś pękło. I znów. I jeszcze raz.

Najpierw znikło czucie w jego nogach.

– Przestań! – szlochała klęcząca Yrene. – Przestań!

– Uciekaj! – wyszeptał i napał dłońmi na kamienie, chcąc się odbić, dźwignąć...

Duva wsunęła dłoń do kieszeni i wyciągnęła ów czarny pierścień.

– Jest tylko jeden sposób, by to zatrzymać.

– Nie! – warknął. Jego plecy eksplodowały bólem, gdy ponownie spróbował się dźwignąć.

I jeszcze raz...

Yrene zrobiła krok do tyłu. Potem drugi. Patrzyła to na niego, to na nią...

Nie. Chaol wiedział, że nie znieśnie tego widoku, nie przeżyje tego ponownie...

Ale wtedy zauważył to, co Yrene trzymała w prawej ręce. Co złapała, zanim dźwignęła się na równe nogi.

Jego miecz.

Duva parsknęła śmiechem i przeszła nad jego bezwładnie rozrzuconymi nogami w stronę Yrene. Ta wycelowała w nią miecz. Klinga drżała lekko, podobnie jak ramiona uzdrowicielki, szlochającej przez zaciśnięte zęby.

– Cóż ty jesteś w stanie osiągnąć – zaszcebiotała księżniczka – przeciwko temu?

Z jej dłoni spłynęły wstęgi ciemnej mocy.

– Nie! – wychrypiał Chaol. – Nie!

Krzyczał na swoje ciało, na paraliżujące go rany, na przytłaczający go straszliwy ból.

Duva uniosła dłonie do ataku...

A wtedy Yrene rzuciła w nią mieczem.

Nie miała w tym wprawy, a rzut był podyktowany rozpaczą, ale osiągnęła swój cel. Duva nachyliła się, a Yrene wykorzystwała chwilę i umknęła.

Gnała jak przerażona sarna, znikając w labiryncie rzeźb i skarbów. A Duva, niczym ogar, który pochwycił zapach, warknęła i puściła się w pogoń.

\*\*\*

Nie miała nic. Żadnych możliwości, żadnego planu, nic.

Kręgosłup Chaola...

Znów był kaleką. Cała ich praca poszła na marne.

Yrene pędziła wśród stert złota i rozglądała się, szukała z rozpaczą. Ścigająca ją Duva miotła kolejnymi pociskami mocy, a wokół strzelały fontanny rozrzuconego złota. Uzdrowicielka złapała w biegu krótki miecz, wystający z kufra przepelnionego skarbami. Jego ostrze ze świstem przecinało powietrze.

Gdyby tylko zdołała jakoś ją obezwładnić i przytrzymać na tyle długo, by...

Kolejny strumień mocy strzaskał kamienne wieko sarkofagu za nią. W powietrze strzeliły kamienne okruchy, a jeden z nich rąbnął ją w plecy. Usłyszała łoskot, zanim poczuła uderzenie, a wtedy

jej głowę zalał ból.

Świat się przechylił. Z każdym uderzeniem serca walczyła, by się nie przewrócić, by zachować równowagę. Nie pozwoliła sobie na upadek. Odzyskała panowanie nad swymi nogami, biegła dalej, jak najdalej, by zdobyć dla nich choć odrobinę czasu. Wyminęła kolejną rzeźbę i...

Duva stała przed nią.

Rozpędzona Yrene wpadła na nią. Ostrze jej miecza na ułamek sekundy znalazło się niebezpiecznie blisko brzucha księżniczki i uzdrowicielka upuściła broń, nie chcąc wyrządzić dziecku krzywdy.

Duva złapała ją za szyję oraz talię i obezwładniła, po czym ze złowieszczym sykiem powlokła w kierunku korytarza, wytyczonego przez środek skarbcza.

– To ciało nie przepada za bieganiem – warknęła.

Yrene miotła się, ale Duva trzymała ją w żelaznym uścisku. Była silna, o wiele za silna jak na dziewczynę tej postury.

– Chcę, byś to zobaczyła. Oboje macie to zobaczyć! – dodała szyderczym tonem.

Chaol przepelzł połowę drogi, pozostawiając za sobą krwawy ślad. Jego nogi znów były bezwładne, a mimo to wciąż próbował jej pomóc.

Znieruchomiał i unióśł głowę. Z kącika jego ust ściekła krew. Patrzył na Duvę, która wyszła na korytarz, przyciągając Yrene do siebie.

– Chcesz patrzeć na to, jak go zabijam? A może wolałabyś, by to on widział, jak ci zakładam pierścień?

Duva nadal zaciskała ramię na jej gardle, ale mimo to Yrene warknęła:

– Nie waż się go nawet tknąć.

Na wyszczerzonych, zaciśniętych zębach Chaola, który nadal z desperacją próbował się podnieść, pojawiła się krew.

– Szkoda, że nie mam dwóch pierścieni. – Duva zastanawiała się na głos. – Jestem pewna, że twoi przyjaciele zapłaciliby hojnie za ciebie. – Burknęła pod nosem i dodała: – Ale twoja śmierć okaże się dla nich równie wielkim ciosem.

Uwolniła talię Yrene i wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny.

Uzdrowicielka nie mogła już dłużej czekać.

Z całej siły upuściła nogę, prosto na śródstopie księżniczki. Ta wychyliła się gwałtownie do przodu, a wtedy Yrene uderzyła dłonią w jej łokieć, odtrącając ramię zaciśnięte na jej gardle. Uwolniona zawirowała i wbiła łokieć w twarz przeciwniczki.

Księżniczka padła na ziemię, brocząc krwią z rozbitego nosa, a Yrene skoczyła po sztylet, który Chaol nosił przy pasie. Wyszarpnęła broń z pochwy i natarła na oszołomioną Duvę. Stała okrakiem nad kobietą i wzniosła ostrze, by wbić je w jej kark. By odciąć jej głowę.

– Nie! – wychrypiał Chaol. Słowo wydawało się ociekać krwią.

Duva zniszczyła wszystko. Wszystko, czego dokonali.

Yrene szlochała, mierząc ostrzem w szyję księżniczki. Widziała krew, która ciekła z ust Chaola, wiedziała, co oznacza. On umierał. Duva zniszczyła coś w jego ciele, jakiś witalny organ.

Brwi Duvy zadrżały lekko, ściągnęły się, gdy się poruszyła.

Teraz.

Teraz albo nigdy. Musiała wbić w nią sztylet. Musiała to zakończyć.

Musiała to zakończyć natychmiast, a być może uda jej się jeszcze ocalić życie Chaola. Powstrzymać to przekłete wewnętrzne krwawienie.

Ale jego kręgosłup... Jego kręgosłup....

Przysięgała, że nigdy nie odbierze nikomu życia. Tymczasem w łonie tej kobiety dorastało jeszcze jedno życie.

Opuściła sztylet niżej. Podoła temu. Podoła i...

– Yrene – szepnął Chaol. Wypowiedziane przez niego imię było przepelnione bólem, a przy tym tak ciche...

Było za późno. Jej magia wyczuwała to dobrze. Wyczuwała jego śmierć.

Nigdy nie opowiedziała mu o tym przeklętym darze. Nigdy nie zdradziła mu, że uzdrowicielki zawsze wiedziały, gdy nadchodziła śmierć. Wszak Silba była panią łagodnej śmierci.

Śmierć, którą miała zadać Duvie i jej dziecku, wcale nie miała należeć do łagodnych.

Śmierć Chaola również.

Ale ona...

Ta księżniczka...

Duva wyglądała tak młodo, a życie w jej łonie... Życie, które miała jeszcze przed sobą...

Yrene upuściła nóż na ziemię. Stukot broni uderzającej o kamień poniósł się daleko nad złotem, sarkofagami i kośćmi.

Chaol zamknął oczy. Yrene mogłaby przysiąc, że ujrzała w nich ulgę.

Czyjaś dłoń delikatnie dotknęła jej ramienia. Znała ów dotyk.

Hafiza.

Zalana łzami Yrene odwróciła głowę i ujrzała, że za Najwyższą Uzdrowicielką stoją dwie inne postacie. Pomagały starszycie zachować równowagę i wraz z nią pochyliły się nad Duvą. Wówczas Hafiza dmuchnęła dziewczynie w twarz i pomogła jej zapaść w nieprzerwany sen.

Jedną z nowo przybyłych była Nesryn o rumianych policzkach i włosach potarganych od wiatru, a drugą Sartaq, którego warkocz był znacznie krótszy niż kiedyś. Książę ze ściągniętą twarzą i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w swą zakrwawioną, nieprzytomną siostrę.

– Spóźniliśmy się – szepnęła Nesryn.

Yrene zerwała się i przypadła do Chaola, nawet nie czując, że rani sobie nogi na kamiennej podłodze. Nie czuła też krwi ściekającej jej po skroni. Ułożyła sobie jego głowę na kolanach i zamknęła oczy, przywołując swą moc.

Zapłonęła biel, ale zewsząd otaczała ją czerń i czerwień. Zbyt dużo jej, zbyt wiele ran, obrażeń, stłuczeń... Jego pierś ledwie się unosiła. Nie otworzył oczu.

– Obudź się – nakazała mu łamiącym się głosem. Zaczepnęła mocy, ale jego rany były straszliwe. Yrene miała wrażenie, że próbuje załatać dziury w tonącym okręcie. Zbyt wiele. Zbyt wiele tego, a...

Wokół nich rozległy się krzyki i kroki.

Jego życie rzedło, słabło, rozwiewało się. Śmierć krążyła nad nim niczym orzeł wpatrzony w swą ofiarę.

– Walcz! – szlochała Yrene, potrząsając nim. – Walcz, ty uparty osle!

Czy cokolwiek jeszcze będzie miało sens, czy coś będzie się jeszcze liczyło, jeśli teraz, w najważniejszej chwili jej życia...

– Proszę – szepnęła.

Klatka piersiowa Chaola uniosła się, jakby chciał jeszcze raz nabrać tchu przed zejściem w ciemność.

Yrene wiedziała, że tego nie przeżyje.

Gdzieś pośród czerwieni i czerni, pośród nadciągającej śmierci zamigotało światło, jakby ktoś zapalił świeczkę. Ujrzała plamkę bieli, a po niej kolejną. I następną. W zniszczonym ciele Chaola pojawiały się coraz to nowe światła, a tam, gdzie się budziły, rany zaczynały się zasklepieć, a kości zrastać.

Światło za światłem. Jego pierś opadała i unosiła się. Opadała i unosiła się.

Pośród bólu, ciemności i światła rozległ się głos, który był jednocześnie obcy, jak i znajomy. Głos, który należał zarazem do Hafizy, jak i do... do kogoś innego. Kogoś, kto nie był nigdy człowiekiem, a teraz przemawiał przez Hafizę tak, że ich głosy spletały się w jeden pośród mroku.

„Rany są zbyt rozległe. Jeśli mają zostać zaleczone, trzeba liczyć się z konsekwencjami”.

Światła wydawały się wahać, gdy rozległ się ów nieziemski głos. Yrene przedzierała się przez nie, jakby były polem białych kwiatów, a one unosiły się i kołysały w świetle cichego bólu.

Wiedziała już, że to nie światła. To uzdrowicielki.

Znała je. Rozpoznawała. Eretia... Najbliżej niej znajdowała się Eretia.

Głos, który był zarówno Hafizą, jak i Tą Inną, odezwał się znów:

„Trzeba będzie zapłacić cenę”.

Cenę za to, co zrobiła mu księżniczka. Nie było od tego odwrotu.

„Zapłacę ją” – powiedziała Yrene cierpieniu, ciemnościom i światłu.

„Córka Fenharrow spłaci dług syna Adarlanu?”

„Tak”.

Niemalże poczuła, jak łagodna, ciepła dłoń muska jej twarz. Wiedziała, że nie należy do Hafizy ani do Tej Innej. Nie należy do żadnej żyjącej uzdrowicielki, ale do tej, która nigdy jej nie opuściła, choć już dawno zamieniła się w popiół porwany wiatrem.

„Czy składasz tę propozycję z własnej woli?” – spytała Ta Inna.

„Tak. Z całego serca”.

Widmowe dłonie, których dotyk niósł tyle ukojenia, musnęły jej policzek ponownie i rozplynęły się.

„A więc wybrałam dobrze – oznajmiła Ta Inna. – Spłacisz ten dług, Yrene Towers. I mam nadzieję, że w pełni zrozumiesz, na czym on polega”.

Yrene próbowała się odezwać, ale znów zapłonęły światła, łagodne i kojące.

Oślepiły zarówno jej oczy, jak i jej duszę. Trwała pochylona nad głową Chaola, nadal wpijając palce w jego koszulę. Czuła coraz mocniejsze uderzenia jego serca. Czuła jego oddech, muskający jej ucho.

Na jej ramionach zacisnęły się dwie dłonie. Mocne, stanowcze, milcząco nakazujące jej, by uniosła głowę.

Yrene zrobiła, o co ją poproszono.

Po jednej stronie stała Hafiza, po drugiej Eretia. Obie trzymały dłonie na jej ramionach. Za każdą z nich stały dwie kolejne uzdrowicielki, a za nimi następne. Każda z nich ułożyła rękę na ramieniu poprzedniczki.

Wszystkie uzdrowicielki, zarówno stare, jak i młode, zebrały się w podziemnej komnacie pełnej złota i kości, gdzie utworzyły żywy łańcuch mocy. Połączone przekazywały swą magię Yrene i przez jej dłonie wlewały ją w ciało Chaola.

Nesryn i Sartaq stali kilka kroków dalej. Łuczniczka zasłoniła dłonią usta. Ponieważ Chaol...

Uzdrowicielki z Torre opuściły wreszcie dłonie i przerwały kontakt, a stopy Chaola drgnęły. Potem jego kolana. Po chwili otworzył oczy i spojrzał na Yrene, której łzy ściekały na jego zakrwawioną twarz. Uniósł dłoń, by musnąć jej usta.

– Ja umarłem?

– Żyjesz – szepnęła Yrene i pochyliła twarz ku niemu. – I to jeszcze jak!

Chaol uśmiechnął się i westchnął głęboko.

– To dobrze – oznajmił.

Yrene uniosła głowę, a on znów uśmiechnął się do niej. Zaschnięta krew na jego twarzy pękała, kruszyła się i spadała w platach. Po bliźnie na policzku nie było śladu.

64.

Ciało Chaola bolało, ale był to ból, który kojarzył się z czymś nowym. Z dochodzeniem do siebie. Ze zmęczeniem mięśni, a nie z ich pokaleczeniem. A powietrze w jego płucach... Nie paliło, gdy oddychał.

W głowie mu się kręciło i Yrene pomogła mu usiąść. Zamrugał i uświadomił sobie, że przed nim stoją Nesryn i Sartaq, a uzdrowicielki już odchodzą. Długi warkocz księcia znikł, a jego rozpuszczone włosy sięgały teraz zaledwie ramion. Nesryn zaś miała na sobie skórzany strój jeźdźców ruków, a jej ciemne oczy, mimo poważnej miny, lśniły bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Co się... – wychrypiał Chaol.

– Dostaliśmy twój list – powiedziała Nesryn. Jej twarz powlokła śmiertelna bladość. – Przylecieliśmy najszybciej, jak się dało. Powiedziano nam, że wieczorem przybiegłeś do Torre. Straż była za nami, ale prześcignęliśmy ich. Trochę się tu zgubiliśmy, ale... ale koty wskazały nam drogę.

W jej spojrzeniu tańczyło zdumienie i szok, gdy zerknęła przez ramię na schody, gdzie siedziało kilka kotów o berylowych oczach i czyściło futerka. Zauważyły zainteresowanie ludzi i natychmiast się rozpierzchły z wysoko uniesionymi ogonami.

– Przyszło nam do głowy, że przydadzą się również uzdrowicielki – dodał Sartaq, uśmiechając się lekko. – Poprosiliśmy kilka spośród nich, by się za nami udały, ale najwyraźniej pomysł spodobał się o wiele większej grupie.

Zważywszy na tłum, który wychodził z podziemi w ślad za znikającymi kotami, łatwo było dojść do wniosku, że z pomocą przyszyły im wszystkie. Za plecami Chaola i Yrene Eretia zajmowała się Hafizą. Staruszka żyła, a jej spojrzenie było przytomne, lecz wydawała się krucha i poturbowana. Eretia strofowała ją i besztala za bohaterские popisy, ale jej oczy były pełne łez. Kolejne pojawiły się, gdy Hafiza musnęła kciukiem jej policzek.

– Czy ona... – Sartaq wskazał ruchem podbródka Duvę, leżącą na podłodze.

– Jest nieprzytomna – wychrypiała w odpowiedzi Hafiza. – Będzie spała, dopóki nie zostanie przebudzona.

– Nawet z pierścieniem Valga? – spytała Nesryn, gdy Sartaq ruszył ku siostrze, chcąc ją podnieść z kamiennej posadzki. Zatrzymała go ramieniem, a księżę spojrział na nią z niedowierzaniem.

Chaol uświadomił sobie, że na ich twarzach widniały skaleczenia i otarcia, a księżę utykał. Coś się wydarzyło...

– Będzie spała bez względu na to, czy ma pierścień czy też nie – rzekła Hafiza.

Yrene wpatrywała się to w księżniczkę, to w sztylet leżący na podłodze. Sartaq dostrzegł to i powiedział do niej cicho:

– Dziękuję ci za... za to, że ją oszczędziłaś.

Yrene jedynie wtuliła twarz w pierś Chaola. Ten pogłodził ją po włosach i odkrył na nich wilgoć.

– Krwawisz?

– Nic mi nie jest – odparła z policzkiem przyciśniętym do jego koszuli. Mężczyzna odsunął się, by spojrzeć na jej twarz i zakrwawioną skroń.

– Nic ci nie jest, tak? – burknął i odwrócił głowę ku Eretii. – Ona jest ranna!

– Dobrze wiedzieć, że wróciłeś do formy. – Eretia przewróciła oczami. – I znów jesteś narzucającym się, aroganckim typkiem!

Hafiza zerknęła zza ramienia Eretii i zapytała kwaśno:

– Jesteś pewna, że ten nachalny drań był wart tej ceny?

– Jakiej ceny? – spytał ostro Chaol, nim Yrene zdołała odpowiedzieć.

Wszyscy znieruchomieli. Nawet Yrene przeniosła wzrok na Hafizę, gdy ta uwolniła się spod opieki Eretii.

– Twoje obrażenia były zbyt poważne – rzekła cicho Najwyższa Uzdrowicielka. – Nawet mimo tego, że połączyłyśmy siły. Śmierć pochwyliła cię już w swe szpony.

Chaol odwrócił się do Yrene. W jego żołądku rozlewał się lodowaty strach.

– Co ty zrobiłaś? – szepnęła.

Nie spojrzała mu w oczy.

– Mogę się założyć, że postąpiła jak ostatnia idiotka – parsknęła Eretia. – Zgodziła się na cenę, nie pytając nawet, co nią jest! By uratować ci skórę! Wszystkie słyszałyśmy.

Chaol miał ochotę skrócić jej kark, ale mimo to spytał najspokojniej jak umiał:

– Komu ma zapłacić?

– To nie zapłata – poprawiła go Hafiza, kładąc dłoń na ramieniu Eretii, by ją uciszyć. – Raczej gest potrzebny do przywrócenia równowagi. Dla uspokojenia tej, która nie chce, by coś ją naruszyło. Tej, która mówiła przeze mnie, gdy wszystkie zgromadziłyśmy się w twojej duszy.

– Co jest tą ceną? – wychrypiął Chaol.

Jeśli coś oddała, znajdzie sposób, by to odzyskać. Bez względu na koszty i trudy...

– By utrzymać w tobie życie, musieliśmy przywiązać cię do życia drugiej osoby. Do jej życia – spreycyzowała Hafiza. – Wasze żywoty są teraz nierozzerwalnie splecione. Ale pomimo tego... – Najwyższa Uzdrowicielka wskazała jego nogi i stopę, którą podciągnął, by wstać. – Demon uszkodził wiele, wiele spośród twoich witalnych organów. Zbyt wiele. Chciałyśmy ocalić twe życie, ale musiałyśmy się pogodzić z tym, że nie wszystko się uda.

Yrene znieruchomiała.

– Co masz przez to na myśli?

Hafiza wpatrywała się w nich.

– Kręgosłup jest nadal uszkodzony, co ma wpływ na sprawność dolnych partii nóg. Nawet my nie mogłyśmy tego usunąć.

Chaol zerknął na Najwyższą Uzdrowicielkę, a potem przeniósł wzrok na swe nogi. Poruszył nimi, a potem odważył się przenieść na nie część ciężaru ciała. Wytrzymały.

– Wasze żywoty są teraz ze sobą sprzęgnięte, przez co moc Yrene przepływa do twego ciała. Będzie cię wspierać, stabilizować i pozwalać ci na swobodne poruszanie się, gdy będzie się znajdować w zenicie.

Chaol przygotował się w duchu na drugą, o wiele gorszą część jej wypowiedzi.

– Ale gdy Yrene wyczerpie swą moc bądź będzie po prostu zmęczona, kontuzja odzyska nad tobą kontrolę i częściowo utracisz umiejętność chodzenia. Czasami wystarczy, że wesprzesz się o lasce, ale zdarzy się, że wylądujesz w fotelu na długie dni. Rana kręgosłupa pozostanie z tobą na zawsze.

Słowa przeszły go do żywego i zapadły mu w serce. Yrene milczała tak długo, tak intensywnie, że w końcu odwrócił się ku niej.

– Nie mogę go po prostu znów uzdrowić? – powiedziała w końcu uzdrowicielka i pochyliła się ku niemu, jakby chciała zacząć już w tej chwili.

Hafiza pokręciła głową.

– Konsekwencje są elementem równowagi. Nie szukaj współczucia w mocy, którą zostałaś obdarzona.

Chaol dotknął jej dłoni.

– Przecież to naprawdę nie jest ciężkie brzemie – powiedział cicho. – Skądże znowu.

Mimo to na twarzy uzdrowicielki pojawił się ból.

– Ale ja...

– Mój fotel na kółkach to nie kara. To nie więzienie – dodał. – I nigdy tak nie było. Bez względu na to, czy siedzę na fotelu, wspieram się na lasce czy chodzę bez pomocy, jestem wciąż tym samym mężczyzną.

Otarł łzę, która spływała po jej policzku.

– Chciałam cię uzdrowić... – szepnęła.

– I dokonałaś tego – odparł z uśmiechem. – W każdej sferze mego życia, która naprawdę ma znaczenie. Dokonałaś tego.

Starł kolejne łzy i wycisnął pocałunek na jej gorącym policzku.

– Jest jeszcze jeden aspekt więzi, która was połączyła – odezwała się cicho Hafiza.

Odwrócili się ku niej.

– Kiedy dla jednego z was nadejdzie kres, bez względu na to, czy będzie łagodny czy też brutalny, drugie również odejdzie.

Złociste oczy Yrene nadal błyszczały srebrnymi łzami, ale w jej twarzy nie było już ani śladu lęku i smutku.

– Wspólnie – powiedział cicho Chaol i ujął ją za rękę.

Jej siła będzie jego siłą. I tam, gdzie uda się ona, pójdzie również i on.

Ale jeśli umrze jako pierwszy... Poczul, że ogarnia go przerażenie.

– Prawdziwą ceną tego wszystkiego – Hafiza odczytała jego emocje – nie jest lęk o własne życie, a to, co twa śmierć wyrządzi drugiej osobie.

– Sugeruję, byście zapomnieli o tej waszej wojnie – burknęła Eretia.

Yrene pokręciła jednak głową i wyprostowała się, po czym oznajmiła:

– Pójdziemy na wojnę. – Odwróciła się ku Sartaqowi i wskazała ciało Duvy. – Tego właśnie chce Erawan. To się stanie z wami wszystkimi, jeśli tego nie zrobimy.

– Wiem – powiedział cicho Sartaq, po czym spojrział na Nesryn, a ona wytrzymała jego spojrzenie.

Chaol dostrzegł iskrę między nimi. Wyczuł więź, nową i drżącą, ale mimo to silną pośród licznych ran, skaleczeń i otarć.

– Wiem – powtórzył Sartaq i musnął palcami dłoń łuczniczki.

Wtedy Nesryn spojrzała w oczy Chaolowi. Uśmiechnęła się lekko i zerknęła na Yrene, która pytała teraz Hafizę, czy może się podnieść. Nigdy dotąd nie widział w Nesryn takiego spokoju. Tak wielkiego, cichego szczęścia.

Przełknął ślinę.

„Przepraszam” – mówiły jego oczy, ale Nesryn pokręciła tylko głową. Obok nich Sartaq z cichym stęknieniem podniósł swą siostrę, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze.

„Nie przejmuj się – mówiły jej oczy. – Jakoś to przeżyję. Tym bardziej że i u mnie trochę się wydarzyło”.

„Cieszę się więc twoim szczęściem” – Chaol uśmiechnął się.

Nesryn otworzyła szerzej oczy, gdy Chaol wreszcie się podniósł, pomagając również wstać Yrene. Jego ruchy były niezwykle płynne i nikt by się nie domyślił, że wspiera go niewidzialna magia uzdrowicielki. Łuczniczka otarła łzy, gdy przebył dzielącą ich odległość i uściskał ją mocno.

– Dziękuję ci – wyszeptał jej do ucha.

W odpowiedzi Nesryn również go uściskała.

– To ja dziękuję tobie. Za to, że mnie tu zabrałeś. Za to wszystko.

Za księcia, który spoglądał teraz na nią z cichym, ale płonącym uczuciem w oczach.

– Mamy wam wiele rzeczy do opowiedzenia – dodała, na co Chaol pokiwał głową.

– My wam również.

Odsunęli się od siebie, a wtedy podeszła Yrene, która również uściskała Nesryn.

– A co zrobimy z tym całym złotem? – spytała ostro Eretia, która wyprowadzała Hafizę z podziemi. Straże uformowały wokół nich kordon. – Cóż za tandetne śmieci! – Splunęła na ogromną rzeźbę wojownika Fae.

Chaol parsknął śmiechem, a Yrene dołączyła do niego. Otoczyła ramieniem jego talię i oboje ruszyli w ślad za uzdrowicielkami.

Yrene powiedziała mu, że żyje. I to jeszcze jak.

Gdy wyszli spośród ciemności, Chaol wreszcie poczuł, że to prawda.

\*\*\*

Sartaq zabrał Duvę do kagana i wezwał również resztę rodzeństwa, co doradzili mu Chaol, Yrene i Hafiza.

Na widok nieprzytomnej, zakrwawionej Duvy, niesionej przez utykającego Sartaqę, kagan stracił panowanie nad sobą i przypadł do córki. Yrene nigdy dotąd nie widziała u niego tak silnych emocji. Wezyrowie przepychali się ze wszystkich stron, a Hasar krzyknęła cicho. Uzdrowicielka mogłaby

przysięg, iż usłyszała w jej głosie ból.

Sartaq nie pozwolił ojcu dotknąć siostry. Nie pozwolił zbliżyć się nikomu oprócz Nesryn. Ostrożnie ułożył dziewczynę na niskim łóżku.

Milcząca Yrene przyglądała się tej scenie, stojąc kilka kroków dalej, u boku Chaola. Wydawało jej się, że niemalże czuje łączącą ich więź, że widzi żywe pasmo chłodnego, jedwabistego światła, które wypływało z jej ciała i wnikało w jego.

On zaś naprawdę nie miał nic przeciwko temu, że ta część jego kręgosłupa pozostanie permanentnie uszkodzona aż po kres ich życia. Tak, będzie w stanie poruszać nogami nawet w chwili, gdy Yrene wyczerpie całą swą moc, ale nigdy nie stanie o własnych siłach. Przypuszczała, że nauczą się z tym żyć. Że niebawem zaczną przewidywać momenty, kiedy będzie musiał sięgnąć po laskę czy usiąść na fotelu, ale nie to było najważniejsze.

W głębi serca przyznawała, że Chaol miał rację. Bez względu na to, czy stał, kusztykał czy też siedział w fotelu, był nadal tym samym człowiekiem. W żadnym stopniu go to nie zmieniało. Był tym, kim był, a ona przecież pokochała go na długo, zanim się podniósł.

I będzie go kochać bez względu na to, w jaki sposób się porusza.

– A jeśli się pokłócimy? – spytała go Yrene po drodze. – Co wtedy?

W odpowiedzi Chaol jedynie pocałował ją w skroń.

– My i tak bez przerwy się kłócimy. Nie będzie to dla mnie nic nowego – rzekł, a po chwili dodał:

– Wydaje ci się, że mógłbym żyć z kimś, kto nie jest w stanie nakopać mi do tyłka?

Mimo to Yrene spochmurniała.

– A ta więź między nami – ciągnął – niczego nie zmienia. Oboje potrzebujemy przestrzeni i jeśli myślisz sobie, że jakieś liche wymówki wystarczą ci, by nigdy nie zostawiać mnie choć na chwilę...

Dźgnęła go łokciem w zębra.

– Że niby miałabym snuć się za tobą jak jakaś chora z miłości idiotka?

Chaol roześmiał się i przytulił ją do siebie, a Yrene poklepała go po ramieniu i stwierdziła:

– A poza tym moim zdaniem jesteś w stanie zatroszczyć się sam o siebie.

Wówczas ucałował jej czoło i rozmowa dobiegła końca.

Teraz stali w sali wśród innych, trzymając się za ręce, i wpatrywali się w nieprzytomną Duvę. Sartaq ujął bezwładną rękę siostry, by wszyscy ujrzeni obrączkę ślubną, odkaslnął i rzekł:

– Nasza siostra została zniewolona przez demona, który został przysłany przez księcia Perringtona w formie tego oto pierścienia.

Odpowiedzią były pełne niedowierzania pomruki i szelest szat.

– Bzdura! – parsknął Arghun.

– Perrington to nie człowiek. To ucieleśnienie Erawana – ciągnął Sartaq, ignorując drwiny starszego brata, a Yrene uświadomiła sobie, że Nesryn musiała mu wszystko opowiedzieć. – To król Valgów – dodał.

Chaol, nadal trzymając dłoń Yrene, poparł księcia:

– Erawan przysłał ten pierścień jako prezent ślubny – oznajmił głośno. – Wiedział bowiem, że Duva go założy, a wówczas demon ją zniewoli. W dniu jej ślubu.

Drugi pierścień pozostał w Torre. Zamknięto go w którymś ze starożytnych kufrow, by pozbyć się go później.

– A co z dzieckiem? – spytał ostro kagan, wpatrzony w rozdęty brzuch, widoczny pośród strzępów sukni i ranki na szyi po drzazgach, usuniętych ostrożnie przez Hafizę.

– To kłamstwa! – wysyczał Arghun. – Kłamstwa rozprowadzane przez zdesperowanych, podłych intrygantów!

– To nie kłamstwa! – wtrąciła Hafiza, wysoko zadzierając podbródek. – Mamy świadków, którzy potwierdzą te słowa. Strażników, akolitki i twego brata, księżę, jeśli to za mało.

Nawet Arghun nie ośmielił się podważyć słów Najwyższej Uzdrawicielki. Zamilkł, a wtedy przez tłum przepchnął się Kashin, obrzucony gniewnym spojrzeniem przez potraconą Hasar.

– To wszystko wyjaśnia... – szepnął, wpatrzony w śpiącą siostrę. – Nie zachowywała się tak jak



zawsze.

– Była taka sama! – parsknął Arghun.

Kashin wbił wściekle spojrzenie w najstarszego brata.

– Gdybyś kiedykolwiek spędził z nią więcej czasu niż chwilę, od razu dostrzegłbyś różnicę! – oznajmił i pokręcił głową. – Była posępna i ponura. Z początku myślałem, że powodem jest jej zaaranżowane małżeństwo, a potem ciąża... – W jego oczach błysnął żal, gdy odwrócił się w stronę Chaola. – To ona, prawda? To ona zabiła Tumelun?

Po sali poniosły się szepty wstrząśniętych obecnych. Wszyscy wpatrywali się w Chaola, ale ten, miast odpowiedzieć na pytanie, odwrócił się ku kaganowi. Na trupiobladej twarzy władcy znać było rozpacz, jakiej Yrene nigdy nie widziała i nie była sobie w stanie wyobrazić. Żeby najpierw stracić dziecko, a potem przejść przez coś takiego...

– Tak. – Chaol ukłonił się kaganowi. – Demon sam się do tego przyznał, ale to nie Duva stoi za tym morderstwem. Z tego, co powiedział, wynika, że twoja córka stawiała mu wściekły opór.

Kagan zamknął oczy na długą chwilę.

Zapadła ciężka cisza, którą przerwał Kashin:

– Możesz ją ocalić? – zwrócił się do Yrene, unosząc dłonie. – Jeśli ona nadal gdzieś tam jest?

Głos mu się łamał. Nie było to polecenie, które książę przekazuje uzdrowicielce, ale prośba przyjaciela, którym wszak kiedyś dla niej był. I którym na powrót mógł kiedyś zostać. Yrene wciąż miała taką nadzieję.

Uwaga wszystkich skupiła się teraz na niej.

– Spróbuję – odparła pewnym głosem, bez cienia zwątpienia.

– Jest wiele rzeczy, o których powinieneś się dowiedzieć, Wielki Kaganie – dodał Chaol. – O Erawanie. O zagrożeniu, jakie stanowi. O tym, jak ty i twe imperium moglibyście pomóc w walce z nim. Również o tym, co możesz w ten sposób zyskać.

– Będziecie knuć i snuć intrygi w takiej chwili? – warknął Arghun.

– Nie – odparł Chaol. Jego głos był mocny i wyraźny, bez śladów wahania. – Ale przyjmij do wiadomości, że Morath już dotarł na te wybrzeża, a twoi bliscy już giną bądź cierpią przez niego. Jeśli nie spróbujemy przeciwstawić się zagrożeniu... – Zaciśnął mocniej dłoń na dłoni Yrene. – Księżniczka Duva jest zaledwie pierwszą opętaną, a księżniczka Tumelun nie będzie ostatnią ofiarą Erawana i Valgów – dodał.

Wtedy wystąpiła Nesryn.

– Przybywamy z ważnymi wieściami z południa, Wielki Kaganie. *Kharankui* znów się poruszyły na wezwanie eee... swego mrocznego władcy.

W oczach wielu osób pojawił się niepokój, ale inni spojrzeli po sobie z zaskoczeniem.

– To stworzenia mroku z królestwa Valgów – wyjaśniła Nesryn. – Wojna już przeniknęła na te ziemie.

Odpowiedzią znów były szepty, szelest szat i szuranie nogami. Kagan jednakże nie odrywał oczu od nieprzytomnej córki.

– Ocal ją – powiedział.

Słowa były skierowane do Yrene. Hafiza skinęła głową i gestem nakazała jej podejść bliżej.

Przekaz był jasny. Cekał ją ostateczny test.

Tym razem nie było to jednak wyzwanie, które Najwyższa Uzdrowicielka przygotowała dla swojej adeptki, ale coś znacznie poważniejszego.

Yrene zrozumiała, iż być może w tym właśnie celu dotarła do Antiki. Być może dla tej jednej chwili przeznaczenie przeprowadziło ją z jednego imperium do drugiego, przez góry i morza.

Zakażenie. Pasożyt.

Radziła już sobie z podobnymi przypadkami, ale demon w ciele księżniczki...

Yrene podeszła bliżej. I rozpoczęła proces uzdrawiania.

Jej dłonie nawet nie zdrząły, gdy wyciągnęła je przed siebie.

Palce uzdrowicielki spowiło białe światło, osłaniając je, gdy ujęła dłoń śpiącej księżniczki. Była taka drobna, taka delikatna. Trudno było sobie wyobrazić, iż tak smukłe dłonie zdolne były do straszliwych czynów.

Magia falowała, gdy Yrene pochyliła się, by zdjąć fałszywą obrączkę ślubną, zupełnie jakby to był potężny magnes, zniekształcający cały świat dookoła.

Chaol ułożył jej dłoń na plecach, by dodać jej w ten sposób otuchy.

Yrene zebrała wszystkie siły, nabrała tchu i zacisnęła palce na pierścieniu.

Nie spodziewała się, że doznanie będzie aż tak straszliwe. Było o wiele, wiele gorsze od tego, przez co przechodziła z Chaolem. W jego ranie czaił się jedynie cień potęgi Valgów, podczas gdy tym razem przyszło jej się zanurzyć w atramentowo czarne jezioro ciemności. W zepsucie. W żywioł będący zaprzeczeniem wszystkiego, co istniało na tym świecie.

Yrene sapała przez zęby. Moc skrzyła się wokół jej dłoni, osłaniając ją niczym magiczna rękawiczka, a uzdrowicielka raz jeszcze zebrała siły i pociągnęła.

Pierścień zszedł z palca.

Duva zaczęła wrzeszczeć.

Wygięła się w pałąk, ale wtedy doskoczyli do niej Sartaq i Kashin. Pierwszy złapał ją za nogi, drugi unieruchomił jej ramiona. Obaj młodzieńcy zaciskali z wysiłku zęby, próbując utrzymać siostrę, a ta miotła się dziko i wrzeszczała bez słów, nadal nieprzytomna dzięki zaklęciu Hafizy.

– Wyrządzasz jej krzywdę! – warknął kagan.

Yrene nawet na niego nie spojrzała, skupiona na ciskającej się Duvie.

– Cicho! – syknęła Hasar do ojca. – Niech robi, co do niej należy. I niech ktoś sprowadzi kowala. Trzeba rozbić ten przekłętą pierścień.

Świat dookoła rozmył się, dźwięki straciły wyrazistość. Yrene nie spojrzała nawet na młodego człowieka – męża Duvy – który pędził ku nim, zasłaniając usta, aż zatrzymała go Nesryn.

Chaol nadal klęczał obok Yrene. Raz jeszcze potarł dłonią jej plecy dla pocieszenia i cofnął ją. Uzdrowicielka wciąż wpatrywała się w wijącą się księżniczkę.

– Ona zaraz sobie coś zrobi! – wysyczał Arghun. – Powstrzymaj to!

Prawdziwy pasożyt. Żywy cień w ciele księżniczki, wypełniający jej krew, zakorzeniony w jej umyśle.

Yrene czuła obecność Valga, szalejącego i wrzeszczącego.

Uniosła dłonie przed siebie.

Przepłynęła ją białe światło, a ona stała się nim, stała się światłem, ledwie mieszczącym się w rozmywających się konturach ciała. Ktoś westchnął z przestachu, gdy uniosła mieniące się oślepiającym światłem dłonie ku piersi księżniczki, jakby przyciągała ją ogromna moc.

Demon, czując jej bliskość, zaczął panikować.

Z oddali dobiegło przekleństwo Sartaq. Pękło drewno, gdy Duva wbiła stopę w oparcie kanapy.

Ona jednak widziała tylko miotającego się Valga, przerażonego jej mocą. Widziała jedynie własne mieniące się dłonie, wyciągnięte ku księżniczce.

Dotknęła nimi ciała Duvy.

Rozbłysło oślepiające światło. Zewsząd dobiegły okrzyki, a światło znikło równie szybko, jak się pojawiło, wessane w Yrene. W jej dłonie, oparte na klatce piersiowej księżniczki. W samą Duvę.

Znikając, światło porwało za sobą Yrene.

Trafiła w sam środek szalejącej burzy. Zimnej, wściekłej, przastarej.

Czuła, że gdzieś się czai. Że czyha wszędzie. W istocie, porównanie do tasiemca miało wiele sensu.

„Wszyscy zginiecie...” – zaczął demon syczącym głosem, ale Yrene uwolniła swą moc.

Strumień białego światła zalał żyły, kości i nerwy. W okamgnieniu spotęźniał, przerodził się w gęste pasmo uformowane z niezliczonych cząsteczek uzdrowicielskiej mocy, przepelniające każdy ciemny, gnijący zakamarek ciała Duvy, duszące każdy wrzask zła.

Gdzieś daleko przybył kowal. Młot uderzył w metal.

Hasar warknęła, Chaol parsknął głośno, tuż nad uchem Yrene.

Kątem oka uzdrowicielka widziała szczątki obrączki na przekazywanej ostrożnie dookoła chusteczce wezyra i czarny, migotliwy kamień zakłęty w złocie.

Demon wrzeszczał, topiony i dławiony jej magią. Yrene dyszała ciężko, ale nie ustawała, napierała, atakowała. Chaol kojąco masował ją po plecach.

Świat przygasał.

„Nie boję się ciebie – powiedziała Yrene ciemności. – A ty nie masz dokąd uciec”.

Duva miotała się, próbując uwolnić się od dłoni Yrene, ale ta przycisnęła je mocniej do piersi księżniczki.

Czas zwolnił i zaczął się wypaczać. Yrene nie była świadoma bólu kolan ani skurczu pleców. Nie wiedziała, że Sartaq i Kashin kręcili głowami, gdy ktoś proponował im pomoc. Skupiona słała w ciało Duvy kolejne fale magii, przepelniała ją pożerającym wszystko białym światłem.

Demon ani na moment nie przestawał wrzeszczeć.

Ale ustępował. Smagała go bez litości i krok po kroku spychała coraz dalej, aż wreszcie go dojrzała.

Kulił się w najdalszym zakamarku duszy księżniczki, a jego ciało okazało się tak przerażające, jak się tego spodziewała. Spowijały go kłęby dymu, które co chwila odsłaniały długie, pazurzaste kończyny, szarą, śliską, pozbawioną owłosienia skórę oraz nienaturalnie wielkie, ciemne oczy, w których pobłyskiwała wściekłość, gdy spojrzała na niego ze wzgardą.

Nie bała się bowiem.

Demon zasyczał i rozchylił paszczę, pokazując rząd ostrych kłów.

„Wasz świat upadnie! – wrzeszczał. – Upadnie tak jak inne przed nim. I inne po nim”.

Wbił szpony w ciemność. Duva wrzasnęła.

„Żałosne” – Yrene zwróciła się do niego.

Przypuszczalnie wypowiedziała to słowo na głos, bo dookoła niej zapadła cisza. Czuła, że więź z Chaolem zaczyna słabnąć. Ręka zsunęła się z jej pleców.

„Bardzo, bardzo żalosne – powtórzyła. Moc zbierała się za nią niczym potężna, rosnąca biała fala. – Żeby książę zerował na bezbronnej kobiecie?”.

Demon cofał się przed naporem bieli i darł mrok, jakby chciał wygrzebać w nim tunel i uciec.

Yrene cisnęła całą swą moc. Pozwoliła, by fala go przygniotła.

I gdy jej moc po raz ostatni runęła na słabnącego demona, ten odwrócił się i zaśmiał.

„Nie jestem księciem, dziewczę, a księżniczką. A me siostry wkrótce cię odnajdą!”.

Światło Yrene eksplodowało, tnąc demona na strzępy, pochłaniając ostatnie kawałki mroku, po czym uzdrowicielka gwałtownie powróciła do swego ciała i osunęła się na ziemię. Chaol wykrzyknął jej imię.

Wyprzedziła go Hasar, która przypadła do Yrene i przytrzymała ją. Duva zakaszłała, dławiąc się i próbując przekroczyć na bok.

– Pomóżcie jej – wychrypiała Yrene. – Obróćcie ją.

Książęta spełnili jej polecenie. W tej samej chwili ciało Duvy przeszły torsje i zwymiotowała poza skraj krawędzi kanapy. Cuchnące niewyobrażalnie wymiociny obryzgały kolana uzdrowicielki, ale przemogła się i przyjrzała się im. Jedzenie. Głównie jedzenie, a tu i ówdzie plamki krwi.

Duvą raz jeszcze targnęły mdłości, silne, bezlitosne. Z jej żołądka wyrwał się niski bulgot, ale z ust buchnął tylko ciemny dym. Krztusiła się i charczała, lecz z jej wargi zwiśla jedynie odrobinka śliny, ściekająca na szmaragdową podłogę.

Z jej ust wyciekały kolejne cienie. Yrene czuła wszystko. Jej magia szalała i prężyła się, ale dziewczyna widziała, że resztki demona rozwiewają się w nicość niczym kropla rosy wysuszona przez

słońce.

Poczuła, jak przeszywa ją ból i chłód. Jak ogarnia ją pustka. Wyczerpała swą moc do samego dna.

Uniosła głowę i mrugając, spojrzała na tłum otaczający kanapę. Synowie kagana stali teraz po obu stronach ojca. Trzymali dłonie na rękojeściach mieczy, a na ich twarzach zastygły ponure miny. Ledwie panowali nad swą wściekłością.

Byli źli nie na Yrene, nie na Duvę, ale na człowieka, który przysłał im zło do domu. Który próbował skazić ich rodzinę.

Duva wypuściła powietrze z płuc. Jej twarz zaczynała się rozluźniać, a na policzki powrócił rumieniec. Mąż księżniczki chciał ponownie do niej przypaść, ale Yrene zatrzymała go wzniesioną dłonią.

Przyszło jej to z trudem – nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej dłoń jest tak ciężka – ale dostrzegła przy tym jego wzrok. Młodzieniec z paniką w oczach wpatrywał się w ciężarny brzuch żony. Yrene pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „Zajmę się tym”.

Następnie ułożyła dłonie na okrągłym brzuchu Duvy i posłała cząstkę swej magii w głąb jej łona. Moc ostrożnie wejrzała do ciała, a z wnętrza odpowiedziało mu coś nowego, świeżutkiego i radosnego. Głośno.

Kopnięcie ze środka sprawiło, że Duva stęknęła głucho i zatrzepotała powiekami. Mrugając, spojrzała na zebranych. Na Yrene, która nadal trzymała dłonie na jej brzuchu.

– Czy... czy wszystko... – wychrypiła z trudem księżniczka.

Yrene uśmiechnęła się, lekko zdyszana. Od ogromnej ulgi zakręciło jej się w głowie.

– Wszystko w porządku – odparła. – Dziecko jest zdrowe i nie ma w nim śladu demona.

Duva wpatrywała się w Yrene bez słowa, aż jej ciemne oczy wypełniły łzy. Jej mąż opadł na krzesło i zasłonił twarz. Jego ramiona drżały.

Kątem oka Yrene dostrzegła czyjś gwałtowny ruch – to kagan wyrwał do przodu. Niespodziewanie najpotężniejszy człowiek na ziemi opadł na kolana przed kanapą, objął córkę i zmiądzzył ją w objęciach.

– Czy to prawda, Duva? – spytał ostro Arghun, który stanął przy jej głowie.

Yrene miała ogromną ochotę warknąć na niego, by dał nieszczęsnej księżniczce choć chwilę wytchnienia i pozwolił jej dość do siebie po tym, przez co przeszła, ale powstrzymała się. Sartaq jednakże nie miał żadnych skrępowań.

– Zamknij się! – warknął na starszego brata, a nim Arghun zdołał wysyczyć ripostę, Duva uniosła głowę znad ramienia ojca. Ocierając łzy z policzków, spojrzała na Sartaqa i Arghuna. Potem na Hasar, Kashina i w końcu na męża, który wreszcie uniósł głowę. Jej urodziwą twarz wciąż przesłaniały cienie, ale bez wątpienia miała już ludzkie rysy.

– To prawda – szepnęła łamiącym się głosem, patrząc znów na braci oraz siostrę. – Co do słowa.

Kagan, uzmysłowiwszy sobie doniosłość tego, co właśnie usłyszał, przytulił córkę do siebie raz jeszcze. Kołysał ją łagodnie, a Duva szlochała. Jej bracia przepchnęli się do przodu, by również objąć siostrę, a Hasar nadal stała przy jej nogach. Na twarzy księżniczki widniało coś na podobieństwo tęsknoty.

Naraz dojrzała wzrok Yrene i szepnęła do niej:

– Dziękuję ci.

Uzdrowicielka pochyliła w odpowiedzi głowę i cofnęła się ku Chaolowi, który siedział na swoim fotelu na kółkach przy najbliższej kolumnie. Przypuszczalnie poprosił jakiegoś służącego, by przywiózł mu go z apartamentu gościnnego, gdy poczuł, jak więź z Yrene powoli słabnie.

Podjechał bliżej i przyjrzał się jej. Na jego twarzy nie było ani śladu żalu czy frustracji, a miast tego zachwyty i podziw tak ogromne, że odebrało jej dech. Usiadła mu na kolanach i ucałowała go w policzek, a Chaol otoczył ją ramionami.

Po drugiej stronie sali huknęły drzwi, rozległ się tupot szybkich kroków i łopot szat. Oraz szloch.

Wielka Cesarzowa, płacząc, biegła jak oszalała ku córce, ale w ostatniej chwili na jej drodze

stanął Kashin. Książę złapał matkę w talii i zatrzymał z taką siłą, że jej białe szaty uniosły się i opadły. Jej skóra była wręcz popielata i przez cały czas nie przestawała wyrzucać z siebie słów w halha. Mówiła zbyt szybko, by Yrene mogła ją zrozumieć. Nie widziała nikogo i niczego oprócz córki, ale powoli docierały do niej słowa Kashina, który szeptał jej do ucha i gładził ją po chudych plecach.

Wtedy Wielka Cesarzowa padła na kolana i przygarnęła Duvę do piersi. Yrene patrzyła, jak tuli się do siebie, szlochając z ulgi i radości, a w jej sercu obudził się stary ból, jak zawsze na widok matki okazującej uczucie córce. Chaol ścisnął ją lekko za ramię, jakby chciał powiedzieć, że dobrze to rozumie.

Yrene zsunęła się z jego kolan i oboje odwrócili się, by wyjść. Wtedy usłyszeli słowa kagana.

– Cokolwiek – powiedział.

Nadal klęczał na podłodze obok żony, a Duva wreszcie znalazła się w objęciach Hasar. Cesarzowa obejmowała obie córki, całując je po policzkach, włosach i czołach.

– Cokolwiek sobie życzycie – powtórzył kagan – będzie wam dane. Powiedzcie tylko, co to ma być.

Yrene nie wahała się ani chwili, a słowa same wypadły jej z ust:

– Przysługa, Wielki Kaganie. Chcę cię prosić o przysługę.

\*\*\*

W pałacu panowało ogromne zamieszanie, ale Chaol i Yrene zdołali znaleźć chwilę, by porozmawiać na osobności z Nesryn i Sartaqiem w apartamencie.

Książę i łuczniczka dołączyli do nich podczas długiej drogi powrotnej. Chaol popychał swój fotel u boku Yrene, która słała się na nogach, ale była zbyt uparta, by się przyznać. Co więcej, posunęła się nawet do tego, że ostrym, przenikliwym wzrokiem uzdrowicielki otaksowała jego plecy oraz nogi, jakby to on wyczerpał swą moc do granic.

Chaol czuł zmiany we własnym ciele, gdy ogromna ilość mocy uzdrowicielskiej wpłynęła w ciało Duvy. Czuł narastające napięcie w niektórych partiach pleców oraz nóg, co uświadomiło mu, że za moment straci równowagę. Stąpając niepewnie, cofnął się i wsparł o drewniane oparcie najbliższej kanapy, gdzie cichym głosem poprosił jednego ze służących o przyprowadzenie mu fotela. Gdy służący powrócił, Chaol już naprawdę go potrzebował. Nadal mógł poruszać nogami, ale nie był w stanie ustać.

Nie frustrowało go to jednak ani nie zawstydziło. Jeśli jego ciało miało tak reagować aż do końca życia, nie była to wcale kara, skądże znowu!

Wciąż myślał o tym, gdy dotarli do apartamentu. Zastanawiał się, w jaki sposób pogodzą jego udział w bitwach z jej leczeniem. Bo chciał walczyć i nic nie mogło go przed tym powstrzymać. Nawet jeśli Yrene wyczerpie swą moc, będzie walczył z siodła lub choćby na fotelu. A gdy moc w jej krwi popłynie, by nieść ulgę chorym i rannym, a ich więz przez to osłabnie, również da sobie radę. Przecież zawsze może oprzeć się o lasce bądź powrócić na fotel. Jego godność na tym nie ucierpi.

Musi tylko przeżyć te bitwy. Przeżyć wojnę.

Wraz z Yrene rozsiedli się na nowej kanapie, która stanowiła mizerną namiastkę ich poprzedniej. Chaol miał szczerą nadzieję, że tej starej nie wyrzucono, gdyż chciał zabrać ją do Adarlanu, nawet jeśli była w fatalnym stanie. Nesryn i Sartaq ostrożnie usiedli naprzeciwko na osobnych krzesłach.

Chaol udawał, że tego nie dostrzega. I że go to nie bawi.

– Skąd wiedzieliście, że grozi nam śmierć? – spytała w końcu Yrene. – Zanim dołączyliście do strażników?

Sartaq zamrugnął, otrząsając się z zadumy. Kąciki jego ust drgnęły.

– To Kadja! – powiedział i wskazał ruchem podbródka służącą, która rozstawiała przed nimi serwis do herbaty. – To ona zauważyła, że Duva wychodzi ze swoich komnat i kieruje się ku tunelom. Kadja... jak by to powiedzieć... Jest na moich usługach.

Chaol spojrział na służącą, która nie dawała po sobie poznać, że rozumie prowadzoną rozmowę.

– Dziękuję – powiedział ochryplym głosem.

Yrene jednakże złapała ją za rękę i ścisnęła mocno.

– Uratowałaś nam życie – rzekła. – Jak możemy ci się odwdziaczyć?

Kadja tylko pokręciła głową i wycofała się z pokoju. Odprowadzili ją spojrzeniami i milczeli przez chwilę.

– Arghun bez wątpienia zastanawia się, czy jej za to nie ukarać – uzmysłowił sobie Sartaq. – Z jednej strony Kadja uratowała Duvę, ale z drugiej... Cóż, nie powiedziała mu o niczym ani słowa.

– Musimy znaleźć jakiś sposób, by ją uchronić. – Nesryn zmarszczyła brwi. – Jeśli twój brat w istocie jest człowiekiem aż tak niewdzięcznym.

– Och, jest, jest – rzekł Sartaq.

Chaol zamrugał, nieco zaskoczony ich niecodzienną zażyłością oraz tym, że Nesryn użyła liczby mnogiej.

– Ale później się nad tym zastanowię.

Chaol miał ochotę powiedzieć, że wystarczy szepnąć słowo Shenowi, a Kadja zyska wiernego obrońcę na resztę życia, ale nie odezwał się.

– I co teraz? – spytała Yrene.

Nesryn przeczesła ciemne włosy. Tak, z całą pewnością wyglądała inaczej. Pojawiło się w niej coś nowego. Zerknęła na Sartaq, ale nie po to, by poprosić go o zgodę, ale... Zupełnie jakby chciała przypomnieć sobie, że on nadal się tu znajduje.

A potem powiedziała coś, po czym Chaol ucieszył się, że siedzi:

– Maeve jest królową Valgów.

Nesryn i Sartaq przekazali im wszystko, czego dowiedzieli się przez ostatnie tygodnie. O stygijskich pająkach, które tak naprawdę były żołdakami Valgów. O zmiennokształtnym, który mógł być wujem Lysandry. O królowej Valgów, która od tysięcy lat udawała Fae, by w ten sposób ukryć się przed ścigającymi ją królami demonów.

– A to wyjaśniąłoby, dlaczego uzdrowiciele Fae uciekli z Doranelle – szepnęła Yrene, gdy Nesryn dokończyła historię. – I dlaczego osada, w której mieszkają uzdrowiciele Maeve, znajduje się na pograniczu świata śmiertelników. Być może założono ją tam nie po to, by mieli łatwy dostęp do potrzebujących ludzi, ale... Ale może jest to coś na kształt patrolu granicznego na wypadek, gdyby Valgowie chcieli się wdrzeć na jej terytorium?

Jak blisko się znaleźli, zupełnie o tym nie wiedząc, gdy Aelin starła ich w Wendlyn.

– To wyjaśnia również, dlaczego podczas pierwszego spotkania między Aelin i Maeve przy tej drugiej siedziała sowa – rzekła Nesryn.

Yrene zmarszczyła brwi, a potem zawołała:

– To z pewnością zwierzęca forma jakiegoś uzdrowiciela. Jakiegoś nieszczęśnika, którego trzyma przy sobie i więzi jako ochroniarza, choć wszyscy inni sądzą, że to tylko jej zwierzątko!

Chaolowi kręciło się w głowie. Wzrok Sartaq sugerował, że doskonale zna to uczucie.

– A co się wydarzyło przed naszym przybyciem? – spytała Nesryn. – Zanim znaleźliśmy was...

Yrene zacisnęła dłoń na ręce Chaola. Nadeszła pora, by opowiedział o tym, czego się dowiedzieli i przez co przeszli. O tym, że bez względu na to, co planuje Maeve, wciąż mają Erawana do pokonania.

Przedstawił więc swą opowieść, a wtedy odezwała się cicho Yrene:

– Kiedy uzdrawiałam Duvę, zamieszkujący ją demon...

Urwała i podrapała się po dekolcie. Chaol nigdy dotąd nie doświadczył niczego równie niezwykłego jak to uzdrowienie. Wiedział, że nigdy nie zapomni oślepiającego błysku wokół jej dłoni i niemalże boskiego wyrazu jej twarzy. Jakby była ucieleśnieniem Silby.

– Demon powiedział mi, że nie jest księciem Valgów, ale... księżniczką.

Zapadła cisza.

– Ta pajęczycza zdradziła, że Valgowie mieli synów i córki – rzekła Nesryn. – Księżęta i księżniczki.

Chaol zaklął. Miał wrażenie, że jego nogi długo jeszcze nie będą sprawnie funkcjonować, nawet jeśli Yrene w końcu odzyska pełnię mocy.

– Wygląda na to, że potrzebujemy Przynoszącej Ogień – rzekł.

Poza tym ktoś musiał przelożyć księgi, które obiecała im już Hafiza.

Nesryn przygryzła wargę.

– Aelin żegluj na czele swej floty na północ, do Terrasenu. Są z nią więdźmy.

– Lub tylko Trzynastka – poprawił ją Chaol. – Raporty są nieściste. Istnieje prawdopodobieństwo, że to nawet nie jest sabat Manon Czarnodziobej.

– Dam sobie rękę odrąbać, że to ona – stwierdziła Nesryn i spojrzała na Sartaqę. Ten pokiwał głową, udzielając jej milczącej zgody. Nesryn oparła przedramiona na kolanach i oznajmiła: – Nie wróciliśmy tu sami.

Chaol spoglądał to na niego, to na nią.

– Ilu wam towarzyszy?

– *Rukhin* są ważną formacją w armii kagana – oznajmił Sartaq ze ściągniętą twarzą. – Są niezbędni do utrzymania bezpieczeństwa wewnętrznego. Mogłem zabrać jedynie połowę spośród nich.

Chaol czekał na konkrety.

– Ściągnąłem tysiąc.

Po raz kolejny ucieszył się, że siedzi. Tysiąc jeźdźców ruków...

– Jeśli dołączymy do armii Aelin – powiedział, drapiąc się po szczęce – to dzięki Trzynastce i innym sabbatom Żelaznozębnych, które Manon Czarnodzioba zdoła przeciągnąć na swą stronę...

– Będziemy mogli walczyć z Morath o panowanie na niebie – dokończyła za niego Nesryn, której oczy błyszczały.

Chaol odczytał w nich nadzieję, ale również coś, co przypominało lęk. Jakby uzmysłowiła sobie, czym powietrzne bitwy mogły się skończyć. Jakby zrozumiała, że wnet zaczną ginąć ludzie.

Mimo to odwróciła się ku Yrene.

– Ale jeśli można leczyć tych, których zakazili Valgowie...

– Trzeba będzie w jakiś sposób łapać nosicieli – rzekł Sartaq. – I unieruchamiać ich na tak długo, by Yrene i pozostali uzdrowiciele mogli się nimi zająć.

Tak, to również należało wziąć pod uwagę podczas planów.

– Ale Aelin Przynosząca Ogień walczy po naszej stronie, prawda? – wtrąciła Yrene. – Skoro jest w stanie wytwarzać ogień, z pewnością może też wywołać dym. – Uśmiechnęła się lekko i dodała: – Niewykluczone, że mam kilka pomysłów.

Rozchyliła usta, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale wtedy drzwi do gabinetu stanęły otworem i do środka wkroczyła Hasar. Z zaskoczeniem spojrzała na Sartaqę.

– Wygląda na to, że spóźniłam się na naradę wojenną – oznajmiła.

Książę oparł kostkę na kolanie.

– A skąd ty wiesz, o czym my tu rozmawiamy?

Hasar przysunęła sobie krzesło i zarzuciła włosy za ramię.

– Czyli te chmary ruków, które w obecnej chwili obsrywają większość dachów w Antice, zleciały się tu po to, byś się poczuł ważniejszy?

Sartaq parsknął cicho.

– Mów, siostrzyczko, o co ci chodzi.

Ta spojrzała na Yrene, a potem na Chaola.

– Wybieram się z wami – oznajmiła.

Westfall ani drgnął.

– Sama? – spytała Yrene.

– Nie. Nie sama – odparła księżniczka. Z jej twarzy zniknęło szyderstwo i rozbawienie. – Ocaliliście życie Duvy, a pewnie i nasze. Przecież w końcu demon nabrałby śmiałości. – Zerknęła na Sartaqę, który przyglądał się jej z lekkim zaskoczeniem. – Duvy jest najlepszą z nas. Nie znam nikogo wspanialszego od niej – powiedziała i przełknęła ślinę. – Zbiorę więc tyle okrętów, ile jestem w stanie, i popłynę z wami. By moja siostra już nigdy nie musiała spoglądać ze strachem przez ramię.

„Chyba, że bałaby się kogoś z was” – pomyślał Chaol, ale zachował tę myśl dla siebie.

Hasar jednakże właściwie odczytała jego spojrzenie.

– Nie ona – powiedziała cicho. – Wszyscy pozostali tak – dodała, spoglądając hardo na Sartaqę,

który ponuro pokiwał głową. – Ale nie Duva. Ona nigdy.

Chaol uzmysłowił sobie, że między braćmi i siostrami istniała niepisana umowa.

– Będziesz więc musiał znosić moją obecność jeszcze przez jakiś czas, lordzie Westfall – ciągnęła Hasar, ale jej uśmiech nie był już taki ostry. – Bo pochwycę za mą *sulde* i pomaszuję aż pod bramy Morath, by ten sukinsyn zapłacił za to, co zrobił moim siostrom, zarówno tej, która przeżyła, jak i tej, która nie miała tyle szczęścia. – Potem spojrzała w oczy Yrene. – Uczynię to też dla ciebie, Yrene Towers. Za to, co zrobiłaś dla Duvy, pomogę ocalić twą ojczyznę.

Yrene powstała. Jej dłonie drżały.

Nikt nie powiedział ani słowa, gdy podeszła do krzesła, na którym siedziała Hasar i zarzuciła jej ramiona na szyję, by mocno ją wyściskać.



Nesryn była wyczerpana. Chciała się położyć i spać przez tydzień albo przez miesiąc.

Mimo to znalazła w sobie jeszcze tyle siły, by ruszyć korytarzami przed siebie w kierunku minaretu Kadary. Sama.

Sartaq i Hasar udali się na spotkanie z ojcem, a Chaol i Yrene, choć z całą pewnością nie czuła się niezręcznie w ich towarzystwie, zasługiwali na nieco prywatności. Przecież Chaol wciąż stał na progu królestwa Śmierci i łuczniczka nie miała złudzeń, co się będzie teraz działo w ich apartamencie. Wiedziała też, że powinna znaleźć własny kąć.

Zresztą nie była jedyną osobą w potrzebie. Musiała też znaleźć nocleg dla Borte, która nie mogła się nadziwić Antice oraz morzu, gdy gnali z wiatrem najszybciej, jak to było możliwe, oraz dla Falkana. Zmiennokształtny, nadal pod postacią myszy polnej, podróżował w kieszeni Borte, co bynajmniej nie spodobało się Yeranowi. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie podczas ostatniego spotkania w Eridun, gdy Sartaq wyznaczał punkty zbiórki dla *rukhin*, Matek Przy Palenisku oraz ich kapitanów.

Nesryn dotarła do schodów prowadzących do minaretu, gdy przypadł do niej paż z wiadomością. Chłopiec był zdyszany, ale mimo to zdołał wykonać ukłon pełen gracji i wręczył jej list. Widniała na nim data sprzed dwóch tygodni, a charakter pisma na kopercie należał do jej wuja.

Drżącymi rękami złamała pieczęć.

Minutę później gnała już po schodach w górę.

\*\*\*

Ludzie pokrzykiwali z zaskoczeniem i zachwytem, gdy czerwono-brązowy ruk frunął nad dachami Antiki. Nesryn szeptała do ptaka i kierowała go ku dzielnicy Runni, a ten tłukł skrzydłami najszybciej jak mógł i mknął z wiatrem wilgotnym od morskiej soli.

Przejęła go na własność w dniu, w którym opuścili Eridun. Udała się do gniazda, gdzie ruk nadal czekał na jeźdźca, który już nigdy nie miał powrócić. Spojrzała mu głęboko w złociste oczy i oznajmiła, że nazywa się Nesryn Faliq, jest córką Sayeda oraz Cybele Faliq i jeśli się zgodzi, zostanie jego jeźdźcem. Zastanawiała się, czy ruk, nazwany Salkhi przez swego poprzedniego jeźdźcę, domyślił się, że dziki błysk w jej oku w chwili, gdy się kłaniała, bynajmniej nie został wywołany przez ryczące wiatry.

Zgodził się jednak.

Poleciała na jego grzbiecie obok Kadary na czele ogromnej armii, mknącej na północ, ku Antice.

Gdy Salkhi wylądował na ulicze przed domem wuja, kilku przerażonych handlarzy porzuciło swe stragany. Dzieci przerwały zabawę i zagapiły się na ptaka szeroko otwartymi oczami, a potem na ich twarzach pojawiły się uśmiechy. Nesryn poklepała ręką po szerokim karku i zsunęła się z siodła.

Pchnęła bramę, a ta z hukiem uderzyła o mur.

A kiedy ujrzała swego ojca, biegnącą ku niej siostrę i jej wrzeszczące głośno dzieciaki, padła na kolana i wybuchnęła płaczem.

\*\*\*

Sartaq odnalazł ją dwie godziny później, choć Nesryn nie miała pojęcia, jak tego dokonał. Przypuszczała jednak, że ruk siedzący pośrodku zacnej dzielnicy Antiki wywoływał spore zamieszanie i po prostu rzucił się w oczy.

Szlochała, śmiała się i ścisnęła swą rodzinę bez końca na samym środku ulicy, a Salkhi przyglądał im się ze spokojem. Kiedy wuj i ciotka wreszcie położyli temu kres i oznajmili, że płakać można równie dobrze przy pysznej herbacie, rodzina opowiedziała jej o przygodach, których zaznali po drodze. O dzikich sztormach, z którymi się mierzyli, o wrogich okrętach, których musieli unikać. Mimo to dopłynęli bezpiecznie, a ojciec oznajmił, że nie ruszą się z Antiki aż do końca wojny, co wuj i ciotka potwierdzili energicznym potakiwaniem.

W końcu nadszedł czas rozstania. Ojciec odgonił siostrę Nesryn, by zajęła się zgrają swych

dzieci, a sam poszedł odprowadzić ją do ruka. Ledwie wyszli przez bramę, gdy łuczniczka zatrzymała się tak gwałtownie, że ojciec na nią wpadł.

Gdyż obok Salkhiego stał Sartaq z lekkim uśmiechem na twarzy, a dalej cierpliwie czekała Kadara. Oba ruki zaiste tworzyły wspólną parę.

Ojciec otworzył szeroko oczy, jakby rozpoznał legendarnego ruka, a potem spojrzął na księcia i uklonił mu się nisko.

Nesryn opowiedziała rodzinie – oczywiście nie ze wszystkimi szczegółami – co przeżyła wśród *rukhin*. Jej siostra i ciotka zerkały na nią niechętnie, gdy dzieci jedno przez drugie zaczęły deklarować, że również chcą zostać jeźdźcami ruków. A potem zaczęły biegać po domu, wrzeszcząc, machając rękami i w amoku skacząc z mebli.

Spodziewała się, że Sartaq będzie stał i czekał, aż się do niego zbliżą, ale książę dostrzegł jej ojca i ruszył ku niemu, a potem wyciągnął rękę i uściśnął mu dłoń.

– Dowiedziałem się, że rodzina kapitan Faliq wreszcie dotarła bezpiecznie do Antiki – powiedział na przywitanie. – Uznałem, że sam przylecę, by was powitać.

Nesryn poczuła, jak wypełnia ją duma i wzruszenie tak ogromne, że poczuła wręcz ból, tym bardziej że po chwili Sartaq pochylał przed jej ojcem głowę. Tak szlachetny gest ze strony księcia oraz spotkanie z samą Kadarą sprawiły, że Sayed Faliq wyglądał, jakby zaraz miał paść trupem.

Niespodziewanie zza bramy wyłoniło się kilka małych główek. Dzieci zerknęły na księcia, potem na ruki, aż...

– Kadara!

Najmłodsze, niespełna czteroletnie dziecko jej ciotki i wuja, wrzasnęło tak głośno, że jeśli ktokolwiek w całym mieście nie był jeszcze świadom przybycia książęcego ruka, właśnie się o tym dowiedział. Sartaq zaśmiał się głośno, gdy dzieci wypadły zza bramy, przemknęły obok ojca Nesryn i popędziły w stronę złocistego ptaka. Jej siostra pobiegła za nimi z zaniepokojoną miną, gotowa wykrzykiwać ostrzeżenia, ale Kadara niespodziewanie usiadła na ziemi, a Salkhi po niej.

Dzieci zatrzymały się oniemiałe i oszołomione. Ostrożnie, niepewnie wyciągały ręce i gładziły łagodnie pióra obu ptaków, a Delara odetchnęła z ulgą.

Potem uświadomiła sobie, kto stoi przed Nesryn i jej ojcem. Jej twarz zalał intensywny rumieniec, a dłonie odruchowo otrzepały suknię, na której jej najmłodsze dziecko pozostawiło kilka plam. Potem powoli, ostrożnie wycofała się do domu, ani przez moment nie przestając się kłaniać.

Sartaq parsknął śmiechem, gdy zniknęła, ale Delara zdążyła jeszcze obrzucić siostrę spojrzeniem, które mówiło:

„Nie będzie ci do śmiechu, kiedy się z tobą porachuję!”

Nesryn odpowiedziała wulgarnym gestem za jej plecami. Ojciec udał, że niczego nie widzi, po czym zwrócił się do księcia:

– Przepraszam, książę, za zachowanie naszych dzieci! Nie powinny tak podbiegać do waszego ruka!

Nesryn nigdy nie widziała, by Sartaq uśmiechał się tak szeroko i promiennie.

– Kadara udaje szlachetnego rumaka, ale tak naprawdę to zwykła kwoka, która uwielbia pisklaki!

Kadara nastroszyła pióra, co wywołało piski zachwyconych dzieci. Sayed uściśnął ramię córki i rzekł do księcia:

– Tak czy owak chyba je stamtąd zabiorę, zanim któreś z nich wlezie jej na grzbiet i odleci!

I tak oto zostali sami. Na ulicy. Przed domem jej wuja. Na oczach połowy Antiki.

Sartaq jednakże zdawał się nie przywiązywać do tego wagi. Rzucił od niechcenia:

– Przejdiesz się ze mną?

Nesryn przełknęła ślinę i zerknęła przez ramię na ojca, który pilnował grupki zachwyconych dzieci, próbujących wspiąć się na grzbiety Salkhiego i Kadary. A potem pokiwała głową.

Ruszyli w stronę cichej, czystej alejki za domem wuja. W milczeniu przeszli kilka kroków, aż Sartaq odezwał się:

– Rozmawiałem z ojcem.

Nesryn nagle poczuła napięcie. A co jeśli spotkał się z nią, by przekazać złe wieści? Jeśli powietrzna armia miała niebawem wracać do gniazdowisk? Jeśli życie, które tak upodobała sobie w tych pięknych górach, niebawem miała znów zastąpić rzeczywistość? Jeśli ksiązę, który zamieszkał w jej sercu, miał wrócić do własnego życia?

Bo przecież był księciem, a ona... Cóż, kochała swą rodzinę i była z niej niezwykle dumna, ale w ich żyłach nie było ani kropli szlachetnej krwi, a jedynym, co kiedykolwiek łączyło ich z arystokracją, była chwila, gdy Sartaq uściśnął dłoń jej ojca.

– Doprawdy? – wykrztusiła.

– My... Omówiliśmy kilka spraw.

Słyszac tak ostrożny dobór słów, Nesryn poczuła ogarniającą ją rozpacz.

– Rozumiem.

Sartaq zatrzymał się. Pszczoły bzyczały wśród kwiatów jaśminu, pnących się po murze dziedzińca należącego do jej rodziny, owego tylnego, zasłoniętego przed oczami innych. Nesryn oddałaby wszystko, by móc przepelznąć przez mur i schować się za nim.

Oddałaby wszystko, by nie musieć tego słyszeć.

Mimo to zebrała się na odwagę i spojrzała księciu w oczy. Uświadomiła sobie, że ten uważnie przygląda się jej twarzy.

– Powiedziałem mu – rzekł w końcu – że chcę ruszyć na czele *rukhin* przeciwko Erawanowi, bez względu na to, czy się zgodzi czy też nie.

Źle. Robiło się coraz gorzej. Nesryn przeklinała w myślach jego nieprzeniknione oblicze.

Sartaq nabrał tchu.

– Wówczas ojciec spytał mnie, dlaczego tego chcę.

– Mam nadzieję, że powiedziałeś mu, że być może od tego zależą losy świata.

Sartaq zaśmiał się i rzekł:

– Tak zrobiłem. Powiedziałem mu również, że kobieta, którą kocham, sama rusza na wojnę, a ja mam zamiar podążyć za nią.

W pierwszej chwili nie zrozumiała tego, co jej wyznał. Nie chciała w to uwierzyć, dopóki nie dokończył.

– Ojciec rzekł wtedy, że pochodzisz z gminu. Że kandydat do przejścia tronu musi poślubić księżniczkę, szlachciankę lub przynajmniej kogoś, kto włada ziemią i może zaproponować jakiś sensowny sojusz.

Poczuła ucisk w gardle. Chciała ogłuchnąć. Nie chciała usłyszeć reszty.

Sartaq jednakże ujął ją za ramię.

– Powiedziałem mu, że jeśli tego trzeba, by zostać dziedzicem władcy kaganatu, nie mam zamiaru nim zostać. I wyszedłem.

Nesryn wciągnęła powietrze.

– Oszalałeś?

– Mam wielką nadzieję, że nie. – Sartaq uśmiechnął się lekko. – Przez wzgląd na całe imperium, oczywiście. – Przyciągnął ją bliżej. Ich ciała niemalże się stykały. – Bo ojciec wyznaczył mnie swym dziedzicem, zanim wyszedłem.

Nesryn miała wrażenie, że opuściła swe ciało. Przez moment nie była zdolna do żadnego ruchu. Stała i oddychała, a gdy spróbowała się uklonić, Sartaq złapał ją za ramiona. Zatrzymał ją, nim zdołała choćby pochylić głowę.

– Nigdy tego nie rób – powiedział cicho.

Dziedzic... On został wyznaczony na dziedzica! Miał władać tym wszystkim! Tą krainą, którą tak ukochała, którą chciała zwiedzić tak bardzo, że aż serce ją bolało na samą myśl.

Sartaq uniósł rękę i nakrył jej policzki. Szorstkie palce musnęły jej skórę.

– Lecimy na wojnę i nie mamy pojęcia, co nas czeka. Pewne jest tylko to. – Dotknął wargami jej ust. – Pewne jest tylko to, co czuję do ciebie i nikt, ani armia demonów, ani król, ani mroczna królowa tego nie zmieniają.

Nesryn przeszył dreszcz. Jego słowa powoli do niej docierały.

– Ja... Sartaq, jesteś dziedzicem ka...

Cofnął się nieco, by znów się jej przyjrzeć.

– Udamy się na wojnę, Nesryn Faliq. I kiedy rozbijemy Erawana i jego armię, gdy mrok zostanie wreszcie wypędzony z tego świata, wówczas oboje tu wrócimy. Razem. – Pocałował ją znów, lekko i przelotnie. – I pozostaniemy tu do końca naszych dni.

Usłyszała w jego słowach propozycję. Obietnicę. Sartaq złożył jej cały świat u stóp.

Znów przeszył ją dreszcz na myśl o tym, co jej oddał bez namysłu. Nie chodziło bynajmniej o imperium czy koronę, ale... ale o życie. O serce.

Nesryn zapytała się w myślach, czy wiedział, że jej serce należało do niego od ich pierwszej przejażdżki na grzbiecie Kadary. Sartaq uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć, że owszem, wie o wszystkim. Zarzuciła mu więc ramiona na szyję i pocałowała go.

Ich pocałunek był miękki, nieśmiały, wciąż przepełniony zaskoczeniem. Usta Sartaqa smakowały jak wiatr, jak górski strumień. Jak dom.

Ujęła jego twarz w obie dłonie i cofnęła się.

– Udamy się na wojnę, Sartaq – szepnęła, zapamiętując każdy fragment jego twarzy. – A potem zobaczymy, co będzie.

Sartaq uśmiechnął się znacząco, zawadiacko, jakby już zdecydował, co wydarzy się później i nic nie mogło go od tego odwieść.

A wtedy z dziedzińca za murem dobiegł wrzask jej siostry, tak głośny, że usłyszeli go wszyscy w pobliżu:

– A nie mówiłam ci, tato?!

Dwa tygodnie później tuż po nastaniu świtu Yrene stała na pokładzie ogromnego żaglowca i po raz ostatni patrzyła na wschód słońca nad Anticą. Na pokładzie panowała gorączkowa krzątanina, ale uzdrowicielka nie puszczała relingu. Liczyła minarety pałacu. Przyglądała się dzielnicom, które budziły się do życia, opromieniane nowym światłem.

Jesienne wiatry już smagały powierzchnię morza, a okręt unosił się i opadał na falach.

Dziś wyruszyli w drogę do domu.

Nie żegnała się z wieloma osobami, to nie było potrzebne. Dosiedli z Chaolem koni i udali się do doków, a tam oczekiwał ich Kashin.

Chaol pozdrowił księcia skinieniem i wprowadził swą klacz na pokład okrętu. Kashin zaś stał i przez dłuższą chwilę przyglądał się okrętowi, a potem innym zgromadzonym w porcie. Potem rzekł cicho:

– Żałuję, że w ogóle odezwałem się do ciebie owej nocy na stepach. Powinienem być milczeć jak grób.

Yrene pokręciła głową, nie mając pojęcia, co ma mu rzec.

– Brakuje mi ciebie – ciągnął Kashin. – Potrzebuję twej przyjaźni, bo... Widzisz, nie mam wielu przyjaciół.

– Wiem – zdołała wykrztusić, a po chwili dodała: – Ja też za tobą tęsknię. Jak za przyjacielem.

Nie kłamała. A to, co Kashin chciał teraz zrobić dla niej i dla jej rodaków... Ujęła go za rękę i ścisnęła ją mocno. W jego przystojnej twarzy nadal dostrzegała ból, ale też zrozumienie. I odważny, czysty blask, z którym wpatrywał się w północny horyzont.

Księżę również uściśnął jej dłoń.

– Dziękuję ci. Wiesz, za Duvę – rzekł i uśmiechnął się lekko, wpatrując się w niebo na północy.

– Spotkamy się jeszcze, Yrene Towers. Jestem tego pewien.

Yrene odpowiedziała uśmiechem, ale Kashin mrugnął do niej i uwolnił swą dłoń.

– Moja *sulde* wciąż powiewa ku północy. Któż wie, co mi się przytrafi po drodze? Tym bardziej że brzemie dziedzica kagana spadło teraz na Sartaqą, a ja mogę robić to, co mi się żywnie podoba.

W mieście zapanowało ogromne ożywienie, gdy rozeszła się wiadomość o zaszczycie, jaki spotkał Sartaqą. Zabawom na cześć księcia i debatom na temat słuszności decyzji kagana nie było końca. Yrene nie wiedziała, co sądzą o tym jego bracia i siostry, ale w oczach Kashina odczytała spokój i zrozumienie. W oczach tych, z którymi widziała się ostatnio, dojrzała to samo.

Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Sartaq nie zaproponował im innego, tajnego układu, który wykraczał poza: „Nie Duva. Ona nigdy”. Może nakłonił ich do: „My nigdy”?

Raz jeszcze uśmiechnęła się do księcia. Do swego przyjaciela.

– Dziękuję ci za twą życzliwość – rzekła.

W odpowiedzi Kashin uklonił się jej lekko i odszedł ku szaremu światłu.

Godzinę później Yrene stała na rufie okrętu i przyglądała się w milczeniu budzącemu się miastu, podczas gdy żeglarze uwijali się na pokładzie i pod nim. Długo, długo wciągała w płuca zapach morza i przypraw, słuchała odgłosów Antiki, zalanej promieniami wschodzącego słońca. Czekala, aż wrażenia zamienią się we wspomnienia. Oczami spijała biel kamieni, z których zbudowano Torre Cesme, wznoszącą się nad stolicą.

Nawet tak wcześnie o poranku wieża była drogowskazem dla błądzących, strzelającą ku niebu lancą nadziei i spokoju.

Yrene zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś ją ujrzy. Nie miała bowiem pojęcia, jaka przyszłość ich czeka.

Oparła dłonie o reling, gdy okrętem poruszył kolejny podmuch wiatru.

Wiatru od lądu, jakby wszystkich trzydziestu sześciu bogów Antiki dmuchnęło razem, by posłać ich w stronę domu. Przez Wąskie Morze. Na północ, ku wojnie.

Okręt w końcu ruszył, a świat dookoła niej zamienił się w plątaninę zdecydowanych ruchów żeglarzy, łoskotów i okrzyków, ale Yrene pozostała przy relingu. Wnet wybrzeże zamieniło się w ledwie zauważalny cień, ale nawet wtedy mogłaby przysiąc, że wciąż dostrzega Torre, migoczącą bielą w blasku słońca niczym ramię uniesione w pożegnalnym geście.

Chaol Westfall doceniał każdy z kroków, który udało mu się postawić. Nawet jeżeli zrywał się tylko po to, by pochwycić za wiadro i zwymiotować podczas pierwszych dni na morzu.

Na szczęście miał przy sobie Yrene, która bez trudu łagodziła bóle żołądka. Sam też powoli dostosowywał się do nowych warunków i po dwóch tygodniach na okręcie, wypełnionych wymijaniem sztormów, które kapitan zwał Niszczycielami, jego żołądek w końcu mu wybaczył.

Yrene stała przy relingu dziobowym i wpatrywała się w ląd. A raczej w miejsce, gdzie powinien się znajdować ląd, gdyby odważyli się podплыnąć bliżej. Na razie trzymali się z daleka od brzegów, ale po zakończonym właśnie spotkaniu z kapitanem Chaol wiedział, że znajdują się gdzieś na wysokości północnego Eyllwe. Blisko granicy z Fenharrow.

Na razie nie natrafili na żaden ślad Aelin i jej armady, choć tego należało się spodziewać, zważywszy na to, ile czasu spędzili w Antice przed odpłynięciem. Chaol odepchnął jednak tę myśl od siebie, zniecierpliwiony otoczył Yrene ramionami i wycisnął pocałunek na jej szyi.

Ta nawet nie drgnęła, zupełnie jakby już poznała rytm jego kroków. Jakby też doceniała każdy z nich.

Wtuliła się w niego i westchnęła, rozluźniając się. Nakryła dłońmi jego palce, splecione na jej brzuchu.

Od uzdrowienia Duvy minął cały dzień, nim Chaol był w stanie chodzić z laską, wciąż sztywno i nierówno. Czuł się jak podczas pierwszych dni rekonwalescencji – mięśnie jego pleców były tak napięte, że sprawiało mu to ból, a każdy krok wymagał jego całkowitej uwagi. Mimo to zaciskał zęby i zmagał się ze swoją słabością, a Yrene szeptała do niego słowa zachęty.

Dzień później przestał już utykać, choć nadal wspierał się na lasce. Po upływie kolejnego dnia przemieszczał się już niemalże swobodnie. Przez dwa tygodnie rejsu Yrene nie miała wiele do roboty poza leczeniem chorych żołądków i poparzeń słonecznych, przez co jej moc wróciła do normy, ale Chaol mimo to nadal trzymał laskę w kajucie, a fotel pod pokładem. Na wszelki wypadek.

Wyjrzał zza ramienia Yrene i spojrzał na ich splecione palce. Na identyczne pierścienie, które je zdobyły.

– Wpatrywanie się w horyzont wcale nie przyspieszy podróży – mruknął, wtulony w jej szyję.

– Dokuczanie żonie z tego powodu również nic nie da.

Chaol uśmiechnął się.

– A cóż innego pozostało mi do roboty podczas tej niekończącej się podróży? Dokuczanie ci to moja jedyna rozrywka, lady Westfall.

Ta parsknęła, jak zwykle, gdy Chaol sięgał po jej tytuł, ale on sam nigdy nie słyszał niczego, co brzmiałoby piękniej. Poza słowami ślubowania, które wygłosili w świątyni Silby dwa i pół tygodnia temu. Ceremonia była skromna, ale Hasar uparła się, by przygotować później ucztę, która przyćmi wszystkie inne wydane w pałacu. I słowa dotrzymała – najstarszej córce kagana można bowiem było zarzucić wiele rzeczy, ale na organizowaniu przyjęć się znała.

Na dowodzeniu flotą również.

Niech bogowie mają ich w swej opiece, gdy Hasar spotka się z Aedionem.

– Jak na kogoś, kto sam nie nosi, gdy się go nazywa lordem Westfallem – powiedziała zamyślona Yrene – aż nader często używasz tytułu w stosunku do mnie.

– Pasuje ci – rzekł Chaol i ucałował ją w szyję.

– Tak, do tego stopnia, że Eretia ani na moment nie przestaje mnie przedrzeźniać. Kłania się w pas, dyga i w ogóle urządza cyrki.

– Eretia jest jedyną osobą, którą chętnie pozostawiłbym w Antice.

Yrene zachichotała, ale uszczypnęła go w nadgarstek i wyślizgnęła się z jego objęć.

– Będziesz się cieszył z jej towarzystwa, gdy zejdziemy na ląd.

– Mam wielką nadzieję.

Yrene znów go uszczypliła, ale Chaol złapał ją za rękę i wycisnął pocałunek na jej dłoni.

Żona. Jego żona.

Nigdy nie widział własnej przyszłości równie wyraźnie jak owego popołudnia trzy tygodnie temu, gdy dojrzał ją siedzącą w ogrodzie i... i nagle wiedział, co należy zrobić. Wiedział, czego pragnie.

Podszedł więc do jej krzesła, uklęknął przed nim i po prostu zapytał: „Wyjdiesz za mnie, Yrene? Zostaniesz moją żoną?”

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Oboje zatoczyli się i wpadli do fontanny, gdzie pozostali przez dłuższą chwilę ku wielkiemu rozdrażnieniu mieszkających tam ryb. Całowali się bez opamiętania, aż znaczącym kaszlnięciem przerwał im jakiś służący.

Gdy patrzył teraz na nią i widział, jak morskie powietrze uwydatnia piegi na jej nosie i policzkach oraz skręca końcówki jej włosów, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ten, którym odpowiedziała mu Yrene, był jaśniejszy od słońca odbijającego się od fal.

Zabrał ze sobą tę przeklętą, zrujnowaną złotą kanapę wraz z pochlastanymi poduszkami. Hasar nie szczędziła mu uszczypliwych komentarzy, gdy żeglarze opuścili mebel do ładowni, ale w ogóle się tym nie przejął. Postanowił bowiem, że po zakończeniu wojny zbuduje dom dla Yrene, a kanapę postawi w samym środku. Wzniesie też stajnię dla Farashy. Klacz właśnie terroryzowała nieszczęsnych żołnierzy, którym powierzono zadanie wysprzątania jej boksu.

Był to dar ślubny od Hasar dla niego. Yrene zaś otrzymała swego Muniqi.

Korciło go, by powiedzieć księżniczce, by zatrzymała Rumaka Hellasa dla siebie, ale rozmyślił się. Spodobała mu się bowiem wizja szarzy na żołdaków Morath na koniu o imieniu Motyl.

Yrene, wciąż wtulona w niego, zacisnęła dłoń na naszyjniku, który zdejmowała tylko podczas kąpieli. Chaol zastanawiał się, czy udałoby się nieco go przerobić – należało wszak wygrawerować na nim jej nowe inicjały. Przecież nie nazywała się już Yrene Towers, ale Yrene Westfall.

Uzdrowicielka uśmiechnęła się, spoglądając na srebrny naszyjnik, który błyszczał oślepiająco w blasku popołudniowego słońca.

– Mam wrażenie, że nie potrzebuję już mojego małego liściku – powiedziała, muskając palcami metal.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem już sama – powiedziała. – I znalazłam odwagę.

Ucałował ją w policzek, ale nie powiedział ani słowa, gdy otworzyła naszyjnik i powoli wyjęła zbrązowiały świstek papieru. Wiatr usiłował wyrwać go z jej palców, ale Yrene trzymała go mocno i rozwinęła ostrożnie. Przyjrzała się słowom, które czytała tysiące razy.

– Ciekawa jestem, czy wyruszy na wojnę, kimkolwiek była. Mówiła o imperium, jakby... – Yrene pokręciła głową, zmagając się z własnymi myślami, a potem zamknęła naszyjnik. – Być może powróci i dołączy do nas, bez względu na to, dokąd się udała.

Podąła mu karteczkę i odwróciła się ku morzu.

Chaol ujął świstek, kruchy, cieniutki i wymięty po latach spędzonych w jej kieszeniach. Rozwinął go i odczytał słowa, które znajdowały się na nim:

*To na Twoją podróż – obojętnie, dokąd się udasz – i jeszcze trochę. Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki.*

Fale ucichły. Zdawało mu się, że okręt zastygł w bezruchu.

Zerknął na żonę, która uśmiechała się pogodnie, wpatrzona w fale, a potem na liścik. Na charakter pisma, który znał równie dobrze jak własny.

Yrene znieruchomiała, gdy ujrzała łzy, których nie mógł powstrzymać.

– Co się dzieje?

Mogła mieć wówczas szesnaście, prawie siedemnaście lat. A skoro dotarła do Innish, była zapewne w drodze na Czerwoną Pustynię, gdzie miała ćwiczyć z Cichymi Zabójcami. Owe siniaki opisane przez Yrene zapewne pozostawiły pięści Arobyinna Hamela, który postanowił ukarać ją za uwolnienie niewolników Rolfe'a i zdemolowanie Zatoki Czaszek...



– Chaol?

*To na Twoją podróż – obojętnie, dokąd się udasz – i jeszcze trochę. Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki.*

Jej charakter pisma.

Chaol uniósł w końcu głowę i zamrugał, by się pozbyć łez. Wpatrywał się w twarz żony, podziwiał jej urodę, jej złote oczy.

Była darem.

Darem od królowej, która ujrzała inną dziewczynę w piekle i postanowiła wyciągnąć do niej rękę. Postanowiła wyświadczyć jej przysługę, ani przez moment nie licząc na to, że ta zdoła się odwzajemnić. Chwila życzliwości, delikatne szarpnięcie za nić przeznaczenia...

Aelin nie miała pojęcia, że ratując nieszczęsną barmankę przed najemnikami, ucząc ją sztuki walki, przekazując jej złoto i ów liścik... Nie, do głowy nawet by jej nie przyszło, że owa chwila życzliwości zostanie kiedyś odwzajemniona. I to nie przez uzdrowicielkę, która została pobłogosławiona przez Silbę i obdarzona umiejętnością niszczenia Valgów.

Dzięki temu, co zrobiła w przeszłości, na pomoc szło jej trzysta innych adeptek sztuki uzdrawiania, które zdecydowały się popłynąć wraz z nią. Trzysta uzdrowicielek na ponad tysiącu okrętów samego kagana.

„Przysługa, Wielki Kaganie” – powiedziała do władcy kontynentu po tym, jak uratowała jego najukochańszą córkę.

„Cokolwiek” – obiecał tamten.

Yrene uklękła przed nim i powiedziała:

„Ocal mój lud”.

O nic innego nie prosiła.

Kagan spełnił prośbę. Przydzielił im tysiąc okrętów z armady Hasar oraz własnej i wypełnił ich pokłady piechotą Kashina i kawalerią Darghanów, a na niebo nad nimi posłał tysiąc *rukhin* ze wszystkich gniazdowisk. Dowodzili nimi Sartaq i Nesryn.

Przydzielił im armię, która miała rzucić wyzwanie Morath. Jej skrzyknięcie trwało dwa tygodnie i choć w Antice pod czujnym okiem Kashina zbierały się kolejne oddziały, Chaol nie chciał dłużej czekać. Rozpoczęły się bowiem jesienne sztormy i niebawem dotarcie na północ byłoby o wiele trudniejsze. Ruszył więc na wojnę zaledwie z połową sił, którymi dysponował kagan, a i tak nie był w stanie wyobrazić sobie ogromu tej formacji.

Ostrożnie złożył liścik i wsunął go do naszyjnika Yrene.

– Zatrzymaj go jeszcze jakiś czas – powiedział cicho. – Myślę, że jest ktoś, kto chętnie na to spojrzy.

Oczy Yrene wypełniło zaskoczenie i ciekawość, ale o nic nie pytała, tym bardziej że Chaol znów otoczył ją ramionami i przytulił mocno.

Przebył długą drogę, by znaleźć się w tym miejscu.

Przed oczami przemykały mu kolejne etapy jego podróży przez życie. Owiane zamieciami góry, gdzie człowiek z twarzą surową jak skała wyrzucił go na mróz. Kopalnia soli w Endovier, gdzie zabójczyni z oczami skrzącymi jak dziki ogień uśmiechnęła się do niego krzywo, wciąż niezłamana mimo roku spędzonego w piekle. Zabójczyni, która ocaliła jego żonę, gdy obie wędrowały wśród owianych cieniami ruin tego świata, a teraz trzymały jego przyszłość w rękę.

Każdy etap. Każdy krok. Każdy upadek w ciemność. Każda chwila rozpacz, wściekłości i bólu. Wszystko to przywiodło go dokładnie tu. Do miejsca, w którym chciał się znaleźć.

Chwila życzliwości młodej kobiety, która odbierała życie, dla tej, która je ratowała.

Ów zaschnięty strzęp ciemności w jego ranie mizerniał coraz bardziej. Kurczył się i rozpadał w pył, porywany podmuchami morskiego wiatru. Przelatywał nad masztami tysiąca dumnych i nieugiętych okrętów, płynących za nimi. Nad żołnierzami i końmi bojowymi, nad towarzyszącymi im Hafizą i uzdrowicielkami, które jak jeden mąż ruszyły na wezwanie Yrene, gdy poprosiła je o pomoc

w uratowaniu jej rodaków. Obok ręków mknących przez chmury i wypatrujących zagrożeń.

Yrene przyglądała mu się uważnie.

Pocałował ją raz, potem znowu. Niczego nie żałował. Nie spoglądał w przeszłość. Miał przecież Yrene w swych ramionach, a ta trzymała liścik sprzed wielu miesięcy, najlepszy dowód na to, że znalazł się dokładnie tam, gdzie się znaleźć powinien. Że zawsze zmierzał we właściwym kierunku. Że zawsze podążał właśnie tutaj.

– Czy kiedyś wyjaśnisz mi tę swoją dramatyczną reakcję – spytała w końcu Yrene, cmoknąwszy głośno – czy może będziesz mnie całował przez resztę dnia?

Chaol ryknął tubalnym śmiechem.

– To długa historia! – oznajmił i otoczył ramieniem jej talię. Przez chwilę spoglądał na horyzont wraz z nią, aż dodał: – I w sumie powinnaś najpierw usiąść.

– Takie historie lubię najbardziej – powiedziała do niego i mrugnęła.

Chaol znów się roześmiał. Czuł, jak ów odgłos wesołości rozlewa się po całym jego ciele, czysty i wyraźny jak uderzenie dzwonu. Ostateczny, radosny grzmot przed nadejściem wojennej zawieruchy.

– Chodźmy – powiedział do Yrene i skinął żołnierzom, którzy wraz z ludźmi Hasar pilnowali żagli, by nic nie zaszkodziło pospiesznej żegludze ku bitwom toczącym się za horyzontem. – Opowiem ci podczas obiadu.

Yrene stanęła na palcach i ucałowała go, a Chaol poprowadził ją do ich przestronnej kajuty.

– Mam nadzieję, że ta twoja historia będzie tego warta – powiedziała z łobuzerskim uśmiechem.

Chaol uśmiechnął się do swej żony, do światła, ku któremu bezwiednie podążał przez całe życie, nawet gdy nie był w stanie go dostrzec.

– Jest tego warta – powiedział cicho. – Wierz mi, że jest.

## Ogniste Serce

Uwięzili ją pośród ciemności i żelaza.

Spała, ponieważ została do tego zmuszona. Wpuścili kłębiący się, słodkawy dym przez sprytnie ukryte otwory w żelaznej klapie. Gdzieś nad nią. Wokół niej. Pod nią.

Znalazła się w trumnie, zbudowanej przez starożytną królową, by uwięzić słońce.

Spała, zamknięta w żelazie.

Śniła. Płynęła przez morza, przez mrok, przez ogień. Była księżniczką niczego. Bezimiennym rozbitkiem. Śpiewała ciemnościom i płomieniom, a one śpiewały jej.

Nie było początku, końca czy środka. Istniały tylko pieśń, morze oraz żelazny sarkofag, aż zniknęły i one. Aż kojący, ciepły mrok przeszło oślepiające światło. Aż do środka wdarł się wiatr, chłodny, pachnący deszczem. Nie czuła go na twarzy. Nic dziwnego, wciąż miała na sobie maskę śmierci.

Z trudem otworzyła oczy.

Po tak długim pobycie w mroku światło wypaliło wszelkie kształty i kolory. Mimo to nad sobą dostrzegła twarz, spoglądającą znad uchylonego wieka. Ciemne, falujące włosy. Skóra blada jak światło księżycowe. Usta czerwone jak krew.

Usta pradawnej królowej rozchyliły się w uśmiechu. Jej zęby były białe niczym kość.

– Już nie śpisz? Dobrze.

Jej głos, piękny i zimny, mógł pożerać gwiazdy.

Oślepiające światło przeszły twarde, pokryte bliznami dłonie. Pochwyciły za łańcuchy. To łowczy królowej, jej ostrze. Posadził księżniczkę szarpnięciem, choć ta ledwie czuła własne, obolałe ciało. Nie chciała do niego wracać. Z rozpaczą próbowała uchwycić się ognia i mroku, uciekających od niej niczym poranny odpływ.

Łowczy szarpnął mocniej. Przybliżył ją do okrutnej, pięknej twarzy, która przyglądała się jej z pajęczym uśmiechem. I nadal ją trzymał, gdy starożytna królowa mruknęła niczym kot:

– Zaczynamy więc.

## Podziękowania

Po raz kolejny staje przede mną przekraczające moje siły zadanie okazania wdzięczności wielu wspaniałym ludziom, dzięki którym ta książka stała się rzeczywistością.

Wielką wdzięczność i dozą miłości winna jestem w pierwszej kolejności:

Memu mężowi Joshowi, który jest moim światłem, moją opoką, najlepszym przyjacielem i bezpieczną przystanią, a więc tak naprawdę wszystkim. Dziękuję ci za to, że się mną zajmowałeś, że mnie kochałeś i uczestniczyłeś wraz ze mną w tej niezwyklej podróży. Twój śmiech to mój ulubiony dźwięk na całym świecie.

Annie, która siedziała przy mnie przez całe miesiące pracy nad tą książką. Uczestniczyłaś w tym tak bardzo, że twoje imię powinno pojawić się na okładce, ale jak na razie psom nie wypłaca się honorariów, a więc to powinno na razie wystarczyć. Kocham cię, moja droga psinko. Uwielbiam twój zakręcony ogon, twoje uszy jak u nietoperza, twoje fochy i energię, z jaką biegasz. Kocham w tobie wszystko. Obyśmy napisały razem jeszcze wiele książek i nigdy nie przestawały się obściskować.

Mojej agentce Tamar. Mamy za sobą dziesięć książek, a ja nadal nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo wdzięczna jestem za to, co dla mnie robisz. Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję za to, że stoisz w moim narożniku, że nigdy się nie oszczędzasz i że zawsze okazujesz się największym twardzielem na świecie.

Laurze Bernier za rady, mądrość i entuzjazm, dzięki któremu praca nad tą książką okazała się tak wspaniałym przeżyciem. Dziękuję ci z całego serca za twą ciężką pracę, za uwagi redakcyjne i za to, że pomogłaś mi przekształcić tę książkę.

Zespołowi w Bloomsbury – Bethany Buck, Cindy Loh, Cristinie Gilbert, Kathleen Farrar, Nigelowi Newtonowi, Rebecce McNally, Sonii Palmisano, Emmie Hopkin, Ianowi Lambowi, Emmie Bradshaw, Lizzy Mason, Courtney Griffin, Erice Barmash, Emily Ritter, Grace Whooley, Eshani Agrawal, Alice Grigg, Elise Burns, Jenny Collins, Beth Eller, Kerry Johnson, Kelly de Groot, Ashley Poston, Lucy Mackay-Sim, Hali Baumstein, Melissie Kavonic, Oonie Patrick, Diane Aronson, Donnie Mark, Johnowi Candellowi, Nicholasowi Churchowi, Annie Bernard, Charlotte Davis – za to, że po prostu są najlepszym zespołem wydawniczym na całej planecie. Dziękuję wam jak zwykle za wszystko, co robicie dla mnie i dla moich książek. Jestem zaszczycona, że mogę pracować z każdym z was.

Jonowi Cassirowi, Kirze Snyder, Annie Foerster i zespołowi w Mark Gordon – jesteście najlepsi na świecie. Czuję ogromną radość, że te książki trafiają w wasze ręce.

Cassie Homer – dziękuję ci nieskończenie za to, co robisz. Jesteś fantastyczna.

Lynette Noni – ogromnie się cieszę, że tak bardzo się zaprzyjaźniłyśmy od czasu tej Supanovej kilka lat temu. Dziękuję ci ze wszystkich sił za pomoc, jakiej udzieliłaś mi podczas pisania tej książki, za to, że jesteś wspaniałą partnerką do burzy umysłów, i wreszcie za to, że po prostu jesteś sobą.

Roshani Chokshi – dziękuję ci za twój śmiech, konkretne rady i za to, że jesteś prawdziwym promieniem słońca. Jestem zaszczycona tym, że darzysz mnie przyjaźnią.

Steph Brown – jesteś moją partnerką w fangirlingu. Dziękuję ci za całe wsparcie i za twą przyjaźń. Nie umiem wysłować tego, jakie to dla mnie ważne. Nie mogę się doczekać naszego kolejnego maratonu LotRa (#FellowshipoftheDrink).

Jennifer Armentrout za to, że jest jedną z najbardziej otwartych, ciepłych i pomocnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam, René e Ahdieh za obiady, które zawsze okazują się beczką śmiechu, Alice Fanchiang za wspólne dzikie pasje i niekończące się chichoty oraz

Christine Hobbs i Lauren Billings za to, że są moimi ulubionymi ludźmi na świecie.

Charlie Bowater. Od czego tu w ogóle zacząć? Dziękuję ci za wspaniałe mapy, dziękuję ci za to, że twoje rysunki nadal mnie oszałamiają i inspirują, dziękuję ci za wszystko. Nie umiem wysłować, jaki to zaszczyt móc z tobą pracować i jak wiele twoja sztuka dla mnie znaczy.

Kati Gardner i Avery Olmstead – dziękuję wam z całego serca za wasze wnikliwe wnioski

i analizy. Nie macie pojęcia, jak cenne się okazały i jak bardzo pomogły mi ukształtować tę książkę. A poza tym przyjaźń z wami to wielka radość.

Jackowi Weatherfordowi, którego *Czyngis Chan* zmienił mój punkt widzenia na historię świata i zainspirował mnie do stworzenia kaganatu. Dziękuję też Paulowi Kahnowi za jego wspaniałą adaptację *Secret History of the Mongols* oraz Caroline Humphrey za artykuł *Rituals of Death in Mongolia*.

Moim rodzicom i rodzinie – dziękuję wam za radość, miłość i wsparcie, które przynosicie na ten świat.

Najmłodszej członkini mej rodziny, mej siostrzenicy – moje życie już stało wspanialsze dzięki temu, że stałaś się jego częścią. Życzę ci, byś wyrosła na wspaniałą, budzącą szacunek kobietę.

Bardzo dziękuję też moim wspaniałym przyjaciołom: Jennifer Kelly, Aleksie Santiago, Kelly Grabowski, Vilmie Gonzalez, Rachel Domingo, Jessice Reigle, Laurze Ashforth, Sashy Alsberg i Diyanie Wan.

Louisse Ang, przypuszczam, że mój głos brzmi już jak zdarta płyta, jeśli chodzi o niekończące się podziękowania dla ciebie za wszystko, co robisz, ale co mi tam... Dziękuję ci bardzo za to, że jesteś tak cudowna i wspierasz mnie tak wytrwale.

I wam, drodzy czytelnicy, dziękuję za to, że każda minuta ciężkiej pracy nad książką okazała się tego warta. Jesteście najwspanialszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek poznałam. Uwielbiam was.